



Migotania

Gazeta Literacka

Nr 4 (69) 2020 kwartalnik

Fundacja

ŚwiatłoLiteratury

*Ludzie (...) celebriują słowa,
żeby nie wyszło, że boją się słów”,
Marian Kisiel, Mały cmentarz(2)*

Polecamy:

- Boris Nosik, O Ewie Demarczyk
- Anna Frajlich, Dziennik 1969r, pierwsze lata emigracji
- Eugeniusz Kurzawa, O Januszu Koniuszu
- Krystyna Konecka, Profesor Andrzej Strumiłło
- Roman Warszawski, 18 kilometr, reportaż
- Rozmowa z prof. Stefanem Bednarkiem
- Nagroda Nobla, wiersze - Louise Glück
- Dariusz Pawlicki, W obronie caratu

Tadeusz Zawadowski

rewia masek

ludzie zakładają różne maski. w zależności od zarazy.
takie są standardy. jednorazowe - na konkretną sytuację.
wielorazowe powracają do łask po latach.
wyciągane z zakamarków pamięci gdzie wydawały się
być już zbyt cenne. trzeba je tylko odświeżyć i pasują jak ulał
do dzisiejszej rewii. zmieniają się tylko fasony i nazwy
sponsorów. siedzimy z żoną przy kawie. przed sobą

nie musimy zakładać masek.

Zbigniew Szczepanek

**W numerze prezentujemy prace: Zbigniewa Szczepanka (1933 - 2020)
Plakat poetycki: Agnieszka Tomczyszyn-Harasymowicz
Plakat artystyczny: Zbigniew Szczepanek**

Marek Wawrzkiwicz
Dedykacje (20)
WOJTEK Ż

Zapach psiej sierści" z pewnością nie był jego najlepszą książką. Ale przetrwała rewolucję mojej przeprowadzki do mniejszego mieszkania, kiedy musiałem z bólem serca zredukować swój księgozbiór i zrezygnować z wielu tomów prozy. Zachowałem ją ze względu na dedykację: *Nie sądziłem, że jesteś tak pamiętliwy. Markowi serdecznie – Wojciech.* A moja pamiętliwość polegała na tym, że autorowi przypominałem – jakby sam nie pamiętał – treść jednego z jego opowiadań. Opowiadania o tym jak pensjonariusze Bastylli, którzy żyli w tej twierdzy niby pączki w maśle, bronili się przed szturmującym tłumem. Opowiadanie było pomieszczone w tomie „Piórkiem flaminga”, wydanym po raz pierwszy w roku bodajże 1947; przeczytałem to, jako kilkunastoletni chłopak i uznałem, że Wojciech Żukrowski jest wybitnym, jeśli nie najwybitniejszym, nowelistą polskim.

W sierpniu minęło dwadzieścia lat od jego śmierci. Późną jesienią 2000 roku w warszawskim Klubie Księgarza odbyła się premiera zbioru opowiadań Wojciecha Żukrowskiego „Czarci tuzin” – książka otrzymała nagrodę literackiej premiery miesiaca. Mówiłem wtedy o tym osobliwym zbiorze opowiadań o zdarzeniach dziwnych, paranormalnych, niedających się racjonalnie wytłumaczyć. Ale

przede wszystkim mówiłem o Wojtku, o jego ciepłe, o dyskretnym poczuciu humoru, o ironicznym dystansie do rzeczywistości, o tym, z jaką czułością przygotowywał małeńkie, wymyślne kanapki. Pewnie powtórzyłem to kilka lat później na uroczystości odstonięcia tablicy pamiątkowej na frontonie domu przy ulicy Karowej, w którym mieszkał z żoną Marią i córką Kasią. Byłem w tym domu kilka razy, zawsze wypijaliśmy po kieliszeczku, albo i po trzy w trybie partyzanckim – Wojtek nastuchiwał czy z kuchni nie zbliżają się kroki pani Marii, niepochwalającej figlarnego stosunku męża do alkoholu. Legenda mówi, iż pod drzwiami tego mieszkania czytelniczki oburzeni do żywego faktem, że Żukrowski zaaprobował publicznie wprowadzenie stanu wojennego zbudowali barykadę z jego książek. Wojtek twierdził, że barykada składała się z 14 egzemplarzy, a wśród nich nie było ani jednego „Porwania w Tiuturlistanie” i „Kamiennych tablic” – wielkich bestsellerów.

Mam w cieplej pamięci wiele spotkań z tym świetnym pisarzem i wspnianiałem kompanem, spotkań warszawskich, ale też moskiewskich i pekińskich. Kiedyś moja była żona Krystyna prowadząca impresariat artystyczny Muzeum Miasta Łodzi zaprosiła nas na im-

prezę z cyklu „Salonowe potyczki”. Wojtek potraktował to bardzo serio i był po prostu kłótlivy. I robił to tak autentycznie, że w to wzburzenie uwierzyłem. Poza wszystkim miał talent autorski. Jechaliśmy do Łodzi, a padał ulewny deszcz, moim samochodem i w połowie drogi zepsuły się wycieraczki. Jechałem po omacku z duszą na ramieniu, a Wojtuś nie zważając na śmiertelne niebezpieczeństwo snuł nieprzerwanie swoje ucieszne opowieści.

Po śmierci Wojciecha zdobyliśmy prywatny, ściśle tajny adres Jana Pawła II i wystaliśmy do papieża list z zawiadomieniem o smutnym fakcie. Otrzymaliśmy bardzo serdeczną i bardzo osobistą odpowiedź: Karol Wojtyła w czasie wojny pracował z Żukrowskim w kamieniołomach, potem przez wiele lat kontaktowali się listownie – Wojtek pokazywał mi kilka odręcznie napisanych listów od papieża. Nad grobem list odczytał następca Wojciecha na stanowisku prezesa Związku Literatów Polskich Piotr Kuncewicz. A kilka dni później odebraliśmy telefon z kurii biskupiej. Grzecznie, ale kategorycznie poproszono, aby Związek „oddał” list. Nie oddaliśmy. Był naszą własnością.

MAREK WAWRZKIWICZ

Marian Lech Bednarek

Muszę tylko się wysikać, czyli zrobić z siebie deszcz i gradobicie jak trzeba, reszta to nic nie muszę, nic nie muszę, nawet tego pisać, bo to tylko nawyk, żeby mi skóra nie odleciała, bo tak nagimi kośćmi gruchotać przy pisaniu i świecić to na pewno musi być jakiś nawyk - że z kimś ważnym gadam, albo dobijam się dopiero do Jego drzwi. Ja nic nie muszę, tylko w sikaniu mogę się wypowiedzieć w sprawach polityki, religii, filozofii i kultury. Potem jak to sputukuję, to widzę co się dzieje na świecie - że produkują parasole i inne hasła jako pokrewieństwo tej rodzinki o słonym posmaku i przeważnie złotym kolorze, który trzeba sputukać. Czy to mała, czy duża? Niech einsteinowe kłopoty się tym zajmują. Mnie skrzywienie światła skrzywia tylko myśl, że coś z tym sputukiwaniem nie do końca jest sensowne w sensie lekkości pęcherza o niezmienną prędkości światła. Czy tak zwane „ja” to nie jakaś pomyłka Panie Hydrauliku? „Pan Hydraulik” to też jakiś nadmiar rozpryskanego, słonego strumienia świadomości. Muszę uważać, bo żona mnie ochrzani że jestem ciapa, a zapowiadali słońce, więc celować do środka, do środka, a nie po ścianach. Okej. Sikanie nosem to też jak wyrok dożywocia. Chusteczki wszystko za nas powiedzą, doprawdy cały dorobek estetyki ze wszystkich wieków. Przeważnie są to małe kwadraty, oto cała tajemnica Euklidesa. Nie widziałem jeszcze prostokątnej ani okrągłej chusteczki, przeważnie są to kwadraty, małe kwadraty we wzorki, żeby nie za bardzo spustoszyć przyszłość galaktyk. Ala katar jest bezlifosny. Nie chcę tego wykładu skończyć wymądrzającą się czernią. Niech małe kwadraciki na razie zajmą nosowe kłopoty, bo przecież tyle ustaw czeka na rozpatrzenie i zatwierdzenie w sejmie. Mały kwadracik jest, wbrew pozorom, naszym Wielkim

MU-SIEĆ?

Zbigniew Szczepanek

Kwadratem. To jest smarkanie do entej potęgi do en en en en en i jeszcze większej, a nawet stokrotnie większej od tego co tu napisałem. Ale komu to? Po co? Nos, to nos. Powietrze tyle w nim opowieści przemęta, że starczy dla wszystkich głupich pisarzy. Bo głupi pisarz chodzi bez nosa a mądry z nosem. Ale to już zabawa dla próżności nosowej, tego powyginanego cyrkowo nocha animala – kto głupi a kto mądry? Głośne przyptywy i cichsze odptywy fal powietrza wbijają mnie siłą rozpedu wyobraźni w ocean,

co tak bardzo lubię w imieniu wszystkich, jeśli można? Ziewanie w imieniu wszystkich. Tu jakiś nowy rozdział musiałby się zacząć. Wyobrażam sobie wybranego przez naród ziewacza. Jak stoi taki i ziewa a wszyscy klaszczą, że aż ręce ich bolą, bo ziewaństwo wymaga ofiar, i tak dalej. Niech lepiej pozostanie prywatne, to znaczy r y w a t n e, bo bez tego „pe” nie żal mi się z nim na chwilę rozstać. Potem zobaczymy, czy będę jeszcze w stanie dopowiedzieć *I must only must?*

MARIAN LECH BEDNAREK 7.11.2020

SPIS TREŚCI

Marek Wawrzkiwicz, Wojtek Ż., Dedykacje (20), felieton.....	str.2
Lech Marian Bednarek, MU-sieć?, felieton.....	str.2
Boris Nosik, Dla Krakowa i dla Ewy Demarczyk, proza.....	str.3
Tadeusz Zawadowski, wiersze.....	str.8
Roman Warszawski, Osiemnasty kilometr, proza.....	str.9
Louise Glück, wiersze, Nagroda Nobla.....	str.14
Irena Kaczmarczyk, Muzeum polskie w Rapperswilu, historia.....	str.15
Dariusz Pawlicki, W obronie...caratu, esej.....	str.19
Karolina Antoniak, wiersze.....	str.21
Anna Frajlich, Dziennik, Notatki z pierwszych lat emigracji.....	str.22
Marian Kisiel, Mały cmentarz (2), dziennik.....	str.26
Krystyna Konecka, Profesor Andrzej Strumiłło, esej.....	str.30
Marian Lech Bednarek, poezja.....	str.34
Eugeniusz Kurzawa, Janusz Koniusz - stracone szanse?, esej.....	str.36
Anna Bobak Końcowa, wiersze.....	str.39
Grzegorz Bazylak, Androcentryczna nieświadomość, esej.....	str.40
Dariusz Dekański, wiersze.....	str.43
Eugeniusz Kurzawa, Opowieści czasu zarazy (kapitalistycznej), proza.....	str.44
Tadej Karabowicz, Najdalsze kręgi ..., o poezji B. Wrocławskiego, esej.....	str.47
Julia Rybicka, wiersze.....	str.48
Dariusz Tomasz Lebioda, Čma, esej.....	str.49
Katarzyna Sawicka-Mierzyńska, Życie literackie w Białymstoku, esej.....	str.50
Marek Jagliński, wiersze ...str.51	
Maria Jentys-Borelowska, Życie i książki (2), O głodzie i głodowaniu, felieton.....	str.52
Grzegorz Musiał, Dziennik włoski, Apulia (2).....	str.54
Andrzej Katzenmark, Takie były czasy, esej.....	str.57
Roman Warszawski, Ten wredny facet..., proza.....	str.60
Dariusz Tomasz Lebioda, Wiersze Indyjskie.....	str.62
Zbigniew Kresowaty, Kłórdy do kultury, rozmowa z prof. S. Bednarkiem.....	str.63
Anna Luberc-Kowal, wiersze.....	str.66
Jekatierina Polańska, wiersz.....	str. 67

OMÓWIENIA

Aleksandra Naróg, Apokalipsa spełniona?.....	str.68
Maria Jentys-Borelowska, Najważniejsza książka Europy Środkowej.....	str.68
Maria Jentys-Borelowska, Świat Igi.....	str.70
Jerzy Lengauer, Le Fanu - Duchy.....	str.71
Jerzy Lengauer, Lista nieobecności.....	str.72
Jerzy Lengauer, Pięć opowiadań.....	str.73
Teodozja Świdarska, wiersze.....	str.74
Adam Świeżyński, wiersze.....	str.75
Dariusz Pawlicki, wiersze.....	str.75

RECENZJE.....str.76

Roman Warszawski, Jak pies został bumistrzem	
Eżbieta Musiał, Co zaprzęta poetycką myśl	
Stefana Jurkowskiego	
Jerzy Stasiewicz, Czy to Ty, Janie, podążasz w poszukiwaniu panaceum?	
Jerzy Stasiewicz, Janusz Ireneusz Wójcik	
Jerzy Stasiewicz, Dalekowzroczność gęstej mgły ostrzem miniatur Matgorzaty K.	
Mateusz Wabik, Co się wydaje w Krakowie	
Mateusz Wabik, Literatura z Łodzi bez fabryk włókienniczych	
Mateusz Wabik, Krótko o krótkich wierszach	
Mateusz Wabik, Z Polski do Anglii	
Andrzej Walter, Wrózenie z Tulika	
Mateusz Wabik, Na co komu?	
Mateusz Wabik, Anankin Skywalker i czasy współczesne	
Andrzej Walter, Na strunach waszej wrażliwości	

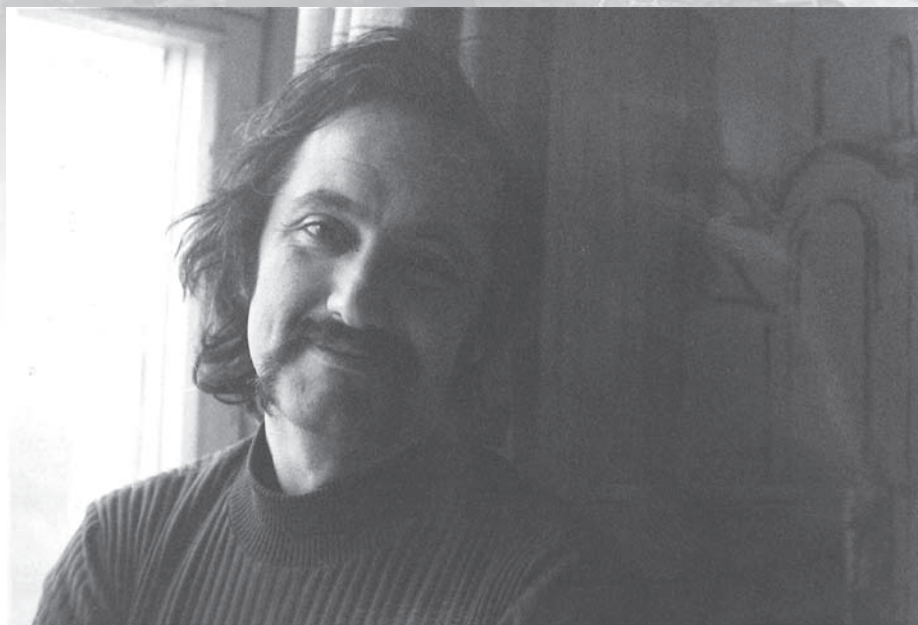
Roman Warszawski, Kolor i powietrze.

Wspomnienie o Z. Szczepanku.....	str.88
Nota biograficzna Zbigniewa Szczepanka.....	str.89
Leszek Szaruga, Wyprasowania (33).....	str.92

JESZCZE WIECEJ MIGOTAŃ

Zbigniew Wilczyński, Kruchy wyjątek, proza.....	str.94
Zofia Zarębianka, wiersze.....	str.97
Tadek Karabowicz, Narracja Mityczna w twórczości Zbigniewa Kresowatego, esej.....	str.98

Boris Nosik

DLA KRAKOWA I DLA
Ewy DEMARCZYK

Fragmenty rozdziału „Powieści pro in-dyjskije pietuchi” pochodzą z autobiograficznej powieści Borisa Nosika „Mongolskije strasti”

12 grudnia 2014 r. był nadany e-mail. Pan Boris napisał: „Pani Krystyno, pod koniec „Mongolskije strasti” (strony od 17-22) jest opis mojego spotkania na pustyni Gobi z grupą Andrzeja Żuławskiego. Jeżeli znajdzie pani czas proszę przeczytać i przetłumaczyć to wspomnienie dla Krakowa i dla Ewy – staruszek Boris.”

Dwa miesiące później pana Borisa zabrakło. Zmarł w Nicei 21 lutego 2015 roku. Pochowany został na prawosławnym cmentarzu Caucade (wcześniejsza nazwa - cmentarz Nikołajewski), na którym pochowano ponad trzy tysiące rosyjskich emigrantów. Ewa Demarczyk zmarła 14 sierpnia 2020 roku.

Ołowiane szare dni wiszą nad kredową Szampanią i już któryś dzień z rzędu niebo zasnuwane jest chmurami. Okazuje się jednak, że takie dni są zdrowsze dla mojego serca. Kto by pomyślał, że czegoś takiego dożyję. Lata całe uwielbiałem ostre palące słońce i bezchmurne błękitne niebo. Za takim słońcem gonilem po całym Rosyjskim Imperium, a teraz dowiaduję się, że właśnie te szare, smutne, ołowiane dni, są znacznie korzystniejsze dla mojej stareńkiej maszynerii. I tak snując się po zapuszczzonej części nicejskiego ogrodu wspominam mongolski step. Ale dlaczego właśnie ten step przez cały ostatni wolny od pracy tydzień nie wychodzi mi z głowy? Nawet nie wiem skąd to się wzięło i zupełnie nie mogę sobie przypomnieć, czy spowodował to telefon z Pitra, czy też czyjeś rzucone od niechcenia słówko. Bo takie przypadkowo rzucone „słówka” wszystko i wszystkim potrafią przeżyć; przeżyją ludzi, ich twarze, przeżyją nawet głosy. Bywa tak, że tamtych

ludzi już nie ma, a z opowiadanych przez nich historii pozostały jedynie słowa, czasami tylko jedno słówko. Ocalały jakieś przelotne wrażenia, przetrwały sympatie czasami antypatie, zdarzało się nawet poczucie krzywdy... Przecież słówko „ołowiany” (na określenie właściwości takiego letniego dnia) też nie wzięto się znikąd, a pozostało po Koli Bannikowie. Wszystko już przeminęło - i tamte rozmowy do późnej nocy na Basmannej, i prestiżowy Goslitizdat! i Wowka Smirnow, i Hinkis (Wiktor Aleksandrowicz), nawet przyjaciółka Natasza; a nawet i to, że obraziłem się na Kolę - to wszystko minęło, a słówko „ołowiany” pozostało i oto nagle wyplłynęło z powodu tego szarego nieba nad Szampanią.

Pamiętam dzień, gdy przywoziłem Kolę do nas, do Ałymowki (wieś Ałymowka to mała wioska niedaleko stacji Zosimowska Pustelnia i Domu Wypoczynkowego „Bekasowo”). Lato było w pełni, siostry na obozie pionierskim, a my z mamą zostaliśmy w Ałymowce sami. Tłumaczyłem wtedy Jamesa F. Coopera, którego odstąpił mi Kola. Tłumaczenie miało być dla Dietgiza.² Kola okazał się moim dobroczyńcą, więc namówiłem swego dobroczyńcę, by pojechał ze mną na wieś... ale zawiodła pogoda. Byłem niepokieszony, bo zabrakło słońca. Wtedy właśnie Kola oświadczył; „Taki dzień też jest niezły, są dni złote - powiedział - dni srebrne, a bywają także i takie; dni ołowiane, takie też lubię”. Słuchałem go z szacunkiem. Kola był świetnym redaktorem i dobrym tłumaczem. O jego przekładach życzliwie wypowiadał się nawet sam Boris Pasternak. A kim był wtedy dla nas Pasternak! - nawet wyjaśnić teraz trudno, nie było dla niego skali.

Więc dzisiaj w Szampanii mamy właśnie taki dzień. Ale dlaczego zamiast Ałymowki wciąż powraca do mnie Mongolia i tylko tamte dawne mongolskie sprawy.

Delegacja do Mongolii była pierwszą zagraniczną delegacją, jaką otrzymałem ze Związku Pisarzy. (Do tego czasu nigdy nie korzystałem z tak zwanych delegacji twórczych.) Wszystkich zagranicznych delegacji w ciągu mojego życia otrzymałem w sumie dwie. Było to zgodne z moim skromnym statusem, czyli miejscem zajmowanym w strukturach tej wszechpojętej organizacji. Druga natomiast wypadła po dziesięciu latach, tuż przed upadkiem całego Związku razem ze wszystkimi jego pisarzami... Ale ta pierwsza była do Mongolii. Pełnoprawnym członkiem związku stałem się tuż przed całym wielkim krachem. A dlaczego w ogóle nim zostałem? - zapytacie. Zwyczajnie, z głupoty. U nas (w Moskwie) panował pogląd, że prawdziwymi pisarzami są tylko ci, którzy należą do Związku Pisarzy, ich uważano za profesjonalistów, więc i ja chciałem być profesjonalistą, tym bardziej, że wydałem już sporo książek. Oczywiście ci „człotowi” pisarze bardzo głośno mówili o swoim poparciu dla działań Związku, dla polityki rządzącej partii, także polityki KGB jako władzy równorzędnej, jednocześnie po cichu sugerując nam, że ze Związku raczej należałoby wystąpić. Niemniej jednak skoro oni tak wiele energii włożyli w to by do niego wstąpić, to i ja do Związku się zapisałem, by następnie się z niego wypisać. Należało bowiem wstąpić; skorzystać z wszelkich przywilejów, jakimi nas obdarowywał i Związek, i Liffond³, inaczej mówiąc, mile spędzać czas w Domach Pracy Twórczej na słodkim nieróbstwie za państwowe pieniądze. Należało także skorzystać z możliwości wyjazdów zagranicznych. Jeżeli nie uda się wyjazd służbowy, to chociaż uzyskać zgodę na wyjazd na koszt własny. Okazało się jednak, że nawet te ostatnie wcale nie są takie proste i dla pełnoprawnych członków, gdyż wszyscy najchętniej wybierali właśnie wyjazdy zagraniczne zwłaszcza do państw bogatych, a prym wiodły Włochy i Francja. Jednak z uporem i niegasnącą nadzieją każdego roku wypełniałem wnioski o te deficytowe wojaże i za każdym razem odpowiedź była odmowna. Otrzymałbym kolejną, poszedłem wyptać się do przesympatycznej Ines, która w Oddziale Moskiewskim Związku Pisarzy zajmowała się wszystkimi sprawami twórców literatury dziecięcej. Poradziła mi (przyпускаjąc, że podobnie jak wszystkim innym cierpiącym poprzednikom), by pójść porozmawiać z sekretarzem Moskiewskiego Oddziału Związku Pisarzy Iljinem, o którym mówiono, że pomóc może i podobno już wielu przede mną pomógł. Niewątpliwie Wiktor Nikołajewicz Iljin⁴ musiał być prawdziwą szychą w organach bezpieczeństwa, bo inaczej trudno sobie wyobrazić, by tak ryzykowną działalność, jaką jest literatura (nawet nasza rodzima) można było powierzyć organom innym, niż organy odpowiedzialne za bezpieczeństwo. Odwiedziłem go jeszcze tego samego dnia (jak to mówią „idąc za ciosem”). Myślę, że profesjonalista i wielki znawca ludzkiej duszy, Iljin, nie potrzebował dużo czasu i już w pierwszych minutach dostrzegł wszystkie twórcze słałości i duchowe rozterki pojawiającego się u niego ekstrawertycznego literata. W tym roku - powiedział ze smutkiem w głosie - zupełnie nie dam rady wystać was ani do Francji, ani do Włoch. Nie mam żadnego wolnego miejsca. Ale na przyszły, zapewniam w imieniu własnym i Siergieja Smirnowa (sam pan przecież doskonale wie jaki to człowiek!), że do któregoś z nich pana wyślę. Wstałem pełen otuchy, całym sobą okazując zaufanie i słowom, i zamiarom ojczystych organów literatury i bezpieczeństwa. To jednak nie był jeszcze koniec naszego spotkania. Otóż po chwili,

z wyrzutem i smutkiem w głosie, patrząc mi prosto w oczy Wiktor Nikołajewicz, dyskretnie zniżając głos, już jak gdyby całkiem prywatnie powiedział: „Jednak pisarze to trudny naród, każdy z nich chce do Francji, do Włoch, a do Mongolii, żaden nie chce jechać”. - Jak to nie chce? - zawołałem z oburzeniem. (Pomimo niezwyklej żarliwości mojego oburzenia, zdążyłem zauważyć, że Wiktor Nikołajewicz oczekiwał podobnej reakcji.) Niech pan sobie wyobrazi - kontynuował - na wymianę „za jednego Mongoła” musimy tam posłać, aż dwóch rosyjskich towarzyszy. W Leningradzie - proszę mi wierzyć - od razu znaleźli chętnego, a z Moskwy żaden nie chce jechać. - Ja - wykrzyknąłem - chętnie bym pojechał! (W tamtych latach byłem szalonym podróżnikiem wszelkich delegacji.) - To świetnie się składa - podchwycił Iljin. Niech pan zjeździe na dół i od razu załatwi formalności wyjazdowe. A w następnym roku... W ten oto sposób, jako zamiana za jakiegoś tajemniczego „Mongoła” znalazłem się w drodze, wtedy jeszcze socjalistycznej, ale niezmiennie stepowej i niezwykle egzotycznej Mongolii. A jeśli chodzi o nadchodzący rok, to tak dalekiej przyszłości nie dane było odgadnąć nawet człowiekowi, który większą część życia spędził w najpotężniejszych światach organach. Nawet tak nieomylna władza, nie jest w stanie zawładnąć dniem jutrzejszym. Właśnie w następnym roku Siergiej Siergiejewicz Smirnow opuścił ten najlepszy ze światów, a samego Wiktora Nikołajewicza niewdzięczne władze wymieniły na innego. Natomiast co się tyczy Mongolii - obdarowała mnie hojnie i o tym chciałbym opowiedzieć. Przed wszystkim data początek znajomości, a następnie przyjaźni (dozgonnej) z tym właśnie leningradzkim pisarzem. Pisarz, który tak ochocko zgodził się na wyjazd do Mongolii (Dla takiego naukowego poświęcenia miał swoje osobiste powody, ale o tym opowiem później...), pochodził, jak już wspominałem, z niezbyt chlubnej „kotyski rewolucyj”. Ja natomiast za państwowe pieniądze, nie tylko zrealizowałem wyprawę do jednego z najbardziej egzotycznych krajów świata (z czego zdałem sobie sprawę dopiero w samolocie widząc jak dumni są z tego wyjazdu lecący z nami Amerykanie), ale, co więcej, ten lot okazał się wehikułem czasu, bo oto zastałem kraj (choć upłynęło już ćwierć wieku) w najprawniejszym okresie kultu jednostki. Już nie pamiętam, kto wtedy był dla Mongołów bożyszczem, ale w stolicy na głównym placu stali „dwaj”; dwa odlane w brązie olbrzymy - ich idol i nasz Stalin - nieustannie wywołując sprzeczne uczucia; strachu lub uwielbienia. O tym strachu, który przeniósł mnie w czas mojej zaszczutej młodości i porażającej grozy też jeszcze opowiem, ale teraz, na początek, chciałbym opowiedzieć o nowej przyjaźni, gdyż tak jak śpiewa francuski Okudżawa - Georges Brassens - przyjaźni to rzecz w życiu najważniejsza. Muszę przyznać, że niezwykle mi się poszczęściło z moim leningradzkim partnerem, z którym odbyłem wspólną podróż po Mongolii. Nie oczekiwałem tego... Ale w końcu jaka to różnica; Moskwa, czy Leningrad. Jednak, prawdę mówiąc, do leningradzkiej wspólbraci (po piórze), tak w okresie domongolskim, jak i pomongolskim (jeżeli nie liczyć tej jedynej sytuacji), jakoś nie miałem szczęścia. Oczywiście nie znam takich gigantów, jak Siergiej Dowłatow, czy Josif Brodski, ale kogoś już tam w Leningradzie znałem, jakieś kontakty nawiązałem, ciągle jednak nie sięgając „gwiazd”; znałem na przykład Jewgienija Rejna⁵. Trudno się zatem dziwić mojej radości, gdy leningradczyk, którego spotkałem pierwszego

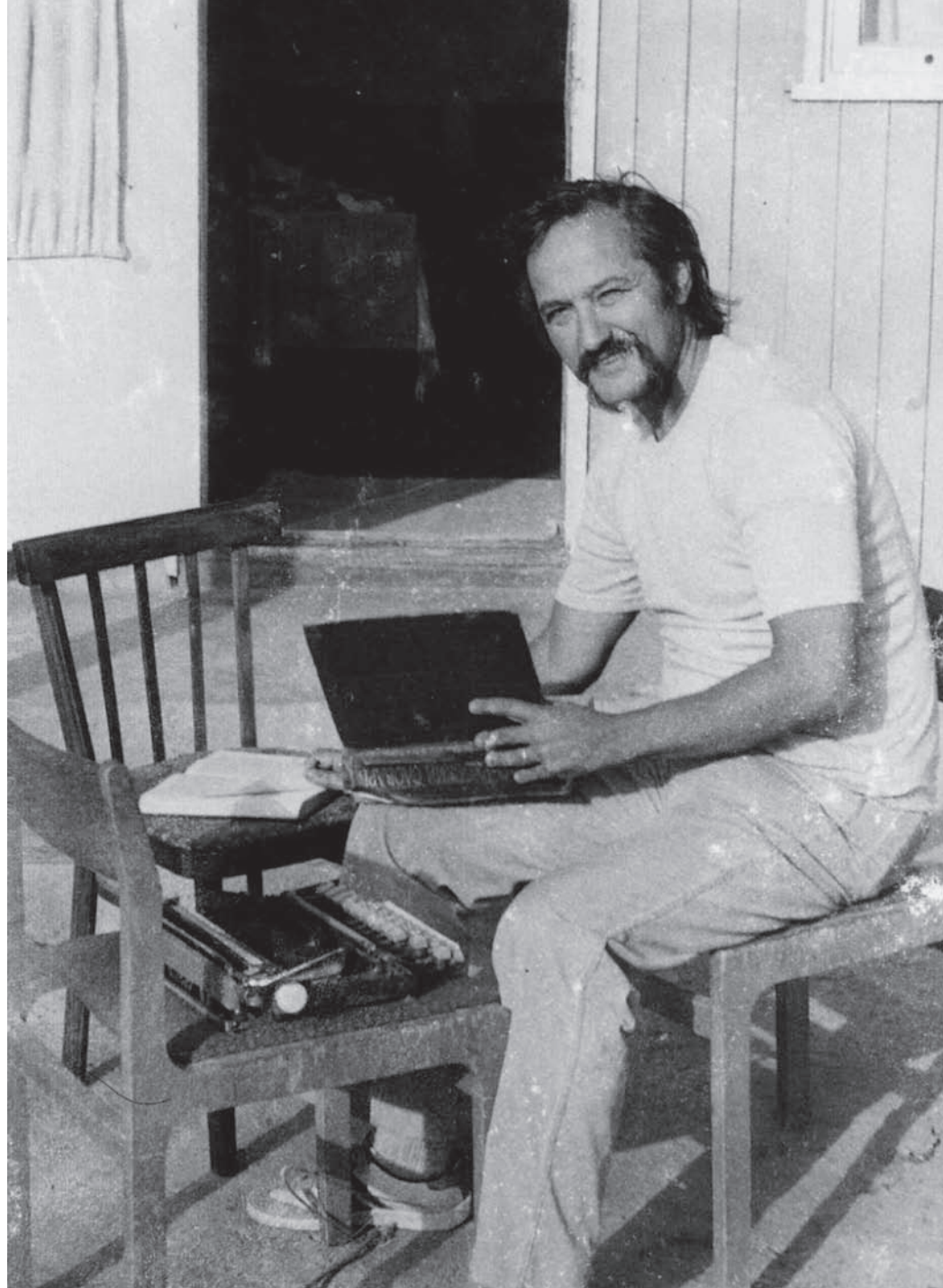
dnia w Ułan-Batorze, okazał się szlachetnym, przeznaczonym człowiekiem, na dodatek wyjątkowo czarującym kompanem. Starszy ode mnie o lata całe, bogatszy o doświadczenia, u siebie w Leningradzie przyjaźnił się z oficerami i znakomiściami, sam pozostając człowiekiem szczerym, szczodrym i otwartym. Naszym zamiarem było jak najszybciej wyostać się z tej obcej nam stolicy, na otwarte przestrzenie kraju, niestety dla naszego bezpieczeństwa przydzielono nam mongolskiego „przewodnika-opiekuna”, literata. Tak naprawdę to literatem on chyba nie był, ale był za to absolutnym profesjonalistą w sprawach bezpieczeństwa. Chociaż w spokojnej Mongolii połowy lat 70' żadnego zagrożenia nie odczuwaliśmy, to jednak z powodu niezrozumiałych dla nas i niepokojących uwag naszego opiekuna (nawiasem mówiąc Mongołowie świetnie mówili po rosyjsku) ciągle czuliśmy się jak obcokrajowcy. Mój leningradzki towarzysz powinien był pojechać na północ do Dzun-Hary, gdzie mieszkali staroobrzędowcy, ale towarzyszący nam (i słusznie dbający o nasze bezpieczeństwo) Mongoł od razu uprzedził, że z wyjazdem na północ będą kłopoty i zaczął coś mętnie opowiadać o bliżej nie określonej fabryce (pewnie jedynej w tym kraju), w której dzieje się „coś” (bliżej nie określonego) i w związku z tymi „bliżej nie określonymi wydarzeniami” wyjazd w tym kierunku jest niemożliwy. My - posiadający już przecież duże sowieckie doświadczenie - znaleźliśmy wyjście z sytuacji. Oznajmiłem więc, że ja z kolei, muszę koniecznie jechać na południe, na pustynię Gobi, by tam szukać śladów podróżnika Piotra Kuzmicza Kozłowa⁶ i na to towarzyszący nam „pisarz” bez chwili wahania powiedział, że on jednak zamierzał zawieść nas na północ. Pozostało nam jedynie wykaazać obłudny żal i zgodzić się z przewrotnymi planami opiekuna. [...] Tak więc wirtuozowsko przechytrzywszy naszego stróża bezpieczeństwa wyruszyliśmy na północ. Już pierwszego dnia naszej podróży trafiliśmy do maleńkiego miasteczka Dzun-Hara. Opiekunowi powiedzieliśmy, że podoba nam się tutaj i chcielibyśmy zostać na nocleg. Po obiedzie i załatwieniu formalności w miejscowym hotelu Wołodzia wsadził do torby swój stary mały poręczny magnetofon, notatniki, pióro, coś tam jeszcze, i poszliśmy szukać staroobrzędowców. Mieszkało ich tutaj niewiele i do wszystkich zdążyliśmy dotrzeć. Rosyjscy staroobrzędowcy znaleźli się tutaj nie do końca przypadkowo; przez wieki starali się być jak najdalej od nieprzychylnych im władzy; i sowieckiej, i religijnej. Ciągle uciekając, zawędrowali do obcej im Rumunii, odległej Bułgarii, do nie swojej Polski, a nawet do niezupełnie swojej Mongolii i tutaj aż do samutkiej Dzun-Hary. Zazdrośnie chronili nie tylko swoją starą wiarę, lecz wszystko co stare, w tym; pieśni, wiersze religijne, czastuszki i porzekadła. W ich poszukiwaniu jeździł do Bułgarii, Rumunii, i bóg wie dokąd jeszcze, folklorysta Władimir Sołomonowicz Bachtin. A teraz my dotarliśmy do mongolskiej Dzun-Hary. Gdy skończył się pobyt Wołodii w Mongolii i przyciskając do piersi skarby chronione pamięcią starowierców odleciał do Leningradu, zostałem sam w jedynym tutaj hotelu „Inturist”. W nim właśnie po raz ostatni zęgałem się z Wołodą. Wołodzia był nieuleczalnie chory i zmarł jeszcze przed moim wyjazdem z kraju. Do kolebki rewolucji wybrałem się już z Szampanii. Przed podróżą zadzwoniłem do syna Wołodii; powiedział, że mogą zatrzymać się w mieszkaniu ojca. Na pytanie kto tam mieszka, odpowiedział; - nik. Nic w nim nie zmienia, a Sierioża otworzył tam w imieniu ojca wydawnictwo. Bywają tacy synowie...

Końcówka mojej podróży po Mongolii przeszła prawie idyllicznie i zwiedziłem tam miejsca jeszcze bardziej egzotyczne niż Dzun-Hara. Z Leningradu na miejsce Wołodii przysłano mi nowego towarzysza podróży, był nim korespondent bliżej nieokreślonej gazety, już go prawie nie pamiętam. Zapamiętałem jedynie to, że siedząc często po cichutku, gdzieś z boczku, coś tam sobie zapisywał, może to były listy, a może poezja... być może był poetą. Podróż na południe trwała długo. Po drodze, wycieczając nowe szlaki, mijaliśmy zrujnowane lamajskie klasztory-datsany⁷ (Lamów, tutejsze władze likwidowały dziesiątkami tysięcy, jeszcze bardziej bezwzględnie, niż bolszewicy rosyjskich księży i zakonnice...). Dostaliśmy także nowego, sympatycznego opiekuna. Nic ciekawego nie powiedział, natomiast, gdy mówiliśmy coś, co w Moskwie już było „no prawie” dozwolone (i prawie zupełnie bezpieczne), natomiast u nich było jeszcze zabronione, patrzył na nas z wyraźną ciekawością i podziwem. Na koniec naszej wędrówki dotarliśmy do zapomnianego przez bogów i ludzi Dalandzadgadu, gdzie w otoczeniu jurł stał ponury drewniany barak, w którym mieściły się Dom turysty i stołówka, noszące szumne zagraniczne nazwy; „restauracja”, i „hotel”. Każdy z nas otrzymał osobny pokój z łóżkiem. Po kilku dniach mój leningradzki towarzysz podróży powrócił do miejsca zamieszkania, a ja ciągle jeszcze pozostawałem na pustyni. [...] Chowałem się w baraku przed południowym skwarem i wieczornym chłodem, gdyż klimat pustyni był wybitnie kontynentalny, o czym już dawno wiedziałem z lekcji geografii. Siedziałem więc tam i czekałem na przygodę. Pamiętam, jak pewnego razu już od samego rana z dumą (która przystoi tylko rosyjskim pisarzom) przechadzałem się pomiędzy jurkami Dalandzadgadu, by na koniec sięść w stołówce z talerzem kapuśniaku, który codziennie podawano w porze obiadowej. Właśnie wtedy doszło do tak niesamowitego i niespodziewanego spotkania, że można to jedynie nazwać cudem; cudem, który zdarzył się na pustyni Gobi! Tamtego pamiętnego dnia siedząc samotnie przy długim stole dalandzadgadzkiej jadłodajni i dziobiąc bez szczególnego zainteresowania w kapuście, usłyszałem nagle za oknem ostre, urywające rzężenie zmęczonego silnika samochodowego, a za moment pisk hamulców.

Wyrzuciłem na podwórko, stał tam czerwony, nieznaney marki, cały pokryty kurzem, autobus. Gdy wyskoczyłem na zewnątrz drzwi autobusu jeszcze były zamknięte, ale w środku można było dostrzec jakichś hataśliwie zachowujących się i nie spieszących ze wstawaniem z miejsc ludzi.

Podszedłem całkiem blisko wstuchując się w dźwięk głosów. Wśród nich zdecydowanie najczęściej i dobitniej niż inne padało słowo kurwa (a może to było „kurka!?”). Tak oto obudził się, drzemiący w mej duszy od dziecka, a zarzucony przez postępujące lenistwo i pominięty podobnie, jak inne talenty, talent lingwisty.

Pozwolił mi przypomnieć sobie, że mile brzmiące „kurka”, to raczej „kurczę pieczone” i jest to eufemizm obelżywego słowa „kurwa” i jeszcze, że ci zmęczeni ludzie ciskając przekleństwami, przeklinając autobus, Mongolię, przeklinając pustynię, skwar, głód, z jakiegoś powodu socjalizm i Stalina, przeklinając pieniądze (a może pieniążki!), a także jakiś bliżej nieokreślony „glob”, może globus, i jeszcze (ale już teraz z większą ostrożnością i mniejszą językową



rubaszością), przeklinając jakiegoś Żuławskiego, że ci wszyscy ludzie wymyślają, w jednym z najmilszych mi języków.

Z całego tuzina niezbyt dobrze opanowanych przeze mnie języków naszej rodzimej planety, zdecydowanie w tamtych latach (i teraz też) lubię właśnie polski (bo język polski to - ojczyzna, to polskie panie, rączki, dupka...)

Natomiast dalej wydarzyło się coś, co nie śniło się Dalandzadgadowi w jego piaskowych pustynnych snach. Dwuskrzydłowe drzwi autobusu rozsunęły się wyrzucając w górę chmury drobnego pyłu, a zza nich, a dokładniej, w tym pyłe, jak po obłoku na zeschniętą ziemię Dalandzadgadu zeszła Ewa...

„Jaka Ewa?” - zapyta ignorant.

Jednak ten, kto razem z nami przeżył lata sześćdziesiąte, a później siedemdziesiąte dwudziestego wieku, pamięta, że najsympatyczniejszą Polką była wtedy wspominana Ewa Demarczyk. A tamtego dnia, ze wszystkich możliwych miast, w których mogła się przecież znaleźć i gdzie uwielbiano słynną piosenkarkę, znalazła się właśnie tutaj w tym biednym, małym i zakurczonym Dalandzadgadzie, tu gdzie akurat, męczył się nad talerzem zupy, znu-

żony, znudzony i chyba jedyny w całej Mongolii (na dodatek bliski jej znajomy) rosyjski pisarz. W tym nawet najbardziej uparty ateista musiałby dostrzec rękę Opatrzności.

Na początek powinienem doprecyzować, dlaczego tak szczególnym było wtargnięcie Ewy w moją mongolską samotność.

Pierwszą płytę z piosenkami Ewy podarowano nam w połowie lat sześćdziesiątych. Były to początkowe lata mojego małżeństwa z młodą studentką polonistyki z MGU. Słuchaliśmy tej płyty codziennie, słuchaliśmy jej do zdarcia i dawno już znaleźliśmy całą na pamięć, gdy nagle, pewnego zimnego wieczoru, zadzwonił do nas jeden z naszych moskiewskich znajomych, młody sympatyczny student-obibok (Trachtenberg) i zaproponował, że przywiezie do nas gościa - tę właśnie wielką piosenkarkę - bo, jak się okazało, koncertuje w Moskwie. Przywiezie nie tylko ją, ale także jej muzyków, impresario, a także wszystkich, którzy z nią są. Przywiezie, bo na ulicy piekielnie zimno. Wziąłby ich wszystkich do siebie, ale podejmując pracę w Mosfilmie zawałił egzamin, więc w domu czekają wściekli rodzice, On nato-

miast wyprosił mój numer u mojej młodszej siostry. Jeszcze coś próbował mówić... ale przerwałem – „Oczywiście przychodźcie! - dzwoni i przychodźcie. Ale do kogo mam dzwonić? Witiusza – na wszelki wypadek zapisz, podaję numer...”

Bo tak się akurat zdarzyło, że tego ranka do drzwi naszego maleńkiego mieszkania, na dalekim krańcu Moskwy, zadzwoniło dwóch sympatycznych chłopców z Tadżykfilmu i przepraszając, że przyszli bez uprzedzenia (ale przecież przyjechali z daleka) oznajmili oszatamiającą, wprost fantastyczną nowinę; otóż w Studio Filmowym Tadżykfilmu w Duszambe, postanowiono nakręcić film według scenariusza, który napisałem wspólnie z moim sublokatorzem. Scenariusz o wojnie i warszawskim więzieniu⁹ spodobał się i wkrótce będą kręcić, natomiast dzisiaj zapraszają nas na urodziny, które jeden z nich urządza u swojej siostry-aktorki na drugim krańcu Moskwy w Bielajewie Bogorodskim, i podali adres.

Po ich wyjściu pobiegliśmy jeszcze do gastronomu⁹ tam odstaliśmy kolejkę po kubański rum. Po powrocie do domu grzejąc się słuchaliśmy znowu Ewy Demarczyk, a przed wieczorem, gdy już trzeba było jechać do Bielajewa, znowu zadzwonił, ten sam paccan, bumelant i kobieciarz Witia Trachtenberg.

A gdy po raz kolejny zadzwonił, nam w Bielajewie, udało się już kilkakrotnie wnieść toast, uraczyć miską najsmaczniejszego pilawu, a także uświadomić sobie, że spotkanie u tadżyckich przyjaciół nie jest epizodem, ani kolejną popijawką, ale to całkiem nowy etap w naszym życiu (to tak, jakby nowy ślub, z tym, że obiecujący więcej, niż „ten wcześniejszy”, tak niestety to wyglądało).

Jednak powróćmy do Ewy, bo tamtego zimowego dnia poznałem nie tylko Saifullo i Saszę (Suhbata) Chamidova, ale także Ewę Demarczyk. Był późny wieczór gdy raz jeszcze zadzwonił kędzierzawy Trachtenberg i płacząc zaczął od nowa opowiadać, że on i zaproszeni artyści nie mają gdzie się podziąć, że na dworze mróz trzaskający, a dla niego to nie jakieś niedopatrzenie, ale międzynarodowy skandal. Słuchawkę wyjął mi z ręki solenizant Saifullo i rzucił krótko... „pilaw stygnie”, brać taksówkę i przyjeżdżać do Bielajewa. Bo cóż innego mógł powiedzieć mieszkaniac górzystego i znanego z gościnności tadżyckiego raj. Czekaliśmy na nich długo w ciemnościach, na wietrze i mrozie hartując naszą przyjaźń. Przyjechali weseli, już na pół Rosjanie, przemarznięci z torbami z których dochodziło stukanie butelek i charakterystyczne chluboitanie moskiewskiej, stolicznej, żubrówki i wyborowej. W rzeczy samej była to już typowa moskiewska libacja z dużą ilością alkoholu i dużym kotłem tadżyckiego pilawu...

Gdy rok później dotarłem do Krakowa i odnalazłem mieszkanie Ewy, na dworze robiło się ciemno, a była już noc, gdy razem znaleźliśmy się na wspaniałym, porywającym spektaklu Piwnicy pod Baranami, którego gwiazdą była właśnie Ewa, nazywana Czarnym Aniołem polskiej piosenki. (Jej mama zdradziła mi sekret, że naprawdę jest ona naturalną blondynką). Tej nocy dostałem od Ewy teksty czterech piosenek (wśród nich „Tomaszów” Juliana Tuwima) z prośbą bym je przetłumaczył na język rosyjski. Na nocleg zabrał mnie do siebie brodaty twórca i spektaklu, i całego kabaretu – Piotr Skrzynecki.

To właśnie w jego kuchni, wiedząc, że i tak nie zasnę po tak silnych wraże-

niach, o świcie siadłem do tłumaczenia. Po roku Ewa znowu przyjechała do Moskwy na występy. Zadzwoniła do mnie z samego rana mówiąc, że musimy się spotkać jeszcze przed próbą, wyznaczając spotkanie na Płoszczydzi Wosstanija. Stamtąd zaprowadziła mnie do Polskiej Ambasady, pozostawiła w pustej sali koncertowej i wyszła gdzieś w poszukiwaniu akompaniatora. Wrócili razem, coś ze sobą jeszcze uzgadniali, usiadł zagrał znany mi wstęp i Ewa zaśpiewała „Tomaszów” z muzyką Zygmunta Koniecznego. Szczeka mi opadała ze zdumienia, słuchałem jak skamieniały; śpiewała moje wiersze, mój przekład tej samej piosenki, którą wcześniej śpiewała po polsku, ale teraz był to mój tekst i moje słowa.

А может нам с тобой в Томашув
Сбежать хоть на день мой любимый.

To było silnie przeżycie. Wielokrotnie słyszałem śpiewne przyakompaniowanie gitary moje, lub nie całkiem moje, wiersze. Robili to turyści i narciarscy instruktorzy w Cheget¹⁰, ale żeby prawdziwa piosenkarka, na dodatek tak genialna, jak Ewa...

Oczywiście razem z żoną byliśmy na wszystkich jej koncertach. Później jej płytę nagrywaliśmy w studiu „Mietodia”, a jeszcze później Ewa wyjechała.

Minęły dwa, lub trzy lata. Żona została mi dla bardzo bogatego, ogólnie bardzo znanego i bardzo awangardowego artysty. Jeszcze nie otrząsnąłem się po tych zmianach, a zwłaszcza po bolesnym rozstaniu z siedmioletnim synem. Zamarzywałem się, wótczyłem bez celu. Nie mogłem jakoś odnaleźć się w tym nowym, absolutnie sierocym, chociaż przecież całkiem ciekawym życiu. Aż pewnego razu, gdy wróciłem z jakiejś podróży ze Wschodu, zobaczyłem Moskwę, obwieszoną afiszami informującymi o nowych moskiewskich koncertach Ewy. Na pierwszy koncert wybrałem się z Saszą Niekriczem, a po koncercie poszliśmy za kulisy. Ewa, podobnie jak ja, ucieszyła się czule mnie ucałowała mówiąc, że o wszystkim już wie. A po chwili milczenia dodała z powagą: - A to nawet lepiej. Twoja żona nigdy mi się nie podobała. Zabrzmiało przekonująco. Pojechaliśmy we dwoje do mnie, do Kotomienskoje, do jednego z moich moskiewskich schronień. W ciągu pół wieku mojego moskiewskiego życia, takich miejsc miałem w sumie cztery, a może pięć.

Niewiele czasu minęło i Ewa oznajmiła mi, że mieszkać będziemy w Krakowie, bo tam w Sukiennicach, na głównym placu miasta obiecano jej własny teatr; ja będę pisał dla teatru, a ona będzie śpiewać i zarządzać teatrem. Mówiła w taki sposób, jakby wszystko było już postanowione. Skoro łączy nas miłość, to ona właśnie tak postanowiła. Ewa zawsze była w kimś zakochana, a teraz, wydawało jej się, że zakochana jest we mnie. Cóż mi pozostało, jedynie zaufać i kochać. W tym czasie żyłem w dziwnym stanie zawieszania - z jakiegoś powodu ciągle nie dawało mi spokoju wspomnienie pijanego mężczyzny, który w podziemnym przejściu metra, handlując nadmuchiwymi zabawkami, zmieszany wykrzykiwał: „panowie - Latający Szwejk - tylko rubel!”

Przez cały czas trwały koncerty. W Tallinie, ciągle jeszcze byłem z nią, zgodziłem się nawet przed każdą piosenką opowiadać publiczności treść utworu, śpiewanego po polsku. Czasami dodawałem coś o autorze (na przykład o nie żyjącym już Osipie Mandelsztamie w tamtym czasie jeszcze

zakazany przez Biuro Koncertów).

Pamiętam, jak w Tallinie, po pieśni o biednej Rebecce marzącej by wyjść za mąż za hrabiego, którego widziała tylko przelotnie przyszło do nas, za kulisy chyba ze dwunastu Polaków. Wojna zastała ich na estońskich farmach, gdzie pracowali jako sezonowi robotnicy, tam już zostali i tak żyli sobie od tamtej pory w Estonii. Ale, gdy usłyszeli tę starą piosenkę o Rebecce z małego miasteczka wzruszeni przyszli porozmawiać z piosenkarką...

Wszystkie koncerty programowo kończyły się alkoholową libacją, a ja coraz trudniej wyobrażałem sobie, jak mogę wpisać się w życie tej bohemy. Do żadnego Krakowa, oczywiście nie wybierałem się, tak, że koniec końcem nastąpiło rozstanie. Na pamiątkę pozostała mi płyta moskiewskiej firmy „Mietodia”...

I oto, po dwóch latach, na krańcu świata w Dalandzadgadzie, ta sama Ewa, jak gdyby nigdy nic, nagle wysiadła z zakurzonego autobusu. Za nią zeskoczył na ziemię jej nowy ukochany, młody barczysty aktor, a za nimi cała ekipa zdjęciowa Andrzeja Żuławskiego. Przyjechali właśnie tutaj, wybierając sobie na zdjęcia do filmu „Na srebrnym globie” chyba najbardziej nieprzyjazne miejsce na ziemi.

Ubogi barak przedstawicielstwa agencji „Intouristu” rozbrzmiewał teraz wesółymi głosami, pukaniem, szumem, piskiem, śmiechem, peten był zapachu perfum, pudru, żubrówki, piwa, kiełbasek i placzków ziemniaczanych. Wszystkie wiktuały wyładowano na stół i długo w noc ciągnęta się biesiada, już bez kapuścianej diety.

Siedziałem obok wielkiej i sławnej Ewy jako stary przyjaciel i postaniec Starszego Brata, już jak gdyby w tej Mongolii zasiadzieli i na dodatek mówiący po polsku. Po lewej ręce, niekiedy niechcący dotykając mojego ramienia, siedziała kinematograf Agnieszka... a przecież wszystko mogło się wydarzyć pod obcym niebem, w tym jeszcze przed godziną sennym i pełnym pustynnego pyłu Dalandzadgadzie.

Czas spędzony przy stole wkrótce odstąpił całą moją życiową niezaradność. Brak praktycyzmu, niezrozumienie dla szczegółów dotyczących wymiany walut, kupna-sprzedaży, ale na koniec rozmowa zesłała na tutejsze obyczaje, sytuację międzynarodową (jak zawsze napiętą) i najnowsze kłopoty.

Posypały się nowe polskie anegdoty, których sens niezrozumiały byłby dla Francuzów, czy wesółych neapolitańczyków, ale które były i śmieszne i zrozumiałe dla mnie, mądrego Starszego Brata Polaków, tych niepoprawnych „oszczerców Rosji” (jak mawiał Puszkina), absolutnie zrozumiałe dla tego, kto żył we wspólnym obozie, wspólnym więzieniu, tym ogólnym socjalistycznym baraku (w którym Polska już od dawna uważana była za „barak najweselejszy”). Oczywiście rozmawiano o odrębnościach kulturowych, zacofaniu, braku dróg i kuchni, rozmawiano o bigosie i kiełbasie, piwie, o szkodliwości spożywania czerwonego mięsa, uwzględniając także problemy kobiet...

Proszę Państwa - powiedziałem, nie zapominając o swojej roli reprezentanta pustyni Gobi (zwłaszcza jej południowej części) - i Rosja, i Polska, posiadając tak piękne kobiety, mają pewne zobowiązania wobec mongolskich mężczyzn. Z wiarą w skuteczność ingerencji w poprawianie mongolskiej rasy, siedzących tutaj mężczyzn zobowiązuje się do częstszego korzystania z produktów mięsnych.

No proszę – butnie odezwała się Ewa, która nie miała na szczęście, ani zadartego

nosa, ani szerokich płaskich policzków, za to miała wielkie oczy i była oślepiąco piękna - to mi dopiero cywilizatorzy, dobroczyńcy ludzkości. Pamiętam jak w czasie demonstracji, obok mojego domu w Krakowie przechodziło dwóch skośnookich - Koreańczyków, lub Chińczyków. Nieśli plakat - „Żydzi do domu”. Tyle, że przecież Żydzi już od trzystu lat są w Krakowie u siebie, są w domu.

Ewa jest dla nas jak król Kazimierz - powiedział dowcipny, niezbyt rosty oświeceniowiec Marek - i wszyscy zgodnie zaśmiali się. Pamiętali przecież o tym, że król Kazimierz lubił Żydów (w dowolnym tłumaczeniu - „Żydkom” pobażał), a pamiętali także i to, że Ewa nienawidziła antysemitów. (W Polsce nie były to czcze słowa, zwłaszcza w tamtym szczytowym okresie gomułkowskiego pogromu, gdy Żydów wysyłano do Izraela. To wtedy właśnie odważna Ewa przyjęta do pracy człowieka, którego nazwisko brzmiało Żylber.)

Na sekundę przy stole zapadła cisza. Potem ktoś wspominał o tłumach „antysyjonistów” na krakowskich ulicach. Dyskusję podsumował lubiany przez wszystkich operator Marek; „No tak - powiedział - Żydzi oczywiście są obrzydliwi, ale tak przecież panowie nie można...” „Ale czego nie można? A co wolno? Wytłumaczyłem to sobie w ten sposób - wszystko to mówił, dlatego, że sympatyczny, postrzelony operator uderzał do Ewy. Zauważyłem to już w Tallinie.

Szanowni państwo, dawno czas wypić - powiedział solidnie wyglądający asystent operatora podnosząc kieliszek - „chlusniem bo usniem”. Ale za co wypijemy? Za zdrowie pięknych pań, za wolność naszą i waszą? Za zdrowie Starszego Brata? A jaki toast proponuje nam, szanowny Starszy Brat? -

Wstałem - „Za piękno naszej wspaniałej bardzo Wschodniej Europy - powiedziałem - Za stawnych Mongołów i... za milczenie pustyni...”

PRZEKŁAD KRYSZYNA ŚMIECHOWICZ

PS Anton Nosik; 26. 02. 2015', godz.22:32 „Wróciłem z pogrzebu, słucham czterdziestoletniego już albumu polskiej piosenkarki Ewy Demarczyk. Historię nagrania z firmą Miełodia, w 1974 roku, ojciec opowiadał w audycji radia „Svoboda”. Słuchałem i nie wierzyłem, że dzisiaj go pochowaliśmy.

Zdjęcia zamieszczone w artykule pochodzą z rodzinnego albumu Alony Nosik

1 Goslitizdat (Gosudarstwiennoje Litteraturnoje Izdatielstwo) - Państwowe Wydawnictwo Literackie.

2 Dietgiz (Dietskoje Gosudarstwiennoje Izdatielstwo) - Państwowe Wydawnictwo Dziecięce.

3 Litteraturnyj Fond (Fundusz Pomocy Literatom)

4 Wiktor Nikolajewicz Iljin, generał KGB, pracownik NKWD w latach 1955- 1977, sekretarz do spraw organizacyjnych Moskiewskiego Oddziału Związku Pisarzy Radzieckich.

5 Jewgienij Rejn, poeta, autor scenariuszy filmowych, utworów prozatorskich. Należał do grupy poetów skupionych wokół Anny Achmatowej. Mieszka w Moskwie. W Polsce wydano tomik wierszy „Diamenty są wieczne.”

6 Piotr K. Kozłow (1863-1935) ukraiński badacz

Środkowej Azji (Mongolii i Tybetu), członek Ukraińskiej Akademii Nauk

7 Datsan, świątynia buddyjska w Rosji.

8 Tytuł scenariusza „Легенда тюрьмы Павиак”.

Opowieść o dwóch tadżyckich lotnikach, których faszystki osadzili na Pawiku

9 Sowieckie delikatesy

10 Cheget, w górach Kaukazu ośrodek sportów zimowych.

Chobienia, IV, 2002
Zbigniew Szczepanek

Tadeusz Zawadowski

historie upadków

czytam historię upadków cywilizacji i czuję się jakbym
 w olbrzymiej galerii oglądał stare obrazy
 przedstawiające dzisiejszą rzeczywistość. te same
 twarze tyranów zniekształcone żądzą władzy
 i nienawiścią do zastanego świata. otoczeni
 kordonami posłusznych legionistów czują się
 bezpieczni i bezkarni. jeszcze
 nie wiedzą że zegary historii za chwilę wybiją

ich ostatnią godzinę.

instrukcja obsługi

w czasach zarazy najbezpieczniej postępować jak piłat.
 myć często ręce żeby nawet po latach
 psy nie wytropiły miejsc których się dotknęło.
 stosować środki ostrożności. podobno wazelina
 zmieszana ze spirytusem jest skutecznym
 preparatem do odkażania brudnych rąk. niektórzy
 stosują sam alkohol do dezynfekcji

sumienia.

kiedyś II

coraz bardziej przyzwyczajam się do tej chorobliwej
 sytuacji i to przeraża mnie jeszcze bardziej. wyłączyłem
 budzik. zbyt długo dałem się zwodzić danym przez los
 gwarancjom stałości i bezpieczeństwa
 aż utraciłem dawną czujność. teraz
 usuwam ze słowników czas teraźniejszy i zastępuję go
 przeszłym lub przyszłym. kryję się za magicznym słowem

k i e d y ś.

podziwiając ptaki

świat zatracił kolory. stał się czarno-biały. ktoś wymazał gumką
 stany pośrednie. musisz się opowiedzieć po której jesteś
 stronie. w przeciwnym razie będziesz odrzucony
 przez wszystkich. zawsze lubiłem chodzić własnymi
 drogami jednak po nocach ktoś próbuje ustawić na nich
 znaki zakazu. na ulicach i w telewizji organizowane są
 łapanki do właściwych gett. lubię po przebudzeniu
 patrzeć w niebo na słońce i szybujące ku niemu ptaki.

wolne i pełne barw.

w rękawiczkach

tylko w rękawiczkach. podczas zakupów w sklepie
 uchwalania ustaw w sejmie czy też podejmowania decyzji
 o losach świata. zawsze w rękawiczkach. nawet
 w pozornie przyjacielskim uścisku obowiązuje zakaz
 pozostawiania śladów. po wszystkim
 będzie można je zdjąć i o nich zapomnieć.
 tak jest najwygodniej. po latach
 ktoś odnajdzie na śmietniku ślady naszych

linii papilarnych.

OSIEMNASTY
KILOMETR

Najpierw wcale nie wyróżnia się na tle innych osnieżonych szczytów. To sprawa oświetlenia? Kursu i kąta, pod którym nadlatujemy? Jednak im mniejsza odległość dzieli nas od lodowo-skalnej bariery Białych Kordylierów, tym wyraźniej wyrasta ponad resztę otaczających go pięćdziesięcuników.

1.

Po chwili podwójna śnieżna kopuła przedzielona głęboką przetęczą zaczyna zdecydowanie górować nad pozostałymi kolosami. Rośnie coraz bardziej, aż przestania co najmniej połowę bulaju awionetki. Wstrzymujemy oddech. Twarzami przywieramy do szyb. Szeroko otwartymi oczami chłoniemy przepasny górsko-powietrzny prześwół przed nami, pod nami, obok i wokół nas. W całej okazałości mamy przed sobą Huascarán – najwyższy szczyt peruwiańskich Andów. Dla Inków i ich współczesnych potomków, wielkie bóstwo – *apu*. Dla nas – widok jedyny w swoim rodzaju. Taki, który potrwa tylko sekundy i już nigdy więcej się nie powtórzy. Dlatego trzeba go chłonąć, chłonąć, chłonąć...

Zaraz potem czujemy falę niespodziewanego powietrznego przyptywu. Awionetka kotyśże się, jakby jakiś gwałtowny nurt chciał ją porwać, uprowadzić i unieść w dół koryta wzburzonej rzeki. Czy to silny powietrzny wir – najpewniej jeden z wielu istniejących w pobliżu tak wielkiej śnieżno-lodowej czaszy? Podmuch wiatru, dla którego nasz samolot, a właściwie samolotik był czymś na kształt zabawki? A może na własnej skórze, w sposób najbardziej namacalny doświadczyliśmy istnienia grawitacji? Przecież tak wielki górski kolos musi przyciągać naszą awionetkę z siłą porównywalną z tą z jaką Słońce przyciąga Ziemię.

Samolotik, drząc, jakby poruszał się po dwustuletnich kocich łbach, robi dwa nawroty – raz w prawo, drugi raz w lewo, i wykonuje dwa pełne okręgi wokół podwójnej lodowo-śnieżnej kopuły; siedzący po prawej i lewej burcie samolotu w równym stopniu mogą nasycić się niezwykłym widokiem. Nadłożyliśmy drogi, ale będąc tak blisko takiego majestatu i takiej potęgi, nie można było tego nie zrobić.

Potem – zanim jeszcze zdążyliśmy ochłonąć – ostro pikujemy ku ziemi. Maszyna uspokaja się, jej tor, choć wiodący stromo w dół, stabilizuje się i wyrównuje. Choć niechętnie, Huascarán wypuszcza nas ze swoich objęć. Jeszcze przez chwilę jakby nas ściga, ale słabnie coraz bardziej i nie daje rady... Każda minuta przybliżyła nas do lotniska w Ancie.

2.

To lądowisko to dziw nad dziwami. Od dawna popada w zapomnienie i otwiera się je tylko sporadycznie, jak pojawiają się tacy straceńcy, jak my. Bo obsługę specjalnie trzeba było ściągnąć na nasz przylot. Tym bardziej nie chcieliśmy się spóźnić.

Anta to małe lotnisko w pobliżu Huaraz w Peru. Jeden krótki pas startowy i niewielka wieża kontrolna. Z kolei Huaraz leży w prowincji Ancash, u stóp najwyższego peruwiańskiego łańcucha górskiego – Białej Kordyliery. W tych szerokościach geograficznych to wielka gratka. Dlatego Huaraz – znane z nawiedzających je co jakiś czas bardzo silnych trzęsień ziemi – od wielu lat jest jednym

z najbardziej dynamicznie rozwijających się w Ameryce Południowej ośrodków sportów zimowych. Przez cały rok oferuje śnieg pod równikiem. Jest czymś w rodzaju peruwiańskiego Zakopanego i Davos – w jednym.

Nas jednak w te strony nie ściągają narciarskie atrakcje. W zanadru mamy coś całkiem innego. Bo Huaraz jest także bazą wypadową dla tych, którzy chcą dotrzeć do Chavin de Huantar – miejsca mało dostępnego, ale stanowiącego mekkę dla wszystkich, którzy interesują się dawną przeszłością kontynentu południowoamerykańskiego i kulturami prekolumbijskimi. W Chavin – niewielkiej wiosce u zbiegu dwóch andyjskich strumieni, w pierwszej połowie XX wieku słynny peruwiański archeolog Julio C. Tello, odkrył pozostałości wielkiego, monumentalnego centrum kultowego w formie przysadzistej piramidy. Znaleźko to jest o tyle istotne, że datuje się je na co najmniej dwa tysiące lat przed naszą erą. Jednocześnie – mimo takiej archaiczności – posiada ono cechy długiego i wysublimowanego rozwoju.

Przed wszystkim rzeźba stała tu na bardzo wysokim poziomie. I to jeszcze na jakim! Gdy reprodukcje tutejszych rytów i płaskorzeźb ujrzal Pablo Picasso, był nimi wprost zafascynowany. Nie mógł wyjść z podziwu widząc ich dojrzałość i artystyczną konsekwencję. A przede wszystkim uzwał go abstrakcyjność ich formy. Uznał, że twórcy z Chavin de Huantar zastępowali na miano zaawansowanych abstrakcjonistów cztery tysiąclecia przed Europejczykami.

3.

Zastanawiał się: w jaki sposób tak wczesnie można było osiągnąć taki poziom dojrzałości? Dojrzałości, za którą w warunkach europejskich musiałaby kryć się historia bardzo długiego – wielowiekowego – rozwoju?

Że nie był to tylko przypadek, jakiś wybryk natury, pokazywała konsekwencja, z jaką w Chavin de Huantar wcielano ów abstrakcyjny artystyczny kanon. Rzeźba była doskonale zgrana z tutejszą architekturą. Rzeźbiono duże kamienne monolity – takie same, jak te, z których wznoszono inne tutejsze budowle.

Główna świątynia, która przez długie lata odślaniał i eksplorował Julio C. Tello, też dowodziła, że Chavin było centrum wielce skonsolidowanej i doskonale przemyślanej kultury. Piramida posiadała wielopoziomową, wyrafinowaną część podziemną. Składającą się z wąskich, ciemnych korytarzy, które zbiegały się w jednym centralnym punkcie, zajmowanym przez *El Lanzon* – wyobrażenie ni to człowieka, ni zwierzęcia, najprawdopodobniej główne miejscowe bóstwo.

Znowu abstrakcja! I to jak zaawansowana!

Do tego dochodzą tzw. *cabezas clavos* – rzeźbione wyobrażenia ni to zwierzęcych ni to ludzkich głów, osadzone w zewnętrznych ścianach świątyni na szerokich kamiennych trzpieniach..

Kogo owe głowy wyobrażały?
Jaką funkcję pełniły?

Czy malujące się na ich twarzach pryzmatyczne grymasy były dowodem na to, że w czasie religijnych ceremonii zażywano tu substancje halucynogenne?

A jeśli tak – czy to właśnie one miejscowym artystom skróciły dystans, jaki normalną wyobraźnię dzieli od wyobraźni abstrakcyjnej?

4.

To właśnie chcemy zobaczyć. I piramidy, i rzeźby, podziemne galerie i *cabezas clavos*. Z Huaraz za wszelką cenę musimy dostać się do Chavin de Huantar. Z grupą przyjaciół już od trzech tygodni podróżowaliśmy po Peru i Boliwii, i nie było możliwe, by po odwiedzeniu Sillustani i Tiahuanaco nad jeziorem Titicaca, Cuzco, Chan-Chan koło Trujillo i słynnego Machu Picchu, na naszej trasie mogło zabraknąć Chavin de Huantar – miejsca uchodzącego za pramatrycę (modne słowo) i pramatkę wszystkich późniejszych prekolumbijskich kultur.

Był tylko jeden, a właściwie dwa szkopy. Choć tak sławne (i ważne) Chavin było położone na absolutnych peryferiach wszytkiego, a przede wszystkim Peru. Leży tam, skąd już dawno zawróciły wszystkie ptaki. Z Huaraz to tylko – bagatela – około 180 kilometrów. Ale – prowadzącej tam drogi, na wielu odcinkach po prostu nie ma. Natomiast tam gdzie jest, (ogłędnie mówiąc) pozostawia bardzo wiele do życzenia...

Innym ograniczeniem był czas. Na dojazd do Chavin de Huantar i na powrót stamtąd, mieliśmy zaledwie kilka godzin. Jeszcze tego samego dnia wieczorem, z Anty musieliśmy dolecieć do Limy, bo na następny dzień mieliśmy odlecieć do Wenezueli.

Jak to wszystko pogodzić? Jak z tego wybrnąć?

Co zrobić?

5.

Żeby oszczędzić na czasie, z Anty do centrum Huaraz jedziemy na pacy przegodnie przejeżdżającej ciężarówce. Droga jest tak wyboista i tak kręta, że gdy po 20 minutach z szerokiej platformy zeskakujemy na *Plaza de Armas* w centrum Huaraz, pięcioro z nas ma raczej nietęgę minę. Jeśli tak ma wyglądać ciąg dalszy eskapady do Chavin, to oni rezygnują – do wieczora chętnie poszwędają się po mieście. Tylko Artur jest zdeterminowany, by nie zmieniać poprzednio powziętych zamiarów. Natychmiast, jak najszybciej, chce ruszać dalej.

Jasne, że pojedziemy tam razem – on i ja. Czasu mało, więc zaraz wyrwamy w drogę. Trzeba tylko znaleźć odpowiedni transport, nadający się do tego pojazdu. Najchętniej – ze względu na jakoś drogi – pojechalibyśmy tam samochodem terenowym. Ale jak na peryferiach świata w jednej chwili znaleźć jakąś lokalną odmianę land-rovera? W końcu decydujemy się na taksówkę prowadzoną przez kierowcę – Alberta. Spośród kilkunastu pojazdów, które kolejno zatrzymywaliśmy, by któryś z nich wybrać, zdecydowaliśmy się na ten, który miał najwyższe zawieszenie.

Najpierw nic nie zapowiada sensacji. Alberto jest dość rozmowny i cieszy się, że złapał dobry całodzienny kurs. W Chavin de Huantar był już kiedyś przed laty, więc wiedział, czego może się spodziewać. – Szosa jest bardzo zła – mówi, gdy próbuje wytargować jak najwyższą cenę za dniówkę za kółkiem. – Zwłaszcza za tunelem na przełęczy. Tam kończy się asfalt, nawet ten w najbardziej nadzartej postaci. To co jest dalej, to raczej droga gruntowa niż szosa.

Jedziemy. Artur jest zachwycony. Jak bardzo jest napalony na to Chavin de Huantar – jak chce tam dojechać! Był już prawie wszędzie – od Indii po Meksyk. Po Tiahuanaco i Machu Picchu właściwie już tylko Chavin de Huantar brakuje mu do kolekcji peruwiańskich prekolumbijskich „sreber”. Ma być ich chluba! Trofeum. Jak pomniejszona ludzka głowa *tsan-tsa* z Ekwadoru, którą trzyma na kominku! Jak szkarłatny pumeks z Wyspy Wielkanocnej, z którego tamtejszym posagom przygotowywano owalne nakrycia głowy. Odłamki skał, które własnoręcznie zebrał na szczycie Kilimandżaro. Tradycyjne nepalskie drzwi, które zakupił w Katmandu, ale których – z uwagi na ciężar i rozmiar – jeszcze nie zdołał przewieźć do Polski. (Ma to w planie.)

Ja też się cieszę. Przed laty udało mi się dojechać do Chavin, ale byłem tam tylko kilka godzin. Teraz chcę porównać, co zostało odstonięte lub zrekonstruowane od tamtego czasu. Druga taka okazja mogła się szybko nie powtórzyć.

6.

Cały czas w górę. Niezbyt ostro, ale stale, systematycznie. Kilometr za kilometrem, godzina za godziną. Im bardziej oddalamy się od Huaraz, tym mniej rozszaniły wzdłuż drogi zabudowań. Tym bliższe stają się zaśnieżone góry, tym bardziej porywisty i mroźny jest nadbiegający stamtąd wiatr.

Po około dwóch godzinach samochód dojeżdża na *punę* – suchą, porośniętą ostrą trawą równinę, zamieszkaną przez tu i ówdzie pasące się lamy i dzikie szynszyle – *viscachas*. Po lewej stronie pojawia

się niewielkie jeziorko, miejscowe Morskie Oko, a przed nami wyniosły, skalny grzbiec. U jego podstawy widać niewielką półkolistą plamkę. – To wjazd do tunelu Kahuish – wyjaśnia Alberto. – Przełęcz. Wysokość 4500 metrów nad poziomem morza. Jesteśmy mniej więcej w połowie drogi do Chavin de Huantar. Po drugiej stronie góry i tunelu, droga będzie znacznie gorsza. Dopiero teraz zacznie się jazda...

7.

Za chwilę spotyka nas niemiła niespodzianka. Mimo że przed wylotem tunelu, na poboczu stoi kilka pojazdów, żaden z nich nie wjeżdża do wnętrza góry. Zamiast tego na szosie stoi kilkanaście osób, które zajadle gestykulują. Za nimi tkwi drewniany zbity z kilku desek „koziół”, który podpira napis:

PRZEJAZD DOZWOLONY TYLKO MIĘDZY 11.55 a 12.25

Spojrzenie na zegarek wystarcza, byśmy wiedzieli, że oznacza to, iż będziemy musieli czekać co najmniej godzinę. Całą godzinę! – w sytuacji, gdy każda chwila była na wagę złota; w sytuacji, kiedy tak bardzo nam się spieszy. Wieczorem musimy przecież wrócić najpierw do Huaraz, potem do Anty, żeby odlecieć do Limy, by następnego dnia polecieć do Caracas...

Cholera!

Co robimy?

Szybka narada z Arturem. Czekamy? Czy zawracamy do Huaraz i rezygnujemy z Chavin de Huantar? A może wbrew zakazowi po prostu jedziemy przed siebie?

Alberto najchętniej by zawrócił. Wie, że na koncie i tak ma już długi kurs – taki, który nie trafia się codziennie. Dla nas to jednak żaden interes. Zawrócić to stracić czas i wyrzucić pieniądze w andyjskie błoto. Decyzja może być tylko jedna. JEDZIEMY DALEJ! Tylko... W JAKI SPOŚÓB?

– Zaproponuj mu 50 dolarów łapówki – mówi Artur i pokazuje na wartownika, który pilnuje wlotu tunelu. – Może nas przepuścić?

Wysiadam. Podchodzę do mundurowego i proponuję mu „dodatkowe wynac-

grodenie”. Na widok zielonego oczy aż mu się jarzą, ale... nic z tego. – Nie mogę – mówi wartownik i dyskretnie wskazuje na zgromadzonych na poboczu ludzi, z których przecież każdy chce przejechać przez tunel bez czekania i którzy – jeśli on nas przepuści – po drugiej stronie góry natychmiast go zadenuncją i on straci pracę.

Więc nic z tego. – Cholera, cholera, cholera. Co zrobić? – znów to samo pytanie.

Nie chcę wracać do samochodu z pustymi rękoma! Więc podchodzę do drewnianego koźła na środku drogi i go po prostu odstawiam na bok. Teraz wjazdu do tunelu nic nie przeszkadza – DROGA WOLNA! Mogę wrócić i wsiąść do taksówki z czystym sumieniem – utarowałem drogę! Nam i wszystkim innym z pobocza. Nie ma chwili do stracenia – wartownik podnosi wrzask i czym prędzej próbuje zerwać z pleców karabin, w który jest uzbrojony.

Artur jest zachwycony. – Superrobot! – mówi, gdy czym prędzej sadowię się na fotelu obok kierowcy.

– *Adelante!* – wołam do Alberta. – Cała naprzód!

Mimo wysokości, na której jesteśmy, samochód odpala bezbłędnie. Pisk opon, wyskakujący spod kół żwir, prawie dryft i już jesteśmy w tunelu. Przed nami nie ma przysłowiowego światła – tylko totalna ciemność. – Świetnie! – cieszę się. Bo to znaczy, że tunel skręca, co może nam się zaraz bardzo przydać. Jeśli wartownik będzie do nas strzelał, nie trafi.

8.

Z maksymalną prędkością zagłębiamy się w czerni tunelu. Jest długi, mocno zakrzywiony. W to nam graj! Dobry, kochany tunel! Choć tego nie wie, bardzo nam pomaga. Jeśli ktoś strzela, nie słyszymy tego, a raczej słyszeć nie chcemy. Potem, stopniowo, zaczyna nas ogarniać upragniona szarość. Ale jest to szarość nie tylko światła, ale szarość pyłu, kurzu...

Bo po drugiej stronie tunelu na drodze praca wre. Nie bez powodu wjazd był za-



grodzony drewnianym koźłem. Co prawda po drugiej stronie takiej przeszkody nie ma, za to są koparki, wielkie walce i grupki robotników w kaskach oraz w pomarańczowych i granatowych kamizelkach. Usuwają głązy, wyrównują powierzchnie, chyba przygotowują się do wylewania asfaltu. A my między tym wszystkim. Slalomem. W prawo, w lewo. Szast-prasť, byle do przodu. Choć Alberto jeszcze nigdy tak nie jeździł, ale teraz nie ma wyjścia – jeśli nie chce wpaść na jakąś ogromną ciężką maszynę – MUSI. Robotnicy i dowodzący nimi technicy tak są zaskoczeni naszym pojawieniem się, że najpierw nas nie widzą, potem nie wierzą w to, co widzą i biorą nas za kogoś z dyrekcji budowy (tylko dlaczego w tak niepozornym samochodzie?), następnie są zdumieni, a na końcu – kiedy rozumieją, że jesteśmy intruzami, że nie powinno nas tu być, zwłaszcza o tej porze – są po prostu wściekli. Mimo pędu dostrzegamy gniewne grymasy na ich twarzach. Wymachujących rąk i zaciśniętych pięści wcale nie musimy dostrzegać, bo same rzucają się w oczy. A tamci, w kamizelkach, jakby tylko mogli, najchętniej rzuciliby się na nas...

Zakosami szutrowej drogi, na ztamanie karku (resorów?) zjeżdżamy w dół. Ile jest zakrętów, trudno policzyć. W całej okazałości widać je dopiero, jak jesteśmy już dużo niżej. Zbocze jest strome, a droga śliza, błada, pylna – wygląda, jak ślad ślimaka pozostawiony na ziemi. Ci kamizelkowi z góry – po tym jak ich minęliśmy – musieli dzwonić do innych ekip pracujących niżej, bo tu i ówdzie dwójki i trójki robotników próbują wytaszczyć na środek tego czegoś, co w przyszłości ma być szosą, jakieś drewniane bariery, żeby nas zatrzymać. Ale telefoniczny sygnał zbyt wolno wędruje w dół doliny. My za każdym razem jesteśmy szybsi. Zanim taka bariera znajduje się przed nami, mamy ją już za sobą. – Hurra! – to Artur i ja. – Ufff, rany boskie – to Alberto. Być może na niżej położonych przyczółkach budowy – tego wielkiego drogowego przedsięwzięcia – zbyt leniwie odbierano telefony? A może w związku z naszym pędem, impetem i bezczelnością, poglądną, że oto jedzie jakaś większa czy mniejsza dyrekcja, wciąż odzywał?

9.

Dopiero po chwili zaczynamy rozumieć wściekłość i – najpewniej – przerażenie tych, których mijamy. Także to, dlaczego droga pozostaje zamknięta dla ruchu. Bo im jesteśmy niżej, tym nad nami wykwiła coraz więcej sinych chmur. Jedna, druga..., piąta. Jest ich coraz więcej. „Co jest grane?” Chmurki – co dziwne – nie trzymają się jednak nieba, lecz ściany, w której wykrawana jest droga. Jakby ścisnęły ją za rękę – coraz dłuższą i cieńszą, w miarę jak obłoczki stopniowo się rozmywają i znikają. Chmurkom towarzyszy przytłumione odległością i odgłosami spod kół *bum, bum, bum*. „O co może tu chodzić?” Co to za zjawisko? „Przyrodnicze, meteorolo...?”

Nie zdążyłem dokończyć myśli, bo oto o dach samochodu stuka deszcz kamieni. Gaz do dechy! Czym prędzej trzeba zmykać z tego miejsca. Z następnego zresztą też – bo kamienie tu też lecą. Szybciej! Szybciej! Szybciej! Już wszystko jasne. Ale z nas ciemniaki! Ze też wcześniej na to nie wpadliśmy! Budowniczości drogi, poszerzając ją, odpalają ładunki wybuchowe. To, co nas trafia, to skalne odłamki. Cała nadzieja, że nie są zbyt duże. Przynajmniej na razie.

Kiedy wyjedziemy poza tę strefę ostrza-tu?

10.

Alberto jest przerażony. Boi się przede wszystkim o samochód. Jeszcze nigdy



Zbigniew Szczepanek

nie wiózł takich *gringos*, którzy kazaliby mu jechać tam, gdzie jechać nie powinien.

Gdzie nie ma wjazdu do tunelu.

Gdzie z tunelu nie ma wyjazdu.

Gdzie ludzie na poboczu grożą mu i pokazują zaciśnięte pięści.

Gdzie z nieba niespodziewanie spada grad kamieni.

I po co to wszystko? Nie lepiej było siedzieć w domu, albo czekać na jakiś normalny kurs na *Plaza de Armas* w Huaraz?

Ale musimy jechać dalej. Nie ma rady – jesteśmy już za daleko. Powrót do tunelu byłby na pewno jeszcze bardziej karkołomny niż jazda do przodu. Skoro powiedziało się A, to trzeba mówić B, C, D i cały alfabet do końca, a jak się skończy, to wspan, albo jeszcze raz od początku. Nasza szansa w tym, że im bardziej oddalimy się z tego miejsca, tym dla nas lepiej. A co będzie w drodze powrotnej? Na razie nie ma się nad tym co zastanawiać, bo mamy dość innych kłopotów.

Krajobraz się zmienia. Sucha strefę gór pozostawiamy za plecami. Przełęcz, na której był tunel znaczyła dział wodny. Oddzielała stoki Andów od strony Pacyfiku (suche, jałowe), od stoków amazońskich, schodzących w stronę wielkiego, wilgotnego lasu. Pojawiają się strumienie. Niektóre z nich tworzą niewielkie kaskady, rozbijają-

ce się na szutrowym poboczu. Gdyby nie pośpiech i towarzysząca obawa, co będzie dalej, chcieliby się pod nimi stanąć.

Jest coraz bardziej zielono, ciepło, duszno, parno. Jesteśmy coraz niżej. Nie na darmo w podręcznikach archeologii można wyczytać, że Chavin de Huanatar było położone na styku selwy i gór. Ze stąd wynika oryginalność i siła kultury, która powstała tam przed tysiącami lat. Że było to miejsce ze wszech miar uprzywilejowane. Łączyło twardość kamienia z wiotkością ptasich piór i sprężystością susów pantery. Synteza selwy i gór.

11.

Zastanawiam się, czy już będziemy na miejscu, w wiosce, (dziś Chavin de Huanatar to skromne *pueblo*, a właściwie *pueblito*, i aż trudno sobie wyobrazić, że w przeszłości było ono wielką metropolią wywierającą wpływ na sporą część kontynentu) odnajdę niepowtarzalne drzwi pomalowane bardzo jaskrawą niebieską farbą – prawdziwym indygo – przy których kiedyś zrobiłem zdjęcie młodej indiańskiej dziewczynce. Dziś to pewnie dorosła kobieta. Minęło przecież co najmniej 10 lat. Czy ona tam nadal mieszka, czy może wyemigrowała? Albo do Huaraz, albo do Limy. Peruwiańska prowincja bardzo się wyludnia...

Potem, gdy wzdłuż drogi pojawia się coraz więcej zabudowań, w pewnej chwili te drzwi (to chyba one?) migają mi przed oczami. Są nadal bardzo niebieskie, ale jakby mniej jaskrawe – bardziej czarne. Jesteśmy więc na miejscu. Od przetęczy jechaliśmy około trzech godzin. Ale udało się. Czujemy radość i dumę. Co tam nam kamienie spadające z nieba i zaciśnięte pięści! Nie z nami takie numery! Badający, ile wgłębień po kamieniach przybyło mu na dachu samochodu, uśmiecha się nawet Alberto.

– *Que alivio!* – mówi. – Co za ulga!

12.

Idziemy do ruin. To przecież cel naszej podróży. Artur jest zachwycony, że w końcu je zobaczy. Że mimo tylu przeszkód udało nam się tu dotrzeć. Tyle o nich słyszał i czytał, a teraz, za chwilę, będzie miał je przed sobą. Jest takie hiszpańskie powiedzenie: *Pueblo pequeño, infierno grande*. Mała wioska, wielkie piekło. Tu obowiązuje wersja „mała wioska, wielkie ruiny”.

I jakie słynne!

To, że nawet na tym końcu świata, sześć godzin jazdy samochodem od Huaraz, trzeba nabyć bilet wstępu, przywraca nas do rzeczywistości. Biurokracja dopada cię nawet w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc. Jak widać, przyjeżdża tu mało ludzi, ale jednak ktoś przyjeżdża. Chyba, że tę budkę z biletami i cieciami, który je sprzedaje ustawiono tu specjalnie dla nas...

W ruinach jesteśmy sami. Jest wszystko to, o czym już wspominałem:

Przysadzista, sporych rozmiarów piramida.

Prostokątny plac przed piramidą.

Kilka wąskich, podziemnych korytarzy, nazwanych galeriami.

Wąskie podziemne korytarze, czyli *galerias*.

El Lanzon. Wielki, przypominający ni to straszny, ni olbrzymi rzeźbiony obelisk znajdujący się u ich zbiegu. (Jak przypuszczam, stworzony na podobieństwo stalaktytów i stalagmitów odnajdywanych od niepamiętnych czasów w andyjskich jaskiniach.)

Dwa pokryte płaskorzeźbami strzeliste kamienne obeliski.

Dwie kamienne głowy – wspomniane już poprzednio *cabezas clavos* – osadzone w jednej z zewnętrznych ścian piramidy.

Pozostałości, ledwie zarysy, wielu budynków administracyjnych lub mieszkalnych.

(Nie – nie będą tych zabytków dokładniej opisywać, bo w tym reportażu nie chodzi o archeologię, lecz o coś całkiem innego.)

13.

To, co widzimy, bardzo nam się podoba. *Pach, pach, pach* – sucho strzelają migawki, robimy zdjęcia. Dużo, bardzo dużo zdjęć, bo szybko tu nie wrócimy. Jest tu atmosfera starości, zamierchłości i pewnej podniosłości. Tym bardziej, że mamy świadomość, że to, co widzimy, to zaledwie fragment, utamek, okruch. Reszta czeka pod ziemią. Najpierw na lidary (czyli radary prześwietlające ziemie) archeologów, potem na ich łopaty, kielnie, szczołki i pędzelki. I... na lepsze czasy. Bo by tu ruszyć z czymkolwiek do przodu, potrzeba pieniędzy. A w miejscu tak odległym od świata, wszystko kosztuje co najmniej w trójnasób.

Czuje się wyraźnie, że kiedyś dokonywał się tu wielki przełom. Że to rozdroże, skrzyżowanie i ważna stacja rozrządu kultur prekolumbijskich. Nie na darmo, przed tysiącami lat, obfitym strumieniem lał się tu odwar z halucynogennej ayahuaski i unosił

się dym z fajek wypełnionych suszem ze słynnego kaktusa San Pedro. Dzięki temu widoki, które stąd się rozciągały były szersze, dalsze i pełniejsze. Pokazywały, co było, co jest – ale i to co będzie

To stąd – po wyprowadzeniu z selwy – swój triumfalny marsz rozpoczęło *felino* – kocie bóstwo, które potem zdominowało całe Andy. Potężny kondor – najważniejsza egzemplifikacja, odwołując się do modelu Freuda, nadświadomości. Wreszcie *amaru* – wąż, wyobrażenie ziemi, świata podziemnego i podświadomości. Ta triada (bo nie trójca) – kondor na pumie, a puma na wężu – stała się podstawowym symbolem tego kraju: gór, puszczy i pustynnego pasa nadbrzeżnego. Także tutejszej zbiorowej psyche, na którą jak na wszystkich innych kontynentach składał się świat realny, nadrealny i podświadomy. W terminologii jeszcze jednego klasyka wiedeńskiego – *id*, *ego* i *superego*.

– Odłot! – mówi Artur. – Absolutny odłot! Super, że tu jesteśmy!

I czy nie jest to najlepszy komentarz? Bo kiedyś był tu przecież kosmodrom. Nie w sensie i w rozumieniu Ericha von Daeniken. Kosmodrom, z którego w swój lot – najpierw niesiona silnikami odleciałych, naćpanych szamanów – wystartowała cała Ameryka prekolumbijska, która po stu przeróbkach, adaptacjach i kontaminacjach – popychana dalej wyobraźnią pisarzy tworzących realizm magiczny – tak naprawdę kontuuje go do dziś?

14.

Słowo „odłot” przypomniało nam o słowie „czas”. O tym, że jeszcze dziś mamy wylecieć z Anty do Limy i że bardzo nam się spieszy. W sumie jesteśmy tu bardzo krótko, ale pocieszamy się, przekonując się nawzajem:

– Liczy się przecież także droga...

Jeszcze jedna przebieżka przez ruiny, tęskne, ostatnie spojrzenie w kierunku wylotu podziemnych korytarzy i *cabezas clavos*, i już znów siedzimy w samochodzie. Strach patrzeć na zegarek – tak późno się robi. A przecież nasz samolot – samolocik – żeby przelecieć nad Andami (znów koło Huascaranu) musi wystartować przed zapadnięciem zmroku. Z jego skromną elektroniką, by móc oderwać się od ziemi, potrzebuje choćby namiastki światła.

Alberto ma duszę na ramieniu, bo wyobraża sobie, co go czeka w drodze powrotnej. Że to, co było z góry, teraz będzie pod górę (i na odwrot), to małe piwo. Ale te drewniane kozły na drodze, barierki, chmurki, obłoczki, grad kamieni nad głową, gniewne grymasy na twarzy i zaciśnięte pięści? – tego na pewno będzie więcej. Co wtedy?

– *Pasaremos?* – pyta. – Przejedziemy?

A mamy inne wyjście?

15.

Niedługo jednak okazuje się, że jego i nasza wyobraźnia były zbyt ubogie.

Na początku jest OK. To, co było w dół, jest teraz w górę, a co wcześniej pięto się w górę, teraz jest w dół. Potem jednak wydaje nam się, że co poprzednio było pod górę (a teraz powinno być w dół) – teraz też jest pod górę.

Jak to możliwe?

Możliwe.

Możliwe, jeśli się boisz.

A my zaczęliśmy się bać. I to jak cholera.

Bo najpierw – po tym jak wyjechaliśmy z ciepłej, wilgotnej okolicy – co kawałek na poboczu, pojawiają się migające czerwone światła. Jasne, że przed czymś ostrzegają,

inaczej nie byłyby tak czerwone i by nie mrugały – ale przed czym? Potem – mimo szurania opon (*szur, szur*) o szutr drogi – słyszemy wyjące syreny: wyżej i niżej, jakby zaraz miało się zacząć bombardowanie. A jak ma złość nigdzie nie ma żywej duszy, żeby zapytać, co jest grane. Praca nie mogła się przecież już skończyć, za wcześniej. Strajk? Dlaczego tym razem nikt nam nie wygraża, nie zaciska pięści, ani nie ciska klątw w naszą stronę? – nikt nie chce nas zawrócić, ani nie wpuścić dalej. Nikogo nie ma. Droga i budowa stały się bezładne, wymarte. Jak to możliwe? Przedtem kamizelkowych – czerwonych i granatowych – przecież było tyłu. Gdzie się teraz podziiali? Pochowali?

To, że ta pustka ma to coś wspólnego z bombardowaniem i chowaniem się, okazuje się nagle jak najbardziej uzasadnionym podejrzeniem. Bo jak nie huknie wysoko nad nami (kilka zakosów drogi wyżej), jak nie gruchnie, jak nie zajączy i zatrzęsie się skała... Raz, drugi, trzeci, a potem ten obłot: już nie chmurka, lecz wielka eksplodująca na wszystkie strony strzeliste ukształtowana bura plama, którą – po tym, jak najpierw ją widzimy, a dopiero potem słyszymy – zamienia się w grad (prawdziwy, nie taki jak ten poprzedni), w ulewę skalnych odłamków, które nie są już małymi kamieniami, jak przed południem, lecz prawdziwymi kamulcami nie tyle trafiającymi w dach naszego samochodu, ile – wraz z towarzyszącą im kurzawą – pojawiającymi się przed jego maską, nad nią i tuż obok niej, i ponad i między którymi Alberto dokonuje niemożliwej ekwilibrystyki, jakiej na pewno nie można się nauczyć, lecz które zawdzięcza się latom praktyki i nieomyślnej intuicji.

Ufff! Rany! Czegoś takiego jeszcze nigdy i nigdzie nie grali!

I wciąż aktualne pytanie: Co, co się dzieje? Trzęsienie ziemi? Sismo? *Temblor?* *Terremoto?*

Stosujemy starą, wypróbowaną taktykę: nic tu po nas, jedziemy do przodu. Im dalej, tym lepiej. Im bliżej domu, tym bezpieczniej. Po kilku zakrętach wszystko staje się jasne (choć nadal jest ciemno od unoszącego się pyłu i kurzu). Oto, nad naszymi głowami, odpalono starannie rozmieszczone ładunki dynamitu, żeby od bocznej skalnej ściany odtupać wielki kawał góry. I go odtupano. Właśnie mamy go przed sobą. Leży, niczym pokruszone cielsko kamiennego wieloryba, na drodze, na odcinku kilkudziesięciu metrów. Żeby uporządkować to rumowisko, czerwione i granatowe kamizelki (które teraz wychodzą ze wszystkich miejsc, w których przed eksplozją się poukrywały) będą potrzebowały co najmniej kilkudziesięciu godzin.

Dopóki tego nie posprzątają, na pewno nie przejedziemy. To więcej niż pewne. Jesteśmy uziemieni. Zdani na łaskę koparek, spychaczy i bezliftośno upływającego czasu. Do wieczora na pewno nie wrócimy do Huaraz, nie ma mowy, najpewniej będziemy tu nocować. Bye-bye odłot do Limy Bye-bye Wenezuela.

Nieżyły pasztecik.

Z lamy? Z wikuni, z wizkaczy?

Nieważne. Ważne, że nieżyły.

Choć nie jesteśmy tym zachwyceni, znów na chwilę wraca między nas Lenin: Co robisz?

No właśnie – co?

Mimo że jesteśmy oszołomieni wybuchem i tym pasztecikiem – narada. Alberto przytomnie pierwszy. Ma pomysł. Trzeba koniecznie znaleźć samochód, który przyjedzie po nas na drugą stronę osuwiska. On może tu czekać do oporu, nie ma problemu, grunt żebyśmy mu zapłacili. A ten

drugi przyjedzie i z drugiej strony zwaliska nas zabierze. Tak, jest szansa, że jeszcze zdążymy.

Ale skąd wziąć tego drugiego?

Alberto ma komórkę, a tu, dzięki budowie, mimo że to *middle of nowhere*, jest zasięg. Dzwoni do jakiegoś znajomego. Znajomek niespodziewanie odbiera, po czym Alberto nadaje jak karabin maszynowy. Długo. Raz i drugi. I jeszcze raz. *Ta-ta-ta-ta* i jeszcze raz *ta*. Jakby musiał tamtego długo przekonywać, jakby tamten nie był w stanie czegoś pojąć, jakby mu się nie chciało i jakby mówił: chrzanię to. Wreszcie kończy, rozłącza się.

Alberto jakby się uśmiechał...

- I co?

- *Va a venir* - mówi.

Przyjedzie. Przyjedzie do tunelu, akurat jest na trasie. Ale od osuwiska do tunelu musi nas zawieźć ktoś inny. Ktoś, kto tu ma samochód. Na przykład jakiś brygadzysta albo kierownik budowy tego odcinka drogi.

Jest! Tam stoi gość, który może być kimś ważnym. Być może to ktoś z tych, którzy poprzednio wygrażali pięścią, albo nawet ze złości pokazywali nam język. Ale choćby tak było, musimy zagadać. Uśmiechnąć się, przekonać, a w razie czego być natarczywym i napomknąć coś o międzynarodowej prasie, której reprezentantem mam być oczywiście ja...

A więc gadamy, a raczej ja gadam. Wiem co i jak, nie po raz pierwszy jestem w sytuacji bez wyjścia.

To chyba jednak kierownik, bo w lot tapie o co chodzi. Może dlatego, że mowa jest właśnie o locie, co za magiczne słowo. - Z Anty macie lecieć? - dziwi się. - Z Anty. - Ale stamtąd przecież już nic nie lata. - Normalnie nie lata, ale jak mają przylecieć takie chojraki, jak my, to się zmienia. - Antę otworzyli specjalnie dla was? - dziwi się. - Dokładnie, szefie.

Pomogło albo to szefie, albo to, że zaczęło mu się wydawać, że skoro nawet otworzyli dla nas lotnisko (taki ich Smoleńsk), to, najwyraźniej, musimy być kimś bardzo ważnym.

- A napiszecie o mnie coś dobrego w Newsweeku?

- Napiszemy - kłamię jak z nut.

- Zawsze o tym marzyłem! Jedziemy!

16.

Kasa dla Alberta, buźka-buźka, może kiedyś się jeszcze spotkamy, *gracias amigo!* Potem biegiem przez rumowisko (prawie na czworakach), dopadamy pick-upa szefa budowy i *fruuu...* - pędzimy do tunelu, od którego, jak się okazuje, dzieli nas całe osiemnaście kilometrów. Po jego drugiej stronie czeka nasza nowa taksówka. Teraz Alberto nazywa się Fernando. W związku z tym, że jest - a przecież mogłoby go nie być - to nasza nowa wielka miłość od pierwszego wejrzenia.

- Jak dobrze, że przyjechałeś, i to tak szybko! - mówię na powitanie.

- *Me he esmerado mucho* - mówi. - Bardzo się starałem!

Po tym wszystkim zjazd do Huaraz to tylko formalność. Do wieczora brakuje kilka sporych chwil - jeszcze się nie zmierzcha. A nuż zdążymy? Gdy z piskiem opon zajeżdżamy przed hotel, w progu wpadamy na jednego z naszych pilotów.

- Jak było?

- Fantastycznie - mówi Artur. - Tylko przygód na raz jeszcze chyba nigdy nie miałem!

- Ale niepotrzebnie się spieszyliście...

- ???

- Nad lotnisko przed chwilą wyszła mgła. Dzwonili. Dziś nie odlecimy. Ale rano może się uda...

Szczęki opadają nam do ziemi, albo

jeszcze niżej. Po co - wobec tego - tak się starał i gnaliśmy z językiem na brodzie?

Coś czuję. To pewne. Tylko co? Chyba to, co czuł sławny (i stary) rybak z kubańskiej miejscowości Cojimar, który wiele dni próbował złowić marlina, a gdy dołynął do portu, okazało się, że całą zdobycz pożarty rekiny i za łodzią przywłókt tylko obgryziony szkielet.

Jak trudna jest droga do poznania tego kontynentu! I - jak często na tej drodze (niekoniecznie do tunelu, za tunel i do Chavin de Huantar, lecz także na wielu innych) trzeba:

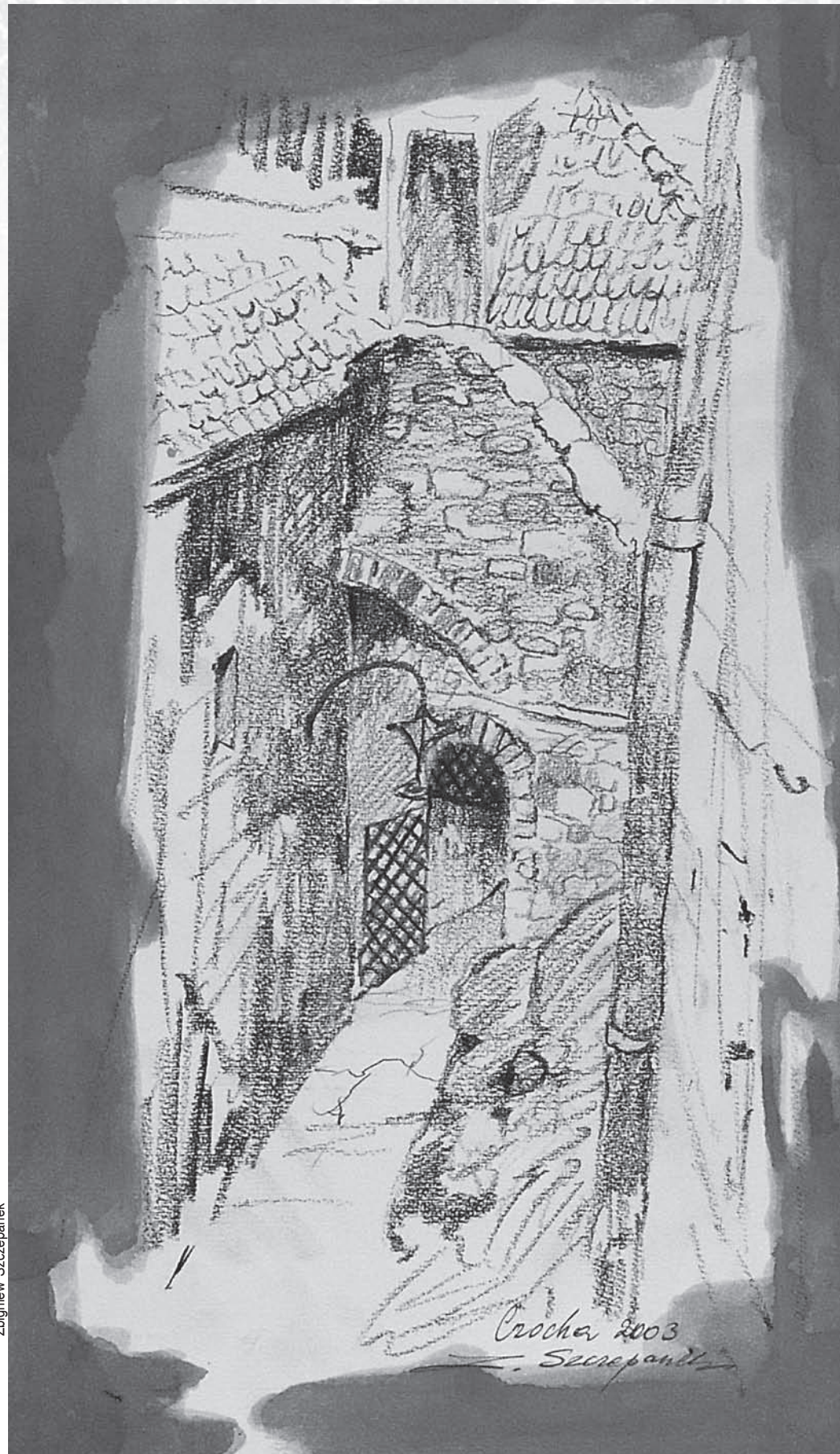
ryzykować, nadstawić karku, nie bać się

i - jak nie ma wyjścia - podejmować desperackie decyzje.

Tak było, jest i będzie, kiedy ktoś chce dotrzeć do czegoś ważnego.

ROMAN WARSZEWSKI

PS: Dziś droga do Chavin de Huantar jest równa jak stół. Nikt na niej nie strzela, nie odpala ładunków wybuchowych, ani nie wygraża pięścią. Jest w całości wyasfaltowana.



Louise Glück

Mit niewinności

Pewnego lata idzie jak zwykle na pole,
przystając chwilę nad sadzawką, gdzie często
patrzy na siebie, by zobaczyć,
czy dostrzega jakieś zmiany. Widzi
tę samą osobę, obskurną córzaną opończę
wciąż przywartą do niej.

Słońce wydaje się w wodzie bardzo bliskie.
To mój wujek podpatruje mnie, myśli -
wszystko w naturze jest jej przeciwieństwo pokrewne.
Nigdy nie jestem sama, myśli,
zamieniając tę myśl w modlitwę.
Wtedy śmierć pojawia się jak odpowiedź.

Nikt już dłużej nie rozumie,
jaki był piękny. Ale Persefona pamięta.
Jak również to, że objął ją właśnie tu,
pod wzrokiem wuja. Pamięta
słońce błyszczące na jego nagich ramionach.

Oto ostatnia chwila, którą wyraźnie pamięta.
Potem mroczny bóg odciągnął ją jak zdobycz.

Pamięta również, choć już mniej wyraźnie,
mrożące przeświadczenie, że od tej pory
nie będzie w stanie nigdy żyć bez niego.

Dziewczyna, która znika znad sadzawki
nigdy nie wróci. Powróci za to kobieta,
szukając dziewczyny, którą niegdyś była.

Stoi nad sadzawką, mówiąc od czasu do czasu;
Zostałam wprowadzona, lecz brzmi to nie tak,
brzmi zupełnie inaczej, niż to czuła.
Mówi więc: *Nie zostałam porwana*.
Mówi więc: *Ofiarowałam się, chciałam
uwolnić się z ciała*. Czasem, nawet:
Tego pragnęłam. Lecz niewiedza

nie może pragnąć poznania. Niewiedza
pragnie wyobrażenia, w którym pokłada wiarę.

Wszystkie te słowa
wymawia w kolejności.
Śmierć, mąż, bóg, obcy.
Wszystko brzmi tak prosto, tak sztamowo.
Musiałam być prostą dziewczyną, myśli.

Nie pamięta siebie w tym wcieleniu,
ale liczy, że sadzawka pamięta
i wytłumaczy znaczenie jej modlitwy
tak, aby pojęła,
czy została wysłuchana.

TLUMACZENIE: JAKUB ŚWIDZINIOWSKI

Przeszłość

Światelko pojawia się nagle
wśród sosnowych konarów i cieniutkich
igieł.

Wtapia się w przestrzeń promienistą,
wysokie, upierzone niebo -

Poczuj ten zapach. To woń białej sosny,
najbardziej nasycona, gdy trącona wiatrem,
który niesie odgłos równie dziwny,
jak dźwięk wiatru rodem z filmu -

Ruszają się cienie. Sznury
wydają właściwy sobie dźwięk. To, co sły-
szysz
to świergot słowika, strunowca,
samca wabiącego samicę.

Sznury się przesuwają. Podmucha
bują hamak, zawieszony sztywno
między dwoma pniami sosen.

Poczuj ten zapach. To woń białej sosny.

Czy słyszysz głos mojej matki
czy to tylko szmer drzew
muskanych przez wiatr

bo jakież inny dźwięk miałby wydać
przechodząc przez nie?

TLUMACZENIE: JAKUB ŚWIDZINIOWSKI

Teleskop

Jeszcze chwilę po odwróceniu wzroku
nie pamiętasz, gdzie jesteś,
bo wydaje się, jakbyś żył
gdzieindziej, w ciszy nocnego nieba.

Przestałeś być tu, na świecie.
Jesteś w innym miejscu,
w miejscu, gdzie życie ludzkie jest pozbawione
znaczenia.

Nie jesteś stworzeniem obdarzonym ciałem.
Istniejesz tak, jak istnieją gwiazdy,
uczestnicząc w ich ciszy i bezmiarze.

Chwilę potem jesteś znów na świecie.
Nocą, na zimnym wzgórzu
składasz teleskop.

Dochodzi do ciebie,
że to nie obraz jest fałszywy,
tylko odniesienie.

Ponownie widzisz, jak daleka
jest każda rzecz każdej innej rzeczy.

TLUMACZENIE: JAKUB ŚWIDZINIOWSKI

Irena Kaczmarczyk

MUZEUM POLSKIE

W RAPPERSWILU TRACI SIEDZIBĘ!

To niestychane! W 150. rocznicę istnienia, Muzeum Polskie w Rapperswilu traci swoją siedzibę. Musi wyprowadzić się z malowniczo położonego nad Jeziorem Zuryskim XIII-wiecznego zamku. Interwencje podejmowane przez polskie władze nie powstrzymały decyzji szwajcarskich władz. Polska dyplomacja i Ministerstwo Kultury prowadziły działania ratunkowe placówki ze szwajcarskim odpowiednikiem, ale nie udało się uratować najstarszego Muzeum Polskiego. Według dyrektorki tej placówki Anny Buchmann jest to klęska polskiej dyplomacji: „Mała Szwajcaria – powiedziała – w wielu przypadkach uzależniona od Polski umie swoje stanowisko i partykularne interesy matej gminy bronić, my natomiast nie jesteśmy w stanie przepchać matej sprawy”.

Polska traci zatem jedno z najstarszych muzeów poza granicami kraju, gdyż władze miejskie Rapperswilu zdecydowały o zmianie charakteru średniowiecznego zamku, w którym od 1870r. mieściła się cenna placówka. Przewidując zmodernizowanie i sprywatyzowanie zamku. Już od 2008 r. gmina próbowała usunąć instytucję i dokonać przebudowy zamku. W 2017 r. burmistrz Rapperswil zapowiedział w wywiadzie prasowym, że po rozpoczynającym się w 2020 r. remoncie, Muzeum nie wróci na zamek. Powstanie tam muzeum gminne a w pomieszczeniach zajmowanych przez zbiory Polskiego Muzeum znajdzie się ... restauracja. Przedstawiciele szwajcarskiej Polonii podkreślają, że na zamku nie pozostaną prawie żadne ślady obecności Polaków. Nie wyrażają oni zgody na zaproponowane przez szwajcarskie władze kilka metrów w ciemnej i wilgotnej wieży zamku.

Dzieje Muzeum i Biblioteki w Rapperswilu

Muzeum powstało w 1870 roku z inicjatywy polskiego emigranta, powstańca listopadowego, dziennikarza i polityka emigracyjnego, hrabiego Władysława Broel-Platera. Hrabia, nie mogąc kupić popadającego w ruinę XIII-wiecznego zamku, wydzierżawił go od władz miejskich na 99 lat. Na remont zamku Plater wydał cały swój majątek a zbiory-dary, które napłynęły z Polonii z całego świata przekazał w testamencie przyszłej niepodległej Polsce. Muzeum Polskie miało służyć nie tylko jako placówka muzealna - „przybytek nietykalnych zabytków historycznych”, ale także ważny ośrodek polskiej kultury i nauki, wyposażony w pełną bezcennych dla Polski



źródeł bibliotekę, w tym ogromne archiwum Mickiewiczowskie. Tu, na szwajcarskiej emigracji, miało bić serce ojczyzny. Pełniąca od 2005 r. funkcję dyrektorki Muzeum, Pani Anna Buchmann, przypomina: „Pamiętajmy, że to jest druga połowa XIX wieku, kiedy ci ludzie są pozbawieni własnej ojczyzny. Są bezpaństwowcami. Należało zbudować instytucję, która by podtrzymywała tożsamość narodową, chroniła dziedzictwo kulturowe i pomagała młodym ludziom zdobyć wykształcenie i ułatwiała im późniejszy start. W to wierzył mocno Plater i w to wierzyli powstańcy styczniowi, którzy już nie byli tak bardzo pręsiąknięci romantycznymi hasłami, ale raczej hasłami pozytywistycznymi.

Nie można było wymarzyć dla Muzeum lepszego miejsca, jak położony na wysokiej skale średniowieczny zamek, którego baszty odbijają się w wodach pobliskiego Jeziora Zuryskiego i góruje nad nim słynna Kolumna Barska, symbolizująca wolność (ufundowana również przez hrabiego Platera) z siedzącym na niej orłem z dziobem skierowanym w stronę Polski.

Muzeum Polskie oparte na trzech filarach: Muzeum, Archiwum i Biblioteka zaczęło się szybko rozrastać. Wspierali go nieustannie polscy emigranci, którzy z dużym zaangażowaniem stali dary na rzecz placówki. Pierwsze Polskie Muzeum Narodowe stało się dumą, miejscem kultu i licznych pielgrzymek Polaków rozszanych po świecie. Placówka muzealna w Rapperswilu jest ściśle związane z historią naszego kraju i wybitnymi postaciami polskiej kultury, między innymi z Henrykiem Sienkiewiczem, Eliza Orzeszkową, Bolesławem Prusem i Stefanem Żeromskim. W 1875 r. był tu Józef Ignacy Kraszewski, który wszedł w skład zarządu Muzeum. Maria Konopnicka w listach pisa-

ła o obchodach na zamku setnej rocznicy Konstytucji 3 Maja w 1891 r.

Na przełomie XIX i XX wieku Muzeum posiadało największą bibliotekę polską na emigracji, która liczyła ok.100 tys. druków, z bogatym zbiorem książek, rękopisów, starych druków, a także źródła archiwalne, w tym dotyczące powstania 1863 i fali emigracji po jego upadku.

Po odzyskaniu niepodległości, zgodnie z wolą Władysława Platera, zbiory rapperswilskie: 3000 dzieł sztuki, 2000 pamiątek historycznych, zbiór militariów, 20.000 rycin, 9000 medali i monet, 92 tysiące książek i 27.000 archiwaliów, zostały w 1927 r. wraz z urną z sercem Tadeusza Kościuszki przewiezione do Warszawy i wzbogaciły polskie dziedzictwo narodowe.

W 1936 r. otwarta została w Zamku ekspozycja drugiego Muzeum Polskiego – **Muzeum Polski Współczesnej**. W czasie II wojny Muzeum przejęto kulturalną opiekę nad 13.000 internowanych polskich żołnierzy, którzy przybyli do Szwajcarii po walkach we Francji. Wielu z nich pozostało na zawsze w Szwajcarii; pracowali jako naukowcy, inżynierowie i artyści. I to oni przyczynili się w największym stopniu do utworzenia powojennego Muzeum.

W czasie II wojny światowej rapperswilia została w 95% zniszczona. Spalili je Niemcy w gmachu Biblioteki Ordynacji Krasieńskich po Powstaniu Warszawskim. Niewielka ilość obiektów się zachowała: można je jeszcze oglądać w Muzeum Narodowym w Warszawie i Muzeum Wojska Polskiego.

W 1952 r., wskutek działań komunistycznych władz Polski, Muzeum Współczesne zostało zlikwidowane. Umowa dzierżawna zamku po 82. latach została sądownie zerwana i zbiory zostały przetransponowane do Polski.

W 1975 roku Muzeum zostało ponownie odtworzone. Mieści się na II piętrze Zamku. Posiada 7 sal, krużganek, kaplicę i wieżę. W salach znajdują się ekspozycje stałe; w krużgankach i w wieży – wystawy czasowe. W sali największej odbywają się koncerty, warsztaty i spotkania tematyczne. Obecne zbiory Biblioteki gromadzone były od lat 70. ubiegłego stulecia. Pochodzą one z prywatnych darowizn, od twórców i wydawców z Polski i z zagranicy. W zasobach Biblioteki pozostają stare mapy, ryciny, starodruki, jak również czasopisma. Biblioteka współdziała w organizacji wystaw i imprez na terenie Muzeum. Prowadzi dokumentację wizualną i prasową.

Niestety, przedstawione dzieje Muzeum



fol. Wojciech Walkiewicz



Biblioteka Muzeum Polskiego w Rapperswilu

fot. Wojciech Walkiewicz

kończą się w czerwcu 2020r. W 2022 roku, po remoncie, decyzją władz samorządowych Rapperswilu, placówka zostanie zamknięta. Nie wiadomo, co stanie się ze zbiorami. Do przeniesienia są rękopisy, m.in. Cypriana Kamila Norwida, Henryka Sienkiewicza, Władysława Stanisława Reymonta oraz obrazy wybitnych polskich artystów malarzy: Józefa Chełmońskiego, Teodora Axentowicza, Janka Malczewskiego, Olgi Boznańskiej i Józefa Brandta.

Walka Żeromskiego o polski Rapperswil (1892-1896)

Żeromski jako bibliotekarz i muzealnik

W wieku lat 28. Stefan Żeromski z powodu kłopotów zdrowotnych (gruźlica) udał się do Szwajcarii, gdzie powstało pierwsze sanatorium przeciwgruźlicze. Lekarze zalecali mu dłuższy pobyt w alpejskim klimacie, który miał dobroczynny wpływ na drogi oddechu. Problemy finansowe skłoniły Żeromskiego do wystosowania listu do Zygmunta Wasilewskiego, który wówczas pełnił funkcję bibliotekarza Muzeum w Rapperswilu. Prosił o „zaczepienie się w charakterze pomocnika bibliotekarza, co by mu ułatwiło egzystencję”. Z początkiem października miał zamiar podjąć pracę, ale zaraz po przyjeździe do Rapperswilu z żoną Oktawią i jej trzyletnią córeczką, dostał krwotoku i jego stan był ciężki. Pod troskliwą opieką żony i właścicieli domu, w którym zamieszkali, szybko doszedł do zdrowia i zaczął pełnić funkcję pomocnika bibliotekarza w rapperswilskim Muzeum. Pracy było mnóstwo. W zbiorach znajdowały się nie tylko książki i rękopisy, ale i źródła archiwalne, dokumenty związane z powstaniem w 1863 r. Żeromski pomagał Wasilewskiemu sporządzić katalog i uporządkować bibliotekę. Poza tym pisarz zajmował się obsługą czytelników, prowadził korespondencję i dokumentację darów. Wziął również udział w redagowaniu Księgi Jubileuszowej Muzeum Rapperswilskiego. Z powodu braku zawodowych kwalifikacji mógł liczyć na niewielkie wynagrodzenie, co pozwalało tylko na marną egzystencję młodej rodziny, stąd zasiłek pieniężny, nadsyłany przez rodziców żony, był zbawienny. Dzięki temu mogli Żeromscy poprawić swój byt codzienny a nawet wyjechać na urlopy za granicę (Włochy, Niemcy, Francja). Zadowolony z pracy swojego pomocnika, Wasilewski starał się o podniesienie mu miesięcznej pensji. Pisał w podaniu do dyrektora Józefa Gałęzowskiego, że nie sposób „wymagać filantropii od człowieka niezamożnego, a do tego filantropii z kapitału się”. Odmowa dyrektora nie zniechęciła Że-

romskiego do intensywnej pracy. Z biegiem czasu przejął obowiązki bibliotekarza i jeszcze bardziej zaangażował się w biblioteczne prace, co zaowocowało spisaniem wszystkich zbiorów łącznie z prasowymi wycinkami. Całe godziny spędzał na III piętrze biblioteki, katalogując kolekcje akwarel i rysunków. To w tym wyciszonym miejscu sporządził kompletny katalog druków Mickiewiczowskich, składający się z blisko sześciuset tytułów, który wydał dopiero w Krakowie w 1898 r. Po jego ukończeniu, napisał: „Spisałem wszystko, co nasza biblioteka posiada do najdrobniejszych wycinków z gazet”. Żeromski jednocześnie pracował nad rozszerzeniem katalogu Kościuszkowskiego. Uporządkował katalog druków Kopernika, mając zamiar stworzyć zbiór „sobiescianów”. Skończył również katalogowanie starodruków (do 1700 roku). Najwięcej czasu poświęcił jednak opracowaniu ogólnego katalogu muzealnej biblioteki, liczącej na ten czas ponad 35 tysięcy woluminów.

Z powodu problemów kulturalnej instytucji, Żeromski został zatrudniony w Muzeum jako pracownik fizyczny: przenosił meble, naprawiał je, oprawiał obrazy, akwarele itp. Zygmunt Wasilewski tak wspomina w listach prace pisarza: „Pamiętam żywo Żeromskiego, który od razu wziął się do katalogu, jak wystawał przy szafach w niedostępnym serdaku zakopiańskim, w szaraczkowym ubraniu z nastroszoną czupryną i srogą, czarną brodą. Nie mógł donieść książki do pracow-

ni, żeby się z nią po drodze nie bałamucić-tak go każda interesowała”.

Jako muzealnik, wykazywał dużo inicjatyw dotyczących organizacji ekspozycji w salach Muzeum. Sugerował projekty gablot, mając na uwadze dostosowanie ich do nowej aranżacji wystawienniczej. Konsultuje się w tym zakresie z wiceprezesem Rady Muzeum, odpowiadającym za tworzenie muzealnej kompozycji, Henrykiem Bukowskim. W jednym z listów do niego pisze: „oprawiłem własnoręcznie 57 rysunków i akwarel, 10 oczyściłem z brudu i wszystkie 7 zawiesiłem na trzecim piętrze (...)”. Przyszły pisarz projektował z zaangażowaniem muzealne „pokoje”: „pokój” Przyjaciół Polski, „pokój” Kościuszki. Urządził osobiście „pokój” Mickiewicza, gdzie zgromadził wszystkie posiadane po poecie pamiątki, jego utwory i przekłady, zawieszając na ścianach oprawionych przez siebie 29 portretów Wieszcza. Do ekspozycji dołączył rzeźby m.in. Tadeusza Baracza, biust wg J. L. Davida oraz medaliony *David* d'Angers i Cypriana Godebskiego. Bardzo emocjonalny stosunek do wyposażenia „pokoju” Mickiewicza wyraził w piśmie do Bukowskiego, gdzie w detalach informuje go o rozmieszczeniu obrazów, rzeźb, gablot dotychczas swoje rysunkowe projekty. Największym sentymentem darzył ofiarowany przez Leopolda Horowitza (najznamienitszego malarza Europy), portret Mickiewicza. Żeromski wraz z żoną oprawił go, informując Bukowskiego: „(...) ponieważ ofiarowany portret był bez ramy, zdawato mi się, że najtańsza rama będzie pluszowa. Kupiliśmy z żoną 4 metry pluszu po 3 fr. 80ctm. I obiliśmy nim zwyczajną sosnową ramę. Wygląda to, o ile się znam, doskonale. Portret jest prześliczny (...) Na mój rozum - portret ten nigdzie pięknie, lepiej, w lepszym świetle nie będzie umieszczony, jak w pokoju Mickiewicza 7”. W „pokoju” Mickiewicza znalazł się również portret autorstwa Stanisława Radziejowskiego, o który latami zabiegał pisarz, ale artysta malarz przekazał go dopiero w 1899 r. Żeromski zadbał też o wyposażenie pokoju „przyjaciół Polski”, znajdujący się vis a vis „pokoju” Mickiewicza. Zgromadził w nim dokumenty i pamiątki po wybitnych cudzoziemcach. Znalazł się w nim wyjątkowy dokument, tzw. „adres angielski” - dokument z podpisami stu tysięcy Anglików, który był wyrazem hołdu dla walczącej o niepodległość Polski. Został on wystany z Birmingham w październiku w 1832 r. do hrabiego Władysława Platera, fundatora Muzeum. Pisarz umieścił również w specjalnych tekach posegregowane alfabetycznie portrety polskie.



Tablica pamiątkowa na bocznym dziedzińcu Zamku

fot. Wojciech Walkiewicz



Wystawa „O przyszłość Rapperswilu”

Wojciecha Walkiewicza (fragm.)

Wiele uwagi pisarz poświęcił projektowi urny na serce Kościuszki. Serce narodowego bohatera zostało przywiezione do Rapperswilu w 1896 r. W kwestii umieszczenia urny w Muzeum, Żeromski wszedł w spór z kustoszem Zamku – Włodzimierzem Różyckim. Pisarz uważał, że urna powinna znaleźć się w specjalnej niszy Mauzoleum, a nie, jak planował kustosz, wmurowana w czołoci w ścianę. Nie był to odosobniony spór z Różyckim. Konflikty zaczęły się już na początku pracy w Muzeum. Różycki, rzekomy powstaniec, twierdził, że nauka jest marnościami. Swoje obowiązki traktował bardzo niedbale, lub w ogóle ich nie wypełniał, utrudniając nagminnie pracę pracownikom Muzeum. Konflikt nabierał na sile, co wpływało bardzo niekorzystnie na psychikę, solidnie i wielkim oddaniem pracującego, Żeromskiego. Spowodowało to jego odejście z pracy w Muzeum. Rezygnując z posady bibliotekarza napisał: „Nie mogę dłużej patrzeć na niemoralne stosunki panujące w Muzeum, nie będąc w stanie solidaryzować się z istniejącym tam bezładem, stanowisko bibliotekarza opuszczam, klucze od zbiorów, które sam uporządkowałem, odsyłam kierownikowi wewnętrznego urzędowania (...). Stefan Żeromski”. Tak naprawdę o definitywnym odejściu z pracy zadecydowało wydarzenie, którego pisarz był świadkiem: „Wchodząc pewnego dnia z rana na podwórze muzealne, zobaczyłem, że z okna strychu, to znaczy z wysokości trzeciego piętra zamczyska rapperswilskiego spada masa strzępiastych druków i potarganą warstwą pokrywa błoto dziedzińca. Dwaj robotnicy szwajcarscy wyrzucali topatami na świat owe wycinki Leonarda Chodźki, do Muzeum przywiezione po to, ażeby jako źródło nieocenione służyć mogły do badań”.

Żeromski, po powrocie do Polski, walczył o Muzeum i zdymisjonowanie kustosa. W 1911 roku w prasie polskiej rozgorzała dyskusja dotycząca zarządzenia zbiorami w Rapperswilu. Odbył się „proces rapperswilski”, podczas którego obywatelska komisja (m.in. Henryk Sienkiewicz, Ignacy Paderewski, Władysław Mickiewicz) przesłuchała kilku świadków (w tym i S. Żeromskiego). Niestety, proces nie przyniósł spodziewa-

nego efektu. Pisarz oburzony tą sytuacją, napisał broszurę „O przyszłość Rapperswilu”, która zmusiła Radę Muzeum do sfinalizowania sprawy i spowodowała zdymisjonowanie Różyckiego. Zbiory przekazano, założonemu z inicjatywy Żeromskiego – Towarzystwu Przyjaciół Rapperswilu.

Autor „Syzyfowych prac” po kilku latach, będąc kolejny raz w Rapperswilu (1906), w swoim notatniku podróży napisał: „Kiedyś ujrzałem to stare zamczysko, serce po dawnemu zadrżało[...] Tyle trudów, uniesień, zapatu - a teraz tylko wspomnienie[...] Już na pewno nigdy nie będę w Rapperswilu. Wielom tu wycierpiał, nauczył się i zdobył w samotności. Żegnaj! Ludzie tu o mnie nie pamiętają. Może kiedyś przyjdzie czas, że sobie przypomną”. O roli pisarza w działalności Muzeum Polskim przypomina dziś tablica na jego bocznym dziedzińcu.

W okresie pobytu w Rapperswilu, Żeromski zdobył doświadczenie w zakresie sztuk pięknych, co wpłynęło na kształtowanie się postawy estetycznej pisarza. Nawiązane kontakty z czołowymi historykami sztuki i muzealnikami owocowały potem bogatą epistolografią i była ważnym materiałem źródłowym dla badań z zakresu historii sztuki.

W okresie rapperswilskim Żeromski napisał kilka noweli i opowiadań, m.in.: *Wybawiciela* (jedna z pierwszych wersji „Syzyfowych prac”), *Sitaczka*, *Rozdziobią nas kruki, wrony*, *Obrazki z ziemi mojej i krzyżów*. Pierwszy zbiór opowiadań подарował B. Prusowi podczas jego pobytu w Rapperswilu.

Ciekoty – Rapperswil Wystawa i film Wojciecha Walkiewicza w Sali Polskiej w Rapperswilu

Szkoda, że nie wcześniej, bo dopiero w 2018 roku nawiązała się współpraca między dwiema znaczącymi placówkami kulturalnymi: „Szklanym Domem” w Ciekotach i Muzeum Polskim w Rapperswilu, placówkami które połączył wybitny pisarz – Stefan Żeromski.

W Ciekotach Stefan Żeromski spędził z rodzicami 12 lat. Od czerwca 1871 roku do jesieni 1883 roku. Miał niespełna 7 lat, kiedy rodzice przybyli do Ciekot i zostali administratorami wioski. Ta malownicza

miejsce, położona w Dolinie Wilkowskiej u podnóża Radostowej, z widokiem na Łysicę, stała się dla Stefana Żeromskiego najważniejszym i najcenniejszym miejscem na ziemi. Tu kształtował swoją wrażliwość na piękno ziemi ojczystej, ale też na krzywdę i biedę ludzką. O Ciekotach napisze: „Tamta wieś – to mojej duszy częśćka i każdy ma swoje miejsce ulubione miejsce w dzieciństwie. To jest ojczyzna duszy”. Do Ciekot często nawiązywał w swoich utworach literackich. Tu doznał wstrząsających przeżyć: przedwczesną śmierć matki, rozbitcie rodziny, śmierć ojca, utratę domu, niepewność jutra.

Dom, w którym mieszkała rodzina Żeromskich, był zbudowany w 1753 roku. Całkowicie zniszczony w XX wieku, został odtworzony w 2010 r. Jest rekonstrukcją typowego polskiego dworu, wyposażonego zgodnie z prawdą historyczną, duchem epoki, dokumentami, „Dziennikami” i literackimi opisami Stefana Żeromskiego. Obok Dworu powstało Centrum Edukacyjne „Szklany Dom” z nowoczesnymi, szkoleniowymi i warsztatowymi salami. Odbywają się w nich liczne imprezy regionalne i cykliczne: „Imieniny Stefana”, „Narodowe czytanie” oraz spotkania z ciekawymi ludźmi i wystawy.

I oto na wieść, że ważą się losy Muzeum Polskiego w Rapperswilu, warszawski fotografik, autor filmów i teledysków, absolwent Wydziału Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego **Wojciech Walkiewicz**, postanowił przygotować wystawę o jego historii. Materiały do wystawy zebrał podczas swoich kilku pobytów w Muzeum Polskim w Rapperswilu w roku 2016., które odbyły się w ramach otrzymanego stypendium Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Multimedialna wystawa „O przyszłość Rapperswilu. Muzeum Polskie w Rapperswilu w obiektywie Wojciecha Walkiewicza” składa się z fotograficznych plansz, prezentacji multimedialnych, nagrań audio z fragmentami listów Stefana Żeromskiego w interpretacji Michała Lesienia oraz specjalnie skomponowanej muzyki Olgierda Mroczkowskiego. Plansze i katalog wystawy zaprojektowała artystka plastyk, absolwentka ASP w Katowicach, Joanna Walkiewicz.

Do Rapperswilu, na wernisaż wystawy →

→ i prezentację świetnie wyreżyserowanego filmu dokumentalnego Wojciecha Walkiewicza „Panie na zamku”, organizator i dyrektor Muzeum Polskiego w Rapperswilu Anna Buchmann zaprosiła polską delegację: dyrektora Centrum Edukacji i Kultury „Szkłany Dom” – Krystynę Nowakowską (współautorkę projektu), obecnego dyrektora tej placówki, dziennikarza Wojciecha Purtaka i wójta gminy Mastów Tomasz Lato.

Autor wystawy, Wojciech Walkiewicz, w Sali Polskiej zamku, gdzie mieściła się kiedyś biblioteka Stefana Żeromskiego, wyznał: „*ta wystawa, to jest mój głos w sprawie obrony muzeum, które przez wieki było ostoją polskości*”. W Sali Polskiej, w niezmiennym stanie od czasów pisarza zachował się m.in. drewniany, bogato zdobiony sufit – relacjonuje w pokaznym artykule na łamach „Kuriera Mastowskiego” jego naczelny redaktor Wojciech Purtak. „*Nasza współpraca z muzeum – podkreśla – to wyróżnienie, ale również kontynuacja promocji twórczości i działalności Stefana Żeromskiego*”. Wójt Mastowa – Tomasz Lato zaznaczył, iż Żeromski będąc w Rapperswilu tęsknił za rodzinnym dworem. Mieszkając z rodzicami w Ciekotach, malował obrazy, m.in. odbijając się w ciekockim stawie tysiąc.

Zgromadzeni na wernisażu liczni goście, nie tylko ze Szwajcarii, ale też zagraniczni turyści, wysłuchali prelekcji dyrektora Krystyny Nowakowskiej, która przybliżyła działalność dworku Stefana Żeromskiego w Ciekotach i podkreśliła niezwykłą rolę kustosz honorowej Kazimierzy Zapatałowej w wyposażeniu obiektu w eksponaty z epoki pisarza. Wernisaż uświetnił recitałem znakomity kielecki pianista Łukasz Mazur, który ma na swoim koncie m.in. kompozycje do tekstów Stefana Żeromskiego. Po zwiedzeniu ekspozycji Wojciecha Walkiewicza, wszyscy udali się na wystawę obrazów Rafała Olbińskiego, który wspominał swoją szkołę czyli I LO im. Stefana Żeromskiego w Kielcach. Każdy z uczestników przybyłych na zamek otrzymał od delegacji z Ciekot polsko-angielski przewodnik po dworze Stefana Żeromskiego.

Należy dodać, iż w 100-rocznicę odzyskania niepodległości Polski w 2018 roku wystawa Wojciecha Walkiewicza gościła w Centrum Edukacji i Kultury „Szkłany Dom” w Ciekotach a potem w Galerii Sztuki „Dwór Karwacjanów” w Gorlicach.

Niestety, bogata i piękna ekspozycja

„O przyszłość Rapperswilu” Wojciecha Walkiewicza zamknie 150-letnią artystyczną działalność Muzeum Narodowego Polskiego, z czym tak trudno pogodzić się pracującym tam wolontariuszom i dyrektor placówki Annie Buchmann: „*Wyjechałam z Polski 7 grudnia 1981r. – wspomina Pani Anna – nie mając pojęcia, że 13-go wybuchnie stan wojenny. Zamieszkałam 10 km od Rapperswilu. Poszłam oczywiście do muzeum i zobaczyłam, że ten mił zamek działał. Ten genius loci, który tutaj od ponad stu lat Polaków skupiał i przygarbiał. Było to nie takie muzeum, jakie przedstawiały fotografie z XIX wieku, ale znów było to miejsce azylu dla przyjeżdżających tutaj Polaków: zdezorientowanych, nie znających języka. Postanowiłam, pewnie to wynika z wychowania domowego, że trzeba się zaangażować i przychodzić wtedy, kiedy mogłam, to znaczy w weekendy. Miałam szczęście poznać przedstawicieli starszego pokolenia. Tego, które zostało tu po wojnie, już okrzepło, znało tutejsze stosunki i miało dobre kontakty ze Szwajcarami. Przyjechałam w czasie, kiedy następowała zmiana pokoleń: odchodzili ci, którzy tworzyli muzeum w latach pięćdziesiątych i nie można było zaprzepaścić tego, co zostało osiągnięte (...)*”. Po ostatecznej decyzji szwajcarskich władz o opuszczeniu zamku przez Muzeum Polskie, Pani dyrektor wypowiedziała rozpaczyliwie słowa: „*To Muzeum ma być w Rapperswilu, bo Ono tutaj w Rapperswilu powstało. Założone w trudnym dla Polski XIX w. przez powstańców – ludzi wyrzuczonych, a później, po drugiej wojnie światowej, ludzi poharńbionych przez rząd, ma zupełnie inny wymiar symboliczny. Jeśli się je tego symbolu pozbawi, to będą to zbiory jak każde inne, ale to nie będą zbiory Muzeum Polskiego w Rapperswilu. I to jest ten symbol. Jeśli się popatrzy na te schody, którymi chodziły tysiące Polaków. Pokoje, w których się odbywały tysiące dyskusji na temat kształtu państwa polskiego. Spory o historię Polski. Gdzie brzmiała polska muzyka, gdzie była czytana polska literatura, gdzie kształcili się całe pokolenia Polaków, to ma to miejsce rzeczywiście wymiar symboliczny. Jeśli się to przeniesie, to się ten symbol zniszczy*”.

Niestety, opustoszeje to **miejsce**, w którym przez 150 lat biło serce Polski. **Które było centrum myśli niepodległościowej**. Ustanie krzątania oddanych placówce polskich wolontariuszy i zatrą się z czasem ślady na

schodach, po których wspinały się tysiące polskich stóp. Zamknięcie – jak w znakomitym sonecie napisała polska poetka Krystyna Konecka – „*nostalgiczny kraju odprysk*”.

ODPRYSK KRAJU

To miasteczko można zdmuchnąć. Ledwie spojrzysz

już w jeziorze tonie. Już nad wodę spada pewien orzeł co tu niegdyś z listopadem sfrunął z Polski – nostalgiczny kraju odprysk.

Podajemy sobie rękę. Ale w rynku z autokaru w sklepy runął tłum rodaków. A marzyciel niepoprawny hrabia Plater z wyżyn zamku puszcza oko do naiwnej.

Więc to wszystko? To milczenie niby kamień?

Mech pochłania pracowicie każdy załom schodów, które czas mierzyły Żeromskiego

ślądom. Ponad księgozbiorem martwy zegar. W bibliotecznym sanktuarium wiek wspomina siwowłosa ćma. W prochowcu z pergaminu.

RAPPERSWIL' 89 KRYSZYNA KONECKA

Muzeum Polskie w Rapperswilu utrzymywane jest z darowizn Polonii oraz składek członkowskich Towarzystwa Przyjaciół Muzeum. W 2015r. otrzymało nagrodę „Kustosz Pamięci Narodowej”, przyznaną corocznie przez Prezesa IPN

Serdecznie dziękuję Panu Wojciechowi Walkiewiczowi za udostępnienie materiałów: filmów i fotografii z zorganizowanej w 2019 r. w Muzeum Polskim na Zamku w Rapperswilu wystawy „O przyszłość Rapperswilu”

KRAKÓW, 21.08.2020
IRENA KACZMARCZYK

fot. Wojciech Walkiewicz

Widok z Zamku na Jezioro Zuryskie i Rapperswil



Dariusz Pawlicki

W OBRONIE... CARATU

ESSEJ

Ceni się w Polsce opisy rosyjskiej czy sowieckiej opresji [...], natomiast nie chce się słyszeć o istnieniu „Innej Rosji”.

Gustaw Herling-Grudziński, Dziennik pisany nocą 1993-1996.

Przeczytanie znajdującego się nieco poniżej cytatu z *Dziennika 1955-1969* Andrzeja Kirowskiego, sprawiło, że zniknęły ostatnie obiekcje, jakie miałem do napisania tego tekstu. A w swym założeniu ma on być obroną... caratu. I tylko tym. Nie wchodzi więc w grę wychwalanie systemu rządów charakterystycznego dla Rosji przez kilka wieków, jako takiego (jego apologię mógłby napisać tylko jakiś wyjątkowo konserwatywny rosyjski monarchista).

Podjmuję się tej obrony mając na uwadze określone ramy czasowe: Rosję XIX w. i pierwszy 17 lat XX w. To znaczy tę Rosję, którą opisywano zazwyczaj jako „kraj szczytowego wstecznicstwa i reakcji”. Ową opinię - zresztą nie zgadzając się z nią - przytoczył Józef Mackiewicz w *Zwycięstwie prowokacji*. Moja obrona wynikać będzie przede wszystkim z faktu, jakby nie było, z łagodności caratu we wspomnianym okresie, w porównaniu z leninizmem, o stalinizmie nie wspominając.

A oto ów cytat, który przeważał szalę:

„[...] upiorne zestawienie cyfrowe: około pół miliona zesańców na Sybir w latach 1817-1877 i około 22 milionów więźniów w łagrach sowieckich w latach 1922-1937. Wystarczy? Wystarczy”.

Tak, chcę podjąć się obrony caratu. I chodzi mi przede wszystkim o rozjaśnienie czarnego obrazu caratu w okresie: od ostatecznej likwidacji I Rzeczypospolitej do abdykacji Mikołaja III. Spróbuję tego dokonać przez ukazanie carskiej polityki wobec Polaków na tle postępowania leninizmu i stalinizmu, szczególnie tego drugiego.

Czy na ziemiach polskich znajdujących się pod rosyjskim zaborem, Polacy byli wieszani, rozstrzeliwani, deportowani za to, że byli właśnie tej narodowości? Nie byli! Polskość, tak jak

wyznanie katolickie, mogła być (i najczęściej była), przeszkodą w karierze na najwyższych szczeblach hierarchii urzędniczej, czy wojskowej w państwie ostatnich Romanowów. To fakt. Ale tej kariery nigdy całkowicie nie przekreślało. Przykładami mogą być Wincenty Krasicki, namiestnik Królestwa Polskiego; Aleksander Wielopolski, naczelnik rządu cywilnego Królestwa Polskiego.

Nikt nie tracił ziemi z tego tylko powodu, że był Polakiem. Konfiskaty majątków (podobnie jak wyroki śmierci, więzienia czy zsyłki na Sybir) były rezultatem udziału ich właścicieli w wystąpieniach zbrojnych mających na celu oswojenie ziem polskich spod władzy carów (nie inaczej byłoby w przypadku jakiegokolwiek innej władzy). Podobnie byłoby w przypadku każdego innego ówczesnego kraju, zresztą nie tylko ówczesnego.

Czytając teksty napisane przez Polaków i poświęcone kwestii karania na przykład śmiercią za działalność niepodległościową, można często odnieść wrażenie, że dla ich autorów owo karanie było przejawem wyjątkowego zdżyczenia zaborcy. A ono, jak wielokrotnie wskazywano, miało mieć swoje źródło w tym, że przynależała (i przynależny) on do cywilizacji turańskiej. Zapomina się jednak wspomnieć o tym, że owo postępowanie nie odbiegało od tego, które w XIX w. miało miejsce w innych zakątkach ówczesnej Europy (także tych znajdujących się w kręgu cywilizacji tacińskiej). Nie inaczej przecież traktowali, dla przykładu, Anglicy buntujących się Irlandczyków, a Austriacy - Włochów i Węgrów (tych drugich do 1867 r.). Ale ta sprawa nie dotyczy traktowania jednego narodu przez drugi. Obejmuje także postępowanie wobec przedstawicieli tego samego narodu. Przykładem tego ostatniego może być rozstrzelanie, bez sądu, ok. 30 tysięcy komunistów przez żołnierzy Adolphe'a Thiersa (szef pierwszego rządu III Republiki) w 1871 r. Po upadku Komuny Paryskiej na ok. 10 tysięcy jej uczestników wykonano wyroki śmierci, a 4 tysiące zesłano do kolonii karnej na Nowej Kaledonii (w 1880 r. część tych wyroków została uchylona na mocy amnestii). Podany powyżej 1871 r. jest zmienny, choćby, ze względu na prawie współczesność rosyjskich represji (1863-1867) w czasie trwania powstania

styczniowego, ale przede wszystkim po jego stłumieniu. Wtedy to 600-1000 osób zostało straconych, a ok. 25 tysięcy zesłano do europejskiej części Rosji, na Kaukaz i Syberię. Dla porządku należy wspomnieć o setkach jeńców rozstrzelanych przez żołnierzy rosyjskich.

Rok 1822 był przełomem jeśli chodzi o karę zesłania w imperium rosyjskim. Wtedy to, za sprawą reform (obowiązywały przez prawie wiek), których inicjatorem był Michaił Michajłowicz Spieranski (niezwykle zająca postać), polepszone warunki dotyczące odbywania kary zesłania: wprowadzono jednolity rejestr zesłanych, nadzorowano terminy zwolnień (wcześniej z reguły w grę wchodziło życie dożywotnie); zapewniano zakwaterowanie, środki do życia (zesłańcy otrzymywali np. ziarno siewne, sprzęt do łowienia ryb, a w rejonach, gdzie żyły groźne drapieżniki - broń palną i amunicję), zapłatę za wykonywaną pracę. Co ważne, na trasie, którą przemierzali pieszo (dziennie 21 do 42 km w kajdanach; po dwóch dniach marszu przystęgiwał dzień odpoczynku) stworzono więzienia etapowe. Choć osoby mające krótkie wyroki zesłania, jak i te o wysokim statusie społecznym mogły odbyć podróż powozem, ale na własny koszt.

Dolegliwość kary zesłania miała polegać na zerwaniu, i to gwałtownym, z dotychczasowym życiem, na oddaleniu od stron rodzinnych i swych bliskich. Choć to ostatnie nie zawsze wchodziło w grę, gdyż niejednokrotnie skazanym, za zgodą władz, towarzyszyły rodziny. Dla przykładu, powstańcom styczniowym zesłanym w głąb Rosji towarzyszyło około 1800 członków ich rodzin.

Odnosnie polskich zesłańców Antoni Czechow w liście z 14-17 maja 1890, w drodze na Sachalin, napisał m. in.:

„[...] Przy okazji opowiem o Polakach. Spotyka się tu zesłańców przybyłych z Polski w 1864 r. - są to ludzie porządni, gościnni i w najwyższym stopniu delikatni. Zdarzają się wśród nich bardzo bogaci, inni znów żyją nader biednie - pracują na stacjach jako skryby. Pierwsi po amnestii udali się do oj-



Jacek Malczewski, Wigilia na Syberii.

czynny, ale niebawem powrócili na Syberię, gdzie łatwiej o gromadzenie majątku; drudzy marzą o kraju ojczystym, choć są już starzy i schorowani”.

Powyższy cytat, ale nie tylko on (dokumentów w tym duchu jest bardzo wiele) zadaje kłam obowiązującemu pogładowi na temat tego, czym była zsyłka na Sybir do 1917 r. Chociażby dlatego, że mowa jest w nim o tym, iż byli zesańcy powracali - po upływie przewidzianych wyrokiem lat - w miejsce odbywania kary. A jaki to tagiernik (jeśli miał szczęście przeżyć) powróciłby dobrowolnie np. na Wyspy Sołowieckie, gdy tamtejszymi obozami pracy przymusowej (zastępującymi, jak najbardziej słusznie, na miano obozów zagłady) zawiadywali bolszewicy? Pytam: Jaki?

Z nieudanymi próbami zamachów na cara Aleksandra III na przełomie lutego i marca 1887 r. w St. Petersburgu, łączy się nst. kwestia:

„Sprawa 15 [wśród nich był Bronisław brat Józefa Piłsudskiego i Aleksander Uljanow, brat Lenina] uczestników zamachu była rozpatrywana w trybie pilnym na specjalnej sesji Senatu w Petersburgu od 27 kwietnia do 1 maja 1887 r. [...]”.

Wyrok Senatu zapadł 1 maja. Wszyscy oskarżeni zostali skazani na śmierć przez powieszenie, ale jednocześnie sędziowie zwrócili się do cesarza o wykorzystanie prawa łaski. Ostatecznie zatwierdzono wyrok śmierci na pięciu (m. in. Uljanowie), który wykonano 20 maja, a innym karę śmierci zamieniono na wieloletnie więzienie”. Ale „Bronisław Piłsudski otrzymał 15 lat katorgi na Syberii” (Janusz Cisek w dodatku „[Józef] Piłsudski. Przepustka do historii” do „Rzeczypospolitej” z 11 listopada 2013 r.).

W tej sytuacji Lenin, „zgodnie z ówczesnym prawem, jako najstarszy syn wdowy i potencjalny żywiciel rodziny został zwolniony z obowiązku odbycia służby wojskowej. Władza radziecka, w takim przypadku, i nie tylko w takim, z tego obowiązku nie zwalniała.

Odnosnie wspomnianego Bronisława Piłsudskiego:

„[...] od r. 1888 do 1906 przebywał na Sachalinie i we Władywostoku najpierw jako zesańiec, potem jako kustosz muzeum we Władywostoku i badacz kultury Ajnów [...]” (z przypisu do listu 525, t. 37 Pism zebranych St. Żeromskiego).

A jeśli chodzi o polskich zesańców (niekiedy dotyczyło to katorżników – osoby skazane na ciężkie roboty) należy wspomnieć o wielkich ich zasługach dla naukowego poznania wschodnich krańców Imperium Rosyjskiego. Wymieniony powyżej Bronisław Piłsudski jest jednym z nich. Inne przykłady to, chociażby, Benedykt Dybowski (m. in. badał faunę jeziora Bajkał), Wiktor Godlewski (poznawał faunę, florę i środowisko przyrodnicze), Aleksander Czekanowski (prowadził m. in. badania geologiczne, paleontologiczne), Michał Jankowski (badał świat roślin i zwierząt, przeprowadzał wykopaliska archeologiczne), Jan Czerski (zajmował się geologią i paleontologią).

Mariusz Zaruski, marynarz, żeglarz, legionista, taternik, ratownik górski, pisarz, generał WP jest kolejnym, z jakże wielu, przykładem Polaka, którzy czas zesłania wykorzystali, gdyż takie były możliwości, w sposób szczególny. Otóż w 1894 r. za działalność niepodległościową został zesłany do Archangielska. Tam ukończył Szkołę Morską z tytułem Szturma-

na Żeglugi Wielkiej. Po daniu słowa honoru otrzymał pozwolenie na pływanie na statkach. I przez kilka lat pływał jako kapitan po Oceanie Arktycznym. Po odbyciu kary zsyłki wyjechał na 2 lata do Odessy. Po czym w 1901 r. zamieszkał w Galicji.

W tej historii najbardziej zwraca uwagę akceptowanie przez obie strony pojęcia honoru, jak też branie pod uwagę tego, z czym ono się wiąże. Dla bolszewików, zresztą nie tylko dla nich, była to abstrakcja (tak jak obecnie chyba dla wszystkich).

Na koniec chciałbym odnotować i taki oto przypadek (a można je mnożyć):

„Julia Kratowska [...] – nauczycielka i działaczka PPS w Lublinie; za działalność społeczną i oświatową aresztowana i więziona w Lublinie, Krasnym Jarze (w guberni astrachańskiej) i Warszawie, zwolniona za kaucją na pogrzeb siostry, zbiegła do Galicji i osiedliła się w Zakopanem” (przypis do listu 522, Pisma zebrane Stefana Żeromskiego, t. 37).

W tym miejscu, mając na uwadze kilka przywołanych przykładów postępowania sądów rosyjskich, chciałbym zaznaczyć, że sądownictwo, jakie zaczęło funkcjonować w Rosji po reformie zapoczątkowanej w 1864 r. zyskało międzynarodowe uznanie, jako niezwykle bezstronne. Paweł Jasienica w Rozważaniach o wojnie domowej napisał nawet, że „oskarżana o absolutne zacofanie Rosja carska postawiła swe sądownictwo na poziomie niebotycznym”.

W sowieckim systemie karnym nie istniało coś takiego, jak wspomniana kaucja. Tak jak i nie zezwalano na opuszczenie więzienia na krótki czas, dla wzięcia udziału np. w pogrzebie członka rodziny. To są jednak drobiazgi wobec faktu, że sądownictwo radzieckie było parodią sądownictwa; przy tym niezwykle krwawą.

Negatywny obraz Rosji zaczął kształtować jeszcze przed ostatecznym upadkiem I Rzeczypospolitej (w czym imperium Romanowów odegrało dominującą rolę). A utrwał się za sprawą kolejnych przegranych powstań. Literatura, szczególnie ta romantyczna, w istotny sposób do tego się przyczyniła. Kształtowanie i krzepnięcie tego obrazu do 1918 r. jest najzupełniej zrozumiałe. Na napiętnowanie Rosji carskiej zużyto prawie całą czarną farbę, w przenośni i dosłownie (w tym drugim przypadku – farbę drukarską). Nikt bowiem nie przewidywał, że tak naprawdę czarne, smolście czarne, będzie dopiero to, co zafunduje władza radziecka; tak Polakom, jak i wszystkich innym nacjom zamieszkującym Związek Sowiecki. A potem także obywatelom krajów, które stały się od niego zależne.

Po 1945 r. kreowanie w Polsce czarnego obrazu caratu nie ustało. Tym bardziej, że chciano odwrócić uwagę od tego, co działo się między Odrą a Bugiem bezpośrednio po zakończeniu II wojny światowej. Z kolei po 1989 r. sytuacja zmieniła się o tyle, że w oficjalnej przestrzeni medialnej pojawia się bardzo wiele informacji dotyczących zbrodniczości systemu sowieckiego. Natomiast wiadomości odczerniające wizerunek caratu i Rosji w omawianej przeze mnie epoce, są nieliczne. I z tego przede wszystkim powodu nie nastąpiła żadna zmiana w poglądzie Polaków w tej materii.

W czasie Wielkiego terroru (Wielka czystka) trwającego od 1936 r. do 1938 r. zamordowano ponad milion ludzi (w tym wielu działaczy komunistycznych – rewolucja pożerała swe kolejne dzieci), a kilka milionów zesłano

do łagrów, w których zdecydowana większość zmarła. W ciągu tych (niecałych) 3 lat najniebezpieczniej w Związku Radzieckim było być Polakiem (Polacy stanowili o,5□o,9 % jego mieszkańców, ale aż 12,5 % ofiar). Szacuje się, że ok. 200 tysięcy osób narodowości polskiej stało się ofiarami Wielkiego terroru (rzadko wspomina się o tym, stale □ o Katyńiu). W znacznym stopniu przyczyniła się do tego „Operacja Polska”. Przeprowadzona została na terenie Białoruskiej SRR i Ukrainskiej SRR przez NKWD w latach 1937-1938, w ramach tzw. operacji narodowościowych. Wówczas to zamordowano, głównie strzałem w tył głowy, ok. 110 tysięcy Polaków, a ponad 100 tysięcy deportowano, przede wszystkim do Kazachstanu i na Syberię. Polacy zamieszkujący zachodnie tereny Kraju Wielkiej Szczęśliwości zostali bowiem uznani za niebezpiecznych w obliczu planowanego ataku na Polskę i inne państwa zachodnie.

W latach 1939-1941 z terenów II Rzeczypospolitej zaanektowanych przez ZSRR deportowano ponad milion Polaków. Część spośród nich zmarła podczas transportu, ale przede wszystkim w miejscach przymusowego osiedlenia, ze względu na bardzo ciężkie warunki egzystencji.

Mordy polityczne mające miejsce na masową skalę, to jedna strona straszego systemu, jaki został zafundowany mieszkańcom - obywatelom tylko z nazwy - Związku Sowieckiego. Drugą stroną, równie okrutną, była praca przymusowa, odgrywająca w gospodarce radzieckiej ogromną rolę i zorganizowana w system obozów określane mianem GUŁag. Charakter pracy, jaki miał w nim miejsce określił Naftali Aronowicz Frenkel, jeden z bolszewickich oprawców (wcześniej sam więzień obozu) nst. słowami: „Z więźnia musimy wycisnąć wszystko w ciągu pierwszych trzech miesięcy – potem nic nam po nim”.

Lew Trocki doskonale wiedział, jak sprawy się mają, gdy do czołowego bolszewika powiedział: „Władimir Iljicz, nigdy nie zbudujemy prawdziwego socjalizmu bez pracy przymusowej” (z Dziennika pisanego nocą Gustawa Herlinga-Grudzińskiego).

Trocki był typem działacza uważającego, że cel uświęca środki (podobnie myślało bardzo wielu). Do tego należał do nielicznej grupy - skład jej często się zmieniał, aż pozostał Jeden - która określała owe i cele, i środki.

Szacuje się, że od 1929 r., kiedy to Stalin stał się praktycznym, choć nieformalnym, jedynowładcą, do 1953, na terytorium ZSRR uśmiercono kilkadziesiąt milionów ludzi (według Roja Miedwiediewa około 40 milionów).

W Rosji dziewiętnastowiecznej, poczynając od panowania Aleksandra I (cesarz 1801-1825), została wykonana wielka praca, aby kraj ten przestał być utożsamiany z uciskiem. Ale dalsza droga w tym kierunku została gwałtownie zahamowana przez wydarzenia, jakie miały miejsce w 1917 r. Najpewniej nikt, nie zdawał sobie sprawy, jaki los mieszkańcom Rosji, ale nie tylko im, zostanie zgotowany po tym roku. I jaki okrutny eksperyment, i to bez znieczulenia, zostanie na nich przeprowadzony. Josif Brodski w eseju Mniej niż ktoś tak oto scharakteryzował komunistycznych władców i swój los (oraz sobie podobnych) pod ich panowaniem:

„Był sobie kiedyś mały chłopiec. Żył w najbardziej niesprawiedliwym kraju świata. Kraj ten rządony był przez istoty, które według wszelkich ludzkich pojęć powinny zostać uznane za degeneratów. Ale nie zostały”.

DARIUSZ PAWLICKI

Wczoraj i dziś

Kiedyś stała tutaj altana
teraz to popiół w ziemi,
powłoka z kolorowych piór
i imitowane szczęście
olbrzymich żurawi.

Tutaj mieszkał stary gołąb,
odleciał stąd do wieczności.
Do nieba nie było mu po drodze.
Dziś wspominają go dęby,
te najstarsze, równie zapomniane.

Smutny chłopiec buszował w zbożu.
szukał nowej rodziny -
był samotny od urodzenia.
Dziś odnalazł go Bóg,
stał łyzy i zatrzymał czas.
Dziś chłopca nikt nie szuka,
kolejne istnienie zastąpione
zgiełkiem imitowanych żyć.

Pamiętam

Przy tobie płaczą nawet anioły
I ta jaskółka ze złamanym skrzydłem,
ta co nie uchroniła się przed zimą.
Z bólu zagryzamy zęby,
nie chcąc przyznać,
że lepiej pójść złą drogą
niż tą,
która prowadzi donikąd
i z której nie ma wyjścia.
Teraz odzywa się tylko pustka
zamknięta w starym zegarze.
I wciąż nie chcąc przyznać,
że błędę
powiem że pamiętam –
znam drogę,
W końcu szłam nią tysiące razy.
Będzie jednak za późno,
skoro siebie już nie będziemy pamiętać.

W kroplach deszczu

Zostań moim natchnieniem
Nie zważając na jutro,
krople deszczu,
parasol i sukienkę
owiń mnie wokół siebie.
Zatrzymaj deszcz,
spal obietnicę jutra.
Kiedy się obudzisz
będę niewiadomą
tą samą
przemokniętą od deszczu
twoją

Anna Frajlich

**Dzienniki. Notatki z pierwszych lat emigracji
uzupełnione notkami bibliograficznymi**

Rzym, 20 grudnia 1969

Twórca – materiałem jest wszystko, co się nasuwa, zdarza. To jest właśnie kamień, w którym tkwi gdzieś, zawarta, niewydobyta, potencjalna forma. Stosunek do tego materiału – wybór i organizacja. Twórca prawdziwy, autentyczny ma ten sam twórczy stosunek do życia i otoczenia. Tu też wybiera i tworzy – z elementów konfliktowych harmonię. Nie tę powierzchowną lub pozorną, która jedynie głaszcze, ale i tę, która drażni, boli, wstrząsa i dopiero po przeżyciu zostawia harmonię. Ten stosunek do życia mieli wielcy twórcy. I to jest spalanie się podwójne, , bo podwójny, ciągły, we wszystkich sferach życia odbywa się proces tworzenia.

Dramat – człowiek i twórca. Człowiek jest skłonny wybrać to, co łatwiejsze, banalniesze, w końcu wytchnąć od odpowiedzialności; tu niestety pojawia się twórca, zawsze jest prawodawcą moralnym, moralistą. Wszystko, co tworzy wokół siebie nie jest łatwe, jest głębokie. Każda chwila jest niedokończona w ten sposób jak niewolnicy w Ogradach Boboli. Niedokończone dlatego, że wszystko pozostaje niedokończone. Nie ma rozbieżności między postawą moralną twórcy i człowieka i to jest ten autentyzm.

Wszystko jest gliną, wszystko jest słowem. Trudno jest żyć. A kiedy mówi, żeby mu ufać, nie jest to gotostowne, tak głęboko wierzy w swój talent. Patrzeć na ten proces, być może wewnątrz – jako materiał i całkowicie na zewnątrz jako odrębna niedopuszczona świadomość, a jednak chwilami mieć tę możliwość spojżenia, odszukania – to szczęście, jedyne w końcu.

Spotkanie autorskie Jerzego Szczygła

Spotkanie w szkole dla niewidomych. Kilka było tych spotkań dla dzieci. Przyjeżdżał do szkoły na Śląsku. Nauczycielka z trudem uczyła dzieci. Dla nich to jest nowy obcy człowiek. Pisze książki, niektórzy je czytali. Nagle po kilku zdaniach nawiązuje się wy-czuwalny prawie kontakt między audytorium i pisarzem. Wydaje się, że gdyby nie nauczycielka, doszłoby do najszczerzej, najbardziej żywiotej rozmowy.

Ale tu na Krzykach inaczej. Wszyscy czekają onieśmieleni. Znajdą go dobrze. Wiedzą. Może jest dla nich wzorem, z pewnością chcieliby, pragną, aby był kimś bliskim. Dzieci siedzą w sali gimnastycznej na ławeczkach. Dziewczynki ładnie ubrane i uczesane. Jest ciał pedagogiczne. Spotkanie trwa długo. Styszałam ich wiele i w każdym było coś nowego, coś co uderzało mnie nagle, ciągle przypominało o pokorze. Wiem jednak tak niewiele. Tu też tak było. Dzieci zadawały pytania – jedne śmielej, inne mniej. Mówił długo i dużo. O wszystkim, co chciałyby wiedzieć.

Spotkanie się skończyło, goździki, kilka słów podziękowania i ... oklaski. Nagle zabrzmiały tak gorące, tak silne i trwały długo z jednakową siłą. W tych oklaskach były wszystkie nie zadane pytania, na tym wieczorze i w ciągu całego ich krótkiego życia. Wszystko, co tak straszne i przerażające. Kiedy umilkły, powiedział:

– Kocham was bardzo. Wszystkich.

Jakiś chłopiec zaśmiał się krótko. Dzieci zaczęły znów klaskać. W korytarzu nagle zobaczyłam tży. Skuliłam się. Wziął honorarium i oddał dla szkoły na stodycze dla dzieci. Szkoła podobała mi się bardzo. Ładna, czysta.

Powiedział mi potem, że dziewczynka popełniła tu samobójstwo. Skarcono ją, bo zgubiła buty i nie umiała znaleźć.

Obcy kraj jest dla człowieka nieprzenikniony, nie w sprawach najtrudniejszych, bo o tym można w końcu przeczytać w dziełach filozofów, podróżników, pisarzy. Jest nieprzenikniony w sprawach najprostszych, w tych, o których nikt nie opowie, bo są oczywiste. A nie można pytać o rzecz, której istnienia nikt nie podejrzewa.

Rzym, 27 GRUDNIA 1969.

„Szare rękawiczki” (Jerzego Szczygła) to nie tylko sytuacja kobiety, to nasza ogólna sytuacja. Jedyłą szansę, jaką daje człowiekowi nasza rzeczywistość, to przeciętność.

Człowiek bardzo wcześniej zaczyna z nią walczyć i w większości, ogromnej większości przypadków, przegrywa.

Rzym, 30 GRUDNIA 1969.

Jednak żyje gdzieś tam w ludziach. Świadczą o tym listy.

Zielone bereciki – podłość, perfidia, fałsz, chamstwo, prostactwo.

(Pierwszy chyba rzut wiersza „Maria Ausiliatrice”)

Rzym, 15 STYCZNIA, 1970.

Oszczędzanie - sprawa bułki. Dzieli puszkę na cztery razy, a gdy zbliża się do końca – jeszcze raz na cztery.

– Czy to prawda, że po angielsku inaczej się mówi, a inaczej pisze?

– Po co się uczyć takiego głupiego języka?

Jak ciężko to wszystko znieść.

Rzym, 22 STYCZNIA 1970.

„Współczesność”

Julian Tuwim, Wybór wierszy, Czyt. 69, zł 18

Tadeusz Różewicz, Poezja, Czyt. 69, zł 10

Pierre de Ronsard, Poezje, PIW 69, zł 12

Franz Kafka, Dzienniki, WL, 60 zł

Mieczysław Jastrun, Wolność wyboru, PIW 69 zł 14

Rzym, 15 LUTEGO 1970.

„Polityka”

Sabata, Baśnie

Joyce, Ulysses

Egon Naganowski, Telemach w labiryncie świata.

Publikacja:

Nie było mnie, Do rywalki, Zakłęta w czerń, Mojej małpie. Nowe Widzenia /Forum Poetów Hybrydy- 1970. Warszawa. s.5-6

Nie było mnie. Poezja , 2/63. II/1971. Warszawa. s.73

Nowy Jork, 27 WRZEŚNIA 1972.

GODZ. II WIECZOREM.

Zabrakło mi papierosów. Wierzyłam, że w szafie jest jeszcze jedna paczka. Wczoraj, kiedy wyjmowałam przedostatnią paczkę, ta ostatnia spadła mi na podłogę. Przewrotnie jej nie podniosłam, żeby została gdzieś na dnie szafy na czarną godzinę. Ale Władek zauważył i podniósł – okazało się, że tę właśnie paczkę wzięłam dziś do pracy.

Wysłałam tak, jak stałam, w tej pogniecionej sukience z kolanami brudnymi od mycia podłogi w łazience. Padał deszcz. Szłam – kobieta zaniedbana – po Kings Highway, po tej brooklyńskiej „Piątej Ave”, lekceważyłam eleganckie wystawy. I ta radość, że wysłałam w powszedni dzień wieczorem, sama, wolna tuż przed jedenastą na deszcz.

Paweł poszedł do dentysty na przegląd po rwaniu zęba.

Wczorajsza rozmowa.

Paweł: Nie pójde do dentysty.

Władek: Dentysta tylko zobaczy, czy wszystko jest dobrze.

Paweł: A jak nie będzie dobrze?

Nasza chwila milczenia.

Ja: Jest dobrze, przecież oglądałam ci zdjęcie.

Dzisiejsza rozmowa.

Władek: Aniu, co to jest invisible.

Ja: Nie wiem.

Paweł: Ja ci powiem. to, to jest, to jest to

Władek: Spokojnie nie denerwuj się ...

Paweł: To jest ktoś, kogo nie można zobaczyć.

DOSŁOWNIE.

Ja: Rzeczywiście !

Nie przeszło mi przez myśl, że wyjaśni. Myślę, że prócz nerwowości, to zacinięcie spowodowane jest przez dwujęzyczność. Ale to cudowne, że tak potrafi tłumaczyć.

Zmęczenie.

Nareszcie usiadłam, żeby wziąć na parę minut pióro do ręki. Ostatnio tak pragnę pisać. cokolwiek. Zresztą zawsze, kiedy coś się ukazuje w druku, tak mnie to podnieca, przywraca wiarę w siebie.

Jutro muszę napisać do Liny.

Nowy Jork, 28 WRZEŚNIA 1972.

Dzień spokojniejszy. Nareszcie chłodniej i nie tak duszno. Wysiadłam na 59. ulicy i doszłam do Pierwszej Ave. Po drodze kupiłam trochę salami i tym się odżywiłam cały dzień. Pracy dużo, ale spokojniej. Dziwna sprawa. Wciąż wierzę, że można kogoś spotkać ot tak, na ulicy w środku Manhattanu. Ale nie można. Zamarłam podchodząc do skweru. Ktoś siedział tam z dziewczyną.

Szef rzucił w moją stronę kilka miłych słów. To zawsze wystarczy, żeby dzień się rozjaśnił. Ktokolwiek.

Elaine przeprowadza wywiad i nagle:

– Anna, do me a favor. Call the information and ask for number of D.....

Ona trzy razy apeluje, ja trzy razy nie mogę zrozumieć. Dzwonię, oni pytają o szczegóły, ja powtarzam pytanie Elaine. Ona mówi „never mind”. Odkładam słuchawkę. Ona odprowadzając faceta do schodów, w tym wypadku nie prosi „do me a favor”, wyjaśnia „thats for my cigarettes lighter”.

W pierwszej chwili myślałam, że zwariowała. Potem zrozumiałam, że facet jej się spodobał. Biedna Elaine.

Po kolacji siedzę, skracam Pawłowi spodnie, przyszywam guziczki – żona i matka.

A teraz znów bez papierosów. Znów spacer.

Dr. S. mówi o Elaine „Szwarcowa”. Nie mogę tego słuchać.

Nowy Jork, 6 PAŹDZIERNIKA 1972.

Przedwczoraj opowiadałam Pawłowi o swoich szkolnych perypetiach.

Paweł: A umiałaś mówić po angielsku?

Ja: Nie.

Paweł: To jak rozumiałaś co ludzie do ciebie mówią?

Ja: W Polsce wszyscy mówią po polsku, syneczku, wszyscy na ulicy, w szkole, w sklepie.

Paweł: A czy w Jidysz wszyscy mówią po Jidysz.

Ja: Nie ma takiego kraju „Jidysz”, Żydzi mieszkają w Izraelu i tam mówią po hebrajsku.

Paweł: To skąd babcia i dziadek nauczyli się mówić po Jidysz?

Napisałam do Liny „jak beztrudno i bezboleśnie przychodzi Pawłowi jego żywotstwo”.

Jeżeli ktoś go obrazi, Paweł da mu w gębę, a nie będzie milczał z wątpliwym poczuciem satysfakcji, że tamten nie dorósł do „idei proletariackiego internacjonalizmu”.

Dziś przypomniała mi się Nurit, ona też nie rozumiała, co to znaczy ukrywać. Nie rozumiała tego skrępowania. Pojechaliśmy z Nurit zimą na kolonie. Pamiętam dworzec w Jeleniej Górze. Zimna, załoczona poczekalnia, a my snujemy się w kąta w kąta jeszcze bez koleżanek. Nasze walizki gdzieś pod ścianą, nie ma gdzie usiąść. Czekamy na przesiadkę. Nagle Nurit ożywiła się, przez szybę kiosku zobaczyła żydowską gazetę. Ona chce to kupić i przeczytać. Nie miałam odwagi przeciwstawić się jej, z drugiej strony czułam, właśnie czułam, że nie powinna. Nie pomogłam jej porozumiewać się z kioskarką. Tamta wyciągała wciąż jakąś gazetę, a Nurit zaprzeczała ruchem głowy i wskazywała żydowski nagłówek palcem. Za nami przystawały dziewczęta z grupy. To też rozrywka w tej sennej dusznej poczekalni. W końcu Nurit rozjaśniła się, gdy tamta wzięta do ręki już jedyną pozostałą gazetę. Odeszłyśmy. Po chwili, kiedy znów mijałam kiosk, kobieta przywołała mnie:

– Czy ona umie to czytać? – zapytała.

– Kiwnęłam twierdząco głową.

– A co, ona Żydówka?

– Tak – odpowiedziałam po chwili udając, że się sama zastanawiam.

Ona, moja cudowna kuzynka, córka siostry mojej matki, jest Żydówką. A ja?

Nowy Jork, 21 PAŹDZIERNIKA 1972.

Sobota.

U Mamy były dzieci więc poszłam z Pawłem. Paweł trochę zazdrośny o babcie. Patrzył z góry, krzyczał, że hałasują, rozrzucając zabawki po podłodze.

– You better clean it up!

Ciężko to wszystko znieść. Śniadanie podaje na porcelanie, kawę w dzbanku itp. Obiad. Władek pozmywał naczynia. Potem pranie – trzy pralki. Nie lubię schodzić do suferyny. Już drugi dzień biorę proszki. Ale nerwy mnie zderają. Rano ból lewej ręki, noga odrętwiała, boli serce. Potem już się rozkręcąm.

Dwa dni temu Paweł trzyma jakąś książkę w rękę.

Nadine: Paul wants me to read him a book. I hope it is not in French.

Władek znów bez pracy. To już trzeci raz tutaj. Trzy lata temu przyjechaliśmy do Rzymu. Wciąż jeszcze jestem podzielona – na tamtą z Polski i tą od chwili wyjazdu. Ale nie jest to podział w czasie. Ciągłe jest jedna i druga. Żyję tu, piorę, sprzątam, gotuję, pracuję, a jednocześnie zdumienie: to ja piję kawę w rzymskim barze, siedzę w pompejańskim amfiteatrze, chodzę po Manhattanie..

Nowy Jork, 22 PAŹDZIERNIKA 1972.

Rano pojechaliśmy po Wujka Mamy, brata mego dziadka – najpierw wszedł Paweł z (moimi) rodzicami, potem Paweł z Mamą wyszedł i mnie sam zaprowadził. Śmieszne, nagle pojawia się to, czego nie było, co istniało tylko w opowiadaniach Mamy.

Rodzina, historia rodziny. Materialne, dotykalne, na zdjęciach dziadek mamy, kuzynki, wujkowie. I na odwrocie zdjęć podpisy po polsku, adresy zakładów fotograficznych: Dzika 13 w Warszawie, coś tam w Stanisławowie, Piąta Avenue na Manhattanie. Odrasta coś, z czego nieistnieniem pogodziłam się tak dawno. I paszport polski Wujka wystawiony w Stanisławowie.

Przywieziony przez Wujka lunch zjedliśmy u nas na papierowych talerzykach. Przyszła Fela z Saszą i Adasiem. Paweł i Adaś rwą się bardzo do siebie. Paweł staje kilka kroków przed Adasiem i przywołuje go poruszając palcami. Kiedyś opowiadałam mu, że tak właśnie jego uczyłam chodzić.

Potem byli tutaj Rodzice Władka – obiad, herbata – przyjemnie. Jednym słowem rodzinnie.

Nowy Jork, 14 LISTOPADA 1972.

Tak więc po tych wierszach odezwano się parę osób. Pierwszy Janek Kott z listem miłym i określeniem „znakomite”. Najbardziej podobał mi się „telefon” i „nerwy”.

Parę dni temu list od Heńka Grynberga, napisał do redakcji po adres, zarekomendował mnie tam jako "niezłą polonistkę i recenzentkę". Chce, abym napisała recenzję jego tomiku, a także chce dać zarobić na tłumaczeniach. Chcę spróbować. Bardzo. Tylko jak ja dam radę. Będziemy to robić z Władkiem.

Wczoraj przeglądałam październikową „Poezję” – od metra artykułów i na lekarstwo poezji. Zresztą tylko jedna autorka (poezji) dobra, z jakąś wyobraźnią i wrażliwością, inne wiersze jak te manifesty.

Tadek Mocarcki zestawia charakterystykę grup poetyckich. Tak, moje nazwisko też tam jest, w drugim składzie „Forum” – Anka Frajlich.

Ciekawe, czy On też pamięta tych kilka dobrych, powiedziałabym intymnych, wieczorków naszej grupy. Kiedy nagle patrząc na Stawkę wymyślił fraszkę:

Ta mina
bez przerwy
działa mi na
nerwy.

I kiedy tańczyliśmy przy płytach podczas gdy Krystyna Godlewska, Tadek Kowal i Bohdan dyskutowali.

Kiedyś raz po raz podając mi ognia

do papierosa powiedział: jak będę bogaty, kupię ci zapalniczkę, a ty powiesz mężowi, że znalazłaś.

Sto listów leży. Codziennie przyrzekam sobie, że odpiszę, a potem jakieś głupstwo i po wieczorze.

Dziś dowiedzieliśmy się, że Lusja jest w ciąży. Ale to jeszcze tajemnica dla świata.

Edek zaprasza na przyjęcie.

Nowy Jork, 15 GRUDNIA 1972.

Wczoraj nie wytrzymałam nerwowo. Znów! Potem to uczucie – ręce, nogi, ciało jak z waty. Położyłam się na chwilę. Ale znów wstałam. Naczynie, trochę naokoło, wyprałam. Umyłam twarz w rumianku, żeby uplasować się między wyglądem „artystki” i kucharki (Angela). Potem poszłam spać.

Dziś ledwo wytrzymałam dzień. Przy rozmowie z szefem straciłam panowanie nad sobą. Dom. Przychodzimy. Paweł idzie do łóżka – kwadrans potem woła: Aaaniuu, aaspirynę, Aaniuu aspirynę.

Władek zmęczony.

Publikacje:

Z Florencji, *Zmieniony w dzwonki, Santa Maria Ausiliatrice, Pompeja*. Wiadomości, Londyn, 29/1372:1.16.VII.1972.s.1

Pory roku, Nerwy, Tak cię ominę. Wiadomości, Londyn, 36/1379:1. 3.IX.1972. s.1,

Nowy Jork, 28 STYCZNIA 1973.

Znowu ciężkie sobota i niedziela. W piątek późno zakończyłam dzień. Władek był rozstrojony. Awantura nie pamiętam o co. Potem trochę spokoju. O północy zaczęłam sprzątać po obiedzie. I na półtorej godziny usiadłam do pisania. Bardzo ciężko, ale popchnęłam troszeczkę recenzję.

Przedtem w subwayu robiłam notatki. Błogostawiony czas. Nic nie muszę, bo nie mogę. toteż mogę czytać, myśleć i pisać. A wczoraj jakby w odpowiedzi na te trzy dalsze zdania recenzji przychodzi list od Heńka. Czeka, abym napisała.

Dziwnie, jak kilka różnych bodźców składa się na to, że coś zrobiłam.

Otóż rozmowa z Markiem, który mówi tonem trochę dydaktycznym, jak chcesz, masz szansę, to pisz i gdybym ja miał, to bym pisał. I nie chce zrozumieć kompletnego rozklekotania psychicznego.

Potem dzienniki, kilka notatek Jurka z wojny w Izraelu i jego komentarz. On jako dziecko wyniesione z getta (zarzucają mu, że nie pamięta), ale na pamięć nakładają się opowiadania bliskich, dokumenty, które przeszły przez jego dom. I ja to przyjmuję, bo ja bardzo często utożsamiam się z lekturą.

Otóż on, który nie mógł znieść psychicznie, że musi być bierny, zastraszony, ukrywający się, przeżył zachyśnięcie się działaniem. Odwróceniem układu. To zresztą działało bardzo silnie w Polsce na opinię publiczną – Żydzi walczą. Pamiętam, Zaniewski w autobusie bardzo wesoło powiedział: jestem dumny z Izraela.

Bohdan Urbankowski usiłował podejść moje milczenie w politycznych rozmowach – „a ja jestem z Izraelem”.

Pamiętam z Hybryd wracaliśmy przez Plac Trzech Krzyży – Lilka, Bohdan i ja. Przechodzimy tak dziwnie ten plac, na ukos, krawężnikiem okalającym żywopłot przy kościele i on to wówczas powiedział.

Ale Grynberg ze swoim podejściem do żydostwa najbardziej mi odpowiada.

Sobota – sprzątnięcie mieszkania. Chcieliśmy wyjść, zostawić Pawła u Mamy i pójść. Tymczasem Mama chora.

– Jeżeli chcesz ryzykować, możesz go przywieźć – mówi Mama. Nie chcę ryzyko-

→ wać, ale ten boleściwy ton i to, że w duchu ma żal – wiem o tym – że nie mam dla Niej czasu. I to wszystko cholerne, dopiekające, bolące więc odpowiadam:

– Chcę się po prostu pozbyć tego na parę godzin.

– Ty tak mówisz, on to słyszy i będzie miał kompleksy.

To już za daleko. Więżnie mi głos w gardle i zaczyna się wymiana piekących zdań. Potem chce mi się płakać. Ale nie ma przed kim. Władek chce mnie wciągnąć w solidarność.

– Tak twoja i moja rodzina, mam dosyć tych kłopotów z nimi.

Ale dla mnie już za późno na solidarność.

Dziś znów niechcący obiad rodzinny. Jestem nerwowo załamana.

Nowy Jork, 18 lutego 1973.

Dziś poszliśmy na „Podwieczorek przy mikrofonie”. W Warszawie nigdy nie przyszłoby mi to do głowy. A tu przy pierwszym wierszu Romana Sadowskiego o Koperniku – drzę. Poszłam dla Anny German i Aliny Janowskiej. Anna German wspaniała. Wróciła do normy i nieprawda, że głos ma słabszy. Silny i piękny. I pierwsza piosenka „Wróć do Sorrento” po angielsku i po polsku. Myślę sobie, ta piosenka dla niej to dwa lata w gipsie, odejście i powrót do życia. Śpiewała bardzo silnie, głęboko. A na ostatni bis mówi – „zaśpiewam piosenkę, którą skomponowałam po mojej włoskiej „przygodzie”. Teraz to już właściwie żart”. Powiedziała lekko, naturalnie, z wdziękiem i zaśpiewała „Nie powrócę do Sorrento”. Tylko przy jednej piosence nie klaskałam:

„Być może gdzie indziej..... i najdroższa ziemia i piaski Mazowsza”.

Wzruszyłoby mnie to kiedyś. Ale to S.R. Dobrowolskiego i jego też „Głupia sprawa”. A wbrew nie wierzę w taką miłość.

Przed nami siedzi kobieta z dwojgiem dzieci. Jedno płacze, ona co chwila wychodzi i wchodzi. Dziecko uspokaja się za drzwiami i zaczyna płakać na sali. Rozumiem ją. Chce zobaczyć i nie ma gdzie zostawić dziecka. Ludzie zaczynają sykać. Starsza dziewczynka siedzi, ale chce matce pomóc. Kobieta denerwuje się na dziecko. Dziewczynka kręci się na krześle, chce wyjść do matki, ale nie wie jak. Siedzi.

Nie wiem dlaczego przypomina mi się, jak w ostatniej chwili oddali mnie do szpitala.

Pielęgniarka siłą oderwała mnie od Mamy, potem wiozą mnie na wózek. I mówią: Co za matka, nie obcięta dziecku paznokci. Żal mi się zrobiło Mamy i nienawidziłam tych „siostr”.

W drodze powrotnej z koncertu, Mama znów ze swoją dowcipno-złośliwą uwagą, czy będziemy do szóstej rano u Lusi.

Znów śpięcie.

Paweł ucieszył się bardzo. Były tam dwie dziewczynki – lat 7 i 4. Podobno z początku schował się pod stół, ale potem tądnie się bawili.

Nowy Jork, 1 marca 1973.

Przeczytałam znów rozdział o Chagallu po angielsku, a teraz zabrałam się do „Prozaików dwudziestolecia międzywojennego”. Pierwszy Andrzejewski i od razu szlag mnie trafia.

Książka wydana w 1972 roku. Życiony Andrzejewskiego bardzo dokładny z lat 1950-tych i „ostatnią opublikowaną przez pisarza większą całością artystyczną był zamieszczony w „Twórczości” (1966) fragment powieści „Miazga”.

To wszystko. W roku ubiegłym tę „Miazgę” „Twórczość” przez pół roku obiecywała

„w następnym numerze” i oczywiście numer się nie ukazał i zmieniono skład zapowiedzi. A potem cytuję Z. Pędziańskiego: „Andrzejewski ma dwa style i sposoby widzenia świata i człowieka: tragiczny i satyryczny – i odczuć można silne pragnienie pisarza, aby obie przeciwstawne nieledwie niby ogień i woda metody artystyczne połączył w jeden styl wielkiego eposu” (str. 26)

Nie wiem, czy to epos, ale wydaje mi się, że „Apelacja” spełniła te domniemywane pragnienia pisarza. I jest to chyba jedyny styl tragiczno-satyryczny(?), w jakim można ująć i opisać współczesną rzeczywistość polską.

Nowy Jork, 8 marca 1973

Rano zadzwoniła Angela. Wczoraj miała jakiś nerwowy krach: robotaju, dumaju, dumaju

I wydumała

Nie wpływa to na mnie najlepiej, ranek z takim akordem. Nie chciała, żeby do niej dzwonić.

31 marca 1973.

Wieczór.

Władek czyta, ja tłumaczę.

Ja : „sensitivity” to jest „wrażliwość”, tak? Na pewno, czy mam zajrzeć do słownika?

Władek : czułość

Ja... „czułość”, kto dzisiaj jest czuły?

Władek: przyrządy elektroniczne.

Nowy Jork, 23 kwietnia 1973.

Imieniny Jerzego. Prawdopodobnie moje kwiaty w wazonie. Prawdopodobnie.

I mówią o mnie. Jestem historią i legendą i nie ma mnie. Mam tam swoją erę.

Za to w sobotę i niedzielę był u nas Włodek. Tym razem lepiej wyglądał, ale ciężkie musiały być dla niego te dwa ostatnie lata. Kiedy patrzyłam na zdjęcie jego żony zauważyłam, że ona nie zmienia się i młodo wygląda. Włodek powiedział – tym ona mnie też podtrzymała.

Miał niezwykłe dużo cierpliwości do Pawła. Właściwie bawiąc się z Pawłem ożywił się jedynie. Przepytywał Pawła z matematyki, a Paweł przepłytywał jego. Włodek początkowo mylił się, a Pawła to podniecało i zadawał mu wciąż nowe zadania. W końcu Włodek powiedział: Listen, I know everything.

Paweł spytał mnie, ile jest 12 odjąć 5.

A moją odpowiedź sprawdził w ten sposób:

1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12

Right, Mamme.

Przy tym wszystkim Włodek był bardzo przybity, zmęczony, stęskniony do rodziny. Nie wiem, w każdym razie bardzo nerwowy i trudno mu było rozmawiać. Ale opowiadał dużo

Nowy Jork, 29 kwietnia 1973

Wczoraj widzieliśmy Marcela Marceau. Przymiotniki: świetny, doskonały, fantastyczny, nic, nic nie znaczą.

O fragmencie „Młodość, dojrzałość, starość i śmierć” jeden z krytyków powiedział: „W niecałe dwie minuty M.M. dokonuje tego, czego wielu pisarzy nie umie dokonać w całych tomach”.

Jurek potem powiedział, że widział to w Paryżu. Rozmawialiśmy o tym, że tyle lat pokazuje to samo. A teraz uświadomiłam sobie, że dla Marcela Marceau to za każdym razem jest nowe, bo w każdym okresie życia on sam jest kimś innym z tego przedstawienia. Ręce. Rękoma pokazuje tak wiele. Może nawet bardziej dramatycznym dziełem (bo każdy fragment to dzieło) jest „The mask maker”.

Siedzi człowiek i robi maski. Przymierza je. Przymierza od niechcenia. Szybko. Zakłada, można by powiedzieć narzuca na twarz i zdejmuje lekko dwoma palcami

Czasem jakaś maska podoba mu się bardziej. Powiedzmy, maska cynika. Wstaje, aby przejść się w tej masce. Pochodzić w niej. I powoli całe ciało, cała postać, człowiek przejeżdża reguły gry maski. Maska narzuca charakter człowiekowi. Ale i tę maskę zdejmuje i wraca do siebie. Znów siedzi i robi maski. Znów próbuje. I nagle jedna maska przylega mu do twarzy. Maska śmiejącego się błazna. Początkowo śmieje się razem z tą maską. Śmieje się, błaznuje. Najpierw lekko, równoległe do maski, potem już maska śmieje się za niego, a raczej on śmieje się dla maski. Maska zmusza go do śmiechu. Próbuje zdjąć, zedrzeć. Nie może. Więc znów godzi się albo nie, ale śmieje się. Pada zamęczony tym śmiechem i śmieje się leżąc. W końcu ostatnim, rozpaczyliwym wysiłkiem zdiera te maskę. Ale pod maską nie ma już jego własnej, dawnej twarzy. Jest tam inna tragicznie nieruchoma Maska.

To jest też „Młodość, dojrzałość, starość i śmierć” tylko wypełnione dodatkową treścią. To jest życie każdego człowieka, życie aktora, może życie Marcela Marceau.

Jurek nam podarował swoje „Żyda”. Zmieniał go, dopasowywał. Jest bardzo dobry. Dla mnie jest to młody Żyd. Nie jest nieszczęśliwy.

Może jeszcze z tego okresu, kiedy plemię Izraela nie

Nowy Jork, 24 maja 1973.

„Oddział chorych na raka” – Sołżenicyn. Niedawno przeczytałam „W pierwszym kręgu”. Jest tak jakby Sołżenicyn też był chory na raka, i jest tak, że nie jest pewien, jak długo starczy mu wolności, czasu,

Dlatego ważna jest dla niego prawda i świadectwo, a już dużo mniej uogólnienie. Na to, nie wierzy być może, że starczy mu czasu. Powiedzieć szybko, jak najszybciej, czego nie mówią inni, bo nie wiedzą, boją się, lub nie żyją.

I Sołżenicyn czuje obowiązek nadrobienia w literaturze rosyjskiej nie tego co zostało zduszone w jej formie i nawet nie w głębi. Strach, nuda, rozpacz, bezcelowość nie są wyrażone formą, jak np. w „Apelacji” u Andrzejewskiego, u Pasternaka, u Rudnickiego. Ten strach przed brakiem czasu i korzystanie z gotowej formy – realizm. W tym kontekście, w kontekście autora i jego celu, a więc tendencji, ta literatura jest wielka. Pisze tak, jakby nie było nigdy Dostojewskiego, Kafki,... Tożstoj tak – był.

Nowy Jork, 19 czerwca 1973.

W pracy szaleństwo. Dziś dostałam z Waszyngtonu coś do przetłumaczenia na próbę.

Nowy Jork, 6-7 lipca 1973.

Joyland Road

Tłumaczenie odestane. Kartka od Szczygłów, jak zawsze, pełna wszystkiego, co najcieplejsze i najprawdziwsze.

„Last tango in Paris” – ucieczka. Piekielny, śmiertelny strach przed prawdziwą miłością. Prawdziwym życiem. Człowiek boi się prawdziwego. Woli wyrzec się „prawdziwego” dla konwencjonalnego. Dla mnie losy dziewczyny i chłopaka są jakąś transpozycją miłości Paula i Rosy.

Ciekawe, że ostatni obraz, obraz zabitego Paula jest identyczny nieomal, jak obraz Maćka z „Popiołu i diamentu” Wajdy. Zwinięty jak embrion.

Dziewczyna kocha i boi się. Przyjęta reguły gry w bezimiennosc, w coś, co jest równoległe do życia. Gry w podwójne

życie, ale boi się, kiedy ta gra przestaje być grą, a może stać się życiem. Chłopak boi się dziewczyny, jej kobiecości i swojej męskości.

.....
Nie mogę spać dzisiaj. Odpoczywam tutaj. Nie schodzę nawet na dół kolonii. Nie mam ochoty rozmawiać. Szydełkuję.

Janek wrócił z podróży po świecie. Spokaliśmy się.

Nowy Jork, 11 października 1973.

Przed chwilą rozmowa z Jurkiem. Po „Doktorze Żiwago” czyta „Pierwszy krąg”.

I oczywiście nie zgadza się ze mną. Właściwie tych utworów można w ogóle nie porównywać. I może nie trzeba, albo nie wolno nawet. Przyczyny zestawiania tych dwóch autorów są pozaliterackie i i poza-artystyczne: narodowość, Nagroda Nobla, wyklęcie w Związku Radz.

Ale jeżeli już to:

Sołżenicyn opisuje prawdę, którą zna, którą widzi, Pasternak – prawdę, która istnieje, którą można zobaczyć.

Bohaterowie Sołżenicyna mają rację (polityczną, narodową itp.), bohater Pasternaka ma odpowiedzialność, kosmiczną niemal, w każdym razie egzystencjalną.

Samotność bohaterów Sołżenicyna jest zdeterminowana warunkami politycznymi, samotność Dr. Żiwago – jego własnym wyborem. Jest to samotność człowieka wśród ludzi, wielka, przepastna, jedyna i powszechna.

Izrael – wojna oddziałuje na wszystkich przynębiająco. To zresztą mało. Ja pierwszy raz tak to przeżywam.

Notatki bez daty:

Ciałem można wyrazić wszystko, zdają się mówić wspaniale umiśnione tory aktorów, samo ciało jednak nie jest się w stanie wyrazić w tym, co nie jest jego istotą, funkcją pierwotną, celem naczelnym. Znowu zostaliśmy bez terrakoty.

Wszystko zamiast ...

Mężczyźni kryją się za rekwizyty (biernik) czasem nawet za swoją własną męskość, która tutaj również staje się tylko rekwizytem.

.....

„Obłomow” to to, co najbardziej rosyjskie w Rosji i co ją doprowadziło do upadku.

W „Indyku” Mrozek krócej to powiedział:

– A może by zasiać coś eeeeeee

Ale to jest ta miłość, roztkliwienie, ciągłe zastanawianie się nad duszą, naturą.

Pieszczoł.

To co pozytywne, to Stolz – opanowanie natury.

Michałkow – w zamglonym krajobrazie ktoś kogoś bardzo długo goni i nic z tego.

Publikacje:

Antynostalgia, (rec. książki H. Grynberga), *Wiadomości*, Londyn, Nr 1424, 11 lipca 1973

*Z Florencji, Pory roku, Santa Maria Ausiliatrice, Pompeja *** Tak cię ominę; *** Zmieniony POCHODNIA*. Miesięcznik Społeczny Polskiego Związku Niewidomych. 5/429; 1973 XXVI, s.32-33 Warszawa.

Pory roku, Pompeja, Santa Maria Ausiliatrice, Erotyk. Program Imprez Nowego Romantyzmu. /Forum Poetów Hybrydy. 1973.s.8-10 Warszawa.

ANNA FRAJLICH

Zbigniew Szczepanek



Marian Kisiel

MAŁY CMENTARZ (2)

1

Henri Bergson o kuli śnieżnej (*Śmiech*, przeł. Stanisław Cichowicz, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1977, s. 118 n.): tocząc się po stoku góry, rośnie, potężnieje, zabiera nowy śnieg. — Barbara Skarga w *Tożsamości i różnicy* (Znak, Kraków 2009, s. 276), nawiązując do tej metafory: „Każdy nowy moment przynosi przetworzenie całości. Terazniejszość wyznacza przeszłość. Przerwana w jakimś punkcie melodia ma zupełnie inny sens niż ta wysłuchana do końca”.

2

Piotr Czaadajew, *Fragmenty i różne myśli*, fragment 85a, przekład mój. — „Istnieje więcej uzasadnionych przekonań niż wątpliwości: oto, co oznaczają wzniośle słowa św. Pawła: »mitosierdzie wszystkim wierzyk!«. — Czaadajew zastąpił słowo „mitość” z *Listu do Koryntian* (13,7) — „mitosierdziem” z *Listu do Tytusa* (3,5).

3

Wikentij Wieriesajew, *Notatki na własny użytek*, przekład mój. — „Nie wiem, czy zostało to gdzieś zapisane. Usłyszałem to od ludzi, którzy znali malarza Wasilija Surikowa. Jego obraz *Poranek przed stracaniem strzelców*. Brzask poranka. Miejsce egzekucji. Na wozach strzelcy przywiezieni na egzekucję z posiniąłymi od tortur twarzami, z palcami się woskowymi świecami w dłoniach. Żołnierze przemienieni. Car Piotr na koniu dogląda przygotowań do egzekucji. Szubienica nakreślona jest niewyraźnie. — Kiedy Surikow kończył już obraz, zawitał do jego pracowni Ilja Repin. Popatrzył. — Powiesiłby Pan choć jednego strzelca! — Surikow postuchał rady, powiesił. I obraz w trzech czwartych... utracił swoją grozę. I Surikow usunął powieszonoego”.

4

Jarosław Marek Rymkiewicz w *Wieszaniu* (Sic!, Warszawa 2007, s. 61) cytuje ks. Józefa Meiera z „Gazety Warszawskiej Patriotycznej”, 17 V 1794: „Czterech powieszono, a gdzie ich więcej? Trzeba te podłe stworzenia w wolnej ziemi wygubić, ażeby swoim jadowitym oddechem nie zarażały zdrowe i czyste powietrze szkodliwym zdrady i intryg powiewem”.

5

Rymkiewicz w *Wieszaniu* (s. 166): „Kto spowodował to wielkie wieszanie, do którego doszło w Warszawie 28 czerwca? To pytanie można sformułować również trochę inaczej, jakoś bardziej ogólnie: jaka była pierwsza przyczyna tego wieszania, co było na samym początku i od czego to się zaczęło?”.

6

Ludzie tak bardzo celebryją słowa, żeby nie wyszło, że boją się słów.

7

Piotr Czaadajew, *Fragmenty i różne myśli*, fragment 25, przekład mój. — „Słowo! Czym jest słowo? Spójrzcie na sternika; prowadzi statek wśród podwodnych skał, z własnej woli kręci nim jak unoszącym się na wodzie kawałkiem drewna; sprawia to kilka słów, które od czasu do czasu wypowiada. Tym jest słowo. Spójrzcie na pole bitwy, gdzie sto batalionów porusza się jednocześnie i pędzi na wroga; sprawia to jeden znak, jeden gest

generata. Znów słowo. Wyobraźcie sobie ten głos, jeszcze potężniejszy, rozbrzmiewający w nieskończoności natury wyraźniej niż może to sprawić jakikolwiek głos ludzki w ograniczonej przestrzeni. I właśnie ten głos jest Słowem doskonałym. Dlatego słowo jest głosem skutecznym, głosem tworzącym”.

8

Q. lubił czytać. Nie wystarczy być krytykiem, by czytać. Trzeba jeszcze lubić czytać. Pamiętam, jak zakłopotany, redagując jakiś kolejny tom, nie mogłem znaleźć osoby, która zechciałaby pochylić się nad powieściami P. Nie znałem jego książek, nie czytałem go. Zapytałem Q., czy mógłby napisać o P. Napisał, a wcześniej o nim opowiedział tak, jakby od zawsze czytał go z namiętnością.

9

Św. Augustyn, *Soliloquia*, przeł. Anna Świderkówna (*Soliloquia. O nieśmiertelności duszy. O wielkości duszy*, tłum. różni, PWN, Warszawa 2010, s. 45). — „Dziękuję ci i — dopóki cisza jest wkłó — rozważę dokładnie i ostrożnie to rozumowanie sam ze sobą i oczywiście także razem z tobą. Oby tylko nie wkradła się żadna ciemna chmura i oby — czego się najwięcej obawiam — nie zwiodła mnie swoim urokiem”.

10a

Janicjusz, epigramaty, III (*Ad quemdam / Do niego*), przekład mój. — *Vivus adhuc funebre petis tibi carmen. Habebis, / Sed cito si fieri vis, moriare cito.* — Chcesz mieć za życia / pieśń nagrobną? / Mieć będziesz, spiesz się, / Czekaj na ciebie od jutra.

10b

Janicjusz, epigramaty, XI (*In Nummicum / Na Numika*), przekład mój. — *Cur tibi non placeo? Placuit nemo omnibus umquam, / Numice; qui placeas omnibus, unus homo es. / Inde vovent omnes (di tam pia, quae aeso, secundent / Voła) tibi furcam, Numice, sive crucem.* — Że mnie nie kochasz, przecież wiem, / lecz któżby nas wszystkich kochał? / Ty się podobasz tylko tym, / co wielbią miedź, a nie złoto. / Więc proszę bogów, abyś też / poznał, czym dyby są i krzyż.

10c

Janicjusz, epigramaty, XIV (*In imaginem latronis dextri / Na wizerunek łotra wiszącego po prawej stronie*), przekład mój. — *Vox dedit una mihi vitam post pessima vitae / Tempora. Quis dubitet de bonitate Dei? — Wątpić w miłosierdzie? / Choć miałem podłe życie, / jego jedno słowo życie mi przywróciło.*

10d

Janicjusz, epigramaty, XV (*In imaginem Zachei / Na wizerunek Zacheusza*), przekład mój. — *Accipite hospitium Christum, qui mole iacetis / In scelerum; errantes quaerere venit oves.* — Uginamy się pod grzechami niczym pasterze niosący na barkach owce. / A oto on, idzie i szuka zagubionych owiec.

10e

Janicjusz, epigramaty, XIV (*In imaginem Matthaei Evangelistae / Na wizerunek Mateusza Ewangelisty*), przekład mój. — *Publicus exator Christo accersente reliqui / Omnia; sic facito, qui meliora cupis.* — Ja, poborca podatków, rzuciłem wszystko.

/ Bo on mnie wezwał, choć niczego nie miał.

10f

Janicjusz, epigramaty, XIV (*In imaginem Petri Apostoli / Na wizerunek Piotra Apostoła*), przekład mój. — *Claviger en ego sum illius, quem nosse negaram; / Omne nefas veris abluitur lacrimis.* — Klucznikiem jestem tego, którego om odepścił; / Wszelki występki szczere łzy obmyją.

10g

Janicjusz, epigramaty, LXXV (*Sibi / Sobie samemu*), przekład mój. — *Spe vacuus vacuusque metu cubo mole sub ista / Et vere vivo. Mortua vita, vale! — Leżę tu wolny / pod kamieniem / od wszelkich lęków, / od nadziei. / Żyję prawdziwie, / jak nie żyłem. / Żegnaj mój świecie, / żegnaj życie.*

11

13 listopada 2019. — Nowe wnętrze świątyni. A kiedy zachłysłeni się jego wnętrzem, poczuł, że woń kadzidła zaczęła ich dusić, że tamto, wonne, choć już dawno zbrzydłe, mimo wszystko dawało jakąś szansę na oddech, podczas gdy nowe stało się ostatnim zawiązkim tchu.

12

20 listopada 2019. — Jest taka miłość, która czeka do ostatniego tchnienia. Choć zawadzają dni i ludzie, ona wciąż czeka i nie wierzy, że udać się nie może to, co udać się powinno. Są tacy ludzie, którzy raz w życiu doświadczali tego, że warto czekać. Zdarza się, że na chwilę przed odejściem, ten uśmiech ze spieczonych warg jest radością i nagrodą. Oto się spełnia: dzień i noc, smutek i radość, pojednanie. Odchodząc w nieznanne pokoje, ten pokój szczęścia — ślni.

13

Chłopiec z renesansowego miasta. — Pamiętam go, miał ładną twarz. Ale teraz jest już brzydki i tak musiało się stać. Ładne i brzydkie — zapisany w Biblii dwumian nieodwracalny; ale w naszym życiu odwraca się i z nas drwi. Brzydki pójdiesz do piekła, ładny już nie będziesz. Brzydki się będziesz palił, ładnie bryzną płomienie.

14

„W słońcu stare place milczą” (Georg Trakl. *Śpiew osamotnionego*, przeł. Krzysztof Lipiński, Wydawnictwo Miniatura, Kraków 1998, s. 166). — *Piękne miasto jest wierszem o nudzie.*

14a

Emil Cioran (*Wyznania i anatemy*, przeł. Krzysztof Jarosz, Aletheia, Warszawa 2018, s. 37): „Nuda, przypadłość uznawana za błahą, sprawia jednak, że dostrzegamy otchłań, z której wyziera potrzeba modlitwy”.

15

Marionetki. — Emil Cioran w *Wyznaniach i anatemy* (s. 123) napisał, że człowiek przestaje być marionetką nie dlatego, że jest genuszem, ale dlatego, że cierpi. I że wyjątkiem z tego powodu. Obserwując naszych genuszów, mam przekonanie, że nigdy nie przestaną być marionetkami, ponieważ sztuka cierpienia jest im obca. Uznali ją za coś, co ubliżyłoby ich genuszowi.

15a

Marionetki. — Ci, którzy myślą, że będą

mogą dzielić radość współbycia, powinni wczasy pożegnać się z sobą, albowiem już zostali wygrani przez tych, którzy, jak mówi Cioran, nigdy nie przestali być marionetkami.

15b

Lalki w bezustannej grze. Marionetki

16

Adam Lipszyc o Paulu Celanie (*Czas wiersza. Paul Celan i teologie literackie*, Austeria, Kraków-Budapeszt 2015, s. 7): „Celan rozbijał tworzywo językowe, pruć tkaniny swoich dawniejszych utworów, sam sobie wpadał w słowo. Stąd też w wielu jego wierszach miejsc czy punktów pamięci należy szukać w lukach między słowami, w dywizach rozrywających słowa na pół, czasem wręcz w znakach interpunkcyjnych”. — Ranił słowo, rozdrapywał je, z bólu wyprowadzał wolność ku nicości. Ku temu, co stoi tam, i stoi — *Das steht es und steht* — w migdale.

16a

Obudziłem się. We śnie miałem obmyślony cały plan opowieści. I nic. Martwa mowa dnia często wzbrania się przed tym, do czego nakłania namiętna mowa nocy.

17

Rodziewiczówna. — Nie przeminie, będzie trwać. Na przekór naszemu buntowi. Odradzać się będzie jako pamięć świata, który wciąż objawia się jako ten, w jaki chcielibyśmy czasem zapaść, bez konsekwencji życia w nim.

18

Dmitrij Mereżkowski, *Notatnik 1919—1920*, przekład mój. — „Co oznacza światowa katastrofa, przeżywana dzisiaj przez ludzkość; zagładę Europy — polityczną, ekonomiczną, socjalną, kulturalną? Dlaczego w wojnie światowej nie ma zwyciężonych, nie ma zwycięzców? Dlaczego zwycięstwo jest gorsze niż klęska? Rosyjski bolszewizm i polski mesjanizm odpowiadają na te pytania jak gdyby podobnie: z kategorii narodowego bytu ludzkość powinna niechybnie, pod groźbą zagłady, przejść w inny wymiar, wyższy, bytu wszechświatowego. Niegdyś, w ludowych formach swojego bytu, narody żyły i rosły wolne; teraz umierają w nich, duszą się. Niegdyś były pieluchą kołysanki, teraz formy te stają się śmiertelnym całunem. Ludzkość albo potoży się w nich do mogiły, żeby się rozpaść, albo odrzuci je jak zmartwychwstały Łazarz”.

19a

W *Krzyżakach* Henryk Sienkiewicz ustami Maćka z Bogdańca o Zbyszku: „warchlak”. Historia Polski: od „warchlaka” do „warchota”.

19b

Maria Pawlikowska-Jasnorzewska, *Szkicownik poetki, X (Wybór poezji)*, oprac. Jerzy Kwiadkowski, Ossolineum, Wrocław 1998, s. 267): „Kiedy jej złą podano wiadomość, zerwała się Kleopatra z łoża i sztyłem przebiła serce niefortunnego postarńca, mszcząc się za ból, który jej zadał mimo woli”.

20

Apollo Korzeniowski, *Komedia*, 1855, akt III, w. 527-528: „O! Wy, pajace życia, światowi kuglarze, / W ciele pyszni i wielcy, a w duszy — nędzarze”.

21

Zdumiewa, jak mądry człowiek może głupio mówić, kiedy stara się zamknąć coś w zdaniu definiującym. Definicja uraga mądrości, ponieważ jest jej wyimkiem — bez

zwątpień, pytań zadawanych sobie i innym. Zamknijmy kulę w definicji. Niechże komu się to uda!

22

Norwid o „głosie” (*Pisma wybrane*, t. 4: *Proza*, oprac. Juliusz Wiktor Gomulicki, PIW, Warszawa 1983, s. 369): „we wszystkości rzecz swą jedynie wążąc, nie wychodzi on nigdy ze swego punktu-wyjścia!...”

23

Katowickie upaty. Wszystkim przepaliło mózgi.

24

Barbara Skarga w rozmowie z Piotrem Mucharskim: ciekawy jest każdy człowiek.

25

K. zaangażował się w ratowanie beznadziejnej sprawy. Miał dużo dobrej woli, lecz osądzili go, jak zwykle. Apostata. A po trzech miesiącach został wyrzucony z pracy. I znów go osądzono: mógł nie być apostatą. Zdumiewa ta moralność: okaleczyć za pierwszym razem, dobić za drugim.

26

Studentka na egzaminie: „Hiszpanie już nie wierzą w Boga”. — Św. Janie od Krzyża, gdzie jesteś?

27

T. wieczny chłopiec, stale przeżywający dramat władzy. Wokulski, mający wszystko, musiał kiedyś powiedzieć: *farewell*. W obcym języku dramat własny prowadzi do samobójstwa.

28

Nie zawsze w chwili ostatniej znajdzie się jakiś Wysocki, który poda nam rękę.

29

Geist w *Lalce* Bolesława Prusa: „Nikomiu nie ufam [...]. Bo jaką mi dać tu może rekojmie?... Przysięgę czy słowo honoru?... Za stary jestem, aby wierzyć w przysięgi... Tylko wspólny interes jako tako zabezpiecza od najpodlejszej zdrady, a i to nie zawsze...”

30

Ryszard Koziołek w eseju o *Lalce* Bolesława Prusa (*Wiele tytułów*, Czarne, Wołówiec 2019, s. 135): „Pozytywizm nie poradził sobie z roszczeniami jednostki do szczęścia indywidualnego i ludzką potrzebą sensu istnienia”. Czy była jakaś epoka, która sobie z tym poradziła?

31

Chciałbym pisać aforyzmy, a piszę ne-krologi.

32

Emil Cioran (*Wyznania i anatemy*, przeł. Krzysztof Jarosz, Aletheia, Warszawa 2018, s. 61): „Dla pisarza zmiana języka jest jak pisanie miłosnego listu z pomocą słownika”.

33

Piotr Czaadajew, *Fragmenty i różne myśli*, fragment 57b, przekład mój. — „Znamy tylko małą cząstkę naszego bytu, tę, która odnosi się do prawdziwego życia; dobrze wiemy, że trwa znacznie dłużej, a przy tym wszystkim — rzecz niestychna! — chcemy zrozumieć prawo naszego bytu również w całej jego pełni”.

34

Czechowicz, *Koń rydzy* (*Pisma zebrane*, kom. red. Józef Fert i in., t. 4: *Proza*, oprac. Tadeusz Kłak, Lublin 2005, s. 153-160). — Na „koniu rydzym” jedzie „żandarm śmierci”, „obcujący tylko z martwymi, milczący

jak oni”. „Przemierzał pobożowiska tuż za oddziałami walczącymi, przystawał nad ciałami poległych, zbierał ich dokumenty, listy, fotografie, drobiazgi, nieraz długo coś notował w czarnej książeczce, którą potem krył w kieszeni siodła [...]”. Narrator opowiada o lęku przed śmiercią. Knysz, żołnierz zwykle błaznujący, którego dosięgły strzały bolszewickiej pancernki, w przeczuciu końca patrzy na teatr wojny jak na jakiś spektakl, w którym natura świata odrealnia się. Narrator, również odczuwający nieustanny lęk, codzienne rozmowy i zachowania żołnierzy zestawiał z nieheroicznymi obrazami śmierci, infernalnym krajobrazem wojny. Śmierć Knysza pokazał niemalże poetycko: „Zachodzące słońce błyskało w ciemnej a wielkiej kałuży krwi. Zachodzące słońce opadało niżej i niżej, jakby chciało zajrzeć w głąb niedomkniętych oczu zabitego”. — „Na wojnie życie się bierze, życie się oddaje” — pisał po latach Tadeusz Różewicz. W *Koniu rydzym* zamiast patosu i rozpamiętywania — „prostota i lakonizm scenariusza filmowego” (Czechowicz w liście do Konrada Bielskiego). — „Ano, nie ma Knysza! — tak kapral zamykał, zastrubowywał sprawę. — Szkodą go. Wesoty był chłop!” „Żandarm śmierci” zebrał jego zeszyt i kopertę z papierami, wsunął do torby przy siodle, „poprawił się na rydzym koniu” i pojechał przed siebie.

35

Martin Heidegger, *Hölderlin i istota poezji* (przeł. Krzysztof Michalski, w:). — Prawdziwa poezja zawsze jest czymś, co „istotne w istocie”, a więc poważne, pozostające w kręgu myśli. Nie każda myśl — nawet wzniosła — jest poezją, ale każda poezja — nawet niewzniosła — jest myślą. Powiada filozof: „Poezja jest stanowieniem czegoś przez słowo i w słowie. Lecz co jest tak stanowione? Coś, co trwa”. I dopowiada: „Poezja to stanowienie bycia przez słowo”. Owo „stanowienie czegoś”, więc: „stanowienie bycia”, może odbywać się wyłącznie w słowie, ponieważ poeta nie istnieje poza mową. „Tam tylko, gdzie jest mowa, jest i świat”, twierdzi Heidegger; dzięki mowie człowiek ma w ogóle możliwość „bycia”. Mowa nie jest narzucaniem innym siebie, mowa dzieje się w rozmowie. Tylko w rozmowie jesteśmy sobie bliscy, „jesteśmy jedną rozmową”. „Rozmowa i jej jedność są podporą naszego istnienia”. Jesteśmy zaś „jedną rozmową” od kiedy jest czas. Dzięki niemu możemy doświadczyć tego, czego nie poznalibyśmy, gdyby nie odsonił się on w swoich wymiarach na to, co jest, co było, co będzie. Jesteśmy odtąd jednością, od kiedy uświadamiamy sobie swoją „dziejowość”. Wtedy — w słowie — nazywani są bogowie, „zjawia się świat” i „świat staje się słowem”. A poeta? Jest „pomiedzy” bogami i ludźmi, „zdobywa prawdę dla swego ludu — sam za wszystkich, i dlatego zdobywa ją istotnie”.

36

Wasilij Rozanow (*Ciemne oblicze. Metafizyka chrześcijaństwa*, przeł. Henryk Paprocki, Eneiteia: Wydawnictwo Psychologii Kultury, Warszawa 2006, s. 229): „Modlitwa jest modlitwą. A kto jej nie odmawia, ten traci całą wieczność”.

37

Piotr Czaadajew, *Fragmenty i różne myśli*, fragment 57a, przekład mój. — „Filozof czyni z Boga prawo, harmonię, wszechświat, nie wiem co jeszcze; potem mówi: bóstwa nie można zrozumieć. Myślę sobie tak. Jak ja pojmem tego Boga — niespójnego, pomnożonego do nieskończoności, rozum i materię jednocześnie? Przecież wcale nie jest to ten

→ Bóg, który jest, to Bóg, którego stworzono. Z najprostszego idei, uczyniono najtrudniejszą; prawdę mówiąc, to zdumiewające, że nie wiemy, jak wbić ją sobie do głowy”.

38

Ojciec modlący się codziennie, rano i wieczorem. Rytuał życia. Przyjmowaliśmy jego wyznanie w milczeniu. Nie podjęliśmy go, a on nie nalegał.

39

Tolerancja: „wierz w co chcesz, bylebyś wierzył”.

40

Konfucjusz, *Myśli*, przekład mój (przez rosyjski). — „Są trzy drogi do poznania prawdy. Droga rozmyślań jest szlachetną drogą. Droga naśladowań jest najlżejsza z wszystkich. Droga doświadczeń jest najbardziej gorzka”.

41

Karol Wojtyła w poemacie *Odkupienie szuka twego kształtu, by wejść w niepokój wszystkich ludzi (Dzieła literackie i teatralne, t. 2: Utwory poetyckie (1946-2003), red. Z. Zarębianka, Znak, Kraków 2020, s. 177): „więc mówisz: / chcę być blisko, tak bardzo blisko / by żadna pustka nie objawiła mi siebie w oderwaniu od Ciebie”. — „Nikt ci nie przeszkodził, Weroniko. / Jesteś blisko”.*

42

Rabindranath Tagore, *Gitanjali*, pieśń 31, przekład mój. — „Więźniu, powiedz, kto zakut cię w kajdany? — Mój mistrz — odpowiedział więzień. — Myślałem, że przewyższę wszystkich na świecie bogactwem i potęgą, więc ukryłem w swoim skarbcu wszystkie pieniądze mego pana. Kiedy sen mnie zmożył, położyłem się na postaniu przygotowanym dla mego pana i, obudzivszy się, zobaczyłem, że jestem więźniem własnego skarbcza. — Więźniu, powiedz mi, kto kut ten niezniszczalny łańcuch? — Ja sam — odpowiedział więzień. — Ja sam kute go troskliwie. Myślałem, że moja niezwykła moc pokona cały świat, a sam będę wolny. I dzień, i noc pracowałem nad łańcuchem, wypalałem go w płomieniach i uderzałem w żelazo z okrutną, potężną siłą. A kiedy skończyłem pracę i ogniwa łańcucha zostały nierozzerwalnie z sobą połączone, zobaczyłem, że to on mnie uwięził”.

43

Aleja Narcyzów? Darń pokrywa płonące spojrzenie.

44

Zatrzymując się na chwilę przy kamiennej płytce — co wiem? Jakie były jego pragnienia, za kim tęsknił? Czy na tym samym cmentarzu leży ta, której pragnął, a nigdy jej o tym nie powiedział?

45

Połączenie po śmierci? „W nicości nie ma połączenia” — pisał gdzieś Marc Orison.

46

Mijam groby jak domy. Patrę na zdjęcie jak na twarz. A duch pamięci wciąga mnie w wir, gdzie znów jesteśmy razem — poza czasem, poza śmiercią, radośni jak brzozy sok.

47

Stanisław Rosiek (*Wymiary śmierci*, wybór i słowo wstępne..., słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2002, s. 5): „Są tylko umarli i o nich warto (i trzeba) mówić”. — „Im piękniej, tym gorzej. Irytująca kaligrafia — wszystkie te piękne zdania o śmierci, błyskotliwe paradoksy, nienagannie skrojone aforyzmy. Jak

najmniej stylu. Wobec spraw ostatecznych konieczna jest powściągliwość. Należy mówić mało i jak najprościej”.

48

Jest rok 1973 lub jakiś bliski, zbieramy z ojcem ziemniaki. Wykopki. Rozmowa o dorostości. Ironista ojciec i ja — mądrzący się teraz, po latach.

49

Wasilij Rozanow (*Ciemne oblicze. Metafizyka chrześcijaństwa*, przeł. Henryk Paprocki, Eneteia: Wydawnictwo Psychologii Kultury, Warszawa 2006, s. 91): „Któż się nie myli? Nie myślą się tylko zmarli”.

50a

Siergiej Andriejewski, *Książka o śmierci*, przekład mój. — Na wieży klasztoru Nowodiewiczego w Moskwie jest zegar, który odmierza krótkim uderzeniem dzwonu każdą minutę. Nigdy wcześniej w zegarach na wieży czy w mieszkaniu, nie spotkałem podobnego mechanizmu. Uderzenie jest na tyle niestyszalne, że, być może, wielokrotnie odwiedzając klasztorny cmentarz, nie zwróciliśmy uwagi na tę właściwość katedralnej dzwonnicy. Czasem zdarzało mi się być tam w pogodny i cichy wiosenny wieczór z ukochaną kobietą, w najbardziej wrażliwym nastroju mojej duszy i przy całkowitym braku kogokolwiek na schludnym, bogatym i eleganckim cmentarzu, kilka minut przed jego zamknięciem dla publiczności. Przechadzaliśmy się pod rękę po drózkach, pośród wszelkiego rodzaju dopieszczonych pomników, z ich popiersiami, płytami, kratami, wieńcami, fotografiami i woskowymi bukietami pod wypukłym szkłem, czytaliśmy napisy, wpatrywaliśmy się w świeżo darń, czuliśmy gdzieś wewnątrz siebie przelotność i niezastuzoność naszego wielkiego szczęścia, i, nie bacząc na to, z dziecięcą wesołością uśmiechaliśmy się do siebie i trwożyliśmy się tylko tym, że niebawem kościelny stróż może zechcieć skrócić naszą przechadzkę, aby zamknąć narożną bramę klasztoru. A dzwonnica wciąż dzwoniła tym samym jasnym i cichym dźwiękiem... Zrozumeliśmy tutaj z całą oczywistością, jak szybko upływa czas w chwili szczęścia. Zdało nam się, że zegar nie przestaje bić... Wstuchiwaliśmy się w te szybko zmieniające się dźwięki — i dopiero wtedy okazało się, że między dwoma uderzeniami mija równo jedna minuta.

Wyszliśmy z klasztornych murów, ścigani tą samą niemilkącą mową wysokiej i pięknej dzwonnicy, oświetlonej jasnym zachodem słońca wiosennego wieczoru. Podobało nam się smutne piękno tego bezludnego miejsca. Zapragnęliśmy przejść się po suchych i zieleniejących drózkach wokół klasztoru, i na jednym z mostków, obdarowawszy się namiętnym i radosnym pocałunkiem, jakbyśmy wystawiali swoje szczęście na pokaz, dlatego, że w tym samym czasie jakaś grupa letników kierowała się przez pole w stronę tej samej dróżki, po której szliśmy i my... I dźwięki zegara z wieży już nie dobiegały do nas.

50b

Siergiej Andriejewski, *Książka o śmierci*, przekład mój. — Spotkałem ją 22 stycznia 1889 roku. Oślepiła mnie od razu swoim wdziękiem, elegancją, szlachetnością, młodością. Miała dwadzieścia lat, ja niebawem czterdzieści dwa. Do niej skierowałem swój wiersz: „Śniłem, że jestem poetą...” Przez dziesięć lat była jedyną radością mojego życia, bez względu na kłótnie, niezgody, udręki. Nic nie mogło we mnie zagłuszyć mojego do niej uczucia bliskości. Oddała mi się cała, bez ograniczeń, bezwrotnie

— wierna, prawdziwa, dumna, jedyna, czarująca i cudowna... Oczekiwała tylko mojej wzajemnej wierności, wypowiedziawszy niezapomnianą myśl: „Je comprends qu'on peut rendre son corps sans rendre son coeur, mais quand on a rendu son coeur, on ne peut plus rendre à personne sons corps” [Rozumiem, że można oddać ciało, nie oddawszy duszy, lecz jeśli odda się duszę, to nikomu innemu już nie odda się ciała]. Po dziesięciu latach powoli odkrywała się jej choroba. Rozbitysta niepotrzebna, gniewna zazdrość. Zaczęły się niepojęte i nietypowe dla niej żądania i groźby, z jej łagodnych, miłych warg dobywały się gwałtowne przekleństwa, kiedy indziej na jej bladej, wyčerpanej i uroczej twarzy nagle pojawiała się delikatna dobroć, a ona szeptała z zakłopotaniem: „Je ne sais ce que c'est. Je suis malheureuse. Il ne me reste que l'hôpital ou le couvent” [Nie rozumiem, co się ze mną dzieje. Jestem głęboko nieszczęśliwa. Nie pozostaje mi nic innego, tylko szpital lub klasztor]. Nastąpiło gwałtowne rozstanie, podczas którego (prawie pół roku) nie opuszczała swoich pokoi i przeleżała w łóżku. Cierpiąłem, nie rozumiejąc, co się dzieje. Wreszcie nie mogła tego wytrzymać i pierwsza zażądała mego powrotu. Po kilku miesiącach ujawniła się jej choroba psychiczna...

Szpital. Ponowna rozłąka, tym razem przechodząca w koszmar. I jeszcze dwa lata bolesnych radości. Pozostając dziwną, rozkwitła, stała się spokojna, pracowita, potulna, cicha, wzruszająca. I nagle, wiosną 1902 roku, w ciągu tygodnia, cała choroba powróciła z niezwykłą siłą. 29 marca 1902 roku wyszła ze swojego kąta, uległa, w majakach, wsiadła do powozu i została ukryta przed moimi oczami prawie na zawsze w innym szpitalu. Nie było dnia, żebym o niej nie myślał — i nie dzielił w umyśle jej cierpienia i zamknięcia.

Czyniono mi nadzieję... 7 sierpnia 1904 roku, po dwu i pół roku, postanowiłem w końcu ją zobaczyć (wcześniej nie pozwolono), przynajmniej, żeby się pożegnać. Z drżącym sercem odszukałem korytarz, gdzie był jej pokój i wszedłem przez otwarte drzwi gdzie indziej... Zostałem zatrzymany i zawrócony. W głębi jej pokoju podniosła się na mój widok staba, wysuszona kobieta o posiwiałych włosach. Nie poznałem jej. Ale to była ona. I zapłakałem głośno, rozpaczliwie, i płakałem tak prawie godzinę, jak na jej grobie. A ona, milcząc, mocno przytuliła się do mnie. Stojąc za moimi plecami, zamykała mi oczy swoją uroczą dłońią, żebym nie przyglądał się jej zniekształconym rysom... Jej serce strasznie biło, ale dławiąc się emocjami, nie odezwała się ani słowem. Kiedy zaś mnie wezwali, mówiąc, że nasze spotkanie dobiegło końca, zabrała swoje ręce, odeszła i nagle zaczęła ochryplym głosem, w jakąś stronę, wypowiadać niezrozumiały ciąg słów z okrzykami przekleństw...

50c

Siergiej Andriejewski, *Książka o śmierci*, przekład mój. — Spotkaliście już tę kobietę, dwukrotnie błysnęła w moich notatkach. Wraz z nią odwiedziłem cmentarz klasztoru Nowodiewiczego w Moskwie. Przed nią zalewałem się łzami w lecznicy dla nerwowo chorych. Być może, lepiej bym zrobił, gdybym napisał *Książkę o miłości*, gdzie bym przedstawił tę kobietę, Madelenę Jung. Miłość jest taką samą tajemnicą, jak śmierć. Lecz „miłość” znają wszyscy. Trudniej jest o nią pisać. Niczym mężczyzna nie żyje tak jasno, tak ogłupiająco całkowicie, jak

miłością do kobiety. Od powstania świata jeszcze nie wypowiedziały się języki, jeszcze nie wypisały pióra na ten temat. I tak będzie później. I nikt się do końca nie wypowie.

Ta kobieta była wcieleniem mojej duszy. Gdyby jakiś największy artysta chciał wyobrazić moją Muzę, w natchnieniu odnalazłby właśnie ten kobiecy obraz i żaden inny. Smutek, harmonia, subtelna wrażliwość i nienaganne, pełne radości, piękno... Zachowana fotografia daje tylko cień uroku Madeleny. Negatyw nie oddał jej delikatnego rumieńca. Na portrecie nie ma jej uśmiechu z głębokimi dołkami w kącikach ust, z urzekającym blaskiem szczęścia w oczach. Uchwycone zostało tylko nieśmiertelne piękno linii jej rąk.

Heine, wspaniały ilustrator miłości, pragnął zanurzyć libański cedr w kraterze Etny, aby ognistą lawą narysować na niebie imię swojej ukochanej. Tak! Najbardziej ukochana kobieta, jak ognisty napis na niebieskiej otchłani, wypełnia sobą całą podniebną przestrzeń. Należałoby do niej mówić nie „moja miła”, a „mój Wszechświecie”...

Przez pięć lat niezmiennie Madelena wypełniała moje życie. Pierwsze wrażenie było tak niesamowite, że dokonało całkowitej rewolucji w mojej duszy. Upewniwszy się, że darzy mnie pełnią swojej miłości, długo nie mogłem uwierzyć w swoje bajkowe szczęście, lśniące na mojej drodze wśród licznych kłopotów, prac, chorobliwego uwiązania, pokornej tęsknoty i nieprzerwanego, męczącego niezadowolenia. Wydawałoby się, że wiele już osiągnąłem. Urządziłem się w życiu. Miałem

dobrą rodzinę, swój kąt, swoje domostwo, a nawet atrakcyjny z zewnątrz sukces. Lecz wewnątrz coś mnie gryzło. Dawno przekroczyłem czterdziestkę, i nie było minuty, której bym nie wspominał bez gorzkości. Nie znałem jeszcze tego, bez czego nie należy rodzić się na świat, tego samozapomnienia o sobie, choćby na chwilę, kiedy radujesz się całym i jesteś przepętniony bezgraniczną wdzięcznością za los... Za co? Za to, że wydaje ci się, jakbyś doszedł do najważniejszego, do swojego celu, do jakiegoś sensu, jednoczącego się w czymś całym, rozgrzewającym i jedynym, całym chłód, cały absurdalny zgiełk życia. Ale po co o tym pisać!

A przecież nas ciągnie... Chciałoby się, krok po kroku, szczegółowo i wyraźnie, od początku do końca, z wytrwałością i pamięcią Lwa Tołstoja, przywrócić tę ogromną, żywą, najważniejszą linię życia.

Nie można! I czas minął, i przedmiot tak bliski... Być może, udały się mi te stronice, gdzie przeżywałem odległą przeszłość albo, jak obserwator, przywoływałem umykające obrazy. Ale tutaj, cały, od stóp do głów, żyłem długą teraźniejszością, nie przewidując ani końca, ani rozwiązania! „Życie naprawdę” — tego się nie da opisać!

Mimo to postaram się oddać choć cień wizerunku tej uroczej, wyjątkowej kobiety.

Pierwsze spotkanie... Posiadłem ją — i to natychmiastowe uczucie niewy tłumaczalnej, jakby śmiertelnej bliskości. Bałem się przyznać przed sobą, że było to wzajemne... Przez cały następny dzień jej oczy płonęły w moim

umyśle, jej serce biło w mojej piersi. Nigdzie nie mogłem odejść myślą od niej. Była dla mnie obca, w obcym mieście, w Moskwie. Próbowałem sobie powiedzieć, że to „zwykła przyjemność”, że o tym, co było można zapomnieć, albo, nawet, powtórzyć to samo, kiedy będzie się chciało, w formie rozrywki. Wieczorem, jak nigdy dotąd, wsiadłem do petersburskiego pociągu. I majaczyłem o niej całą drogę!

Przez tydzień nie mogłem wytrzymać i pod wymyślonym pretekstem znów wyjechałem do Moskwy.

Zimny dzień 1 maja. Z nieokreślonym uczuciem czekałem wieczoru. Wszedłem w te same pokoje o wcześniej wyznaczonym czasie. I, Boże, jak zakotała moje serce, kiedy usłyszałem w przedpokoju cichy, miły dźwięk jej głosu. Mówiła półszepcetem, lecz ja z daleka dostrzegłem powściągliwą radość jej rozmowy... Drzwi otworzyły się i nie ma innych słów, prócz słów Turgieniewa, żeby wyrazić tę minutę: „szczęście mojego życia” szło wraz z nią w moim kierunku!... Tak oszalałem, że, szybko ją przytulwszy, rzuciłem się, żeby całować jej skórzane pantofelki. Ona czule się śmiała i wydawała się także szczęśliwa. Mówiłem jej, że cały czas wskrzeszałem w pamięci jej rysy, a jednak nie mogłem ich jasno zobaczyć. I zmrzyłem oczy, żebym później mógł łatwiej wywołać jej wizerunek. I kiedy je otworzyłem, jej żywe piękno przewyższało wszystko, co wydawało mi się w ciemności...

MARIAN KISIEL

Zbigniew Szczepanek



Krystyna Konecka

PROFESOR ANDRZEJ STRUMIŁŁO – „SAM OCEANEM I CZASEM”



Maćkowa Ruda. Prof. Andrzej Strumiłło z Czariną w 1997. Fot. Krystyna Konecka

fotografiach oraz w kilkudziesięciu wycinkach prasowych na przestrzeni lat), z czasu szczególnego dla artysty, jubileuszowego. Wtedy, w roku 1997, z 70. rocznicą urodzin zbiegało się 50-lecie pracy twórczej. Dla wielu podopiecznych Muz to okres ostatecznego zamknięcia dorobku życia. Ale nie dla tego mieszkańca wioseczki nad rzeką. W warszawskim Muzeum Azji i Pacyfiku została równolegle otwarta ekspozycja retrospektywna, tylko niewielka częśćka zbiorów własnych prac, które zapętniają przeszeń drewnianego dworku, przeznaczoną na pracownię. Nie, stąd Andrzej Strumiłło nie zamierza już nigdzie się przenosić.

...Dzień zaczyna się od palenia w piecach. Drewnem z własnego lasu. Trzeba też nakarmić i napoić konie. Potem można by przejść do pracowni, ale właśnie zepsuta się pompa, smok nie ciągnie, bo w studni mało wody, czy też się zwyczajnie zapowietrzył, więc należy zebrać. Albo, jak dzisiaj, przyjadą goście. Albo zaraz po rozpaleniu ognia w piecach trzeba wyruszyć z Maćkowej Rudy w Polskę.

Profesor twierdzi, że spotkania to kontynuacja uczestnictwa w gremiach stolecznych, spotęgowanego jego międzynarodową, ONZ-owską praktyką (kiedy w latach 1982-84 kierował Graphic Presentation Unit przy Sekretariacie Generalnym). Także lat prowadzenia wykładów z malarstwa i historii sztuki na kilku uczelniach. Ale nawet jeżeli dzisiaj mają charakter formalno-symboliczny, warto spotkać się z tak zacytowanymi ludźmi, jak prof. Geysztor czy prof. Kłoczowski. Z równą uwagą artysta traktuje okolicznych mieszkańców i dzieciaki z Suwalszczyzny, dla których wymyślił konkurs i wystawę „Portret dziko żyjącej zwierzyzny”.

Z okien drewnianego dworku w Maćkowej Rudzie widać połyskujący nurt zakola Czarnej Hańczy, łączącej jezioro Wigry z Niemnem na Białorusi. Gospodarz cytuje etnografa Jakubowskiego, który określiłby budowlę jako „chałupa podlaska, szerokofrontowa, asymetryczna, z dachem naczółkowym”.

- Budynek był w bardzo kiepskim stanie – wspomina. – Powiększyłem go więcej niż dwukrotnie, podporządkowując architekturę rosnącym lipom. Teraz jest asymetryczny z drugiej strony. Przypomina drewniany statek. Może arkę.

Wydaje się, że stoi od prawieków. Liczne zabudowania, otoczone białym murem wspartym na kamieniach, zamknięte wrota, wszystko to sprawia wrażenie solidnie chronionego szlacheckiego zaścianka. - Do sforsowania – żartuje gospodarz. - To dom otwarty.

Zawsze tęsknił do takiego idyllicznego krajobrazu, przypominającego zamierzchny czas dzieciństwa.

- Urodziłem się w Wilnie. Dzieciństwo i młodość, przyspieszoną przez wojnę, spędziłem

W marcowym słońcu A.D. 2020 przejrzyście czerwony porzecz, raczej - feretron związa się na wietrze, odstawiając białe literactwo: „Andrzej Strumiłło – malarstwo nowe”.

NOWE. Za chwilę w salach Muzeum Podlaskiego zobaczę Twarze i Mandale, świeżo powstałe prace zaprzyjaźnionego „od wieków”, wciąż twórczego, 92-letniego Artysty z Maćkowej Rudy. Malarza i rzeźbiarza, fotografa i autora opracowań graficznych mnóstwa książek, w tym własnych, także poetyckich, erudyty oraz animatora niezliczonych przedsięwzięć społeczno-kulturalnych.

W geometrycznym porządku wypełniają przestrzeń identycznej wielkości kwadraty z centrycznie umieszczonymi kręgami: na przeciwległych ścianach – zestawy barwne, wzdłuż – po 20 biało-czarnych, każdy inny, na wielu zapis daty, nieodległej. Albo notka: „Czarina odchodzi – smutno”... Czarina? Jedna z najpiękniejszych arabskich klaczy ze stajni w Maćkowej Rudzie?... Praprawnuczka Mlechy, która pozowała niegdyś Juliuszowi Kossakowi... W dolnych salach Muzeum otwarto właśnie ekspozycję malarstwa Juliusza i Wojciecha Kossaków... Czas pożegnać? Wychodząc czytam umieszczone wprost na białej ścianie słowa Artysty, objaśniające istotę autorskiej interpretacji mandali:

„In medio stat Veritas” – powiadali starożytni.

Niektórzy jednak utrzymują, że środek jest wszędzie i nigdzie. Godząc się na to, skazujemy się na miliardy osi, wokół których będziemy krążyć. Dla innych środek jest jeden. To punkt koncentracji wszystkiego, miejsce ostateczne, konieczności spełniona, wartość najwyższa. Dla wielu środek mieści praprzyczynę wszystkiego – istotę boską. Mandala to sanskrycki termin, określający krąg magiczny, nimb, dysk, orbitę ciała niebieskiego. Mandala miała wyrażać metafizyczną strukturę świata. W samym środku koncentrycznej kompozycji umieszczano wizerunek bóstwa lub jego atrybut.

Mnie, człowiekowi niepewności, wątpliwości i podejrzeń pozostaje tylko krąg czerni...”

...Od ponad trzydziestu lat profesor Andrzej Strumiłło - nazywany przez wielu „człowiekiem renesansu”, przez poetę Stefana Maciejewskiego „kresowym Prometeuszem”, przez siebie samego „pielgrzymem z okiem otwartym”, a przez przyjaciela fotografa Wiktora Wołkova „ostatnim mamutem epoki” - jest mieszkańcem Maćkowej Rudy idyllicznie rozpostartej nad Czarą Hańczą. Ten zielony azyl to odskocznia od spraw wielkiego świata, ale przede wszystkim gwarancja ciszy, spokoju i skupienia potrzebnego do pracy twórczej. Chcę przywołać jedno z wielu naszych spotkań (zatrzymanych na

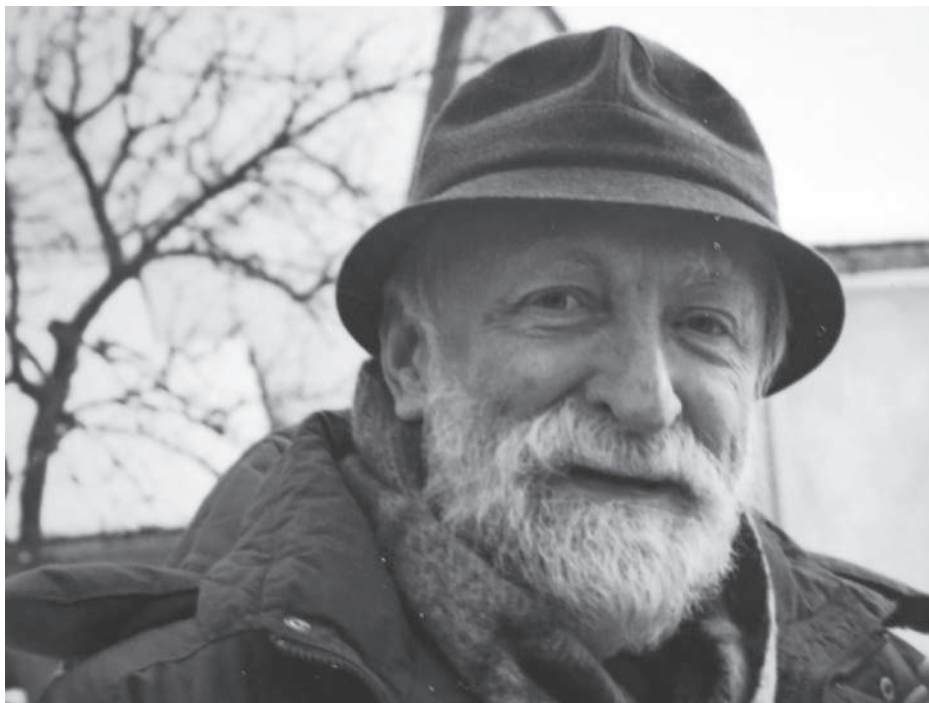
dziem w Święcianach na Wileńszczyźnie i na Nowogródzkiej. Po wielu wędrówkach po Polsce i świecie, po dwuletnim pobycie na Manhattanie, zatoczywszy wielki krąg, przyjechałem tutaj, nad Czarną Hańczę. Myślę, że tak się i skończy.

Suwalszczyzna ze swoimi urokliwymi, łagodnymi pejzażami przypomina przyrodę Wileńszczyzny. Ten sam spokój, magiczna cisza, nostalgia i serdeczna otwartość ludzi. Dom wśród drzew jest dobrze widoczny od strony rzeki. Strzegą posesji granitowe głazy ułożone w krąg pod leciwym modrzewiem. Niezmierzone ich bogactwo znajduje się w najbliższym otoczeniu. W latach 90. będą zjeżdżać się tu rzeźbiarze ze świata na letnie plenery INTEGRART, będące kontynuacją wcześniejszych takich imprez w Niemczech. To wtedy o zacieśniającej się współpracy i przyjaźni z profesorem rozmawiałam z twórcą Ośrodka Pogranicze w Sejnach, Krzysztofem Czyżewskim, który dotychczas gości prof. Strumiłłę na spotkaniach w swojej, sławnej w świecie, siedzibie.

Kamienie przed dworkiem układał sam gospodarz. Sam również zaprojektował wnętrze swojej „arki” i całe otoczenie. Katarzyna i Jerzy Samusikowie (z którymi także odwiedzałam Maćkową Rudę) w swojej publikacji pt. „Dwory i pałace Polski północno-wschodniej” przywołują słowa profesora o zgromadzonych pod osikowym wiórowym dachem pamiątkach: „...okruchy materii przeróżnej z dalekich wędrówek: trochę kamieni z Himalajów, Gobi, Ziemi Świętej; trochę sztuki, kilka zasuszonych roślin; dzienniki, fotografie, negatywy i szkice; przypadkowy, ale pożyteczny na wsi księgozbiór; dyplomy zbędne i odznaczenia kurzem odkryte; szpargały bibliograficzne; trochę rodzinnych relikwii: listy Ojca umierającego na katordze, fotografie Mamy z lat pierwszej wojny światowej – w białej koronkowej sukience – wykonane w Moskwie; rysunki naszych dzieci, wiersze do Danusi, broń pięknie grawerowaną przez syna; nagrania muzyki, którą Norwid umieściłby pomiędzy Azją a niebem...”.

Mama, Kazimiera. Ojciec, Rafał. Zamordowany w sowieckim Kołtasie. Była szansa na ocalenie. Kuzyn profesora, mieszkający w Zielonej Górze poeta i dziennikarz Henryk Szyłkin, syn fotografa z Ziemi Święciańskiej, wydał, m.in. z ocalałymi zdjęciami ojca i dokumentami, album pt. „Wileńszczyzna w obiektywie”. Jest tu rosyjskojęzyczne „Świadeństwo zgonu Rafała Strumiłły – Pietraszkiewicza (zmarł 20 grudnia 1945 roku) wystawione przez sowieckie władze więzienne w Łazarecie nr 2 w miejscowości Kołtas koto Komi”. Pod spodem – „Odpowiedź Generalnego Pełnomocnika Rządu R.P. na pismo pani Kazimierzy Strumiłły – Pietraszkiewicza z dnia 21 września 1945 roku w sprawie zwolnienia jej męża z więzienia”. Odpowiedź nosi datę ...13.IV.46. Pół roku po otrzymaniu pisma z błagalną prośbą żony...

Tamten czas, tamte Osoby. Głęboko w sercu. W swojej „Jesiennej księdze losu” z 2008 r. Henryk Szyłkin zamieścił – obok korespondencji m.in. od Zestawa Miłosza i kardynała Henryka Gulbinowicza, także list od krewniaka, przystany w roku 1997, kiedy powstawał album o Szyłkinie – seniorze, tym od wileńskich fotografii: „Jestem jak zawsze pełen podziwu i uznania dla Twojej aktywności na rzecz naszej dawnej Małej Ojczyzny nad Żejmianą (...). To takie piękne kiedy synowie pamiętają o swoich Ojcach i ratują ich pamięć, którą czasy okrutne starały się zatrzeć. Bardzo bym prosił o album „Nasz Ojciec”, jak będzie gotowy. Zawsze zapraszam Cię i Twoich towarzyszy podróży do M.R. Z Wigier do mnie tylko 5 km do-



Prof. Andrzej Strumiłło w Maćkowej Rudzie. Fot. Andrzej Zgiet

brej drogi. W klasztorze każdy wskaże jak jechać. Czekał (...). Uścisk dłoni. Andrzej Strumiłło”.

Na pytanie, dlaczego zamieszkał właśnie tutaj, profesor odpowiada, że przecież człowiek gdzieś musi być. I nie jest istotne, gdzie się znajduje, lecz – kim jest. Od siebie samego i tak się nie ucieknie. To miejsce nie jest przecież spokojnym azylem czy więżą z kości słańowej. Gospodarz, który przemierzył znaczną część kuli ziemskiej w swoich artystycznych wędrówkach, nie musi już penetrować świata. To świat przychodzi do niego.

- Ten dom odwiedza bardzo wielu ciekawych i zacnych ludzi – podkreśla. – Był tu znakomity obywatel Rzeczypospolitej, pan Ryszard Kaczorowski z rodziną. Bywali nobliści. Był Miłosz i Venclowa ze strony Litwy.

I Tadeusz Łomnicki, i Tadeusz Różewicz, który przez tydzień gościł w spartańsko urządzonym pokoiku w podwórzu.

- Jednego lata naliczyłem ponad 500 gości z 13 krajów, z Japonią włącznie. A ja już nie mam czasu jeździć. Muszę mieć możliwość podsumowania na finiszu moich doświadczeń, wyciągnięcia pewnych wniosków z życia.

Za oknami tamtego roku listopad i deszcz. Żona profesora, pani Danuta, jest w stolicy. Na stole gospodarz – jubilat stawia kawę i jeszcze coś na rozgrzewkę. Na kolana gościom wtaży jedenastoletni pies Graf z mordką pokaleczoną przez borsuki. Czarna charcica Galicja życzliwa, ale z dystansem. W przestronnej, ciepłej kuchni dominuje ogromny piec z białych kafli, gdzie wszyscy najbardziej lubią przebywać. Profesor Strumiłło zaprojektował go zgodnie z miejscowymi wzorami, uwzględniając wszystkie funkcje użytkowe. Poza czterofajerkowym paleniskiem jest kuchnia i piec chlebowy. Sprawny, bo sam projektant wypiekał w nim chleb z własnego żyta. Tuż przy podłodze, z boku znalazła się tzw. pieczurka. Dawniej chłopci litewscy i białoruscy trzymali w niej zimą kury z kurczakami. O rozległym miejscu nad pieczurką gospodarz mówi, że to „leżanka do wygrzewania korzonków na starość”, a jeszcze wyżej jest wykaflowany gzymś, gdzie „można by posadzić bosc wnuki, jak drzewiej bywało”.

Z pracownicy w sąsiedztwie roztacza się widok na Czarną Hańczę i zupełnie blisko – na prywatne „Stonehenge”, tę kamienną salę pod otwartym niebem z ułożonych 12 głazów w kręgu i jednym pośrodku. Bliżej – ogromny pionowy kamień, gdzie odprawiali msze franciszkanie, misjonarze z Boliwii.

- Ludzie mieszkali w tym miejscu od bardzo dawna – przypomina Andrzej Strumiłło. – Najstarszy obiekt, krzemienisty okrągły nóż, archeolodzy określają na dziesięć tysięcy lat, czyli z okresu łowców reniferów. Mam wykopaliska od paleolitu, neolitu, wczesnego średniowiecza, średniowiecza, czasów jaćwieskich do nowożytnych, potwierdzające ciągłość osadnictwa na tym terenie. Część eksponatów stąd ma Muzeum Etnograficzne.

Prehistoryczne oraz Muzeum Okręgowe w Suwałkach.

Rozmowa o przeszłości i sztuce kończy się, kiedy trzeba wyjść do stajni. Profesor Strumiłło często zaczyna dzień od nakarmienia i napojenia swoich arabsów. Tuż za dworkiem wzniesione zostały stajnie, solidne białe obiekty, widoczne z daleka od strony drogi zza równie solidnego ogrodzenia z kamieni. Jest jeszcze wozownia i spichlerzyk. Niewiarygodne gospodarstwo artysty, który światowe gremia, ONZ-ety i wiele innych atrakcji zamienił na kameralność sielskiego żywota.

W pachnącej sianem stajni wychylają się ze swoich „okien” cztery końskie głowy. Trójka żrebaków arabsów czystej krwi to równolátky, urodzone tego samego dnia, 13 marca. Fakt, że klacze miały się żrebić w krótkich odstępach czasu. Ale kiedy w ich stajni pojawił się wspaniały Gabaryt (ogier z Janowa, międzynarodowy czempion), klacze – mówi profesor Strumiłło – jak na komendę, w tej hormonalnej aurze wszystkie trzy się wyżrebiły.

Jeszcze o swoich podopiecznych.

- Koń jest zwierzęciem, które tutaj dominuje. Mam dwadzieścia kilka hektarów z lasem, łąką i polem. Ta ziemia musi funkcjonować. Ale nie będę zajmował się hodowlą, bo – chociaż jestem wieloletnim myśliwym – to mam obiekcje, czy hodowla stoi na wyższym etycznie poziomie niż łowiectwo. Nie mogę hodować niczego, co byłoby zarządzone i zjedzone, wolę zajmować się końmi.

ESEJ Koń jest tak pięknym zwierzęciem, to żywa rzeźba. Obserwowanie jak się rodzi, rozwija, co wyjdzie z tego żrebaka, jak się zachowują klacze, ogiery, i krycie, i dobieranie, i trening, i psychologia tego zwierzęcia – jest to znakomite wzbogacanie życia.

Na stole w pracowni sterty materiałów do tematu o kształtowaniu się postaci zwierzęcej w różnych epokach i mitach. Osobno – do katalogu na kolejne wystawy. Będzie ich wiele: w Wilnie, Warszawie, Wiedniu, również w Białymstoku, Suwałkach i Łomży. W ster-tach szkicowników tysiące kolaży, zapisków, notacji, pierwsza projekcja myśli – zbiory na zupełnie odrębną ekspozycję.

- Czas biegnie szybko. Człowiek ma możliwość zrobienia tylko notatki czy zapisu konceptualnego i nie jest w stanie już więcej zrealizować – mówi artysta. – Ale nie chciałby, żeby ślad jego myśli, jego wyobraźni zginął.

Oparte o ścianę dawne obrazy z cyklu „Stoły”. Większość rozproszona po świecie. Olej z Nowego Jorku z serii „Okna”. Ogromne, zagruntowane płótna na blejtramach czekają. Profesor mówił pod koniec XX wieku:

- Ostatnio pasjonuję się tematem dwoistości natury ludzkiej. Wielorakości człowieka w jednym, zawierającego w sobie masę wcieleń, odmian, aspektów. W uproszczeniu – może być stary i młody jednocześnie. Dobry i zły. Żywy i martwy. Może być kobietą i mężczyzną. Jedną nogą w starożytności czy prehistorii, a drugą wychodzący w przyszłość. Chciałbym, żeby oprócz programu literacko-filozoficznego moje nowe prace zawierały również jakąś wartość plastyczną.

Drzwi w sosnowej szafie zwracają uwagę ciemnymi płaskorzeźbami. Zrobił ją miejscowy stolarz Zdzisław Świacki „spod lasu” (zwany tak dla odróżnienia od imiennika). Świerkowe ozdoby mają swoją historię. Były to, zrobione przez staroobrzędowców, płyciny w drzwiach domu we wsi Wodźniki. Drzwi miały „zagrać” w filmie Tadeusza Konwickiego „Dolina Issy”, czyli... sponąć wraz z domem Baltazara.

- Kiedy zobaczyłem, że ten dom ma drzwi z pięknym drewnianym reliefem i z patyną czasu, zrobiło mi się ich żal – opowiada właściciel niezwykłego mebla. – Zdjąłem je, położyłem na bagażnik samochodu i przywoziłem tutaj. Z płycin, które udało się uratować, pan Zdzisław zrobił szafę.

Niskie szafy w głębi rozległej pracowni kryją książki autorstwa profesora lub takie, w których pisano o nim. Katalogi ważniej-

szych wystaw, w tym z „Zachęty” z lat 70-tych. Ilustrowane osobiste książki dla dorosłych i dla dzieci. Przystany z Anglii reprint „People on the Bridge” - „Ludzi na moście” Wystawy Szymborskiej w graficznym (bezinteresownym) opracowaniu profesora. Tylko dodano na okładce „Nobel Prize Winner 1996”.

- Zamieszczone tu moje rysunki nie były robione specjalnie dla Szymborskiej – wspomina artysta. – Na prośbę wydawcy wybrałem takie, które pasowałyby do atmosfery tej poezji, do jej jak gdyby – skromnej powagi, a jednocześnie były proste, elementarne w swoich formach.

Dochodzę do wniosku, że nie ma bardziej uważnego, wnikliwego czytelnika poezji od jej ilustratora, od autora graficznej szaty książki. On czyta „bardziej”. Są na półkach antologie poezji z Rosji, Uzbekistanu, Gruzji, Armenii. Książka „Moje” (Słowa. Obrazy) – wiersze i ilustracje, która ukazała się w Wydawnictwie Literackim. Tryptyk ekologiczny – wspaniałe, nagrodzone w Białymstoku albumy o Parkach Narodowych: Mazurskim, Suwalskim i Wigierskim. Profesor ma szczególną słabość do Wigier (do czego zresztą nie ma). Tutaj w klasztorze przez dwadzieścia lat organizował spotkania ze sztuką i przyrodą, czego konsekwencją stały się Supraskie Spotkania z Naturą i Sztuką UROCZYSKO w Supraślu. Jest jedyny podówczas album z wojaży azjatyckich.

- Nie mam siły, żeby zrobić osobiste albumy o Mongolii, Chinach czy Indiach. Zrobiłem tylko ten o Nepalu. Motta są bardzo fajne. To w ogóle specjalny rodzaj twórczości, wypisy z moich lektur. Świadczą o tym, jak różnorodny, rozdarty, konfliktowy i paradoksalny jest świat. Wśród jakich wirów i burz przychodzi człowiekowi się poruszać, szczególnie jeżeli myśli, czyta, ogląda i słucha innych.

Pozycje innych autorów, w opracowaniu graficznym Andrzeja Strumiłły. Jego ilustracje na okładkach książek zaprzyjaźnionego dziennikarza i poety, wieloletniego prezesa Oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze, Eugeniusza Kurzawy. Przyjaźń z nim i jego żoną Lidią to przygoda, warta osobnej opowieści, o czym myślałam wielokrotnie, goszcząc w ich „ogrodzie sztuk”, w Wilkanowie pod Zieloną Górą. W Zeszycie nr 2 serii Zeszytów bibliograficznych ZLP Oddział Zielona Góra – w rozmowie z Beatą Patrycją Klary – Eugeniusz Kurzawa wspo-

minając niezapomnianych przyjaciół z zamieszkiwania przez dekadę (1980 – 91) na północnym wschodzie i aktywnej działalności kulturowej – wspomina w sposób szczególny profesora.

„...jest to postać pomnikowa wręcz. Renesansowa. Grafik, rysownik, malarz, poeta, podróżnik po całym świecie, hodowca koni arabskich. Znamy się od 39 lat z hakiem. Wciąż bywam u niego. Projektował okładki do kilku moich zbiorów wierszy, a ja parę lat wstecz redagowałem jego dzienniki pr. „Factum est”.

Strumiłło był komisarzem corocznych seminariów pn. „Kultura i środowisko” w byłym klasztorze kamedulskim nad Wigrami. Po latach wydaliśmy o tym wydarzeniu wspólnie książkę pod takim tytułem. Na te spotkania – zawsze we wrześniu – zjeżdżała przez 20 lat, od 1977 roku począwszy, elita kulturalna kraju i wielu ludzi z zagranicy. Nie tylko artyści. Uczeni, zwłaszcza ekolodzy, ale i politycy nowego rzutu, architekci, ekonomiści, pisarze. Mieszkaliśmy z nimi – rok w rok – przez dwa tygodnie w tymże klasztorze, jadaliśmy śniadania, obiady i kolacje, i cały czas dyskutowaliśmy. Bez koturnów i tytułomani.

I jeszcze: „...gdy się siedzi koło Strumiłły to człowiek autentycznie czuje, że musi coś zrobić, stworzyć. Płyną do Ciebie fluidy, w które ja... nie wierzę. Ale czuję je, bo gdy wyjeżdżam po całym dniu z jego Maćkowej Rudy nad Czarną Hańczę to tańczą myśli, chce się pisać, działać, przestawiać bryłę świata”.

Lidia Kurzawa, wywodząca się z Suwalszczyzny absolwentka białostockiego wydziału lalkarskiego PWST w Warszawie, związana z Białostockim Teatrem Lalek, artystka rzeźbi-cza w utwardzonym płótnie wspaniałe trójwymiarowe, uduchowione anioły. Prezentowała je m.in. w suwalskiej Galerii Agaty i Piotra Szeligów na wspólnej z profesorem Strumiłłą ekspozycji, pokazującym podówczas serię końskich głów. Wydała także kilka kalendarzy ze swoimi aniołami – w opracowaniu graficznym Andrzeja Strumiłły. Ilekroć odwiedza rodzinne strony, nie zapomina o dworku nad Czarną Hańczę. – Zawsze mam taki rytm: odwiedzić Krzysztofa Raua w Zuśnię, koleżanki, profesora Strumiłły w Maćkowej Rudzie – mówi. Słowko o przyjacieli: - Jak maluje w pracowni, to piórkem, ale tak jakby się spieszył. Nie używa sztalug, pracuje nad stołem.

Fotografia, którą Lidia Kurzawa podarowała do tego tekstu, pochodzi z grudnia 2019 roku. Kiedy rozmawialiśmy telefonicznie 17 marca 2020 r. właśnie stała przed wejściem do dworku w Maćkowej Rudzie...

Na moich półkach – albumy fotograficzne przyjaciela profesora, Wiktora Wołkwa, każdy zrealizowany wspólnie. Z roku 1984 – po prostu „Wołków” – według koncepcji i w opracowaniu graficznym Anny i Andrzeja Strumiłły, złożony z impresji fotograficznych artysty i tekstowych Edwarda Realińskiego. Kolejny – monumentalna, pełna majestatu „Biebrza”. Andrzej Strumiłło, autor koncepcji i opracowania albumu, do którego dokonał wyboru blisko 150 barwnych zdjęć z trzydziestoletniego dorobku fotografa, napisał w tekście wprowadzającym, iż Wołków wędrując „...przez rozlewiska, grądy, łąki i wsie nadbiebrzańskie, spływając nurtem rzeki, latając nad nią w różnych porach roku, pięknie i prosto widzi...”. Trzeci wspólny album (z tekstami Sokrata Janowicza i Ewy Pjerożnikow) to „Podlasie. Supraśl. Puszcza”, który pojawił się w roku 2005 pod skrzydłami białostockiego Instytutu Wydawniczego Kreator, kilka lat przed śmiercią Wiktora Wołkwa. Artysta pozostał we wspomnieniach wspólnych wyjazdów do Maćkowej Rudy, na



Dworek prof. Andrzeja Strumiłły w Maćkowej Rudzie. Fot. Krystyna Konecka

zdjęciach w pracowni profesora czy w swoim domu w Supraślu, przy kominku...

Sięgam po „Odwołania z Suwalszczyzną” Leszka Aleksandra Moczulskiego z 1989 r. – książka według koncepcji i pod redakcją Zbigniewa Fałtynowicza, w opracowaniu graficznym i zilustrowana specjalnie przygotowanymi drzeworytami prof. Andrzeja Strumiłły. Inny suwalski poeta, Stefan Maciejewski w swoim przewodniku ilustrowanym z 1998 r. pt. „Wigry”, obok naszych wierszy zamieścił i swój, dedykowany „Panu Andrzejowi Strumille”:

...Pozostaniesz zawieszony
między ziemią a niebem
aby doświadczyć męki
kresowego Prometeusza
skowanego zakolem Czarnej Hańczy

Poezja. To, co podskórnie pulsuje w każdym zamyśle, każdym działaniu artysty. Zbiorów wierszy samego profesora jest kilka, katalogów wystaw, projektów, opracowań cudzego dorobku – nieskończenie wiele. Spisać wszystko w niewielkim tekście jest niepodobieństwem. Pewien „koncentrat” opracowano w polsko – białoruskim katalogu prac scenograficznych „Teatralia” z roku 2015, wydanym przez Muzeum Podlaskie. To samo, które hołubi działalność artystyczną Andrzeja Strumiłły od dziesięcioleci. Które z okazji... 90 rocznicy urodzin uhonorowało twórcę całym rokiem prezentacji jego dorobku w różnych formach, zamykając ten etap ekspozycją pn. „Andrzej Strumiłło. Malarstwo i rysunek. Dziennik A4”.

W „Teatraliach”, sygnowanych na okładce charakterystycznymi inicjałami „as”, zamieszczono na wstępie słowa artysty z katalogu „Zachęta” z 1976 roku (gdyż wciąż pozostają aktualne). Przywołując liczne nazwiska najśłynniejszych ludzi teatru oraz bohaterów dramatów, do których tworzył scenografie, prof. Strumiłło podkreślił, iż wszyscy oni „...byli dla mnie cennym doświadczeniem zawodowym przydatnym później gdzie indziej; pozwolili obserwować styk słowa i obrazu, rozumieć to, co zawarte jest pomiędzy nimi i co je łączy”.

Tu właśnie znalazły się m.in. projekty scenograficzne monumentalnych lalek i postaci do „Ptaków” Arystofanesa, których premierę oglądaliśmy z zapartym tchem na plenerowej scenie Teatru Dramatycznego im. A. Węgierki w żwirowni w Ogrodniczkach – w czerwcu 1998 roku. Tak sfinalizowano coroczne Suprańskie Spotkania z Naturą i Sztuką UROCZYSKO, których jednym z inicjatorów, organizatorów i stałych uczestników był właśnie profesor Andrzej Strumiłło. Mógł zatrzymać się, odejść. Albo zaprzestać... Ale – gdzie tam. Po dłuższym czasie, w roku 2005 spotkaliśmy się znowu w białostockim Teatrze Dramatycznym podczas premiery „Wiśniowego sadu” Antoniego Czechowa – autor scenografii do sztuki, Andrzej Strumiłło i autorka fotograficznej ekspozycji w teatralnym foyer, poświęconej dramatopisarzowi Williamowi Szekspirowi... Co u profesora? Nieustający apetyt na życie...

Osiem lat wcześniej w tak zażyłotowanym tekście – relacji z kolejnej mojej wizyty w Maćkowej Rudzie, siedząc z żoną w pobliżu pieca – artysta zwierzał się:

- Jestem gotów do odejścia, co też jest optymistyczne, ale nie chcę odchodzić.

To wtedy, jak zwykle częstując gości „czym chata bogata”, wprost na blacie kuchennego stołu obok stoików domowych konfitur, ułożył efektowny półokrąg z bułek. Wtedy, i wcześniej, i później, zawsze było wiadomo, że ze świecą szukać bardziej gościnnego, serdecznego gospodarza... Bardziej otwartego na innych, empatycznego...

W zupełnie magiczny sposób łącząc codzienną krzątanie na swojej posesji, przez lata udostępniał ją profesor Strumiłło na międzynarodowe letnie plenery INTEGRART, organizowane przez Okręg Warszawski ŻPAP. – Mam zaszczyt – witam tradycyjnie rzeźbiarzy głosem archaicznego dzwonu (i serwując osobiście coś na rozgrzewkę) – gościć państwa pod, chciałem powiedzieć, swoim dachem. Ale w gruncie rzeczy pod wspólnym niebem. Ten plener jest kontynuacją pięknej myśli integracji przez sztukę.

W reportażach „Posłuszny granit” (1997) i „Kamień na kamieniu” (1998) w „Gazecie Współczesnej” zapisałam, wtórując tym słowom entuzjastyczne refleksje wielu uczestników plenerów z Litwy, Niemiec, Korei Południowej i Polski – o naturze granitu i piryty, o klimatach tych międzynarodowych spotkań, o ich gospodarzu....

Na kamiennym stole w kręgu „Stonehenge” nieodmiennie znajdowała się rzeźba Lopu Lamy z Nepalu. Owalny kamień zdobi ryz z tajemniczym liternictwem.

- To emigrant tybetański, który obecnie mieszka w Katmandu, pod świątynią Swajambu Nat – opowiadał Andrzej Strumiłło w 1998 roku. – Był tu krótko, przejazdem. Na tym kamieniu wrył mantrę „Om mani padme hum” , co w wolnym przekładzie znaczy „Bądź pozdrowiony kwiecie lotosu”. Jest to niejako symboliczny kamień, który bardzo poszerza zasięg naszego pleneru, o skalę sięgającą bardzo daleko poza Europę – i geograficznie, i cywilizacyjnie, i duchowo.

Trudno określić stan ducha, kiedy po latach, w marcu A.D. 2020 dzieło Lopu Lamy oglądamy jako centralny punkt ekspozycji profesora Strumiłły w muzealnej sali z jego Mandalami...

Obydwie dekady XXI wieku zaowocowały ilością dzieł, których wielu artystów nie zgromadzi przez całe życie. Książki – nie tylko w opracowaniu graficznym, ale też samodzielnie twórcze projekty, „Factum est. Dzienniki 1978 – 2006” (STOPKA, 2015). Trzy znakomite pozycje, wydane przez białostocką Fundację Sąsiedzi: z roku 2017 „Tajga” i „Manhattan” oraz z 2018 – „Koi”. Artysta spotyka się z czytelnikami na dorocznych Międzynarodowych Targach Książki w Białymstoku, w stolicy (nie konia, a kota na dachu, pod księżycem, zdobywam od profesora w serii magnesów na stoisku Wydawnictwa Edyty Wittchen). W następnym roku ukazał się album „Azja Sacrum” (Słowo/obraz/terytoria), a już w roku 2020 wydawnictwo ZNAK podarowało czytelnikom „Powidoki. Wiersze i zapiski z lat 1947 – 2019”, rekomendując tę błękitną księgę jako „...przejmujące ślady poszukiwań filozoficznych i religijnych, medytacje nad przemianami, bólem istnienia, teksty wyrażające z głębokiego przeżycia Psalmów, Apokalipsy, św. Augustyna, Paracelsusa, mistyków Wschodu”. Przy tym – mnóstwo działań niewymiernych, kontaktów i relacji z wieloma zaprzyjaźnionymi osobami.

- Nasze drogi przecięły się dawno temu – mówi w marcu 2020 r. Janina Osewska, znakomita poetka z Augustowa. - Dziś trudno określić kiedy, ale z pewnością był to XX w.

Potem tych punktów stycznych było wiele. Wszystkie pamiętam. Najbardziej te nieformalne, w gościnnym domu w Maćkowej Rudzie przy herbacie, konfiturach i świecy. Andrzej Strumiłło opowiadał o swoich podróżach, spotkaniach ludziach, przygodach i o najnowszych dokonaniach artystycznych. I czytał wiersze. Wielokrotnie bywałam tam z poetką, Tadejem Karabowiczem. Świątowaliśmy niespieszne bycie i rozmowy o życiu. Wziłam tam swoich uczniów ze Szkolnego Klubu Turystycznego „Włóczykij”. Na tę okoliczność opracowałam trasę „Szlakiem artystów znad Czarnej Hańczy”. Potem zapraszałam tego czytelnika renesansu do wymyślonej przeze mnie Kawiarenki Literackiej, gdzie opowiadał np. o fazach tworzenia cyklu prac do „Psalmów” w przekładzie Czesława Miłosza. Kiedy ogłoszono rok 2017 rokiem Andrzeja Strumiłły miałam przyjemność otwierać jego wystawę w Augustowie. Spotykaliśmy się na wielu wernisażach, promocjach i wystawach. Jego i moich. Ostatnio, 7 lutego 2020 r., podczas wernisażu wystawy pt. „Miejsca i ludzie” (Centrum Sztuki Współczesnej, Galerii Andrzeja Strumiłły). Gościł tam jako mój nauczyciel i kolega. Bywał też w zaiscu domu na Kościuszki, gdzie smakował z upodobaniem własnej roboty wypieki. Ostatni obraz, jaki noszę w pamięci, to pochylona sylwetka wyłaniająca się na końcu alei prowadzącej do modrzewiowego dworu, jego „arkadii”. W niedzielę, 24 lutego 2020 r.

W „Factum est” profesor Andrzej Strumiłło zamieścił przed laty ważny wiersz:

*Sam sterem i okrętem
Sam oceanem i czasem
Sam ponad światem
Sam sędzią i katem*

I równie ważne słowa z drugiego:

*...A i my rozsądni idący w górę
Oblędy innych na dnie prawdę tają
A w naszych prawdach obce ciało
Węgłe wystygłe lub pustkę białą
Ukaże na szczycie światło przeraźliwe*

W domowych ramkach pod szkłem mam kremowy arkusz ze złotymi literami – to życzenia na rok 2000, ozdobione rysunkiem profesora, podpisane jak zawsze, odręcznie, piórkim: Strumiłłowie. Parę lat wcześniej, ówczesny jubilat zwierzał się ze swego „apetytu na życie”. Na twórczość.

- Jest znakomitym przykładem parcia do przodu – mówi o profesorze Andrzeju Strumille w marcu 2020 roku Lidia Kurzawa. - On nie odpuszcza. Popycha go do tego ten niezwykły charakter. Prawdziwy artysta nie ma spoczynku. On boi się spać, bo ma taką galopadę pomysłów. Bo mózg zawsze pracował na 200 procent. Planuje nadal.

KRYSTYNA KONECKA

KRYSTYNA KONECKA – urodziła się w Dobiegniewie, w repatrianckiej rodzinie z Wiłeńszczyzny. Absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie. Poetka i dziennikarka. Tworzyła grupę poetycką „Symbol”, była zastępcą redaktora naczelnego w miesięczniku reportażu „Kontrasty” i „Gazecie Współczesnej” w Białymstoku. Należy do Związku Literatów Polskich. Jest autorką kilkunastu książek poetyckich: od debiutanckich „Sonetów codziennych” – 1978, po „Ultima Thule. Od wielu lat pasjonuje się postacią i dziełem Williama Szekspira. Tom sonetów „Ogrody Szekspira”, wraz z przekładami Ewy Sherman, został włączony do zbiorów bibliotecznych The Shakespeare Centre w Stratford-upon-Avon. Jest członkiem Literackiej Rady Redakcyjnej serii „białostocka kolekcja filologiczna” przy Instytucie Filologicznym Uniwersytetu w Białymstoku

Marian Bednarek

4 OPOWIEŚCI U

w łazience

uuu jaka miska
 gąbka
 wiadro
 jaka jeszcze większa miska
 jaki cień pod miską
 a jaka waga
 zepsuta
 uuu

w pokoju

uuu jaka skarpetka
 taka sama jak ta druga
 tylko że z mniejszą dziurą na pięcie

uuu jak te kroki stawiam
 jakbym miał w tym rację
 że jej nie muszę mieć

a jakie te spodnie jak kończące się lato

w kuchni

uuu jaka jajecznica
 jak manifest artystyczny

a te jeryzyny jak oczy góry
 które zerwałem sam?

na drodze

uuu jak się tamten boi że się spóźni tak ten ten
 ten w tej nowej koszuli w małe białe kwadraciki
 uuu.....

14.09.2005

U

U tryskające resztkami dnia
 przy wywozie śmieci nocą
 Uuu... ledwo ciągnę
 to sto kilo
 i stawiam przy drodze

Uśnijcie mary
 U rupiecie
 U jeszcze coś hamuje przejście aż
 U żalam się
 że to tylko underground usterki U
 ale mogę się mylić
 i Utetka pozostawi mnie zalanego
 we własnym smutku

22.09.2020

U

wszystkim służbistom

U Jezusie
 wszystko na spirytusie
 nawet skarpetka tańczy pijana
 gdy zakładam ją z rana

ale się rozumiemy gdy trzeba coś zrobić
 na wysokich obrotach i pięknie że ludzie podziwiają
 i biją brawo nawet inne ciuchy procent swój mają
 sobie właściwy

w zależności od tego z kim rozmawiam i o czym
 i o jakiej porze Boże dnia i nocy

U najbardziej Jezusie drażnią mnie idioci trzeźwości
 co to żyją przepisami bezpłodności
 i na czerwonym świetle umierają bo się zacięło
 a ulica pusta aż zielone zmęczone musiało pójść
 na kielicha

U Jezusie nie wiem co u mnie na minusie a co na plusie
 mogą być jak z PiS Poeta Plus i chwalić mamusię
 co zna się na spirytusie i nalewkę przyrządza
 na szare dni

choć ojciec mało pił

tak to mi się gaworzy jakbym jakimś spirytomanem był
 a czemu nie?
 Uuuuuuuuuuuuu... je je je

5.07.2020

U

Zbigniewowi Joachimiakowi

U sie sie sie
 U sie sie sie
 Zbycho z apteki Wszystek niesie
 bo rozbolały go plecy

więc usiadł na urwisku U
 i się ululał
 aż utracjuszom uleciało z Uobraźni
 jego upogodzenie

uch uch uch

ale ułożył kolejny numer Mi
 go tań

bo U sie sie sie
 U sie sie sie nie każdego poniesie

tam gdzie U

dodaje tchu

21.09.2020

RZEŹBIARZ

Staszкови Siemaszkiewiczowi

Gdy poranek

rozrywają dźwięki dzwonów
rzeźbiarzowi przewracają się
siekiera dłuto i młotek

wiem że im

CIEŹKO choć obłoki nad nimi tańczą
lekko

dwoje dzieci i żona

**UKRYCI W JEDNYM
CIENKIM PLASTERKU
KIELBASY**

on	a
z	c
tej	i
str	z
o	t
n	e
y	j

ale wszyscy w tym jednym cienkim plasterku
dzwony dzwonią
biała koszula na wieszaku jeszcze pachnie mszą
wśród drewnianych Chrystusików poupychanych w kątach

mówił mi

że brakuje mu na akryle
i wtedy skowronki śpiewały
w tych pustych słoiczkach

lecz wiedza ta płocha jak wróbelki
gdy nagle fryyyy... i zostajesz
sam z pustą kieszenią wstydu
w Święto Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny
gdy wszystkie ubrania wyszły na dwór
i jak wojsko maszerowały RAZ DWA
RAZ DWA
RAZ DWA

przywołując wspomnienia bitwy która zmieniła losy

Ś
W
I
A
T

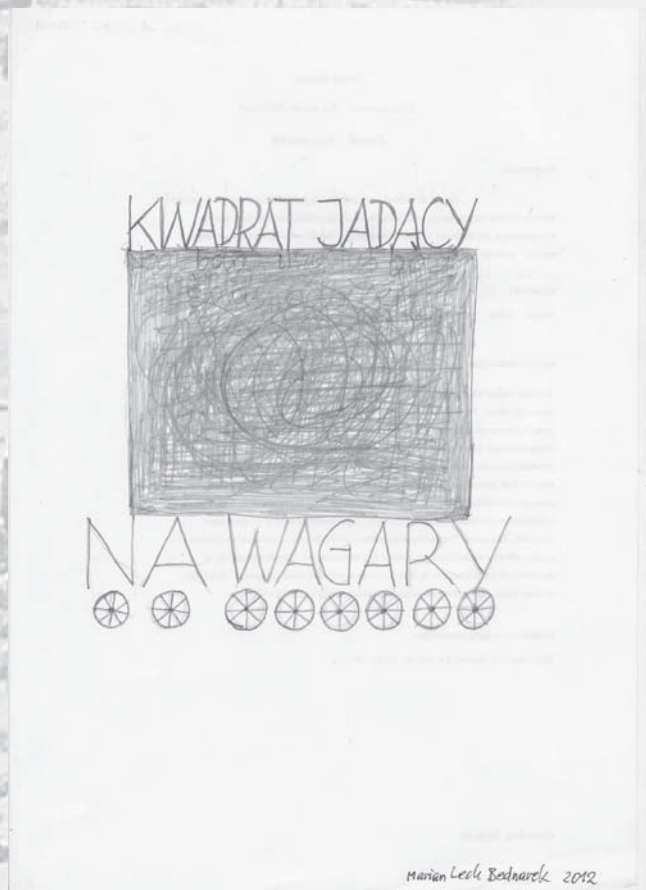
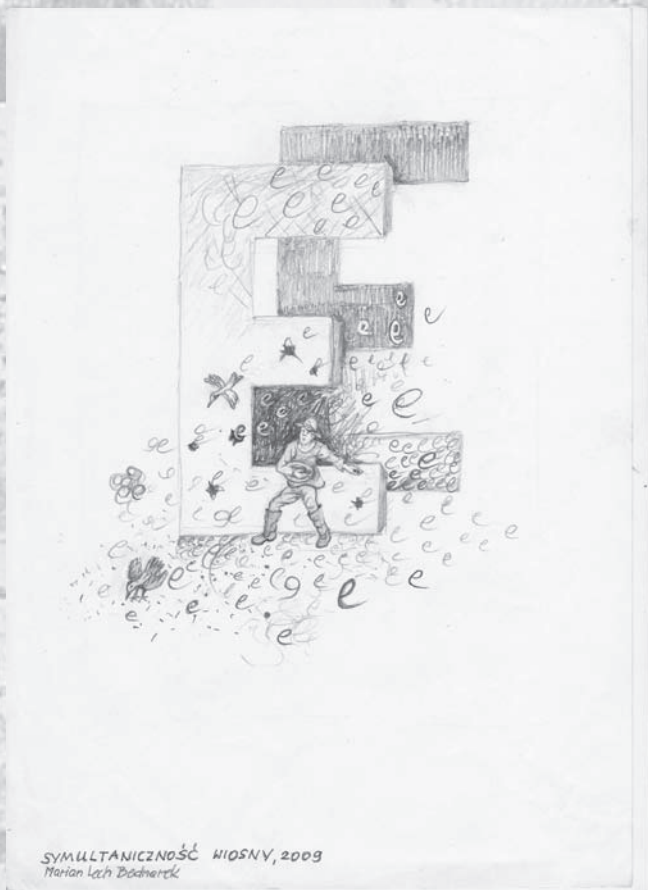
A

widziałem
jak na wystawie rozdawał swoje rzeźby za darmo

i mówił że zadarł z miejscowym klanem kościelnym

wypiliśmy
1 piwo
na pół

SIERPIEŃ 2007
MARIAN LECH BEDNAREK



Marian Lech Bednarek 2012

Eugeniusz Kurzawa

JANUSZ KONIUSZ – STRACONE SZANSE?

Dłatego znakomicie rokujący w latach 50. i 60. poeta nie przebił się do literatury polskiej, nie został jej klasykiem? Powiedziat po latach, że gdyby choć dwa jego wiersze weszły do antologii literatury polskiej, to byłby uznany za sukces. Czy coś zatem straciliśmy? Wspólnie, bo nie tylko Janusz Koniusz...?

Zapowiadał się na bardzo ciekawego poetę. Odkryto go jako niepełnoletniego młodzieńca w sosnowieckim mateczniku, rozwijał się w Katowicach i tapał literacki tlen podczas słynnych ogólnopolskich spotkań młodych w Nieborowie (1951) i Oborach (1954). Był tam obecny m.in. obok Tadeusza Borowskiego, Ernesta Brylla, Jerzego Harasymowicza, Marka Hłaski, pod skrzydłami takich wybitnych postaci literatury, jak Nałkowska, Kruczkowski, Jastrun. Gdy w 1954 r. przyjechał do Zielonej Góry – mając dopiero 20 lat i niemal 15 wierszy wydrukowanych w prasie krajowej – stał się najważniejszym literatem Winnego Grodu. Cóż jednak się stało, że ta początkowa werwa literacka z czasem opadła, choć przecież wiersze, opowiadania drukował do samej śmierci? Czy prowincjonalna Zielona Góra przyciskała przez całe dorosłe życie hamulec rozwojowi jego twórczości? Czy tłumiała ją nadmierna aktywność społeczna? A może coś nie tak bardzo zewnętrznego, niekoniecznie zauważalnego? Spróbujmy to przeanalizować. Może żeby wyciągnąć naukę...?

W „Roczniku Lubuskim”

Z okazji jubileuszu 60-lecia periodyku naukowego Lubuskiego Towarzystwa Naukowego, „Rocznika Lubuskiego”, w końcu 2019 r. przygotowałem publikację na temat literackich treści na łamach tegoż czasopisma. Nie szło o twórczość oryginalną, tylko o omówienia tejże, oczywiście głównie z akcentem na twórczość lubuską lub też Lubuszan. Przejrzałem wszystkie roczniki w poszukiwaniu stosownych tekstów. Przeglądem objąłem wydania od 1. do 44., czyli od roku 1959 do 2018. Od razu mogę stwierdzić, iż ostatnie lata, ba, właściwie nawet ostatnie dziesięciolecie „RL”, nie zaprzętnęły mojej uwagi. Nie znalazłem materiałów odpowiadających zadaniu tematowi. To w przedziale między rokiem 1959 a 1978 (wyszedł wtedy numer 10 „RL”) zawiera się niemal cały dorobek literaturoznawczy „Rocznika”. W bibliografii pierwszych 15 numerów znajduje się aż 19 pozycji dotyczących tego zagadnienia. Z tychże 19 pozycji mogę – jako istotne – wskazać trzy duże szkice syntetyczne. Andrzeja Czarkowskiego „Życie literackie Ziemi Lubuskiej 1955-62” (wydrukowany w tomie 3.), Wilhelma Szewczyka „Zielonogórskie środowisko literackie na tle rozwoju literackiego Nadodrza” (tom 5) i najpełniejszy chyba opis Andrzeja K. Waśkiewicza pt. „Lubuskie środowisko literackie 1955 – 1973” (tom 10).

Poza wymienionymi pozycjami są w „RL” – wówczas bardzo istotne – recenzje omawiające twórczość Lubuszan. Dlaczego uważam to za tak ważne? Były to bowiem albo recenzje prezentujące dorobek zielonogórskich debiutantów rozpoczynających swą drogę życiową z umownym piórem w garści, albo recenzje pierwszych

wydań różnorakich lubuskich pozycji zbiorowych. I tak na przykład – co miało znaczenie dla umacniania się słabej tu wciąż polskości – omawiano świeżo napisane i wydane legendy lubuskie, wydawnictwa zbiorowe i indywidualne tomiki wierszy oraz pamiętniki. Wśród tych publikacji znalazły się omówienia pierwszych zbiorów poetyckich autorstwa Janusza Koniusza. W tomie „RL” z 1959 roku Bogdan Bąk w tekście pt. „Zielonogórskie debiuty” (poetyckie) recenzuje wydane rok wcześniej „Tempo krążenia” Janusza Koniusza, Henryka Szylkina „Kolory wzruszeń” i Bolesława Solińskiego „Przymaty”. Cała trójka wydana w 1958 r. debiutanckie tomiki wierszy finansowane przez Lubuskie Towarzystwo Kultury, choć wydrukowane we Wrocławiu nakładem tamtejszego oddziału ZLP. Marian Kowalski przedstawia czytelnikowi swoje refleksje na temat pozycji „Miniatury”, wydanej również w 1958 r. przez LTK, w której teksty – tym razem prozatorskie – publikują: Ingeborga Bieniek, Tadeusz Kajan, J. Koniusz, Ryszard Rowiński, B. Soliński, Bronisław Suzanowicz, Henryk Szura, Henryk Szylkin. Pomieszczają je na zaledwie 34 stroniczkach. Spośród ośmiu autorów recenzent wyróżnia R. Rowińskiego – późniejszego znakomitego reportera dwutygodnika „Nadodrze” i – tu nie ma zaskoczenia – J. Koniusza. Kowalski kończy słowami: „Zielonogórski tomik miniatur, moim zdaniem, mimo wyliczonych wad dość dobrze zaprezentował literackie środowisko Zielonej Góry”. W zasadzie było to całe ówczesne środowisko...

Wejście na scenę

W ten sposób pojawił się w lubuskim życiu publicznym poeta Janusz Koniusz, który stał się już działaczem Lubuskiego Towarzystwa Kultury. LTK było zaś pierwszym wydawcą „Rocznika Lubuskiego”. Z niego wyłoniło się dość szybko LTN – Lubuskie Towarzystwo Naukowe, które jest do dziś edytorem pisma. Koniusz był zatem zarówno aktywistą społecznym, jak i występował w roli redaktora, chociażby „Rocznika”. Niewiele później znajdzie się w redakcji czasopisma „Nadodrze” (z czasem dwutygodnika), a w końcowej fazie istnienia tego pisma odnajdujemy go w roli redaktora naczelnego. W „Roczniku Lubuskim” występuje zaś jako autor ważnych, niekiedy syntetycznych publikacji dotyczących życia społeczno-kulturalnego na Ziemi Lubuskiej.

W chwili, gdy w 1958 r. debiutował tomikiem poetyckim, Koniusz miał na koncie ponad 50 wierszy opublikowanych na łamach prasy krajowej. Nie był wtedy literackim nowicjuszem, choć wciąż początkującym, ale już znanym i powoli uznawanym pisarzem. „Kiedy w 1954 roku przybył do Zielonej Góry, był już po debiucie prasowym wierszem »Droga« w »Życiu Literackim« w 1951 r.” – odnotowuje Czesław Sobkowiak w publikacji biobibliograficznej pt. „Janusz Koniusz. W 70. rocznicę urodzin” (Zielona Góra 2003, s. 9). Jednakże Andrzej K. Waśkiewicz powołuje się („Pro Libris” 2004, nr 1, s. 93-98) na „staranne bibliografki – Marię Adamek i Zofię Maziarz” i przytacza wcześniejszą datę debiutu prasowego poety. Mianowicie wskazuje

na rok 1950, kiedy to ukazał się wiersz „To nie gwiazdy spadają” („Odra” 1950, nr 13) i na rok 1951 oraz utwór „Czarny Śląsk” („Trybuna Wolności” 1951, nr 9). Przyszły pisarz, dramaturg, dziennikarz miał wówczas zaledwie 16 lat!

Młody poeta

A jak było na samym początku? „Przypadek sprawił, że jako piętnastoletni chłopiec zostałem laureatem konkursu zorganizowanego przez czasopismo »Górnika« w Sosnowcu. Przewodniczący jury, (...) pisarz Jan Brzoza, akurat organizował w Katowicach przy Związku Literatów Polskich koło młodych pisarzy. Wpisał mnie na listę i tak, jako najmłodszy w tym gronie, bardzo szybko znalazłem się w stosunkowo dużym środowisku literackim. To wydarzenie okazało się w moim późniejszym życiu czymś bardzo ważnym” – powiedziat J. Koniusz w wywiadzie udzielonym Emilii Ćwilińskiej („Janusz Koniusz. W 70. rocznicę urodzin”, s. 25). Można przyjąć, że w latach powojennych wszystko działo się szybciej, ludzie wcześniej awansowali, łatwiej było zrobić karierę. Jednakże musiał J. Brzoza zauważyć „coś” w wierszach młodzieńca z Sosnowca, skoro na niego postawił. Późniejsze lata to potwierdziły.

Pod koniec marca 1951 r. J. Koniusz trafia na słynny Zjazd Młodych Literatów w Nieborowie, a w 1954 r. w Oborach pod Warszawą. „Byli wtedy z nami w Nieborowie w charakterze gości Zofia Nałkowska, (...) Lucjan Rudnicki, (...) Mieczysław Jastrun, Tadeusz Borowski, Jerzy Putrament, Leon Kruczkowski, Wiktor Woroszyński (...). W Oborach główne skrzypce grali Igor Newerły, Anna Kamińska, Jan Spiewak (...). Tam poznałem Jerzego Harasymowicza, Jana Himilbsbacha, Ernesta Brylla” – wspomina („Janusz Koniusz. W 70. rocznicę urodzin”, s. 26). Zatem znakomity start w niepowtarzalnym otoczeniu. Zapowiedź niepospolitej kariery, niebanalnego rozwoju.

Wykorzystał wzorce, pomysły

W owym czasie, już zakotwiczony w Zielonej Górze, Koniusz stara się po trosze przenosić na prowincjonalny grunt wzorce katowickie. Bierze udział w tworzeniu środowiska literackiego. „Najpierw około roku 1954 zaczęli się skupiać w sekcji literackiej przy ZW ZMP. (...) W 1955 roku udało się wydać jednodniówkę »Ziemia Lubuska«, którą Koniusz kupił w kiosku na dworcu PKP w Katowicach”. Po październiku 1956 r. „postulaty i marzenia młodych literatów zaczęły się realizować. 6 lipca 1957 roku powstało Lubuskie Towarzystwo Kultury” – opisuje Cz. Sobkowiak („Janusz Koniusz. W 70. rocznicę urodzin”, s. 9). Tak kształtował się poeta i działacz – jednocześnie. Choć może już wtedy bardziej zaczął się rzucać w oczy działacz, który żeby wydrukować wiersze, musiał wpiąć „załatwić” sobie miejsce publikacji: periodyk, wydawnictwo. Zatrudniony od początku na etacie sekretarza LTK, wsiąkł na dekady „w działaczowstwo”. Stosował przy tym skuteczną metodę: problemy społeczne wymagające załatwienia wpiąć prezentował w prasie, gdzie wskazywał na ich ważność, znaczenie dla regionu, społeczeństwa. Na przykład w „Roczniku

Lubuskim" prezentuje bardzo obszerny, wieloaspektowy materiał „O społecznym ruchu kulturalnym w woj. zielonogórskim”. Mówi wręcz o narodzinach lubuskiego modelu kultury. Nie są to publikacje przypadkowe, okolicznościowe, lecz poważne rozważania na temat życia kulturalnego w nowych warunkach. Tę tematykę znajdziemy również w „Nadodrze”, które zaczęło się ukazywać w owym czasie, a z racji częstotliwości wychodzenia sprzyjało inicjowanemu przez Koniusza dyskusjom redakcyjnym, publicznym wypowiedziom na temat życia społeczno-kulturalnego. Zwłaszcza po 1956 r., gdy po tzw. odwilży październikowej wydawano się, iż jest szansa na coś ciekawego i istotnego w kulturze oraz nauce Polski prowincjonalnej. Przykładem może być tekst inicjalny pt. „O lubuski instytut naukowy” z „Nadodrza” (1961 nr 10, październik, s. 1,7), z którym wchodzi od razu w dyskusję mgr Hieronim Szczegółka ze Szprotawy i mgr Wiesław Myszkiewicz z Zielonej Góry, jako „Pierwsze głosy w dyskusji” (s. 7). Lub czołówka numeru pt. „Kultura kołem się toczy” („Nadodrze” 1961, nr 3, s. 1,7). Właściwie w niemal każdym numerze „Nadodrza” znajdujemy coś ciekawego do czytania autorstwa J. Koniusza.

W każdym razie w latach 50. i na początku 60. znajdujemy Koniusza nie tylko jako poetę (później prozaiką), ale może nawet przede wszystkim – jako animatora społecznego. W Babimoście powstaje Towarzystwo Miłośników Ziemi Babimojskiej. W 2017 r. świętowano jego 50-lecie. Na tym jubileuszu zdążył jeszcze być Janusz Koniusz, który zakładał stowarzyszenie. Organizatorzy pokazali mi oryginalną listę członków-założycieli, na której widnieje nazwisko pisarza. Przyznaje się on do „tworzenia izb muzealnych w Pszczewie, Dąbrówce Wlkp., Babimście”, wspomina wącąc „pracę wiejskich klubów i świetlic”. Czy nie było to zbyt wielkie rozdrobnienie poczynań społecznych? Gdzie tu miejsce na literaturę?

Dobra prasa

Wróćmy jeszcze do „Rocznika Lubuskiego” i Koniusza na jego łamach. Redakcji udało się wówczas przyciągnąć kilka uznanych w kraju, zwłaszcza na jego zachodzie, nazwisk. Pojawiają się: Włodzimirz Maciąg, Wilhelm Szewczyk, Eugeniusz Paukšta, jest Bohdan Drozdowski i inni. Skutkowało to dobrymi publikacjami i oczywiście podniesieniem poziomu periodyku. B. Drozdowski był jednym z ważnych odkryć „odwilżowych” polskiej literatury (m.in. obok Harasymowicza, Herberta). W „RL” w tekście pt. „Pisane na wodzie” wziął na warsztat drugi tomik Koniusza pt. „Ślad przelotu”. Drozdowski, któremu poezja Koniusza podoba się, podnosi i uogólnia w swym omówieniu coś istotnego: że w zasadzie każdy dobrze rokujący poeta jest w Warszawie, ergo w Polsce, nieznan. Dlaczego? Odpowiada Drozdowski krótko: „jest daleko” i „nie ma wysokich protektorów”. Bycie „daleko”, jak wiemy dziś, stało się chyba już wkrótce po tym zapisie osobistym wyborem pana Janusza. Coś zatem stracił (my, czytelnicy, również, nie tylko J. Koniusz) – z powodu owej nadmiernej odległości. I, na marginesie, ta sytuacja (w literaturze polskiej) nadal obowiązuje... Poza Drozdowskim dobrze potraktowali pierwsze tomiki Koniusza również inni wielcy: Adam Ważyk ceniał sobie „Tempo krążeń”, Julian Przyboś „Ślad przelotu” (o czym dalej). W 3. tomie „RL” Koniusz jest jeszcze raz przywołany, mianowicie Jerzy Madeyski wypowiada się na temat trzeciego z wczesnych dzieł J. Koniusza, prozy paradoksalnej no-

szącej tytuł „Taddeo Polacco z Zielonej Góry”. Recenzent chwali młodego autora i oczekuje wznowienia dziełka oraz wzbogacenia pozycji napisanej na nowo przez Koniusza, np. w spółce z jakimś fachowcem od malarstwa czy historią sztuki. Bo do tego obliguje malarski temat książki wydanej w 1960 r.

Wczesne recenzje, omówienia, różne inne publikacje sugerują zatem, że pojawił się w Zielonej Górze poeta niebagatelny, dobrze rokujący i z zadałkami na niebanalny rozwój. Julian Przyboś, który bywał na spotkaniach autorskich w Zielonej Górze, napisał w „Nadodrze” taki – wiele mówiący – tekst: „Od początku, od pierwszego wierszyka, ogłoszonego bodajże w »Odrze«, zwrócił on na siebie moją uwagę tak, że nie pomijałem nigdy tych kilku linijek druku stanowiących cały wiersz, opatrzone nazwiskiem »Janusz Koniusz«, ilekroć spotkałem się z nimi na łamach czasopism. Uderzającą była ta niezwykła na krótkość, lapidarność wystawienia się, taka że zmuszała do większego skupienia uwagi niż drukowane obok długie wiersze innych autorów. Janusz Koniusz zaczął (...) od tego, do czego dobiegają się po wielu latach praktyki niebylejacy poeci: od zwięzłości, od dążenia do esencji wydestylowanej z treści poetyckiego doznania. Zaczął układać wiersze od tego punktu, do którego doszedł (...) w ostatnim swoim tomiku Staff. (...) Prawda, że w obu zbiorach – [chodzi o »Tempo krążeń« i »Ślad przelotu«] przyp. EK] – nie znajdzie się ani jednego wiersza, o którym można by powiedzieć, że jest zły. W wierszach Koniusza panuje aż nazbyt widoczna dyscyplina słowa i obrazu, wystrzyżony krytycyzm oczyścił każdy pomysł nawet z możliwości wybijania jakiegoś choćby niezbyt szkodliwego dla całości chwastu; każdy wiersz Koniusza jest i artystyczny, i ładny. (...) Znalazłem w zbiorach Koniusza utwory o zastanawiającej wymowie poetyckiej, wiersze budzące w czytelniku głębszą refleksję”. Pyta pod koniec Przyboś: „Czego Ci mam życzyć na koniec tych słów, Drogi Poeto? Śmiałości, śmiałości i jeszcze raz śmiałości. (...) Śmiałości więc, odwagi do wyrażania swoich spraw, walk, rozterek, kłęk i zwycięstw, do sięgnięcia w głąb namiętnego siebie! Wielkiej odwagi do odstonięcia się zupełnego, do bycia sobą aż do wyjawienia najwstydlivszego siebie” – pisze Przyboś w „Do Janusza Koniusza. Zamiast recenzji ze »Śladu przelotu«” („Nadodrze” 1961, nr 10, s. 11).

W „Nadodrze” (1960, nr 3, marzec, s. 10) Bogusław Kogut z kolei ocenia: „Spośród zielonogórskich antytradycjonalistów tylko Janusz Koniusz i Bolesław Soliński wyróżniają się pewną odrębnością i samodzielnością poszukiwań, a twórczość ich nosi znamiona świadomej pracy nad poetycką materią i nad własnym pryzmatem widzenia”. [...] „Bardzo interesuje mnie Janusz Koniusz. Jest to poeta o wyobraźni malarskiej czy wręcz architektonicznej, widzi przede wszystkim kształt, barwę, mówi obrazem, ucieka od pojęć, od słów ze słabym pokryciem, jest przeraźliwie konkretny. Jego poszczególne wiersze są co najmniej bez zarzutu, niektóre zaskakują nagłą groteską. (...) Jeszcze inne wnoszą niepokój intelektualny, głęboką refleksję”. (Pod tytułem „Poeci Ziemi Lubuskiej” B. Kogut omawia siedem tomików lubuskich, w tym prozatorskie, zbiorowe „Miniatury” i także „Kartki wyobraźni”, a ponadto tomiki Solińskiego, Koniusza, Szyłkina, Morawskiego, Suzanowicza).

O wierszach i prozie Koniusza pisali niebyle jacy autorzy, m.in. Bogdan Bąk, wspo-

mniany B. Drozdowski, Zygmunt Trziszka, Zbigniew Bieńkowski, Tomasz Burek, Jacek Łukasiewicz, Michał Sprusiński, Henryk Bereza, Jan Koprowski, Andrzej K. Waśkiewicz. Koniusz nigdy się tym nie chwalił, ale już w 1955 r. pisał o nim Czesław Miłosz i to w prestiżowym (obecnie) piśmie, o czym dalej...

To miejsce

Utwory Koniusza i publikacje o nim ukazywały się w prasie ogólnopolskiej. Miał więc znakomity podkład pod – wręcz ogólnopolską – karierę literacką. A jednak wybrał Zieloną Górę, do której przyjechał w 1954 i został w niej do końca. Mimo że wielu jego kolegów, z którymi współtworzył środowisko kulturalne Ziemi Lubuskiej (w 1961 r. powstał oddział Związku Literatów Polskich), po pierwszym, pionierskim okresie po prostu wyjechało stąd. Już w latach 60., potem 70. dał się odczuć odpływ literatów. Z ważniejszych wyjechali do Warszawy Soliński, także Trziszka, do Lublina Jasiński, do Gdańska Waśkiewicz i inni. Z rozczarowania? Z braku perspektyw? Przyczyn tego exodusu upatrywano w braku wyższej uczelni, jak też wydawnictwa, zmniejszającej się ilości spotkań autorskich, braku pomocy finansowej dla pisarzy, a także małej atrakcyjności województwa. Słowem ani młodzież literacka nie miała się gdzie rozwijać, ani też nie było atrakcyjnej oferty dla dojrzałych, potencjalnych twórców, których można by zachęcić do osiedlenia się w mieście lub regionie. Koniusz jednak został mimo zubożenia jego otoczenia, mimo braku krytyków, eseistów, słowem pełnoprawnego środowiska pisarskiego.

Wtrąćmy tylko, iż np. Szczecin, Jelenia Góra, Opole (o podobnym statusie miast na Ziemiach Odzyskanych) miały ważne epizody literackie, gdyż zatrzymali się tam Gałczyński, Andrzejewski, Osmańczyk, Żukowski i inni. W Jeleniej Górze (Jagniątkowie) mieszkali nawet (do 1946 r.) niemiecki noblista Gerhard Hauptmann, W Zielonej Górze i województwie nie pojawiła się żadna postać tej miary, która ogniskowałaby życie literackie, zostałaby dla miejscowych przewodnikiem, autorytetem. Choć może właśnie z tego powodu M. Drozdowski uznał w recenzji Zieloną Górę za „oazę czystej liiryki, żadnych estetyzmów modnych w Warszawie, dziwnego słowotwórstwa, mizerne ślady politycznego kaca”. Szewczuk dodał: „Poeci lubuscy nasycają swoje utwory realiami regionu w sposób właściwy poezji, z nieagitacyjną skromnością przetwarzając codzienne doświadczenia na język syntez, filozoficznych uogólnień”. Jako przykłady wymienił twórczość Koniusza, Solińskiego, Morawskiego.

Na co powstał?

Janusz Koniusz pozostał zatem na środowiskowym Nadodrze. Wbrew dobrym zapowiedziom i zachętom nie wybrał się do Poznania, nie wrócił do Katowic lub Sosnowca, nie określił sobie jako celu Warszawy. W „Nadodrze” (1961, nr 6, czerwiec, s. 10) w rubryce „U autorów lubuskich” Koniusz, po tym jak wydał trzeci tomik wierszy w Wydawnictwie Poznańskim, tak powiedział o sobie i swej poezji: „Wiersze to bardzo wąski margines mej pracy pozazawodowej. Najwięcej czasu poświęcam publicystyce. Pociągają mnie także proza – krótkie opowiadania, może za rok, dwa uzbiera się ich na tomik. Nie chciałbym również rezygnować ze szkiców historyczno-literackich oczywiście o tematyce lubuskiej (...). Plany planami, co z tego będzie, nie wiem...”. Mamy rok 1961, pisarz ma zaledwie 27 lat, ale w tonie jego wypowiedzi brzmi – jak się wydaje – pewna nuta rezygnacji. →

I tak już pozostało, mimo kolejnych lat i nowych tomów wierszy (i prozy oraz wspomnień). Janusz Koniusz zdecydował się pozostać „poetą miejscowym”, rezygnując z innych możliwości. Choć znat osobście Broniewskiego, Przybosia, Tadeusza Borowskiego, Melchiora Wańkowi-cza, Mieczysława Jastruna, Iwazkiewicza, Sztudyngera, Jerzego Andrzejewskiego, a po latach odwiedził w Krakowie Miłosza. Kontakty zatem miał znakomite, szanse rozwoju – ogromne, rękę – sprawną. W swej bibliotece trzymał książki z dedykacjami napisanymi przez pierwsze pióra PRL. Za sobą miał dziesiątki godzin przegadanych z wybitnymi postaciami literatury polskiej podczas zjazdów ZLP, podczas ich wizyt w Zielonej Górze. Jednak „nie skorzystał” z tego...

Czy bardziej niż pisarzem czuł się działaczem? Redaktorem? Trudno dziś wyważyć. Sam to widział w ten sposób: „Od pół wieku uprawiam dwie małe grządki – literacką, z miłości, i dziennikarską (...) dla chleba”. Wiadomo, że do końca życia i pisał, i działał. W ramach poczyna oddziału ZLP Koniusz uczestniczył we wszystkich jego krokach. W literackich spotkaniach w Żarach i konkursach im. Paukszyty w Kargowej. W przygotowaniach do 40-lecia i 50-lecia oddziału, w wydawnictwach na te okazje przygotowywanych. Jeśli padała jakaś iskra literacka, to od razu ją podchwytywał i rozdmuchiwał w ognisko. Tak było z pomysłem Nagrody Literackiej im. Andrzeja K. Waśkiewicza, ongiś jego kolegi z redakcji „Nadodrza” (siedzieli przy sąsiednich biurkach), tak było z Nagrodą „Winiarki”. Mimo wieku jeździł jako delegat do Warszawy na Zjazdy ZLP albo do Gorzowa, gdy powstał tam oddział ZLP, żeby wspierać kolegów. To była jego niwa. Ale wybierał się i do Babimostu na 50-lecie stowarzyszenia, które zakładał pół wieku wcześniej. Redagował „Serce i Troskę” – pismo niepełnosprawnych, i „wchodził” w różne inne inicjatywy społeczne. Chciało mu się. Zawsze był gotów do działania, nawet drobne sprawy były w stanie go zainteresować i wciągnąć.

„Mam chyba geny, które wobec różnych problemów nie pozwalają mi przejść obojętnie. Od najwcześniejszych lat zawsze się w coś angażowałem. Już podczas wojny, gdy zostałem ministrem, pomagałem kościelnemu sprzątać kościół w Niwce, ustawiałem katafalk, nosiłem w wiadrach wodę święconą, kalkkowałem. Pieliłem plac przykościelny na przyjazd biskupa. (...) I tak już mi zostało” („Janusz Koniusz. W 70. rocznicę urodzin”, s. 33).

- Tak, Janusz, mimo że czuł się poetą, poezję poniekąd porzucił na rzecz bycia działaczem; to był dość znaczący jego żywioł, bo też był w ruchu, jeździł, poznawał nowych ludzi, działaczy - ocenia Czesław Sobkowiak (mail: 2020-02-29 o 10.51). - Ponadto na prowincji, tutaj w Zielonej Górze, uprawianie poezji nie daje żadnego splendoru w szerszym znaczeniu. Lokalnie, owszem, był poetą na świeczniku, a w tamtych czasach, może mniej niż obecnie, tylko w centrach kulturalnych można było coś osiągnąć. Jednak też jest jeszcze jedna sprawa, inna i ważna, o której pisałem chyba nie jeden raz, otóż Janusz nakładał sobie, czyli na uprawianą przez siebie poezję, zbyt duży kaganiec o wielorakim znaczeniu. Myślę, że tu tkwi przyczyna (zachowawczość, niepodjęcie ryzyka intelektualnego), dla której osiągnął pułap, jaki osiągnął – puentuje list do mnie Cz. Sobkowiak.

A więc okrajkami na barykadzie?

Drugie dno

W tym omówieniu nie analizuję twórczości literackiej J. Koniusza. Z założenia przyjmuję, iż była na poziomie, wartościowa. A że się nie przebiła... - tu zawieszam kwestię. Być może jednak należałoby postawić problem inaczej. Nie mówić o dualizmie aktywności społecznej i literatury w życiu pana Janusza, lecz o tym, iż owa działalność społeczna Koniusza (zdecydowanie istotna i kulturotwórcza!) była w gruncie rzeczy ucieczką. Ucieczką od pełnego zaangażowania się w poezję. Dlaczego taka konfiguracja? I co na to wskazuje?

Czesław Sobkowiak stawia wpiery takie oto ogólne pytania: „Cóż może jednostka wobec maszyny dziejów? Co ona jest w stanie zrobić, do czego jest zobowiązana? Zapewne kiedyś ktoś spróbuje w materii napisanych wierszy Janusza Koniusza odnaleźć piętra tego skomplikowanego okresu” („Pro Libris” 2014, nr 1-4, s. 44). Mowa oczywiście o latach stalinizmu w Polsce. Latach przełomowych dla twórczości poety zaliczanego jeszcze do pokolenia „pryszczatych”. „Historia w poezji Janusza Koniusza uobecniła się nie wprost, ale uniwersalnie – jako determinanta jego podmiotowego bytu. Ciągłe do niej wraca i nieustannie próbuje konfrontować z własnym, jednostkowym »ja«. Ma ona w jego utworach moc niszczącą. Ubezwłasnowolniającą. Pozostaje bezradność, poczucie klęski, rozpadu” – sugeruje dalej Sobkowiak w „Pro Libris”. Skaza przełomu politycznego lat 50., która wpłynęła na całe życie? Na całą twórczość? Czy to możliwe?

A.K. Waśkiewicz wskazuje w miarę precyzyjnie, kiedy ów przełom mógł nastąpić. Wczesne wiersze Koniusza miały się złożyć na debiutancki tomik „Papierowe trzewiki”, który się jednak nie ukazał. „Te wczesne wiersze (...) podejmują motywy typowe [dla socrealizmu – E.K.]: Plan Sześcioletni, budowa Nowych Tychów, życiorys górników, koreańska dzweczyna, czarny Śląsk, pasterka ze spółdzielni produkcyjnej, szkoła, nowa świadomość” – pisze krytyk (s. 94). Dodaje, że omówione wyżej wiersze ukazały się w 1954 r. w „Almanachu literackim” w warszawskim wydawnictwie „Iskry”. Waśkiewicz uważa, iż „można w nim zobaczyć ostatnią zbiorową publikację młodych socrealistów”. W 1956 r. ukazał się kolejny „Almanach literacki” „Iskier”. Już inny w wymowie. „Przywykło się w nim widzieć zapowiedź generacji »Współczesności«. Rzecz w tym, iż w części w obu drukują ci sami autorzy. Po latach zaś czasem trudno pojąć, na czym polegał przełom” – ocenia Waśkiewicz. Jednak w przypadku twórczości Koniusza przełom ewidentnie nastąpił, gdyż autor odrzucił gotowy do druku zbiorek i kilka lat później przygotował zupełnie nowy. Zmienił poetykę i wymowę utworów. Widać, iż poeta osobście mocno – ze skutkami na całe życie – przeżył to, co się wydarzyło w ówczesnej polityce kraju i odbiło się na polskiej (i jego) poezji. Czy w konsekwencji tamte chwile w okolicy 1954 r. wytworzyły w nim na zawsze barierę ochronną niepozwalającą z ryzykiem wchodzić do „nowej wody”? Powtórzmy za Sobkowiakiem: „zachowawczość, niepodjęcie ryzyka intelektualnego”? I czy to w ostateczności wpłynęło na jakość jego poezji? Byłaby to owa, przywołana przez Sobkowiaka, „moc niszcząca, ubezwłasnowolniająca”, po której pozostaje „bezradność, poczucie klęski i rozpadu”? Być może, lecz żadnej pewności nie mamy. Sobkowiak nawołuje: „Należy się zastano-

wić, jaki wynikł z tej presji rzeczywistości obraz”. Obraz odczytywany w wierszach, opowiadaniach i innych utworach. Wiemy, jaki obraz powstał, nie poznamy nigdy, jaki mógłby być, gdyby...

Waśkiewicz wskazuje na pewien wiersz J. Koniusza, który uznaje za d o n i o s ł y, choć dojrzały już poeta chyba nigdy się do niego nie odwoływał. A być może, był to wiersz przełomowy? Utwór, którego skutki wstrząsnęły na zawsze poetą?. To „List do matki” („Gazeta Zielonogórska” 1955, nr 55, s. 5).

Nie możemy się zgodzić,
bo we mnie dwa sumienia,
toczą bój bez wytchnienia,
które z nich ma przewodzić.

Jedno moje sumienie
tzwymi łzami zlepione,
w kościołach wymodelone,
pokorne, ciche, nieme.

Drugie moje sumienie
w kamieniu wiedzy kute
ostrym, partyjnym dłem.
Które wybrać? - Sam nie wiem.

Stąd u mnie ta udreka,
stąd wśród nas ta niezgoda
niby ogień i woda,
stąd ból twój, twoja męka.

O matko, męki twojej
nie skreślę zapomnieniem.
Biorę drugie sumienie
chociaż oba są moje.

Notabene utwór ten w całości przytacza także Czesław Miłosz już w 1955 roku w paryskiej „Kulturze” (nr 4 (90), s. 142), stwierdzając, iż jest to prawdziwa rozterka, wręcz „konflikt młodego komunista”. „Dzięki temu, że autor matkę szanuje, konflikt nabiera rzeczywistej ostrości rozdarcia”. Po dziesięcioleciach nastąpiło w Krakowie spotkanie Koniusza z Miłoszem. Ciekawe, czy rozmawiali wówczas o tym wierszu, o jego publikacji w „Kulturze” Jerzego Giedroycza?

Janusz Koniusz nigdy nie porzucił poezji, zawsze i wszędzie przedstawiano go, zapowiadano głównie jako poetę. Takie też określenie znalazło się na tablicy pamiątkowej, która niedawno pojawiła się na jego zielonogórskim domu przy al. Niepodległości. Wkrótce po odejściu pisarza córka, Donata Wolska, znalazła w komputerze właściwie gotowy do druku tomik. Rozmawiałem z nim o tych wierszach tydzień przed jego śmiercią. Obiecałem przygotować do druku, ukazały się jako „Wiersze ostatnie”.

Mam świadomość, że mieszkał wśród nas ważny i obiecujący twórca. Przez całe życie - człowiek słowa. Miał ogromne możliwości, z których chyba z rozmysłem nie skorzystał. Może je wręcz tonował. Szkoda, bo wydaje się, iż coś ważnego uciekło nie tylko jemu, ale i polskiej poezji. Szanse, marzenia, c o ś, czegoś nie udało się w pełni zrealizować. Widać jednak tak być musiało...

EUGENIUSZ KURZAWA

Może tak być

już od pewnego czasu nie interesuje mnie
co w polityce
i tv gdzie mecz jest sprzedany
a benefis przypomina tort
wyskakuje naga hostessa
ze złotą szarfą
obchodzę coraz mniej świąt nieruchomości
ruchome ustanawiam sama
piję wytrawne czerwone zachody słońca
gorzkawy likier
gwiazdy łaskoczą w podniebienie
czasem z przyjaciółką z Warszawy
pijemy wino
opowiada historię o Różewiczu
był jak skowronek
jego nuta trafia do nieprzerobionych
na masę papierową towarową towarzyską
tacy ludzie boją się ściśniętego gardła
a dla Różewicza literatura
nie była zabawą z rzeżącym jamnikiem
który chowa się pod szafę
nie zamykał nie kneblował wierszy
nie perfumował głosu
takich historii nie słyszałam wiele
takich nut
nie powtórzą ci co myślą że są poetami
starają się usilnie
czasem wydają oszczędności i tomik
własnym sumptem w drukarni od reklam
z nośnym tytułem i okładką
też nieznośną
moja przyjaciółka nie musi się starać
kiedy unosi kieliszek
i smakuje zachód słońca
w pokoju pachnie Toskanią
i wiatrem znad Valle de Maipo
może tak być
że wino nabiera jedwabistej tekstury
dzięki rzece Maipo
której źródło znajduje się w Andach
na zboczach wulkanu Maipo
może tak być
że gleba pełna mułu i gliny
nadaje bardziej owocowy smak
naszym rozmowom o poezji
może tak być
że moja przyjaciółka
jest zdolna czuć więcej
i mówić co myśli
bo przeszła w życiu niejedną grań
i nie były one z tektury
ale milczenie o tym uznałabym za bardziej wymowne
może tak być
że Różewicz też by o tym milczał

Zbigniew Szczepanek

Grzegorz Bazylak

W niezwykłe starannie redagowanej od kilku lat przez Zbigniewa Joachimiaka serii Polska Proza Współczesna XXI wieku, której wydawcą jest Fundacja Światło Literatury w Gdańsku, ukazała się w maju 2020 roku powieść zmarłego nagle dwanaście lat temu łódzkiego pisarza

być stale zajęte, trzyma się je na parapecie i udaje się z nimi wszystko, „dlaczego więc nie miałby kota udusić, powiesić, a po kocie przyjdzie kolej na grubszą zwierzyńkę. Kot nie kot, nie chodzi o kota” [7], ponieważ żołnierzem może kierować często nie-uświadomiona, ważniejsza od decyzji grupy i zabójcza dla niego samego, indywidualna chęć uzyskania prestiżu, którą trzeba stłumić [8], a potrzebna do tego „dyscyplina staje się wymogiem armii z chwilą pozyskania jej przez państwo” [4].

Taka właśnie „wokalna zwierzęcość

77 blisko 40-letni wówczas Roman Polański (ur. 1933), absolwent łódzkiej „filmówki” (1958), przymusowy emigrant (1963), tragicznie owdowiały mąż (1969) i światowej sławy twórca serii arcydzieł filmowych, „Nóż w wodzie” (1962), „Wstręt” (1965), „Matnia” (1966), „Makbet” (1971), „Dziecko Rosemary” (1969), „Chinatown” (1974), „Lokator” (1976), niespodziewanie, niczym seksualnie nieokietznany ogier, zaczyna regularnie napastować n a s t o l e t n i e, ale już „odpowiednio rozgarnięte i dobrze wykształcone, co pozwalało obstrugiwać telefon

ANDROCENTRYCZNA NIEŚWIADOMOŚĆ

Zbigniewa Wilczyńskiego „Fala zero” [1], gdzie występuje szczególnie oryginalna „narracja, która łączy obrazowy porządek widzenia i pojęciowy porządek rozumienia” [2], ale pomimo tego nie dąży jednak ku fikcji i temu co estetyczne. Takie nietypowe przekształcenie często spotykanego w prozie realistycznej modelu narracyjnego wynika prawdopodobnie z tego, że w powieści „Fala zero” występuje narracja pierwszoosobowa, sugerująca, że jest to autobiografia. Istotnie, powieść pełna jest niezwykle szczerych wyznań kanoniera Woronieckiego, głównego jej bohatera, będącego alter ego autora, nie tylko opisujących intymne szczegóły jego zdemoralizowanego życia, ale także wyznawanej przez niego nihilistycznej aksjologii (por. „Fala zero”, Część pierwsza, Kibel, Fala 716, str. 44): „Nie był świętoszkiem, w wieku dziewiętnastu lat zdążył już dosyć dokładnie poznać działanie alkoholu i innych środków odurzających, od dawna wiedział, jak smakuje ciało dziewczyny, wiedział też, co to znaczy uderzyć kogoś albo samemu oberwać. Jednak wciąż jeszcze szanował człowieka, wciąż jeszcze w drugim osobniku widział potencjalną istotę ludzką. Dlatego też przyjmował występ kaprala nadzwyczaj spokojnie. Jeszcze nie wiedział, że właśnie rozpoczął się cykl wykładów, że właśnie pobiera pierwszą lekcję. Jeszcze nie wiedział, że do ludzi powinien zaliczać tylko siebie i matę garstkę przez siebie wbraną, a reszta to w najlepszym wypadku niegodny uwagi tłum, w najgorszym – robactwo, które należy bezwzględnie tępić. Jeszcze nie wiedział (...).” Konfesyjność szokująco przekonująca, niezwykle bezpośrednia, daleko przekraczająca granice ekshibicjonizmu, w przewrotnej kontrze do wyłansowanej w gierkowskich czasach piosenki „Po ten kwat czerwoną” Piotra Janczerskiego (1938-2018) i łódzkiej grupy „No To Co”: „żołnierz dziewczynie nie skłamię, chociaż nie wszystko jej powie, żołnierz zarzuci broń na ramię, wróci to resztę dopowie” [3].

To, co zaobserwował Wilczyński już w pierwszych chwilach pobytu w polskim wojsku lat 70. XX wieku, na przykład, że „żołnierz przestał syceć, a zaczął szczekać” (por. „Fala zero”, Część pierwsza, Kibel, Fala 716, str. 43), potwierdza filozoficznie uzasadniane sugestie, które Deleuze i Guattari sformułowali w postaci pytania: „czy to nie przede wszystkim przez głos stajemy się zwierzęciem - ?” [4], bowiem tylko „wrażenia dźwiękowe pozwalają usłyszeć zwierzęcy głos, jaki dobywa się z wydającego okrzyki rozumu” [5], a ponadto „słuch myli mniej niż wzrok” [6]. Nie powinno zatem dziwić, że w żołnierskim socjodialekcie, jaki występuje w tej powieści, musiały pojawić się KOTY, które (cytuje): są parszywe, muszą

człowieka” [4], którą w powieści Wilczyńskiego okazuje na każdym kroku kapral Wachowicz, a w filmie „Pełny magazynek - Full metal jacket” Stanleya Kubricka (1928-1999) zaprezentował w sposób niezwykle spektakularny sierżant Hartman (w tej roli występuje Lee Ermej), jest dla przeciętnego żołnierza źródłem stałego napięcia, ustawicznego stresu, dojmującego uczucia paniki, które u większości z nich wywołuje stan praralizującej apatii, dręczącego przymusu, ale u niektórych inicjuje kreatywność, chęć natychmiastowego działania. „Zwierzęcość, która wyraża się nie tylko w autodestruktywnych instynktach opartych na zadawaniu przemocy, ale również w niepojętym „apetycie na seks”, którego żadne społeczne instytucje (w tym przypadku wojsko) nie są w stanie całkowicie stłumić” [9]. Stąd pojawia się w powieści „Fala zero” bardzo istotny wątek dotyczący relacji żołnierzy z kobietami, przy czym opisywane są w niej dwa, niemal godardowskie, krańcowo odmienne, ale realizowane równocześnie przez kanoniera Woronieckiego przejawy seksualności, jako „wspaniała boska aktywność” [10] (związek Woronieckiego ze studentką polonistyki Magdą, mieszkanką Łodzi) lub jako „aktywność zabójcza, w trakcie której ludzie w tóżku nawzajem się mordują” [10] (związek kanoniera Woronieckiego z urzędniczką pocztową Wandą, mieszkanką Szczecina). Miłość opisywana przez Wilczyńskiego, tak jak w filmie „Wiedza radosna” (Le gai savoir, 1968) Jean-Luc Godarda (ur. 1930), „to wzajemne nazywanie i substancjalizowanie, odstąpienie poziomu zero miłości, poza tego rodzaju nominalizacją” [10], przy czym okazuje się, że - jak w przypadku związku z Wandą - „drogą do prawdziwej damsko-męskiej relacyjności jest kres seksualnego ujarznienia” [10], natomiast negacja seksualności (jak w związku z Magdą) prowadzi do perwersji. Celnie zauważył i zrekapitułował taki proces pewien wybitny krytyk literacki: „Obcy oswoja wybrane kawałki świata, wysyłając doń listy. Pośrednikiem w tym procederze jest dziewczyna, kobieta, jej interior (czyli gotowość, s k r z y n k a p o c z t o w a, otwartość, chłonność), włosy rozsypane na podłodze, jej skóra, współczująca świadomość, jej marzenia o utożsaczeniu się z Wandą, wspólne życie” [11], gdy formułował swoje entuzjastyczne uwagi o poezji Krzysztofa Śliwki (ur. 1967) z lat 90. XX w., który - podobnie jak Wilczyński - „szukał mimo wszystko jakiejś transcendencji w raczej nietranscendentnym świecie” [11].

Tymczasem w tych samych latach 1972-

i rozmawiać z ludźmi” [12], artystki niemieckie, brytyjskie i amerykańskie, m.in. Renate Langer (ur. 1956), Valentine Monnier (ur. 1956) i Samantę Gailey-Geimer (ur. 1964), które dopiero w latach 2016-2019 poczuły się poszkodowane takim nazbyt męskim sposobem zachowania wobec kobiet, co spowodowało, że wstąpiły na drogę sądową wobec ponad 80-letniego reżysera z oskarżeniami o gwałt, a ponadto udzieliły ponadprzeciętnego wsparcia na rzecz agresywnych działań francuskich feministek, które od tego czasu blokują filmowe festiwale, fety, gale i multikina w różnych krajach świata twierdząc, że „Polański prześladowa kobietę” [13].

Nie poddający się koszarowej rzeczywistości „czterej wspaniali” z utworzonej ad hoc żołnierskiej paczki: Woroniecki, Sierpiński, Nowak, Rybka, „funkcjonującej według logiki nieustannego samowzmocnienia” [14], to przeciwieństwem opisaną w tej powieści galerii żołnierzy całkowicie zniewolonych, zdalnie kierowanych, niezdolnych do krytycznego dystansu, ludzi zdepersonalizowanych, socjotechnicznie wystandaryzowanych, ofiar instytucji totalnej jaką jest wojsko [15]. „Przywódtwo jest skomplikowanym mechanizmem, które nie tyle sprzyja najsilniejszemu, ile ogranicza przede wszystkim możliwość trwałego osadzenia stanowiska władzy, umacniając raczej tkankę wewnętrznych relacji. (...) Grupy towarzyskie bliskie są bandom i działają raczej na mocy upowszechnionego prestiżu niż przez odniesienie do ośrodków władzy (...). To dlatego bandy, zbójce czy towarzyskie, są na ogół wcielaniem maszyn wojennej, różniące się formalnie od każdego aparatu państwowego” [4].

Z rozproszony w powieści „Fala zero” informacji, wynika, że Zbigniew Wilczyński (1954-2008) mógł odbywać obowiązkową służbę wojskową od września 1973 do stycznia 1975 (15 m-cy) lub listopada 1975 (łącznie 24 m-ce). Zbigniew Wilczyński służył w pierwszym działaniu baterii moździerzy 120 mm, w koszarach przy ul. Wojska Polskiego 225 w Szczecinie, gdzie stacjonował 5 Kotobrzeski Pułk Zmechanizowany (do 1958 r. nosił nazwę 5 Kotobrzeskiego Pułku Piechoty), który wchodził w skład elitarnego 12 Dywizji Zmechanizowanej (poprzednio 12 Dywizji Piechoty) dowodzonej w latach 1957-1960 przez gen. Wojciecha Jaruzelskiego (1923-2014), sprawcę krwawej pacyfikacji Wybrzeża w grudniu 1970 roku i twórcę tragedii stanu wojennego 1981-83 w Polsce. Zanim objął to stanowisko, był

w latach 50., tak jak i ptk. Ryszard Kukliński (1930-2004) - twórca założeń stanu wojennego w Polsce, od 1970 r. agent CIA ps. Jack Strong - oficerem wspomnianego 5 Kołobrzeskiego Pułku Piechoty, który swoją nazwę zawdzięcza pomyłce samego Józefa Stalina (1878-1953), bo nikt nie śmiał jej skorygować [16].

Kanonier Zbigniew Wilczyński, przyszły prozaik i scenarzysta [17], podnosił swoje kwalifikacje w szczecińskich koszarach przy ul. Mickiewicza, o czym mówi relacja narratora powieści „Fala zero” (por. Część druga, Wyjście, Fala 645 do 623, str. 153): „smak prawdziwego luzu poznał dopiero w pierwszych dniach stycznia [1974 r. - przyp. GB], gdy poszedł na kurs rachmistrzów do 22 Pułku Artylerii Haubic. Przede wszystkim nie było tu podoficerów, więc nikt nie urządzał żadnych zbiórek i nikt ze specjalnymi przywilejami nie pilnował utrzymania porządku. Komendant kursu, porucznik, już pierwszego dnia powiedział, że uważa ich za ludzi dorosłych, za specjalnie wybranych ze względu na walory umysłowe, za elitę artylerii, a nawet całej armii. Tak samo traktowali ich oficerowie-wykładowcy; dla nich nie byli głupim kociarstwem, byli słuchaczami, których mieli nauczyć czegoś konkretnego. Dyskusje, pytania i wątpliwości były wręcz wskazane. Nikt nie wydawał rozkazów. Zlecano im zadania do wykonania, za które otrzymywali oceny. Kwaterowali w budynku sztabu pułku, a rytm normalnego żołnierskiego życia wdzierał się do nich tylko raz dziennie, wraz z pobudką i wyjściem na rozprawienie poranne; po kilku dniach odpadło i to; spali do śniadania, ponieważ przekonał się, że w pułku mało kto wie o ich istnieniu.”

A co działo się na co dzień w Peerelu w tych szalonych latach siedemdziesiątych XX wieku, gdy „Polska rosła w siłę a ludzie żyli dostatniej”, a świat po zakończeniu wojny wietnamskiej wchodził w erę globalizacji - ? Na przykład w latach 1974 i 1975 esbecko-bezpieczniackie Wydziały „W” i Biuro „W” przy udziale ponad tysiąca swoich ludzi rozlokowanych w placówkach pocztowych „przejrzały ponad 2 mln przesyłek listowych oraz ponad 14 mln materiałów do tzw. rozmówień tematycznych. Sporządzono z nich 240 tys. kserokopii. Ponad 24 tys. przesyłek wyłączone z obiegu jako szkodliwe politycznie. Poza tym perlustrowano 319 tys. telegramów, z których wykonano ponad 22 tys. kopii dla jednostek operacyjnych” [18].

Można zatem z wysokim prawdopodobieństwem przyjąć, że przywoływana w powieści „Fala zero” intymna korespondencja listowna szeregowego Woronieczkiego, głównego bohatera tej powieści, z Magdą G., studentką polonistyki, była skrupulatnie kontrolowana przez esbeckie komando zanim dotarła do adresatki. Również stanowiący znaczną część fabuły tej powieści burzliwy romans Woronieczkiego z Wandą, pracownicą urzędu pocztowego zlokalizowanego w szczecińskiej jednostce wojskowej, nabiera w świetle tych informacji całkiem innego znaczenia. Któż by przypuszczał, że organizowana w 2020 r. wyborcza pocztyniada jest w dużym stopniu kontynuacją totalitarnych działań rodzimego chowu sprzed prawie 50 lat...

Zjawisko falowania czyli niepowstrzymanego, cyklicznego następstwa kolejnych procesów i wydarzeń, od fal morskich i gorąca, aż do fal kryzysów i przemocy, może kojarzyć się z benjaminowsko pojętym piekłem „pozoru indywidualności, pozoru wolności, uwikłania w repetycję i wieczny powrót tego samego, który dokonuje się właśnie tam, gdzie ma nadejść to co najnowsze i co zmienia dotychczasowy stan świata,

paradoksalnie to, co nowe, ciągle jest takie samo” [19]. Z falowaniem kojarzyć się powinien także użyty pierwotnie przez Karola Marksa (1808-1883) progresywny i mesjański termin „rewolucja”, który jednak w sensie kopernikańskim („revolutionibus”), w nawiązaniu greckiej tradycji świata antycznego, oznaczał „cykliczne powtórzenie, naturalną przemianę, powrót wykołonego świata na swoje stare miejsce, restytucję pradawnego („zapoznanego”) porządku” [20]. W sensie historycznego doświadczenia „rewolucja jest spłaceniem długu wobec utraconej przeszłości i wyzwoleniem umarłych” [21], co może prowadzić do nieakceptowanego w naszym społeczeństwie ponowoczesnym, ze względu na dominującą w nim czystą terażniejszość, traktowania „pamięci jako rewolucji i rewolucji jako formy pamięci, jako pewnego rodzaju sposobu „spędzania czasu”, wspomnianie jest próbą kontaktu z upływym czasem, które sprzeciwia się dominacji czasu spektakularnego, pozwala zachować siłę oporu wobec aktualności i w tym ruchu powtarzania wytwarza historię” [22].

Tytułowa „Fala zero” może oznaczać także punkt zwrotny lub wartość graniczną, jaką staje się skutek przypadkowego działania przemocy mitycznej - opisaniej przez Waltera Benjamina - każdy człowiek obciążony winą, który w ten sposób „oddziała świat ludzi od świata bogów, wina bowiem musi urzeczywistnić się w I u d z k i m świecie” [20]. Wykreowany przez Wilczyńskiego trywialny i brutalny świat powieści „Fala zero” to w znacznym stopniu „świat pogrążony w demonicznej, mitycznej, domkniętej immanencji ze wszystkimi jej pozorami życia” [19], a żyjący w takim świecie ludzie są całkowicie „zakneblowani, wtłoczeni w gęsty, mityczny żywioł” [19].

Dłatego tytuł „Fala zero” odsyła także do powszechnej w środowisku wojskowym i poza nim zmywy milczenia otaczającej utralone w obyczajowości żołnierskiej z okresu PRL i kontynuowane przez długie „po okrągłostołowe” lata „nieformalne zjawisko fali” [23] w celu podtrzymania przekonania tzw. politycznych decydentów i kadrowych dowódców o tym, że „wojsko wychowuje” [24] oraz kontynuacji totalitarnej wiary w realną władzę „regulacji formalnych, które zagospodarowują i wypęniają przestrzeń społeczną” [23]. Pojawiające się w tej powieści Wilczyńskiego postaci żołnierzy i ich cywilnych znajomych konsekwentnie, chociaż nieświadomie, przystosowują się przede wszystkim do reguły milczenia mitycznego, którego źródłem jest „niedostatek indywidualności i separacji, ich dwuznaczny pozór” [19], a tylko w nielicznych przypadkach do milczenia tragicznego inicjowanego przez „punktowe wyosobnienie z żywiołu ogólności, zamknięcie w samotnej jaźni” [19] lub do milczenia sprawiedliwego, które odsyłać do transcendencji „nie broni się przed oskarżeniami, bo złożyło ufnosc w tym, który zmartwychwstał i który nikogo nie odrzuca” [25].

W omawianej powieści Wilczyńskiego przedstawia jedno z polskich zanarchizowanych środowisk, w którym rządzi w sposób utajony zasada „domniemanych kompetencji”, nigdzie nie zapisanych, z nikim nie uzgodnionych, gdy tymczasem aksjomatem cywilizacji zachodniej jest to, że w każdej organizacji reprezentującej państwo „organ ma tyle kompetencji, ile wyraźnie przyznaje mu prawo” [26]. W tej tendencji do anarchizowania oficjalnych struktur można dopatrzeć się kontynuacji wielowiekowej polskiej tradycji szlacheckiej, która „wzmocnienia władzy monarchszej i widma „absolutum dominium” lękała się bardziej niż najazdu tureckiego, (...) rycerskie obowiązki szlachcica były spro-

wadzone raczej do działań defensywnych niż zaczepnych” [27]. Okazuje się, że tego typu postawy zwątpienia, sprzeciwu i oporu są współcześnie pod „wpływem kapitalizmu konsumpcyjnego i społeczeństwa pozorów” [28] klasyfikowane, jako „specyficzny rodzaj agresji, jako tzw. negatywizm społeczny, polegający na negowaniu autorytetów, obowiązków norm moralnych i etycznych, krytykowaniu i odrzucaniu poglądów oraz idei ogólnie akceptowalnych, łamanie nakazów i zakazów przyjętych generalnie za normę społeczną” [29], co jest z pewnością korzystne dla konserwowania i stagnacji układów władzy.

Tymczasem „nie zawsze i nie wszystkie sprzeczności i walki społeczne są sprzeczne z dążeniem do utrwalaenia ustalonego porządku, bowiem trwałość mogą zapewnić właśnie zmiana i struktura utwalona przez ruchliwość” [30]. Jednak pułapki takiej mobilnej strategii życiowej przedstawia nominowany do Nagrody Oscara thriller społeczno-kryminalny Sidneya Lumeta (1924-2011) „Pieskie popołudnie” (1975), w którym Sonny Wortzik (w tej roli Al Pacino) weteran właśnie zakończony wojny wietnamskiej, woli zostać biseksualistą i zawiera ślub ze swoim rówieśnikiem, marzącym o operacji zmiany płci homoseksualistą Leonem Shermerem (w tej roli Chris Sarandon), aby w jakiś sposób wyrwać się z beznadziejnego otoczenia i odmienić swój rozpaczliwy los nasycony pozorną „normalnością”, którą gwarantuje mu patologicznie tyjąca żona (w tej roli Penelope Allen) z dwójką małych dzieci do wykarmienia. Innymi słowy ambitny, lecz permanentnie sfrustrowany, Sonny Wortzik nie jest stanie, jak sam to określa, „urządzić się w tej dupie” jaką jest to, co z USA w 1975 roku po wojnie z Wietnamie zostało [31].

Czytanie tej powieści Wilczyńskiego „nie polega na uzyskiwaniu wyjaśnień od pisarza, z którym doświadczamy porozumienia, ale na stałym wyobcowaniu wobec samego siebie, na utracie kontroli intelektualnej, ciągle zabiegającej o to, aby się jakoś wzmocnić, aby się jakoś powściągnąć” [5]. W przeciwieństwie do kilku innych publikacji o zjawisku „fali” w polskim wojsku, napisanych przez pochodzących z poboru szeregowców, podoficerów lub podchorążych, a mianowicie Józefa Marii Ruszara, który opisał służbę w latach 1978-79 w Trzebiatowie [32], Grzegorza A. Czacza, lata 1984-85 w jednostkach wojska stacjonujących w Chełmnie, Jarominie, Olsztynie, Elblągu, Modlinie [33]; Mariusza Paska, lata 1988-89, garnizon Węgorzewo [34,35] oraz Pawła Mikołajczaka, Pawła Siekańskiego i Arkadiusza Znojka, lata 1998-99, garnizon Toruń i Chełm [36], które można zakwalifikować jako książki wspomnieniowe, reporterskie, pełne żołnierskiego żargonu, realistycznych detali żołnierskiego życia i rozmaitych anegdot, to w powieści Zbigniewa Wilczyńskiego, która dotyczy lat 1973-76, oprócz elementów wspomnianych relacji, został zawarty unikalny i niezwykle zniuansowany portret psychologiczny młodych żołnierzy, rozgrywający się w nich, niezależnie od polityczno-historycznych uwarunkowań, niestanny i nieoczywisty konflikt między obrazem i praktyką adrocentrycznej wizji świata, proces odkrywania zasad męskiej dominacji i wpiśnianych w męskie ciało warunków realizacji popędów androcentrycznej nieświadomości, formowania podmiotowości, wiedzy zarazem posiadanej, jak i bezustannie traczonej [37]. Opisana została w tej powieści nieprawomocność i nietrafność obrazu kobiety [38] tradycyjnie ukonstytuowanej jako „był negatywny” [39], to znaczy w całości zdefiniowanej przez braki i wady, który w kontekście nie tylko erotycznej relacji męski/

żeński, jako „ekspresji ciągłości istot ludzkich” [40] oraz problemu związku grzechu z winą [41] może być afirmowany i aprobowany tylko przez „podwójną negację” [37], co często sprowadza się do gombrowiczowskiego pytania „czy chciałem z nią świętstwa czy anielstwa - ?” [7]. Obserwacje Wilczyńskiego, gdzie szczyńskie koszary są jak dręczące koszmary, w dalekim stopniu przekraczają to, co zdemaskowały w swoim czasie szokujące polskie filmy: rozgrywający się w łódzkich realiach „Kroll” (1991) Władysława Pasikowskiego (ur. 1959) oraz „Samowolka” (1993) Feliksa Falka (ur. 1941), gdzie w głównej roli kaprala Tygrysa, wodza „fali” i faktycznego władcy kompanii, wystąpił Mariusz Jakus (ur. 1967), późniejsza gwiazda Teatru Nowego w Łodzi [42].

Pozostająca przez ponad 20 lat w megalopatycznych czeluściach powieści „Fala zero” zawiera unikalny w polskiej literaturze opis kształtowania się i ewolucji odkrytych przez Anthony Giddensa (ur. 1938) „jednostkowych mechanizmów refleksyjności” [43], które odnoszą się także do rozmaitych specyficznych form przemocy stosowanych w warunkach instytucjonalnej opresji [15].

Perypetie młodego dziewiętnastoletniego żołnierza z przymusowego poboru w połowie lat 70. XX wieku, bohatera działającej się w szczyńskich realiach powieści „Fala zero”, ukazują jak toczący się wokół niego nieuchwytny proces akumulacji kapitału niechęci, odwetu i agresji, który przyczynia się nieustannie do dezintegracji rodzimej autorytarnej organizacji militarnej, prowadzi do materializacji sprzecznego z jego przekonaniami - ale uzasadnionego kontekstowo i sytuacyjnie - a obserwowanego nawet w armii amerykańskiej w latach 1969-1972, zjawiska „fraggingu”, które pochłonęło kilka tysięcy ofiar [44], czyli usiłowania lub skutecznego zabójstwa innego żołnierza, oficera lub funkcjonariusza z własnej jednostki wojskowej [45].

W pełnej autobiograficznych wątków powieści „Fala zero” ukazany został zdegradowany system międzypokoleniowej komunikacji, który poprzez doskonalony w europejskich armiach przez kilka stuleci mechanizm wórnego dopasowania (*sekundäre Anpassung*) służył zachowaniu skompromitowanej hierarchii i dyscyplinie śmierci za życia [46], co uzasadniło wyparcie niemal do zera **w p ł y w u** dotychczas akceptowanych stereotypów męskiej dominacji [37] i wspólnych społecznych norm na podejmowane radykalne działania grupy spontanicznie współpracujących żołnierzy, w sytuacji, gdy los jednego z nich zbiegł się nagle z przeznaczeniem, „a wypadki przeżyte wylały nam z rąk, jak śmiecie, jak śmiecie, leżało to u naszych stóp...” [7].

PIŚMIENICTWO

- [1] Z. Wilczyński, *Fala zero*, postowie Grzegorz Bazylak, Fundacja Światło Literatury, Seria Polska Proza Współczesna XXI Wieku, Gdańsk 2020, ss. 422.
- [2] K. Filutowska, *Tożsamość narracyjna jako empiryczna podmiotowość-MacIntyre*, Taylor, Ricoeur, Wyd. Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 2018, s. 21.
- [3] Słowa Bronisław Brok, muzyka Jerzy Wasowski, prawykonywanie Opole 1968.
- [4] G. Deleuze, F. Guattari, *Kapitalizm i schizofrenia II. Tysiąc plateau*, red. J. Bednarek, Fundacja Nowej Kultury Bęc Zmiana, Warszawa 2015, s. 294, 440, 64.
- [5] C. Jaeglé, *Portret oratorski Gillesa Deleuze'a o kocim spojrzaniu*, przeł. z j. franc. Małgorzata Jacyno, Oficyna Naukowa, Warszawa 2013, s. 64.
- [6] E. Mazierska, *Pasja*. Filmy Jean-Luca Godarda, Wyd. Korporacja Ha!Art, MFF Era Nowe Horyzonty, Kraków-Warszawa 2010, s. 129.
- [7] W. Gombrowicz, *Kosmos*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1988, s. 69-72; A. Falkiewicz, *Polski kosmos. Dziesięć esejów przy Gombrowiczu*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1981, s. 31.
- [8] K. Poblocki, *Kapitalizm. Historia krótkiego trwania*, Fundacja Bęc Zmiana, Warszawa 2017, s. 418.
- [9] P. Klekowski, *Filmowa odyseja Stanleya Kubricka*, Korporacja Ha!Art, Kraków 2006, s. 325.
- [10] K. Silverman, H. Farocki, *Mówię, więc mnie nie ma*, w: *Idem, Rozmowy o Godardzie*, przekład i redakcja naukowa Paulina Kwiatkowska, Fundacja Mammal, Warszawa 2014, s. 173.
- [11] K. Maliszewski, *Życionys świadka skłóconych epok*, w: *Idem, Rozproszone głosy. Notatki krytyka*, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 2006, s. 150-155.
- [12] J. Savage, 1966. Rok, w którym eksplodowała dekada, przeł. z j. ang. Mikołaj Denderski, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2019, s. 150.
- [13] Anonim, *Spór wokół Polańskiego: zarząd Akademii Cezara podał się do dymisji*, <https://film.dziennik.pl/news/artykuly/6441488>; dostęp 16.02.2020.
- [14] P. Bordieu, *O telewizji. Panowanie dziennikarstwa*, przeł. z j. ang. Karolina Sztandar-Sztanderska, Anna Ziółkowska, PWN, Warszawa 2009, s. 58.
- [15] E. Goffman, *Instytucje totalne. O pacjentach szpitali psychiatrycznych i mieszkańcach innych instytucji totalnych*, przeł. z j. ang. Olena Waśkiewicz, Jacek Laszcz, Gdańskie Wydawnictwo Psychologiczne, Sopot 2011, ss. 360.
- [16] Dariusz Faszczka, *Z dziejów 12 Szczyńskiego Dywizji Zmechanizowanej 1945-2005*, Dom Wydawniczy Bellona, Warszawa 2005, ss. 112.
- [17] G. Bazylak, *Faktura czy paragon. O prozie Zbigniewa Wilczyńskiego (1954-2008) i nie tylko*, Studio Czarna Flaga, Łódź 2020, ss. 293.
- [18] S. Koller, *Procedura brakowania materiałów Biura „W” w latach 1972-1989*, w: Z. Nawrocki (red. nac.), *Aparat represji w Polsce Ludowej 1944-1989*, Instytut Pamięci Narodowej Oddział w Rzeszowie, Rzeszów 2011, s. 246.
- [19] A. Lipszyc, *Sprawiedliwość na końcu języka. Czytanie Waltera Benjaminia*, TAIWPN Universitas, Kraków 2012, s. 499.
- [20] P. Nowak, *Przemoc i słowa. W kręgu filozofii politycznej Hannah Arendt*, Fundacja Augusta hr. Cieszkowskiego, Warszawa 2018, s. 138.
- [21] Z. Bauman, *Postłowie. Walter Benjamin – intelektualista*, w: W. Benjamin, *Pasaże*, przeł. z j. niem. Ireneusz Kania, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2005, s. 1157.
- [22] P. Mościcki, *My też mamy już przeszłość. Guy Debord i historia jako pole bitwy*, Fundacja Bęc Zmiana, Warszawa 2015, s. 53.
- [23] A. Dębska, *Fala w wojsku. Ukryta struktura życia koszarowego*, DW Bellona, Warszawa 1997, s. 14.
- [24] E. Wejner, *Wojsko i politycy bez retuszu*, Wyd. Adam Marszałek, Toruń 2006, s. 221; E. Stefaniak,

Byłem oficerem politycznym, Wyd. Adam Marszałek, Toruń, 2007, ss. 432.

- [25] B. Maggioni, *Milczenie Jezusa*, w: M. Casaro (red.), *Milczenie boga, milczenie człowieka*, przeł. z j. w. Dariusz Chodyniecki, *Jedność*, Kielce 2006, s. 33-48. https://opoka.org.pl/biblioteka/T7TD/jed_milczenie.html
- [26] Jan Woleński, *PiS w wyborczym amoku. Gdzie jest pies pogrzebany?*, „Tygodnik Polityka” z dnia 30.04.2020.
- [27] J. Tazbir, *Kultura szlachecka w Polsce. Rozkwit, upadek, relikt*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1978, s. 79-81.
- [28] A. Giddens, *Nowoczesność i tożsamość. Ja i społeczeństwo w epoce późnej nowoczesności*, przeł. z j. ang. Alina Szulżycka, PWN, Warszawa 2006, s. 236.
- [29] A. Wierzbicki, *Zjawisko przemocy wśród żołnierzy zasadniczej służby wojskowej. Wybrane zagadnienia socjologiczne*, w: J. Wawrzyński (red.), *Socjologiczne i psychopedagogiczne aspekty przemocy*, Wydawnictwo WSHE, Łódź 2007, s. 279.
- [30] P. Bourdieu, *Dystynkcja. Społeczna krytyka władzy sądowniczej*, przeł. z j. franc. Piotr Biłos, Wydawnictwo Naukowe Scholar, Warszawa 2005, s. 211.
- [31] M. Kozubał, *Wojska amerykańskie wjadą w piątek do Polski*, „Rzeczpospolita” z dnia 28.02.2020.
- [32] J.M. Ruszar, *Czerwone pająki. Dziennik żołnierza LWP*, Instytut Pamięci Narodowej, Warszawa 2017, ss. 253.
- [33] G.A. Kaczor, *Wojskowy zawrót głowy*, Wydawnictwo Poligraf, Brzezia Łąka 2018, ss. 344.
- [34] M. Pasek, *Trepy, szweje i bażanty*, Wydawnictwo Ares, Warszawa 1994, ss. 190.
- [35] M. Pasek, *Paragraf 13*, Fronda, Warszawa 2008, ss. 642.
- [36] P. Mikołajczak, P. Siekański, A. Znojek, *Jakie jest wojsko czyli długa droga od biletu do cywila*, Studio Astropsychologii, Białystok 2001, ss. 198.
- [37] P. Bourdieu, *Męska dominacja*, przeł. z j. franc., Lucyna Kopiciewicz, Oficyna Naukowa, Warszawa 2004, s. 69-98.
- [38] A. Giddens, *Przemiany intymności. Seksualność, miłość i erotyzm w współczesnym świecie*, przeł. z j. ang. Alina Szulżycka, PWN, Warszawa 2007, s. 83-108.
- [39] R. Scruton, *Pożądanie. Filozofia moralna życia erotycznego*, przeł. z j. ang. Tomasz Kuniński, Ośrodek Myśli Politycznej, Kraków 2009, s. 118-167.
- [40] G. Bataille, *Erotyzm*, przeł. z j. franc. Maryna Ochab, Wyd. Słowo Obraz Terytoria, Gdańsk 2015, s. 126.
- [41] G. Vigarello, *Historia gwałtu od XVI do XX wieku*, Wydawnictwo Aletheia, Warszawa 2010, s. 44-65.
- [42] G. Bazylak, *Męski świat, czyli hurlyburly*, w: *Idem, Akcje, zwroty, odsłony. Sezon jubileuszowy 1999/2000 Teatru Nowego w Łodzi, Oddział Łódzki Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Literatów*, Wyd. II, Łódź 2015, s. 31-46.
- [43] A. Giddens, *Konsekwencje nowoczesności*, przeł. z j. ang. Ewa Klekot, *Eidos - Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego*, Kraków 2008, ss. 126.
- [44] G. Lepre, *Fragging: Why U.S. Soldiers Assaulted their Officers in Vietnam*, Texas Tech University Press, Lubbock 2011, pp. 230.
- [45] *Fragging is the deliberate killing or attempted killing by a soldier of a fellow soldier, usually a superior officer or non-commissioned officer (NCO)*; <https://en.wikipedia.org/wiki/Fragging>; dostęp: 16.02.2020.
- [46] S. Neitzel, H. Welzer, *Żołnierze. Protokoły walk, zabijania i umierania*, przeł. z j. niem. Viktor Grotowicz, Wydawnictwo Krytyki Politycznej, Warszawa 2014, s. 39.; S. Neitzel, *Podśluchiwni. Niemieccy generałowie w brytyjskiej niewoli 1942-1945*, przeł. z j. niem. Jola Zepp, Marek Zepp, Wydawnictwo Replika, Zakrzewo 2009, ss. 557.

GRZEGORZ BAZYLAK

=====

Zbigniew Wilczyński, *Fala zero*, postowie Grzegorz Bazylak, Fundacja Światło Literatury, Seria Polska Proza Współczesna XXI Wieku, Gdańsk 2020, ss. 422.

Dariusz Dekański

NIWYPOWIEDZIANA CISZA

Znalazłem wiele jego form
retoryczne pytania jak krople wody
wywołały niewyobrażalny sztorm
Prosto ze ściany na samo dno
lecz gdy zanikasz niżej
ciągle są głodni
bardzo mnie chcą

Uciekam słysząc zdesperowany monolog
powtarzam że to niewypowiedziana cisza
Bóg stara się biec obok
lecz Waldemar szybciej się zbliża
Wyśmiewa bliźnę i wyszydza wrażliwość
mówi że to wszystko moja wina
szydlerczo prosząc dla mnie o litość

Czterdzieści siedem i nigdy więcej!
trzeba było dostrzec za życia
że w wieku dwunastu lat pękło mi serce

CHCIAŁEM ŻEBYM CHCIAŁ BYĆ

Czym jest to co się we mnie wpatruje?
szepcze chorobliwe opowieści
w lustrzanym odbiciu ciągle mnie obserwuje
Chciałem żebym chciał być
starać się malować kolejne dni
i być bliżej zrozumienia otwarcia tych drzwi...
Nie jestem gotowy
nie jestem z tego świata
mówię że to będzie jutro
a mijają lata

Bycie mną
jestem Tobą
istotą wrogą
Sobą

TYLKO KŁAMSTWA WE MNIE WIERZYŁY

Będąc młodym nie wiedziałem czego chcę
prosiłem tylko o spokój
i należyte rozstanie się ze złem
Gabaryty dźwigały za dużo pustych wiader
choć sam siebie oszukiwałem
to tylko kłamstwa we mnie wierzyły
choć sens tego był całkowicie żaden
Ostatnie spotkanie w oziębłej mansardzie
skrzypiący odgłos otwierających się drzwi
przeraża coś jeszcze bardziej
widok autoportretu który się śni

UMIERAJĄCA NADZIEJA

Widzę przed sobą jasny korytarz
ciągle idę do przodu
jakaś siła mnie popycha
Światło jest takie przerażająco jasne
i czuję się zmęczony
czuję że zasnę
Mijam chwile piękne i złowrogie
muszę jeszcze długo poczekać
aby spotkać się z Bogiem
Nagle spotykam Anioła Stróża
zza Niego sylwetka
mojego Taty się wynurza
Oboje nareszcie się spotykamy
na wiecznie szczęśliwej łące
razem przechadzamy
W końcu zrobiłem coś co ma znaczenie
i znalazłem się tu
gdzie Bóg pilnuje spokojnego snu
nadszedł mój koniec
jasne światło zamyka mi skronie

Eugeniusz Kurzawa

OPOWIEŚCI CZASU ZARAŻY (KAPITALISTYCZNEJ)

Twórcze podejście

- Słuchajcie, słuchajcie! - zwołał nas wszystkich kierownik sekcji Kobylak Zenon - musimy się wspólnie zastanowić, co w waszej pracy, w waszym pisaniu jest niedobrego, jakie popełniacie błędy i dlaczego. Oczekuje tego kierownictwo, więc proszę o uwagę i szczerze zaangażowanie.

Usiedliśmy w krąg w jednym z pokoi redakcyjnych, słusznie teraz nazywanych newsroomami, bo skoro pismo wychodzi w princie i w on-line, a codziennie musimy z materiałami zdążyć przed deadtimem, to i zebranie musi się odbywać w newsroomie. Skupiliśmy uwagę, na ile każdy potrafił.

Wszyscy się jednak po tym wstępie zasromali, bo okazało się, iż jako kolektyw nie spełniamy oczekiwań stawianych nam przez kierownictwo, a kto wie, może i nawet Górę ze stolicy albo i samego Kapitalistę, którego nazwisko było nam bliżej nieznanne, ale tym bardziej wymawiane z nabożeństwem. Nakład spada, a my w żaden sposób nie pomagamy kierownictwu, żeby go podnieść. Cóż jednak my, robaczki, możemy? Niewiele. I pewnie prochu byśmy nie wymyśliłi, ale mądry nasz kierownik Kobylak Zenon był przygotowany, że taka indolencja, za przeproszeniem, w jego zespole wystąpi. Wyłożył nam dokładnie przykładowe błędy, które zwyczajnie codziennie po ludzku popełniamy. Nie uznał tego za sabotaż czy działanie na szkodę, co przecież musiałyby z miejsca nas wyrugować z tych elitarnych szeregów. Potraktował wszystkich bardzo życzliwie, trzeba przyznać, faktycznie po ludzku. Od razu w głowie ludziskom pojaśniło. Acha, o to chodzi! Może dam radę naprawić swe błędne myślenie i realne byki, jakie stawiam w tekście? - pomyślał ten i ów. I w tym kierunku też zdążył kierownik.

- Teraz niech każdy powie, co poprawi w swoich tekstach, jak zamierza walczyć z konserwą, która w nim siedzi i hamuje postęp - powiedział Kobylak. - Nie wystarczy bowiem już opisywać rzeczywistości, bawić się w smętne omówienia i cytaty, idzie o to, żeby tę rzeczywistość kształtować, zmieniać. Oczywiście na lepsze, żeby każdy nasz czytelnik to poczuł.

Pierwsza zgłosiła się do głosu kol. Paulina Niebieszczańska. - Będę w tekstach częściściej operować nazwiskami prostych ludzi, podkreślę ich problemy już od pierwszego zdania - zaczęła.

- Dobrze, dobrze, co jeszcze - zachęcał i jednocześnie notował kierownik Kobylak. Kol. Niebieszczańska zaś od ręki, jak natknięta, sypała, ku naszemu zdumieniu, swymi błędami i od razu wskazywała, w jaki sposób będzie je naprawiała.

- A ja postaram się ożywić swe materiały, uwypuklić emocjonalność, żeby tym sposobem przyciągnąć do naszych tamów szerokie masy - podjął kol. Dądział Jarzębiak, a reszta szybko pośląpała, jak to teraz należy

podchodzić do zagadnienia. Posypały się różnorakie sugestie, szybko i zdecydowanie zapisywane przez kierownika sekcji, który za chwilę miał złożyć na piśmie sprawozdanie okresowe kierownictwu.

Niestety, nie sprawdził się tylko kol. Henryk Węgiel, który powiedział, że on zna takie (niby jakie?) metody i nie widzi potrzeby (niby czego?)... Kol. Janina Młodnicka, jedyna z weteranek lokalnej żurnalistyki, słysząc nawet potem na korytarzu, że Węgiel powiedział: „niech lepiej płacą, a dupy nie zawracają”, ale na szczęście nikt tego nie słuchał, zwłaszcza młodzież, którą zresztą udało się odseparować od zgubnych wpływów nieodpowiedzialnych jednostek. Zebranie dobiegło końca, gdyż trzeba było z jego wynikami i deklaracjami naszego kolektywu zapoznać kierownictwo. Co odbywało się w zaciszu gabinetów, do których my już nie wstępowałyśmy, bo znamy swoje miejsce w pracowniczym szeregu.

Kontrola jako forma zaufania

- Słuchajcie - odezwał się do nas jakiś czas potem kierownik sekcji Kobylak Zenon. Zatem skupiliśmy natychmiast swoją nikczemną uwagę na jego pięknej fizis i zadbanych paznokciach i faktycznie słuchaliśmy. - Kontrola jest najwyższą formą zaufania społecznego, dlatego od dziś będziecie dokładnie kontrolowani.

Trochę się zdziwiliśmy, bowiem kierownik po ostatniej przeprowadzce ustawił swoje biurko tuż przy drzwiach naszego newsroomu i właściwie miał wszystko i wszystkich pod stałą kontrolą. Może pozost. kol. Heniem Węgłem, którego prawie nigdy od samego rana nie widywano w pracy. Ubzdurał sobie bowiem Węgiel, iż „ta robota” oznacza wolność. Wolność porannego wstawania. Na co wyrozumiały dla nas jak matka przełożona kierownik Kobylak potrafił oczywiście przymrużyć oko. Poza tym mówiono, iż kol. Węgiel za dawnych czasów kolegowował się osobiście z samą stołeczną Górą... Czy to była prawda, nikt z młodych nie wiedział, a starsi zapomnieli. Bo i po co pamiętać...

W każdym razie kierownik, siedząc przy biurku w swym strategicznym miejscu, wiedział i zapamiętywał różne wychodne koleżeństwa podwładnych, niby to do wc, a tak naprawdę piętro niżej. Ponoć żeby odechnąć. Ale od czego można odechnąć, jak u nas taka świetna atmosfera?!

W każdym razie została zapowiedziana szczegółowa kontrola naszych poczyznań, od momentu wejścia w drzwi, przy których dyżurował od rana do wieczora (nikt dokładnie nie wie jak długo) sam Kobylak. I od razu też kierownik, żeby dać konstruktywny przykład, poprosił do siebie, to jest do biurka, a jeszcze ściślej do komputera, kol. Benona Krzyka.

- Siadajcie obok, kolego - podsunął mu osobiście (sic!) krzesło ko wyciętane dermą - i patrzcie na ekran.

A na ekranie pojawiły się raptem rozmaite tabelki i skaczący po nich kursor. Kierownik objaśnił Krzykowi, że ma - dla przykładu oglądane właśnie przez całą kolektyw naszej sekcji - opowiedzieć o swoim dniu pracy, słowo po słowie, minuta po minucie, co zostanie w tabelkach exela zapisane i potem rozliczone.

- No od czego dziś zaczniecie pracę? - zagaił z życzliwym uśmiechem dla naszej ogólnej indolencji kierownik.

- Zacznę od napisania czotówki z osiedla Krasnoludków i Sierotki Marysi, gdyż tam właśnie czytelnicy zauważyli trzy ogromne dziury w moście i nam donieśli...

- Nie donieśli, tylko poinformowali nas - poprawił kierownik, wciąż życzliwie, gdyż pracowaliśmy jeszcze na przykładach.

- Tak właśnie - uzupełnił B. Krzyk. - Są trzy dziury, bardzo niebezpieczne. W związku z tym mam gotowy fotoreportaż kol. fotoreportera Jana Wieńczysława, do tego sześć zebranych wypowiedzi mieszkańców w wieku od sześciu do sześćdziesięciu sześciu lat, ponadto sondę na temat innych dziur oraz przewidywanych w planie, plus głos burmistrza, którego oczywiście w ostatnim słowie ostro skrytykuje, że mu się nie pali pomagać ludowi pracującemu osiedli i osad.

- Bardzo dobrze, prawidłowa konstrukcja, warto by tylko dodać głos krajowego konsultanta do spraw dziur i opinię z sąsiedniej gminy - pochwalił Kobylak Zenon i zapytał: - A teraz powiedzcie, kol. Krzyk, ile czasu będziecie to pisać.

- No, ze dwie godziny z hakiem - padła odpowiedź.

- Trzeba dokładnie, dwie godziny i trzydzieści minut, tak wpisuję, a jutro was z tego rozliczę - skwitował kierownik i zapytał o następne czynności kol. Krzyka. Okazało się, iż ten napisze w dniu dzisiejszym jeszcze: informację liczącą 1.500 znaków komputerowych bez zdjęcia, trzy notatki po 500 znaków każda, osiem matych wiadomości po 250 znaków, czyli „dwieście pięćdziesiątkę”, oraz komentarz, felieton, plus wypowiedź do 2.300 znaków oraz wykona siedem podpisów pod fotki kol. Zbyszka Pызatego. Razem zajmie mu to osiem godzin i czterdzieści siedem minut. Co oznacza przekroczenie ośmiogodzinnego dnia pracy, ale innego dnia Krzykowi to się jakoś wyrówna. Albo i niekoniecznie. W końcu kol. Krzyk, mimo wieku, wciąż się uczy, a czyni to na sprzeczanie zakładawym, korzysta w tym czasie z zakładowej toalety, parzy sobie kawę na zakładowej chlorowanej wodzie i nic za to nie płaci. Tym sposobem zostaliśmy zapoznani z bardzo mądrym systemem kontroli, w którym nie było już miejsca i czasu na wychodzenie do wc i w ogóle żadne wychodzenie. Co oczywiście miało swoje plusy, których wcześniej nie dostrzegaliśmy. Pisaliśmy więcej, lepiej, dzięki czemu wrzobiliśmy nakład, a potem w okresie dzielenia premii

AZY (KAPITALISTYCZNEJ)

kwartalnych najlepsi z nas, czyli kol. kierownik, kierownictwo oraz inni zaangażowani koledzy, otrzymali zasłużone premie. Z satysfakcją mówiliśmy do siebie, że to wszystko jest (w nikłej oczywiście części) także naszą zastugą.

Kol. Węgiel znów marudził coś o związkach zawodowych, ale nikogo to, jak zawsze, nie interesowało. Bo i związków zawodowych u nas słusznie nie było, żeby Góra nie pomyślała sobie, że rościmy - uchowaj boże - jakieś pretensje. Byliśmy od tego jak najdalej.

Zostawiamy trwały ślad

- Słuchajcie - skrzyknął nas po upływie pewnego czasokresu kierownik sekcji Kobylak. - Nie może być tak, żeby każdy przychodził do pracy i nie zostawiał po sobie żadnego śladu. Oczywiście kol. Węgiel od ręki, niby to błyskotliwie, powiedział, że przecież o naszej obecności świadczą teksty w druku. - Czytają je tysiące ludzi, w razie czego mogą ich wezwać na świadków, że to czy tamto napisał - mądrzył się Węgiel. Lecz przecież nie o to szło naszemu światłemu kierownictwu, które zainspirowało kierownika sekcji, a on przelał tę celną myśl na nas. Szło

po prostu o zwykły, skromny podpis każdego z nas w księdze wejść. - Przekraczając rano mury naszej świątyni kapitalizmu, po prostu odnotowujecie to długopisem lub piórem, a nad poprawną realizacją od jutra będzie czuwał kol. kadrowiec - przekazano nam w prostych żołnierskich słowach. I odtąd tak już jest. Być może zmieni się nieco na jeszcze lepsze, gdy we wspomnianych progach naszej świątyni zostanie wprowadzony zegar. W nim wówczas będziemy odbijać swoje karty zegarowe, co wzniesie nas ku nowocześnieści.

Na razie jednak zegara nie ma, gdyż trzeba zaciskać pasa i oszczędzać. Informacje na ten temat spłynęły z piętra kierowniczego. Okazuje się bowiem, iż musieliśmy w naszej dobrze rozwiniętej firmie zatrudnić kolejnego dyrektora spoza naszego pięknego miasta, a ten oczywiście nie może spać byle gdzie i jeździć byle czym. Dostał więc przydział na mieszkanie i samochód, zatem nie można było szastać ciężko zarobionymi złotówkami na jakieś zegary i inne fanaberie.

Innym powodem do zaciskania pasa była bardzo niezycliwa, żeby nie powiedzieć dywersyjna wobec kierownictwa i Góry

postawa ob. Janowskiego, który wytoczył nam proces. To znaczy nie nam imienne, ale naszym ogólnym przedstawicielom. Jednak traktujemy to wszyscy w naszym kolektywie jak policzek wymierzony całej społeczności piszących. Ob. Janowski został w swoim czasie przegarnięty do pracy u nas, dostał nie tylko biuro w ważnym miejscu, ale i piękny czarny pojazd do własnej dyspozycji (inna rzecz, że nie potrafił nim kierować, gdyż nie miał prawa jazdy, ale jakie to ma znaczenie, liczy się gest Góry), spore mieszkanie i sporą pensję. Niestety, nie umiał być wdzięczny, szybko zrezygnował z możliwości rozwoju i działalności w kolektywie, i odszedł był, na dodatek wytaczając nam wszystkim (podkreślił to raz jeszcze) proces. Niestety, wygrany przezeń, przez co naraził nas na koszty. Ponieśliśmy je solidarnie. Odmówiliśmy sobie premii, zresztą odmawiamy ich sobie od lat. Nikt z kolektywu nie przyjął też żadnych podwyżek pensji, zresztą kierownictwo redakcji i tak nie ośmieliłoby się ich proponować, znając naszą twardą postawę. Jeśli idzie o nagrody, to także byliśmy solidarni, cedując je (w bardzo skromnym wymiarze kilku tysięcy złotych na głowę) na kol. Kobylaka Zenona i pozostałych kier-



ZAKAZY (KAPITALISTYCZNEJ)

PROZA

ników sekcji. Oni bowiem w nieustannym trudzie wiodą nas przez rafy wzburzonego morza socjalistycznych zaszczości i zaiste nie jest to łatwe.

Generalnie jednak wciąż idziemy ku lepszemu i niektórzy - przy świątlich wypowiedziach kierownika i kierownictwa - już to lepsze zdają się zauważać. Obyśmy i my, reszta, rychło zauważyli.

Metody

Kierownik Kobylak Zenon stara się na każdym kroku. To widać od samego progu, gdy tylko przekroczyliśmy metaforyczne wrota naszej wzniosłej fabryki słów. Bo wtedy, za słowami poety Danta, stosujemy się do zasady *lasciate ogni speranza, voi ch'entrate*. Dlaczego? To proste, gdyż to kierownik wdraża nas do nowej, słusznej zapewne, rzeczywistości, której, niestety, nierzadko nie ogarniamy. Dlatego bardzo często bywa, że musi podchodzić do nas jak do pierwszaków, dostownie, jak do niesfornych uczniów, których trzeba od czasu do czasu pociągnąć za ucho, żeby zrozumieli. Kobylak pociąga kiedy tylko można. Polega to na tym, że po prostu w trakcie czytania naszych zwykle siemiężnych, ubogich w treści tekstów wzywa nas do siebie cichym głosem, dostownie przy każdym nieoprawnym wyrazie lub przecinku, żeby od razu, od przystawionej ręki, na przykładzie, pokazać, jakie popełniamy błędy. - No, zastanów się, o co ci tutaj chodziło - perswadowuje Kobylak delikwentowi jak dziecku, a ten, zadając twórczym torem myśli Kobylaka, zastanawia się, o co mu faktycznie chodziło w tych sześciuset znakach, za jakie przecież bierze spore, nie czaruje się, pieniądze. Jakież 3 zł i 50 groszy. I czemu, pyta Kobylak Zenon, ten tytuł taki nieadekwatny do treści. Poza tym, dlaczego tu tyle przecinków, niezrozumiałych dla kierownika zwrotów i w ogóle te zwroty jakieś takie...

Gdyby nie czuwający nieustannie kierownik Kobylak, osoba nieczuła na choroby, zawirowania, urlopy, układy, pracująca od wczesnego rana do późnego wieczora bez wytchnienia, to przecinki mogłyby wziąć nad nami górę. Istnieje wciąż takie niebezpieczeństwo. Na szczęście petenci - wzywani do wysuniętego w przestrzeń międzysłowną biurka cichym, lecz nieznośnym sprzeciwu głosem - zdają sobie sprawę z własnych ułomności. I chyląc kornie głowy, przyjmują celne uwagi Kobylaka Zenona, na którym wszak opiera się firmament naszej firmy.

Skąd niby cenzura

Nieczne podszepty - wiadomo kogo - sugerowały od czasu do czasu, że mimo zniesienia instytucji cenzury, która tłumiała w czasach słusznie minionych wolność słowa i nie tylko, pojawia się też jakaś taka nieoficjalna cenzura. Skąd? Dlaczego? Nikt nie wiedział, bo też jej nie widział. Przecież wszyscy w naszej sekcji wiedzieli, że nastąpiła wolność, wolność i swoboda, zatem śmiało można pisać o sprawach dawniej zakazanych. Zakazanych, bo przecież wiadomo, że chroniły dupy partyjnych bonzów, co to mieszkali w pałacach, a ich psy miały modrzewiowe budy. No i to, że Stasia G. latała do Paryżewa robić se fryzury, a klasa robotnicza nie latała. Złośliwi, niestety, wskazywali, że jedyni w czasach ludowych, co naprawdę mieszkali w pałacach, to byli nasi bardzo demokratyczni i wolnościowo nastawieni biskupi, ale przecież wiadomo, że mieszkali tam tylko dla zmyłki. Głównie w tych pałacach - dlatego musiały być to duże budowle - przemieszkowała i spała na styropianie w piwnicach opozycja, podobnie jak biskupi zwana demokratyczną. Choć nie bardzo wiadomo, dlaczego.

W każdym razie cenzura zawsze była wredna i tłumiała wolne słowo, które dopiero teraz nam rozkwitło aż miło. Na przykład kol. Stojan popełnił był piękny, iście wolnościowy reportaż na frajupacyjnym temacie ogromnej, rekordowej statui Chrystusa w pewnym bliżej nieokreślonym mieście. Pokazał jej wielkość, jak i dowcip miejscowego kanonika, który omijając nieżywciami przepisy - jak to by było w PRL-u - postawił ją jako rzeźbę ogrodową. Oczywiście znalazł się wredny urzędnik próbujący stawąć w poprzek mądrymu księdzu, ale szybko go ludzie przywołali do porządku, wybijając kilka szyb w oknach i przebijając opony. Zapewne to jakiś komunista z tych, co to z Kuroniem i Kwaśniewskim mordowali wraz z KGB Polaków, wiadomo gdzie. W jednym tylko momencie kol. Stojan, zresztą prawdziwe nazwisko brzmi Stojanowski, nie podołał zadaniu. Otóż zupełnie zbędnie wprowadził do swej narracji sytuację z tzw. szalikiem, który kibice sportu zwanego żużlem, choć uprząwany jest nie w koksowni, tylko na stadionie, zawiesili (ten szalik znaczy) na wielkiej postaci zwanej już wcześniej rzeźbą ogrodową. Kolega nie był świadom, iż ten gest graniczy z bluźnierstwem, czego przecież w naszej sekcji, w czasach wolności, nie możemy pochwalać. Tym bardziej, że bandytami winnymi tego bestialstwa zajęła się już policja, prokuratura i inni święci, oczywiście na polecenie, to jest na prośbę, kanonika.

I tu mądra decyzja kierownika Kobylaka Zenona uratowała twarz przede wszystkim niedoświadczonemu kol. Stojanowi. Kierownik zdjął na wszelki wypadek cały tekst, nie dopuszczając do druku takich skrajnych ocen. No i dzięki temu twarz zachowała też sekcja i cała reszta naszego skromnego ostatnio (patrz redukcje) kolektywu.

Dajcie krew na pierwszą stronę

- Jak tu wchodzi, to rzygać mi się chce - rzygnął nieprzystojnym słowem kolega Pawłowski, dodając, że wchodząc do nas „od ręki ma stresa”. Bo u nas niby nic innego poza stresem ludziom się nie funduje. Kogo miał na myśli? - doprawdy nie wiemy. Owszem, Nasze Światło Kierownictwo oczekuje, że będą codziennie przygotowane jakieś ciepłe zwłoki na czołowe strony, ale czy to akurat powód do rzygania... Ludzie w kraju po prostu się zabijają i to z różnych powodów. Czasem żona dzieli męża siekierą, czasem zderzą się czołowo mazda z tirem i oczywiście jest wówczas miazga. Czyli to, co się najlepiej sprzedaje na rynku, bo lud lubi te kawałki mrozącej krew w żyłach. Od wieków tak jest. Potem każdy przeglądając strony, zwłaszcza oglądając zdjęcia, cieszy się, że to jego nie dotknęło, tylko faceta z daleka, czyli gdzieś cztery gminy na północ lub w bok. Nasze Światło Kierownictwo jedynie korzysta z tych barwnych opisów, których zresztą kolega Pawłowski sam oświadczył dostarcza zawsze i dużo. Dlaczego zatem tak głupio reaguje? Co go ugryzło? Może podwyżki oczekiwał? Może mu odrzucono jakieś zwłoki albo okazały się zbyt mało atrakcyjne? Bo trzeba wiedzieć, iż zwykłe zwłoki nie są atrakcyjne. Takie co to wzięty i umarty. Powinny umrzeć atrakcyjnie, medialnie, żeby było o czym pisać. Zwłoki wyszły z domu i zeszyły na ławce w parku. To już coś, można wokół tematu prowadzić spekulacje. Najlepiej, żeby przesiedziały parę dni w tym parku albo na dworcu i dopiero jakiś kolejarz (lub strażnik miejski - do wyboru) się odnalazł. Gdyby to były znane lokalnie zwłoki, to jeszcze ciekawiej. Oczywiście, najlepiej, żeby odeszły zaskakująco, dziwacznie, tajemniczo. Wtedy można snuć opowieści przez kilka tygodni. Można zaprosić ekspertów od parku, od ławki, dowie-

dzie się, co lubi szykować na obiad żona strażnika miejskiego, a także jakie on sam ma hobby. No i żona zmarłego koniecznie powinna zabrać głos. Nasze Światło Kierownictwo zawsze daje pierwszeństwo wypowiedzi żonie/mężowi lub dzieciom zmarłych, zabitych. Taki jest u nas dobry obyczaj, nie zawsze stosowany przez konkurencję. To sobie powiedzmy szczerze.

W każdym razie takie sytuacje są nam zdecydowanie potrzebne. Niestety, mało kto w małych miastach i na wsiach potrafi to zrozumieć i dobrze się sprzedać. A przecież wiadomo, że w dzisiejszych czasach bez marketingu nie da się żyć.

Agresja rzeczywistości

- Nie lubię siedzieć w tym biurze - rzucił pewnego dnia siedzący zaraz przy drzwiach kol. Janiczek. Potem, podczas obiadu na stołówce z kol. Jasionowskim, rozwinął twórczo ów wątek. - Wolę wyjazd w teren, bo wtedy rozbija się ta atmosfera wiecznego napięcia, nieustannych pretensji nie wiadomo o co, ale przede wszystkim, zamiast tych głupich biur, mam kontakt z normalnymi ludźmi, z solą tej ziemi, że tak górnolotnie się wyrażę - wyraził się filozoficznie Janiczek. Wyjaśnił, że oczywiście - niestety - zawsze jest „smycz”, czyli komórka, którą Światło Kierownictwo może zatąwić wszystko. Zawrócić samochód służbowy do bazy, skierować w inne miejsce, wydać inne dyspozycje, niż wcześniej ustalono. I opierdolić. Za coś lub na wszelki wypadek. Ale taki opierdol terenowy - nawet jeśli dzwoni Kierownictwo lub jego nie mniej Światło Przedstawicielstwo - jakoś „rozbija się”. Zostaje stłumiony. Inaczej jest odbieralny między kontaktami, rozmowami, między przejazdami z miasta do miasta, z wioski do wioski, niż na miejscu, w bazie. To jest też inny odbiór niż w domu, gdzie człowiek po prostu nerwowo nastuchuje, kiedy zadzwonią, a potem biega i łapie zasięg. A jak łapie i coś usłyszy, to już wie, że mu nie wyjdzie seks z żoną, telefon do przyjaciela, a nawet zepsuje się oglądanie ważnego meczu Lecha Poznań w pucharach. Ale, na szczęście, nie zawsze tak się zdarza. Więc wyjazd w tzw. teren to wiele kontaktów z ludźmi, ciekawe rozmowy, czasem postawiona przez rozmówcę kawa. Nowe sytuacje. Nowe tematy do przemyśleń.

- Obawiam się, że problem siedzi we mnie - ciągnął filozoficzne wyrzucenia Janiczek. - Bo w końcu jeden czy trzy telefony z bazy nie powinny być problemem dla dojrzałego człowieka i fachowca, który potrafi się wytłumaczyć i nic nie zawala. Jednak dla mnie jest to agresja rzeczywistości skierowana na jednostkę. Te telefony to jej uosobienie. Wiem, że to się nadaje na leczenie psychiatryczne. Wielu moich kolegów po prostu wrusza ramionami po takich kontaktach i robi swoje. Mnie to dotyka.

Na to słuchający dotąd Jasionowski zdobył się na inną uwagę, ale „w tym temacie” i też głęboko filozoficzną. - Zauważyłem, że wyjeżdżając gdzieś służbowo, staję się kimś. Tymczasem tutaj, w bazie, jestem nikim. Chłopcem na posyłki, wykonawcą poleceń, nawet najdurniejszych - konstatawał Jasionowski, a Janiczek kiwał głową ze zrozumieniem. - Gdy wyjadę, jestem tym, na którego liczą różni ludzie. Że napiszę, opiszę, zatąwię, pomogę, wypromuję. Ludzie, tak mi się wydaje, darzą szacunkiem tę postać, w którą się wcielam. Może ze względu na przeszłość? To wywołuje u mnie niesamowity kontrast sytuacyjny, huśtawkę nastrojów. Od pana do chłopca do bicia.

29 STYCZNIA 2011 - 21 LUTEGO 2012, 9 IX 2015

EUGENIUSZ KURZAWA

Twórczość poetycka Bohdana Wrocławskiego ukształtowała się w wielonurtowym dyskursie polskiej literatury współczesnej. Debiut poety odbył się w 1963 roku, lecz nie tylko poezja włądała polem zainteresowań autora, ale także dramaturgia, aktorstwo, proza. Natomiast chciałbym zwrócić literaturoznawczą uwagę na wiersz *Przed nocą*, w którym jak w lustrze, odbija się echo osobistych losów i przeszłości. To ważny komponent twórczości poety. W utworze tym Bohdan Wrocławski, opowiada o czymś dla niego istotnym i ważnym.

Wiersz Bohdana Wrocławskiego *Przed nocą*, nie należy do utworów łatwych. W sensie formalnym przypomina on elegię. Natomiast w sensie filozoficznym jest pieśnią. Jeżeli elegia należy do najbardziej charakterystycznych form liryki bezpośredniej, a pieśń zachowuje samodzielną formę literacką, to w utworze poety oba te gatunki literackie poprzez osobistą treść łączą się.

Brzegi rzeki zbliżają się do siebie
cichnie gwar ulic stygną milczące pochody
w aortach
jesteś na jednej z tych wysp
które zbyt szybko oddalają się od siebie
i nadal nieważne stają się pory roku
śmierć zwierząt najniższe loty jaskółek
powoli wszystko pozbawia się sensu
Być może gest jakiś czyis grymas
rozmażana farba zasychająca na płótnie
nazbyt dokładnie wyreżyserowany spektakl
Hamlet śmieszniejszy od Papkina
jeszcze odnajdując czasem ciebie
odleglejszego niż przemarsz rzymskich legionów
wzdłuż Dunaju
A jednak możesz tam być między wiosennymi
mleczami
twoja modlitwa już dawno
ominęła najdalsze kręgi wody
w myślach pogubiłeś
wczorajsze kontynent cień pajęczyn
a nawet żal z kryształkami mrozu zastygającymi
zmęczeniem
twoje wzruszenie
coraz częściej podnosi rękę od klątki piersiowej
słyszysz jak trzepece w niej ledwie uchwytny
głos wystraszonego zwierzęcia
jego ból towarzyszy ci równomiernie
między przystankami wśród zarośniętych trawą
torów
na zupełnie wymarłych stacyjkach
Być może jeszcze raz zakwitną kasztany
odurzony staniesz w pełnym milczeniu latarni
ulicą przemkną cienie zakochanych
o rysach zupełnie zapomnianej rzeczywistości

B. WROCŁAWSKI, PRZED NOCĄ [w:] PISARZE.PL NR. 21/20 (466). 6 PAŹDZIERNIK 2020

Opisywany w utworze świat, posiada pieczęcie tajemnicy przeżycia wewnętrznego. Utworem rządzi osobista narracja i monolog. Natomiast podmiot liryczny jest symbolicznym komentatorem, sprawcą i pośrednikiem dziającej się w utworze ekspresji twórczej. Ktoś więc mógłby zapytać, czy mogą istnieć obok siebie tak różne współczesne literackie, gdzie uczucia poety splatają się i są nośnikami nowej konfiguracji innowacyjnej i metafory. Odpowiedź na tak sformułowane pytanie, mieści się w leksy-

konie poezji, gdzie wszystko jest możliwe. Historycznie ustalone gatunki literackie, w każdej nowej epoce są modyfikowane i ocierają się o zmiany. Bohdan Wrocławski należy właśnie do takich poetów współczesnej literatury polskiej, gdzie dyskurs poetycki łączy się w różne spłoty i nadaje liryce nowej jakości. W wierszu *Przed nocą*, natchnienie poetyckie i świat zewnętrzny, jak mówi sam autor, „zbliżają się do siebie”. Stąd echa elegii i pieśni mogą istnieć razem i zapewne będą uzupełniały się i dopełniały.

Ten piękny i wzruszający dyskurs poetycki Bohdana Wrocławskiego ma podglebie osobiste. W wierszu poety dzieje się poetyckie zamyslenie, które spina klamra odkrywczą metafory. Taka jest tożsamość filozoficzna autora i takie pozostaje rozumienie przez niego wyimaginowanego świata poezji. Włada bowiem przestrzenią utworu paralelizm, w którym odległe łączy się z bliskim. Jak podkreśla poeta „nieważne stają się pory roku / śmierć zwierząt najniższe loty jaskółek”. Ten minimalizm, mówi o czymś wewnętrznym, czego nie można dookreślić, a zwłaszcza wtedy, gdy proste nie jest prostym, a oczywiste nie jest oczywistym. W poetyckim sensie, wiersz *Przed nocą*, staje się metaforą namiętności. Autor wie o tym i nie wstydzi się mówić o swoich bardzo osobistych odczuciach „twoja modlitwa już dawno / ominęła najdalsze kręgi wody / w myślach pogubiłeś / wczorajsze (...)”. Jego świat poetycki przepętiony jest jednością i uduchowieniem. To co na pierwszy rzut oka może wydawać się nieważne, staje się dla poety ważne „może jeszcze raz zakwitną kasztany”. W tym słowie „może”, chowa się tajemnica życia, bowiem „na zupełnie wymarłych stacyjkach”, „ból towarzyszy ci równomiernie”.

Bohdan Wrocławski jest wyznawcą liryki osobistej. Potrafi spinać zdawałoby się antynomiczne wobec siebie tematy i wątki. W utworze, filozoficzna narracja potoczona jest z mówieniem o dolegliwościach fizycznych, o chorobie i lęku. Taki niełatwy spłot myśli i przekazów, nadaje poezji jakby innego wymiaru. Uczula nas na zastanowienie się i zatrzymanie. Poeta wyraża myśl o codzienności, pędzący przed siebie, zajęci codziennym budowaniem, pamiętając, że „brzegi rzeki zbliżają się do siebie”. Ten wymowny obraz, mówi o przemijaniu budowanych przez człowieka podwalin jego egzystencji: „twoje wzruszenie coraz częściej podnosi rękę od klątki piersiowej / słyszysz jak trzepece w niej ledwie uchwytny / głos wystraszonego zwierzęcia / jego ból towarzyszy ci równomiernie”. Zwyczaj ludzki ból, który towarzyszy i doświadcza nas na co dzień, powoduje dodanie do życia, takich komponentów jak refleksja: „odurzony staniesz w pełnym milczeniu latarni / ulicą przemkną cienie zakochanych / o rysach zupełnie zapomnianej rzeczywistości”. Utwór Bohdana Wrocławskiego bezspornie podporządkowany jest fikcji literackiej. A właściwością fikcji literackiej w dziele autorskim jest to, że nie podlega ona weryfikacji poprzez zestawienie z rzeczywistością zewnętrzną.

Utwór dotyka wysublimowanych treści i jednocześnie brutalnej rzeczywistości. Między brzegami narodzin człowieka i brzegami

jego śmierci spełnia się misterium istnienia. Powstaje byt ziemski i kosmiczny, bowiem człowiek, mimo codzienności, marzy o niebie i nieśmiertelności. Poeta mówi o tym wyraźnie w swoim utworze: „twoja modlitwa już dawno / ominęła najdalsze kręgi wody”, „jeszcze odnajduję czasem ciebie / odleglejszego niż przemarsz rzymskich legionów / wzdłuż Dunaju”. W utworze poety następuje apelacja do mitologicznych brzegów rzeki Dunaju. Wiersz poety w połączeniu z marnieniami o idealnej rzeczywistości, odwołuje nas do mitycznej księgi toposu. Rzeka Dunaj, w mitologiach i pieśniach różnych narodów, będąc pojęciem abstrakcyjnym, pozostaje uosobieniem odnowy. Jest lustrem, w którym można siebie zobaczyć. Znaczenie Dunaju, wynikające z sakralizacji przestrzeni horyzontalnej, staje się w utworze poety naturalną wizją oczyszczenia i trwania. W nawiązaniu do wiersu „odleglejszego niż przemarsz rzymskich legionów”, rzeka Dunaj jest metaforą, arterią serca, w odniesieniu do symboliki: polska Wisła, czy czeska Wełtawa. Dunaj, w ujęciu filozoficznym, posiada w utworze poety mityczną jakość. Jego przestrzeń wypełniona jest osobistym oraz transcendentnym. Treści osobiste należą tylko do poety, transcendentne należą do kategorii wszechświata. Między nimi jednakże zachodzi paraboliczne przenikanie i uzupełnianie się. Jak mówi poeta, „wczorajsze”, scala się i trwa „w aortach” mowy poetyckiej. Ten obraz jest ważnym wyznacznikiem paradygmatu autorskiego i można przypuszczać, że czytelnik będzie identyfikował się z bohaterem lirycznym utworu.

Określenie granicy parabolicznej w utworze *Przed nocą*, odbywa się w sposób naturalny. Jak w Kanie Galilejskiej, stągwie zostały napełnione i czekają na przemienienie, bądź jak na pustyni, chleby zostały przełamane i wypelnia je misterium rozmnożenia. Ubogacenie utworu treściami mitycznymi, odbywa się poprzez doświadczenia twórcze poety i jego otwartość na innych. Nie przypadkowo bowiem, poeta w wierszu mówi o wypełnianym się czasie i o zauroczeniu światem. Świat poety podtrzymują takie filary jak, prawda i dostojność. One nie tylko w sposób naturalny podpierają filary „dziania się” treści wiersza, ale także nadają mu lekkość. Tajemnica życia w utworze poety zostaje otwarta. Ból nie jest tylko kategorią cielesną, ale także egzystencjalną. Może dotyczyć każdego z nas i być widzialnym znakiem toczącego się przemijania. W utworze, tak jak w życiu, wszystko podporządkowane jest „gwarowi ulic”, wszystko pulsuje dniem codziennym i odświętnością. Ale tak jak i w życiu, coś nas zaskakuje, zaczyna nas przemieniać i nadaje naszej codzienności, nowy nieznaną dotąd sens. Wszystko to dzieje się „przed nocą” – jak mówi poeta, czyli u progu wieczności. Nasze theopoiesis, zawarte w księdze prawdy, czyli w Dekalogu, wypełnia się każdego dnia i każdej nocy. W wierszu poety, ten stan zostaje nazwany brzegiem rzeki. Stąd, z brzegu nieznannej rzeki Dunaj, bierze początek narracja utworu i toczy się jak żagiew płonąca przez całą wiersz poety. Jest to jakość dająca początek gwałtownym i dramatycznym wydarzeniom. To takie proste

→ i takie bolesne jednocześnie. Bo niczego nie można zatrzymać, ani obłąskawić, bowiem życie spala się i nie powraca. Nic nie jest na-
sze, chociaż do nas należy. Mówiąc o tym, poeta wyraża zdziwienie, dlaczego tak jest: „Być może jeszcze raz zakwitną kasztany”, konstatuje Bohdan Wrocławski. Mimo upły-
wającego życia, jednak w człowieku tli się nadzieja na jutro, na kwitnienie kasztanów, apelacji wiosny i nowego, „w myślach pogubiłeś wczorajsze (...)”. Poeta tym samym sugeruje, że mimo doczesności bytu, życie wypełnia nadzieja i wiara w istnienie pod kamiennymi tablicami Dekalogu.

Utwór *Przed nocą*, jest zadziwiająco spójny i napętniony treścią mityczną. Przypomina literacką formę zamkniętą i hermetyczną, ale jednocześnie uduchowioną i prostą. Nawiązuje do monologu, chociaż monologiem nie jest. Wewnętrzna spójność utworu nadaje mu cech stabilnych i statecznych. A jednocześnie odczuwa się jego kruchość i zwiewność. Wynika to zapewne z dużego doświadczenia literackiego poety oraz natchnienia. Akcja utworu rozpoczynająca się na brzegu rzeki, nawiązuje do istnienia wszechświata, który w wierszu poety ma cechy panteistyczne. Poeta niczego nie burzy, z nikim nie prowadzi dialogu, ale w sposób prosty mówi o przebóstwieniu (theopoiesis), jak w poetyckiej teologii księdza Jana Twardowskiego, przepętnionej także „wiosennymi mleczami” i „cieniami pajęczyn”.

Janusz Termer pisał w recenzji „Własny smak poezji” o twórczości poety: „Dla Wrocławskiego najważniejsza wydaje się być otóż próba odnalezienia „utraconej niewinności”; poszukiwania i prób odkrywania na nowo sensu nadrzędnego ludzkiego istnienia, tadu spotecznego i moralnego, logiki życia

codziennego i zwyczajnego ludzkiego rozsądku gubiących się w świecie dawnych utraconych wartości, w okrutnym zamęcie naszej cywilizacyjnej epoki, w świecie wyraźnie niesprzyjającym racjonalnemu myśleniu. Pełno tu zatem prób, podejmowanych wielorako i na rozliczne sposoby, nicowana w symbolicznych obrazach głądy dzisiejszego życia spotecznego oraz w jeszcze bardziej licznych i wyrazistych odwołaniach do meandrow własnej przebogatej pamięci i własnych (rodziny) doświadczeń życiowych oraz pamięci zbiorowej, także narodowej, prowadzących autora w stronę poetyckich malowideł, obrazów świadomości tragicznej, kondycji współczesnego człowieka, obolałego i mocno doświadczonego przez swój czas, tak przecież po wielokroć pokrętnie i dramatycznie złożony. Postawę tę charakteryzuje - i dogłębnie przenika całą tę twórczość - owo wielkie autorskie pragnienie” (...). Ta zadziwiająco głęboka charakterystyka twórczego zamyślenia poety, odnosi się także do utworu *Przed nocą*, w którym Bohdan Wrocławski zawarł osobisty paradygmat patrzenia na życie i na własną poezję.

Bohdan Wrocławski (ur. 30 sierpnia 1944 roku w Milanówku) – poeta, pisarz, dramaturg. Od września 2010 redaktor naczelny e-Dwutygodnika Literacko-Artystycznego *Pisarze.pl*.

Bohdan Wrocławski debiutował jako poeta w 1963 roku. W 1967 ukazała się jego pierwsza książka poetycka *Linia kręt*, (Gdańsk 1967). Opublikował wiele tomów wierszy, zdobywając uznanie krytyki i liczne nagrody literackie. Poeta pozostaje także autorem piosenek literackich. Przez kilkana-

ście lat występował na scenie, prowadził popularny kabaret literacki *Ostatnia zmiana*. Pisze sztuki sceniczne dla dzieci. W 2006 otrzymał nagrodę poetycką UNESCO na „Światowych Dniach Poezji” za tom wierszy zatytułowany *Inny smak księżyc*.

Książki wydane przez Bohdana Wrocławskiego: *Linia kręt*, Wydawnictwo Morskie (Gdańsk 1967), *Wypalanie wnętrza*, Wydawnictwo Morskie (Gdańsk 1977), *Powiększony o czas powrotu, powiększony o czas czekania*, Wydawnictwo Morskie (Gdańsk 1978), *Dworzec podmiejski*, Wydawnictwo Pojezierze (Olsztyn 1983), *Podróże w obecność*, Wydawnictwo Łódzkie (Łódź 1984), *Poker* (zbiór opowiadań), Wydawnictwo Morskie (Gdańsk 1984), *Wiersze*, Spółdzielnia Wydawnicza Anagram (Warszawa 2000), *Cyrograf milczenia*, Spółdzielnia Wydawnicza Anagram (Warszawa 2003), *Inny smak księżyc*, Wydawnictwo IBS (2006).

TADEJ KARABOWICZ

Literatura

B. Wrocławski, [Wiersz:] *Przed nocą* [w:] *Pisarze.pl* Nr. 21/20 (466). 6 październik 2020;

B. Wrocławski, *Wiersze*, Spółdzielnia Wydawnicza Anagram, Warszawa 2000;

A. Brodzka, L. Burska (red.), *Sporne sprawy polskiej literatury współczesnej*, Warszawa 1998;

J. Dębowski, *Świadomość. Poznanie. Naoczność poznania*, Lublin 2001;

L. Kolakowski (red.), *Kultura i fetysze. Eseje*, Warszawa: PWN, 2000,

R. Ingarden *O poznawaniu dzieła literackiego*, 1937;

R. Ingarden, *Spór o istnienie świata, tom I*, Warszawa 1987;

W. Tatarakiewicz, *Dobro i oczywistość. Pisma etyczne*, Lublin, 1989;

W. Stróżewski, *Ontologia*, Kraków 2004;

S. Żółkiewski, *Kultura literacka*, Wrocław 1973.

Julia Rybicka

„Puszka Pandory”

Otworzyłam puszkę Pandory
Bezmyślnie,
jak konserwę ze śledziami
Nie licząc okropnego zapachu
nic nie wskazywało na to
abyśmy wydała na świat nieszczęście

Może, gdzieś rozległ się chichot Bogów
Może Fortuna miała zły dzień?
Przecież każda kobieta ma prawo
złamać sobie paznokcie
Albo zatrzasnąć kluczek w samochodzie

Mogę tylko powiedzieć, że
nie żałuję
Sumienie moje śpi spokojnie
Tylko za mną ktoś morduje kobietę
Brat mój czeka na wyrok śmierci
Narzeczona zdradziła go
z sierżantem.

Zbigniew Szczepanek

„Somnambulizm”

W kryształową noc
zatęchłą od gorąca dnia
Patrzyłem się na Ciebie,
zmienną, niepojętą
trwogę nieba.
Rzuciłaś na mnie urok
Zimny pocałunek
ust całowanych przez demony
Nie byłem jedynym
idącym, marnym zwierciadłem
Twojego oblicza
My wszyscy oddawaliśmy Ci cześć,
ale bez rzucania się na kolana.
Prowadziłaś nas ubogich w myślenie
o przyszłości
Chcieliśmy tylko żyć dla tej chwili
Nigdy dla Ciebie.

„Dies irae”

Nikt z obecnych nie podnosi głosu
Ani skrzydeł
Nikt nie protestuje, nie walczy
Stoją nadzy bez miecza
W dłoniach zakrwawionych
Trzymają kolorowe maski
Nie będą im dłużej potrzebne
Teraz już nikt ich nie obroni
Ani nie przywróci godności ich twarzom
Jeden on
Tajemniczy człowiek w masce
Wylicza im wszystkie grzechy
Lecz nie zamierza nawet pokazać im...
Kim właściwie jest?



o skrzydełkach wibrujących tak szybko, że aż w ruchu tracą kontury. Pogoń za ćmami dla wielu dzieci z pewnością była pierwszym doświadczeniem naturalnego piękna. Trudno zrozumieć tę fascynację autorki, tym bardziej, że jest ona wątpliwa jeśli chodzi o logikę i pedagogikę. Którzy rodzice pozwolą dzieciom uganiać się w nocy za ćmami, raczej owe obserwacje fruzczaków powinny mieć miejsce w dzień, tym bardziej, że są one wtedy aktywne. Mrok jednak ma ogromną moc i wlewa się do umysłu pisarki, każąc jej wciąż podążać w stronę nicności, a następnym krokiem będzie już instrukcja łowiecka, rodzaj perfidnej zachęty do zabijania ciem: O zmierzchu przypina się do pnia gałązek namoczony w melasie z odrobiną rumu; po zmroku należy się udać w to miejsce i ostrożnie je oświetlić. Melasa spływa po korze drobnymi strumyczkami, a na każdym z nich siedzi po parę ciem z trąbkami głęboko zanurzonymi w cieczy, zazwyczaj tak już pijanych, że kiedy tknąć je palcem, bezbronne spadają na ziemię. To jest ekscytujący moment. Tak oto przyszła samobójczyni zachęca do zabijania pięknych ciem, które spijają siodły z kwiatów przy pomocy długich ssawek. A to przecież jest jeden z piękniejszych rytuałów natury, dający się porównać z podobnym zachowaniem kolibrów i nektarników. Trudno zrozumieć dlaczego Woolf tak fascynuje się odbieraniem życia fruzczakom („ekscytujący moment”) i tak instruktywnie opisuje jak należy to czynić.

Podziwiać trzeba dociekliwość i wiedzę lepiderptologiczną pisarki, ale jej fascynacja umartwianiem istot jest doprawdy denerwująca: W udane wieczory cały pień będzie pokryty ciemnymi grudkami. Zwykle są to pospolite ćmy, rolnice tasiemki, rolnice czopówki oraz uporczywi goście, w książkach nazywani „szczecińskią hebrajską literą”. Czasami jednak w świetle latarki mignie czerwień, by powiedzieć nam, że na nasze delikcje zląkomiła się wstępówka pąsówka – nie jest to ćma szczególnie rzadka, a jednak nieodmiennie ma w sobie pewną wzniosłość i splendor. Ale cokolwiek złowimy, mistyczny czar jest już i w samej nocy, i w owadach, które unieruchamiamy w ciemnym oceanie powietrza. Widzimy tutaj jak mrok wnika do świadomości Woolf, powodując, że dostrzega ona mistyczny czar nocy i zabijania owadów. To przecież jest okrucieństwo dla samego okrucieństwa, bo zabite bezkręgowce niczemu nie będą służyć – może przykują na chwilę czyjąś uwagę, może skłonią do refleksji, ale zaraz potem wylądają w śmietniku i osuną się ku wieczności, tak jak pisarka osunęła się w nurty Ouse. Śmierć człowieka, jelenia, wilgi jest tak samo bezdusna jak „unieruchamianie” ciem w „ciemnym oceanie powietrza”. Może właśnie owa obniżona wrażliwość tanatologiczna leżała u podłoża ostatecznego czynu tej kobiety, który przecież został zaplanowany z podobną premedytacją. Nasączenie materii melasą i rumem i zbijanie ciem, miało ten sam wymiar, co obciążenie kieszeni jej płaszcza kamieniami. Oba działania opierały się na określonej wiedzy na temat zabijania i wynikały z determinacji w procesie dojścia do kresu. Pisarka czuła się jak ćma zbliżająca się do płomienia świecy i podobnie jak ona podążyła do swojej śmierci. Trudno cokolwiek powiedzieć o świadomości bezkręgowca, tak jak trudno rozwiłkć zagadkę świadomości człowieka zabijającego samego siebie, ale podobieństwa są tutaj zdumiewające. Śmierć zawsze pozostanie śmiercią, bezruch bezruchem, a rozkład rozkładem i wielka pisarka angielska znajdzie się w tym samym beznamiętnym punkcie, co ćma, zmierzająca do płomienia lub nieświadomie sącząca zbrodniczy napój z melasy i rumu.

DARIUSZ TOMASZ LEBIODA

Podczas lektury obszernego zbioru esejów Virginii Woolf, zapewne z powodu moich rozległych zainteresowań naturalistycznych, szczególnie zaciekawił mnie niewielki tekst pt. Motyle i ćmy: owady we wrześnie. Wcześniej, pisując sporo o pisarzach samobójcach i studiując dzieła autorów anglojęzycznych, zapoznałem się z dziejami jej życia i okolicznościami dojścia do dnia, gdy postanowiła rzucić się do rzeki Ouse w Anglii. Teraz jednak zatrzymałem się przy eseju, który na początku odwołuje się do naszych doświadczeń dziecińczych: Czy teraz jest tyle samo motyli co wtedy – pyta Woolf – gdy byliśmy dziećmi? Gdzie się podziały wszystkie te czerwoczyki żarki, osadniki, egerie, szlaczkonie siareczniki, które były niegdyś tak powszechne? Można przez godzinę siedzieć w słońcu wśród kwiatów i naliczyć co najwyżej jedną ruszałkę pokrzywnika, dwadzieścia bielinków rzepników i trzy przestrojniki jurtliny – a wszystko to są jak na motyle gatunki dość nudnawe. Pytanie pisarki może wydać się naiwne, ale przecież odwołuje się ono do naszego dziecięcego odczuwania cudowności świata. Rodząc się i powoli mijając kolejne miesiące i lata, zaczynamy zauważać barwy i kształty, błękit nieba, odcień sierści kota i psa i metaliczne kolory odwłoków chrząszczy. Pierwsze doświadczenia bywają euforyczne, ale czasami – jak przy próbie dotknięcia osy – kończą się nagłymi doznaniem bólu i płaczem. Zdecydowanie najwięcej jest jednak zachwytu, który pozostaje w naszej pamięci jako czas szczęścia i pełni, oddychania czystym tlenem i chłonięcia doznań pierwiastkowych. Dlatego po latach wydaje nam się, że tamte dni były cieplejsze, nocy gęściej wypełnione gwiazdami, w zieleni pojawiały się więcej kolorowych ptaków, w korze drzew przeciskało się więcej owadów a na łąkach polatywało więcej motyli. Doświadczenia przyszłości odbierają nam to, zdawało się bezkresne i niezwykłe, a skupiając naszą uwagę na kłopotach codziennych, kierując ją ku innym rewirom. Ale czy osoba myśląca o odebraniu sobie życia widzi barwy motyli, unoszących się nad jaskrawymi kwiatami, czy zastanawia się nad tym, że pozabawi się wszystkiego, spowoduje, że wymiary i ruch nagle zanikną.

Wszystko zależy od wrażliwości sensualnej i umiejętności podglądania natury, a nade wszystko od dociekliwości w analizowaniu zdarzeń w lesie, na połoninie czy na łące. Woolf słusznie zauważa, że Niemal każdy krok, który stawiamy wśród wysokich traw, zmusza jakiegoś brązowego owada do szybkiego, łukowatego lotu lub ku następnemu przystankowi, aż nagle zatrzymujemy się na granicy ogromnego obozowiska błękitnych motyli. Podążając przez taką płoszką niewielkie byty i powodujemy, że szybko przemieszczają się ku innym miejscom. Tak nieświadomie uruchamiamy ich instynkt przetrwania, który nakazuje bać się bezruchu, a w migotliwości i zmianie kierunku upatruje sposobu na przetrwanie. Nasze „przechyśnięcie” jakiegoś obszaru niejednokrotnie kończyło się zdumiewającym odkryciem i jedno z nich, przywołuje autorka: Na każdej łądzyce trawy, tuż przy wierzchołku, przyczepiony jest niewielki motyl, który tworzy chorągiewkę lub wysoce ozdobny żagiel, powiewający na wietrze. Jeśli się wśród nie wejździe, powietrze natychmiast wypełnia się cudownymi płatkami błękitu, które po chwili znów osiadają i zwijają złożone skrzydełka. Ale można przejść kolejną milę i nie spotkać nawet tego wytwornego brązowego motyla, który wygląda jakby gałązka wrzosu na chwilę wzbija się w powietrze i zaraz opada z powrotem. Doświadczenie mnogości barw i wielości kształtów należy do

dzieciennego centrum świata – to w nim możliwe są tak cudowne odkrycia jak nagły wysyp czerwonych kowali bezskrzydłych na korze dębu czy topoli, albo – przywoływane przez pisarkę – spotkanie z dziesiątkami małych błękitnych motyli, zapewne modraszków. Wiele osobników tego gatunku ma błękitne skrzydełka, a najwyrazistsze są modraszki adonis, wieszczki i semiargusy. Ten kolor skrzydeł zdaje się zabarwiać całą przestrzeń, która wszakże może też okazać się martwa. Wtedy pisarka wkroczy do krainy swoich lęków i mrocznych obszarów, gdzie nie pojawi się nawet pospolity brązowy motyl (ruszałka pawik?), przypominający porwaną przez wiatr gałązkę wrzosu, wtedy umrze najdoskonalej.

Dziecinny zachwyt i odczucie cudowności świata kończą się, gdy pojawia się chęć schwywania ulotnego motyla: Nikt, kto kiedykolwiek przez godzinę tropił siarecznika po usianych głązami wrzosowiskach, aż wreszcie złowił go z zamachu, jednym świeżym siatki wysoko nad głową, nie będzie już mógł przypatrywać się tańczącemu swobodnie motylom i nie poczuje łowczego pożądania. A jeśli ten mieniak tęczywiec sfrunie niżej albo ta ruszałka żałobnik? Czy to na pewno jest modraszek ikar, a nie modraszek semiargus albo adonis? Jak na ironię, najlepsze okazje trafiają się człowiekowi, kiedy już zakończy epokę polowań. Wchodzenie do świata natury musi wiązać się ze studiowaniem gatunków i tutaj Virginia wykazuje się ogromną wiedzą entomologiczną, popartą zapewne studiowaniem właściwych atlasów. Schwywanie motyla nicuje marzenie o locie, odbiera mu ulotność barw, a rysunek na skrzydłach staje się zbyt konkretny, bliższy grafice niż biologii. Piękno natury może prawdziwie studiować tylko świadomość krucha, udręczona, szukająca porównań i odwzorowań stanów, których stale doświadcza. Lotność i świetlistość motyla bliska jest niezwykłej migotliwości myśli, radości trwania, a jednak kieruje udręczony umysł Woolf ku śmierci, której symbolem staje się ćma: Pewnego pięknego wrześniowego poranka na ścianie domu pojawiła się czarna plamka. Żarząca się ambicja natychmiast buchnęła płomieniem i orzekliśmy, że to ćma, wielki fruzczak gotąbek – a może nawet zmierzchnica trupia główka? A kiedyśmy ją delikatnie przymusili do wylądowania, potwierdziła, że tak jest w istocie; była wielka i puszysta jak mysz, na jak gdyby aksamitnym tle rysowała się czaszka i skrzyżowane piszczele. Przez cały dzień leżała w sennym bezruchu, popiskując, kiedy się ją niepokoiło, a wieczorem odleciała. Takie z pozoru niewinne przejścia od błahości motylej do symboliki nocnej i eschatologicznej charakterystyczne jest dla osobowości obsesyjnie ekscytującej się śmiercią. Widać to w przesadnym emblematyzowaniu wskazanej ćmy, która rzeczywiście ma na sobie coś w rodzaju wizerunku czerepu, ale przydadłemu mu piszczele, to już rodzaj zbyt daleko idącej fantazji nekrologicznej. Są tam dwie pogrubione kreski, a w połączeniu z dołem „czaszki” równie dobrze można je interpretować jako rodzaj korony.

Świadomość udręczona, zdegradowana przez myśli samobójcze, potrzebuje tylko niewielkiego impulsu, jednego znaku, symbolu i już zaczyna metaforyzować rzeczywistość i tworzyć jej opisy, będące rodzajem fascynacji tanatologicznej: Jesienne noce pełne są ciem. Kiedy światło przygasa, rozpoczynają krzątanie wśród kwiatów i niewiele jest widoków równie czarujących co zawieszony nad kwiatem tytoniu czy wiesiołka fruzczak,

Katarzyna Sawicka -
Mierzyńska

Jakie jest? Kto je kreuje? Czym się wyróżnia? Czego mu brak? Gdzie go szukać?

Opowieść – bynajmniej nie wyczerpującą, ani obiektywną – o białostockim życiu literackim, jego zjawiskach, osobliwościach, instytucjach, postaciach, chciałabym zacząć od zasygnalizowania dotkliwej luki, jaką jest brak czasopisma kulturalno-literackiego. Po „Kartkach”, których okres świetności przypadają na lata dziewięćdziesiąte i wczesne 2000 oraz tworzącym je środowisku pozostała już tylko legenda (a raczej jej liczne wersje), niewiele białostoczanie pamięta efemeryczną „Kulturę” czy świetnie zapowiadające się „Graffiti”. Oznacza to, że ani lokalni literaci, ani krytycy nie dysponują forum, na którym mogliby prezentować swoją twórczość, wymienić poglądy, komentować i relacjonować kulturalne wydarzenia. Takiej roli nie pełni wydawany przez Książnicę Podlaską almanach (jak dotąd czternaście numerów), o jakże znanym i wiele zapowiadającym tytule „Eped” („Stąd”), ze względu na swój dość jednolity estetyczno-światopoglądowy profil, bliższy raczej konserwatywnej, niż awangardowej części białostockiej sceny literackiej. Literatura i krytyka znalazły dla siebie miejsce na łamach powstałych z inicjatywy studentów i pracowników Wydziału Filologicznego Uniwersytetu w Białymstoku w 2013 roku „Prób”, mamy renomowane „Białostockie Studia Literaturoznawcze”, ewoluuje kwartalnik artystyczny „Ananke”, wydawany przez Galerię Sreńdzkich, o osobny, comiesięczny dodatek kulturalny („Magnes”) pokusili się od stycznia 2016 roku redaktorzy jednej z lokalnych gazet. Jednak marzy mi się, aby gdzieś między znakomitym piśmem naukowym a prasą codzienną pojawił się regionalny periodyk, którego podlaski charakter nie będzie oznaczał partykularyzmu i zamknięcia horyzontów do lokalnych oplotków, ale wyraźnie zaznaczoną perspektywę, z jakiej się patrzy na świat i dokonuje białostocko-światowej wymiany myśli (tak było we wspomnianych „Kartkach” i jest nadal np. w olsztyńskiej „Borussi”).

Wyartykułowana przeze mnie potrzeba pisma literackiego mieści w sobie ukryte założenie, że Białystok dysponuje potencjałem, by zapełnić jego łamy. Tak jest w istocie.

Życie literackie zorganizowane – festiwale, konkursy, cykle...

Ostatnio coraz częściej zdarza się w Białymstoku, że trzeba dokonywać trudnego wyboru, na którą z konkurencyjnych imprez literackich pójść, gdyż – mimo starań organizatorów, by takich sytuacji uniknąć – odbywają się w tym samym czasie (nie-dawny przykład: promocja przeszłości Janusza Taranienki i spotkanie z Marcinem Sendekim). Dzieje się zatem dużo, a wiele z tych przedsięwzięć ma cykliczny charakter; wydaje się też, że każde z nich zagospodarowuje nieco inne obszary literatury, czytelniczych gustów i oczekiwań. Jedną z najgłośniejszych (i najstarszych, choć ma zaledwie sześćdziesięcioletnią tradycję) inicjatyw to organizowany przez Fabrykę Bestsellerów „Festiwal Literacki Zebrane”. Głównym przedmiotem zainteresowania jego pomysłodawców jest szeroko rozumiany literacki mainstream i sfery popkultury (przed Zebranym odbyło się pięć edycji „PopLit – Festiwalu Literatury Popularnej”). Rokrocznie białostoczanie mają zatem okazję poznać twórców aktualnie najbardziej znanych, nagradzanych czy kontrowersyjnych – od Andrzeja Sosnowskiego w 2013 roku, jako laureata Nagrody Literackiej Gdynia, przez

ŻYCIE LITERACKIE W BIAŁYMSTOKU

Ziemowita Szczerka i Andrzeja Stasiuka po Zygmunta Miłoszewskiego. Festiwal dopełniają koncerty, dyskusje – czasem poważne, czasem mniej, jak rozmowa na temat facebooka – zdarza się, że książki mają tu swoje premiery. W tym samym nurcie – promowania nowości wydawniczych – mieszczą się z oczywistych względów odbywające się od 2012 roku z inicjatywy „Fundacji Sądzi” Targi Książki. Towarzyszy im festiwal literacki „Na pograniczu kultur”, świadczący o tym, że organizatorzy traktują jako atut specyficzne położenie Białegostoku – pisarze i książki, zwłaszcza reportaże, związane z szeroko rozumianym Wschodem, a także obecność lokalnych twórców mają wyróżniać podlaskie targi na tle innych tego typu przedsięwzięć.

Niejako na drugim biegunie sytuuje się cykl „Sto tysięcy wierszy”, odbywający się w Galerii Sreńdzkich, który ewoluował ze studenckiej inicjatywy Koła Naukowego Polonistów „Wiersz wychodzi z domu”. Jego pomysłodawca, Dawid Bujno, konsekwentnie promuje poezję twórców młodych i najmłodszych (Justyna Bargielska, Roman Honet, Julia Fiedorczyk), ale też „seniorów” nurtu, jaki w dużym uproszczeniu można określić mianem „flirtu” z ponowoczesnością (Piotr Sommer, Andrzej Sosnowski, Mariusz Grzebalski). Swoją wierną publiczność mają także organizowane od lat przez Książnicę Podlaską „Środy literackie”, podczas których można spotkać przede wszystkim lokalnych autorów oraz literatów wywodzących się z bliskiego wieloletniemu dyrektorowi tej placówki, poecie Janowi Leończukowi, chrześcijańsko-konserwatywnego kręgu. Mamy też barwny Festiwal artystycznej książki dla dzieci w Galerii Arsenał.

Warto też wspomnieć o konkursach, m.in. wojewódzkim konkursie „O Srebrne Pióro MDK” (od 7. edycji im. Wiesława Szymańskiego; dotychczas 9 edycji), czy sześciu edycjach Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego Wojewódzkiego Ośrodka Animacji Kultury „Tutaj jestem” na maszynopis tekstu związanego z regionem – w obu nagrodę stanowi m.in. publikacja. Rywalizacją najbardziej elektryzującą białostockie środowisko, a zarazem konkursem o najdłuższą tradycję jest wręczona w tym roku po raz 25. Literacka Nagroda Prezydenta Miasta Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego. Regulamin nagrody, zainicjowanej przez przyjaciel zmarłego w 1989 roku poety, ewoluował – od lauru za najwybitniejszą książkę poetycką, przez nagrodę w dwóch kategoriach: poezja i proza, po statuetkę za najlepszą książkę literacką wykazującą związki z regionem (ich charakter zdefiniowany został dość szeroko: podlaska tematyka, Białystok i Podlasie jako miejsce zamieszkania lub pochodzenia autora, a nawet – miejsce wydania książki). W kapitule, decydującej o nominacjach, zasiadają lokalni literaturoznawcy; jej szerszy skład, wybierający laureata, uzupełniony zostaje o krytyków i literatów spoza Białegostoku, wśród których znajdują się Justyna Sobolewska czy Jarosław Klejnocki. Trwają dyskusje, jak zamienić jednorazowe wydarzenie, jakim jest wręczenie statuetki, w białostockie święto literatury – od kilku lat poprzedzają je spotkania z nominowanymi pisarzami, pojawiają się różne pomysły na

promowanie nagrody i jej laureatów. Na długiej liście nagrodzonych znajdują się takie nazwiska, jak Ignacy Karpowicz, Jan Leończuk, Anna Markowa, Jerzy Plutowicz, Jan Kamiński, Krzysztof Gedroyc i wiele, wiele innych.

Działalność wydawnicza (i nie tylko)

Większość wspomnianych wyżej podmiotów – Książnica Podlaska, Fabryka Bestsellerów i Fundacja Sądzi – prowadzi też działalność wydawniczą. Najwięcej publikacji ma na swoim koncie pierwsza z tych instytucji, ich liczba niestety nie zawsze idzie w parze z poziomem, nie tylko edytorskim (dotyczy to zwłaszcza poezji), natomiast najprężniej zdają się rozwijać „Sądzi”, konsekwentnie budując wizerunek wydawnictwa specjalizującego się w literaturze zorientowanej na Wschód. Znacomie odzwierciedla to tytuł, jaki nadał Piotr Brysacz rozmowom z polskimi podróżnikami (znaleźli się wśród nich Mariusz Wilk, Wacław Radziwiłowicz czy Jacek Hugo-Bader): *Patrząc na Wschód. Przestrzeń, człowiek, mistycyzm*. Tak pojemna, a przy tym wyrazista koncepcja pozwala na publikowanie twórców spoza regionu (np. Michał Książek), jak też autorów wywodzących się z Podlasia (Jan Kamiński, Hanna Kondratiuk-Świerubska). Na uwagę zasługują też dwie nowe inicjatywy wydawnicze – seria Podlaskie Prezentacje Poetyckie (w jej ramach ukazały się debiutanckie tomiki: Zuzanny Marii Danowskiej, Dominiki Baranieckiej i Weroniki Zimnoch, powstałe pod kuratelą Janusza Taranienki, prowadzącego zajęcia w Pracowni Literatury Młodzieżowego Domu Kultury) oraz Białostocka Kolekcja Filologiczna.

Białystok jest też stolicą powstającej w Polsce literatury białoruskiej, której patronuje zmarły w 2013 roku Sokrat Janowicz. Od 1958 roku działa tu Białoruskie Stowarzyszenie Literackie „Białowieża”, mające na swoim koncie ok. 90 publikacji, wydawany jest białoruskojęzyczny tygodnik „Niwa” i dwujęzyczny, polsko-białoruski „Czasopis”. Śmiało można sformułować tezę, że białostocka (szerzej: podlaska) literatura ma swoje dwa dopełniające się nurty: polski i białoruski, na ich przenikaniu zasadza się w dużej mierze jej bogactwo. Ze względu na barierę językową bywa ono jednak utrudnione, dlatego tak cenne są wszelkie wydawnictwa dwujęzyczne oraz tłumaczenia. Dzięki nim polscy czytelnicy, nie tylko na Podlasiu, mogą obcować z magicznym światem prozy Michała Androsiuka, poezją Miry Łukszy czy Jana Czykwina, o Janowiczu nie wspominając.

Kogo czytać?

Przypuszczam, że z perspektywy Czytelniczki, niekoniecznie zainteresowanego uczestnictwem w białostockim życiu literackim, choćby z racji przestrzennego oddalenia, najważniejsza (i najtrudniejsza) będzie odpowiedź na pytanie: co czytać? Jakich nazwisk szukać na księgarskich półkach czy w czeluściach Internetu? Udzielając jej kierować się będę – za co z góry proszę o wybaczenie – wyłącznie własnym gustem i preferencjami, jest to zatem lista niekompletna, bardzo subiektywna i ograniczona do autorów najnowszych.

Niekwestionowaną, choć kontrowersyjną gwiazdą białostockiego firmamentu pozostaje od dziesięciu lat Ignacy Karłowicz, twórca wszystkim znany, który chętnie przyznaje się do swoich regionalnych korzeni, choć niekoniecznie wypowiada się o Podlasiu pozytywnie. Warto przeczytać jego prozę właśnie pod kątem jej związków z regionem, wnikliwości, z jaką autor się mu przygląda, wpływu, jaki wywiera na niego i jego bohaterów Białostoczczyzna, zwłaszcza w takich powieściach, jak debiutanckie *Niehalo*, *Gesty*, *Cud* czy znakomita *Sońka*. Wszystkim, którzy pamiętają *Konopielkę* Edwarda Redlińskiego (choć nie tylko im) polecam kryminał Krzysztofa Gedroycia *Piwonia*, *niemowa*, *głosy*, w którym, za pomocą języka stylizowanego na białostocką gwarę, opisana została powojenna, polsko-ruska, jak to określa sam autor, historia miasta. Niezwykły urok mają też opowiadania Michała Androsiuka: napisany po polsku *Wagon drugiej klasy* czy przetłumaczony z białoruskiego *Biały koń* – to swoisty, podlaski realizm magiczny z wizją tożsamości i historii, jaka mogła powstać tylko na pograniczu. Jest *Judasz Włodzimierza Pawluczuka*, powieść chyba mniej znana od pamiętnego *Wierszalina*. *Reportażu o końcu świata*, a kontynuująca w beletrystycznej formie tę samą, inspirującą wielu artystów opowieść o proroku Iliji i jego sekcje. Swoich miłośników ma też zwarłowana (to chyba najbardziej adekwatne określenie), jedyna w swoim rodzaju proza Miłki Malzahn czy psychologiczna – Agnieszki Mastowieckiej. Z Podlasia wywodzą się też, jak wszystkim wiadomo (lokalny patriotyzm każe mi o tym przypomnieć) Katarzyna Bonda, Grzegorz Kasdepke czy Tadeusz Słobodzianek.

A poezja? Tu posłużę się kluczem alfabetycznym: Dariusz Adamowski (debiutanckie *Adamowo*, *światne Gub*, *trać*, *porzucąj*), Nadzieja Artymowicz, Mira Łuksza, Jerzy Plutowicz z jego symbolicznym, niedzisiejszym światem, Teresa Radziewicz, zwłaszcza *lewa strona*.

Jeszcze bardziej subiektywne zakończenie

Choć w dwudziestym pierwszym wieku nieco *démodé*, ale dla mnie ważny, topos skromności, nakazywałby rezygnację z tego akapitu, chciałabym zakończyć przywołaniem instytucji, która w mniej lub bardziej bezpośredni sposób wpływa na białostockie życie literackie – Uniwersytetu w Białymstoku. To z niego rekrutują się jego animatorzy, członkowie kapituł, wydawcy. To tu, na Wydziale Filologicznym, studenci mają zajęcia z kultury i literatury regionu, uczą się sztuki dziennikarstwa i edytorstwa, piszą swoje pierwsze teksty. To tu prowadzone są badania lokalnego piśmiennictwa. Ten wzajemny przepływ inspiracji i energii między miastem a jego Alma Mater wydaje się nie do przecenienia.

KATARZYNA SAWICKA - MIERZYŃSKA

Katarzyna Sawicka-Mierzyńska, adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu w Białymstoku (Zakład Literatury Oświecenia i Romantyzmu), członkini Zespołu Badań Regionalnych, autorka szeregu artykułów dotyczących piśmiennictwa Podlasia, współredaktorka książek: *Alfabet Białegostoku* (Białystok 2011), *Prasa regionalna i lokalna na terenie województwa podlaskiego w latach 1989-2010. Szkice i materiały* (Białystok 2013), *Prasa na terenie województwa podlaskiego w latach 1944-2012. Szkice i materiały* (Białystok 2014), *Sokrat Janowicz – pisarz transgraniczny* (Białystok 2014) i in.

Marek Jagliński

„Metafizyka CCCXCVIII”

Smutne anioły
płaczą
święconą wodą

i ocierają
znakiem krzyża
z oczu nieba
łzy wszechświata

każdy następny Piłat
umywa w nich
swoje ręce

Płynie w nas
myślami Boga
Jordan
świętego Jana

„Metafizyka CCCXCIX”

Gołąbek pokoju
utknął
w naszym intymnym
przedpokoju

W kuchni życia
gotuje na wolnym ogniu
Boga
przyszłość wszechświata

Picasso
umywa ręce
w brudnej wodzie
świętej wojny

„Metafizyka CCCC”

Wiatr historii
zawiewa czas
pod spódnicę
przyszłości człowieka

Teraźniejszość
gubi drogę do domu
wieczności

W oku opatrności
kręci się nami
kierunkowskazem wszechświata
łza Boga

i sływa po twarzy nieba
Jordanem duszy

do morza sumienia

„Metafizyka CCCCII”

Na ramionach nieba
przybite życiem
trzydzieści srebrników

Monety brzęczą
przelaną krwią
w mieszkach
diabła

przypięte Betlejemską Gwiazdą
do pasa
naszego krzyża

Judasz
zagląda nam
gwoździemi grzechów
w oczy zdrady

„Metafizyka CCCCIII”

Trzynasty apostoł
pisze przyszłość
na wołowej skórze
czasu

między wierszami
Boga
sympatycznym atramentem
wieczności

Dłonią nieba
wyciągniętą w sumienie

Myśli wszechświata
zapisane przestrzenią
w jedenaste przykazanie wyobraźni
na kamiennych tablicach
duszy

Anioły stróż
płacą rachunki
naszego dekalogu

„Metafizyka CCCCIII”
W umyśle czasoprzestrzeni
mieszka
świadomość wszechświatów

Czwarty wymiar
szóstego zmysłu
uczuć wieczności

w piątą stronę
wyobraźni naszego
siódmego nieba

Maria Jentys-Borelowska

ŻYCIE I KSIĄŻKI (2)

O GŁODZIE I GŁODOWANIU

Zdawałoby się, że w XXI wieku, w dobie niebywałego postępu cywilizacyjnego, nie powinno być na świecie ludzi głodnych ani tym bardziej umierających z głodu. Skoro w samym tylko roku 2020 na zbrojenia przeznaczono 1,9 biliona dolarów amerykańskich, to i na wyкарmienie ośmiu miliardów mieszkańców ziemi powinno starczyć!

Ale nie starcza! Argentyński dziennikarz i pisarz Martín Caparrós w swoim monumentalnym reportażu *Głód!* pisze, że co dziesiąty mieszkaniec Ziemi nie ma co jeść. Większość głodujących – twierdzi – to ubodzy mieszkańcy krajów rozwijających się. Wciąż jest na świecie 1,4 miliarda ubogich, czyli „ludzi, którzy nie mają niczego z rzeczy uznawanych przez nas za tak codzienne, tak oczywiste – domu, jedzenia, ubrania, światła, wody, perspektyw, nadziei, przyszłości; nie mają teraźniejszości”. Stale obecne w mediach apele UNICEF informują o setkach tysięcy cierpiących wskutek niedożywienia dzieci z Nigru i Południowego Sudanu, kroniki i serwisy telewizyjne regularnie od wielu lat pokazują gehennę syryjskich uchodźców wojennych, daremnie szukających bezpiecznego schronienia w świecie; są ich miliony, a milionów nędzarzy lękają się bliscy i dalsi sąsiedzi. Dają im jałmużnę – obozy przejściowe, więcej dać nie chcą. Tylko Morze Śródziemne przyjmuje ich w milczeniu!

Wojna jest przyczyną tej naszej hańby, tej sromoty, której nie umiemy położyć kresu. Ani Organizacja Narodów Zjednoczonych, ani Światowa Rada Pokoju, ani Wspólnota Ludzi Pokoju, ani Unia Europejska nie potrafią zatrzymać tej destrukcji. Tylko wiedza nasza o tym, co potrafi uczynić, ale i znieść człowiek, rośnie i napełnia nas – dumą? poczuciem boskiej mocy?

A może tylko poczuciem zwyczajnej ludzkiej bezradności?!

Martín Caparrós, choć przemierzył Niger, Sudan Południowy, Madagaskar, Bangladesz, Indie, Stany Zjednoczone, Argentynę, Chiny, choć odbył wiele rozmów z politykami, biznesmenami, szefami wielkich korporacji, działaczami organizacji pozarządowych, lekarzami, artystami i może nawet zrozumiał, dlaczego **nawet dzisiaj** dla dużej liczby ludzi największym wyzwaniem jest znalezienie odrobiny pokarmu, choć spaść potem to wszystko na ośmiuset bez mała stroncach swej kroniki głodu, to przecież nie znalazł odpowiedzi na pytanie, **jak leczyć** tę ciężką i kompromitującą nas dolegliwość. Zbyt złożone okazały się przyczyny: eksplozja demograficzna, wzrost nierówności społecznych, spekulacja cenami żywności, masowy wykup gruntów, horrendalna korupcja, fundusze walutowe i wielkie korporacje... Cóż z tego, że o tym napisałem?! – wyznał Caparrós. – Cóż z tego, skoro moja książka niczego nie zmienia!

To prawda. Głód był, jest i będzie z nami do końca świata, to pewne. Ale jaki głód: ciała czy duszy? Głód, który skręca wewnętrżności, czy taki, który każe szukać Boga, Świętego Graala, a może Idealnej Kobiety? Głód serca, czy głód umysłu? Głód narkotykowy, czy głód miłosny? Bo może być taki i taki, i jeszcze inny, a nie wiadomo, który dotkliwszy.

Przyjrzyjmy się artystom XIX stulecia, jako

że oni – o czym wiemy z licznych przekazów – beznadziejnie głodowali. Oto kartki z dziennika **Artura Grottgera** z lat 1854-1858. Siedemnaścieletni wówczas student wiedeńskiej Akademii Sztuk Pięknych uskarża się na skąpość cesarskiego stypendium, na drożyznę, wreszcie na bezustanny głód i dojmujące zimno. Istotnie, miesięczna kwota wyplatana mu z prywatnej kieszki Franciszka Józefa I to ledwie 25 florenów, a trzeba wynająć stancję, zakupić niezbędne „amplety” i przybory malarskie, no i wyżywić się. A nie jest to łatwe, gdy ma się wilczy apetyt i lekką rękę do wydawania pieniędzy. „Moja kieszka się wypróżnia – pisze Acio. – Mam już tylko parę reńskich i te muszą mi dotąd wystarczyć, dokąd nie dostanę pieniędzy z kasy” – notuje 29 grudnia 1854, wyliczywszy z właściwą sobie skrupulatnością i niefrasobliwość, co kupił pierwszego dnia pobytu w austriackiej stolicy, a nie są to bynajmniej rzeczy pierwszej potrzeby. Cztery dni później, otrzymawszy od radcy Szarfa 70 florenów i 8 krajcarów trzymiesięcznego stypendium, kupuje „bardzo piękny kapelus” za 3 floreny, parasol „bardzo ładny” za 4 floreny, „a potem za 2 reńskie różnych ampletów”, zjada obiad w gospodzie i „abonuje się tam także na 8 florenów”, oddaje koleżkę pożyczoną 10 florenów i... zostaje bez grosza. Przez parę dni jego pożywienie stanowią: kawałek sera, dwie bułki i szklanka piwa”. „O, żeby się zmiltowali nade mną we Lwowie i przystali mi z 5 florenów, toby jeszcze jakoś było. Teraz muszę pożyczyć znowu...Oj, bieda, bieda”. Nie ma nawet na cygara, którymi oszukuje głód, bierze więc je „na borg” od gospodarza. Piwo też dostaje „na borg”. „Ja taki zawsze głodny jak pies” – pisze, usprawiedliwiając się przed samym sobą ze wzbronionego sobie wydatku: 6 krajcarów na kiełbaski, 10 krajcarów na ser i piwo, 2 krajcarów na bułki. Pracować o głodzie w nieogrzewanym pokoju nie sposób, Artur więc siedzi okutany w futro i czyta albo pakuje się pod pierzynę i próbuje spać. Pod datą 4 lutego tegoż roku notuje: „Tak jak wczoraj, okropnie zimno u mnie. Czasem ledwie nie płaczę, bo nie wiem, co sobie robić. [...] Boże, co ja będę robić? Ostatnia mnie rozpacz porywa. Gospodyni trzeba zapłacić w rachunku 44 krajcary. Ja nie mam na chleb i Ostrowski już mieć nie będzie. Zimno tak, że ledwie nie płaczę z zimna, bo sam nie wiem, co ze sobą zrobić. Głodnym wieczór i rano jak pies, cygara nie ma, żeby głód zabić, i takie nieszczęście. Jestem tak jak struży, a tu trzeba koniecznie jeszcze ze dwa kawałki zrobić, aby pokazać Szwarzenbergowej. Bóg sam wie tylko, co będę robić. Chcę wszystko sprzedać, guziczki złote, szpilki i inne rzeczy. Tylem już winien. Ja zwariuję”².

Po latach studiów wypełnionych „szukaniem, łobuzerią i filozofią, pracą, zachwytem i **głodem**”³ następują lata triumfów artystycznych i (nietrwających) sukcesów finansowych, ale zdrowie malarza jest już mocno podkopane. Wytężona, wręcz morderczą pracą, tułaczka i tęsknota za narzeczoną (której nie może poślubić z braku pieniędzy) rujnują je do reszty i Grottger, urodzony 11 listopada 1837, umiera 13 grudnia 1867, w kwiecie wieku.

Motyw głodu pojawia się w spuściznie

reżymie artysty raz jeszcze, w pisanej dla Wandy podczas wyprawy (z hrabią Stanisławem Tarnowskim) na Huculszczyznę „burej księżeczce”. Pod datą 10 czerwca 1866 roku znajduje się rysunek młodzieżowej Hucułki o wielkich, smutnych oczach z podpisem *W roku głodu na Huculszczyźnie, a dalej następuje zapis:*

„Dzieciusiu drogi, byłbyś nieraz płakał, nieraz odwracał Twoje śliczne oczki, aby nie widzieć... człowieka z głodu umierającego! Wszystkie najpotężniejsze wrażenia błędną wobec tego straszliwego obrazu. Cóż są zmartwienia moje, co są cierpienia wielu nieszczęśliwych między nami wobec tych biednych nędzarzy! [...] Wando droga, to okropnie wygląda – to nie opisać, chyba odmalować można. Ach, gdybyś była widziała wlokącego się zaledwie starca [...] Biedakowi tylko powszedniego chleba nie stało! [...]”⁴.

Jak wynika z dalszego zapisu, chleba owego cała fura jeszcze tego samego dnia została wyekspediowana do powiatów stanisławowskiego i kotomyjskiego, gdzie głód czynił największe spustoszenia, a Artur i Staś wrócili do Śniatynki z opróżnionymi do cna kieszeniami.

Po wzruszająco naiwnych zapisach dziennikowych egzaltowanego rysownika z polskiej prowincji zwanej Galicją i Lodomerią (a przezywanej żłośliwie, lecz zasadnie Galicją i Głodomierią), poważnie, surowe, dramatyczne wyrzucenia **Vincenta van Gogha**, zawarte w listach do brata, brzmią porażająco. Artysta pisze bowiem **o głodzie egzystencjalnym, totalnym**, który wyraża się nędzą materialną, psychiczną, emocjonalną i moralną, a jest ceną za całkowite i bezwarunkowe oddanie się sztuce. Elementarny głód, związany z niedostatkiem pożywienia, który rujnuje jego zdrowie już u progu życia, zajmuje w listach stosunkowo mało miejsca. Zwłaszcza że troskliwy Theo, niezawodny przyjaciel i powiernik, a przy tym znany paryski marszand, posyła mu każdego miesiąca pieniądze na utrzymanie, a ponadto wyposaża go w farby i płótno – rzeczy dlań nieosiągalne, a nieodzowne. W zamian bierze od biedaka wszystkie rysunki i obrazy, chociaż nie ma nadziei na spieniężenie ich, nikt bowiem nie chce tych niepojętych wytworów szalonego umysłu, które przecież są zapowiedzią Rewolucyjnej Zmiany w sztuce. Ogromny popyt na nie przyjdzie później... Wielki malarz holenderski i jeden z największych artystów świata umiera śmiercią najprawdopodobniej samobójczą w wieku lat trzydziestu siedmiu (29 lipca 1890 roku), w poczuciu, że czyni to „dla dobra wszystkich”, dla których był, jest i będzie tylko ciężarem. W ostatnim liście do Thea napisze: „Za moje malarstwo płacę ryzykiem życia, ono zabrało mi potęgę rozumu...”.

Pięć lat wcześniej, w liście z Antwerpii z listopada 1885 roku informuje brata: „Od czasu jak tu mieszkam, tylko trzy razy jadłem coś ciepłego; poza tym żywię się samym chlebem. W ten sposób staję się wegetarianinem, może bardziej niż to potrzebne. Tak samo musiałem radzić sobie przez pół roku w Nuenen”. W grudniu tegoż roku zwierza się: „Jestem zagrożony ze wszystkich stron, jedyny sposób, żeby się z tego wydobyć, to

wytrwała praca. Rachunek za farby ciążył mi jak otów, mimo to muszę i ś c n a p r z ó d". W lutym 1886 pisze: „To jest wyczerpanie c a ł e g o organizmu. Bardzo sobie zaszкодziłem nadmiernym paleniem, ale musiałem palić, żeby oszukać żołądek. Mówi się: klepać biedę; cóż, i mnie ten los przypadł w udziale. Bo nie chodzi tu tylko o jedzenie, także inne kłopoty i przykrości odgrywają swoją rolę.” W liście z Arles z roku 1888 podejmuje kwestię zasadniczej wagi: „Jeżeli malarz psuje sobie charakter ciężko pracując nad malarstwem, jeśli staje się niezdolny do wielu innych rzeczy, do życia rodzinnego itd.; jeśli jego malarstwo powstaje nie tylko z farb, ale z abnegacji, wyrzeczeń i łamie mu serce, twoja praca nie tylko nie jest lepiej płacona, ale kosztuje cię tyle samo, co malarza to przekreślenie osobowości – na wpół zamierzone, na wpół przypadkowe”⁵.

Najbardziej dramatycznie wyznania artysty dotyczą głodu miłości, nędzy emocjonalnej. Życie bez miłości nazywa stanem grzesznym, stanem nieobyčajnym, groźnym zamarznięciem, skamienieniem. Nie potrafi żyć bez kobiety, bez żywiołu, którym jest kobiece serce, bo tylko ono – w jego przekonaniu – może go doprowadzić do prawdy, do nieskończoności... Niestety, nie udaje mu się zdobyć żadnego kobiecego serca. Od ukochanej kuzynki Kee słyszy okrutne: „Nie, nigdy, przenigdy!”, od prostytutki Sien, którą wziął z ulicy bezradną i ciężarną, wzgardliwy śmiech...

Jak powszechnym doświadczeniem artystów był w XIX stuleciu głód fizyczny, dowodzi wielka powieść **Knut Hamsuna** pt. *Sulf* (w języku norweskim: *Głód*), wydana w 1890 roku w Kopenhadze⁶. Pierwszy utwór, który po długim okresie niepowodzeń przyniósł pisarzowi uznanie i rozgłos w Skandynawii, a wkrótce, przełożony na niemiecki i angielski, stał się wydarzeniem literackim w Europie. Był bowiem *Głód* zapowiedzią fundamentalnej zmiany w literaturze, był nowatorską tematycznie i narracyjnie realizacją oryginalnej koncepcji artystycznej Hamsuna, wedle której literatura powinna zajmować się nie opisem rzeczywistości zewnętrznej, lecz penetracją „podziemia duszy” ludzkiej, wszystkich „doniosłych zjawisk”, których „prostaczkę mózgi kramarzy” nie są zdolne pojąć: „bujnych rozgałęzień wyobraźni, błogostanów nerwów, szeptów krwi”. Narrator i bohater *Głodu*, młody człowiek bezskutecznie usiłujący zarobić piórem na utrzymanie i przeżywający męki głodowe graniczące z obłądkiem, to porcie parole autora, który powieść swą oparł na własnych doświadczeniach nędzy, bezdomności i poniżenia z kilkumiesięcznego pobytu w Christianii (później Kopenhadze) w roku

1879. Przedstawione przezeń przedziwne stany i nastroje, jakim podlega organizm wyniszczony głodem, halucynacje, wizje, przywidzenia wytwarzane przez chory mózg, zaskakujące zachowania, jakie dyktuje zraniona godność poniżonego (np. wyzbywanie się resztek dobytku na rzecz biednych), dowodziły wielkiej przenikliwości psychologicznej pisarza i podważały empiryczny pogląd na człowieka. Były zresztą zbieżne z równoczesnymi osiągnięciami naukowymi Zygmunta Freuda w dziedzinie psychoanalizy i szły w parze z nietscheańskim kultem witalizmu, „prainstynktu”, „woli mocy”. Bohater powieści, mimo niezliczonych porażek i krańcowego wyczerpania konsekwentnie dążący do wytyczonego sobie celu, świadomy swej wartości, zdyscyplinowany wewnętrznie i panujący nad rozchwianiem własnej osobowości, niezależny, drwiną i sarkazmem reagujący na okrutne zarządzenia Opatrzności, był niewątpliwie typem człowieka propagowanym przez Fryderyka Nietzschego.

„Podniosłem się trochę i doznałem nagle najdziwniejszego wrażenia, jakim przeżywałem kiedykolwiek. Nerwy me doznały wstrząsu, jakby w nie uderzyła kaskada światła. Dostrzegłem trzewiki i wydały mi się dobrymi znajomymi. Poczutem, że odnajduję straconą częśćkę własnego ja, świadomość odzyskanego samopoznania przenika me zmysły, napływają mi żył do oczu, a od trzewików płynie coś niby fala szeleszczącego wiewu. – *Stabość!*... – powiedziałam sobie twardo i zaciskam pięści... – *Stabość!* – *Nazwałem się głupcem i z powodu tych uczuć z całą z całą świadomością drwiłem z siebie, przemawiałem surowo i rozumnie i zaciskałem oczy, by zdusić żył*”⁷.

Artyści głodowali z wyboru, chłopi – z wyroku Opatrzności! Tak przynajmniej im, „ciemnym”, nieodwieconym, wprawiano, dopóki dawali sobie wmawiać. Trwało to całe wieki, siła „perswazji” była bowiem ogromna. Świadectwem nędzy chłopskiej (a potem i robotniczej) jest bezlik. Zarówno w literaturze pięknej, jak i w przekazach chłopskich: pamiętnikach, dziennikach, listach. Oto wyimek z **Pamiętników chłopów**, których dwa tomy ukazały się w latach 1935-1936, z inicjatywy Instytutu Gospodarstwa Społecznego:

„*Dzisiaj na wsi jest straszna bieda (...)* Chleba mało kto z biedniejszych je, a mięso na Boże Narodzenie i Wielkanoc, i to nie zawsze (...) Ludzie ze wsi uciekają (...) Mamy my niby ciało i duszę. Ciało żywimy samymi kartoflami i czem Bóg da, ale duszy nikt nie żywi (...)”.

A jednak ktoś żywił te „dusze”, i to dobrze żywił, bo inaczej skąd byśmy mieli w naszej literaturze karty tak piękne jak ta

o karmieniu „głodnego chleba”:

„*Bo mąki na ten chleb nie było. Ledwo poskrzybki na dnie dzieżki, rozkurz z mieszków, w których kiedyś była mąka, ospa, wygarnięta pomiędzy kamieni dawno nie tykanych żaren. Z poskrzybków, z rozkurzu też miał być ten głodny chleb: ale ile tego dobra było, tej poskrzybanej i porozkurzanej kiedyś mąki. Garstka, mała kupka na dnie dzieżki. Kukietkę chleba by się z tego upiekło, lepioskę. A matka chciała upiec całą piec chleba. (...) I matka karmiła go niczym niemowlętko, z tyżeczki, ze szmatki, po odrobince. (...) Był głodny nasz chleb. Tyle że matka ręce sobie przy nim urobiła. I wytraciła się cała dla tego głodnego naszego chleba. (...) Za chlebem dla nas szła matka w ogień. Póki było jeszcze ostatnie ziarno w skrzyni, matka piekła nam na nim chleb i wydierała go ogniom z sabata*”⁸.

Według Martina Caparrósa, głód miący może największy wpływ na kształt naszej cywilizacji. Znajdujemy go przecież u źródeł filozofii, religii, sztuki, ekonomii, rolnictwa, gospodarki!

A jak wpłynął **ludobójczy głód**, wywołany przez totalitaryzmy XX wieku, na stan naszych XXI-wiecznych umysłów? Relacje ofiar i świadków epoki Wielkiego Terroru, które czytaliśmy przed laty (m.in. Aleksandra Sołżenicyna, Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, Józefa Czapskiego), nie dają dostatecznych odpowiedzi. Trzeba szukać w pracach badaczy drugiej połowy XX wieku i nowszych, XXI-wiecznych: Roberta Conquesta (*The Great Terror* 1968, polskie wydanie 1997), Anne Applebaum (*Gułag* 2003, *Czerwoną głód* 2018), Franka Diköttera (*Wielki głód: tragiczne skutki polityki Mao* 1958-1962, 2013). Bez tych lektur bowiem nie rozumiemy, cośmy jako ludzkość uczynili i ... ku czemu najprawdopodobniej zmierzamy!

MARIA JENTYS-BORELOWSKA

1 Polskie wydanie *Głodu*, w przekładzie Marty Szafrąskiej-Brandt, ukazało się w roku 2016 nakładem Wydawnictwa Literackiego.

2 Wszystkie cytaty pochodzą z książki Arthur i Wanda: *dzieje miłości* Arthura Grottera i Wandy Monné. *Listy – pamiętniki*. Podali do druku Maryla Wolska i Michał Pawlikowski. *Tom pierwszy. Medyka – Lwów, nakładem „Biblioteki Medycznej”*.

3 Tamże, t. 1, s. 57.

4 Tamże, t. 1, s. 238-239.

5 Vincent van Gogh: *Listy do brata*. Tłumaczyli Joanna Guze, Maciej Chełkowski. *Przedmową opatrzyła Joanna Guze*. *Czytelnik, Warszawa* 1997, s. 303, 304, 306, 349-350.

6 Pierwsze wydanie polskie: *Poznań* 1957, przekład F. Mirandoli; kilka wznowień; nowe wydanie w 2002 r.

7 Knut Hamsun: *Głód*, PIW 1974 s. 18.

8 Marian Pilot: *Rękopis znaleziony w XX wieku, wyimek „Migotania”* 2019 nr 4 (65). Wyimek pochodzi z odnalezionego rękopisu powieści „*Bylica Piolun*” z 1981 roku.

Grzegorz Musiał

Sobota, 16 września 2006. Gdzieś w Abru-
zach

Poranek. Postój w górskim miasteczku, wciąż jeszcze w Arbuzach. Nie chce mi się wstać z krawężnika i wędrować do znaku drogowego z nazwą tej miejsciny - podniebno skrawka gofyku, szarego w białe cętki, przylepionego do szczytu góry jakby przy użyciu ptasiego guana. Za chwilę będziemy zjeżdżać w dół, do morza i dalej brzegiem Adriatyku na półwysep Gargano.

Trójkątny placyk jest przekrzywiony na bok, jakby z jednej strony odpadła mu nóżka. Drugą zamyka kamienna balustrada. Tu stoimy, patrząc w jar kipiący zielonymi wciąż jeszcze koronami drzew i ogłuszającym wrzaskiem mieszkających tu przez cały rok ptaków, dziś wcześniej rano zbudzonych przez ulewę. Glissando ptasich gardeł kołuje pod znów turkusowym niebem, po którym snują się resztki deszczowych chmur. Wrzesień... Abruza po deszczu. Słodka włoska prowincja, bez turystów. Cicho, górski chłód i poranek - jak w Zakopanem, gdy o siódmej rano maszerowało się po bułki z Koziańca na Antałówkę. Chrzęst żwiru pod podszewkami sandałów i uciekające w dół spadziste kosy uliczek. Ciemnozielone okiennice i białone wapnem ściany zaułków, pocerowanych zygzakami linek do bielizny. Z zakątków pod kamiennymi schodkami śledzą nas bursztynowe ślepia kota. Romański portal kościółka („prowincjonalny” - komentuje Silvio) z potężnymi żelaznymi kagańcami na ognie, umieszczonymi na szczytach dwóch strzegących wejścia spiralnych kolumn (według Silvia „lichych naśladowczyń Cosmatiego”). Wszędzie we Włoszech są te kolumny po bokach portali: to ozdoba, owszem, ale przede wszystkim na nich wieszano latarnie.

Wieczorem. Termoli, Villa Ida

Pod okiem, a raczej pod czujnymi oczkami dwóch tłustych garsonów przepasanych granatowymi rękawicami, staramy się jeść kolację złożoną z pomidorów, rukoli i góry *frutti di mare* wieńczącej kopę miejscowego makaronu o nazwie *orecchiette*, czyli uszka. Zerka na nas recepcjonista pensjonatu - przystojny, niedogolony drab. Ma proste czarne włosy, bez żelu przylegające do skroni, a na barczystych ramionach wymiętą satynową marynarkę w kolorze złota zmieszanego z brudną ziemią: ideał konferansjera z festiwalu w San Remo z lat 70tych.

Piekło Silvia nad talerzami: zmierzwiona broda, oczy w słup, nieprzytomne. Najpierw wścieka się na mnie, a po chwili prawie płacze, skarżąc się jak dziecko zostawione na ulicy: bo ja załatwiłem „po swojemu” to pensjone, a on wcześniej, o dwie przecznice stąd też załatwił „po swojemu” drugie, no i mamy dwa pensjone!

- I o z tego? Zjemy kolację, a potem odwołasz swoją rezerwację - mówię.

- Odwołać? - jego głowa wędruje do sufitu, za nią źrenice, aż odstają się białka, gdy się nad moimi słowami zastanawia, dłonie szarpną siwą brodę, aż pokonawszy wszystkie proste, kosy, zapadnie, kruczanki i zakręty silwiowego mózgu, dociera wreszcie do niego cała okropność tego, co ma zrobić. Wykrzykuje: - Nie, nie i nie! Jak to? Odwołać?! Przecież zostawił tam już swój paszport!

DZIENNIK WŁOSKI. APULIA(2)

Pukam palcem w nasz podróżny notes:

- Tu masz numer do recepcji. Teraz odwołaj rezerwację, a po jedzeniu pojedziemy odebrać twój paszport.

Nie! Nie! woła. Przecież w tym pensjone też jest potrzebny paszport! Jak teraz ma rozdzielić swój paszport!? Patrzy na mnie z wisielczym tryumfem i ze wzgardą. W jego oczach - szaleństwo tysięcy lat tacińskiej kultury, geniusz Etrusków, logika Rzymian, spryt Greków. Przywołuję przeciw niemu wszystkie katolickie duchy łagodności i rozsądku.

- Ja już tu zostawiłem swój paszport - mówię - więc drugiego im nie potrzeba. Twój odbierzemy później, jak zjemy.

Twarz Silvia, malowana dotąd w szale pędzlem El Greca, rozlewa się wreszcie w rubensowski uśmiech. Prostota tego rozwiązania przywraca mu apetyt. „Odbierzemy potem, odbierzemy potem” powtarza, zanim radośnie rzuci się na skorupki. Posyłam swemu odbiciu, widocznemu w spleźnym zwierciadle nad barem, błady uśmiech młodego psychiatry, któremu na egzaminie przydzielono szczególnie trudny przypadek. Unikam oczu kelnera i dwóch kuchcików, którzy zza drzwi kuchni wystawili wysokie czapy i śledzą nasz spór z uciechą. Chwytam też spojrzenie recepcjonisty: bandyckie, ciemne i okolone gęstwiną rzęs, które mogłyby być ozdobą gwiazdy kina z lat trzydziestych. Współczuje mi?... Ukradkiem rozkładam ręce, a on puszcza do mnie oko. Ale za chwilę to on rozkłada ręce, gdy okazuje się - ku radości Silvia - że w tym hotelu nie ma windy i musimy wlec walizy po spadzistych schodach, aż na *tertio piano*.

- A w moim winda była! W moim winda była! - cieszy się taszcząc bagaż moje stare dziecko.

*

Termoli jest położone u wysokowo bieriega - jak w romansie Werdyńskiego. Słodkie miasteczko, w którym od tysiąca lat łowi się ryby. Pachnący rybem targiem porcik i skromna promenada, nad którą modli się przysadzista bazylika z piramidką na czubku czworokątnej wieży. Mały, ciężki zameczek - czytam w przewodniku, że „szwabski” - bronił miasteczka przed piratami z Adriatyku. Ile tu naturalnego, ludowego smaku! Jak w dawnej wsi polskiej, gdzie w ogródkach sterczały malwy czerwone, żółte, różowe, a w ścianach chat białe i niebieskie okiennice i gromada słoneczników za płotem. Tu, rozłożyste donice z rododendronami, agawą, po ścianach pnie się dzika róża, z okiennic zwisa kaprifolium. Schodki wiją się między domami w górę, w dół, obłożone niebieską, białą, różową terakotą. I wszędzie to światło z czarnoksiężskiej włoskiej lampy: odbite od nieba i kładące się złotymi i czerwonymi pasmami na ciemniejącym szmaragdnie morza a stamtąd odbite znów do nieba, gdzie rozprasa się i drga we mgle, jak spojrzenie zakochanej kobiety. Światło Morza Śródziemnego, światło życia. W tym

światle, każdy kamień ułożony na brzegu ludzką ręką, świecić będzie ukrytym w jego wnętrzu ludzkim sercem.

Niedziela

Wstajemy wcześniej rano. Znow deszcz: koniec lata w Termoli. Nadmorska cisza poranka, pachnącego mokrymi ściekami. Turkoł paru walizek, toczonych po nierównych płytach chodnika, dochodzi z głębi zaułków, gdzie mieszczą się pensjonaty. Uciekają turyści. Bazylika akurat otwiera swe podwoje: tylko na cztery godziny, od ósmej do dwunastej. Pusto. Parę starszerek na krótkiej mszy bez kazania. Jakies dwie młode Koreanki czy Japonki, rozmodlone, w habitach i z plecakami, chude jegomość w złotych okularach i szortach wyglądający na niemieckiego *pfarrera*. Koniec. W porcie kołuszają się puste łodzie - już bez nadziei na chętnych do wyprawy na wyspy Tremitańskie, gdzie na zestaniu dokonywała żywota cesarzówna Julia, córka Oktawiana, ukarana za romans z Owidiuszem.

Dotączamy do eksodusu walizek. Nasz recepcjonista wychodzi z papierosem na taras willi Ida i znów w tej swojej marynarce z podwinętymi rękawami, wsparty łokciami o balustradę, odprowadza nas spojrzeniem, którego pozorna obojętność zda się być, jak by napisał Gide „zle dobraną maską najwystępniejszych rozkoszy”...

W drogę! A tu wtem ulewa, potworna! Dwie strugi wody, jak z sikawki strażackiej biją o przednią szybę naszej fiesty. W jej dach bębnią bicze Niagary, gigantyczne fontanny tryskają spod kół, znacząc brudną, jak okręt pełnomorski, szlak naszej ucieczki przez wściekle strugi półwyspu Gargano! Uff... ulewa cichnie nagle i teraz dla odmiany syją się na nas ze zboczy obluźwane deszczem kamienie. W górę, w górę, gdzie gołoborzy nie ma! A tam mgła. Nagle wyszła zniknął i otoczyła nas swym żartocznym kokonem, na myśl nasuwając powitanie Śmierci. Zatrzymuję auto we wnętrzu tej nieprzyjaznej, choć lekkiej jak muślin macicy perłowej. Milczymy na szczycie jakiejś góry, pod jakimś niewidocznym niebem, nad jakimś morzem, pewnie rozpościerającym się gdzieś u naszych stóp. Wtem, szarpnięta podmuchem wiatru, mgła rozpada się na strzępki i oto stoimy na asfaltowej ścieżce, przebiegającej w poprzek ogromnej płaskiej łąki. Naprzeciw nas - trzy mokre krowy. Dalej dwa kontenery jakiegoś zakładu śmieciarskiego, pełne plastikowych butelek. Za to w dole - Adriatyk! Niebo zlewa się z morzem i morze wtapia się w to niebo. Resztki mgły, jak pod działaniem zaklęcia, pierzchają we wszystkie strony, jak spłoszone górskie kozy.

San Giovanni di Rotondo

Szkaradnie rozkopane miasteczko... stolica Ojca Pio. Zawsze w Europie wruszają mnie te święte brzydactwa - paskudne wiochy, zapyziate miasteczka, biedne małe ko-

ścioty, które święci wybierają sobie na swe kapituły. Pogarda dla ziemskich bogactw. Lekceważenie kanonów ziemskiej estetyki. Tu piękno nie musi być łatwe, powabne, ono nie ma być opisywane w traktatach malarskich czy podręcznikach architektury. Ono ma być trudne, duchowe, Boskie. Ma promieniować czystą Istotą Boga - spoza farby, zza perspektywy, z samej głębi marmuru.

Toteż w San Giovanni di Rotondo, piękno tak rozumianemu nie przeszkadza ohydny zielony hangar rozpięty nad miejscem kultu, do którego wkraczamy w poszukiwaniu Ojca Pio. I zaraz wpadamy w płataninę korytarzy, kaplic górnych i dolnych, w jakieś hale i przejścia pełne umęczonych ludzi, którzy wpiętych biegli tu, potem tam, a teraz już tylko wloką się od jednej do drugiej białej strzałki, które dla przymnożenia pielgrzymom męczeńskich zastug porozwieszano bez tądu i składu na skrzyżowaniach tego świętego labiryntu. *Bagni* tu, ale zaraz inne *bagni* tam - więc skręcamy z pełnymi pęcherzami w jedną stronę, potem w drugą, ale nagle w jeszcze inną stronę też są *bagni*, no to zawracamy, pędzimy, a to się okazuje *Uscita* więc znów z powrotem, wreszcie stajemy na końcu jednej z dwóch udęczonych kolejek w podziemiu przypominającym katedrę, pośrodku której wzniesiono groźną figurę Ojca Pio z napisem *Zona Sacra* i dwójgim maleńkich drzwi do jedynych dwóch toalet.

Potem znów roztańczone drogowskazy i gromady ludzi cwałujące w tę i wewtę: *Chiesa Superiore*, *Chiesa Inferiore*, *Capella di Eucaristica*, labirynt, kombinat. Gdy chcę zrobić zdjęcie kolejnej wielkiej figury Ojca Pio, strzegącej tym razem jednego ze skrzyżowań, nagle, jak w amerykańskim horrorze, wbiega mi w obiektyw wygrażająca piąstką maleńka hataśliwa dziewczynka z wykrzywioną ze złości buzią. I zaraz znika, odciągnięta przez spoglądającą na mnie z niemniejszą złością starą kobietę z maleńkim tornistrem na plecach i w ogromnych białych adidasach.

Och, przecież pamiętam... im więcej świętości, im bliżej do Bram Nieba, z tym większą zawziętością atakuje szatan ... I co? I nagle staję - o *mon Dieu* - przed konfesjonalem Ojca Pio!

A więc to tu, na tym schodku klęczał udęczony potworną chorobą mózdzku i nawrócony na katolicyzm polski pisarz, Żyd i uchodźca z sowieckiego rajdu, Aleksander Wat. Tu szukał dla swej duszy oohoty, jak Chrystus u studni Samarytanki. I stąd „odegnał go” Święty, jeśli wierzyć zapisom Miłosza z rozmów z Aleksandrem Watem... Zapoznawszy się niegdyś z tym wydarzeniem (rozmowy z Watem czytałem w stanie wojennym, w wydaniu samizdatowym) najpierw odczułem trwogę - wszak coś takiego mogło przydarzyć się każdemu z nas. Przychodzi taki grzesznik do kratek, na kolanach błaga zmiotowania ufając w tylekroć obiecywane Miłosierdzie Boże, a tu - miecz ogniasty. Precz! Zdawało mi się to okrutne, zwłaszcza że dotyczyło nawróconego komunisty.

- Jak Bóg mógł! - rwało mi się z ust - ... czyżby Wat aż tak nagrzeszył, ten więzień łubianki, ofiara potwornej, rozrywającej mu czaszkę choroby? Jaką więc mamy szansę my, pławący się w dobr wszelkich oceanie?

Gdy jednak znów kiedyś wróciłem do tych fragmentów i już bez emocji wczytałem się głębiej w ten zaprawiony goryczą -

choć w miarę, jak z Miłoszem rozmawia, już prawie żółcią - komentarz aortski Wata, zauważyłem, że kończy on niemal agresją wobec świętego. Drażnią go nawet słynne, przesiąknięte krwią, a dla Wata „obrzydliwe i niechlujne” rękawiczki, którymi Pio okrywał broczące mu na dłoniach rany. Klasyczny zespół zawiedzonego kochanka - miłość przechodzi w *Hassliebe*, potem w nienawiść, na końcu - w obojętność. Czy czas potwierdził przeczucia świętego z Petrelciny? Chyba tak, bo Wat wkrótce zaniechał praktyk religijnych, potem, zdaje się, odszedł na dobre z Kościoła. Może więc właśnie tę nieudaną spowiedź u Ojca Pio należy obarczyć odpowiedzialnością za taki obrót spraw? Nie sądzę. Gdy jest się dojrzałym mężczyzną „po przejściach”, to trudno w rzeczach tak zasadniczych, jak formacja duchowa, zachowywać się jak panna obrażalska, która drze listy ukochanego po pierwszej nieudanej randce. Winna była wiara Wata - bardziej będką pragnieniem wiary, niż wiarą; bardziej nieukształtowanym zamysłem, niż rzeczywistością. Rozleciała się na pierwszym wyboju. Tę nieprawdziwość, ten głuchy ton glinianego dzbana zamiast spżu, musiał usłyszeć Ojciec Pio w głosie Wata, gdy ten, w swoim mniemaniu solidnie nawrócony, klęczał po drugiej stronie kratek. Może doszła do tego jakaś jego „ideowa nieustępliwość”? Lub - wrogość do świata, wynikła z sowieckich okaleczeń duszy? Może niedorozwój pokory, pociągnięty cienkim pokostem religijnych rojeń? Wat należał wszak do tej przedwojennej, narcystycznej i warszawkowej nacji bywalców „Adrii” i „Matej Ziemiańskiej”, tych zabawniśków, „mistrzów figla i kalamburu” - Lechoniów, Stonimskich, Gombrowiczów, nader rzadko tacy prawdziwie się nawracają, gdyż potrzeba żartu, mrugnięcia okiem bywa w nich potężniejsza od śmierci. Wat odszedł od konfesjonatu jakby obrażony, że Pan Bóg mu się nie odkłonił. Po ponownej lekturze powstało we mnie jeszcze jedno pytanie: a dlaczego tak usilnie pragnął odbyć swą pierwszą spowiedź właśnie u Ojca Pio? Czyżby przez Ojca Pio droga do Boga wiodła szerszym traktem? Lepiej ubitym? Zabrzmiato mi tu echo typowo polskiego dopytywania wcięż, czy ktoś „ma znajomego tu, albo tam”, czy ten lub ów nie mógłby „po znajomości” tego czy tamtego „załatwić”. Och, przecież nie mówię, że Wat chciał sobie „załatwić” rozgrzeszenie. Ale gdy wszędzie indziej w świecie, jeśli się czegoś chce, to starczy po prostu wejść do sklepu i kupić, Polak domaga się dla siebie „specjalnych okoliczności”. Wat pewnie najlepiej by zrobił, gdyby zamiast sadzić się na pielgrzymkę do świętego, tę pierwszą w życiu spowiedź odbył u znajomego życie i siwiuteńskiego jak gołąbek jakiegoś księdza-staruszka w parafialnym kościółku w sąsiedztwie.

Za szybami gablot - nieprawdopodobna kolekcja rękawiczek Ojca Pio. Setki burchy wełnianych miłenek. Pewnie tutejsze siostry hurtem mu je wiażyły. Teraz leżą porządnie ułożone, w sterfach. Czyste, wyprane z krwi. Maleńkie i nieme. Święte.

Przy grobie Ojca Pio dwie uduchowione baby, ze ślepskami obwiedzionymi czarnym tuszem aż na skronie, w prawie przezroczystych wściekle kolorowych body, pod którymi kłębi się masarnia watów tłuszczu, brzuchów, pośladow, karczków jak bochny, a wszystko to rozchwiane na obcasach cienkich jak włos. Jeszcze trochę pochyla się do przodu, a się obalą i rozleczą na dziesiątki wątrobianek, szynek, salcesonów.

Półwysep Gargano

Starą drogą pątniczą, dziś szosą nr 272 ruszamy do Monte Sant'Angelo, gdzie w V wieku biskupowi Sipontum ukazał się, wewnątrz pustelnicznej grotty, sam Archanioł Michał. Cóż to za podróż święta! I co za ziemia! Choć jeśli wierzyć widokówkom, jest to banalna, skąpana w słońcu kraina białych plaż. Zamknięta naturalnymi granicami prawie wyspa, z trzech stron zanurzona w szafirach Adriatyku, a od strony łądu górami, najwyższymi w Italii. Ziemia świętych, bukowa, klonowa, ukryta w jałskiniach, zanurzona w mgłach samotnych szczytów górskich - ale też rozpułstna i zła, bo otoczona, jak stadem wilków, wieńcem nocnych klubów i hoteli na godziny, które mijamy po obu stronach szosy, wzdłuż promenad plażowych. To wszystko teraz skąpane w deszczu. Jak ja Kocham Włochy jesienią! Te inną twarz Italii: pokutną i zmęczoną tym trwającym tu od wieków festiwalem próżności; dzień i noc i miesiąc w miesiąc, korowodem milionów cycków, pup, plażowych wygibasów, min strojnych do kamer bogatych barbarzyńców i *glamour girls* przylatujących tu chmarami z całego świata. Teraz, jesienią widać Italii, która nie drze się od rana do kamier na nartach wodnych, a wieczorem maca po tyłkach przy barowym kontuarze... Italii, która mówi szeptem... skargą gór, najeżdżonych regimentami elektrowni wiatrowych, ciszą wzgardzonych pustelni, różańcem obleczonej w czerń starych kobiet, od setek lat przyrośniętych tak samo do swych krzesłek przed domami, w zapomnianych miasteczkach Abruzji, Apulii, Kalabrii czy Bazyliaty. Oto i takie właśnie miasteczko przed nami - Monte Sant'Angelo. Puste, ciche, sjęsta. Zostawiamy samochód pod zabitym deskami kościółkiem i zwabieni aż dwoma szyldami z napisem „Bar”, wkraczamy na zwisający nad urwiskiem placyk. Obmiata go miotłą na długim kiju chłopak z bródką, właściciel jednego z barów i zaledwie pojawiający się z aparatami, rzuca się zachwalać swój lokal. A my - do innego. Posmutniał - i znów się rozpromienia, gdy po chwili wracamy, bo tamten bar zamknięty. Rzucamy miotłą i bez urazy, rozstawiwszy nam krzeselka, idzie za kontuar pokrajać nam chleb i najlepszą na świecie, jak się okazało, mozzarellę z prosciutto. Za oknem wiatr i popielaty Adriatyk - daleko, z zbiegającymi w dół dachami. Teraz to w jego fale bije ulewa, a nad nami ucichło.

Jak zwodnicza okazała się chwila ciszy w tym żeglującym wprost w niebo samotnym barku! - chłopak puścił dla nas z radyjka jakiś przebób, ale widać nasz brak entuzjazmu zaraz go wyłącza. Każde włoskie miasteczko żyje nie jednym, ale i drugim, trzecim, a nawet piątym życiem. Opuściwszy przytulny placyk z żegnającym nas wylewnie gospodarzem i zdecydowani jechać dalej, do Foggii, nagle za rogiem schodzącego w dół zaułka zostajemy zagarnięci przez ludzki żywioł! Czysta była pułapka: istniała tylko tam wyżej, na poziomie nieba i morza. W dole, w paru uliczkach skłębionych jak jeliła w pobliżu Świętej Grotty, aż kipi komercja pod hasłem „Archanioł Michał! Pogromca Szatana!”. Dwóch Cyganów (akordeon i gitara) i chyba przebrana za Cyganek blondynka z trąbką grają umiejętnie i czysto znane mi ze starych płyt tango włoskie „Chitarra Romana” ale w przyjemnym rytmie ni to mamby, ni łagodnej tarantelli. Otaczają ich grupki wschodnioeuropejskich pielgrzymów, wyróżniających się nie tylko swymi

szereżymi, jakby wciąż lekko załężnionymi twarzami i przemożną potrzebą przebywania w gromadzie, ale również tym, że nigdy nie rzucają datku. Widząc, że nic tu po nich, Cyganie kończą występ. Przewodnicżki nawołują swe trzódki potrzęsając wysoko nad głowami parasolami zaopatrzonymi w kolorowe chusty. Na krawężniku przed kościołem maleńki chłopak, też zdaje się Cygan, z dwa razy większym od siebie akordeonem, fałszywie zawodzi „O sole mio”. Dwie stare Niemki z pielgrzymki oznakowanej czerwonymi apaszkami, zaśmiewają się z niego protekcjonalnie, liłościwie i naśladowują jego śpiew. Żadna nie rzuca mu ani grosza.

Energicznie maszeruje przez tłumek – dając wszystkim do zrozumienia, że nie zamierzają stać w kolejce do Groty – grupa kleryków w sutannach. Ich twarze są w większości jasne, pyzate, z błękającym się uśmieżkiem „wtajemniczenia”. No tak, nie omyliłem się ...*Io sono Romano... seminaristo di Polonia...* – szemrze jeden z rumianych i płowych do swego smagłolicego towarzysza. Schodzimy w głąb groty wspinałymi romańskimi schodami. Wysokie sklepienie, i po bokach cudowne przeświły, jak w Rawennie. Ile tu światta, choć pod ziemią. Fala ludzi sływa schodami niżej i niżej, w skalną czeluść, która otwiera się na końcu przestronnymi i wysokimi, nieomal katedralnymi salami. Oto królestwo Archaniota: pogromcy szatana.

Dziś ludzie, nawet zdawałoby się „religjni”, uśmiechają się z drwiną, gdy pada słowo „Belzebub”, „Lucyfer”. A to są przecież imiona rzeczywistych stworzeń. Lucyfer był stworzeniem Boga: najmędrszym, najpiękniejszym, wyróżniono go też nadzwyczajnym imieniem Tego, Który Niesie Światta. Aż poczuł się równy Bogu. Dwa odniósł zwycięstwa w starciu z marnym człowiekiem ten książę kłamstwa i przewrotności: po pierwsze, wmoził ludziom (tym ambitniejszym, którzy mają ochotę się nad tym zastanawiać) że jest „odwrotnością Boga”. Czyli, że istnieje dokładna symetria odwrotności między Bogiem a nim, a więc, jakby nie było, równość, jak między nocą i dniem. A on jest tylko produktem Boga, stworzeniem, któremu przewróciło się we łbie i jedy-nym mianem, na jakie zasługuje, jest nie szlachetna „jedność przeciwieństw” a żałosne przedrzeźnianie. Małpa Boga – tak diabła określa Chrystus w objawieniach Marii Valtorty.

A drugie zwycięstwo – przeznaczone dla mniej wymagających – że cała ta opowieść o Dobru i Złu, o Adamie i Ewie, o Wężu i Wygnaniu z Raju – cała eschatologia Wiary i Zaprzaństwa, Zbawienia i Grzechu, ten fundament, na którym wzniesiono tysiąclecia wiary w Jedyne-go Boga, to jest tylko jedna z hollywoodzkich bajek, gdzie wąż ma sympatyczny pyszczek kawalarza i puszcza do widza oko, podsuwając Ewie jabłko z zielonym listkiem na ogonku. Wszystko jest zabawą. A skoro nie ma szatana, to i nie ma grzechu. A jeśli nie ma grzechu, to niepotrzebne było Ukrzyżowanie. A jeśli niepotrzebne było Ukrzyżowanie, to nie było Zmartwychwstania...i po co cała ta religia? Mamy najczystszy nihilizm... ten sam, który rozdziewia dziś nad światem paszczę... i pożera nas, pożera...

Silvio zakupił miejscowe bajgels – nie-dobre orzeszki, oblane słodkim lukro-syropem i wetknięte między dwa wafelki.

Wyświechtany slogan, któremu towarzyszą poważny ton głosu, patetyczne pochylenie głowy i mina pełna zatroskania o losy narodu, o siebie, o właściwą ocenę przeszłości. Oprócz tego przebiegający twarz ni to skurcz, ni to pełgająca na pomarszczonej skórze gorycz: masz szczęście, że cię wtedy nie było. Jak tu nie wierzyć tak ekspresywnemu przedstawieniu? Jestem nieufny wobec takiej summy tego, co minęło, a było fragmentem czyjegoś życia na tle konkretnych wydarzeń.

Cóż mogą oznaczać owe czasy, które w liczbie mnogiej zdają się rozsądzać przyznany im przez fizykę wymiar. Bo ile jest tych czasów? Dni, miesiące, lata przebiegają przez nas jak powiew unoszący szaty płaszczyzny menady. Jej marmurowe piękno jest nieruchome niczym ego, lecz materia wokół niej się unosi jak w tańcu. Tak można ujrzyć i dotknąć czas? Czasy to tylko słowo. Ma wiele wspólnego z kurczącymi się podwórkami dzieciństwa. Odnosi się bowiem w równej mierze do czasu jak też do przestrzeni oraz do wielu innych aspektów życia ludzkiego, których warunkiem jest odległość czasowa zwrócona ku przeszłości. Czasy nie mogą zatem wynikać z marzenia, śnienia, wróżenia, prorokowania czy innych sposobów infiltracji przyszłości.

Tempora mutantur nos et mutamur in illis brzmi podobnie do: takie były czasy; tacińska paremia wyraża nie tylko plastyczną zdolność przeobrażania się czasu, lecz także wpływ owych przeobrażeń na życie człowieka. Punktowy wyimek czasu nie ma żadnej morfologii, jest bezkształtny i nieformalny. Liniowy odcinek czasu określany w fizyce jako Δt , wymierzony od jednej kreski (punktu) do drugiej, posiada kształt, ruch i bieg, lecz i to za mało. Same lata, wieki czy tysiąclecia nie wystarczą, choćby bardzo precyzyjnie wymierzone. Dopiero przestrzeń czasu staje się plastyczna. To w niej czasy wychodzą poza czas. Możemy odliczać nanosekundy, sekundy i minuty, a czas i tak pozostanie pusty jak wahanie metronomu. Czas trzeba nie tylko wymierzyć, ale też poruszyć, dodać mu brzechwę, aby ze świadomym zmierzyl fakt, najmniejszą jednostkę zdarzeń. Hegel mówił, że czas jako punkt jest niezrozumiały. Wydaje mi się, że jako Δt nadal odgrywa rolę przezroczystego statysty. Dopiero chrapączką w swoim bursztynowym zakłębieniu ożywa konkretnym wspomnieniem. Że kłopoty z odczytaniem? To prawda. Dawno, dawno temu, w czasach zasnutych pajęczyn... Ciekawe, że człowieczy los w bursztynie się nie oblekł. A o takim żywicznym uwiecznieniu i jego inkrustacji będzie mowa.

Naiwna ocena czasu polega na tączeniu punktów chronologicznych osi w pewną arytmetyczną dysproporcję z pominięciem faktów i faktograficznych zmian. Ale nawet eufemistyczne określenie czasy nie powinno odwieść bystrego obserwatora od skojarzenia czasu z bytem i byciem. Sam czas nie ma sensu, jak nie ma sensu pojedyncze słowo. Nie istnieje też wspomnienie czy reminiscencja, jeśli ciało umiera, jak powiada Spinoza. Po śmierci i myśl, i to, co ona myśli i kiedy ona myśli, przepada w nieznaną otchłani. Możemy wspominać i wyginać czas jedynie za życia. To jest egzystencjalnie pewne. Nawet wierzący winni przyznać, że czas umiera jak wszystkie żywe organizmy. Stąd wniosek, że konieczne jest wzbogacenie przedziału czasu o wątek historyczny

z jego starciami, układami, rządami, królami i królewiami, a ponadto z folwarkami, bydłami, czworakami, sanhedrynem i miejską radą oraz cum rebus domesticis, takimi jak urodziny, chrzciny, bar micwa czy inna konfirmacja. Ale to nadal są tylko punkty odniesienia na chronologicznej osi, choć oś przypomina już drogę z poboczem.

Brak ludzkich myśli, głupich i mądrych, ambicji, idei, ideologii, miłości i nienawiści, prawdy, dwulicowości i zakłamania. Dekalog i inne kodeksy wymierzają nieuchwytny kosmiczny czas (kosmos = uporządkowanie) i stają się podobne do skrzydeł. Droga i pobocze znalazły grunt i posadowienie. Można stąd zobaczyć łąki, pola, sianokosy, szklane domy, chatkę rybaka, porywisty potok, ale też konną bryczkę lub samochód. In brevis na drodze czasu wszczął się ruch i zgiełk. Wszak to one wyznaczają i élan vital, i jego zmienną gęstość. Człowiek nieodmiennie jest ten sam, choć *tempora mutantur*, jak się powiedziało. Czas więc, powtarzam po raz wtóry, przepływa przez nas. *Nos mutantur* oznacza owo temporalne ugięcie, stałość człowieka szukającego kryjówki przed wszechdobyłskim czasem. Stirner uważa kodeksy za serwilistyczne ustępstwo, twierdząc, że wolna wola przeczy moralnej woli. Zapewne ma rację, ale żeby nie zagubić się w czasie, trzeba mieć punkty oparcia. Daj mi punkt oparcia, a ruszę Ziemię.

Time is money oto chłodna jak lód konstatacja. W swojej dosłowności przypomina rząd monet miast punktów na osi czasu. Takimi monetami można wyokrąglić w walec całe swoje życie. Żadnych szans na uwiecznienie poza zdjęciem protoplasty bogactwa na pamiątkowej ścianie, jeśli owa dewiza przywiodła jej wyznawcę i rodzinę do pieniędzy. To przystawie niczego nie objaśnia. Wypowiedziane zostało in spe, in memoriam albo in corpore jako rada, ewentualnie jako bystra obserwacja ludzkiego zabiegania. To nie są czasy. Brak tu jakiegokolwiek ruchu przed Chrystusem lub po Chrystusie. To prawda jakby antropologiczna odśtaniąca jedynie kulisy ludzkich dróg. Wspominam o tym, ponieważ w niejednej ludzkiej głowie magia złotego cielca uczyniła spory zamęt, który oby nie musiał odwzajemnić się do tytułowego zdania: *takie były czasy*.

Żeby czas stał się przedmiotem rozważań, musi przez chwilę przestać płynąć. Wtedy czy teraz? Między wtedy i teraz. Czas, podobnie jak przestrzeń, nie ma moralności. Czasoprzestrzeń stanowi więc tło dla życiowych perypetii, naukowych badań, filozoficznych dociekań, twórczych uniesień i moralnych rozterek. A co z obyczajami i kulturą? Wobec kultury, cokolwiek to słowo znaczy, i wobec obyczajów czasy są pruderijnie zachowawcze. O tempora, o mores! Wówczas nosiło się kapelusze i surdut zapinany jak sutanna, mówiło się pani matko, księżę dobrodzieju, Żydów wyzywano od parchów i psa przy budzie wiązało się na łańcuchu. Co się zmieniło? Mniej jest guzików do zapinania, bo pojawił się zamek błyskawiczny. Człowiek pozostał taki sam z tym swoim głupkowatym *time is money* i stałą tendencją do wychodzenia na swoje. A potem znów zjawia się owo magiczne: *takie były czasy*.

Obyczaje i kultura w binarnej kondensacji zwanej tradycją dopuściły się sporej ilości przestępstw, z której się nie wy tłumaczyły i nigdy nie wytłumaczą. Jakże bowiem spuści-

zna narodowa, państwowa, regionalna czy językowa miałyby się tłumaczyć? Człowiek podlega sądom, proskrypcjom, społecznej infamii. Również grupa może oberwać ciąg: naród, ideologia czy jakaś coniuratio. Jak można ocenić naród? Właśnie przez przyzmat stosunku do tradycji. Kto orzeka, co zgodne z czasem, a co nie? Ten, który ma siłę. Numerus clausus i numerus nullus nie wzięły się znikąd. Do dziś odbijają się echa tamtych czasów. Czy były tamane zasady głoszonej tradycji? To jasne, że były, lecz z tą samą siłą powoływano się na nie. A jeśli nie pojedynczy ludzie dopuszczali się gwałtu, a większość lub wielka ilość...? To grzechu nie ma: *takie były czasy*. To teren zawłaszczony u nas przez politykę historyczną i kłamliwe jej potomstwo. Tak rodzi się narodowy relatywizm. To dobre, co śpiewa wielkość narodu. Ein Volk, ein Reich, ein Führer. Nikt nie bierze pod uwagę futurum. Pamiętajmy atoli, że narody też przemieniają, ponieważ tak toczą się res gestae tego świata, że brak jakiegokolwiek constans, chyba że tam, gdzie wcale się go nie spodziewamy: w przyzwoitości.

Tylko wolności nie będzie można stopniować. Ona przynależy do każdego jak powietrze. Istnieje tylko problem oddychania. Nie wszyscy chcą oddychać. I ci właśnie beztlenowcy poddają się presji tytułowych czasów. W ich obronie stają niezaradność, chciwość, zachłanność, zaborczość, wspólpleniowość, luzosostwo, pokorność i chore (za wszelką cenę) ambicje. U tych beztlenowców wolność nigdy nie jest celem, a staje się jedynie środkiem, który wiedzie do celu, do władzy, do money, do zaspokojenia własnych ambicji. Tak też została zaprojektowana demokracja, żeby znajdować pretekst w kulturze i obyczaju.

Wobec tak nazwanych czasów historia winna opowiedzieć się jednoznacznie. Nie może szermować hasłem *takie były czasy* jak szturmówka w pierwszomajowe święto lat sześćdziesiątych. Klio ujmuje fakt i waży go w dłoni, rozstrzygając czy to prawda, czy też tylko możliwa prawda, którą należy przedyskutować i zweryfikować. Nie ma mocy, która skróciłaby tę drogę, twierdząc: oto jest jedyny prawdziwy szlak. Niestety, pojawiają się fałszywi prorocy przeszłości, którzy używają skrótów, nazywając je dedukcyjnym lub indukcyjnym rozumowaniem, lub zgoła nie nazywając. Wsio równo, jak mówią Rosjanie. Ganz egal, jak mówią Niemcy. I tak na jedno wychodzi, bo ci niby-mędracy, niekoniecznie Rosjanie i niekoniecznie Niemcy, działają, by zaistnieć i zapisać się na podobieństwo Heratostenesa.

Z pewnością nie można tytułowej frazy odnieść ani do przyszłości, ani do mitu. Konieczny jest przedział historyczny z jego zawilościami, miłościwie panującym i ideologią zwłaszcza. Rys epokowy wydaje się najbardziej sumienny. To wzgórze na hipsometrycznej mapie czasu. Tu pośród wichrów historii zbiegają się wiedźmy z najdalszych krańców epoki. Niewiele mogą zdziałać, by powściągnąć żądze człowieka. Nikt ich nie może powstrzymać. Jesteśmy tylko czarownicami, powtarzając. Spalić je! – wrzeszczy człowiek. Historia nie ma dla człowieka innej wartości niż annaly jego dokonań. Ktoś powie: szkoda. Zapewne racja, ale, obywatelu, na mapie epoki ciebie nie ma; nie liczysz się. Jesteś tylko biernym wyborcem. Poza tym milcz. Nazywano cię suwerenem jest

ESEJ śmieszne. Suwerenem może być władca, który cię mami. I tak zwali na ciebie całe brzemie czasów.

Można przekraczać granicę legalności i obyczajności wielokrotnie, i nie poczuć różnie swoich plecach. Jeśli te dwie krainy to figury przystające, życie po obu stronach płynie w zgodzie ze sobą. Niestety, najczęściej zgrzyta coś w tym pogranicznym mechanizmie. Nie czas przeszkadza bynajmniej w ząbującej się współpracy, ale na pewno jego odpryski: gorsze samopoczucie, zło w postaci użytkujących sąsiednie poletko Żydów, uciążliwi kontrahenci, partyjni konkurenci (wszak ja jestem najlepsza), bandyci z naprzeciwka, kelner z przekrzywioną muszką i facet, który spojrzął krzywym okiem. Są to graniczne paralele jurystyczno-obyczajowego sporu, w którym kultura odwraca się od roli arbitra.

Ego nie znosi próżni. Nie jest monadyczne, choć wskazywałyby na to indywidualistyczne pozory. Gdyby zamknęło się w Jednym, utraciłoby swoją tożsamość w przestrzeni i czasie. Wybucha więc to tu to tam, odnajdując trop siebie samego. Kelner z przekrzywioną muszką narusza nieznaną przyjętą obyczajowość. To tylko kelner, wrywa się z ust poskromicielki morderczych zapędów tych patetycznych typów, dla których przekrzywiona muszka jest podstawą nie tylko zaczepki, ale także zasadniczego sporu. Ach, ego, ileż zła uczyniło w świecie polskim i niepolskim? Co ten gnojek będzie o mnie gadał? Tego z pewnością nie będę słuchał. Byle urzędas nie będzie mi mówił, jak mam żyć. Przecież te darmozjady nie będą mnie uczyć. Niech skoczą na drzewo. Sam wiem, co robić. Te zaczepne zwroty tylko pozornie eksponują poczucie wolności własnej, egoistycznie ukierunkowanej ku sobie i przeciw światu. Tak może wyglądać bezmyślna ucieczka do wolności. Większe zaufanie mam jednak do wyzwolonej kurwy niż do wyzwolonego wariata. Tyle teoria. Wciąż powraca więc problemat Antygony. Czy ego, wypromieniowując w Inne, po prostu w świat, w życie, wraca jako inne Ja? Niepodobna rozstać się ze sobą samym. Nawet samobójstwo pozostaje częścią ego. Pochować brata, czcić swoją rodzinę jest czymś zbieżnym z miłością bliźniego swego. Tylko szczerłość takich uczuć nie wypacza moralnej prawdy o granicach wolności. Wyobrazić sobie można Antygonę spiskującą,

która grzebie Polinejesa, aby wznieść bunt przeciw legalizmowi Kreonowi. Też miałoby to sens i odbicie w sprawiedliwości. Antygoną wstrząsało poczucie wolności tak silne, że Kreonowe zakazy to był maty pikus na jej drodze. Pycha zaś Antygony polega na tym, że nie uciekła z miasta, czekając na ruch władzy.

Takie były czasy. Pisałem powyżej, że do mitu słowa te nie mogą się odnosić, ponieważ mit nie posiada punktu odniesienia w czasie rzeczywistym. Dramat atoli potrafił nadać mitologicznej treści czas wewnętrzny, który zarysowuje problemy ogólnoludzkie, jakby działały się współcześnie. Mój przykład ma na swoją obronę jedynie sztukę: Antygoną to mit obleczony w szatę dramatu, która, poruszając się na scenie, zbiera ziemski pył, pajęczyny i światło księżycy. Najpierw na scenie pojawia się urabianie, antywolnościowa kwalifikacja, badanie wytrzymałości materiału, jak powiedzieliby budowlańcy. Reszta podlega już tylko dociskaniu śruby. Aparatczyk Kreon dostrzegał tylko gmach swojej władzy. Dokonał autorytarnej interpolacji, tyrańskiego szacunku zysków i strat. Heroina nie uległa jego bezwzględny rachunkom. Zbyt prostackich metod miał się tyran. A zatem może zaważyła inteligencja: kto bystrzejszy w tym sporze? Czy ten co karze, czy karany? Z pewnością po latach w obronnym geście wypowiedzi Kreon nasze tytułowe słowa. Antygoną, nawet gdyby przeżyła, nigdy takiego zdania nie wypowiedziałyby. Takich jak Kreon jest wielu. Ale mam nadzieję, że świat trzyma się pod tym względem w temporalnej równowadze. Każdy więc wiek i każdy skrawek ziemi ma swojego Kreona, Hitlera, Stalina, Bokasę czy Pol Potą.

Wedle Hume'a każda myśl cofająca nas wstecz płynie przez wszystkie katarakty czasu, zatrzymując się tu i ówdzie, by dotrzeć wreszcie do właściwego zdarzenia w przeszłości. Każda nowa myśl rozpoczyna tę wędrówkę od początku. Im krótszą pokonuje trasę, tym wyraźniejszy jawi się pejzaż tego, co minęło. A zatem na początku głośnie ocena niechcianych wydarzeń może być kłamstwem, z upływem lat już tylko jego uogólnieniem, a wreszcie owym jakby nieodwiedzanym nigdy mglistym krajobrazem. Tyle dostrzec można z zewnątrz. Wewnątrz zaś stacza odwieczny bój nadzieja i obawa. Nadzieja: to minie jak tamten czas. Obawa:

co jeśli ktoś widział i pamięta? Tak postrzegane obawa i nadzieja nigdy nie zniosą się w Hume'owskiej paraleli zasady i kwasu.

W dociekaniu historycznym, kiedy przepływamy przez takie porohy jak pogrom kielecki, najpierw pośród świadków jak mgła zapada milczenie: nie wiem, nie pamiętam, nie rozumiem pytania, może on coś będzie wiedział. Potem wyptywa jak oślizła ryba tytułowe usprawiedliwienie. Brak faktów, błąkają się tylko jakieś poszlaki. A nad tym żmijowiskiem gmach zbrodni. Trwa przyściskanie do muru. Wydobywanie zeznań świadków moźle jak sprawianie wigilijnego karpia. Świadkowie i winni to często te same osoby. To nie ja rzuciłem kamieniem. A w Norymberdze? Jak powiada Arendt, zło jest prymitywnej proweniencji. Hitler, Goebbels, Eichmann czy Göring to ludzie średnio inteligentni, którzy mogli zaistnieć na firmamencie Rzeszy tylko jako skurwysyny, porywając za sobą rzeszę podobnych sobie. Z ich przestępczej argumentacji tak wynikało. Zło zatem nie jest demonem, jest prymitywnym (średnio głupim i średnio rozgarniętym) człowiekiem. Post factum nie potrafili dla swojej ideologii znaleźć jakiegokolwiek apologicznej siły czy inteligencji. Mordowaliśmy, ponieważ... takie było prawo, takie wydawano rozkazy, nie mogłem inaczej. Tak działo się w Norymberdze, tak działo się w innych sądach. Strzelaliśmy w tył głowy, bo takie były rozkazy. Człowiek ma zapaćkany zyciorus.

Tylko o tym wiemy z pewnością, że jest dobre lub złe, co nas rzeczywiście prowadzi do rozumienia lub może nam w rozumieniu przeszkadzać. Te przeszkody mogą mieć istotne znaczenie. Ich jest najwięcej. Zastawiane jako pułapki, zasadzki, wilcze doły, intrygi, zmywy i pełne aluzji lub przemilczeń oracje wypełniając czasoprzestrzenne luki, kryjąc się za rozkrzewioną mową-trawą albo politycznym rozhoworem, co i tak na jedno wychodzi. Świństwa nie sposób wymazać. Niewielu jednak do świństwa potrafi się przyznać. Większość twierdzi: takie były czasy. Niemcy popierali Hitlera w olbrzymiej większości. Z czasem ta liczba topniała. Moja matka pochodziła z Czerska, gdzie ich rodzinną kamienicę zajęli niemieccy przesiedleńcy, zostawiając właścicielom jedną izbę w tymże domu. Ludzie zwyczajni, raczej przyzwoiwi. Kiedy jednak mama i jej siostra mówily po polsku, wallili w ścianę,



ponieważ obowiązywał zakaz używania języka ojczystego. Chciałoby się rzec za nich: takie były czasy.

Czysta percepcja, obserwacja i słuchanie, przypominają nagie lewitowanie w czasoprzestrzeni. Żeby coś pojąć, trzeba w rzecz wstąpić, jak mawiał pewien lekarz z przeszłości, doświadczyć, przeżyć, a jeśli to było dawno, na podstawie owej empirii próbować się wcielić. Ojciec mój, poznanik, pamiętający lata trzydzieste ówczesnej Polski, opowiadał mi o maszerujących na czele pochodu podczas Święta Niepodległości w Poznaniu powstańcach styczniowych. Opis był szczegółowy: mundury, medale, niezbyt już dziański marsz. Znam zatem człowieka, który widział ich na własne oczy. To pod względem obserwacyjnym spory przedział czasu. Nie przypisuję słowom ojca przesadnej wagi czy znaczenia. Mówią same za siebie i za niego, który ich widział. Jak więc daleko potrafi sięgnąć pamięć?

Ludzie są wciąż tacy sami, nie że jeden do drugiego podobny, ale tak samo różni w każdej epoce. To, że ktoś posiadał biegłość w postępowaniu się komputerem czy innym urządzeniem w żaden sposób nie odróżnia go od ludzi z czasów minionych, którzy tej umiejętności nie posiadli. Znajomość więc epoki, jej obyczajów i nowinek, to za mało, żeby choć po kostki brodzić w tamtejszym czasie. Indywiduum oto pole obserwacji. Dopiero osoba, jako charakter i umysłowość wyczerpujące znamiona duszy i ciała, bez których czas płynałby, bębniąc tylko jak woda w rynnie, może zaświadczyć o swoim człowieczeństwie, a tym samym o brzmieniu całej epoki. Jedynie tak próbując schwytać czas.

Niektórzy filozofowie zarysowują w swoich wywodach przepaść dzielącą ludzi od zwierząt. Czyńcie sobie ziemię poddaną, powtarzał pewien minister, jakby Biblia stanowiła prawo w Polsce. Do Ziemi jednak wszyscy mają równe prawa. Nazywanie człowieka zwierzęciem, świnią, lisem, sępem, orłem czy rekinem jest nadużyciem. Zwierzęta winny złożyć pozew do sądu... Lub ktoś w ich imieniu. Może i one w rozmowach między sobą używają wywisk: ty, człowieku! Niestety, najokrutniej ofiarami ludzi są ludzie. Człowiek dręczy drugiego człowieka z pasją, której nie widać w królestwie zwierząt. Okrucieństwo zwierząt ma określony naturą cel. Pomieści ludźmi zaś rozgrywa się podszyty patologią dramat życia. Nie istnieje żaden sensowny argument dla zbrodni na Dawidzie Rubinowiczu czy Annie Frank, czy tylu innych dzieciach. Strażnicy Oświęcimia potrafili świadomie zepchnąć winę na więźniów, którzy nie podporządkowywali się gettowym i obozowym przepisom. A tylekroć mówione. A tylekroć niemożliwe do wykonania. Potrafili stworzyć ludzką fermę, o tyle idealną i niewydajną, że ludzie nie dawali futra, ale otwierali możliwość czystego i niczym nieograniczonego pastwienia się. Ach, życie! Wszak umierasz wraz ze mną. Muszę cię bronić do ostatka. Nie umarłem, więc żyję. Po czasie zbrodni pozostaje i ofiarom i katom albo ucieczka z miejsca (to tylko miejsce), albo ucieczka z czasów (takie były czasy).

Zamglona jasność jest jednak najstraszniejszą kartą, kontynuacją zamglonego zwycięstwa, które otwierało obywatelom wstydlive powroty do Polski, do ojczyzny, w której nikt ich nie chciał, bo mieszkania już pozajmowane, wojenni polscy oprawcy w ukryciu, szmalce odłożony, a ja jak ścigany zwierz. Niechby powrócił na swoje wągrowieckie podwórko Abuś Rindfleisch. Ustyszałby od swoich sąsiadów, że *takie były czasy*, a teraz miejsce już zajęte. Jak powiedział Kołakowski, najwięksi zbrodniarze wojen-

ni odwołują się do idei wierności, cyniczni karierowicze – do ambicji, a wandalowie do ekspresji. Potem objaśnia głębiej owe usprawiedliwienia jako wynikające z bezwładności życia duchowego, które oszczędza sobie wysiłku, poświęcając realne zdobycze cywilizacji na rzecz fikcyjnej spójności.

To piękne kręcić się na karuzeli. Sam tego nie lubiłem. Lody i karuzela – źle to znosiłem w dzieciństwie. Ale w wyobraźni mojej karuzela pozostała przystankiem wolności. Czepiający się dziewczęcych krzesetek chłopcy. Napowietrzne loty na podobieństwo kosmicznej nieważkości. Karuzela to ruch, nieustające wirowanie. Myśl atoli potrafi zatrzymać nawet karuzelę, chociażby tę z *Campo di Fiori*. Karuzelowicze obserwują warszawskie Getto. Trwa wyniszczanie narodu. *Nie ma Boga, zmiłuj się*. Nie ma też wzruszenia, jakiegokolwiek uczucia po drugiej stronie muru. *Takie były czasy*. Czego można oczekiwać po polskich karuzelowiczach? Aktualnego rozumienia czasów. Niczego więcej. Nie było mnie tam i wtedy, bo jeszcze nie istniałem. Łatwo mi więc mówić. A co od wiekopomnego autora, który był i patrzył? Oglądał i jednych, i drugich, oskarżał tylko jednych, a drugimi tylko się wzruszał. Moi współcześni podobnie: najpierw kłamią, potem milczą, a wreszcie mówią w tytułowym rytmie.

Nie ma czasów gorszych czy lepszych, jeśli idzie o kondycję moralną – nie obrażacie się, zwierzęta – człowiek albo jest świnią, albo małą, albo lisem, albo porykującym lwem, albo rzeczywiście człowiekiem. Obawa walczy w każdym z nadzieją. Jak się uchylić od śmierci, zapytałby Schopenhauer, żeby życie miało ciąg dalszy. Można udawać, można się zaprzedać, można zjeżdżać po równi pochyłej, można się odizolować, można wreszcie być człowiekiem. Można. Homo historicus nie ma szans odejść od swojej zewnętrżności. Może jedynie zachować twarz, która ma jednak tyle masek, że trudno je zdezdzeć, żeby odczytać tę prawdę.

W *Przemianach* Owidiusza pojawia się mit o czterech wiekach ludzkości, bardzo arbitralny albo bardzo naiwny, mieszanka też jest możliwa. Takie są mity, ktoś powie. To nie jest jednak zwykły mit, ale przeszłości czytanie. Im głębiej w czas, tym lepiej się działa: najpierw wiek złoty – krystalicznie czysty, żadnej szczy i ludzie nierozbrykani; wiek srebrny – pory roku, orka i siejba, nic samo się nie rodzi; wiek miedziany – do zwad skory, lecz nie do zbrodni; wiek żelazny – tu wykwitło już wszystko, co mamy teraz. Czyż nie lepiej więc sięgać dalej w przeszłość? Im dalej, tym bardziej mgliście, tym niedosiężniej.

Porównanie czasu do Kronosa pożerającego swoje dzieci wydaje się dość trafne z racjonalnego punktu widzenia. Ojciec Dzeusa musiałby jednak powtarzać tę swoją czynność, ilekroć obserwator uznałby to za stosowne. Ogólnie koncepcja połykania terażniejszości nie ma żadnych braków, wypełnia naturę czasu. Szkoła leży w tym, że Kronos zwrócił swoje dzieci, dzięki czemu Grecy mogli cieszyć się pełnym Pantheonem. Jeśliby ową paralelę zastosować do historycznych odcinków czasu, znaczyłoby to ni mniej ni więcej, że następuje raz po raz moralne podsumowanie, katharsis demonstrująca, kto wilkiem, a kto owcą, a ponadto karząca wilki. Tak się nie dzieje: najczęściej wilcy umykają karze, a ważenie win i tego, co komu się oberwało, odbywa się poniewczasie.

Sen mara, Bóg wiara, mówi stare porzekadło. Właściwie niewiele powiada. Sen to bzdury, a jedynie wiara w Boga ma jakiś sens. Skoro jednak odrzucimy sny i marzenia, to jaką ręką mamy ma wiara? Rozum

czy życie na gorąco? Wiem, że należą do wątpliwych, ale niech, u licha, wszystko ma jakiś sens. Kiedy ktoś powiada, że tak mówi Pismo, co brzmi podobnie do słów: *takie były czasy*, nie mogę się nie obruszyć. Powiedzmy, że Biblia to taka religijna konstytucja. Jeśli ktoś ją nagminnie łamie, podlega karze... Nie ma nagród, nie ma kar. Z Chrystusem na ustach szmalcownicy donosili na swoich współ... nie współbraci, na swoje ofiary, po czym udawali się do konfesjonatu... To paranoja, tego normalny człowiek nie jest w stanie znieść. Jak można było tego Chrystusa, przyzwoitego Żyda, tak wykorzystać?

Gdyby nie było czasu, przestrzeń stałaby się trwaniem albo czymś na pograniczu trwania i zapaści. I tak czas wtrąciłby swoje trzy grosze w to pograniczne umieranie, ponieważ sam nie ma nic innego do zaofiarowania. Bez przestrzeni czasu nie ma. Bez ludzi nikt o czasie nie opowie. Oczywiście opowiadanie nie jest koniecznością. Wystarczy, żeby ryś przebiegł polaną, a już czas ma sens. Ryś jednak jest zwierzęciem skrytym, nie opowie nikomu o kwitnieniu paproci ani o tym, jak krew pachnie. Od opowieści o zbrodni jest człowiek. Nikt nie zna się na tym lepiej. Ludobójstwo czy zabójstwo, jakaż to różnica? Byle często i w sposób zagmatwany, nieczytelny, bo tylko wtedy ma sens owo przestanie: *takie były czasy*. Nie wolno jednorazowo i osobiście. Można się ewentualnie podziwiać.

Odpowiednikiem przestrzennym naszej frazy byłoby z żalem wspomniane *to tylko miejsce albo jestem obywatelem świata*. Zapomniany zwrot *pisz pan na Berdyczów* też ujmuje nasz antyczasowy problem czasów, *tacińskie ad Calendas Graecas* odkładające wszelkie sprawy w niebyt – tym bardziej. Człowiek pracował nad asekuracyjnym rozwiązaniem. Można kłamać, można wśród tgarstw i półprawd się obracać, ale przyparcie do muru wymaga odpowiedzi-wykreću: *takie były czasy*.

Graniczność ego określa pewna myśl Kołakowskiego: *jestem identyczny ze świadomością mojego bycia, co oznaczałoby, że nikt z zewnątrz nie może mnie poznać, nie mogę być widziany przez kogokolwiek innego. [...] Jestem ciągłym aktem własnej samowiedzy, który odnawia się bez przerwy i jest nieustającym kryzysem narodzin.*² Można ją też odczytać à rebours. Skoro nikt z zewnątrz nie ma pojęcia o mojej świadomości bycia i o mojej własnej samowiedzy, to również ja nie powinienem odwoływać się do zewnątrz w celu usprawiedliwienia się. Takie bowiem odwołanie nie ma żadnej intelektualnej mocy. Ale, jak się okazuje, ma moc faktyczną.

Polski myśliciel ocenia doświadczenie sprzeczności między wnętrzem podmiotowym a światem rzeczy, pomiędzy ego a tym, co na zewnątrz, jako możliwość realizacji pewnych postaw wobec świata; albo jako potrzebę ekspresji wtrócej, albo jako samobójcze przeświadczenie o nieuleczalnie monadycznym charakterze, albo jako pragnienie maksymalnej adaptacji do świata za wszelką cenę. *Takie były czasy* wypowie z pewnością ów zwolennik adaptacji za wszelką cenę. Poza tymi trzema postawami możliwe są inne trące już zwyczajnym maniactwem, jak obsesyjne poczucie winy czy abulia. My jednak nie analizujemy przypadków klinicznych, lecz życiowe.

ANDRZEJ KATZENMARK

1 *Benedykt (Baruch) Spinoza, Traktaty, przeł. I. Halpern-Myśliński, Wyd. Antyk, Kęty 2003, s. 604*

2 *Leszek Kołakowski, Kultura i fetysze, PWN, Warszawa 2009, s.89, 90.*

Roman Warszawski

TEN WREDNY FACET NA LITERĘ A

1.

Budzę się. Dzwoni telefon. Otwieram oczy. Jestem w jakimś nieznanym mi pokoju. A może w znanym? Budzę się dalej i w akcie tym wyczuwam pewne bohaterstwo. Widzę przesączające się światło wokół czegoś, co najpewniej jest oknem albo drzwiami. Jestem w domu? A może w hotelu? Staram się to sobie uprzytomnić.

Czuję się wymiętoszony nocą i całkiem skołowany. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

Chyba spałem długo. Za długo? W moim wieku to się zdarza. Zdarza się coraz częściej.

Dalej rozglądam się po pokoju. Nie mam pod ręką zegarka, więc trudno mi powiedzieć, która może być godzina. Zastony – to chyba jednak okna – uniemożliwiają mi określenie tego, czy jest wcześniej, czy późno. Ach, i ten telefon! Cholera! Dalej dzwoni! Prawie bych zapomniał. Macam ręką i podnoszę słuchawkę.

– Cześć stary! Udało ci się? – wita się ze mną jakiś głos, który z zaskoczenia trudno mi zidentyfikować.

– Halo – mamroczę. – Kto mówi?

– Cześć, cześć stary! To ja. Cieszę się, że w końcu odebrałeś. Dzwonię już trzeci raz. Spałeś?

Dalej nie jestem pewny, kto to taki, ale postanawiam się z tym się nie zdradzać.

– Ja, no, tego... – zaczynam, po czym uświadamiam sobie jak trudno rozmawiać z kimś, o kim nie wiem, kim jest. – Hm, stary – próbuję wpaść w jego ton. – Wiesz może, która godzina?

– Zaczekaj chwilę – mówi. „To Marek?” – Pójdź spojrzeć na zegarek, bo nie wiem.

Słyszę stuknięcie odkładanej słuchawki i kroki odchodzące gdzieś w bok. Mija jakiś czas, który wydaje mi się tak długi, że zastanawiam się nad tym, czy nie odłożyłem słuchawki. Ale zanim na coś się decyduję, kroki powracają.

– Jest siódma – oznajmia.

– Siódma? – powtarzam, żeby zyskać na czasie. Po czym pada jedyne możliwe pytanie w tej sytuacji: – Rano, czy wieczorem?

2.

Inny dzień. Znowu się budzę – a może to tylko wychodzenie z dłuższego letargu? Znowu dzwoni telefon. Tym razem nie mam najmniejszych wątpliwości: jestem u siebie, nie w żadnym hotelu. W moim budzeniu jest jeszcze większa doza bohaterstwa niż poprzednio – wtedy, przed kilku dniami – gdy budziłem się i gdy na pewno nie dzwonił telefon, tylko w przypiływie intuicji sięgnąłem

po słuchawkę, w której usłyszałem nieznaną głos mówiący „cześć stary!” (Pamiętam to doskonale.)

Teraz telefon jednak na pewno dzwoni. Natarczywie, prawie ryczy. Sięgam po niego.

– Cześć stary! – słyszę chyba ten sam głos, co wtedy.

– Cześć – mamroczę. – Dzwoniłeś już? – próbuję uprzedzić jego wyrzuty.

– Jasne. Kilka razy. A ty nic. Już myślałem, że coś się stało?

– Spałem.

– Domyśliłem się. Ale ile można spać?

– Oj, można, można... – chcę być dowcipny.

– Jak nazywa się ten hotel, w którym jesteś? Chcę cię odwiedzić.

– Hotel? Jestem w domu...

Po drugiej stronie na moment zapada cisza.

– Oj, stary, nieźle chyba wczoraj zabalowałeś – słyszę po chwili. – Jesteś w hotelu, na wczasach, w tej samej miejscowości, w której ja jestem. Połączyli mnie przez recepcję... Nie znam tylko adresu.

„Hotel? Recepcja? Wszystko mi się pomieszało? Albo jemu.”

– Zapytaj o ulicę w recepcji, bo zapomniałem, tam, gdzie cię połączyli – odpowiadam pospiesznie. Po czym przechodzę do bardziej neutralnego tematu: – A tak w ogóle, która jest godzina?

3.

Kolejny dzień, lub dzionek – tak też chyba można to powiedzieć. Znowu się budzę – albo coś w tym rodzaju. Pokój jest wysoki, przestronny, a ja, jak na tę porę, czuję się naprawdę przytomnie. Sprawdzam, czy są okna. Są. A drzwi – są? Są, jak najbardziej! No proszę, jaki piękny dzień – wszystko na swoim miejscu. Nie trzeba nad niczym się zastanawiać, nie trzeba mieć jakichś wątpliwości.

Wątpliwości nie lubię. Uwielbiam jasne sytuacje. Wątpliwości są niczym dym. Oduurzają, wszystko osnuwają. Komplikuja to, co może być proste. Tak jak mówię: nie lubię tego.

Drzwi, okna – są. I to na pewno moje własne, rodzone okna i drzwi, a nie jakieś anonimowe, sterylne, hotelowe – jak to niektórzy od czasu do czasu próbują mi wmówić. Ale gdzie jest telefon? Gdzieś powinien tu być. Po prawej stronie. Albo po lewej.

Tak mi się wydaje. Muszę go namierzyć i zlokalizować, bo na pewno zaraz zadzwoni. A ja – owszem – mogę o nim zapomnieć (tak jak o innych rzeczach), ale on o mnie, na pewno nie zapomni. O, a nie mówiłem? Wrrr, wrr, wrr. Właśnie dzwoni!

„Gdzie podziata się ta cholera?!”

Jest. Jest na łóżku, przed pójściem spać musiałem do kogoś dzwonić. Że też przez całą noc nie spadł na podłogę? A może ja wcale nie spałem, tylko dopiero zbierałem się do spania? Może, może, może. (Znowu te wątpliwości, a kysz!) Kto to wie? Podnoszę warczącą słuchawkę.

– Cześć stary! – z góry wiedziałem, że to usłyszę.

– Cześć! – odpowiadam i dopiero teraz widzę i uświadamiam sobie, że stoję w otwartych drzwiach mieszkania, bo to nie dzwonił telefon, tylko dzwonek do drzwi i ja te drzwi właśnie otworzyłem.

Przedemną stoi Marek. Widać, że jest wściekły, że kipi. (Albo tylko mi się tak wydaje.)

– Co się z tobą dzieje? – woła na mój widok. – Jak ty wyglądasz? Wieczorem próbowałem do ciebie się dodzwonić, ale nie odbierałeś. Spałeś?

Jestem niezadowolony, że mu otworzyłem – że tak mnie widzi w rozchełstanej piżamie. Jak mogłem pomylić drzwi z telefonem, a dźwięk dzwonka w przedpokoju z dzwoniącym telefonem?

4.

Znowu ileś dni lub dzionków minęło. Budzę się – na pewno się budzę, nie ma co do tego tych kurew, wątpliwości. Co za piękny i wspaniały moment! Człowiek jest, a jakby go jeszcze nie było. Lewitujesz – wydaje ci się, że jesteś lekki i że wszystko możesz. To przez to, że jesteś półprzytomny i że jeszcze nie dociera do ciebie cała twarda proza życia. Na razie jest tylko poezja. Za chwilę, gdy jej ubędzie i jak będzie rozpieczęcać się niczym mgła pod wpływem słońca, to poczucie wszechsiły gdzieś zniknie bez śladu. Cały dzień będziesz go szukać, mając nadzieję, że odnajdziesz choć jego strzępy. Ale próżne nadzieje. Nic z tego. Ono przepadnie. Nigdzie go nie będzie.

Raczej jestem w u siebie. Choć jakie to ma znaczenie? Okna chyba też widzę na miejscu, gdzie powinny być. A choćby ich tam nie było – to co?, kto by mi i im podskoczył? Drzwi też są. Oczywiście, że są. Czy ktoś widział mieszkanie lub pokój bez drzwi? Nie ma takiego mocnego. Więc nie ma czemu się dziwić. I dałbym sobie rękę uciąć, że to są moje domowe drzwi, a nie jakieś wyjazdowe, urlopowe, hotelowe, jak to nieraz mi sugerują (super słowo, prawda?)

Telefon też musi gdzieś być. Na pewno. Ale nie będę go szukał. Podobnie dzwonek do drzwi wejściowych. Ale i telefon, i dzwonek pozostawiam samym sobie. Niech są, niech odpoczywają – nie zamierzam z nich korzystać.

Wiem, że zaraz któryś z nich zadzwoni. To przecież codzienny rytuał. Zadzwoni albo Marek lub Marco (bo – o ile mnie pamięć nie myli – niektórzy tak na niego mówią). Albo Andrzej lub Michał. O już! Słyszę! Dzwoni lub dzwonią! Albo telefon, albo dzwonek do drzwi. Kto by się połapał – czy to tu – blisko, czy tam, gdzieś dalej? Nie będę próbował dochodzić, który to z nich. Bo jak będę usiłował (dobre określenie) podnieść słuchawkę, a tak naprawdę dzwonić będzie ktoś u drzwi – co wtedy? A jeśli wybiegnę do przedpokoju, żeby otworzyć drzwi, a będzie dzwonił telefon – wtedy co?

Więc dalej delektuję się lewitowaniem. Niech się dobijają – telefonicznie, albo do drzwi. Ich prawo. A moje prawo udawać, że nic o tym nie wiem. „Chuj im w dupę”!

5.

Znów jakiś czas minął. A ja, ni stąd ni z owąd, mam taki oto sen (można powiedzieć: *I had a dream*):

Łomot do drzwi. Akurat spałem. Może ktoś najpierw dzwonił do drzwi? Jak to we śnie – zwłaszcza koszmarnym – trudno powiedzieć. *Łup, łup, łup, pach, pach, pach*. Słyszę, że dobijają się jacyś mocarze. (We śnie telefon nie dzwoni.) Wpadają do mnie jakieś osłki. Ubrani jakby w kombinezony, niczym kosmici. Mówią, że muszę z nimi iść, a właściwie nie iść, bo oni mnie z sobą zabiorą, wyniosą, mam spokojnie leżeć. Tylko rękę mam pokazać, żyłę – „o jaka ładna żyła!” – bo coś mi wstrzykną, coś na uspokojenie. Tak będzie łatwiej, a dla mnie przyjemniej – bezboleśnie i bezstresowo. Jak to we śnie.

Wkłuwają mi się więc w piękną żyłę. Czuję tylko rozchodzące się po całym ciele przyjemne ciepło, może w pewnej chwili gorąco. Rzeczywiście jest mi dobrze, nawet bardzo dobrze, wszystko nagle przestaje mnie interesować. To jakiś inny rodzaj lewitacji. Słyszę tylko: „Nie można go już samego zostawiać w domu, bo to dla niego niebezpieczne. Dla sąsiadów też, bo w domu ma przecież ma gaz nigdy nie chciał, żeby założyć mu kuchenkę na prąd”. Gdzieś w tle miga mi twarz Marka, lub Marca, albo Marcusa – sam już nie wiem jak on się nazywa. „Nie sądzę, by mówili o mnie – myślę. – To chyba niemożliwe, choć... akurat kuchenki na prąd też nie mam”.

Potem jedziemy na sygnale. Jakimś dziwnym pojazdem, który bardziej przypomina mi statek kosmiczny niż normalny samochód. Leżę na noszach, nic nie czuję i jest mi jeszcze lepiej niż przed chwilą. Znów słyszę jakieś słowa: „Teraz będzie długo spał. Obudzi się dopiero jak będziemy na miejscu.” „To znów o mnie? – zastanawiam się chwytając się ostatnich kęsów przytomności. – No chyba nie, bo czy można spać wewnątrz innego snu – jakby jedno pudełko było w drugim?”

Później jak w tym śnie budzę się ze snu numer dwa (a jednak jest to możliwe!) leżę w łóżku które jest prawie takie samo jak moje, domowe. Ale to nie moje mieszkanie, nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości – okna są znacznie wyższe, jaśniejsze, a drzwi nie ma, jest tylko wyjście bez skrzydła na coś, co jest chyba ciemnym korytarzem. Wszystko pachnie jakby lizolem, jakby lekarzem, sterylnością, choć nie do końca szpitalem. Obok jest chyba jeszcze jedno łóżko, na którym ktoś leży, albo raczej zalega.

„Sprowadzili mi kogoś do towarzystwa, żeby się nie nudził? – myślę. – Może i dobrze? Może od dawna należałoby tak zro-

bić? Wtedy ktoś inny mógłby odbierać telefony, albo otwierać drzwi, jakby ktoś wejść do mieszkania?” W tym myśleniu jestem jakiś strasznie ugodowy, miękki, przychylny, jakby wystraszony i chcę żeby wszystko było dobre. Chcę być układny i greczny. (Jeszcze działa zastrzyk, który mi dali zanim trafiłem do pojazdu kosmicznego?) Na pewno nie powiem tu nikomu „chuj ci w dupę”.

Wszystko stało się jakieś bardzo dziwne.

6.

Potem już nie śpię, jestem w tym nowym wnętrzu (pokoju?, sali?), które widziałem we śnie (tym drugim) i przez chwilę znów czuję się nieco zdezorientowany. Pocięsam się: „To na pewno minie”. Widzę jeszcze jakby przez mgłę. Zbliżają się do mnie dwie kobiece postaci, które – zastanawiam się – może są kimś, kto przyszedł tu za mną z drugiej strony, z tego snu, który skończył się przed chwilą, a może są kimś innym...

– To alzheimer – jedna z postaci mówi do drugiej, jakby wskazując na mnie, a tamta to odnotowuje w dużym skoroszycie.

„Jaki Alzheimer? – myślę. – Bzdura. Nie nazywam się Alzheimer, lecz Adam Krajewskim, każdy to wie. Jestem emerytowanym, zasłużonym profesorem anglistyki (stąd mogę w myślach, z dobrym akcentem, powiedzieć sobie *I had a dream*). Nie jestem żadnym cholernym Niemcem!”

Chcę to powiedzieć, zawołać, tak żeby wszyscy to usłyszeli – bardzo chcę! – ale te dwie kobiety już są przy następnym łóżku, a ja zamiast podnieść się na poduszce, żeby wszyscy mogli mnie lepiej usłyszeć i by nie mylono mnie z kimś obcym, z jakimś Alzheimerem!, znów osuwam się w mglistą otchłań snu.

ROMAN WARSZEWSKI



Dariusz Tomasz
Lebioda

POCHÓD POGRZEBOWY

Zmierzali dumnie brzegiem oceanu niosąc
na bambusowych noszach ciało
zmarłej kobiety –

nucili odwieczna mantrę życia i przemijania
krwi tętniącej w żyłach i prochu
gasnącego w ogniu

podążali rytmicznie tanecznym krokiem
jakby sunęli ku estuarium
wieczności

po raz ostatni nurzali jej ciało w błękiecie
i szarości w szumie fal uderzających
o brzegi

nie zatrzymali się ani przez chwilę
przyciągani przez
śmierć

wezvani przez rozpad
czerwień i zimny blask
żaru

szli dumnie brzegiem Oceanu Indyjskiego
jakby czas zgasł jakby okryło
ich sari nieistnienia

jakby ostatnie słowo
uwięzło w ustach
bogini
Kali

Puri 2019

PIERWSZE SPOJRZENIE NA INDIE

Nowy dzień otworzył się nagle
jak wilgotny kielich
storczyka

z gęstej ciemności wyłoniły się
pofalowane pasma
brązowych gór

rozświetlona mgła wypełniła
metaliczny przestwór błękit
spłynął łagodnie na dno
parującej bieli

siny świt nazwał pierwsze
spojrzenie na płaskowyż
Dekan

za oknem samolotu puszysty
krem chmur rozpląnął się
w amarantowej chwili

żar ciemności zgasł
bezpowrotnie
bezlitośnie

bez astralnego
jęku

NAD INDIAMI 2019

* * *

Otulina lśniącej ciszy
zgasła w menisku
nocy

mrok wniknął
w ostatnią ciarękę
czerni

idąc przez świat
uważnie patrz
dookoła

wdychaj aromat
sinej przestrzeni

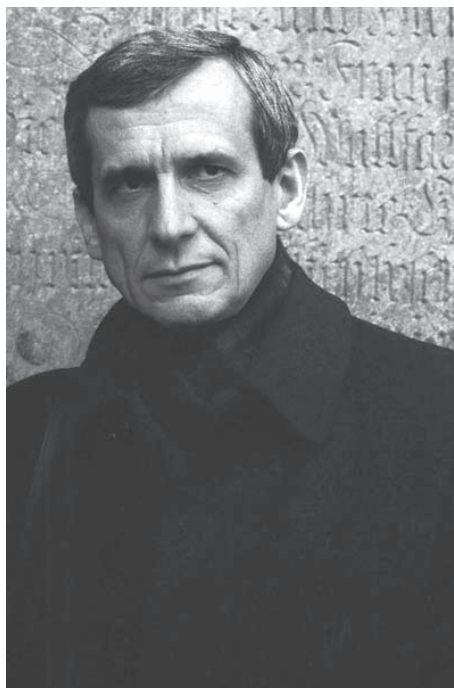
rozkoszuj się blaskiem
roszącym się na
obrzeżach
świtu

bądź sobą i w sobie
wciąż od nowa

stawaj się nową
inkarnacją
dnia

DELHI 2019

Zbigniew Kresowaty



Profesor Stefan Bednarek kulturoznawca z Uniw. Wrocławski, foto ze zbiorów prywatnych.

Zbigniew Kresowaty – Jest pan teoretykiem i historykiem kultury, był pan profesorem Uniwersytetu Wrocławskiego i dyrektorem Instytutu Kulturoznawstwa. Był pan w latach 2004–2007 przewodniczącym Komitetu Nauk o Kulturze PAN, a od 2009 do 2012 prezesem Polskiego Towarzystwa Kulturoznawczego. Tak się składa, że w chwili obecnej przygotowuję kolejną książkę z cyklu rozmów z koryfeuszami kultury i sztuki; jest to III tom zapisu spotkań z osobami, które dużo wiedzą o kulturze polskiej i nie tylko, są też osobami opiniotwórczymi, z dużym doświadczeniem i dorobkiem. Wysły już dwa zbiory takich rozmów: *Między Logos a Mythos* oraz *Między Mythos a Sacrum*. Gromadzę teraz wypowiedzi do III części, która będzie nosiła tytuł: **Między Sacrum a Profanum**, wyłania się tu pewna myślowa sekwencja w tytułach, a cienka linia między sacrum a profanum kusi do dyskusji...

Uczestniczył pan w bardzo wielu różnych działaniach kulturalnych i badaniach kulturoznawczych od chwili powstania studiów kulturoznawczych w Polsce. Powołanie studiów kulturoznawczych we Wrocławiu było swoistą rewolucją, a dzięki profesorowi Pietraszce, który rozniecił tę rewolucję, doszło do utworzenia nowego kierunku studiów uniwersyteckich oraz do uczynienia kultury przedmiotem badań naukowych, co spotkało się wówczas ze sprzeciwem marksistów. Skądinąd wiadomo, że posiadający w PRL-u monopol na głoszenie prawdy marksiści nie chcieli do tego dopuścić, a kulturoznawców bardzo nie lubili. Nie zdołali jednak zapobiec powołaniu kierunku i powstrzymać nowoczesnych, wolnych od ideologicznych nacisków badań nad kulturą. Te badania pozwoliły poszerzyć zakres zainteresowań akademickich o najnowsze kierunki światowej humanistyki: neopsychoanalizę, semiotykę, strukturalizm, antropologię kultury, nowe kierunki sztuki, literatury, teatru czy muzyki, a przede wszystkim nauki obejmującej całość problematyki kultury. Taką na-

K T Ó R Ę D Y D O K U L T U R Y ?

(rozmowa z prof. Stefanem Bednarkiem, teoretykiem i historykiem kultury z Uniwersytetu Wrocławskiego)

ROZMOWA

ukę zaprojektował prof. Stanisław Pietraszko i na niej oparł program eksperymentalnych studiów kulturoznawczych (bo „w ramach eksperymentu” zezwolono na ich utworzenie). Uznał on, że Horyzontem kultury, który spina ją w całość – ze wszystkimi jej dziedzinami i aspektami – są wartości. I że wiedza o tak rozumianej kulturze, uwzględniająca także dorobek innych gałęzi humanistyki i nauk społecznych, może być kluczem do zrozumienia świata, bo klucz, a właściwie wytrych, jaki proponowali marksiści, okazał się mało przydatny.

- Czy może pan opowiedzieć, jak to faktycznie było z tą rewolucją? - To budzące lęk słowo oznacza radykalne i gwałtowne przeobrażenie rzeczywistości, czy odegrał pan w tym przedsięwzięciu także ważną rolę?

prof. STEFAN BEDNAREK – Nie mam poczucia, że należałem do grona rewolucjonistów zmieniających porządek tego świata. Kto znał prof. Pietraszkę, ten wie, że i on nie miał temperamentu rewolucjonisty, był to bowiem człowiek niezwykle spokojny, zrównoważony, unikający konfliktów, za to konsekwentnie, rozważnie i drobnymi krokami zmierzający do wytyczonego celu. Ale ma pan rację – to była swoista rewolucja w myśleniu o rzeczywistości społeczno-kulturalnej, a także rewolucja w kształceniu uniwersyteckim. A gdyby spojrzeć na to z perspektywy marksistowskiej i wyrazić to w marksistowskim języku, to można powiedzieć, że wszelkie rewolucje poprzedza sytuacja rewolucyjna, czyli taki stan rzeczy, który nieuchronnie prowadzi do podejmowania prób radykalnej zmiany.

I właśnie taką sytuację mieliśmy u schyłku lat sześćdziesiątych, kiedy to gołym okiem widać już było, że materializm historyczny zjada własny ogon, a jego wyznawcy na okrągło powtarzają wytarte frazesy, broniąc istniejącego porządku politycznego, który mógł się utrzymać tylko dzięki tajnej i jawnej przemocy, a podtrzymywał go także strach przed interwencją potężnego sojusznika, podobną do tej, której w 1956 roku doświadczyli Węgry, a w 1968. Czechosłowacja. U nas ta interwencja mogłaby się okazać nieporównanie krwawsza. Na szczęście nie doszło do niej, jednak ciężka atmosfera schyłkowego czasu ery Gomułki stawała się nie do zniesienia, także na wyższych uczelniach, gdzie po stynnych wypadkach marca 1968 wprowadzono obowiązkowe nauczanie przedmiotów ideologicznych, „punkty za pochodzenie” i oślawione „praktyki robotnicze”.

Byłoby jednak grubym nadużyciem twierdzenie, że wspomniana przez pana rewolucja naukowa została wywołana przez sytuację polityczną w tym właśnie momencie. Za sytuacja nie pozostała oczywiście bez związku z powstaniem nowej dyscypliny, ale miała raczej wpływ na opóźnienie w powstaniu kulturoznawstwa niż na zainicjowanie zmian. Koncepcja nowego kierunku studiów powstawała stopniowo kilka lat

wcześniej. Najpierw prof. Pietraszko proponował adeptom polonistyki nadobowiązkowe, nieobecne w ministerialnych planach studiów konwersatorium z wiedzy o kulturze współczesnej, aby mogli poznawać procesy i zjawiska historycznoliterackie w szerszym kontekście kulturowym, następnie doprowadził do zorganizowania międzywydziałowego dwuletniego studium kulturalno-oświatowego, uzupełniającego program studiów podstawowych, co pozwalało rozszerzyć profil zawodowy absolwentów wydziałów humanistycznych uniwersytetu (ale w tym studium mieliśmy słuchaczy także z innych wydziałów). Warto przy tym zauważyć, że program studium kulturalno-oświatowego przystosowano do ówczesnego modelu organizacji życia kulturalnego, natomiast kiedy w 1972 r. inaugurowaliśmy pierwsze w Polsce studia kulturoznawcze, ten model był już przestarzały i wprowadzić uwzględniliśmy go w programie, ale role zawodowe przyszłych absolwentów kulturoznawstwa widziano już szerzej i nowocześniejszej. I to się sprawdziło: kulturoznawcy łatwo znajdowali pracę w nauce, oświacie, animacji społeczno-kulturalnej, czasopiśmie, instytucjach artystycznych, byli też przygotowani do pracy w zawodach, które dopiero kształtowały się u nas, co stało się widoczne po transformacji ustrojowej: w marketingu i reklamie, nowych mediach, w samorządach lokalnych i w trzecim sektorze. Sprzyjał temu szeroki profil programów nauczania i nacisk na kształtowanie postawy ciągłego poszukiwania, uczenia się, podejmowania nowych wyzwań. W pierwszych latach mieliśmy zresztą bardzo dobrych studentów; kierunek był oblegany przez kandydatów z całej Polski, egzamin był trudnym konkursem i aby go wygrać, trzeba było pokonać 15-20 konkurentów do jednego miejsca, a miejsc mieliśmy niewiele, najpierw 20, potem 30, bo to był kierunek eksperymentalny, a władzy za bardzo nie zależało na poszerzaniu eksperymentu. Dość szybko się jednak okazało, że do poszerzenia dojść musi, bo do wrocławskiej inicjatywy dołączył wkrótce Uniwersytet im. A. Mickiewicza w Poznaniu, potem Uniwersytet Łódzki, Śląski, wreszcie Warszawski i Jagielloński.

Trzeba też pamiętać, że refleksją nad kulturą była intensywnie obecna w ówczesnej humanistyce polskiej, choć nie było jeszcze instytucjonalnego kulturoznawstwa. Bo nie da się mówić o ludzkim świecie bez przywołania kategorii kultury. Toteż rozwijano wiedzę o kulturze w obrębie filozofii, socjologii, literaturoznawstwa, etnologii, psychologii, historii. Mieliśmy w Polsce wybitnych znawców kultury, którzy w obrębie swoich macierzystych dyscyplin prowadzili nad nią zaawansowane badania: we Wrocławiu był Czesław Hernas i Aleksander Bereza, w Poznaniu Jerzy Kmita i Krystyna Zamiara, w Warszawie Antonina Kłoskowska, Andrzej Siciński, Marcin Czerwiński, Andrzej Tyszkowski, Aleksander Wallis i wiele nazwisk trzeba by tu jeszcze wymienić. Zastugą Pietraszki było, że odważył się stworzyć perspektywę po-

→ nad- i międzydyscyplinową, aby spojrzeć na kulturę jako szczególny wymiar ludzkiego świata i szukać jej swoistości obecnej we wszystkich jej dziedzinach i we wszystkich przejawach. Odważył się także na rzuć wyzwanie skostniałym strukturom uniwersyteckim i utrwalałom podziałom nauki na tradycyjne dyscypliny. W tym sensie była to rzeczywiście rewolucja.

Z.K. Przywołam pewien przykład: Profesor Janusz Degler, bardzo przyjazny tej inicjatywie od samego początku, mówił tak: ... dzięki profesorowi Pietraszce setki humanistów odnalazło swoją drogę życiową. Dzięki jego inspiracji sam poświęciłem się badaniom nad twórczością Witkiewicza – Witkacego. Profesor Pietraszko był dla mnie mistrzem, przewodnikiem, naukowym autorytetem. Kiedy odwiedziłem prof. Janusza Deglera, witkacologa światowej sławy, w jego siedzibie w Muzeum Teatru we Wrocławiu, w ubiegłym roku, także prosząc o rozmowę, zdałem sobie sprawę z ogromu jego pracy, gdyż właśnie wydano już 24. tom dzieł Witkacego, artysty wybitnego i prekursorskiego w kulturze XX wieku. Zdałem sobie sprawę, że wielu doświadczonych uczonych, takich jak prof. Degler, także pracuje nad wielkimi dziełami, dzięki czemu powstaje kulturowa samowiedza społeczeństwa. Zatem mam pytanie: jak to się dzieje, jak „robi się” wiedzę o kulturze, jak w tym ogromnym lesie „rzeczy kulturalnych” się poruszać, żeby nie pobyć?

S.B. No właśnie, to najtrudniejsze pytanie, stajemy bowiem wobec ogromu zjawisk, procesów i rzeczy, które składają się na kulturę, a jednocześnie trzeba pamiętać, że kultura to nie tylko „dziś”, ale też wielkie dziedzictwo przeszłości, gromadzone od czasów prehistorycznych i do dziś jakoś żywe, choć nie na dawny sposób, nie we wszystkich obszarach i w niejednakowym stopniu. Od tego dziedzictwa uciec nie można, nawet jeśli go kontestujemy, czy zapominamy lub wydaję się nam, że go nie mamy w pamięci. Ono tkwi w nas w tajemniczy sposób i sprawia, że możemy się porozumiewać, rozumieć wzajemne intencje, odczuwać wspólnotę z innymi ludźmi itd.

Nikt, żaden pojedynczy człowiek ani też żadna grupa najbardziej uczonych badaczy nie jest w stanie ogarnąć całości kultury. Co więc mają na myśli kulturoznawcy, kiedy mówią, że zajmują się kulturą? I tu może właśnie trzeba mówić o rewolucyjności pomysłu Pietraszki, pomysłu zresztą bardzo prostego: kulturoznawca powinien zajmować się kulturą. Brzmi to tautologicznie, ale ma głęboki sens, pozwala bowiem wyłączyć z pojęcia kultury wszystko, co kulturą nie jest. W niedługich dziejach słowa „kultura” było ono pojmowane bardzo inkluzywnie – włączano do niego niemal wszystko, co człowiek stworzył w sferze materialnej i duchowej: domy, drogi, sprzęty, maszyny i urządzenia, kościoły, wierzenia, rytuały, zwyczaje i obyczaje, kuchnię, moralność, folklor, muzykę, malarstwo i rzeźbę, literaturę, teatr i film, cyrk, ale też szkołę, naukę i uniwersytety i tak dalej, i tak dalej...

Każda z tych sfer ludzkiej aktywności oraz rzeczy, które tej aktywności są rezultatem, w jakiś sposób są z kulturą powiązane, zależne od niej i wpływające na nią, ale – powiada Pietraszko – do kultury nie należą. Kultura, można powiedzieć, „przenika” wszystko, co należy do ludzkiego świata, ale nie jest tym wszystkim. Zaproponował więc Pietraszko bardzo ekskluzywnie pojmowanie kultury: wyłączył z niej wszystkie ludzkie zachowania oraz wytwory tych zachowań, pozostawił natomiast to, co jest

regulatorem naszej aktywności i co ustala jej prawa, zasady, wzorce. Za ów regulator uznał system wartości. Cokolwiek robimy, robimy to, żeby osiągnąć jakiś cel, a cel jest wyznaczony przez horyzont wartości. I stąd jego bardzo krótka definicja kultury: „jest to sposób życia ludzi podług wartości”. Warto zwrócić uwagę na słowo „sposób” – czyli nie konkretne, nawet najbardziej wyrafinowane zachowania, a ich wzory, rodzaj matryc, schematów postępowania, które zapewniają osiąganie celów zgodnych z wartościami, jakie akceptujemy, wyznajemy i realizujemy. W ten sposób możemy analizować wszelkie ludzkie aktywności i ich rezultaty, pamiętając tylko, że wszelkie działania motywowane są nie tylko wartościami, ale także pożytkami, korzyściami, powinnościami i normami społecznymi. Na rzeczywistość ludzkiego świata składa się bowiem, oprócz kultury, także natura, cywilizacja, społeczeństwo i inne sfery. Koncepcja Pietraszki pozwala rozróżnić te sfery i uwalnia zakres pojęcia kultury od aspektów odnoszących się od tych innych obszarów ludzkiego uniwersum. W rzeczywistości te sfery są ze sobą gęsto splecione i wzajemnie uwarunkowane, ale ich analityczne rozróżnienie pozwala na pochwylenie swoistości oraz zakresu autonomii każdej z nich.

Z.K. Wraz z powołaniem studiów kulturoznawczych powstała inicjatywa napisania przez zespół autorów i wydania *Encyklopedii wiedzy o kulturze*. Czy ona powstała? Wiadomo, że jeżeli chcielibyśmy, aby taka *Encyklopedia Wiedzy o Kulturze* służyła pokoleniom, to praca nad nią wymaga musi zaangażowania całego środowiska humanistycznego w Polsce, mówiła o tym prof. Anna Zeidler – Janiszewska w Instytucie Kultury i Komunikowania SWPS w Warszawie, zajmująca się filozofią kultury i metodologią badań kulturoznawczych. Co w efekcie się stało, czy mamy taką *Encyklopedię*?

S.B. Niestety, nie. Na początku lat siedemdziesiątych powstało kilka tomów próbnych pod wspólnym tytułem *Encyklopedia kultury polskiej XX wieku*, bardzo ciekawych, obiecujących i napisanych przez wybitnych specjalistów z Antoniną Kłoskowską na czele. Wydawało je powołane przez Fundację Uniwersytetu Wrocławskiego Wydawnictwo Wiedza o Kulturze, ale rozmiary dzieła przerosły możliwości zespołu wykonawców. Był to zresztą trudny czas transformacji ustrojowej i gospodarczej, dla inicjatyw podjętych jeszcze w PRL-u nie był to dobry okres. Ale idea takiego wielotomowego kompendium wiedzy o kulturze ciągle się odradza. Ostatnio z inicjatywą powrotu do niej wystąpił prof. Ryszard Zajęczkowski z KUL-u. Trwają – już dość długo – rozmowy koncepcyjne i programowe, ich końca nie widać, a ponadto takie dzieło musiałoby mieć potężny budżet i cały pułk wykonawców. Klimat dla takich przedsięwzięć wydawniczych na obszarze nauk humanistycznych nie jest zbyt korzystny, dziś łatwiej znaleźć miliony na badania techniczne niż setki tysięcy na humanistykę.

Trzeba by się też zastanowić, czy w dobie internetu, wielkich baz zdigitalizowanych źródeł i opracowań byłoby potrzebne przygotowanie i opublikowanie tak potężnego dzieła. Dziś właściwie cała przestrzeń internetu jest jedną wielką encyklopedią. Co prawda, trzeba w niej umieć się poruszać, a zwłaszcza umieć odróżnić ziarno od plewy, ale przecież tam jest już wszystko. A jeśli czegoś nie ma, to – jak niektórzy twierdzą – na pewno nie istnieje. Mamy więc magazyn, co prawda nieuporządkowany i wielopiętrowy, ale mamy też możliwości niemal

nieograniczonego zeń korzystania.

Jestem natomiast zwolennikiem ujęć autorskich, czyli syntetycznego, wielostronnego opisu kultury przez jednego autora, który przyłoży do niej swoją miarę, swoje założenia teoretyczne, swoje kryteria włączenia jednych treści, a odrzucenia innych, a przede wszystkim użyje własnych narzędzi analitycznych i interpretacyjnych, by za ich pomocą stworzyć oryginalne ujęcie, które pozwoli ukazać rzeczywistość przeszłej i współczesnej kultury w świetle teorii dotychczas niedostatecznie wykorzystanej lub całkiem nowej. A takich teorii i perspektyw metodologicznych mamy dzisiaj wiele. Niech więc ze sobą konkurują, niech się uzupełniają, niech pozwalają lepiej zrozumieć coraz bardziej skomplikowany świat człowieka i kultury.

Na gruncie historii mamy dziś tak świetnie rozwijającą się syntezę dziejów Polski pisaną przez prof. Andrzeja Nowaka, ale i w kulturoznawstwie są już jaskółki takich ujęć, które mogą zastąpić postulowaną *Encyklopedię Kultury*. Niedawno miałem okazję czytać jako recenzent wydawniczy tysiącstronicowe dzieło prof. Rafała Augustyna, stanowiące przegląd problematyki kulturoznawczej rozwijanej w kilkunastu dyscyplinach.

Z.K. A co zmieniło się od roku 1989? W kulturze zachodzą znaczne zmiany, nowe koncepcje, nowe zjawiska... Pan też tutaj omawiał tę tematykę, i to chyba szeroki temat, może chociaż w przybliżeniu wspomni pan o najważniejszych aspektach? - Nafknąłem się w pańskich pracach na pojęcie mnemotoposu i wykorzystanie go w opisie mnemotopiki polskiej. Na czym polega ta nowość?

S.B. Nowa jest tu terminologia i teoretyczne podejście, ale problem podejmowany był od dawna, bo jest dla wiedzy o kulturze zasadniczy. Chodzi tu bowiem, najogólniej mówiąc, o pamięć. Niektórzy wręcz uważają, że kulturę należy definiować jako zbiorową pamięć społeczności. Bez pamięci społeczeństwo, jak i jednostka, nie tylko traci tożsamość, ale też i możliwość funkcjonowania, dezintegruje się i zatracą w dryfowaniu po przestrzeni czasu, której nie rozumie. Już w społeczeństwach prehistorycznych dbano o zachowanie w pamięci zbiorowej wszystkiego, co dla społeczności ważne: mity o pochodzeniu, przełomowe wydarzenia itd. Dlatego też wyznaczano osoby, których zadaniem było przechowywanie w pamięci wydarzeń istotnych dla funkcjonowania grupy. W Grecji przynajmniej do szóstego wieku p.n.e. istnieli urzędnicy zwani *mnemones* („zapamiętywacze”), do których zwracano się, by się zgali do swej pamięci żeby rozstrzygać spory prawne, ustalali chronologię, genealogię rodów etc. Ich późniejszych odpowiedników w dawnej Anglii zwano podobnie: *remembrancers*. Dziś ich funkcje pełnią pamiętniki, kroniki, archiwa, bazy danych, spisane, zdigitalizowane, ale też zwielokrotniane w masowych reprodukcjach teksty kultury. W naszych umysłach pozostają rzeczy najważniejsze, decydujące o naszej tożsamości indywidualnej i zbiorowej oraz o naszych relacjach z innymi członkami społeczeństwa.

Koncepcja mnemotoposów nie sięga tak daleko. Dotyczy fenomenu znanego też jako „miejsca pamięci”. Unikam tej nazwy ze względu na jej nieostrość i potocznie przypisywane jej znaczenie. W języku potocznym często nazywamy miejscami pamięci pewne możliwe do zlokalizowania na mapie punkty w przestrzeni, związane z wydarzeniami niecodziennymi, przełomowymi, ważnymi z różnych względów. Punkty te

często w terenie są zaznaczone specjalnymi upamiętnieniami: pomnikami, tablicami pamięci, muzeami itp. Często też widzimy na tablicach informacyjnych napis „miejsce pamięci” o ofiarach, męczennikach, żołnierzach; rzadziej o chwilach chwwały, zwycięstwa, sukcesu. Od takich konotacji uciekam właśnie w terminie „mnemotopos”, rezerwując go nie dla nazwania miejsca w przestrzeni, ale właśnie w umyśle i rozumiejąc go jako zespół wyobrażeń i wszelkich treści związanych z tym, co z przeszłości uznane zostało za ważne, konstytuujące nas i naszą świadomość zbiorową. A tam są nie tylko punkty geograficzne, ale także dłuższe procesy, osoby, dzieła, idee. Ważnym dla Polaków mnemotoposem z pewnością jest Pan Tadeusz, św. Jan Paweł II, Jagiełło, Panorama Racławicka i dziesiątki innych fenomenów skupionych wokół ważnych wartości i układających się w mozaikę rzeczy najważniejszych. Mnemotoposy powstają w naszych umysłach i pozostają w nich niezależnie od tego, czy byliśmy świadkami jakichś wydarzeń i czy były to wydarzenia rzeczywiste, czy fikcyjne, czy znalazłmy wybitną postać, czy poznaliśmy jakieś dzieło. Ich trwałość zapewnia bowiem to, iż ich nośnikami są wszelkie teksty kultury, one sumują się w dziedzictwie narodu jako pamięć kulturowa.

Przetestowaliśmy wraz z prof. Bartoszem Korzeniewskim tę koncepcję, zbierając w grubym tomie analizy jednego mnemotoposu. Wydany przez Narodowe Centrum Kultury w 2014 r. tom nosi tytuł *Polskie miejsca pamięci. Dzieje toposu wolności* i miał inicjować dłuższą serię prac sumujących wieloletnie badania dużego zespołu ludzi. Niestety, NCK nie było zainteresowane jej kontynuacją, pracujemy więc w małym gronie nad skromniejszymi przedsięwzięciami, ale co z tego wyniknie, Pan raczy wiedzieć.

Z.K. Trafili mi w ręce bardzo interesujące szkice dedykowane profesorowi Stefanowi Bednarkowi „SNY W KULTURZE” (red. I. Topp, P. J. Fereński, R. Nahirny) wydane przez Korporację Polonia 2014 w Warszawie. To propozycja kolejnych badań? - czy może jakiś ułkon kulturalny w pana stronę? - albo nowe zagadnienia, które należy „odespać” czyli zastanowić pana nad ich istotą? - Może pan coś o tym powiedzieć? - jak pan to przyjął?

S.B. To była niespodzianka, jaką sprawili mi koledzy z Instytutu na moje pożegnanie z uczelnią. Nie było tajemnicą, że od kilku lat intrygowało mnie pytanie: czy kulturoznawca może się czegoś dowiedzieć z marzeń sennych? Poświęciłem nawet kiedyś semestr zajęć z jedną grupą studentką na poszukiwanie odpowiedzi na to pytanie. Rezultatem tych zajęć był wydany własnym sumptem przez studentów *Sennik kulturoznawczy* - zabawna książeczka, z której można się było dowiedzieć, że studia kulturoznawcze mają też swoją wersję oniryczną. Okazało się - co przecież nie było wielką rewelacją - że członkowie grupy osób przeżywający na jawie pewne wspólne doświadczenia wracają do nich w swoich snach, a te powroty bywają dziwaczne, śmieszne, straszne i wprawdzie nie da się z nich ułożyć żadnej sensownej całościowej narracji, to składają się one na swoistą wspólnotę marzeń sennych tej grupy. Pojawiają się też w nich realia ze świata „jawy”, choć potoczne w surrealnych konfiguracjach. Był to więc rodzaj zabawy, ale skłaniała ona do dalszej refleksji i pytań bardziej generalnych: czy można sobie wyobrazić taką wspólnotę snów w wielkiej skali, takiej na przykład,

jak naród? W końcu wszyscy Polacy żyjący w PRL-u żyli w podobnych warunkach, mieli podobne problemy, kłopoty, radości i tak dalej. A jeśli w snach przeżywamy to, co się nam wydarza na jawie, to Polaków powinno łączyć jakieś podobieństwo ich snów. I może być ciekawe, w jaki sposób to podobieństwo się ujawni.

Od kilkunastu lat zbieram, notuję, kompletuję sny Polaków. Oddzielałam w nich to, co w ich treści pochodzi z jednostkowych biografii osób śpiących, bo większość snów może być zrozumiała tylko dla śniących, wyławiam natomiast to, co jest rezultatem doświadczenia zbiorowego. Było w historii Polski ostatnich kilku dziesięcioleci wiele takich wydarzeń, które musiały utrwalić się w zbiorowej świadomości, ale też podświadomości. Opublikowałam już kilka artykułów na ten temat, kompletuję książkę, która może się nazywać *O czym śnił mieszkaniec PRL-u?* Jest to temat fascynujący, choć trudny, a poza tym ta książka jest spychana na dalszy plan wskutek innych zobowiązań, które mi zajmują czas. Niech pan nie wierzy, że na emeryturze ma się więcej wolnego czasu! Ma się go znacznie mniej, a ponadto deprymuje świadomość, że ucieka on coraz szybciej.

Z.K. Studiował pan z prof. Janem Miodkiem, Markiem Garbala, Marianną Bocian. Trudny to był czas, powiedzmy jasno, czas marksizmu i sensu - stricte komunistycznych rządów, czego nie znosiłiscie, a najbardziej poetka Marianna Bocian, zwłaszcza gdy wymawiała nazwę Uniwersytetu „im. Bolesława Bieruta”. Widziałem to wiele razy jak emanowała wtedy jej twarz, etc. Więział ją później za jakiś czas, po studiach, eS-Becja na tzw. „tapetę” i dokuczali jej, bo Marianna odnosiła się jawnie z pogardą do wszelkich insynuacji z ich strony, że niby w jej mieszkaniu trwają jakieś spotkania, że pisze coś nie po myśli rządzącej komuny, etc. A odniosła się do tego, (jak pan wspomina, w książce wspomnień o poetce) w wydanym poza cenzurą w 1978 roku tomie, gdzie napisała:

tym, co pisali donosy z imprez, na których nie byłam
tym, którzy wyzbyli mnie pracy
za bycie poetą...

(Zyciorys. Z TOMU ŚCALONE Z ROZKŁADU)

- Wówczas skarżyła się znajomym i przyjaciółom, iż jest śledzona, podsłuchiwana, że kontrolują jej korespondencję, a niektórzy byli skłonni (jak pan napisał dalej w tej wspomnieniowej książce po latach, wydanej niedawno, jako jej bliski przyjaciel) podejrzewać ją, że ma urojenia. A tak nie było. Pan był jakby najbliższy niej. Notabene wspaniale, że doprowadził pan po latach, po jej odejściu, do nadania Jej imienia **Biblioteki Publicznej na Nowym Dworze** we Wrocławiu - Robi pan wszystko, żeby ją wszędzie gdzie trzeba nobilitować, choćby po latach. To też dobry przypadek bardzo ciekawy jak domniamać należy dla kulturoznawców - Wspomina pan, że wówczas w 1976 roku „bezpieka” zaożyła jej teczkę (do której po latach miał pan wgląd)... Z tego co wiedziałem od niej - dwa razy przychodzili po nią. Znałem ją, (jako młodszy kolega od 1980 roku) i wiele mi też później o tym opowiadała, bo byłem zaangażowany w Regionie... W teście znalazły się wówczas między innymi sprawozdania konfidentów, i jest tam taki zapis: **Sytuację w literaturze określa jako podobną od roku 1949, kiedy tak samo istniała bezpardo-**

nowa ingerencja partii w sprawy warsztatu twórczego. Twierdzi, że pisze „do szuflady”, ponieważ zdaje sobie sprawę z tego, że to, co pisze, nie ukaże się na rynku wydawniczym (...) zna przyjaciół, którzy posiadają kontakty z „Kulturą” paryską i mogą udzielić pomocy w zakresie publikacji jej twórczości na Zachodzie. Rozpowszechnia też informacje, jakoby podpisała memoriał w sprawie projektu Konstytucji, bo jak stwierdza „ktoś w tym kraju musi mieć odwagę” (s.29).

- Jest tu wszystko jasno napisane, ale czy mógłby pan coś jeszcze dodać, może jakaś przygoda? - szerzej o informacji o konspiracyjnych spotkaniach u Marianny w domu?

S.B. Chyba nie brałem udziału w żadnych konspiracyjnych spotkaniach w domu Marianny, nie miałem też żadnych przygód związanych z działaniami bezpieki. Nie mam dobrych powodów, by się szczerzyć jakimiś kombatanckimi wspomnieniami. Zdarzało mi się pisywać do wydawanej przez Lothara Herbsta „Obecności”, ale nie były to gesty szczególnej odwagi, wynikały raczej z odruchu. Większe zasługi miała w tym zakresie moja ś.p. Żona, ale i ona nie rościła z tego powodu pretensji do przekuwania tej aktywności na profity czasów transformacji.

Z.K. Panie profesorze bardzo dziękuję za tę rozmowę, a zacytowałem ją właśnie „Którędy do kultury?”. Teraz widzę, że sie nie myliłem w tytule, gdyż nakreślił pan dokładnie i bardzo zrozumiale jak powstało kulturoznawstwo, cele i zasadność jego potrzeby. To bardzo ciekawy materiał i wiedza ogólnie pojęciowa problematyki kulturoznawstwa, w czym uczestniczył pan czynnie.

S.B. Dziękuję bardzo za interesujące pytania i danie mi okazji do snucia wspomnień o trudnych czasach, których chyba nie zmarnowałem.

- ROZMAWIAŁ ZBYSZEK KRESOWATY



Zbigniew Szczepanek

Grodzice St.
Z. Szczepanek



Anna Luberda-Kowal

Urodzisz się, Ryfka. Moja w tym głowa.

Sodówka na Szerokiej pod dwudziestym szóstym
smakowała w tamte rozgrzane godziny,
zanim strach zaschnął w gardle.
Zadeptane zdjęcia z rozdartych walizek.
Kobiety ze wsi, zawsze milczące,
miały historie do odkupienia.
Zgarbiony starzec z workiem na plecach,
przecięty w pół zagięciem fotografii.

Mówił do niej: *Ty się, Ryfka, nie martw.
To boli. Potem nie będziesz już sama.*

Jeszcze podnoszę kolejną macewę.
chodniki Szerokiej kiedyś przestaną krzyżeć.

Zniknąć miasto.
Sumienie między bajki włożyć.

za ścianą cisza

miała pochmurne oczy ciepłe dłonie pachnące cynamonem
zdejmowała nam klucze z szyi wręczając ryż z jabłkami
miała ślepą kuchnię i syna gdzieś daleko

z naszą dorosłością zamknął jej się świat
w blokowym spacerunku podnosząc bezprzymiotne oczy
pokazywała niebu swoje skrzywdzenie
chodziła wzdłuż muru krzycząc jego imię
w ręce zawsze garnuszek z mlekiem może łzami

nie pamiętam jej głośnego śmiechu
tylko stalowy kolor chmur pod powiekami

niedomknięta

*opowiem ci bajkę na sen
tylko jedną
żeby na poduszce zapachniał tatarak...*

przyszła jakby zawsze była we mnie
przez niedomkniętą furtkę
nie poruszając niczego

*rozplatała język na brzegu
woda rozpuściła jej sól
przyjęła skargi
odwzajemniła szept pluskiem
i nie było już niczego więcej
nad wieczór
i smutek odchodzący*

czułem ją powietrze jaśniało iluzją
rozrzedzał się czas
wszystko co nie było moją nocą moim dniem
czyste łaknienie

*jeszcze faluje tatarak
skrzyp furtki zwodzącej pomostem*

ulica Świetlickiego

przecież mijam pana niedokładnie
nie przystaję z czerwoną torebką
prosząc o próbkę pisma jak w banku
czasem jest pan z suką
czasem ze śledziem
najczęściej z toastem
nad kontenerem z przeszłością
wyssaną z kamienicy

nie czytuję pana
lecz badam pana wpływ
na moje cokolwiek
taka sucha od niechcenia
wymiana potoczności

otwieram kolejny tomik
i z karty tytułów
wybieram porcję bólu
z kacem
ze śledziem
lub bez

Anna Luberda-Kowal

Poetka i tłumaczka języka angielskiego z krakowskiego Kazimierza.

Od 2013 publikuje wiersze na portalach literackich (poema.pl, liternet.pl, poemax.pl, osmepietro.pl) oraz fb (fanpage Alga) jako Alga i Ana Mada. Zwycięzczyni, finalistka i wyróżniona w ogólnopolskich konkursach poetyckich. 2020 – I nagroda w 7 Ogólnopolskim Konkursie Poetyckim „Erotyk na krechę” im T. Stirnera. Jej wiersze można znaleźć w antologiach, almanachach pokonkursowych oraz w: e-Tygodnik Literacko-Artystyczny pisarze.pl, „Salon Literacki”, Kwartalnik Literacko-Artystyczny sZAFa; Śląska Strefa Gender; Babiniec Literacki, Internetowe Czasopismo Biblioteka Synakdochy, nowemyśli.pl.

Autorka recenzji, przekładów poezji na język angielski (Spillwords.com) i z języka angielskiego, jurorka w konkursach poetyckich, organizatorka spotkań autorskich, turniejów jednego wiersza, były redaktor portalu poema.pl, aktualnie redaktor portalu poemax.pl, i członkini Stowarzyszenia Salon Literacki od 2017 roku.

* * *

В этой комнате слышно, как ночью идут поезда
Где-то там глубоко под землёй, в бесконечном тоннеле...
Пережить бы ноябрь! Если Бог нас не выдаст, тогда
Не учует свинья, и, глядишь, не сожрёт в самом деле.

Пережить бы ноябрь – чехарду приснопамятных дат,
Эти бурые листья со штемпелем на обороте,
Этот хриплый смешок, этот горло царапнувший взгляд,
Этот мертвенный отсвет в чернеющих окнах напротив.

Пережить бы ноябрь. Увидать сквозь сырую пургу
На январском листе птичьих лапок неровные строчки,
Лиловатые тени на мартовском сизом снегу,
Послабленье режима и всех приговоров отсрочки.

Пережить бы ноябрь... Ночь ерошит воронье перо,
Задувает под рёбра, где сердце стучит еле-еле.
И дрожит абажур. Это призрачный поезд метро,
Глухо лязгнув на стыках, промчался к неведомой цели.

Ноябрь 2005.

* * *

Tutaj w pokoju usłyszysz nocne pociągi, ich stuk,
Gdzieś tam głęboko pod ziemią nie mają końca tunele...
Tylko przetrzymać listopad! Jeśli nie zdradzi nas Bóg,
To nie wyczuje nas żadna świnia i nie zje, to wiele.

Tylko przetrzymać listopad – niezapomnianych dat grę,
No i te liście brązowe, gdzie z tyłu pocztowa pieczęć,
I ten skrzywiony uśmiezek, czyjś wzrok, co serce nam rwie,
I to śmiertelne odbicie w szerniałych oknach naprzeciw.

Tylko przetrzymać listopad. Łap ptasich nierówny ścieg
Aż na arkuszu styczniowym przez śnieżną dostrzec zawieję,
Zobaczyć liliowe cienie, gdzie szary, marcowy śnieg,
Jak się odracza wyroki, no i jak reżim się chwieje.

Tylko przetrzymać listopad... Noc pióro gawronie mnie,
Wchodzi pod żebra, gdzie bije z najwyższym wysiłkiem serce.
Jak drży abażur, jak głucho stukają koła, lecz gdzie
Cel wyznaczono tej diabłu strasznej podziemnej kolejce.

LISTOPAD 2005

PRZEŁOŻYŁ MACIEJ FROŃSKI

OMÓWIENIA

ESEJ, SZTUKA

Aleksandra Naróg

APOKALIPSA SPEŁNIONA?

(Piotr Dmochowski, *Zapiski z przedednia apokalipsy*, Wydawnictwo MD, Warszawa 2020)

Piotr Dmochowski, wieloletni popularyzator twórczości Zdzisława Beksińskiego, znany jest na gruncie literackim jako autor Zmagania o Beksińskiego, a także obszernego tomu korespondencji pomiędzy nim a malarzem z lat 1999 – 2003. Najnowszy tom dzienników marszanda jest zarówno myślową kontynuacją tamtych tekstów, jak i skierowaniem się w innym, bardziej osobistym kierunku. W znacznie większym wymiarze bowiem, niż w poprzednich tomach, na pierwszy plan wysuwa się tutaj już nie tyle osoba Beksińskiego, co charakter, wspomnienia i wielorako sfematyzowane przemyślenia samego Dmochowskiego.

Opublikowany niedawno dziennik obejmuje zapiski powstałe w 2013 roku, z niewielkim *appendixem* pochodzącym z roku 2019. To po części osobisty pamiętnik, po części literacka konstrukcja pozwalająca autorowi na podjęcie ponownego dialogu z Beksińskim, wspomnienia łączących ich zażyłości oraz konfliktów. Ponad siedemdziesięcioletni już autor, podejmuje – niejako na oczach czytelnika – decyzję o jak najszybszej publikacji swoich zapisków przygnieciony wizją „apokalipsy”. Znajduje ona swoje źródła w realizującej się na jego oczach katastrofie klimatycznej i związanej z nią poczuciem schyłku kultury. Dmochowski w aktywny sposób włącza się w dyskusję nad klimatycznym kryzysem, co można zauważyć nie tylko w publikowanym w dziennikach apelu o dążenie do „kontrolowanej fuzji klimatycznej”, ale także w internetowej działalności marszanda, poświęconej ostatnio zarówno promocji sztuki, jak i kwestiom ekologii. Swoje zapiski ilustruje zresztą w wymowny sposób obrazem Beksińskiego pt. *Apokalipsa*, w symboliczny sposób przedstawiającym petzającego w krajobrazie rozpadu pół człowieka, pół insekta.

Już samo to nawiązanie wskazuje na nieustannie obecną w *Zapiskach*... wciąż żywą i barwną fascynację Dmochowskiego malarzem z Sanoka, związaną nie tylko z twórczością Beksińskiego, ale też samą jego postacią. Ponowne odżywają w nim też echa napiętej relacji marszanda z mistrzem – echa nierozwiązanych sporów, ale też historia prób popularyzacji twórczości Beksińskiego oraz szczegółowe, emocjonalne odpowiedzi na towarzyszące jej zarzuty (zwłaszcza natury finansowej). Autor szczegółowo przywołuje w swoich zapiskach między innymi elementy korespondencji z przedstawicielami różnorodnych instytucji poświęconej między innymi próbom stworzenia stałej ekspozycji dzieł Beksińskiego. Oddziela jednak wyraźną linią refleksje poświęcone malarzowi od własnych refleksji oraz wspomnień natury osobistej, związanych z młodością, poglądami na sztukę czy politykę. Opisuje też swoje choroby – dolegliwości psychiczne i fizyczne, niepokoję i neurastenie. Towarzyszy temu często (z korzyścią dla czytelnika) cięte poczucie humoru, czasem zaś dziecinne więc zaciętrzewienie. Znaczącą postacią, często łagodzącą różne osie sporów, staje się tu też żona autora – Anna, której przygląda się z czułością, opisując historię ich małżeństwa, ilustrowaną licznymi zdjęciami z młodości Dmochowskiej. Cennym elementem wizualnym dziennika są również reprodukcje zdjęć i obrazów towarzyszące zapiskom związanym z aktualnymi wystawami odwiedzanymi i komentowanymi przez autora, często w żywy i pełen wrażliwości sposób.

Jednym z trudniejszych, choć istotnych dla badaczy twórczości Beksińskiego fragmentów książki, jest pochodzący z 2019 roku rozdział zatytułowany *Sąd nad Piotrem Dmochowskim*. Autor postępuje się

w nim dość podniosłą konwencją wieloaktowego dramatu, w którym dobiegający osiemdziesiątki Dmochowski drobniawo spisuje niemal wszystkie oskarżenia skierowane przeciwko niemu w dziennikowej formie przez Beksińskiego. Bardzo znacząca okazuje się w nich tendencja do autoanalizy – a także wiwisekcji przyjaźni z malarzem oraz przywoływania dawnych, różniących ich kwestii. To fragment niewątpliwie bardzo emocjonalny (autor, odpowiadając na oskarżenia, zarzuca malarzowi „schizofrenię” czy „tchórzostwo”), często również męczący, powielający argumenty pojawiające się w poprzednich książkach Dmochowskiego. Broni się w nim przed oskarżeniami o „oszustwo”, „kradzież” i zerowanie na twórczości malarza. Wydaje się to być symbolicznym „zamknięciem” trudności w tej relacji, a zarazem próbą obrony oraz psychologicznego przepracowania rozgoryczenia i złości na Beksińskiego. Jest to wciąż jednak monolog, na który malarz nie może już odpowiedzieć – Dmochowski kończy go mimo wszystko zapewnieniami o „stałym uczuciu przyjaźni”, podpisując się w liście do Beksińskiego jako „Twój Piotr”.

Zapiski Dmochowskiego momentami i męczą i irytują swoim patosem i ocieraniem się o grafomanię, by po chwili rozbawić, zaciekawić i skłonić do refleksji. Marszand niewątpliwie jest postacią wyrazistą i kontrolerską: nie pozostawia to mimo wszystko czytelnika obojętnym wobec opisywanych przez autora kwestii. Cały czas, pomimo tych ataków na osobę malarza, pewna pozostaje jedna rzecz – nieustanna admiraacja Dmochowskiego wobec jego twórczości. Sam autor nadaje jej popularyzacji znamiona misji, którą będzie realizował do końca – „przed spełnieniem się apokalipsy”.

ALEKSANDRA NARÓG

OMÓWIENIE

Maria Jentys-Borelowska

NAJWAŻNIEJSZA KSIĄŻKA EUROPY ŚRODKOWEJ 2020

Ach, że też my ludzie, jak leśni ptaszkanie,
Nie chcemy śpiewać razem, każdy swą melodię!

ANGELUS SILESIVS (*ANIOŁ ŚLĄZAK*)
(PRZEKŁAD ANDRZEJA LAMA)

Za taką w każdym razie uznali ją – *Moją Jugosławię* Gorana Vojnovicia¹ – członkowie jury Literackiej Nagrody Europy Środkowej ANGELUS. Wybór nie był łatwy: 131 tytułów zakwalifikowanych do konkursu, czternaście

wytypowanych do półfinału, siedem do finału. W finałowej siódemce książki pisarzy znanych i cenionych wśród „swoich” i „obcych”, w Europie Środkowej i poza Europą: Granica: na krawędzi Europy Bułgarki Kapki Kassabowej,

Stramer Mikołaja Łozińskiego, Płuczki: poszukiwacze żydowskiego złota Pawła Piotra Reszki, Dzieci Kronosa Rosjanina Siergieja Lebiediewa, Moja Jugosławię Słoweńca Gorana Vojnovicia, Zapomnienie Ukrainki Tani Malarczuk, Internat

Ukraińca Serhija Żadana (laureata ANGELUSA 2015).

Wybór więc tej jednej, najważniejszej, spośród tak wielu ważnych nie mógł być – powtórzmy – łatwy, a jednak zdawał się oczywisty. Wojny bratobójcze bowiem, plemienne rzezie trwające latami, a nawet dekadami, nacechowane bezprzykładnym okrucieństwem, z tragicznymi dla ludności cywilnej, dla kobiet i dzieci konsekwencjami egzystencjalnymi, psychologicznymi i moralnymi to przecież jedna z największych klęsk ludzkości. Na przestrzeni ostatnich stu lat, a więc jeszcze na oczach naszych dziadków i rodziców rozegrało się ich kilka, żeby wymienić tylko te o przetoimowym dla losów świata znaczeniu: wojna domowa w Rosji w latach 1919-1920, wojna domowa w Hiszpanii w 1936-1939, czystki etniczne w rozpadającej się po 1991 roku Jugosławii, ludobójstwo w Rwandzie między 1990 a 1994 (rzeź miliona Tutsich przez ekstremistów z Hutu), niekończąca się od 2011 roku wojna domowa w Syrii z niezliczonymi masakrami ludności cywilnej (między innymi przy użyciu broni biologicznej) i milionami uchodźców, wreszcie w 2014 roku tzw. Euromajdan na Ukrainie z „czarnym czwartkiem” w Kijowie (70 ofiar śmiertelnych), a w konsekwencji zajęcie Krymu przez Rosjan i wojna w Donbasie, w której żołnierze Ukrainy zachodniej zmagają się z prorosyjskimi separatystami z Ukrainy wschodniej przy wsparciu Rosjan.

Goran Vojnović, Słoweniec, urodzony w Lublanie w roku 1980, a więc jeszcze jako Jugosłowianin, obrął za temat *Mojej Jugosławii* historię chłopca, który ze względu na pewne zbieżne elementy biografii mógłby być jego powieściowym *alter ego*. Pół Słoweniec po matce (po ojcu pół Serb), urodzony w tymże roku 1980, także w Socjalistycznej Federacyjnej Republice Jugosławii, Vladan Borojević w wieku lat jedenastu staje się nieświadomym świadkiem rozpadu „swojej” Jugosławii i jednocześnie bezbronną ofiarą tego trudnego, złożonego i brzemienne-go w tragiczne skutki procesu. Ale wtedy nic a nic z tego nie rozumie. W dniu 25 czerwca 1991 – w historycznym dniu ogłoszenia niezależnej Republiki Słowenii, w powieściowym czasie rozpoczęcia narracji – zauważa z chłopięcą bystrością, że „coś jest nie tak”: przed telewizorem w hotelu robotniczym gromadzi się tłum zahipnotyzowany wiadomościami, niektórzy są wściekli, ktoś wrzeszczy, że nadejdą czasy, „kiedy zmądrzeją nawet najwięksi głupcy”, wierni dotychczas kibice jugosłowiańskiej reprezentacji futbolowej krzyczą: „pieprzyć taką Jugosławię” – zauważa to wszystko, ale nie potrafi myśleć o niczym innym jak tylko o wyprawie tożdą na Fraterski otok. Nawet niecodzienne zachowanie ojca, choć nie uchodzi uwagi malca, nie wywołuje żadnej refleksji. Kiedy stary przyjaciel ojca mówi mu: „Coś bardzo dziwnie zachowuje się twój stary, synu. Czyżby przypadkiem i on dostał przeniesienie?”, Vladan puszcza to mimo uszu, nie rozumie bowiem słowa „przeniesienie”. I chociaż białe ściany domów Puli wprost krzyczą doń grubymi, czarnymi literami graffiti: KOSOWO REPUBLIKA – ISTRIA KONTYNENT!, również nie chce o tym myśleć. Ma jedenaście lat i marzy wyjątkowo o żeglarskiej przygodzie.

Jednak tego dnia właśnie, w którym Słowenia odrywa się od SFRJ i rozpoczyna niepodległy byt, kończy się dzieciństwo Vladana. „.... skończyło się nagle pew-

nego zwykłego dnia 1991 roku wczesnym latem” – komunikuje narrator-borohater w pierwszym zdaniu swej opowieści o zagubieniu, samotności i obcości w odmienionej, niezrozumiałej i owładniętej nienawiścią Jugosławii. A skończyło się z dnia na dzień, gdyż już 27 czerwca 1991 wybuchła wojna słoweńsko-jugosłowiańska (serbska), Nedeljko Borojević, wysoki oficer Jugosłowiańskiej Armii Ludowej, zostaje przeniesiony z Puli do Belgradu i wystany „w teren”, skąd nigdy nie wraca do żony i syna. Duša i Vladan zostają sami, skazani na tymczasowy byt w lichym belgradzkim hotelu, potem u serbskich krewnych Nedeljka w Belgradzie, wreszcie na tułaczkę po obcych miastach (Nowy Sad, Lublana) i cudzych domach. Rozpad rodziny staje się faktem w ciągu kilku dni. Zdana na samą siebie młoda kobieta nie potrafi poradzić sobie ani ze sobą, ani z synkiem, chłopiec więc oddala się od niej emocjonalnie i mentalnie, zamyka w sobie, niechętny matce, przerażony „nową” Jugosławią. Poinformowany przez Dušę o śmierci ojca, poniesionej w wojnie chorwacko-serbskiej, wycofuje się jeszcze bardziej, milknie, jakby oniemiał. Gdy po czterech latach matka zakłada nową rodzinę, piętnastoletni Vladan ucieka z domu i podejmuje nieudaną próbę życia na własny rachunek. Matka i ojczym odnajdują go i otaczają opieką, ale chłopak nadal pozostaje wycofany, zamknięty, obcy. Przerwane brutalnie dzieciństwo to groźne w skutkach zaburzenie rozwoju psychicznego.

Przełom przynosi rok 2007, kiedy dwudziestosiemioletni Vladan w Internecie natyka się przypadkiem na wiadomość o Nedeljku Borojeviću. Ktoś napisał, że generał Borojević żyje, lecz ukrywa się jako zbrodniarz wojenny, ścigany przez haski Międzynarodowy Trybunał Karny dla Byłej Jugosławii. Gwałtownie wzburzona podświadomość wyrzuca nagłe dawno zapomniane graffiti z Puli: KOSOWO REPUBLIKA – ISTRIA KONTYNENT, a po nim obrazy, twarze i widoki, które szesnaście lat temu zepchnął w niepamięć. To dla Vladana wstrząs, zawrót głowy i... szaleńczy powrót do świata dzieciństwa.

„Kto wie, kiedy ostatni raz myślałem o ulicy Dinka Vitezicia w Puli, o białych oficerskich blokach i dzieciństwie sprzed lata 1991. Pogrzebałem to wszystko dawno temu w gołej ziemi, bez nagrobka, bez trumny, bez świec i mowy pogrzebowej, bez konduktu, pochowałem i nie oglądając się za siebie, odszedłem daleko, pewny, że ten zapomniany świat nie ożyje już nigdy. Teraz jednak powracał niezmienniony z głębin pamięci i paraliżował mnie we własnym garażu. Od ponad dwudziestu minut, siedząc bez ruchu, na próżno usiłowałem powrócić do stanu duchowego otępienia, miłej obojętności, które przez wszystkie te lata chroniły mnie przed lawiną nieokielzanych uczuć. Ale nie udało mi się ruszyć nawet o milimetr. Mój do niedawna nieżyjący ojciec prawie szesnaście lat po śmierci tak zniecka i bezlitośnie zaatakował mnie swoją nieśmiertelnością, że niemal fizycznie poczułem, jak rośnie we mnie groza i jak przyniata mnie do ziemi trudny do wyobrażenia ciężar”².

Szukanie ojca, długie, żmudne, trudne i frustrujące, spotkanie z nim po prawie siedemnastu latach czekania, „żeby dalej trwał ten niezakończony czerwiec” w Puli, rozmowa, która miała mu przynieść zrozumienie i uwolnienie od cierpienia, zakoń-

czył się niczym. A raczej jeszcze większym cierpieniem: ponowną i ostateczną utratą ojca oraz utratą Nadij, jedynej kobiety, którą kochał i na której prawdziwie mu zależało. Generał Nedeljko Borojević po rozmowie z synem odebrał sobie życie, Nadja zaś odeszła, przyłoczona brzemieniem Vladana. On zaś został sam, w dojmującej pustce, ze wspomnieniem ojca wyśpiewującego mu nad uchem w środku nocy pijacką piosenkę: „Sięgnąłem dna-aa zyciaaaa, pieeeekta i otchtaaaani...”, z nieukojoną tęsknotą za „dalekim, wyblakłym obrazem trojga obejmujących się ludzi”, i z tysiącem pytań.

„Wczoraj myślałem, że o człowieku, który był kiedyś moim ojcem, wiem wszystko. Teraz wiedziałem tylko, że nie wiem nic. Wczoraj wszystko znów się rozpadło na wątpliwości i pytania. Wróciłem do początku tej opowieści i ponownie zobaczyłem puste spojrzenie Nedeljka w dniu, gdy skończyło się moje dzieciństwo. Czy potem ten człowiek jeszcze żył, czy jedynie nosił jego nazwisko? Czy to był człowiek, z którym siedziałem wczoraj przy jednym stole w restauracji Stomach, ten sam, który w upalny czerwcowy dzień dawno temu zabrał mnie na targ w Puli i kupił swój ostatni prezent? [...] Drżałem z zimna, ale łatwiej było mi znieść chłód niż ból, który – wiedziałem to – tylko przyczął się i czekał, żebym wyszedł i wkroczył w dzisiejszy poranek, w pierwszy dzień mojego nowego życia”³.

Ciekawe, co powiedziałyby temu zagubionemu i cierpiącemu człowiekowi Angelus Silesius, siedemnastowieczny poeta wrocławski, patron współczesnej nagrody literackiej, sprawiedliwie przyznanej pisarzowi, który powołał Vladana Borojevicia do pełnokrwistego literackiego życia. Czy rzekłby mu: „U zdroju, człtęku, woda czysta jest i rzeska;/ Ze źródła gdy nie pijesz, droga niebezpieczna”? Albo: „Do raj, człtęku, nigdy nie wejdiesz bez broni:/ Musisz ogień przebyć, miecz pokonać srogi”? Lub też: „Mieszka w tobie niebo i piekielna męka: Z dróg, co je wybierasz, każda ci dostępna”?⁴ A co by mu na to odpowiedział Vladan/Goran? Uśmiechnąłby się gorzko na wzmiankę o czystym zdroju? Pokręciłby z powątpiewaniem głową na wspomnienie o raj? Ale może przyznałby, że ogień w życiu przebyć trzeba i miecz pokonać srogi. Oraz że nieba zasnął w dzieciństwie, a potem już tylko piekielnej męki... Pocięchy u Anioła wiele by nie znalazł.

A może znalazłby wszystko, co mu twórca *rymów duchowych* wskazał, gdyby tylko głębiej poszukał?! Jego dotychczas opublikowane powieści (wszystkie trzy znane w Polsce, druga i trzecia w znakomitych przekładach Joanny Pomorskiej⁵) pozwalają wierzyć, że jest to możliwe, że czterdziestoletni słoweński pisarz jest zdolny do jeszcze głębszej artystycznej penetracji.

MARIA JENTYS-BORELOWSKA

1 Goran Vojnović: *Moja Jugosławia*. [Tytuł oryginalny: *Jugoslavija, moja deželja*]. Przełożyła Joanna Pomorska. Wydawnictwo Akademickie SEDNO Spółka z o.o., Warszawa 2020, stron 244.

2 Jak wyżej, s. 15.

3 Jak wyżej, s. 232.

4 Angelus Silesius: *Cherubinowy wędrowiec, czyli Epigramatyczne rymy duchowne...*, w przekładzie prof. Andrzeja Lama. Opole-Warszawa 2003.

5 *Pierwsza, Czełturzy, raus!, ukazała się w roku 2008, po polsku w 2010, w przekładzie Tomasza Łukaszewicza; trzecia, Figa – w 2017, po polsku w 2020.*

OMÓWIENIA

Maria Jentys-Borelowska

ŚWIAT IGI

(NA PODSTAWIE WIERSZY LICEALISTKI)

Iga Świerżewska liczy dziś lat niespełna szesnaście i jest autorką dwóch zdumiewających dojrzałością tomików poetyckich. Pierwszy – *Twój wybór* – zawiera dwadzieścia osiem wierszy, drugi – *Autostrada myśli* – trzydzieści siedem, razem tworzą obraz świata o mocno i czysto zarysowanych konturach, obraz malowany dziecięcą szczerością i mądrością właściwą istotom o oczach szeroko otwartych na świat.

Mógłby ktoś powiedzieć, że tomiki, firmowane przez „Mamę i Tatę” oraz „Babcie Majkę i Dziadka Marka” i niepotwierdzone oficjalnym certyfikatem jakości, obiektywnym *imprimatur*, nie powinny być traktowane poważnie. Myliłby się jednak, i to bardzo. „Babcia Majka” bowiem i „Mama” to w tym przypadku najlepsze gwarantki jakości obu zbiorów Igi. Babcia – Maria Marjańska-Czerwik – jest wszak uznaną autorką i tłumaczką książeczek dla dzieci, doświadczoną redaktorką i publicystką, Mama – Ewa Świerżewska – jest tłumaczką i propagatorką literatury dziecięcej, obie zaś – jako córka i wnuczka – są dziedziczkami duchowej spuścizny Ludmiły Marjańskiej, jednej z najświetniejszych poetek polskich XX wieku. Może więc również Iga, jako prawnuczka poetki, ma już prawo do jej symbolicznego *imprimatur*? Może.

Urodziła się 25 marca 2005 roku, niespełna siedem miesięcy przed śmiercią Ludmiły Marjańskiej, zdążyła zaznać dotyku jej dłoni, pocałunku, uścisku ramion, zdołała uszczęśliwić prababkę swoim istnieniem. Nie zdążyła jednak jej poznać. Żal z tego powodu wyraziła po latach w wierszu bez tytułu adresowanym *Do prababci Ludmiły*:

Gdy wieczorem na cmentarz idę w ten dzień

Liście szeleszczą pod stopami, pada rzęsy deszcz

Gdzieś tam, za drzewami zobaczę Cię.

Najpierw pomyślę, że to zjawia i coś mi się wydaje

Lecz już za chwilę biegnę za Tobą w jesiennie gaje

I znowu jesteśmy razem, jak za dawnych lat

Podajesz mi rękę i idziemy w świat

Nagle się ocknęłam, puściłam rękę obcej pani

Zrozumiałam, że ta kamienna płyta jest dalej między nami –

Światelka zapalenie, jedyny ode mnie dar
Listopadowa wiatru piosenka zagłusza miasta gwar

Żegnaj!

Wiersze Igi Świerżewskiej mają – poza rodzinnym, z natury rzeczy stronniczym – także obiektywny certyfikat jakości. Są nim liczne nagrody i wyróżnienia, uzyskane w rozmaitych konkursach poetyckich, przede wszystkim w Turnieju Jednego Wiersza, organizowanym przez polonistów z Pracowni Literackiej SCEK, działającej przy Stołecznym Centrum Edukacji Kulturalnej. Wedle spisu zamieszczonego na końcu zbioru *Twój wybór*, Iga dwa razy otrzymała w owym Turnieju nagrodę pierwszą (2017: *Adresat nieznanym*, 2020: *Zapomniany*

Anioł Stróż), raz drugą (2019: *Powrót weny*), raz trzecią (2019: *Zakaz umierania w miejscach publicznych*), a raz wyróżnienie (2018: *Gdzie kończy się wszechświat*). Najwcześniej jednak, bo w roku 2015, a potem 2016, data się poznać jako dobrze rzucająca poetka w konkursie Pola Nadziei, organizowanym przez Fundację Hospicjum Onkologiczne św. Krzysztofa. Najpierw przyznano jej pierwszą nagrodę za *Światło w tunelu*, rok później za *Ogród radości*.

Światło w tunelu brzmiało tak:

Matką głupców ją nazywają,
odstawiają w kącie.

I sprawy sobie nie zdają,
że to jest wielki błąd.

Ona ratuje wielu.

Nadzieja – światło w tunelu.

W późniejszym o dwa, może o trzy lata wierszu *Na końcu świata* nie widać owego ratunkowego „światła w tunelu”, za to można zobaczyć pustkę, o ile stanie się tam i zacznie w nią wpatrywać. „A ja nie jestem gotowa” – przyznaje trzynastoletnia poetka – by poznać prawdę; by nieść „na swoich barkach/niezłęczonych jeszcze trudami życia człowieka świadomego/ tak wielkiego ciężaru”. I dopowiada: „Chowam się więc w norce najszerszego kłamstwa/ i czekam/ aż koniec świata sam nadejdzie”. Zdumiewające wyznaczenie: ta dziewczynka WIE WSZYSTKO (w sensie filozoficznym) i NIE WIE NIC, bo wiedzieć nie chce, nie udźwignęłaby tej wiedzy. Taki jest jej wybór. Świadomy! Desperacki!

W nieco późniejszym wierszu jednak mierzy się z pustką. Już nie czuje się bezbronna – ma na nią sposób: odpowiedni język. Opisowy, podszyty ironią, naznaczony dwuznacznością, grą, zabawą.

Cisza i ciemność. I pustka. Całkowita pustka.

Czy to możliwe? Nie, raczej nie.

Ale jak już mówiłam, całkowita pustka.

Ciemność. I cisza.

I na tym powinno się skończyć. Ale nie.

Nagle na niebie pojawia się mały punkt.

Na niebie? Na jakim niebie? Przecież tu nie ma nieba!

Ale na niebie coś się pojawia i nic na to nie poradzę.

Pojawia się punkcik i tkwi tam przez chwilę.

W ciszy i pustce. I ciemności. Znika.

A teraz robi się jasno. W ciemności jest jasno i cicho.

Panuje pustka.

Stopniowo w wierszach Igi pojawia się coraz więcej ironii, autoironii, gry, żartu, przewrotnego humoru i ... gorzkiej, bardzo gorzkiej refleksji. Poczucie pustki i bezsensu istnienia to ich zatrwająco częste motywy. Skoro świat jest jak autostrada, którą trzeba pędzić bez możliwości zatrzymania się, zamyslenia, zastanowienia i dokonania wyboru, to i umysł ludzki musi funkcjonować jak autostrada myśli: „Korek/ Tysiące chwil/ Przed tobą/ Za tobą/ Pomyłka?/ Nie zawrócisz/ Nie ma map/ Brak nawigacji/ Zagubiony/ Bez końca/ Przemierzać będziesz kilometry...”

Jak bronić się przed poczuciem ząbienia, pustki i bezsilności, skoro jest się niegotowym do życia, niedostatecznie uzbrojonym? Iga zna już siłę ironii, autoironii, żartu i całkiem zręcznie posługuje się tymi narzędziami. Nie przestaje jednak szukać innych. Próbuje na przykład być demiurgiem:

Narysuję na kartce
człowieka.

Dam mu głowę i ręce.

Krawat i piękny garnitur.

Chłopcy nie chodzą w sukienkach.

Narysuję na kartce
człowieka.

Dam mu tułów i nogi,

niechaj go zaprowadzą

na dobre życia drogi.

Dam mu mózg.

Pokażę, jak ma myśleć.

Ja go stworzyłam,

mam nad nim władzę.

To chyba oczywiste.

Narysuję na kartce
człowieka.

A jak się będzie obrażać,

jako jego stwórczyni

mogę go gumką wymazać.

I nie będzie już człowieka.

Zdarza się też, że przemawia z głębi czującego serca, prosto i dobitnie, a wtedy czytelnik ma nieodpartą wrażenie, że słyszy pogłos słów jej stawnej prababki:

Ośmieszani, prześladowani, wypędzani
Ludzie „dziwni”, przez świat niekochani.

Ci z autyzmem, ciemnoskórzy, geje...
Mówią ludzie: „Przez nich świat oszaleje”.

Niewidomi, głusi, z niepełnosprawnościami...

Myślisz: „Inni”, a jednak tacy sami.

Twój wybór i *Autostrada myśli* to dorobek młodziutkiej poetki z lat 2015-2020. Zaczęła pisać jako dziesięcioletka, dziś, w wieku lat piętnastu, mierzy się poetycko, i to mierzy bardzo udanie, z najtrudniejszymi problemami współczesnego świata: agresją, nienawiścią, obojętnością, nietolerancją, zanikiem więzi międzyludzkich, dehumanizacją. Najdojrzalsze spośród jej wierszy, m.in. *Gdzie kończy się wszechświat*, *Śmierć uzależnionego od życia*, *Pakuje się na życie*, *Zakaz umierania w miejscach publicznych*, *Klucz*, *Z nieba*, były drukowane w kwartalniku literackim „Wyspa” (w numerach 2/2019 i 1/2020), Iga ma więc debiut prasowy za sobą. I długą, trudną drogę przed sobą.

Powodzenia, Igo! Pozwól, że przywołam tu dewizę Twojej Prababki: „Podnieś wzrok. Tyle masz przed sobą: wielkie jezioro, które trzeba przepłynąć. Nabierz tchu. Płyn spokojnie...”

MARIA JENTYS-BORELOWSKA

LE FANU – DUCHY

Jerzy Lengauer

Historie o nadprzyrodzonych zjawiskach, które wcześniej ukazywały się jedynie w angielskich czasopiśmie, zostały zebrane pół wieku po śmierci Josepha Sheridana Le Fanu przez innego wielkiego autora niesamowitych opowieści, Montague'a Rhodesa Jamesa. Mniej więcej sto lat później w Polsce ukazał się ponownie ten sam zbiór opowiadań. Oprócz przedmowy autorstwa M. R. Jamesa, każde opowiadanie uzupełniono dodaną pod tytułem krótką, składającą się co najwyżej z trzech wersów, notką o tym, gdzie i kiedy utwór został po raz pierwszy opublikowany. Dla wielbicieli prozy Le Fanu i czytelników mających skłonności bibliofilskie i literaturoznawcze są to z pewnością informacje niezwykle przydatne i cenne.

Około dwustustronicowy zbiór dwunastu opowiadań pisarz zapętnia rozmaitymi postaciami. Mnoży narratorów, potrąca wręcz osoby, które są źródłem przedstawianych historii. W pierwszych czterech (i przedostatniej) opowieściach mamy narratora w pierwszej osobie, który opowiada zdarzenie z własnego życia sprzed kilkudziesięciu lat („Teraz to jestem stara, ale tamtej nocy, com przyjechała do Applewale House, miałam ino trzydzieści roków”[1]; „Jakoś przed trzydziestu laty pewne dwie zamężne starsze panie poszły mnie do posiadłości w Lancashire (...). Miałem tam dokonać podziału skromnego majątku, obejmującego dwór z przyległymi ziemiami”[2]; „Zdarzenia, których byłem świadkiem, nie są warte opowiedzenia, a w każdym razie spisania. (...) Studiowałem medycynę”[3]), albo wszechwiedzącego trzecioosobowego („Testament pana Toby'ego”, „Dziecko, które odjechało z elfami”, „Wizja Toma Chuffa”). W „Białym kocie z Drumgunniol” i „Umowie sir Dominicka” występują już dwójka narratorów. W krótkim wstępie do właściwej historii porte-parole w pierwszym opowiadaniu mówi o spotkaniu z byłym nauczycielem języka irlandzkiego, w drugim - z członkiem o ostrych rysach twarzy, oddaje im głos, jednak zachowuje sobie wyłączne prawo do przekazywania opowieści czytelnikom („Zdarzyło mi się kiedyś, że będąc daleko od miasta, chciałem zbadać pewne irlandzkie teksty (...), polecono mi zwrócić się do pana Donovana”[4], „To od niego znam tę opowieść i w miarę możliwości postaram się ją powtórzyć jego słowami”[5]; „Wczesną jesienią 1838 roku musiałem udać się w pewnej sprawie na południe Irlandii”[6], „Ale mój dziadek był tu drzewiej kamerdynerem i nieraz żem słyszał opowieść o tym, jak sir Dominick odszedł z tego świata”[7].) Tym samym czytelnikowi przedstawia się jako pisarz sam Le Fanu oraz niejaki Dan Donovan i anonimowy starszek z łaską, którzy wydarzenia autorowi zrelacjonowali. Ciekawa sytuacja ma miejsce w „Opowieści o duchach z Chapelizod”. Pierwszoosobowy narrator snuje „trzy opowieści z rodzaju tych, które szczególnie dobre wrażenie robią czytane przy kominku w mroźną, zimową noc”[8] a każda z nich pochodzi sprzed co najmniej piętnastu lat. W opowiadaniu „Niegodziny kapitan Walshawe z Wauling” taki sam rodzaj narratora przekazuje odbiorcom wydarzenia sprzed wielu lat, których świadkiem był jednak nie on, lecz jego wuj: „Mojemu wujowi, panu Watsonowi z Haddlestone, przydarzyła się raz dziwna rzecz. Żeby jednak opowiedzieć ta była dla wszystkich zrozumiała, muszę zacząć od samego początku”[9]. Narrator Le Fanu kilkakrotnie podkreśla swoje zainteresowanie i znajomość wydarzeń, zdarzeń i historii, trafiających do niego bądź w dzieciństwie, bądź gdy był już dorosłym. Tak jest z legendą o „Ultorze de Lacy”: „Za młodu poznałem całe mnóstwo irlandzkich, rodzinnych opowieści, w których większą lub mniejszą rolę odgrywają siły nadprzyrodzone”[10], gdzie w zasadzie już na początku pierwszoosobowa narracja zmienia

się na trzecioosobową. Ale i tu historia została opowiedziana pisarzowi przez kogoś innego, wiele lat wcześniej. Żeby nieco skomplikować źródło przekazu, a może paradoksalnie uwiarygodnić, wspomina o osobistych związkach: „Historię tę opowiedziała mi w 1821 r. panna Croker z Ross House, wówczas prawie siedemdziesięcioletka, która znana Alice de Lacy jako siostrę Agnes, zakonnicę po ślubach”[11]. Majstersztykiem pisarskim zaczyna z kolei Le Fanu ostatnie opowiadanie ze zbioru („Opowieści z Lough Guir”). Pisarz przedstawia sam siebie w trzeciej osobie i uzasadnia rzetelność oraz wiarygodność opisanych wydarzeń. Oznajmia już na wstępie, że opowieść nie jest fikcją, lecz stanowi przeżycia poznanej przez niego przed laty osoby: „Gdy autor tego opowiadania miał dwanaście albo trzynaście lat, poznał pannę Anne Bailly z Lough Guir w hrabstwie Limerick”[12], „Oto opowieść panny Anne Bailly o tym, jak zapadł się ten zamek”[13], a na dodatek w treści opowiadania pisarz na krótki moment oddaje jej pierwszoosobową narrację.

Bohaterów umieszcza w pięknym, dostojnym angloirlandzkim zamku skrytym w dzikim lesie nad urwistym zboczem; w starym zamczysku na wyspie na jeziorze; w stojących pośrodku terenu o charakterze parku wielkich i przestronnych, ryglowych dworach w stylu elżbietańskim, o spadzistych dachach, z czarnymi belkami w kratę, szczytach białych jak mleko, z oknami założonymi kratami, o szybach w kształcie rombów; w starym malowniczym miasteczku z szeroką ulicą z solidnym chodnikiem, wyniosłymi kamienicami, starym kościołem z krytą i wieżą pokrytą bujnym bluszczem, stromym mostem i dużym, starym młynem; w bardzo starej kamienicy o ponurym i tajemniczym wyglądzie, jednocześnie ekscytującym i przynębiającym; w kamiennej chacie krytej gontem, z grubym kominem, kuchnią i sypialnią na parterze oraz poddaszem; w krytej strzechą chatynce o drzwiach ze zniszczonych desek; w małej ruderowatej chatupie, niewiele lepszej od szopy.

Oczywiście owe miejsca, budynki, budowle osadzone są w przepięknym i strasznym krajobrazie, który jednocześnie zachwyca, obezwładnia urokiem i przeraża, wzbudza trwogę. Emocje związane z widokami, często przesuwanymi się przed oczami podróżującego dylżansem, są zwykle uzależnione od wieku, ptci i statusu społecznego bohatera. Czasami za opisy przyrody odpowiada autor, który przedstawia obrazy współczesne sobie, a nie temu, który był świadkiem przekazywanych pisarzowi wydarzeń. Bez względu na to, czy pejzaż budzi grozę, czy ośniewa urodą, czytelnik podziwia tak właśnie wyrażoną przez Josepha Sheridana Le Fanu miłość i przywiązanie do ojczyzny. Uczucie oddane malowniczymi opisami różnorodności krajobrazu Irlandii, tej stworzonej przez naturę, i tej będącej dziełem ludzkiej ręki. A pisarz szczególnie upodobał sobie ciemne, pozbawione życia aleje, zarosnięte niczym cmentarz trawą i chwastami, gdzieś tam przycięte wiatrotłomami, przy których rosną dostojne, ogromne, grube drzewa. Zanim jednak dylżans do nich dotrze, przejeżdża przez dzikie wrzosowiska, rozległe i czarne torfowiska, łąki porośnięte kolcolistem. Toczy się starym traktem, wąskimi drogami między wzgórzami porośniętymi wrzoścem, pod łańcuchami szarych skał, pożłobionych licznymi, romantycznymi wąwozami. Przejeżdża przez pagórkowate doliny o dzikim i ponurym charakterze, mija prastare topole o białawych, pobrudzonych pniach.

U krańca dróg czeka bohatera spotkanie z postaciami realnymi, często krewnymi, zwykle przedstawionymi z imienia i nazwiska, tytułu. Są to ciotka – ochmistrzyń, pokojówka, wyglądająca jak nieboszczyk pani Crowl, upośledzony Richard zwany Dickonem, łagodny, marzycielski nauczyciel języka irlandzkiego, kuzyn Tom Lu-

dlow, który studiował medycynę, ale wybrał Kościół, panna Anne Bailly, przedstawicielka niezwykle starego i zanego rodu. Nie wszyscy jednak bohaterowie i narratorzy podróżują. W opowiadaniach Le Fanu znajdujemy wiele postaci, których historie toczą się na miejscu. Tam narrator w trzeciej osobie przedstawia czytelnikowi: braci Scroope'a i Charlię Marstonów, wdowę - matkę czworga dzieci Moll Ryan, łobuza Larkina, zakryśianina Boba Martina, Petera Briena, utrzymywanego przez babkę od dwudziestu lat, odkąd osierocił, kapitań Jamesa Walshawe'a, który nigdy nie awansował w armii na ten stopień, pijaka Toma Chuffa.

Jak wiadomo, literatura grozy nie może czerpać jedynie z ponurych czy nawet przerażających krajobrazów, bądź niesympatycznych, oziębłych, okrutnych osób, bo one wyłącznie pomagają budować nastrój niepokoju, powodują lekkie dreszcz emocji. Prawdziwy strach, trwogę i zgrozę wzbudzają zdarzenia i postaci ze świata, którego czytelnik nie pojmuje umysłem. Ich katalog jest u Le Fanu całkiem obszerny: zwłoki wyciągające rozcapierzone ręce i groźne trzynastolatce; towarzyszący spadkobiercy ducha starego dziedzica, a na dodatek pojawiający się duży, wychudzony buldog, który „okrążał ich prędko w dużej odległości, niczym piekielny pies w «Fauście»”[14] albo leżał na grobie jego ojca, a jego pysk „był uderzająco podobny do gniewnej, mopsiej twarzy ojca”[15]; duch dziedzica dotykający rękoma grzbietu zwierzęcia, które zawsze następnego dnia zapadało na chorobę, a niedługo potem zdychało; malutcy szczeniaki o ostrych rysach, ziemistej cerze, matych, niespokojnych oczach i twarzach tak przebiegłych i złośliwych, że dzieci przebiegały dreszcz; banshee – postać śmierci o postaci kota; przeklęty portret starca o obliczu złowrogim i złowróbnym, wpijającego wzrok w śniących; zjawy o czaszce z ziejącym czarnym i postrzępionym otworem; kolumna żołnierzy maszerujących bezgłośnie przez przeniesione w czasie miasteczko; gasidło zamieniające się w człowieka o lilipucich rozmiarach; czarł o postaci przystojnego młodzieńca; zmarli, którzy gwizdząc, sprowadzają żyjących do świeżo wykopanych grobów; czarodziej z wyspy na jeziorze; oczywiście elfy i rozwiewające się postacie.

Ze wszystkich tych elementów: różnorodnie skonstruowanych narracji, rzeczywistych ludzi i postaci o cechach nadprzyrodzonych, ponurych budowli i posępnych krajobrazów, a także - niezbędnych przecież - wyrazów dźwiękonaśladowczych Le Fanu stworzył niezwykle poczytne wśród swych współczesnych opowiadania, stanowiące jedną z najważniejszych składowych dziesiętnastowiecznej literatury grozy, zaś potomnym udowodnił, że sięganie do nich nie będzie domeną tylko literaturoznawców, lecz zdecydowanie poszerzy i umocni krąg miłośników gatunku ghost story, stojąc się jego podstawą także w dwudziestym pierwszym wieku.

JERZY LENGAUER

[1] [1] Joseph Sheridan Le Fanu, „Duch pani Crowl” w: „Duch pani Crowl”, przeł. Marcin Dżdża, C&T, 2013, s. 7.

[2] Joseph Sheridan Le Fanu, „Diabelski Dickon”, op.cit., s. 55.

[3] Joseph Sheridan Le Fanu, „Niezwykłe zajścia przy Aungier Street”, op.cit., s. 87.

[4] Joseph Sheridan Le Fanu, „Biały kot z Drumgunniol”, op.cit., s. 75.

[5] Tamże, s. 76.

[6] Joseph Sheridan Le Fanu, „Umowa sir Dominicka”, op.cit., s. 152.

[7] Tamże, s. 155.

[8] Joseph Sheridan Le Fanu, „Opowieści o duchach z Chapelizod”, op.cit., s. 110.

[9] Joseph Sheridan Le Fanu, „Niegodziny kapitan Walshawe z Wauling”, op.cit., s. 137.

[10] Joseph Sheridan Le Fanu, „Ultor de Lacy”, op.cit., s. 166.

[11] Tamże, s. 191.

[12] Joseph Sheridan Le Fanu, „Opowieści z Lough Guir”, op.cit., s. 206.

[13] Tamże, s. 208.

[14-15] Joseph Sheridan Le Fanu, „Testament pana Toby'ego”, op.cit., s. 30.

Jerzy Lengauer

LISTA NIEOBECNOŚCI

U autora „Listy nieobecności”, mimo że porusza się w krajobrazach znanych większości czytelników (blokowisko, koniec PRL-u, przełom dwudziestego i dwudziestego pierwszego wieku, czasy prawie współczesne) i polskiej problematyce społeczno-obyczajowej, nie ma jednoznaczności. Nie koncentruje się na, powiedziabym, jednym nieszczęściu. Trzydzieści lat polskości pokazuje jako okropną, ciemną, wilgotną, głęboką sztolnię, w której kumulują się najgorsze ze zdarzeń dla ludzi próbujących w jakimś polskim mieście w miarę normalnie pracować, mieszkać, mieć dzieci, wiązać się w związki. Okazuje się, że żadne z tych pragnień czy zobowiązań nie gwarantuje spokoju, każdy wybór jest zły, wszystko jest powiązane siecią przyczyn i skutków, z tym że sieć ta jest splątana, pokryta węzłami, jakimiś grudkami, poprzerywana. U Michała Urbaniaka nie da się jej rozplątać, rozłożyć w jakichś elementach. Bohaterom udaje się je poukładać tylko gdzieś po bokach, zobaczyc fragment obrazu. Niemożliwe jest ułożyć życie, którego piękna całość widnieje na opakowaniu. Ale to ta niemożliwość prowokuje dramaty? Czy tragedie spowodowały rozrządzenie puzzli? W „Liście nieobecności” nie znajdujemy odpowiedzi. Za to autor daje nam wszechobecną śmierć. Tę fizyczną, nagle przychodzącą, zimną i nieruchomą tuż przy nas. I tę obiecaną, zapowiadaną, pełną każdego dnia, czasami zatrzymaną na chwilę przez miłość, partnera, przeprowadzkę, pracę, małżeństwo, dzieci. Czymże one jednak są, gdy w naszej rzeczywistości istnieją homofobia, gwałt, samookaleczenie, odrzucenie przez rodziców, tęsknota, strach? Lektura powieści podsuwa czytelnikowi obrazy szare, mgliste, niepełne. Są przepięknie wyłaniającymi się zewsząd potworami o niewyraźnych kształtach. Fabuła jest historią zdrad, samobójstw, nieudanych, toksycznych związków, karaniami siebie i samosądów na najbliższych współczesnych galeriaków wrażliwości. Ta książka jest o nich, ale i o śmierci. Jednak śmierć stanowi jedynie punkt zwrotny dla sposobu myślenia bohaterów o sobie, zmiany relacji z bliskimi, wyzwolenia tajemnic. „Kiedy przyszła pierwsza fala bólu, zacisnął powieki. Starał się uciec myślami, ale nie potrafił. Ból był wszędzie. (...) Poczul uderzenie w kark. (...) Musiał się poddać. Oparł się policzkiem o zimny beton. Próbował zapanować nad krzykiem. (...) Oberwał pięścią w twarz. To nie bolało tak bardzo. Ważne, że tamta męczarnia dobiegła końca. Poczul na policzkach izy. Spojrzał na swoje drżące nogi, na spodnie opuszczone do kostek”[1].

Umiera Artur Hnat, mąż jednej z głównych bohaterek, Zuzanny. Od tego momentu, poprzedzonego prologiem - w którym, podobnie jak w epilogu, fabuła dotyka wydarzeń dziejących się dużo, dużo później - czytelnik poznaje rodziny obu małżonków. One, tak jak Zuzanna i Artur, obciążone są mniej lub bardziej dramatycznymi tajemnicami z przeszłości i teraźniejszości, oraz czekającymi w przyszłości tragediami, co okazuje się pod koniec książki. Michał Urbaniak zawiązuje kilka głównych wątków, które rozwijają się w miarę podsuwanych rozdziałów. W zależności od tego, jakich miesięcy i lat dotyczą rozdziały, których tytuły stanowią tylko przystawki z datą w nawiasach, poznajemy tragiczne wyjątki z życia syna Zuzanny, Krzysztofa, jego partnera Jakuba, małżeństwa sąsiadki Danki, brata i bratowej Artura, czyli Janka i Honoraty. Poboczne wątki, prawie marginalne treściowo, ale o ładunku emocjonalnym wcale nie mniejszym, oddaje autor pierwszemu małżeństwu Zuzanny, jej matce, siostrze Artura, najmłodszym dzieciom Zuzanny i Artura. Czytelnik dość szybko orientuje się

w konfiguracjach, problemach i dramatach. Postacie, dzięki przypomnianej co rusz przeszłości, nabierają straszliwego tragizmu. Odbiorca nie jest zaskoczony. Wziera w nim ogromna fala współczucia. To bodziec do osobistych reminiscencji, refleksji, dygresji. Każdy kawałek historii, ułożony przez autora w odpowiednim miesiącu i roku, wydaje się nosić piętno. Nawet jeżeli Zuzanna czy Jakub, a w końcu Krzysztof, wypowiadają żarliwe słowa o miłości, tęsknocie, pragnieniu, żeby było już dobrze, to owe bliźny, tatuaże, szkarłatne litery, czarne lilie nie dające się usunąć z duszy, snu, pamięci, serca, umysłu każą z powrotem zejść do emocjonalnej sztolni. Dla każdego z nich najgłębsze, podziemne korytarze pełne są czegoś innego. „Ty też masz wspomnienia, od których chcesz uciec? (...) Na pewno masz, każdy ma własne piętko, co?”[2].

Autor nie tyle opowiada o stricte współczesnych deficytach, ale o niemożności dostosowania się do życia w związkach (a szerzej - w społeczeństwie) osób pożądanycych ciepła, jasności, szczęścia, jakiegoś blasku. To pragnienie jest tak silne, tak bolesne, że każda z postaci szuka innego remedium. Zuzanna, mimo że ma ogromne poczucie winy z powodu rozwodu i pozostawienia syna u matki („Ostatnio zarzucił mamie, że jak był mały, to go zostawiła na całe dzieciństwo. Obruszyła się: «Co ty opowiadasz, Krzysztof, jakie całe dzieciństwo?! Nie było mnie trzy lata, niecałe nawet, a przyjeżdżałam do ciebie, pociągami się tłukłam, co dwa tygodnie, czasami co tydzień»”[3]), godzi się na rodzenie kolejnych dzieci („Nigdy nie chciałaś mieć dzieci! Cieszyła się! Całe to małżeństwo to nieporozumienie!”[4]). Artur i Janek nigdy nie poradzi sobie z śmiercią swoich matych siostrzyczek i szaleństwem matki, stąd nie potrafił oddać się całym sercem i duszą małżeństwu. Jakub, uświadamiając sobie własny homoseksualizm, mając homofobicznych rodziców, oddaje się erotycznym przygodom pod zmyślonym imieniem. Zdaje się być tylko pasażerem tramwaju życia, z którego chce wysiadać, nie czekając na przystanki („Kiedyś próbował się zabić, miał siedemnaście lat, zbyt dobrze wiedział, w jakim kierunku zmierza. Rodzice wyszli, mieli wrócić późno. Poharatał sobie żyły, siedział w wannie pełnej stygnącej wody. Trzymał nóż, którym mama kroić chleb i zeschłe ciasto z cukierni na podwieczorek”[5]). Krzysztof, jednocześnie kochający matkę i nienawidzący jej, „nieznoszący ojczyma, jest zimny („Jak kochasz, no to kochaj sobie - powiedział w końcu. - Przecież nie bronie ci mnie kochać. Kochaj sobie, no”[6]), gardzi otoczeniem, stosunki z ludźmi traktuje jak dane do matematycznych działań.

Michał Urbaniak nie musiał tworzyć przerywanej fabuły. Logicznego ciągu zdarzeń. W emocjach, szaleństwie, depresji, poczuciu winy nie ma przecież logiki. Są zdarzenia z przeszłości, utkwione w podświadomości. Jeden dzień, jedno drobne wydarzenie, a lawina dramatów porywa. Często zostawia człowieka poranionego, wycieńczonego, ale zdolnego do dalszego życia. Bywa jednak, że dla niektórych lawina wydaje się wyzwoleniem. To nieuratowani. W „Liście nieobecności” mowa jest o wszystkich.

Wydaje się, że bohaterowie tej powieści przemykają się albo suną chodnikiem jak najwolniej, w jakimś koszmarnym marazmie. Tuż pod ścianami kamienic, trąc łokciem o zimne ściany, wystające wielkie, dziewiętnastowieczne kamienie wysokich podmurówek. Gdy w kuli zbudowanej z matowego szkła robi się zbyt duszno, przechodzą na drugą stronę. Tam, gdzie od jezdni dzieli tylko wąski krawężnik. Tutaj dłonie objają się o słupki znaków drogowych. Nie muszą spoglądać w górę. Na

szczęście. To zbyt poważny wysiłek. Znają na pamięć informacje tuż nad nimi: przejście dla pieszych, zakaz zatrzymywania, zakaz skrętu, ograniczenie prędkości. Siniące od uderzeń ręce nie bolą. Do ściśniętej, jakby przygotowywanej do lobotomii głowy nie dochodzą fizyczne sygnały. Katastona na wyciągnięcie ręki. Zmęczenie straszliwym tomatem gdzieś w środku głowy prowadzi z powrotem. Do którego czterech ścian. Na jednym lub drugim osiedlu. Tam właśnie zmierzają bohaterowie powieści.

Nikt z nich, głównych bądź drugoplanowych postaci nie jest przez autora oszczędzony. Ich miotanie się w kolejnych mniejszych czy większych mieszkaniach, na innych osiedlach, niższych, wyższych piętrach potęgują w fabule powieści przenosiny w czasie co kilka, kilkanaście stron. Pisarz ten diabelski młyn czasu, przestrzeni i emocji umieszcza w okresie mniej więcej trzydziestu lat. Rozdygotana, nerwowa, drżąca atmosfera uzyskana jest jeszcze przez jeden zabieg. Urbaniak zdecydował się na triadę uzależnionych od siebie elementów. I właśnie ostatnim z nich są myśli i wypowiedzi bohaterów. Rozedrgane, powtarzane, niespójne, z mnóstwem kropek i przecinków. Słowa, króciutkie zdania wydają się potykane albo z trudem wypychane. Czasami, gdy fabuła biegnie bardzo szybko, bądź gdy czytelnik wpadł w to kłębawisko węzłowych, osłizłych, ciągle ruszających się, nie do pozbycia się myśli, wyobraża on sobie, wręcz widzi jedną z opisywanych postaci, gdy ta siedzi w ciemnej kuchni z głową podpartą rękoma, które są nabrzmiałe od ucisku. Palce nabierają kolorów niezwykłych. Granice czerwieni i bieli są wyraźne jak na mapach. Siny odcień żył pojawiający się na przegubach i przedramionach stąpa się z taką samą barwą na skroniach. Jakby głowa i dłonie były jednym organizmem. Sugestywnie pisze Michał Urbaniak. Słyszymy z łazienki historyczne wymioty. Czujemy gaz ulatniający się z kuchni i widzimy stojącą przy niej dziewczynkę. Prawie, że dotykamy lepkiej od nasienia pościeli. Zapach krwi z pociętego ciała młodego mężczyzny wydaje się nam wszechobecny.

Sam tytuł powieści zdaje się dotyczyć osób, których śmierć jest przyczyną dramatów osób żyjących. Ich nieobecność stała się obecna w życiu najbliższych. Ciężar tego istnienia - nieistnienia rozszerza się na kolejne osoby, z którymi wiążą się główni bohaterowie. Autor w epilogu dość dosadnie to podkreśla. Ale czy tak jest na pewno? „Artur, one nie żyją za sprawą wyrządzonym im krzywd, psychicznych i fizycznych gwałtów stali się nieobecni? Coraz mniej są z partnerami, małżonkami, dziećmi, sąsiadami? „Artur, one nie żyją. (...) Nie żyją od osiemdziesiątego trzeciego roku. Jedna wyszła przez okno, druga zmarła we śnie. Widziałeś ich trupy, twoja matka je kłosała. Byłeś na pogrzebach. Co tydzień wsiedasz w autobus i jeździsz na cmentarz! One umarły, kiedy to pojdziesz?! Nie ma Boga, nie ma żadnego nieba! Nigdy ich nie zobaczysz! One nie żyją! (...) Jesteś nienormalny! Ciebie powinni zamknąć jak twoją mamuszkę”[7]. Ich nieobecności uczą się najbliżsi, stając się tak samo nieobecni dla tych, których będą stali się kochać, tym żarliwym, spragnionym, nieumiejętnym uczuciem.

Jerzy Lengauer

[1] Michał Urbaniak, „Lista nieobecności”, Mova, 2020, str. 202-203

[2] Tamże, str. 255

[3] Tamże, str. 57

[4] Tamże, str. 229

[5] Tamże, str. 61

[6] Tamże, str. 161

[7] Tamże, str. 207

PIĘĆ OPOWIADAŃ

Jerzy Lengauer

W pięciu opowiadaniach, z których dwa nazywane zostały w tytułach opowieściami („Opowieść starej piastunki” i „Opowieść dziedzica”), Elizabeth Gaskell oddaje głos narratorowi albo uczestniczącemu w opisywanych wydarzeniach, albo znającemu historię z relacji bliskich osób, bądź w końcu komuś, kto wspomina dawne dzieje, już obróste tajemnicą, prawie równe legendzie, osnute mrokiem upływających lat, rodzinnych niedopowiedzeń.

Stara niania zaczęła służyć jeszcze „u ładnej młodej damy, która rumieni się tak mocno jak ja” [1], będącej babcią matych studentów. Piastunka widzi, że historia wnuczki lorda nie budzi zainteresowania, przechodzi więc do opowieści o ich matce, wówczas ledwie kilkuletniej Rosamond, oczku w głowie opiekunki. Opowiadanie po króciutkim, raczej zdawkowym wstępie zaczyna się od osierocenia bohaterki i wyjazdu na północny wschód Anglii, gdzie blisko brzegów Morza Północnego i granicy ze Szkocją. Zapewne w dziewiętnastym wieku, gdy było pisane i opublikowane, owe krajobrazy i bliskość niepokodzonych z dominacją Anglików kalwinów wzbudzały dreszcz emocji, niepokoju, powodowały nastrój zagrożenia. Czy tak czuje się dzisiejszy czytelnik? Czy po prostu przechodzi nad tym do porządku akcji i rysu bohaterów? W zasadzie Gaskell tego napięcia wynikającego ze scenerii nie podsyca. Zamyka obie bohaterki, piastunkę i Rosamond w murach dworu Furnivallów, w otoczeniu milczącej służby i zastępych w latach przeszłości dalekich krewnych. Mieszkańcy wydają się woskowymi figurami. Aż strach spowodować, żeby się odezwały, poruszyły. Każdy ich ruch wzbudzi może tumany kurzu z warstw nałożonych na nich tkanin. Każda kryje w sobie dziesiątki przeżytych lat, ukrytych tragedii, zasklepionych w wyptowiałyach ubraniach tajemnic rodzinnych.

Jak to zwykle bywa, najsrozsze reguły łamane są przez nieodpowiedzialność i ciekawość nowo przybyłych mieszkańców, zwłaszcza, gdy atrybutem swoistego rokosa w zimnym i ponurym gmaszysku jest młodość. Działa jak kula śnieżna poryjająca wszystko, co do tej pory wydawało się nieporuszone. Postacie wydające się dotychczas przedmiotami nagle zaczynają się poruszać. Niepokojące szelesty stają się coraz częstsze. Ruch cząsteczek kurzu wyzwala emocje, budzi pamięć. Do głosu zaczynają dochodzić sfery dotychczas ukryte, pomijane. Te, których nie dotyczyły słowa, myśli i sny. Rozgardiasz i wścibstwo budzi duchy i demony uczynków z przeszłości, które miały zostać zapomniane na wieki spoczywając w rodowych grobowcach. Elizabeth Gaskell wyzwała, orzeźwia, przebacza, oddając hołd młodości.

W „Opowieści dziedzica” i „Szarej damie” spotykamy bardzo podobny schemat, zapewne zbudowany na strachu przed niefortunnym wydaniem młodych panien za mąż, niepokojach przed opuszczeniem bezpiecznego rodzinnego domu, a być może i przestrode przed zbyt dużym poddaniem się głosowi gorącego serca. Fascynujący może się w nich wydawać aspekt kryminalno-przygodowy obu opowiadań. Pierwsze jest krótsze i dzieje się w dość zamkniętej przestrzeni. „Szara dama” zaś to epicka opowieść, której bohaterowie przemierzają Francję i Niemcy. „Opowieść dziedzica” jest przede wszystkim doskonałym odwzorowaniem obaw wiejskiej społeczności przed obcymi, którzy próbują zaskarbić sobie przychylność dotychczasowych mieszkańców, zasiedziały od pokoleń w jednym miejscu.

Ktoś nieznan, przez nikogo nie anonsowany, bez referencji towarzyskich z pewnością stanowi zagrożenie: „Niech licha porwie sir Harry’ego! Dla niego ważne jest tylko to, czy mężczyzna dobrze się prezentuje w siodle. Kim właściwie jest ten... człowiek? Skąd pochodzi? Czy ma jakiś majątek? Kim są jego krewni?” [2]. Ufanie mu jest błędem, spowoduje z pewnością kłopoty. Dopuszczenie bogatego dżentelmena do towarzystwa, oddanie mu w krótkim czasie dość ważnej roli w społeczności to według Gaskell zapowiedź nieszczęścia. Niestety nie da się go uniknąć, bo mieszkańcy zostali uwiedzeni przez przybysza: „Stary ojciec chodził z nią wszędzie, z wyjątkiem celi jej męża i nieustannie rozdzierał jej serce, obwiniając siebie za nakłanianie jej do małżeństwa z mężczyzną, o którym wiedział tak niewiele” [3]. Jednak przypadek bądź słabość rzucają cię nieufności i wzbudzają potrzebę społecznego śledztwa.

Zanim o bohaterce „Szarej damy” będziemy mogli powiedzieć to, co o Kate Hearn z „Opowieści dziedzica”, będziemy musieli przejść wiele momentów wzbudzających trwogę, od młyna pod Heidelbergiem przez okolice Lyonu, by wrócić niedaleko początku opowieści, czyli do Frankfurtu. Oczywiście, gdybyśmy byli tagodnymi, ciekawymi pensjonarkami. Ale nawet czytelnik z dwudziestego pierwszego wieku uroni choć jedną łezkę, poczuje ból z lewej strony, gdzieś w okolicach serca, jakiś smutek rozlewający się po myślach. Autorka ma tendencję do czynienia wstępów. W „Szarej damie” jest on na tyle długi, że sugeruje wręcz powieść szkatułkową. Niestety brak jest opowieści ramowej, więc wrażenia dwóch młodych dam z odkrytej historii pozostają dla czytelnika nieznanne. Przyjaciółki są tak bardzo zafascynowane pewnym portretem, że zdobywają rodzinny manuskrypt. Czytają go, tłumacząc na francuski. Odkrywają przed nami list matki do córki. Cóż, ostrzegający przed małżeństwem. Historia jest straszliwa. Dominacja męża. Zamknięcie w wyznaczonych pokojach zamczyńska. Okrutna noc. Ucieczka. Zagrożenie. Tulaćka przez Francję i Niemcy. Życie w ciągłym strachu. Ukrywanie. Zniszczona młodość. Dziewiętnastowieczna powieść ma na szczęście tę piękną cechę, że nieszczęśliwy bohater znajduje, po ogromie okropnych doświadczeń, ukojenie przy kimś, kto z mniej lub bardziej osobistych pobudek zaopiekuje się pokrzywdzonym.

Bohaterka „Ubogiej klaryski” nie miała tyle szczęście, choć ukojenie znalazła... Wydaje mi się, że w pewnym sensie bardzo uduchowione, religijne dziewiętnastowieczne czytelniczki mogły się czuć usatysfakcjonowane zakończeniem długiego opowiadania, którego akcja dzieje się i w Anglii, i na kontynencie. Rzecz opowiedziana jest przez starszego już prawnika, który tak wspomina: „Przypuszczam, że większość starszych ludzi, takich jak ja, spogląda wstecz na swoją życiową drogę raczej z pewnym sentymentem powiązanym z miłym wspomnieniem niż dla prześledzenia wydarzeń – choć mogą one okazać się znacznie ciekawsze dla większości – pojawiających się raptownie przed ich oczami” [4]. Otóż właśnie! Nie wszyscy z nas są starszymi ludźmi, lecz na opowieści sprzed około dwustu lat patrzemy przecież z osobliwym rozręwnieniem. Wyzierająca z nich pewna naiwność fabuły, przedstawienia postaci, inaczej rzędzi naszymi sercami, duszami, umysłami niż powieści współczesne. „Uboga klaryska” jest dość rozbudowana i oczywiście mimo tego, że daleko jej do wielkich duchem, arcyzmem

i objętością powieści o Nicklebym, Copperfieldzie, małej Dorrit, Oliwierze Twiście, straszliwie smutnej historii rodzinnej Apanaczki i Old Surehanda, czy w końcu monumentalnego „Spadkobiercy z Kalkuty”, wciąż nas nieprzytomnie. Wiele ta opowieść ma zalet. Jedną z nich jest prowadzenie narratora. We wstępie jest oddającym się wspomnieniom starszym panem, potem wszystkowiedzącym opowiadaczem historii bohaterów, następnie powiada: „Przechodzę teraz do czasu, w którym sam zetknąłem się z osobami, które opisuję. Abyście zrozumieli, w jaki sposób zaznałbym się z nimi, muszę napisać co nieco o sobie” [5]. Owo pisanie o sobie kończy się tym, że narrator staje się jednym z bohaterów, odgrywającym bardzo niepoślednią rolę, bo dla własnego (ale rzecz jasna nie tylko) dobra musi stawić czoła kłótwie rzuconej przez oszalałą z tęsknoty i miłości kobietę. Urok niszczą nadzieje, zapowiada do śmierci życie przekłętę. Walka przeciwko niemu przenosi się z siedemnastowiecznej rewolucyjnej Anglii do ogarniętej wojną Antwerpii...

Ród Griffithsów to walijska rodzina, w której w dziewiątym pokoleniu ma spełnić się klątwa o jej wygaśnięciu. Rodzą się synowie. Gaskell powoli i spokojnie opowiada o narodzinach dziadka i jego brata. Potem następuje długa historia ojca i syna, ich relacji. Zapewne chodzi o wskazanie przyczyn późniejszych zachowań syna, rozdarcia duchowego, samotności, niepewności i w końcu szukania czegoś w rodzaju spełnienia emocjonalnego. Gdy rodzi mu się męski potomek, autorka przypomina, że „klątwa działała. Spełnienie przepowiedni było już bliskie!” [6]. Oczywiście wiemy, że w opowieści nastąpi tragedia. Przypuszczamy także, który z ojców stanie się ofiarą. Jednak nie może być ukarany ktoś, kto staje bezradny, bezwolny, samotny w obliczu piętna sprzed kilkuset lat. Ta świadomość wynikająca z doskonale poprowadzonej fabuły zmusza czytelnika do szeregu rozważań iście mitologicznych i tragicznych. Gaskell każe nam przypomnieć sobie Sofoklesa, Szekspira, Dostojewskiego.... Ale nie daje złudzeń, że nastąpi boska interwencja, bo tej w „Niesamowitych historiach” szukać próżno. Bohatero-cobojca jest opuszczony przez świat bogów i ludzi, tracąc prawie w jednej chwili więcej niż zapowiadała klątwa. Cóż mu pozostaje? Kto jest na tyle silny, żeby młodemu człowiekowi podarować świat gdzieś poza przekłętą siedzibą Griffithsów – już opuszczonym domem w Bowden?

Elizabeth Gaskell opowiada historie, w których duchy zastępowane są przez wdziała naszych nieszczęść, emocji, złych przeczuć. Dużo znajdziemy tu odniesień do czasów o sto i więcej lat poprzedzających życie autorki. Być może jest to związane z dziewiętnastowiecznymi oczekiwaniami i potrzebami wynikającymi z politycznych, społecznych, tudzież duchowych i umysłowych trendów epoki.

JERZY LENGAUER

[1] Elizabeth Gaskell, „Opowieść starej piastunki” w: „Niesamowite historie”, przeł. Ewa Horodyska, C&T, 2014, str. 5.

[2] Elizabeth Gaskell, „Opowieść dziedzica” w: „Niesamowite historie”, przeł. Ewa Horodyska, C&T, 2014, str. 35.

[3] Tamże, str. 46.

[4] Elizabeth Gaskell, „Uboga klaryska” w: „Niesamowite historie”, przeł. Ewa Horodyska, C&T, 2014, str. 47.

[5] Tamże, str. 60.

[6] [1] Elizabeth Gaskell, „Kłątwa rodu Griffithsów” w: „Niesamowite historie”, przeł. Ewa Horodyska, C&T, 2014, str. 126.

Teodozja Świdarska

Wierszem

Gdyby można obsypać świat
Płatkami jasnych słów – rozświetlić,
Oczarować go życiem
Rany rymem pozszywać
I tylko strzec wolności.

Gdyby tak umieć z wersów
Poukładać nam ścieżki
Ze światłem w słowach –
Niczym gwiazdne dywany

Widoczne wprost z nieba.

Gdyby się dało w strofach
Dostrzec właściwą drogę

I przemierzać nią śmiało –
Nim w roli guru – pasterza
Myślący serdeczny człowiek.

Gdyby tak umieć wierszem
– Może byśmy do siebie trafili
– Podzieleni
Może byśmy się jeszcze zastali
– Na tej ziemi.

Biblioteka

Zniewala walorami boska biblioteka:
Białe kruki pośród drzew, woń pól lawendowych.
Jasną przyszłość zwiastuje złotousty rzepak,
Regały z winnicami — bukiet win gronowych.

Woluminy rzek płyną treścią w oceany,
Mapy myśli rozwija sklepienie alei,
Z błogą rzeźkością lasu rajskie nenufary
Wyzwalają z marazmu lub zgubnych płomieni.

Nie trzeba znać języków, by czytać jej piękno,
Dostrzegać sens życia i umieć je doceniać,
Objąć sercem i myślą — pozostanie wdzięczną.

Zbiory tej biblioteki wprost z ziemi i nieba
Zasobne w światła tomów, obłoki wzruszenia
Przed nocą barbarzyńców wciąż chronić je trzeba.



Portret Teodozji Świdarskiej wykonał Zbigniew Ikona – Kresowaty

Ars poetica na dziś

Staff chciał zachwycać prostotą
głębokim spojrzeniem w oczy
wierszem jak ręki podanie
z ludzką tęsknotą się bratał.

Dziś wzrok i dłoń na smartfonie
– życie za szybą na dotyk
wirtualny związek, spacer –
w sieci błądzą dusz tęsknice
i profile udziwnione.
Choć w ofercie trwała pamięć,
jeszcze wolne miejsca w chmurze,
– świat wokoło się zwitkaczył.

Może dzisiaj trzeba wierszem
wylogować z chmur do życia.
Z metaforą zejść w korzenie
trzcin rozchwilanych, rozfoliować
rdzenie słów – ptakom skulonym
na drutach zobrazować drzewa.
Cicho nucić do snu dzieciom,
o tym, czego nie widać, co jest
w leśnym poszyciu i pod rzesami
ukryte, gdy słońce lub *deszcz dzwoni jesienny...*
– od Staffa – uczmy się głębi.

Świeżyński Adam

Twój widok z mojego okna

Z mojego okna nie widać Ciebie
Z Twojego okna nie widać mnie
Przez zachód słońca zerkamy w siebie
Najpierw na jawie, potem we śnie.

Patrzemy prosto w słońca źrenicę
Tę samą, która wygląda nas
By zatrzeć okien naszych granice
Wyznaczyć wspólną przestrzeń i czas.

A po zachodzie z otwartych okien
W ciemności źrenic szukając się
Tęsknimy sennie za takim mrokiem
Który ogarnie Ciebie i mnie.

Z mojego okna by widzieć Ciebie
Z Twojego okna by widzieć mnie
Wystarczy spojrzeć prosto przed siebie
Tuż przed zachodem, jeszcze we dnie.

Koszula

W błękitcie koszuli
zdjętej z wieszaka
moje spojrzenie
obudziło Ciebie.

Podwinięty rękaw zakotłosał się zalotnie
a kołnierzyk jeszcze bardziej rozszerzył na boki
jakby chciał, abym zajrzał do środka.

Odgięta metka podała mi rozmiar naszej bliskości.
W zagnieceniach i pomarszczeniach materiału
rozpoznałem intensywność naszych uścisków.

I każde jej włókno
wypowiedziało Twoim zapachem
moje imię.

Dariusz Pawlicki

Przedemną szpaler grabów
Za nim gąszcz trzciny
Za nim ściana lasu
Za nim niebo z chmurami
Za nim...
Właśnie
Co za nim?

NIE...

Przy grobie Ignacego Herbszta
Mego pradziadka posadzono lipę
Jako że na chleb zarabiał strugając
Z drewna lipowego i olchowego drewniaki
W krainie głazów i pagórków polodowcowych zwano je klompami
Był w tym mistrzem – jako jeden z niewielu
Wykonywał je również na dziecięce stopy
Dzieła swych rąk sprzedawał na jarmarkach

Nie, mój pradziadek nie był lekarzem
Nie był też prawnikiem ani ziemianinem...

KWESTIA

PUNKTU OBSERWACJI

Zaokienny widok obejmuje
Wyłącznie błękit nieba
Na nim wiele wróbli i szpaków oraz para pustulek
Jakby się nie dostrzegały
I taki widok mógłby ktoś na długo
Bądź na zawsze zachować w pamięci

Tymczasem gdy te pierwsze i drugie usiądą
Te trzecie zaatakują

Jak pies został burmistrzem (i nie tylko o tym)

Brytyjczyk Tom Phillips jest z zawodu komikiem, pisze jednak niekomiczne książki. Jego Prawda. Krótka historia o tym, jak s*ięprzylismy wszystko blisko dotyka tego, co aktualnie dzieje się na świecie.

Mimo postępu, historia ludzkości jest kroniką niepowodzeń i klęsk. Gdzie byśmy byli, gdybyśmy potrafili uniknąć niezliczonych błędów – takich, które niekoniecznie musiały się zdarzyć i które popełniliśmy po wielokroć?

To pytanie w książce Phillipsa w formie dosłownej chyba nie pada, ale wszystkie jej 10 rozdziałów są nim podszyte (epilog także). Wszystko zaczyna się od Lucy – naszej protoplastki sprzed milionów lat, której szczątka w latach 60.–tych odkryto w Etiopii i które dziś stanowią ozdobę Muzeum Narodowego w mieście o nazwie Piękny Kwiat, czyli w Addis Abebie (widziałem). Po szczegółowych badaniach okazało się, że ten słynny szkielet naukowcy mogli odkryć tylko dlatego, że Lucy – małpolud, australopitek – spadła z drzewa, na którym przesiadywała i pod którym – po upadku – skonała/zdechła.

Cała książka Phillipsa dowodzi, że ludzkość przez swoją lekkomyślność i głupotę w historii wielokrotnie spadała z drzewa, a to, że jeszcze nie szczyła, graniczy z cudem.

Głupi ma szczęście?

Skąd u ludzi skłonność do powtarzania po wielokroć tych samych błędów – skłonność do wielokrotnego spadania z drzewa?

Phillips winą za to obarcza dwie podstawowe predyspozycje mózgu. Tendencję do „kotwiczenia” i skłonność do opierania się na tym, co w danej chwili jest najbliższej dostępne.

Kotwiczenie oznacza, że gdy podejmujemy jakąś decyzję, niewspółmiernie duży wpływ na nas ma pierwsza zastyszana informacja. Z kolei dostępność oznacza, że z wielkim upodobaniem dokonujemy oceny na podstawie tego, co najłatwiej przychodzi nam na myśl, zamiast głęboko rozważać wszystkie dostępne informacje. To zaś oznacza, że skłaniamy się ku temu, by postrzegać światła prawie wyłącznie przez pryzmat niedawnych zdarzeń, podczas gdy starsze (mogące nieść istotny ładunek informacji) są przez nas pomijane.

Współdziałając, zakotwiczenie i dostępność są przydatne do szybkiego wydawania sądów w chwilach bezpośredniego zagrożenia, albo do podejmowania wszystkich drobnych decyzji, które składają się na naszą codzienność, a które tak naprawdę nie mają większego znaczenia. Jednak gdy chce się powziąć ważniejsze decyzje, uwzględniając złożoność współczesności, taki stan rzeczy okazuje się koszmarem, który nieustannie spycha nas na manowce.

Phillips pisze: „Umysł będzie próbował

wślizgnąć się do strefy komfortu, korzystając z czegoś co słyszeliśmy niedawno”. Lub – co usłyszeliśmy na ten temat po raz pierwszy. Do tego wszystkiego dochodzi efekt potwierdzenia. Wszak nasz mózg nienawidzi dowiadywać się, że nie miał racji. „Efekt potwierdzenia – stwierdza Phillips – jest irytującym nawykiem, który jak laser naprowadzający pocisk na cel, skupia naszą uwagę na każdym strzępie dowodu potwierdzającym to, w co już wierzymy i niefrasobliwie ignoruje znacznie większe stopy dowodów sugerujących, że być może kompletnie się mylimy”. Właśnie dlatego trudno jest odwieść zwolennika teorii spiskowych od jego przekonania; dostrzega on tylko te fakty i wydarzenia, które potwierdzają jego wersję i ignoruje te, które do niej nie pasują.

To dlatego wciąż spadamy z drzew.

Vis maior?

Ten nie jeździł pociągiem

Opisując szczyty ludzkiej głupoty, Phillips przytacza zdarzenia wręcz niewiarygodne. M.in. to, jak w Kalifornii, w roku 1981, w miasteczku Sunol, na burmistrza wybrany został... PIES! Czytamy: „Bosco Ramos, niekoniecznie rasowy czarny labrador, przytaczająca większość głosów pokonał dwóch dwunożnych kandydatów, gdy jego właściciel, Brad Leber, wpisał go na listę wyborczą (...). Trzeba przyznać, że wyszło nieźle – Bosco powszechnie chwalony jako bardzo dobry burmistrz, pełnił urząd przez ponad dziesięć lat i przestał dopiero w 1994 roku tylko dlatego, że zdechł. (...) Bosco jest czule wspomniany w Sunol, gdzie do dziś stoi jego odlany z brązu posąg, a jego kadencję zakłócił tylko jeden poważny międzynarodowy incydent – po masakrze na placu Tienanmen chiński Dziennik Ludowy wykorzystał burmistrza, żeby zaatakować zachodnią demokrację z powodu tego, że nie widzi różnicy pomiędzy ludźmi a psami. Skończyło się na tym, że Bosco dołączył do grupy chińskich studentów na prodemokratycznym proteście przed chińskim konsulatem w San Francisco”.

Żeby potwierdzić tezę o wielokrotnych upadkach z takich samych drzew, na sąsiedniej stronie czytamy, że burmistrzowi Bosco daleko do miana najdziwniejszego zwycięzcy wyborów. „Ten zaszczyt przypadła (...) Pulvapies, marce pudru do stóp, która została burmistrzem w ekwadorskim mieście Pizcoa w 1967 roku. [Czy ktoś jeszcze będzie się dziwił, że prezydentem mógł zostać Andrzej Duda? – RW] Puder Pulvapies właściwie nie został oficjalnie zgłoszony jako kandydat, ale jego producent akurat przeprowadził w kraju żartobliwą kampanię reklamową ze sloganem: *Głosuj na kogo chcesz, ale jeśli pragniesz wygody i higieny, głosuj na Pulvapies*. W dniu wyborów puder do stóp, startując jako dopisany do listy przez głosujących, zdobył tysiące głosów w kilku okręgach – a w Picoazie zdołał wyjść na prowadzenie,

ku wielkiemu zaskoczeniu (...) dwunożnych kandydatów”.

Kosmiczny sarkofag?

Jakby tego było mało, o jeszcze jednej powtórcie upadku z takiego samego drzewa – w znacznie większej skali. Bezmyślne wyrzucanie na prawo i lewo śmieci, w tym plastiku do mórz, jest jak wiadomo jednym z największych błędów ludzkości. Tymczasem – jakbyśmy niczego się nie nauczyli – w to samo powtarzamy w Kosmosie.

Mowa o tzw. syndromie Kesslera.

W roku 1978 Donald Kessler, naukowiec pracujący dla NASA, przewidział, że – gdy przebywając w przestrzeni pozaziemskiej, śmiecie będziemy usuwać poza burzę statków kosmicznych – doprowadzi to do katastrofy. Problem polega bowiem na tym, że śmiecie w kosmosie zostają i krążą zachowując taką prędkość i tor lotu, jak to z czego zostały wyrzucone. Gdy ich przybywa, z czasem zderzają się z innymi śmieciami.

„Kłopot z tym – czytamy – że z powodu prędkości kolizja jest niestychanie niszczytelna. Zderzenie z małym obiektem może być katastrofalne w skutkach dla satelity, czy stacji kosmicznej i spowodować powstanie milionów nowych odłamków, które będą doprowadzać do następnych kolizji. Kessler przewidywał, że gdy zaśmiecanie przestrzeni kosmicznej przekroczy punkt krytyczny, wówczas nastąpi efekt lawinowy, aż w końcu nasza planetę otoczy chmura dziedzających z ogromną prędkością śmieciowych pocisków. Wynik: satelity staną się bezużyteczne, a loty kosmiczne śmiertelnie niebezpieczne. Zostaniemy skutecznie (...) przykuci do Ziemi”.(1)

Byłby to zaiste bardzo niepoetycki koniec podróży ludzkości, która miliony lat temu zaczęła się od upadku Lucy. (Jeszcze jedna wersja mitu o upadku człowieka?). Czyżbyśmy mieli swą peregrynację przez tysiąclecia zakończyć (Phillips:) „zamknięci na naszej planecie, w więzieniu zbudowanym z własnych śmieci”?

PS: Zanim jednak do tego dojdzie, Phillips będzie mógł dopisać jeszcze jeden rozdział o ludzkiej głupocie: o pandemii, która owszem jest, ale której zwalczanie jest gorsze od niej samej i sprowadza się do podcinania gałęzi na której kiedyś siedziała Lucy, a teraz siedzimy my.

Znów drzewo.

ROMAN WARSZEWSKI

Tom Phillips, *Ludzie. Krótka historia o tym, jak s*ięprzylismy wszystko*, tłum. Maria Gębicka-Frąc, Albatros, Warszawa 2020 (Gwiazdka w tytule jest ma polskiej okładce. Ach, ta pruderia.)

1. Czy Kessler nie wziął pod uwagę tego, że wiele śmieci z czasem będzie zbliżać się do Ziemi i sptonie w ziemskiej atmosferze?

Co zaprzęta poetycką myśl Stefana Jurkowskiego

moje miejsce głęboko jest we mnie*

Co zaprzęta poetycką myśl **Stefana Jurkowskiego**? To pytanie zadałam sobie, trzymając w ręku jego najnowszy tomik „**Obcy jestem**”. Zaskakujący tytuł, natychmiast rodzi kolejne pytania: dlaczego obcy i komu obcy? Stefan Jurkowski jest przecież poetą znanym i o znaczącym dorobku. Na jego książki czeka się jak na wydarzenie. Co więc skrywa się za tytułem i dlaczego tak od razu mrozi? Otóż odpowiedź nie jest taka prosta, stykamy się bowiem z trudnym do określenia ciężarem, którego doświadcza bohater liryczny tych wierszy. Czym jest owo doświadczenie? Summą doświadczeń kształtujących aktualny dobrostan wewnętrzny i ogląd świata, mówiąc najogólniej.

bezcieleśne ubieramy w ciało
wzrok się domaga dotyk krzyczy
ulegamy dosłowności
sami dosłowni

nie pomagają nam drzewo z raję
nadał spala nas co było na początku
wszystko dookoła

otrzymało nazwy
okaleczone do trzech wymiarów

my także – obrazy obrazki rytuały

– huragan
porywa nas unosi zrzuca w przepaść

aż pękają czaszki
w których miazga

absolutu

bezcieleśne ubieramy w ciało)

W poezji Jurkowskiego jak w soczewce skupiają się kolejne stopnie poznania, od zmysłowego przez ontologiczne po metafizyczne. Wszystkie one dochodzą do głosu i mówią pełnym głosem. Wyraźne jest doświadczenie przemijalności, skończoności, w którym paradoksalnie tkwi zarówno i jednocześnie pragnienie nieskończoności. Refleksje, jakie wysnuwa bohater liryczny, budują jego metahistorię, są świadectwem świadomości bycia.

pod powierzchnią słów
pod skórą wszechświata
niewypowiedziane poluje
na swój czas

(Tajemnice, fragm.)

Gdy wyczerpują się zmysłowe sposoby poznania, z których wyrasta się jak z ciasnego ubranka, uruchomione zostają inne możliwości. One przychodzą z czasem, z dojrzałością. Rozbudzona świadomość będzie chciała zaglądać pod podszewkę nie tylko życia. Będzie wykraczać poza granice empirycznego poznania rzeczywistości, jak czyni to liryczne „ja”.

kładka pomiędzy wczoraj a jutro
pęka – lewitując nad dzisiaj –
nad pustym kraterem
(Tajemnice, fragm.)

„Wczoraj” i „jutro” zlewają się w „dzisiaj”, w jedną chwilę zamkniętą w wierszu, oddającą stan myśli i odczuwania. W takich chwilach mieszczą się jednocześnie wszystkie czasy. Bo czy w jutro nie są wpatrzone przeczucia lewitujące „nad pustym kraterem”? A czy lęk przed nieznanym jutrem nie jest już tym „dzisiaj”? Warstwy „geologiczne” pamięci nachodzą na siebie. Granice między wczoraj a jutro zacierają się, co znaczy, że przekroczona zostaje kolejna granica, tym razem ku tajemnicy. Umie tego dokonać myśl – wsparła o doświadczenie i kody pamięci. Lecz co powoduje owo „poruszenie”, by zrodziła się refleksja? Na to i inne pytania odpowiedzią może być tylko kolejne pytanie. Liryczne „ja” w swych dociekaniach jest niestrudzone i zarazem zdaje sobie sprawę z niemożności dotarcia do odpowiedzi.

sam sobie się zapodziałem
w przeźroczyściej pamięci
poprzez którą widać inną stronę świata
niczym przez okno może
wypadłem i lecę w dół albo w górę
obok mnie
imię i nazwisko znam je
ale nie mogę znaleźć
drogi skąd dokąd
obcy jestem
bez twarzy i słowa

znikąd do-

-nikąd
(Amnezja)

Wiersz *Amnezja* przytoczyłam w całości. Po pierwsze dlatego, że z niego wyprowadził autor tytuł całego tomiku, a po drugie – że podrzuca w nim tropy do rozumienia mrozącego stwierdzenia „obcy jestem”. Bohater liryczny świadom tego, że większość życia strawił na budowaniu relacji on-otoczenie oraz pełnego obrazu siebie, na doszukiwaniu się własnej tożsamości, w końcu porzuca myślenie o sobie w wymiarze osobowościowym; „odchodzą ode mnie rzeczy pamięć”. Zagarnia go lot „znikąd do-nikąd”. Wpada w zimną przesterzeń i niemal staje się nią, obcy dla tamtego siebie. „Bez twarzy i słowa” – to jak być już poza granicami siebie, które się najpierw ustanawiało, a potem porzuca.

moje miejsce głęboko jest we mnie
nie mogę się go wyrzec – przecież
to ja zbudowałem ten dom
z sobą w środku

(Wrastanie, fragm.)

W wierszach zasygnalizowana zostaje zmiana optyki w patrzeniu na rzeczywistość.

Szczegół, przedmiot, miasto, tak ważne dawniej, teraz są tylko rekwizytami tamtego czasu i zdarzeń. Punktami odniesienia. Bardziej lub mniej nikłym śladem na wektorze czasu. Jest więc i CZAS, wszechobecny, wyczuwalny w każdej z „chwil” tych wierszy. To w nim przegląda się doświadczenie lirycznego „ja”, a właściwie summa doświadczeń. Doświadczenie zawsze uwikłane jest w jakiś czas, stanowi jego nieusuwalne tło. Jest nawet wtedy, gdy czynimy próby wyeliminowania go ze świadomości. I zwłaszcza wtedy, gdy przemijalność zaczyna się obserwować więcej w sobie niżli w otaczającym nas świecie, co dzieje się w przypadku bohatera lirycznego, który z własnym światem stopniowo schodzi w głąb siebie. Lecz paradoksalnie taki stan wyprowadza go na niewyobrażalne przestrzenie. A my toniemy wraz z nim w przemyśleniach i zaczynamy wierzyć, że są one naszymi.

i liczne śmierci – których żałujemy –
czają się pomiędzy minionym
a niekończącą się teraźniejszością
przychodzą w cudzym przebraniu
jeszcze pod inne adresy

(***CIEŃ – SPADAJĄCE OSTRZE, FRAGM.)

Liryczne „ja” i alter ego autora prowadzą piękną liryczną grę myśli. Przeczucia, egzystencjalne lęki, zwątpienia i ogrom „zamyślonej” przestrzeni wnoszą przedziwny ciężar. Uprzymiarniają obecność w nas nieznanego, w doczesności niezbadanego, co zagnieżdża się i trawi od środka. Zdawałoby się, że jest dla nas czymś niewyraźnym. Tymczasem autor to niewyraźne wyraża. Jak? Polecam zagłębić się w lekturę tych wierszy. Wejść w ich mądrą retorykę, pełną filozoficznych dociekań. Postępować głosem wewnętrznej bohatera, który wpada w coraz większą „własną ciszę”, jakby w tym stanie tylko dało się zobaczyć tajemnicę; „nie przyjdzie ona jest / we mnie / niczym skamieniałe miasto / żywa skała (...) noszę ją żywą i umarłą / ten bagaż codzienny / jak chleb powszedni // albo bramę / do miasta ocalonego / do spopielonego miasta // wiecznego / wietrznego” (***) (nie przyjdzie ona jest, fragm.).

Aby osiągnąć takie poetyckie wyżyny, nie wystarczą tylko słowa. A tych jest w poezji Stefana Jurkowskiego akurat mało, konstrukcja wierszy też jest oszczędna. Tu decydują możliwości samego autora, w tym kreacyjne i warsztatowe, zdolne przeprowadzić tę całą alchemię.

ELŻBIETA MUSIAŁ

*cytat pochodzi z wiersza „Wrastanie”, z tomu „Obcy jestem” Stefana Jurkowskiego

Stefan Jurkowski, „Obcy jestem”; Oficyna Wydawnicza STON 2, Kielce 2020, s. 98.

Jerzy Stasiewicz

Czy to Ty Janie podążasz w poszukiwaniu panaceum?

Zajmę się dzisiaj, 3 listopada 2020 roku – syn-drom pandemii, sąsiad z naprzeciwka zakażony koronawirusem – indywidualnym spojrzeniem na człowieka jego egzystencję przez Jana Szczurka poetę z Łącznika na Opolszczyźnie. Zabieram się do tego eseju od wielu, wielu miesięcy. Ale brakowało bodźca, takiego szpikulca, bata, popchnięcia. Dziś nie wiedzieć czemu, z ochotą siadłem do czystej kartki papieru, format A4, w kratkę. Takie dziwne przyzwyczajenie do linijek. Z białej litery spadłyby chyba na podłogę? Zabobon... jak i to, że nie należy pożyczzać – ja nie pożyczam – swojego pióra – utrata weny. Ale do rzeczy.

Jan Szczurek urodził się w 1949 roku w Skrzypcu koło Prudnika. Ukończył Akademię Rolniczą we Wrocławiu oraz Uniwersytet Opolski (studia podyplomowe). Debiutował w 1973 roku, jeszcze jako student tryptykiem: „Wrocławskie jaśminy, Tańczyć z Tobą, Dziękuję Ci Mamo”. I zamilkł, wydałoby się na całe ziemskie życie Jezusa Chrystusa. Odnajdujemy go dopiero w 2006 roku w antologii *Kiedy gwar miasta cichnie* Robotniczego Stowarzyszenia Twórców kultury w Nysie. W błędzie byłby czytelnik myśląc, że Jan Szczurek na 33 lata zarzucił pisanie. Przystawia szufladę (segregatory) pełną rękopisów (surowca jak często mawia). Po tym jakby powtórnym debiucie ruszył z kopyta – to poeta reprezentujący środowisko wiejskie, muszę więc dbać o odpowiednie określenia – pojawiając się w antologiach, almanachach, wydawnictwach festiwalowych, prasie literackiej. Jednak na publikację związków nie mógł się zdecydować. Cisnątem Jana ze wszystkich stron. Myślę, że przeważał autorytet doktor nauk humanistycznych Daniela Długosz-Pency, znakomitej poetki z Prudnika – łowcy narybku literackiego.

W słowie wstępnym do pierwszego tomu *W poszukiwaniu panaceum* (2017) napisałem tak:

Prawdziwa poezja rodzi się nie tylko w wielkich ośrodkach miejskich, ale także między Górą św. Anny a Kopą Biskupią w otoczeniu przyrody, w regionie, gdzie poeta zamieszkuje od dziesiątków lat. Jest u siebie, wśród sąsiadów współtworzy kult pracy, przywiązanie do ziemi, tradycji, oszczędności i zapobiegliwości. Ubogą środowisko swoją słowiańską duszą, gotową oddać bliźniemu ostatnią parę butów w czasie srogiej zimy.

Dodam: „Bez Was nie ma nic z przeszłości. // Dojrzały na drogach i bezdrożach. // Nic bez Was teraz ani potem. // (...) Obyśmy sprawdzili listę obecności // (...) znowu za rok.”

Jan Szczurek własny świat poetycki rozłożył na całe życie. Wchodzimy w dzieciństwo powojenne. Ze świadkami okaleczonymi

wojną po obu stronach płotu. Dla dzieci nie skażonych podziałami ważne co dzisiaj, jutro. Z odczytanych wersów jawi się jako pouczająca lekcja i wzór do naśladowania. Życie toczy się naprzód. Następuje odrodzenie społeczności tutejszej i napływowej. Rodzi się nowe pokolenie, owoc przemieszania ludów, choć nie jest to łatwe. Gruby jest mur uprzedzeń. Trzeba lat by poznać tradycję i przyswoić mentalność. Nie wszyscy jednak tego pragną.

Słowa poety: „Latem tego roku / usecht w ogrodzie / włoski orzech // (...) Ale krok dalej / z pomiędzy kamieni / wystrzelił młody.”

Albo odwołanie się do Góry Świętej Anny (1350 stóp wysoką, Świętojańską zwaną – Józef Lompa, w języku niemieckim: Sankt Annaberg, śląskim: Świyntô Ana) „taka mata / jest kroniką / złożonych kości.”

I przywołanie pamięci Kazika Olajossiego: „Kaziu / w 1956 roku piliśmy mleko / od tej samej krowy / do szkoły w Komornie za wiedzą / jeździliśmy rowerami / by później dzielić się nauką z innymi. // Od urodzenia znaleźmy doskonale / smak soli tej ziemi / było obojętne czy ktoś śpiewał / „Czerwone maki”, „Góralu” / czy „Junge Komm Bald Wieder*.” (**Nie wszystkim umrę*)

W pamięci poety są zarejestrowane tylko obrazy wartości uniwersalnych, świadczące o człowieczeństwie lirycznego Ja.

We wnikliwej obserwacji, zaangażowaniu, pomocy w odbudowę pałacowych komnat, które przez pięćdziesiąt lat pozbawione sufitów błagalnie patrzyły w niebo, wołając o ratunek, który nie nadchodził. Czasy były nie ku temu. Brakowało Judymów pragnących uleczyć stare mury. Z nastaniem nowego ustroju, odżyły dawne animozje i ci co nieśli kiedyś świetlany ład na transparentach przypomnieli sobie ojcowski rodowód. Kłody nie zahamowały odbudowy. Biało-czerwony sztandar z orłem powiewa wysoko na pałacowej wieży.

„Patrząc na historię tej ziemi / – to dobre, że tak wielu / jeszcze pamięta wczoraj – / tylu zabitych, zgwałconych, zniewolonych... // Urodziłem się tutaj / chcę rozmawiać z tymi / którzy szukają panaceum / na nicłość / na fałsz.”

A zesłanie fanatyka (Franciszek Jopek) pragnącego odbudować pałac i ożywić park lustrami wody, zdrowym drzewostanem,

powrotem łabędzi, czapłą wyzerającą narybek – poeta także zaangażowany w re-witalizację pisze w trzeciej części „Tryptyku o Franciszkach” w pod tytule „Z Dobrej”: „Franciszek zatrzymał się w przydrożnym parku // (...) sroka, wróbel, kos i jeżyk / odśpiewały dziękczynny psalm proroczy. // (...) pozwolił(y) skierować wzrok na szare mury / tkwiące w gęstwinie oddzielone potokiem. // Droga krzyżowa remontu trwa od 2001 roku”.

Słowem dotykana jest przestrzeń po granicę horyzontu z jej historią bardzo tragiczną. Ze złożonymi życiorysami mieszkańców, którym przyszło żyć na ziemi śląskiej będącej kiedyś częścią różnych państwowości. Tylko poeta w sumieniu może zmierzyć się z tym węzłem gordyjskim.

„Historia tej ziemi pomnikami szydzi. Nie ważne kto w tej ziemi leży Ci pod pomnikiem bez gwiazdy czy Wehrmacht i na Kema Fine Żydzi.

Iluż tu wojów bywało, ile wojennych teorii. Walczyli Tatarzy, Szwedzi, Austriacy, Francuzi, Niemcy, Rosjanie czy ta Śląska ziemia nie może mieć własnej historii?

Iluż to braci wspaniałych bez grobu, pomników złożono pokotem pomnikiem ich honor i szyderstwo śmierci dla tych co graver „Gott mit Uns” mieli i tych co przyszli z „Sierpem i młotem”.

A cóż będzie z nami (...)?

W kolejnym wierszu „Przestroga” dopowiada: „jakież to smutne umierać wszędzie / tylko nie u siebie.”

O zbiorze garść ciepłych słów dorzucili: Daniela Długosz-Penca, Antoni Dąbrowski, Zbigniew Kresowaty, Grzegorz Weigt, Fran-tišek Všeňička.

W 2020 roku Jan Szczurek ogłosił kolejny tom poezji pt. *Czy to Ty?* Pod redakcją jak poprzednio Piotra Goszczyckiego, w tym samym wydawnictwie Komograf i z moim słowem wstępnym. Pozwolę sobie je tu przytoczyć jak poprzednie, podpierając lirykami, na które z zasady we wstępach książkowych nie ma miejsca. A są przecież uzasadnieniem wniosków wstępowa. Z którymi czytelnik nie zawsze musi się zgodzić?... Wszak każdy ma odrębny życiorys, indywidualne postrzeganie świata. Wstęp to tylko azymut. Tu poprzedzony sentencją Arystotelesa *Jest fałszem powiedzieć o tym, co jest, że nie jest lub też o tym, co nie jest, że jest. Natomiast jest prawdą powiedzieć o tym, co jest, że jest i o tym, co nie jest, że nie jest.*

Czy to Ty... Janie podążasz w bezkresne uprawne pola leżące

wokół Arkadii zbudowanej własnymi rękami. Czując falowanie łanów oceanu pokory dla trudu? Cieszysz się z każdego centymetra przyrostu, jędrności pąków. Mógłbym rzec jesteś winnicą, w której z biegiem lat dojrzewa coraz mocniej Twoja miłość do kobiety Jedynej.

„(...) Dorodne grona/ zrywane latem mulczącej. / Stawiam butle, / jak miesiące. (...)”

O Elżbieto... Elżbieto – zakola tańczonego walca pamiętasz?

Mówią tak wiele... bez słów. Jak to dawno. W akademiku

poprosiłeś najpiękniejszą dziewczynę do tańca. I czule objąłeś

smugą wiersza na wyboistą drogę życia, którą przyszło kroczyć razem.

Wiatr, duch miłości ziębił Wasze plecy, pozostawiając ciepło piersi dla kołyski.

„(...) W bieli korygujemy siebie nawzajem./ używając zamożności stanu ducha. / Kreślimy wzajemną przyszłość, / jak obrazy pozbawione ramy. (...)” w innym wierszu dodaje „Czas przyjął potacie bieli, // (...) w łanach zbóż / jak Twoje piersi / podczas naszego spaceru ..// (...) W ciszy zmiernych czekam, // (...)Twoich kroków.”

Kolejny „ (...) Ile szczęścia w spotkaniu / w dotyku Twej dłoni / w uścisku.(...)”

Jesteś człowiekiem – w Twojej świadomości tkwią głęboko ludzie,

z którymi żyłeś na skrawku rodnej, śląskiej ziemi. Odeszli.

Ich cząstka pozostała w Tobie i przemawia wersami liryków.

Poeta strażnikiem pamięci. Tak. To prawda. Ale

puszki nie da się zapełnić wspomnieniami. Bolał Cię puste okna, nie wykośzone podwórza, zdziczałe gołębie. Pod postacią ptaka, pszczoły, świetlika realistycznie wyobrażasz sobie duszę zmarłych powracające w miejsca doczesne. Widujesz demony młodych dziewcząt i noworodków. Ta ziemia kryje straszliwe tajemnice czystości rasy.

„(...) pamięć to antocyjan owoców / zerwanych z drzewa / mijającego życia”. Albo: „ (...) Czas jest młotem / roztrzaskującym szkło (...)”. Niemalże ze łzami. Poeta ma prawo do też „(...) Gdy Oni poszli w swoją stronę. / Wszystko trzeba było budować / od nowa. (...)”

Jesteś prawdą – kamieniem na rozstaju dróg. Na kamieniu

przysiadł pątnik, strudzony drogą, podążający na Górę Świętej Anny,

oddać pokłon Pani Śląska. W płomieniach i krwi widziała

nienawiść sąsiedzką. Próbujeś dociec czy człowiek współczesny

wyciągnął wnioski i odnalazł Dekalog, oślepiiony błyskiem bogactwa,

wielkości, dumy, nadprzeciętności w tłumie szaraków. I bolejesz

zwyczajnym ludzkim strachem, że zło jest wpisane w człowieka.

„Świątłość przyszła z portfelem / i z portfelem odeszła. / Rzeczywistość jak ziemia / przestała rodzić. // (...) historia skrzypi słojami w drewnie (...) // Koszary dozbrajane pustką / udowadniają potrzebę istnienia. (...)”

Pamiętam, jak trzy lata temu ułożyłeś Twoją historię w tom

W poszukiwaniu panaceum. Trud Twój został nagrodzony *Gustawem*.

Pod pachą dźwigasz drugi tom poezji. Aby Cię zgłębić studiowałem

nocą w zaciszu Stasiewiczówki przy blasku świecy pokoju.

Kroczyłem szlakiem Twoich myśli pewnie... gdzie po drugiej stronie

wymykał się niepostrzeżenie cień człowieka, zadając ból.

Teraz wiem, że warto Cię czytać. Bo w tej liryce bitych gościńców jest wiele.

I wszystkie oznaczone słupami milowymi.

Odwdzięczyłeś się pięknym lirykiem „Stasiewiczówka i Markietanki”. Odnosząc się – trzeba to przekazywać młodym - do „ Ziuka Pierwszej Brygady”. Zauważyłeś ten niewidzialny „ arras miłości rozpięty / między furtką a altaną .” I zaświadczasz Janie, że w tym ogrodzie bywali/ bywają : „Goszczycki , Borzemski, Ravicz, Brągiel.” Wielki to zaszczyt dla mnie – mimo tych straszliwych ograniczeń pandemią. O! widzę przez okno, sąsiad ozdrowieniec grabi trawę, zrywa liście z drzew ?! Niby prozaiczne zajęcia, a jak cieszy... - w ogrodach Stasiewiczówki promować tom, który z narażeniem życia ze stolicy przywiózł Piotr. Uzbrojony w maskę i przyłbicę. I przyjaciele nie zawiedli, spragnieni słowa i poezji Jana Szczurka. „ Dym kominka Szamana /... i te kwiaty.” Bo w tej liryce jest iskra Ziemi. Sacrum i profanum. Odniesienie do kultury tworzonej przez ludy osiadłe i wędrujące przez te tereny – czasem za chlebem, częściej z mieczem. Głębokie przeświadczenie autora, że dobro tkwiące w człowieku zrodzi plon szacunku dla przyszłych pokoleń. Ale to nie jest jeszcze ostatnie słowo poety Jana Szczurka.

JERZY STASIEWICZ

Jerzy Stasiewicz

Janusz Ireneusz Wójcik

138 stron poezji

No... cóż powiedzieć

20-25.09.2020

Zobacz

Wiersze wybrane na stole

W październiku Janusz

był na moim wieczorze autorskim

138 stron poezji

wszystko co po nim zostało

słowa -

jak kamienny fundament

- na wieki

Tu w kapeluszu

jak żywy

z dyskretnym uśmiechem

Zaraz zabierze głos

Lubiłem tą jego wirtuozerię mowy

przeplataną węgierskim Székesfehérvár

Właściwie wiersz ten, napisany na go-rąco – zaraz po śmierci – mógłby posłużyć jako plan szkicu / eseju życia, trochę recenzji twórczości i wielopłaszczyznowego działania Janusza Ireneusza Wójcika. Ale czy w kilku wersach liryka, można pomieścić osobowość tak nadprzeciętną? Wyróżniającą się w tłumie ludzi ciekawych, także wnoszących swoją pracą dorodne grona kultury nie tylko polskiej.

Kto mógł przypuszczać, że w październiku 2019 roku w Nyskim Domu Kultury na moim wieczorze autorskim w ramach salonu widzimy się po raz ostatni. Uśmiechnięty, w elegancym garniturze pod krawatem jak zawsze. Delektował się kawą. W czasie dyskusji rzucił kilka celnych uwag popartych cytatem / dowodem naukowym. Ubolewał że większość społeczeństwa nie czyta, a poezję czytają tylko jednostki. Zachwycony koncertem saksofonowym Pawła Brzeźnickiego i matką sceną im. Jerzego Kozarzewskiego.

- Jurku w tym miejscu twoje wiersze brzmiały głębią, echem życiowej studni, wiatrem niosącym chłód. Mówił to w holu wystawowym – kostiumy sceniczne – przy ogromnej fotografii pięknego wnętrza teatru nyskiego z przelotu wieków XIX i XX. Do którego na



przedstawienia przyjeżdżała publiczność dwa razy w tygodniu specjalnymi pociągami z Wrocławia i Opola. Zerkałem dyskretnie po łóżach uśpionych w sepii – w takiej scenarii powracają duchy przeszłości – próbując dostrzec małego Maxa Hermana Naisse, skrobiącego w ogromnym sztambuchu dosadną recenzję spektaklu, w którym najjaśniejszą gwiazdą była Leni Gebek. Nadaremnie.

Janusz na spotkaniach autorskich pojawiał się wybiórczo. Jego obecność świadczyła o randze i szacunku dla pisarza. Sam prowadził takich spotkań setki na przestrzeni trzech dziesiątków lat. To wystrzyżone widzenie wartości. Był uczestnikiem wielu polskich (Kraków, Poznań, Lublin, Wrocław, Warszawa, Hola) i międzynarodowych festiwali poetyc-

kich m.in.: „Maj na Viliq” Litwa, polskie Zaolzie w Czechach – kawiarenka w Jabłonkowie przeszła już do legendy. Na Węgrzech, otrzymując tytuł Honorowego Obywatela Miasta Székesfehérvár. W Budziszynie na Łużycach (Niemcy) w okręgu gdzie język górnołużycki, obyczaje i tradycje są najlepiej zachowane, a Łużycanie – słowiańska grupa etniczna – stanowią większość ludności. Na Ukrainie, Stowacji często przyjmując trudne obowiązki współprowadzącego.

Ale największą pasją Janusza Ireneusza Wójcika, absolwenta Akademii Rolniczej we Wrocławiu oraz Uniwersytetu Wrocławskiego i Uniwersytetu Jagiellońskiego (studia poddyplomowe) była nieprzerwanie przez 30 lat, organizacja Najazdu Poetów na Zamek Piastów Śląskich w Brzegu. Bywałem na tych najazdach wielokrotnie. Początkowo nie jako pełnoprawny uczestnik. Ale z możliwością zaprezentowania własnego wiersza w salach zamkowych przed ogromną publicznością i poetami z prawie całego świata. Możliwość usłyszenia prezentacji wiersza przez najwybitniejszych polskich aktorów: Zbigniewa Zapasiewiczza, Olgę Sawicką, Jerzego Zielnika, Joannę Kasperską, a w szczególności Wojciecha Siemiona pozwalała osiągnąć niemalże ekstazę dotyku słowa, widoczności obrazu, wędrówki ducha, głębi falującej echem. Dzisiaj na wspomnienie tych misterii poetyckich dreszcze przechodzą po ciele. A było jeszcze misterium chleba sięgające tradycji klasztornej. Połączone z poetycką ostatnią wieszczą. Poeci różnych języków, kultur i religii łączeni chlebem jak członkowie jednego szczepu bo na początku było słowo, a słowa nie wznoszą murów jak twierdzi pisarz ateński Kratynos. Mam przed oczami obszerny, na pół komnaty, czarny jak noc, dębowy stół rzeźbiony odbijający polityrą ptomienie świateł. A na jego blacie krytym haftowanym obrusem dziesiątki bochnów chleba w różnym kształcie, smaku i twardości. Setki bułek z makiem, miodem, kminkiem, prosem i sezamem. W koszykach chałki, plecionki, zawijacze. Wszystko z piekarni brzeskiego mistrza piekarnictwa Józefa Kostrzewy. Dla którego działalność zawodowa stała się poezją codzienności. Najważniejszą dla egzystencji człowieka. Janusz jako gospodarz swym pięknym, radiowym głosem (talent oratorski) niesamowicie stanowczym jak fale spokojnego oceanu rozpoczął życzenia. Wspominając, że chleb – święte dzieło Boga – tak naprawdę zauważalny jest dopiero w czasie jego niedostatku. Wspominał swoich przodków zajmujących się przez pokolenia piekarnictwem i potrafiących w straszliwych latach wojny przekazać parę bochenków najbardziej potrzebującym. Docenił to głodny. Obymy my nie musieli tego doceniać nigdy. Niech w naszej świadomości pozostanie na zawsze słowiańskie powitanie chlebem i solą. Symbol przyjaźni i gościnności. Łamaliśmy się chlebem jak wierszem. Wspominając tych co jeszcze wczoraj byli z nami ubogając nas swoim słowem. Teraz czytając liryki osiadłym na wiecznych wrzosowiskach. Dzisiaj razem czytacie Janusza. I tradycją stało się, że poeci te wspaniałe wypieki zabierali w rodzinne strony niosąc dobro z grodu Piastów. Był turniej jednego wiersza dla uczniów szkół brzeskich by talent nie umknął. I ruszała poetycka bracia po miasteczkach Opolszczyzny spotykając się z młodzieżą w szkołach, z czytelnikami w bibliotekach, domach kultury. Mnie najbliższe było do Prudnika (tutaj poznałem malarstwo Jerzego Kaptańskiego), Paczkowa (zwiedzanie muzeum gazownictwa, film „ Butelki zwrotne” w ramach festiwalu kinematografii czeskiej), Moja Nysa (spotkanie grupy „ Dialog” w muzeum i promocja tomu wierszy *Twarz ludzka* Maxa Hermana Nassie w przekładzie na język polski Karoliny Rakoczy). Łambinowice (tereny muzeum jeńców wojennych Lamsdorf i prezen-

tacja wierszy w językach więźniów). Co musiał czuć prof. Bolesław Taborski powracając w to miejsce jako poeta. Jak głęboko sięga pamięć dziecka? Należało by wymienić wszystkie miasta i miasteczka województwa. Bo wszędzie stanęła stopa i zabrzmiało słowo poety. Kilkakrotnie najazd miał swoje zakończenie w Krakowie w Hotelu Europejskim w salce „Kossakówka”. Tutaj gospodarzył wydawca naszych książek i szef konfrateri Jacek Lubart - Krzysica. Dopiąć takie festiwale, w tylu miejscach, przy sporej liczbie uczestników, wymagała umiejętności menadżerskich. Janusz takowe posiadał. Działanie było jego żywiołem, przyjemnością i celem życia. Ale przecież spotykaliśmy się nie tylko na najazdach. Innym terenem poświęconym dla poezji jest Korfantów. Miejsce życia i twórczości Edmunda Borzemskiego – poety wspomnień – przyjaciela zmarłego. Tutaj w bibliotece – remizie, gimnazjum, sali GOKu, domu Edmunda był czas na promocję książek, wieczory autorskie, koncerty, ale i długie rozmowy przy gościnnym stole rodziców Mundka. Takimi samymi miejscami jest kawiarenka artystyczna „Dom Klahra” w Łądku gospodynii corocznych nocy poetów, kraszonych poezją śpiewaną – to także z natchnienia Janusza – i galeria artystyczna „Krezbi” w pobliskim Zdroju. Gdzie z otwartym sercem przyjmują Grażynka i Zbyszek Kresowatowie. Otoczeni dziesiątkami prac malarskich Ikony - Kresowatego zapachem farb i kadzidełek, smakując swojski chleb, smalec z cebulą i kiszone ogórki, stuchaliśmy wspomnień Janusza o kresowych miasteczkach, polskości tam kulturowanej i poetce Mariannie Bocian z Bełczycą, której życie przyszło we Wrocławiu. Wszystko to pozostanie w mojej pamięci.

Przejdę teraz do omówienia niezwykle oryginalnej poezji Janusza Ireneusza Wójcika. Urodzonego we Wrocławiu w 1961 roku. Posłusznie tutaj *Wierszami wybranymi* – wydanymi dzięki Bogu za życia autora. Dosłownie ostatnie dni. Mógł jeszcze tomem się nacieszyć, dotknąć, wziąć w dłonie, otworzyć, przekartkować, przeczytać kilka utworów. – Może znalazł przekłamanie co pozostanie tajemnicą. - Tak czynią pisarze / poeci po każdym narodzinach książki – dziecka. Nie wiem czy wpiął komukolwiek dedykację? – Przystanymi mi przedwczoraj (1 października 2020 r., 2 egzemplarze) przez panią Helenę Wójcik, mamę poety, z prośbą o potwierdzenie odbioru przesyłki. Co uczyniłem niezwłocznie w obszernym liście, powiadamiając, że jestem na etapie pisania szkicu o Januszu. Materiał ukaże się w prasie literackiej i zbiorze; wspomnień, szkiców i esejów, który powoli przygotowuję do druku. Odpowiedź rodzicielki była natychmiastowa – teraz wiem po kim zmarły miał werwę działania –

„ Brzeg , dn. 13/10.20 r. Szanowny Panie (piękny, staroświecki zawijas). Dziękuję Panu za potwierdzenie otrzymania książki – „ Wybrane wiersze” mojego syna Janusza. Jestem bardzo zainteresowana pisaniem przez Pana esejem o Januszu. Proszę o wiadomość gdzie mogę nabyć prasę literacką i wymienioną książkę. Janusz przywoził do mnie prasę, ale nie wiem gdzie kupował? Serdecznie pozdrawiam matka Janusza Helena Wójcik”.

Wydał tomy wierszy: *Opisywanie świata* (1991), *W cień oliwnego drzewa* (1996), *Brzeg czasu* (2001), *A fény kertésze – Ogrodnik światła* (Székesfehérvár, 2017). Wiersze ukazywały się w prasie literackiej, almanachach, antologiach i rocznikach powiązanych z literaturą w kraju i za granicą. Co znamienne swoją pierwszą książkę poetycką uważał za przedwczesny debiut publikacją wziętą. O czym szczerze mówił na jubileuszu 20-lecia pracy twórczej. (Razem z Harrym Dudą – dwie dekady więcej - w opolskiej bibliotece). A przecież tomik redagował wybitny redaktor, krytyk literacki i poeta Lothar Herbst. Ukazała

się w serii Biblioteka Wroclawska. Doczekała się kilku znakomitych recenzji. Wymienię tylko legendarną już poetkę wrocławską Mariannę Bocian. I zaolziańskiego poetę i krytyka literackiego Wilhelma Przeczka. A można by mnożyć nazwiska... Ja w tym tomie odnalazłem dramatyczne poszukiwanie człowieczeństwa. Jego obrony w subtelnej sferze przeżyć. Ale i szukanie korzenia piękna uśpionego w człowieku, czekającego na pobudkę o świecie wolności bez lęku ludzkich przywar.

Mnie Janusz Ireneusz Wójcik jawi się jako poeta, którego poezja ocala od zapomnienia, przywraca i ożywia to, co przeszło, „ Drzewiej / na brzegu Odry / mieszkańcy osady / ujrzeli kotwicę // na wieki pozostała / symbolem ocalenia i nadziei”. Jakże my dziś w dobie pandemii potrzebujemy takiej kotwicy. Przewodzi nas nad jezioro Como, to pogranicze Włoch i Szwajcarii, skąd przybyli Komaskowie, budowniczości Brzegu ukochanego miasta, szanowani za sztukę w Niemczech i Skandynawii. Wiem, że poeta podróżował do kolebki kultury łaćwińskiej. Zwiedził Wenecję, Florencję, Rzym, Asyż. Czerpał z antycznego źródła czego dowodem jest *W cień oliwnego drzewa*. Pamiętam krującą po plecach ostrzem doznań interpretację utworów z tego tomu w Radio Opole przez Ewę Lubowiecką – dziennikarkę w przeszłości aktorkę Teatru 13 Rzędów Jerzego Grotowskiego. Tu zgadzam się co do joty z Robertem Gawłowskim który pisze w postwoju *Wierszy wybranych*: „(...) poezja Wójcika spełnia swoją postugę pamięci wobec tych, którzy przemówić już nie mogą”. Dotyczy to bohaterów wierszy, których poeta ocala od zapomnienia.

„(...) talent i wyobraźnia oraz humanistyczna perspektywa, jaką deklaruje wprost i faktycznie przyjmuje liryczne „ja”. Jej istotą jest otwarcie na to, co inne i nieznanne, na obce (...). Istotna staje się więc opozycja między wykożenieniem a zakorzenieniem”. Nie pierwszy to poeta w naszej literaturze powojennej. Urodzony już tutaj na ziemi śląskiej, wiele lat po wojnie, gdzie polskość okrzepła. Wydawałoby się z tutejszej gleby, a odczuwający posmak czarnoziemi kresowego: Śniatyń, Kołomyja. Zaśpiew języka, przenikanie kultur, gdzie herbata i czaj niby to samo. A jednak nie...

Ja w tej poezji szukam tropów: „Ta księga / jest pierwsza / choć byłoby daremne / szukać w niej potęgi słowa / bowiem nawet te najpiękniejsze / utkane w śpiewie nocy / gasną o jutrzni (...) // Tę księgę / każdy z nas nosi w sercu / od chwili narodzin / trzeba tylko usłyszeć / modlitwę deszczu / płacz drzewa / i obudzić w sobie człowieka / aby ślepy nie musiał / zmywać błota z oczu / w sadzawce Siloe”. Słęgę po „płacz drzewa” to pamięć początku, głębokie osadzenie w chrześcijaństwie. Datowane pierścieniami przyrostu rocznego drzewa - zwłaszcza dębu – świadka minionych wieków. Faktem, każde posiada własną, niepowtarzalną historię. Jego pień kryje naturalne archiwum „ informacji naukowych” zanotowanych w postaci sekwencji stojów. Taki współczesny kod kreskowy. Tu jest wszystko jak na dłoni podanej człowiekowi. Poeta w człowieku szuka i widzi Boga przez wieki minione. Choć czasem wątpi deptany ludzką słabością. Nie przypadkowe odwołanie poety do Siloe, jerozolimskiej sadzawki w której kąpiel miała przywracać siły i zdrowie. Była też i Owca Sadzawka, uzdrowiała wchodzących do niej chorych, gdy anioł poruszał jej wody. Poeta podąża dalej, niestrudzony... jakby norwidowskim szlakiem... „ karmię się Tobą / niczym żywym chlebem // (...) nad brzegami nadziei”. Do tych brzegów podążamy wszyscy. Czekając na łódź Charona. Janusz już zasiadł do wiosł... Mimo, że odptłynął jego poezja pozostanie trwale na kartach historii literatury. Głęboko w to wierzę.

JERZY STASIEWICZ

Dalekowzrocność gęstej mgły ostrzem miniatur prozatorskich Małgorzaty K.

Nazwisko Małgorzaty Kulisiewicz z Krakowa kojarzyło mi się przede wszystkim z poezją. Wydała tomy: *Inni Bogowie*, *Kot Wittgensteina i inne wiersze* oraz *Ciasteczka z ironią*, o których miałem zaszczyt – nie tylko ja – napisać kilka ciepłych słów. Dużo drukuje na portalach, w prasie literackiej, antologiach i almanachach. Wyróżniana w konkursach poetyckich. Obecna – powiedziałbym – wszędzie. To zaleta w dzisiejszych czasach. Umieć się wyróżnić w szarzyźnie codzienności. I z tej codzienności zabieganej czerpać soki twórcze. To także autorka esejów, recenzji filmowych i literackich, publikacji historycznych, realizatorka reportaży telewizyjnych. Bogaty zakres zainteresowań, rozległa wiedza. Dziwić się nie ma czemu, wszak to absolwentka filozofii i polonistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Iluzjon ma wpisany w metrykę i postrzeganie świata przez krzywe zwierciadło portretowania zmyśleń – a może nie – fikcyjnych bohaterów z własnej kamienicy, kolegów po piórze, przełożonych. Niejednokrotnie przełożonych... przez swoich... przełożonych. Bo takie jest prawo dżungli wielkich korporacji. Niegdyś wielkich rodów. Zdobycy prawem łowcy. Porażem wypełniały się ściany gabinetów, bo na głowach brakowało miejsca. Niech nie myśli czytelnik, że polowanie to tylko przywilej wysoko urodzonych/ zarządzających. Przekonał się o tym pewien małopolski arystokrata w międzywojniu. Widząc wśród zwiedzających pałac jegomości bliźniaczko podobnego. Na pytanie: - czy matka była tutaj kucharką? Usłyszał: - ojciec ogrodnikiem! Lepiej nie dochodzić swojego pochodzenia. Ufając księgom parafialnym. Wszak słowa ulatują, pismo pozostaje (*verba volant, scripta manent*).

Czytam po raz wtóry „daleKowzrocność” jeszcze ciepły, wydany w suplementcie z „Poezją dzisiaj” (nr 145/2020) tom miniatur i troszkę dłuższych form prozatorskich Małgorzaty Kulisiewicz. A więc poetka z już ugruntowaną pozycją objawiła nam się jako prozaik. – Podskórnie słyszę KINEMATOGRAF KINEMATOGRAF KINEMATOGRAF Stanisława Młodożeńca. – Frapująca to proza dziwnych zdarzeń na pograniczu fikcji, snu, jawy i fantazji (rzeczywistej, o ile nie jest to zaprzeczeniem). Bohater opowiadań Małgorzaty K. to przebojowy inteligent (dzisiejsza przebojo-

wość w czasach mojej młodości - a mam dopiero / aż 52 lata – oznaczała chamstwo, no... może nie do końca) w przyciasnym garniturze z portkami na 7/8, świeącymi w oczy jak pochodnią skarpetami w kolorze stomy (niech będzie jęczmionka) próbuje zagnieździć się w ogromnym jak ponton, palącym w tyłek (tyłkiem także można osiągnąć ... „szczyt” kariery) hotelu zarządzcy kolejnego szczebla. Jakże to aktualne... Wyścig szczurów w szranki, którego wbrew woli jesteśmy wciągani.

Demon ruchu Stefana Grabińskiego mimo, że czasem ocieka krwią. Nie zna dzisiejszych depresji, wyobcowania, śmierci samobójczych.

Zdałem sobie sprawę dopiero dzisiaj z kart książki, że ten niedoceniany, rzadko zauważalny Chochlik, często wyśmiewany to Belzebub świata wirtualnego, strącony do tartaru obwodów i procesorów. Wszechwładny w czasie pośpiechu. Oto przykłady: - „Nowa huśta. Będzie tu WYBIDOWANY przez specjalistów nowy obiekt na osiedlu TYSIĄCLENIA. PARTOLE Straży Miejskiej pilnują porządku w mieście.

- A tu, zobacz tutaj. Przegląd filmów ANONIMOWYCH w kinie „Rapsodia””. W latach stalinizmu owy Chochlik wielu skazał na tułaczkę i więzienia. Stukot maszyny do pisania nastrożać skojarzenia młotów w kopalni Jaworzno. Dobrze, że dziś nie ma takiego przeżożenia. Ale jutro?

Celne nazwiska postaci, w pełni oddających ich obraz i charakter: prezes Szlam, redaktor Glon, redaktorka Pirania, redaktor Gen J'Alny. Tu nasuwa mi się pani Skurw... z Szewców Witkacego. Ale nie będę przeklinał na łamach poważnej recenzji? (wszechwładne media), Leokadia Strzyga, Paweł Gnuśniak, Jizi Lewiatan, Lucyna Fer i te obco (wrogo) brzmiące.

Jestem kontent jako czytelnik. By nie powtarzać sedna skorzystam więc z przedmowy do zobrazowania całości: „Komik umierający na scenie podczas występu w Klubie Stand-up Comedy, dziwny pokój w Grand Hotelu, w którym od wielu lat trąca życie goście, niezwykle przeżycia z rejsu czarnomorskiego wzdłuż południowych gra-

nic Sowieckiego Sojuza, niespełniony aktor, który w Londynie zmienia się w wielkiego ptaka, figowiec wielkolistny pochłaniający ludzi, miasteczko umarłych, do którego trafia przypadkowy pasażer autobusu”.

Odnajduję tutaj znajome tropy z Bułhakowa. Widzę, że Mistrz miał duży wpływ na Małgorzatę K. Może dlatego obróciła sobie jako motto twórcze jego wpis do dziennika z dnia 30 września 1923 roku.

„W literaturze powoli, ale jednak idę do przodu. Jestem o tym przekonany. Szkoda tylko, że nigdy nie mam pewności, czy to, co napisałem, rzeczywiście jest dobre. Jakbym dostawał paraliż mózgu i ręki, gdy muszę opisać to, co tak głęboko i prawdziwie czuję i myślę”.

Ale to nie jedyny trop w labiryncie mgły i osaczenia. Samotny bohater mocujący się z niezrozumiałymi strukturami rządzącymi korporacją. Dramatyczna walka niczego nie zmienia. Mielony przez gigantyczne tryby nakazów, zysków, rozwoju. To przecież duszna atmosfera świata Franza Kafki. Spotęgowana jeszcze dzisiejszą pandemią. Rozpadają się związki. Bycie singlem staje się modne jak posiadanie apartamentu na południu Europy. Ale czy nazbyt nie narzekam? Franz także żył samotnie - z wyboru - zwodząc kobiety obietnicą małżeństwa latami. Przykładem Felice Bauer z Prudnika - 29 km od mojej Nysy - Grete Bloch, Milenę Jesenską, tłumaczkę swych dzieł na czeski. Dopiero Dora Diamant zmusiła Kafkę do wspólnego zamieszkania w Berlinie, poświęceniu się wyłącznie pisarstwu. Ale za rok nadeszła śmierć. Rzeczywistość pchnęła fikcję na nowe tory, dodając rozpędu.

To właśnie widzę w prozie post-nowoczesnej Małgorzaty Kulisiewicz, okraszzonej humorem, dystansem, ironią - powoli znak firmowy autorki. Kanwę opowiadań spija z piany współczesności, „oka” na ludzi, zjawiska i zdarzenia. Czasem zastyszane historie bądź przeżycia własne, przetworzone przez zwierciadło nie tylko polskiej rzeczywistości.

Małgorzata Kulisiewicz daleKowzrocność
Wydawnictwo Książkowe IBIŚ s.80

JERZY STASIEWICZ

Mateusz Wabik

Co się wydaje w Krakowie?

Urodzona w Lublinie, a zamieszkała w Warszawie, Magdalena Kicińska zanim opublikowała w 2019 roku, swój pierwszy tom wierszy pt. „Środki transportu” nakładem krakowskiego Wydawnictwa Literackiego, zadebiutowała biografią Stefani Wilczyńskiej pt. „Pani Stefa” w 2015 roku.

Poezja ze „Środków transportu” była tworzona na styku awangardowego zapisu – z częstym pominięciem kropki i obowiązkowymi małymi literami oraz polskiej XX-wiecznej klasyki literackiej w stylu Tadeusza Różewicza (sprozaizowanie i zapis), Ewy Lipskiej (dystans do świata) i Wisławy Szymborskiej (ironia). Poetka nie zastanawiała się w swojej poezji nad materią poetycką, nie myślała do jakiej szkoły poetyckiej wpisać swoje wiersze, raczej stawiała na komunikatywność, sprozaizowanie nie poezji, nie zapominając o odważnych porównaniach i innych środkach poetyckich, które jednak skromnie dozowała.

Poetka trafiła w najdrobniejszych zdarzeniach jak np. w spacerze na Plantach, wizycie w sklepie zoologicznym zaskoczyć śmiałym obrazem, wycuciem niestosowności czy absurdu. W wierszu „Pani we Włościach” opisywała swoją wizytę na cmentarzu, podczas, której czyściła groby, ale pierwszy wers „jeśli spacer – to tylko na cmentarz” – od razu wprowadzał czytelnika w zadumę, no bo nie wielu ludzi potraktowałoby cmentarz jako miejsce do spacerowania. „Cmentarz” raczej często kojarzył się w poezji ze śmiercią,

smutkiem, stratą. Poetka pisała o swojej wierze, ale w swoich wierszach nie była nawiedzoną fanatyczką. Potrafiła często rozdzielić swoje powołanie poetyckie od religijności, a mimo swojej wiary nie chciała pisać tylko o religii. W swojej poezji także krytykowała banalność mediów, opisywała swoje wyjazdy turystyczne, wspominała dzieciństwo. Była świadoma swego nieuporządkowania – „nie jestem ogród/ jestem zapuszczony trawnik na zapuszczonym skwerze” („Nauka nieśmiania”).

Poetka wydała swój tomik po 30-e, a ja mimo tego często przypomniałem sobie czasy licealne, czytając jej tomik. Zupełnie jakby wychowywała się w Krakowie w latach 90-tych! Ten rodzaj ironii, humoru, wyniosłości, wrażliwość na religię, przebliski inteligencji kazały mi sobie wspomnieć o kilku koleżankach z klasy z nowohuckiego liceum, które nie mieszkały w Nowej Hucie. Mimo tej wyniosłości Kicińska często bywała schematyczna i kilka wierszy wg mnie jej powołanie poetyckie zdekonspirowało. No bo wiersz „*** lubisz te moje bon moty”, w którym poetka wypowiedziała słowa, których by na głos nie wypowiedziała wprowadziła do jej poezji jakąś taką potworną, niestosowną atmosferę – „Auschwitz było ładniejsze niż Kołomya”, które kazały doszukiwać się w jej wierszach pozy na inteligentkę, niż inteligentkę. Nie była przecież poetką buntu, drażliwości i ten wiersz na tle innych był niczym bohomasz w galerii jakiegoś nieudacznika. Nie

byłem zgorzany, że poetka w owym wierszu wspominała o swoich rozmyśleniach po seksie z mężczyzną. Ale tym, że coś takiego mogło jej przyjść do głowy. Także nie przekonał mnie wiersz „Powiadomienie”, w którym poetka pisała, że słowo „matka” było bardzo niestosowne, a właściwe powinno być „mama”. W ogóle nie rozumiałem o co jej chodziło. Jedno było bardziej oficjalne i miało wpisane w siebie jakąś dumę, drugie było zwykłe i potoczne. Oba wg mnie miały pozytywny charakter.

Właśnie te dwa wspomniane wiersze wyżej nieco kazały niedowierzać poetce. Ile w jej poezji było szczerości, ile konstruowania czegoś co było oddalone od niej bardzo, zbyt daleko, żeby jej poezja mogła być przekonująca? Lekkość dowcipu, czy zdrowy śmiech, kiedy poczuje się czasem, że świat, w którym żyjemy bywał czasem kompletnie absurdalny to całkiem coś innego niż brak wycucia, że coś było ohydne, albo, że się kompletnie przesadza, bo np. nic negatywnego nie było nigdy w słowie „matka”.

Mam nadzieję, że kolejny tom poetycki będzie lepszy, bo poetkę stać na to. Szczególnie powinna odrzucić schematyzm pewnych postaw charakterystycznych dla młodego wieku, mieć więcej odwagi i nie starać się być kimś innym niż się jest.

MATEUSZ WABIK

Magdalena Kicińska, *Środki transportu*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2019

Mateusz Wabik

Literatura z Łodzi bez fabryk włókienniczych

W 2016 roku wspólnym nakładem łódzkiego oddziału SPP i Domu Literatury w Łodzi ukazała się dwujęzyczna, polsko-niemiecka antologia współczesnych łódzkich poetów i prozaików pt. „Ani ziemia jałowa, ani obiecana. Antologia łódzkich pisarzy/Weder wüstes Land noch gelobtes. Junge Literatur aus Lodz” pod redakcją Macieja Roberta i ze wstępem krytyka literackiego Tomasza Cieślaka. Mimo braku w antologii wierszy jednego z najbardziej znanych łódzkich, poetów współczesnych – Piotra Macierzyńskiego, Tomasz Cieślak we wstępie stwierdzał, że antologia była nie tylko reprezentatywna dla łódzkiej literatury, ale w ogóle dla polskiej liryki współczesnej, świadcząc o tym miały liczne nagrody dla łódzkich poetów i prozaików (Piotr Macierzyński chwalił się kiedyś w jakimś wywiadzie, że średnią krajową wyrabiał dzięki nagrodom z konkursów). Kryterium jakie zastosowano w antologii było jedynie „biograficzne i topograficzne”, gdyż zaprezentowano współczesnych poetów związanych z Łodzią. Według Cieślaka w antologii można znaleźć wiersze, na który miała wpływ Nowa Fala (nie tylko chodziło o poezję nieżyjącego Zdzisława Jaskuły), ale także bardziej nowatorskie poetyki. Nie wytłumaczono w antologii, ani powodów dwujęzycznego wydania, ani tego, dlaczego zmieniono podtytuł niemieckojęzyczny – w wersji polskiej chodziło po prostu o antologię łódzkich pisarzy, a w wersji niemieckiej – młoda literatura z Łodzi, co niezbyt pasowało, gdyż zaprezentowano w wyborze teksty także nieco starszych niż trzydziestolatki, twórców

Do najciekawszych autorów ujętych w antologii można było zaliczyć urodzonego w 1958 (62 lata to na pewno nie młodość literacka) poetę, tłumacza i krytyka Jerzego Jamniewicza, debiutującego w 2011 roku tomikiem „Kanada” – Tomasza Bąka, Krzysztofa Grzelaka, fizyka i polonistę z wykształcenia Marka Czuku. Z prozy

najbardziej mnie przekonało pierwszy raz publikowane opowiadanie Marcina Bałczewskiego pt. „Dzień z życia Hiacynty Bałki”.

Jamniewicz w dwóch wierszach jawił się jako prześmiewca, sprawny żongler konwencjami i różnymi sferami językowymi. Za spalenie katedry na Piotrkowskiej w wierszu pt. „Neogotyki z żółtej cegły”, wg zebranego tłumu odpowiadał komuniści. Także nieobcy był humor związany z różnymi absurdami współczesności Tomaszowi Bąkowi, który w poemacie „Astrologowie ogłaszają koniec miesiąca Ostatecznego Wygaszenia Cywilizacji Białego Czołwieka” opisał wypadek „polskiego tramwaju na Placu Niepodległości” i konsekwencje tego wypadku, które mogły przeobrazić się w różne spekulacje historyczne, polityczne, kosmiczne. Krzysztof Grzelak w „Wiosna po zimie, a lato muminków; obraz historyczny” trochę makabrycznie i trochę humorystycznie wspominał swoje dzieciństwo u końca PRL-u: „niewinnie ryzykowaaliśmy/wdrażając się w handel uspołeczniony/wymieniając się historyjkami obrazkowymi/z donaldówek naszymi insygniami dziecięcymi”. W porównaniu do pełnych napięcia wierszy Marcina Świątlickiego z końcówki lat 80-tych, czy wierszy poetów stanu wojennego odrzuconych niegdyś przez krytykę literacką i profesorów różnych uniwersytetów (coż opisywanie jeżdżących po ulicach miast czołgów nie wpisywało się w ówczesną poetykę, ani nieco późniejszą okrągłostołową), ukazał, ten okres zupełnie zwyczajnie i nostalgicznie. Kto urodzony w latach 70-tych nie pamiętał owych historyjek obrazkowych z gum o nazwie „Donald”. Marek Czuku w wierszu

„Najlepsza jest Metallica” opisał pewien smutny dzień, związany z odwiedzinami w szpitalu i śmiercią kolegi. W wierszu został wspomniany utwór Metallicy „Fade To Black”, bardzo pasujący atmosferą do klimatu wiersza. Piotr Bałczewski we wspomnianym opowiadaniu opisał jeden dzień polskiej emigrantki w Berlinie, która pracowała w salonie masażu. Pozostali twórcy nie byli według mnie specjalnie słabsi (choć niezbyt mnie przekonali Przemysław Owczarek i Grzegorz Strumyk), ale ich teksty nie przyniosły mi większej frajdy i nie wiele z nich zapamiętałem.

Łódzka antologia nie była specjalnie nagłaśniana, nie czytałem o niej w prasie literackiej, ale według mnie swoje zadanie prezentacyjne spełniła całkiem nieźle, mimo braku w książce wierszy Macierzyńskiego. Nie było w niej wierszy pisanych w zgranych konwencjach, ani bardzo początkujących pisarzy, przez co trzymała poziom. Warto wspomnieć, że polskie wiersze i prozę na niemiecki przetłumaczyli Bernhard Hartmann, który na język niemiecki przetłumaczył m.in. wiersze Julii Hartwig, Tadeusza Różewicza i Tomasza Różyckiego i Renate Schmidgall, która była znana w Niemczech m.in. z przekładów prozy Pawła Huelle, Andrzeja Stasiuka, Hanny Krall, czy poezji Wisławy Szymborskiej.

MATEUSZ WABIK

Ani ziemia jałowa, ani obiecana. Antologia łódzkich pisarzy/Weder wüstes Land noch gelobtes. Junge Literatur aus Lodz, red. Maciej Robert, SPP Oddział w Łodzi/Dom Literatury w Łodzi, Łódź 2016

Mateusz Wabik

Krótko o krótkich wierszach

RECENZJE

„Wsobne maszynki” to tytuł kolejnego tomiku „Wanny Matysiak, poetki, która niegdyś zadebiutowała książką pt. „Czułość liter”. W jej nowym tomiku znalazło się 30 wierszy i sporo ilustracji Grzegorza Wróblewskiego. Poetka w nowej książce zajmowała się minimalizmem poetyckim, czyli poezją składającą się przeważnie z kilku, czy kilkunastu słów. Pisała m.in. o wydarzeniu się różnych spraw, przyrodzie, spaniu, obawach przed drugim człowiekiem, bogu, trudności w komunikacji, złu, biologiczności. Jej wiersze niekiedy były bliskie aforyzmowi, niekiedy składały się z poszatkowanych fraz budowanych na styku języka potocznego i własnej pomysłowości. Czasem do wiersza wkradała się interpunkcja, która miała wpływ na wizualizację wiersza jak np. opukuję/. /coś/. .” („*** opukuję”). Kilka jej pomysłów było jak najbardziej trafione i zastanawiające, inne zaś takie, że szybko przechodziło się do następnego wiersza.

Do takich ciekawszych wierszy Matysiak zaliczyłbym „* drobno”, w którym poetka

zadziwiła się samymi słowami i stopniowaniem przymiotnika „drobno”: „drobno/drobno/drobniutko” i na pewno nie tylko o to jej chodziło, żeby zadziwić się samymi słowami, ale one mogły odnosić się do różnych sytuacji, np. obserwacji zmiennych opadów śniegu, czy np. czynności solenia, czy pieprzenia. Równie ciekawy był krótki wiersz „Pomyłka w indeksie”, który składał się z trzech słów i dwóch pauz, a brzmiał: „-bóg/- - jego jadalność”. W tym krótkim wierszu słysząc nie drwinę z religii, ale niepokój o to, że przez czynność komunii św. w różnych wyznaniach chrześcijańskich ludzie łączyli nieuchwytny porządek duchowy, metafizykę z czynnością biologiczną – spożywania. Możliwe, że było to zaakcentowanie absurdu, ale wydawało mi się

podczas lektury, że poetkę zaniepokoiła ta czynność spożywania „ciała Boga”, która mogła być jakąś kulturową pozostałością po kanibalizmie. W swoich krótkich formach próbowała artystycznie uwypuklić pewną problematykę. Gdyby jej fraza była bardziej sprozaizowana, a ona bardziej rozgadana, z jej tomiku uleciałaby atmosfera.

„Wsobne maszynki” na pewno był tomikiem, który pozostawił wiele niedosytu, ale wydaje mi się, że dla tych kilku, czy kilkunastu odkrywczych i niepokojących tekstów można książkę Matysiak przeczytać.

MATEUSZ WABIK

**Anna Matysiak, Wsobne maszynki, SPP
Oddział w Łodzi/Dom Literatury w Łodzi,
Łódź 2020**

Mateusz Wabik

Z Polski do Anglii

Tomasz Mielcarek urodził się w 1974 roku. W 2013 roku zdobył pierwszą nagrodę w konkursie im. Bierzczyna i rok później zadebiutował tomikiem pt. „Obecność”, który został przetłumaczony na język angielski przez Davida Malcolma i na bułgarski przez Łyczczera Seliaszki. W 2020 roku ukazała się jego druga książka poetycka pt. „Przejazdem”, która także została wydana przez łódzki oddział SPP i Dom Literatury w Łodzi. Poeta na co dzień mieszkał w Londynie i pracował w zawodzie terapeuty behawioralnego.

Niestety nie czytałem pierwszego tomiku poety, a powyższe informacje zaczerpnąłem z noty biograficznej zamieszczonej w „Przejazdem”. W tomiku znalazły się wiersze pisane potoczystą, prawie, że prozatorską frazą. Bardziej mi te wiersze skojarzyły się ze współczesną poezją polską z lat 90-tych, albo do niej nawijającą, ale bez skandalizujących naleciałości, niż współczesną angielską czytana niegdyś w różnych czasopiśmie i antologiach. Jak wielu Polaków na emigracji czy to w Niemczech, czy w Norwegii (we Francji Polacy przejmują raczej styl kultury francuskiej), Mielcarek starał się zachować polskość w wierszach. Stąd wtęgotów, czy wyrazów angielskich znalazło się w jego książce bardzo mało. Tylko w nazwach miejsc. I nie czytało się jego poezji z poczuciem, że czytało się teksty w jakiś sposób różne od tego co publikowało się ostatnio w Polsce. Może trochę więcej w jego poezji było nostalgii za przeszłością, czy takiej poetyckiej melancholii, co oczywiście nie było zarzutem, tylko czymś co nadawało jego poezji więcej oryginalności.

W „Przejazdem” mimo, że poeta bardzo sprozaizował zapisy poetyckie, pozostało wiele niedomówień. Niektóre wiersze mogły się dziać równie w Polsce jak w Anglii.

Trudno też wywnioskować, czy poeta chciał napisać książkę, w której byłyby chronologicznie rozmieszczone reminiscencje z Polski związane z rodziną, wsią, na której się poeta wychował, ale także notatki z podróży i opisy pierwszych dni, czy miesięcy w Anglii. Czy po prostu będąc w Anglii rozpamiętywał dawne czasy i polskie i angielskie, nie chcąc pisać chronologicznego pamiętnika podróży.

W swojej książce Mielcarek wspominał śmierć matki, rytuał uboju na wsi, podczas którego jego ojciec zabił jakieś zwierzę. Wspominał także czasy szkolne w „Historii”, w którym to wierszu wspominał kolegę, który umierał na białaczkę, ale nikt nie wiedział, że ta choroba była powodem jego nieobecności w szkole, gdyż jego matka „chciała cały ból zatrzymać dla siebie”. Pisał w „Osadzie” o problemach polskiej wsi w latach 90-tych - „Po likwidacji PGR-u/chcieliśmy stąd uciec. Dokądkolwiek.” Jednak poeta pozostał wówczas w Polsce, ale później wyjechał. Opisywał też swoje wizyty na cmentarzu, nocne powroty do domu bez żadnego moralizowania, ale także bez jakichś wulgaryzmów, czy poetyckich popłuczyn. Opisywał rozstania z ukochaną, niepokój związany z przemieszczaniem.

Nastrój niepokoju także był udziałem pierwszych dni, czy tygodni w Anglii, gdyż pobyt za granicą wiązał się z wystawianiem pod pośredniakiem w Londynie by dostać pracę, obserwacjami zwalnianych pracowników fabryk, ale także spotykaniem różnych szaleńców jak np. w wierszu „North End”, w którym spotkany mężczyzna wieszczył koniec świata i mówił tak głośno, „że pomimo muzyki dochodzącej z pobliskiej

karuzeli//i hałasu przejeżdżającego tramwaju, można usłyszeć każde słowo”.

Mielcarek wszystkie swoje wiersze pisał w bardzo chłodnym stylu, sprawozdawczym, trochę za bardzo według mnie pozbawionym środków artystycznych w rodzaju zaskakujących metafor, czy porównań, ale jego „Przejazdem” za to było bardzo bogate w treści jak tomik każdej poezji bazującej na doświadczeniach autora. I na pewno jego tomik mimo ponurego nastroju, chłodu i smutku, nie wpisywał się w polską tradycję poezji autsajderskiej. Wszystko co wydarzało się w wierszach, w których były opisywane zdarzenia jak w prozie było przyjmowane przez podmiot liryczny jako konieczność. Na pewno „Przejazdem” był jednym z ciekawszych tomików wierszy pisanych na emigracji i wydanych ostatnio w Polsce, choć na pewno jak się rozmawiało z Polakami, którzy byli jakiś czas w Anglii zauważało się podobieństwa w nastawieniu do świata, bez tej polskiej złości, różne zbieżne emigranckie trudności, poszukiwanie pracy itp. Myślę, że kolejny tomik poety powinien być poświęcony głównie Anglii, bo w wielu tekstach pisanych na emigracji przez Polaków wspomina się głównie... Polskę, a wspominać stare czasy szkolne, dorastanie na wsi w Polsce, czy w Anglii, czy gdziekolwiek indziej owocuje wierszami bardzo polskimi. A dla czytelnika w Polsce takie wiersze o naszym kraju pisane przez emigranta wiele się nie różnią od tych pisanych przez poetów, którzy nie wyjechali na emigrację.

MATEUSZ WABIK

**Tomasz Mielcarek, Przejazdem, SPP
Oddział w Łodzi/Dom Literatury w Łodzi, Łódź
2020**

Wróżenie z Tulika

Jan Tulik to poeta mocno umocowany w lek-
sykonie znanych nam i szeroko już uznanych
polskich poetów współczesnych. Zgrzeszył dwu-
nastoma tomami, a każdy Jego nowy tom to na
drogocennej mapie poezji zawsze jest wydarze-
nie. Nie inaczej jest i tym razem. Jego najnowsze
„Tratwy Nostradamusa” to tom wart co najmniej:
lektury, uwagi, a przede wszystkim rozwagi czyli
wnikliwej analizy. Rzecz jasna lektura Tulikowej po-
ezji to też zawsze: wielka radość i przyjemność.

„Tratwy Nostradamusa” to wyjątkowo
udana poetycka próba uchwycenia ducha
współczesności. Jej konfrontacja z rzeczywi-
stością przytłacza, a w niej Sztukmistrz Jan
estetycznie nas prowokuje siłą przepowied-
ni w swym zderzeniu z brutalnością natury
i człowieka XXI wieku, który chciałby mimo
wszystko zniwelować niewytłumaczalną
mystykę zdarzeń oraz zdarzeń możliwych
i nieuchronnie nadchodzących. Poetyka
Tulika przenosi nas w swoisty inny wymiar:
inny wymiar pytań o Boga, miłość, o wrażli-
wość, o tęsknotę. Janek pyta nie z tej ziemi.
Pyta inaczej. Pyta poezją czystą i dziewiczą.
Z właściwą sobie pokorą wobec tych pytań,
pytań jakby ostatecznych, ale podanych
nam na tacy zwyczajności, na tacy natury
i prostych radości.

Tulik doskonale obrazuje naszą stałą
walkę wiary z niewiarą, ten ciągły prze-
kładaniec potrzeby i łaknienia wiary z mil-
czeniem Boga, z mistycyzmem śmierci,
z tęsknotą za wiecznością, przy jednocze-
snej grozie tej wieczności, grozie jej stało-
ści i ciągłości, a może i nieskończoności,
i generalnie naszym zagmatwaniu wobec
„osiągnięć” współczesnej filozofii, naszej
determinacji losu i krótkich chwil radości
i uniesień. Może tylko poezja jest odpowie-
dzią? Poeta z właściwym sobie heroizmem
poddaje w wątpliwość wszystko i wszystko
też kontestuje z oddalenia – jak to poeta,
wierny niewierny, nieufny Don Kichot zmar-
twychwstały wielokrotnie.

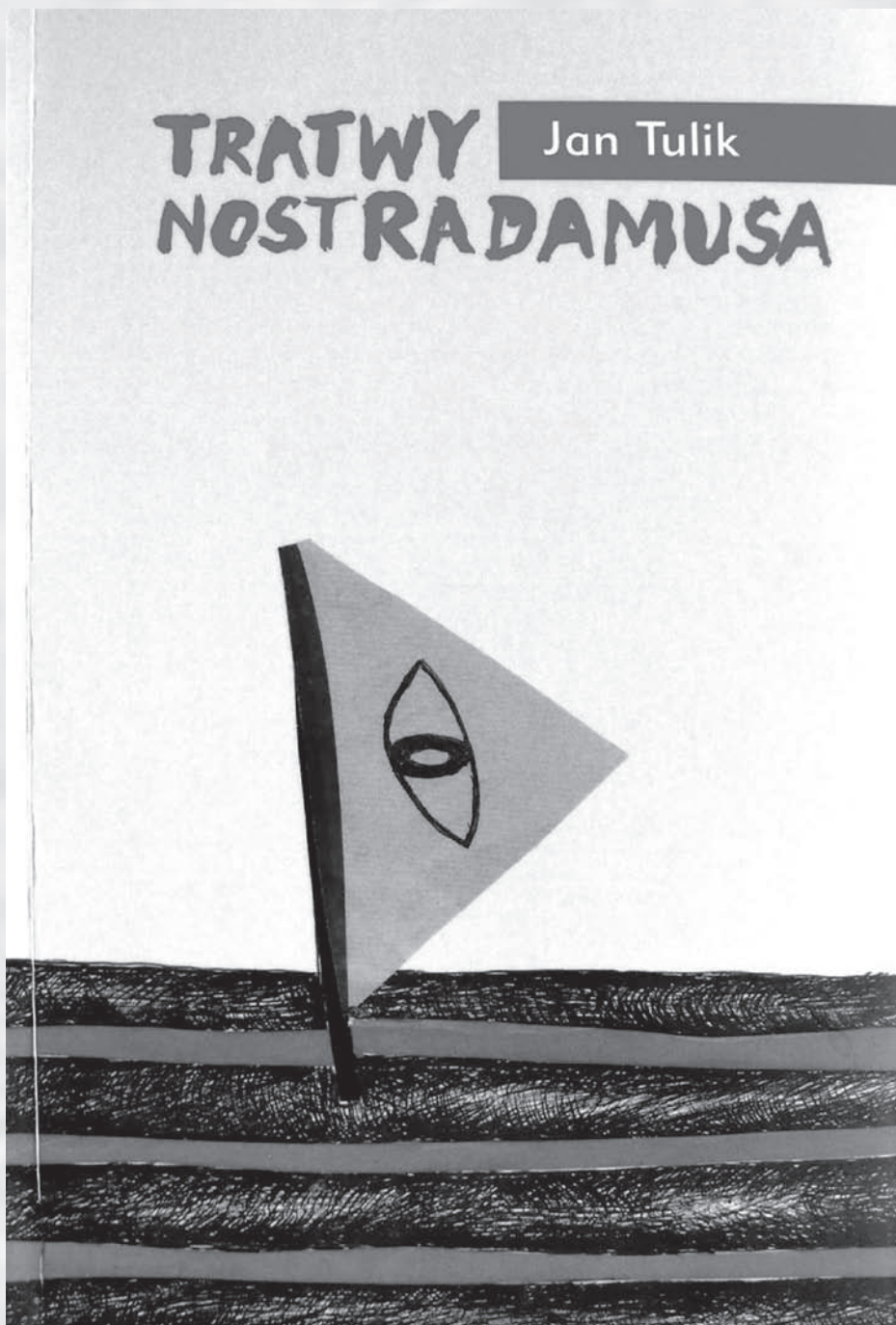
Poezja i kosmata dusza poety, których
przecież kocha się śmiać, kocha życie, i nad
życie tego życia dobrostany: wszystko to, co
stworzone do hedonizmu i rozrywek wszela-
kich – kiedy po sążnistym wierszu stutono-
wych dociekań pisze:

Jak mój kot
Żadne narkotyki alkohole używki
Tak bym chciał

Oł, cały Janek, mrugnął do nas
okiem:

Ależ bracie, nie bierz tego wszystkiego
zbyt poważnie... zbyt dostownie. Poezja
jest sztuką, ale jest i iluzją, jest motywem
nieostrym naszego życia, ale jest też mate-
rią ciekłokrystaliczną, nieznaną, niepewną
i nieprzewidywalną, po której poruszamy się
dzięki łasce Jej Ducha i swojej uporczywo-
ści. Poezja to grunt bagnisty, pełen grozy,
ale i piękna, zwłaszcza kiedy aura Jej sprzy-
ja. Jan Tulik traktuje poezję samoistnie jako
tworzywo artysty, jako glinę, z której można
formować słowa, wróżby, przepowiednie,
aforyzmy, poszukiwać w niej uczuć, doty-
ków, miłości oraz wszystkich przemijalnych
wzruszeń, poruszeń i treści, których prze-
życie wydarzyło się w poecie w sposób
tysiącokrotnie silniejszy niż w innych.

Tak postrzegam „Tratwy Nostradamusa”,
przestrzeń osobną, oddaloną, ale bliską ni-



czym tajemniczy ogród, ukryty w dialogu
z niewyobrażalnym.

Mówię do niej

- Boję się powrócić do twego ogrodu
po tylu latach Obawiam się że bie-
dronka na płatku
twego złotogłowiu już pomarszczona
i siwa nie rozpozna we mnie chłopca
który nauczył się na jej kropkach liczyć
do siedmiu
- Jednak jesteś na to skazany
jak zapałka na ogień – mówi ona
Nasiąkniesz znowu moją wilgocią
Tylko to cię przywróci

Może to nie powstrzyma cię przede
mną

Proszę zwrócić uwagę. Przed ostatnim
wersem, przed pointą jest ów dramatycz-
ny przerywnik, jakby głęboki namysł, coś
niepokojącego zamiast pointy, albo wręcz
rzucającego później pointą jakby w prze-
strzeń rezygnacji, dekadencji... Z takich ge-
nialnych niedomówień, teatralnie mistrzow-
skich narzędzi, składa się tom „Tratw...”.
Z zabiegów nowatorskich kreujących różne
dialogi, rozmowy z myślami, z poezją, z
samym sobą, z nieskończonością i ze skoń-
czonością, z własną ułomnością, z marze-
niami, a przecież cała tajemnica sensu
naszego istnienia ukryta się tu w szansie
„nasiąknięcia znowu Jej wilgocią”. Ech,
jesteśmy poetami i nic co potworne nie
jest nam obce, ale najpotworniejszym jest
... łaknienie poezji, oczekiwanie na Nią, oczekiwanie,
wyczekiwanie, poszukiwanie, aby
potem, choć na moment, zanurzyć się w
Jej rześkim i genialnym wodospadzie: uwal-
niającym, wznoszącym i uwznioślającym,
nawet jeśli piszemy o sprawach trudnych

Mateusz Wabik

Na co to komu?

Niekiedy artyści, poeci, pisarze idą na łatwiznę. Publikują książkę, tworzą dzieło, wydają płytę, z której tylko oni mają frajdę. „Wspólny” Piotra Przybyły zaliczał się do takich nieudanych eksperymentów i zupełnie niepotrzebnych dzieł. W swojej drugiej poetyckiej książce poeta z Karpacka zaprezentował kilka, czy kilkanaście zdań rozbitych na litery. Na każdej stronie znalazło się około trzydziestu liter naniesionych na stronę pod różnym kątem i wydrukowanych różną czcionką pod względem wielkości. Czytanie tak samo położonych liter na różnych stronach mogło spowodować, że odczytało się jakąś frazę np. „Za dużo piękna w jednym miejscu”. Myślę, że odczytywanie wszystkich fraz było kompletnie niepotrzebne, była to kompletna strata czasu – bo kilka innych fraz było nieco słabszych. Niegdyś w Krakowie pewne środowisko nie mogąc nikogo przekonać do wydawanych przez ich wydawnictwo tomików poetów zajęło się pozycją konkretną, niegdyś pewien muzyk wydał płytę bez muzyki, ale z tytułem „Wydalem płytę”. Niegdyś w empiku widziałem książkę z pustymi stronami, które każdy mógł zapisać. I myślę, że takie inicjatywy mogły zaszokować, zadziwić tylko kogoś niezbyt doświadczonego. Piotr Przybyła chciał wydać książkę, ale nie miał tekstów, wydał tomik eksperymentalny, który wg mnie był beznadziejny. Inicjatywa rozstrzeliwania egzemplarzy własnego tomiku przez jednego poetę z „Brulionu” było o wiele ciekawszym happeningiem.

MATEUSZ WABIK

Piotr Przybyła, *Wspólny*, SPP Oddział w Łodzi/Dom Literatury w Łodzi, Łódź 2020

i bolesnych. Łaska dobrej metafory, silnej i nowej metafory, łaska kompozycji, rytmu, wreszcie łaska treści, piękna opowieści – na to czekamy, to leczy i uzdrawia, ba, daje siłę na kolejnych kilka dni, godzin, lat?...

Poezja Jana Tulika jest niczym szklana kula, przy której siedzi wróż Jan z miną zadowolonego kota i wróży nam z Tulika, lecz milczy. Nie chce nam niczego jasno i otwarcie powiedzieć. Coś tam rachuje, zlicza, ocenia, kładzie na szalach i rozważa, tajemniczo się uśmiecha i karmi nas zagadkami wers po wersie. Bawi się z nami jak kot z myszką.

Szepty chichy

Kiedy już pomrzemy
Kochanie
Nasze słowa będą
Krażyć pod gwiazdy

Szepty chichy
Obietnice że na zawsze
Do końca świata

Karmi nas tą poezją powoli, dyskretnie, delikatnie i z wycuciem. Tak, jak się to czyni na tratwie, choć tratwy bywają z reguły dość stabilne, ale zbytnio się wierząc można samemu z takiej tratwy po prostu wypaść do oceanu.

Skoro ustaliliśmy już miejsce i czas akcji, czas by był najważniejszy na Nostradamusa właśnie. I tu już będzie „pod górkę”, choć nie znajdziesz czytelnika gór na oceanie... Janek, wydawałoby się, nas tym Nostradamusem tylko postraszył, albo i z nas delikatnie zakpił. Z tej naszej złudnej wiary w gusła, obrzędy, przepowiednie, z kurczowego trzymania się dogmatów, definicji i dowodów naukowych. Z całej tej karuzeli życia i świata paskudzonego dzień po dniu barbarzyństwem głupoty.

Ależ bracie, nie bierz tego wszystkiego zbyt poważnie... zbyt dostownie.

Jak mój kot
Żadne narkotyki alkohole używki
Tak bym chciał

Powracając na tonę poezji warto przeczytać ten wiersz. Jest w nim wiele z tego co wyżej już omówiliśmy, jest w nim ... a może raczej są w nim

Czwarte drzwi

Przechodzi przez pierwsze drzwi
I zaczyna wierzyć
W co ojciec przestał wierzyć

Dziecko przekracza próg drugich
Drzwi i zaczyna wątpić w to
W co zaczynało wierzyć

Dziecko przekracza trzecie drzwi
I ojciec zaczyna wierzyć
Że ono nie wierzy
w czwarte drzwi

Dziecko otwiera czwarte drzwi
I ojca już nie ma
Ale ono jeszcze wierzy
Że to trzecie drzwi

Wiesz Janku, drogi przyjacielu, co jest w tym Wszystkim najgorsze, najsmutniejsze? Prawda i piękno w Twojej poezji. Ja w tym roku bowiem otworzyłem swoje czwarte drzwi, Mamy już nie było, ale ja już nie wierzyłem, że to były dopiero trzecie drzwi... Obym choć był skazany na nasiąknięcie wilgocią...

ANDRZEJ WALTER

Jan Tulik „*Tratwy Nostradamusa*”.
Redakcja: Jan Wolski. Opracowanie graficzne: Marek Pokrywka
Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza” [seria poetycka], Rzeszów 2020, ss. 48.
ISBN 978-83-60678-96-1

Mateusz Wabik

Anankin Skywalker

W 2019 roku ukazał się trzeci tomik wierszy Krzysztofa Szeremety pt. „Czarne poszetki”. W wierszach jego zaznaczała się nostalgia za dawnymi dziecięcymi latami, przerywana wspomnieniami z różnych wykonywanych prac, także związanych z obsługą internetu i tworzeniem stron w sieci. Niektóre jego wiersze miały wymiar publicystyczny – np. dotyczyły Jarostawa Kaczyńskiego, czy afery pedofilskiej w katolickim Kościele, albo dotyczyły problematyki religijnej. W jego wierszach zauważalna była kpina z czasów współczesnych, irytacja nimi, ale także wytrwałość i zgoda na to co było, bowiem „innego świata nie będzie”.

W wierszach Szeremety mógł niepokoić nieco postmodernistyczny brak hierarchii zjawisk – rozważania o internecie, sprawach religii i polityki mieszały się z widokiem „chłopców na BMX-ach”, reminiscencjami z jakiegoś starego finału Ligi Mistrzów, wierszem pisanym z punktu widzenia Anankina Skywalkera – bohatera cyklu „Gwiazdne

i czasy współczesne

Wojny”. Jednak wprowadzały do tomiku jakąś dozę szczerości. Szeremeta ani nie był typowym pop poetą, ani nie kreował się na nowego poetę od moralizowania innych. Wyrastał ponad pop bardziej wnikliwymi obserwacjami i sporą dozą oryginalności – bo mimo naleciałości poetyki Sosnowskiego, czy wiersza brulionowego jego wiersze nie były pisane pod kogoś. Poeta z wpływów zrobił po prostu bazę dla własnej poezji. Jego wiersze miały dobrze skrojone wersy,

dynamicznie się rozwijały często w trybie mowy potocznej i poetyckiej. Poeta nie unikał błyskotliwych, czasem ironicznych porównań. Nieco czasem drażniło to rozgadanie poetyckie.

MATEUSZ WABIK

Krzysztof Szeremeta, *Czarne poszetki*, SPP Oddział w Łodzi/Dom Literatury w Łodzi, Łódź 2019

Na strunach waszej wrażliwości

Poznałem i nad wyraz polubiłem wielkopolskie środowisko literackie, a ono, muszę przyznać co chwilę odpłaca mi za ów subiektywny afekt arcyciekawym tomem poezji.

Moim aktualnym obiektem literackiej fascynacji stał się najnowszy tom Marii Magdaleny Poczaj „Apokryfy uliczne”. Przyznam otwarcie, ów tom wzbudził we mnie świeży i szczerzy zachwyt zaskakującymi metaforami, przepięknym zobrazowaniem lirycznym oraz wyjątkową bezpośredniością w nawiązaniu głębokiej i intymnej relacji z czytelnikiem. Przyznam też, że osobę Autorki znam dość dobrze, zawsze ją wysoko ceniłem jako poetkę oraz twórczynię literacką, ale tym razem i tym tomem przedstawiła Ona pewien Rubikon twórczości poetyckiej w stopniu wykraczającym poza siebie. Do dziś bowiem nie czytałem wierszy, które tak śmiało, mądrze i lirycznie przedstawiałyby świat ludzi spoza nawiasu społecznego, ludzi z pogranicza światów, kłozardów, włóczęgów, bezdomnych, bezpańskich, wolnych ludzi, których droga życia skierowała na społeczne manowce, na pozornie bezładne wyspy ptasiego życia złudnie pozbawionego potrzeb i relacji. To ludzie mijani przez nas każdego dnia w każdym większym mieście, ludzie cienie, ludzie duchy, ludzie tajemnice, których zauważenie i dostrzeżenie powoduje w nas erupcję sumienia, albo i nie powoduje i właśnie wtedy ... być może mamy problem.

Magda pokazała ten świat nowatorsko, odważnie, ale z dystansem, intymnie, subtelnie, z ogromną kulturą, z oddalenia, poprzez delikatną mgiełkę słowa, zamyślenia i z melancholijną barwą wzbudzenia naszej: czułości, wrażliwości oraz empatii.

Kto ma serce, popatrz w serce i zobacz tu ... inne serce, zobaczy samego siebie w prawdopodobnym przeciw scenariuszu „raz na wozie, a raz pod wozem”, wreszcie zobaczy ów inny świat, tak genialnie rozpoznany i ujęty w wierszach przez tę świetną Autorkę. To świat: biedny, skromny, umniejszony do radości z drobnostek, a jednocześnie świat tak nieskończenie wolny wolnością wydawałoby się bezwarunkową, wydaje się pełną, albo i przepętnioną – czym? – ależ tym o czym nic przecież nie wiemy.

Magda pyta, nie pytając, opowiada, nie snując czczych historii, przedstawia nam doskonale wykadrowane klisze szlachetnie wypełnione słowem tak dyskretnie i cicho wyrażonym, że właściwie stoimy tam, obserwujemy z Nią i czujemy tak jak i Ona, a może nawet przeistaczamy się w tych kłozardów, choć przez moment czujemy ich głód, ich lęk, ich marzenia, ich przeznaczenie, ich trwanie i byt nadrealny, pełny, urodzony w sowie.

Potęga tej poezji rzuca nami o ścianę, którą społeczeństwo na nieszczęście postawiło, aby nas odgradzić od „tych ludzi”, od współczesnych trędowatych, od jednostek nieprzystosowanych i odrębnych, od dziwaków, śmierzących innym zapachem odszczepieńców, słowem od ... obcych.

Kultura obcego jest bowiem bardziej skomplikowana niż nam się wydaje. Jest reakcją na emanację sterylności i higie-

ny współczesności, jest przesadną obawą przed innością, klaustrofobiczną wizją synoptycznej kłęski wobec zarazy obcego i traumą wręcz wobec tego, czego po prostu nie znamy.

Zagubiliśmy gdzieś chrześcijańską otwartość, wnikliwość, ciekawość obcego, życzliwość jego przyjęcia, przygarnięcia, przytulenia. Cybernetyczny świat rzucił nas w otchłań odseparowanych baniek, w których trwamy w czasie i przestrzeni ograniczonej, zamkniętej i ukrytej gdzieś na tęczach. Realny świat – dotyk, spotkanie, relacja – coraz mniej nas zajmują. A człowiek – ten stał się jedynie przeszkodą, zawadzającym nam czynnikiem ograniczającym naszą pseudowolność. Do tego skierowano naszą uwagę na inne problemy, zagadnienia i niby ważne tematy.

Maria Magdalena Poczaj w swych „Apokryfach ulicznych” nie rozdrapuje ran. Nie grzebie w śmieciach. Nie wyrokuje i nie ocenia. Ona jedynie ukazuje, opisuje, może powiedzmy z odcieniem pytańnika - szkicuje: samotność, zagubienie, nieśmiałość, niepewność, wędrówkę i miłość. Miłość do takiego wyboru, albo do takiego przeznaczenia, albo też do skazania na bezdomność – Autorka jednak nie szuka przyczyn czy motywów, te nie mają dlań znaczenia i dla nas mieć też nie powinny. Rzeczywistość i prawdziwość serca nie pyta o przyczyny zakochania się, to się po prostu dzieje i to się po prostu pielęgnuje. Tak samo z „tymi ludźmi”. Oni po prostu są, są obok nas, żyją, czegoś potrzebują, są tacy sami jak my, a jednak są ... inni.

Można zarzucić tej poezji pewną naiwność, jednolitość, jednostronność wkraczającą wręcz w monotonię treści, ale zauważmy przy tym jak to jest napisane, jaką frazą i metaforą operuje Autorka, właściwie zaskakując nas każdym wersem, każdą sytuacją i każdym ... spotkaniem. To jest bowiem tom drogi, pewnego rodzaju drogi. Tom spotkania. Nie tylko z nimi. To jest też spotkanie z własnym sumieniem, z samym sobą w lustrze dnia i rzeczywistości. To zarówno – takie spotkanie jak i lekcja, czy może nawet test naszej wrażliwości, empatii, umiejętności pochylecia się nad losem bliźniego, niekoniecznie obcego czy bezdomnego.

I w tej materii poezja ta wykracza poza samą siebie. Poza Autorkę. Wiersze te stanowią sztukę najczystsza w swej możliwej formie, są koncentracją słów – esencją zbliżoną do ideału w uczuciu, relacji i pochylecia się nad – no właśnie, nad kim i nad czym? Zadajcie sobie takie pytanie wczytując się w „Apokryfy uliczne”. To nie będzie lektura nieważna, obojętna i przemijająca. Ta lektura odcisnie się na was dozgonnym piętnem, utkwii w was na dłużej i pójdzie z wami głębiej.

Czymże byłby jednak ten tekst bez żadnego realnego przykładu (...)

Upstrzona przez gołębie
ponacinana szczyrykiem księżycyca
to jego Atlantyda
dobrze mu się na niej siedzi
i przeżuwa życie

zegar na kościelnej wieży
spokojnie odmierza kroki do wieczności
płatany darmo rozdają patchworkowe cienie
na trawniku bieleją niedopałki
może stokrotki

dopiero gdy machinalnie
ręką sięga pod ławkę
szklany dotyk odziera go ze złudzeń

wczoraj wysączył ostatnią
kropkę lata

BEZPAŃSKIE

Małe porzucone światy
z jeziorkami najwierniejszych spojrzeń
wychudłymi ciałkami
wciskają się za pazuchę
wyświechtanej kurtki kłozarda
i liżą jego twarz
najszczęśliwszą
na całym tym
obskurnym splechtku
rzeczywistości

Tak trudno wyjąć
z publicznych ram
i oddać do renowacji
w pracowni serca
ten chroniczny pejzażyk
z niedomytym cieniem
człowieka

jeszcze trudniej
przyznać się do niego
w świetle dnia
kiedy kopie
swoje życie
jak pustą puszkę
po piwie

ŚPIĄCY

Tak śpią królowie życia
panowie losu
wystarczy kawałek wycieraczki
i przekonanie
że nikt nie otworzy zapasowych drzwi
na tyłach secesyjnej kamienicy

kołnierz wytartego płaszcza
postawiony do góry
na wszelki wypadek
z kieszeni wystaje berło
w kolorze butelkowej zieleni

takiego snu nie przerwie
pokasywanie miasta
ani przeciągły ryk syreny

trzeba się do niego ułożyć
po wielu nieprzespanych nocach
przeganianych z kąta w kąt
z ławki na ławkę
z parku do parku

ONI

Grzeją się przy chimerycznym ogniu
na złomowisku życia
na peryferiach świętego spokoju

wśród kuksańców i poszturchiwań
od razu robi się ciepłej
a ileż wesołości płynie rynsztokiem słów

nagle któryś intonuje kolędę

pojmują że są braćmi w drodze
i oczy im wilgotnieją

Można te wiersze czytać na okrągło. Przez
chwilę poczuć pewną odmianę wolności
kloszarda i dostrzec jak

Kolczasta akacja

drapie niebo

w podbródek

z ranki w chmurze

sączy się stróżka światła

albo usłyszeć jak

Smutno szumią

parkowe latarnie

nad bezradnością

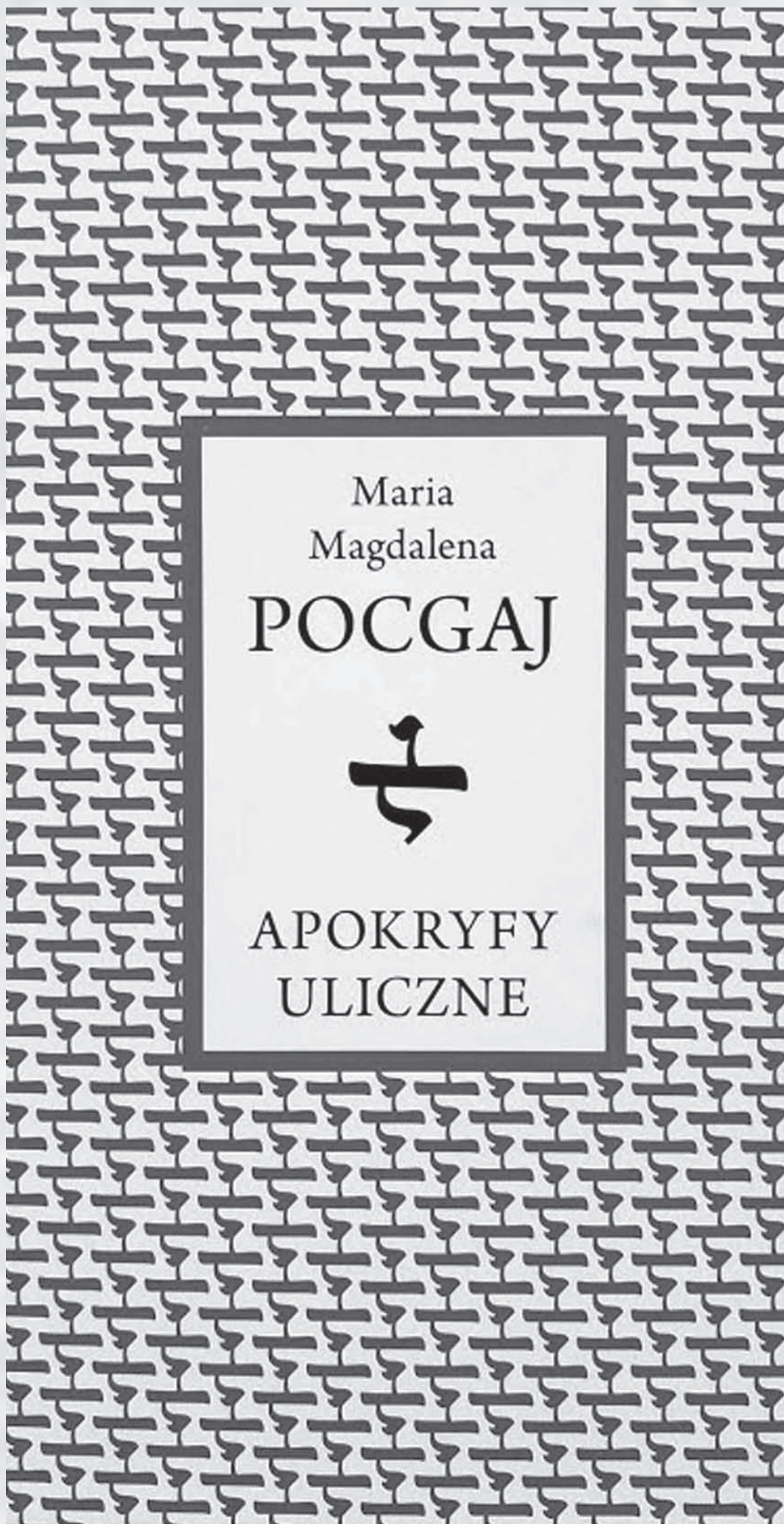
pośluzonych alejek

post scriptum:

Należy w tym miejscu dodać i zauważyć
jak znakomicie ów tom Marii Magdaleny
Pocgaj „Apokryfy uliczne” jest wykonany
edytorsko, wydany przez Wydawnictwo
Miejskie Poznań i uzupełniony graficznie
przez jedno zdjęcie autorstwa Mai Rausch
oraz dziewięć zdjęć samej Autorki świad-
czących o ogromnym wyczuciu fotograficz-
nym. Plastyczność tej opowieści o świecie
i ludziach potęgują też właśnie te fanta-
styczne, nastrojowe fotografie świadczące
o kunszcie, wrażliwości oraz prawdziwości
wyczucia i postrzegania sztuki.

ANDRZEJ WALTER

**Maria Magdalena Pocgaj „Apokryfy ulic-
ne”. Wydawnictwo Miejskie Poznań, 2019.
Oprawa twarda. Wydanie I. Stron 76. ISBN
978-83-7768-230-2**



Roman Warszawski

KOLOR I POWIETRZE.

WSPOMNIENIE O ZBYSZKU SZCZEPANKU

Zbigniew Szczepanek był panem dwóch żywiołów – koloru i powietrza. Cała reszta w jego życiu wynikała z tych dwóch domen.

1.

O powietrzu napisać najprościej. Obcował z nim w sposób jak najbardziej namacalny. Poznał je całym sobą. Dostownie. Na własnej skórze. Znał każde jego załamanie, zawahanie, każdą jego krągłość. To dlatego tak świetnie je malował. Jego powietrze na obrazach jest puszyste, lekkie, uduchowione, a jednocześnie substancjonalne. Lekkie, ale tam gdzie trzeba, ma swój ciężar. Kto, jak nie on, miał to wiedzieć? On – lotniarz. Poprawiał – motolotniarz, bo z własnym napędem.

Bo jak leciał, z daleka było słychać. Nie tylko miał skrzydło nad sobą, ale także śmigło z niewielkim silniczkiem. Dlatego, kiedy nadlatywał, terkotał. Ile razy wybiegałem na balkon, jak przylatywał od strony redtowskiego klifu, albo gdy zmierzał w jego stronę! Nie policzę. Nieraz specjalnie nadlatywał nad mój dom. Coś wołał. Kwał. Oczywiście nie było słychać, co wykrzykuje, bo śmigło terkotało, nie pozwalało nic usłyszeć. Ale ważne było, że pomachał ręką, zrobił jedno, drugie kółko. I leciał dalej.

– Nie boisz się? – pytałem go potem. – Przecież to granie z ogniem...

– Nie – odpowiadał z szerokim uśmiechem, swoim charakterystycznym tubalnym głosem. – To wszystko dla ludzi. Trzeba być czujnym, to fakt. Trzeba uważać. Ale gdzie i kiedy nie trzeba?

– Ile razy szybował pan w powietrzu? Czy zawsze lądował pan w z góry upatrzonym miejscu? – swego czasu indagował go dziennikarz z lokalnej *Gazety Wyborczej*.

– Lotów nigdy nie liczyłem, ale z tym lądowaniem różnie bywało. Raz poniosło mnie bardzo daleko i mogłem już tylko wylądować na drzewach, albo w wodzie. Chciałem jeszcze próbować koło torpedowni, ale miałem już za matą wysokość i nie było wyjścia – lądowałem na głębokiej wodzie.

– Miał pan chociaż kamizelkę ratunkową?

– Nie miałem (...) kamizelki. Miałem za to 50 lin pod kolanem i zacząłem tonąć. Byłem jakieś 80 metrów od brzegu. Słoneczko świeci, ptaszki śpiewają, a ja się topię. Jakoś dowlokłem się do brzegu, a tam ścianka larsenowska, wysoka na 1,5 metra, żadnej drabinki, wydostać się nie można. Dopiero, jak wyczułem jakieś kamienie pod stopami, wiedziałem, że przeżyłem. (...) To był głośny wypadek w całym środowisku parolotniarzy na Wybrzeżu.

Jednocześnie był to jeden z ostatnich jego lotów. Bo Wiesia, żona, ostro zaprotestowała. Uprosiła, żeby już więcej nie latał i by się nie narażał. Usłuchał. Potem mówił:

– Co rozkaz, to rozkaz... – to zostało mu z marynarki, z wojska.

2.

Motolotnię zamienił na kajak. Nie było to trudne, bo z wodą, morzem związany był przecież od dziecka. Razem z żoną wybrali sobie leśniczówkę na Kaszubach, gdzie spędzali – póki mogli – prawie wszystkie lata. To lato zwykle przeciągali w stronę jesieni, aż zaczynały żółknąć i czerwienić drzewa. Ach, te kolory, to było właśnie to, co go fascynowało. Zwykł mawiać, że kolor można chłonąć bez końca, że koloru można uczyć się do znudzenia, a zawsze będzie tego za mało. Bo zawsze pojawia się coś nowego. Rano inaczej. W południe inaczej. A pod wieczór to po prostu bajka. Mówi się, że jest coś takiego, jak kwadrans dla fotografa. Na tej samej zasadzie on szukał swojego kwadransa dla malarza – dla akwarelisty. Starał się zapamiętywać, to co widział, jak mawiał – *inkorporować, ha, ha, ha*. Niekiedy, żeby utrwalić te kolorowy, to co widział fotografował swoim Nikonem. Ale – mimo że był wytrawnym fotografem – to, co pozostawało na matówce, było tylko namiastką. Prawda pojawiała się dopiero wtedy, jak stawał za sztalugami. Obraz zaczynał mienić się (tam gdzie trzeba) i wibrować (jak obok).

– Charakterystyczne było to, iż on malował jakby na kolistej powierzchni – mówił Franciszek Starowiejski. – Uzyskiwał przez to przestrzenność obrazu i niepospolite zróżnicowanie koloru. Centrum było najsilniejsze, po bokach kolor stawał się coraz bardziej powietrzny. Przez to akwarele ożywały. Zbyszek jest mistrzem w operowaniu kolorem i w jego różnicowaniu na powierzchni płótna.

3.

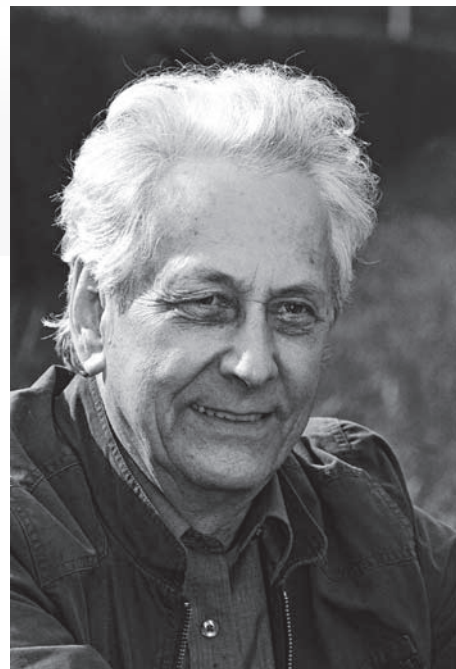
Albo kartonu.

Bo na karton też lubił. To dlatego niektórzy próbowali porównywać go do Wiktora Zinna – znanego rysownika gwiazdy telewizji z czasów PRL. Za bardzo tego nie lubił. W jednym z wywiadów powiedział:

– Zinn rysował chaty, zagrody. A mnie przede wszystkim interesują zamki. Na przykład pałacami się nie zajmuję, bo to osobny temat. Moja przygoda z zamkami trwa już wiele lat. Znalazłem wydawcę i ukazały się już trzy albumy. Ich cechą charakterystyczną jest to, że zawierają malarskie rekonstrukcje. Tego przede mną nikt nie robił. Na podstawie badań i ikonograficznych opisów zrobiłem rekonstrukcje wielu zamków takich, jakie były w czasach ich największej świetności. Narysowałem i nawet te najbardziej zrujnowane zamki i dziś już nieistniejące. Pokazałem na przykład, jak kiedyś wyglądał Grudziądz.

Skąd tak wielka pasja?

– Uznałem to za swoje zadanie życia – mówił gdzieś indziej. – Przejechałem w sumie 30 tysięcy kilometrów po wszystkich polskich zamkach. Nie malowałem na miejscu. Oglądałem, oddychałem ich atmosferą i robiłem dokumentację fotograficzną. Na tej podstawie malowałem później w pracowni. Tak



powstały albumy od Pomorza do Śląska. Ale powstaną dalsze. Myślę o zamkach Kresów. Bez zamków kresowych, moje albumy nie byłyby kompletne, a mnie chodzi, żeby objąć całość i żeby niczego nie pominąć. Nie mogę opuścić kamieńca, Podolskiego, Chocimia. Dlatego byłem też i na Litwie, na Białorusi i na Ukrainie. Nie spocznę, dopóki tego wszystkiego nie skończę.

4.

Różni i różnie próbowano go podchodzić, ale on nigdy się nie dawał. Nigdy też nie opuszczało go poczucie humoru.

Kiedyś, po premierze któregoś z albumów, zapytano go:

– Na pana rysunkach widać psa i kota, ale nie widać nigdzie żadnej dziewczyny. Czyżby rzeczywiście uważał pan, że lepiej podszczypywać chwałę [to nawiązanie do tytułu jego książki zawierającej wspomnienia z okresu służby w Marynarce Wojennej, zaraz o niej będzie – RW] niż młode dziewczyny?

– Zdecydowanie lepiej i o wiele bezpieczniej! – odpowiedział.

A pytany na jednym ze spotkań autorskich o to jaki był jego najszczęśliwszy i najbardziej pechowy dzień w czasie służby w Marynarce Wojennej, bez wahania powiedział:

– Nie miałem ani jednego pechowego dnia w marynarce. To przecież oczywiste. Za to miałem dwa dni najszczęśliwsze. Jeden, kiedy po raz pierwszy przywdziałem marynarski mundur, i drugi – kiedy odszedłem z marynarki i mogłem go na zawsze zdjąć.

To, jak widział Marynarkę Wojenną, opisał w tomie *Podszczypywanie chwały* (To-

wer Press 1998). Tę małą znaną pozycję warto zacytować. Malowanie jest tylko czynnością z pozoru prostą – pisze Szczepanek. – Najlepiej unikać jej jak najdłużej, nie żałując za to wody i mydlika. Jeśli jednak zajdzie taka potrzeba – malujecie kilkakrotnie prawie suchym pędzlem, a uniknięcie nieszczęścia.

O tej cennej radzie na Gryfie zapomniano. Popędzani przez wszystkich marynarze lali farbę, gdzie popadło, dbając tylko o to, by uzyskać pokrycie już za pierwszym razem.

W rezultacie pod relingiem zebrały się krople ściekającej farby i tam już zostały.

Znający sprawę przyznają mi rację, gdy powiem, że taka kropla zachowuje w środku wilgoć przez wiele tygodni. A nasze relingi malowane na trzy dni przed paradą...

Około dziesiątej rano przyptynęły pierwsze motorówki. (...) Za nimi pierwsi uczestnicy imprezy, w miarę upływu czasu – coraz ważniejsi. (...)

Był żelazny premier Cyrankiewicz, byli Rokossowski, Kliszko, Nowak, Ochab i wiele, wiele innych znanych z pierwszych stron gazet postaci. Oczywiście – również generacja i liczni reprezentanci Sztabu Marynarki Wojennej.

Dowódcy wysokiego szczebla, w tym także marszałek Rokossowski, ubrani byli w Białe galowe mundury.

Oglądając paradę morską zaraz na początku przykleił się Cyrankiewicz.

Nastały chwile grozy.

Trzeba przyznać, że sam poszkodowany nie robił nie robił z tego tragedii, ale na twarzy dowódcy Marynarki Wojennej widniał wyrok. Sparaliżowany nieszczęśliwym Stary zaprowadził premiera do swego saloniku, gdzie ten mógł umyć ręce. Zamiar był chybiony już w samym założeniu, bo szara farba bojowa można zmyć tylko rozpuszczalnikiem, tego zaś pod ręką nie było.

Premier namydlił ręce, a wtedy na okręcie akurat zakrecono wodę. Sławny mąż stanu stał więc z namydlonymi rękami i czekał, aż na Gryfie przestanie szaleć demon destrukcji.

(...) Zanim znaleziono kogo trzeba i odkrecono kran – nastąpił Czarnobyl.

W słońcu włączono babunię...

Był to stary agregat prądotwórczy, który trząsał i warczał, ale rzecz nie we wspomnianych efektach. Gdy ruszała babunia, z wielkiego komina okrętowego wylaływał zawsze pióropusz pary wodnej z sadzą.

Czyż trzeba wyjaśnić, w którą stronę wiał wtedy wiatr?

Oczywiście sadzą oberwało się Rokossowskiemu!

5.

To charakterystyczne dla niego powietrze, było oczywiście całkiem inne. Była w nim czystość, przestżeń i otwartość. Oprócz poczucia humoru, właśnie otwartość jest kolejną cechą, bez której Zbigniewa Szczepanka by nie było. Doświadczyłem jej, gdy zaproponowałem mu malarską wyprawę do Ameryki Południowej, do Peru. Nie w realu (na to nie chciał się zgodzić), ale w jego pracowni – tej w wieżowcu (siódme piętro), z widokiem na Zatokę. Dostałem mu odpowiednio zdjęcia, trochę je omówiłem – i miał malować. Mimo że z latynoskimi realiami w ogóle nie było mu po drodze. Ale powiedział: – Spróbuję. Trzeba być otwartym na to, co przynosi życie i na to co nowe. A nuż się uda?

Chodziło o ilustracje na wewnętrzne strony okładek dwóch albumów, które razem z Arkadiuszem Paulem przygotowaliśmy do druku dla wydawnictwa Fitoherb. Pierwszy z nich – *Machu Picchu. Sto lat po godzinie zero* i drugi *Cuzco. Rzym Nowego Świata*. Szczepanek miał namalować 1/ścieżkę w Andach, słynną,

megalityczną fortecę Sacsayhuaman, 2/słynne Machu Picchu widziane od strony zachodniej bramy oraz 3/Coricanchę – cuzkeńską Świątynię Słońca wraz z wyrastającym z niej kościołem Santo Domingo, czyli kościołem św. Dominika, a także 4/malarską replikę portretu stojącego przed namiotem Hiram Bingham – pseudoodkrywcy Machu Picchu. Wyzwanie było niemałe – zdawałem sobie z tego sprawę. Bo jak inne, jak odmienne to klimaty od Kamienia Podolskiego czy od Zbaraża! Zbyszek zlecenie przyjął jednak bez mrugnienia okiem. Ani razu nie westchnął, ani nie sięgnął do swego ulubionego repertuaru wymówek – naprawdę nie wiem kiedy miałbym to zrobić... Do propozycji podszedł – nie waham się tego tak nazwać – z niesamowitym męstwem. Ruin Inków, ani ich kraju jeszcze nie rysował, ani nie malował. Ale dlaczego nie? Dlaczego nie miałbym spróbować?

Gdy po niepełnym miesiącu wezwał mnie, bym przyjechał obejrzeć rezultat jego starań, widziałem że on, stary wyga ma jakby tremę... Ale rezultat był niesamowity: Machu Picchu było i peruwiańskie, inkaskie, ale jednocześnie Szczepankowe. Hiram Bingham jak żywy. A Sacsayhuaman i Coricancha jak z latynoskich jasełek. Jak on to zrobił? Jak zdołał to wszystko połączyć, pogodzić? Odniośł jeszcze jeden sukces – byłem stukrotnie usatysfakcjonowany. I po raz kolejny zaproponowałem mu, że koniecznie powinniśmy wybrać się do Ameryki Południowej. On – z farbami, sztalugami i swoim nikonem. Ja, jako jego cicerone i ewentualny komentator tego, co wyszłoby spod jego pędzla... Artystyczny rezultat takiej eskapady na pewno byłby niebagatelny.

6.

Oczywiście – znów wykręcił się sianem, choć... w jedną wspólną podróż kiedyś się wybraliśmy: W roku 2003 pojechaliliśmy jego samochodem razem do Czech, na spotkanie... buddystów Diamentowego Wozu! Na ceremonię phowa – słynną medytację śmierci. Poprowadził ją Ole Nydhal – duński lama, znany mi jeszcze z czasów studiów.

Zbyszek bardzo chciał go poznać, a i phowa go pociągata. Buddyści twierdzili, że ktoś, kto weźmie udział w takiej ceremonii, w momencie śmierci momentalnie osiągnie stan buddy – stan oświecenia. To mnie interesuje – powiedział Zbyszek. Pojedźmy tam razem, bo wiem, że ciebie też to kręci. I pojechaliliśmy.

On, przekonany katolik, nie miał najmniejszych oporów. To kolejny dowód jego otwartości i rozbudowanej ponadkonfesyjnej duchowości. Przez cztery dni medytował – coraz intensywniej, coraz mocniej. Na piąty dzień na szczyście czaszki miał mu otworzyć się dodatkowy kanał, czakram. I rzeczywiście – pojawiła się tam niewielka ranka, którą na pamiętkę i na dowód tego, co się wydarzyło, nawet sfotografował. Uznał ją za dowód sukcesu swych duchowych ćwiczeń.

Gdy próbowałem podsunąć mu myśl, że może to raczej rezultat tego, iż po prostu przez cztery dni nie myśliłmy głowy, obruszył się nie na żarty.

– To na pewno czakram. To, o czym mówił Ole.

– Skąd wiesz?

– Bo nie wierzę, że miałby to być to tylko przyszc.

Dziś, gdy już nie ma go wśród nas, myślę, że miał rację.

ROMAN WARSZEWSKI

Zbigniew Szczepanek

Urodził się w 1933 roku, w Gdyni i z Wybrzeżem związał całe swoje życie. Od najmłodszych lat oddychał wiatrem od morza i dlatego (jak później przyznał – trochę pochopnie, nieopatrznie) zdecydował się na studia w Oficerskiej Szkole Marynarki Wojennej. Po jej ukończeniu pływał na ORP *Błyskawica* i ORP *Gryf*.

Na morzu najbardziej fascynowało go to, co jest wysoko, ponad głową, czyli gwiazdy. Zaczął specjalizować się w astronomii, z której doktoryzował się i którą przez z górą 10 lat wykładał we własnej *Alma Mater*, a następnie – także przez dekadę – w Wyższej Szkole Morskiej. Uwielbiał pracę z młodzieżą. A zadanie przed jakim stanął, nie było łatwe: katedrę nawigacji przejął bowiem po Karolu Olgierdzie Borchardzie. Później mówiono: *Każdy z nich był inny, ale wielki. Jak widać, nawigacja przyciąga indywidualności.*

To, w jakim stopniu Szczepanek od zawsze był artystyczną duszą zdradził fakt, że swoje przeżycia oficera MW opisał w pełnym humoru i swady tomie *Podszczyptywanie chwały*. Ale najważniejsze miało dopiero nadejść. Bo od czasu przejścia na emeryturę, Zbigniew Szczepanek zaczął malować i to stosując technikę najprostszą z prostych, ale jednocześnie – najtrudniejszą: akwarelę. (Akwarelista, jak saper, myli się tylko raz; potem wszystko trzeba zaczynać od nowa.) W dziedzinie tej bardzo szybko osiągnął prawdziwe mistrzostwo. Artyzm i talent musiały w nim przez wiele lat bużować pod marynarskim mundurem. Aż nastąpiła eksplozja. Szybko stał się najlepszym akwarelistą na Wybrzeżu, następnie – w Polsce, w końcu – w Europie. Takie zdanie wygłosił nie byle kto, lecz Franciszek Starowieyski.

Artystyczny dorobek Zbigniewa jest tak wielki, jak morze, z którego wyszedł podążając ku sztalugom. Czy jego wodne malarstwo, w warstwie podświadomej, ma jakiś związek z wielką wodą? – pozostawmy to psychoanalitikom. Malował portrety, góry, abstrakcje (o czym wie stosunkowo niewiele), ale przede wszystkim ZAMKI. W malarstwie, jako człowiek wychowany na Trylogii, wyraźnie poszedł sienkiewiczowskim tropem. Stał się najwierniejszym i najbardziej skrupulatnym malarskim kronikarzem polskich zamków i warowni. Na Warmii i Mazurach. Na Śląsku. Na Dolnym Śląsku i w Małopolsce. Ale nie tylko – także na Kresach dawnej Rzeczypospolitej. Tam znów na krótko odezwiała się w nim żyłka wojskowego: dokonał wielu bezcennych malarskich rekonstrukcji. Z fragmentów murów, niekiedy z pojedynczych ścian i kamieni, potrafił ze znowstem i sensem odtworzyć to, co zniweczył czas.

Jego zamkowy malarski pięcioksiąg, który najpierw wydawał Tower Press, a następnie przejęło wydawnictwo Bernardinum, jest dziełem porównywalnym z pracą, jaką na polu etnografii wykonał Oskar Kolberg. Ale kronikarstwo i swoisty malarski encyklopedyzm to jedno, **przede wszystkim ważny jest jednak niepowtarzalny artyzm tego dzieła. Jego lekkość** – mimo całego architektonicznego ciężaru. Jego **niezwykły koloryt** odkrywany w zapomnieniu i w szarości. I **bryza ducha** obecna w każdej z akwarel. To te cechy, które dzieło Szczepanka czynią niepowtarzalnym i rozpoznawalnym na pierwszy rzut oka.

Zbigniew Szczepanek zmarł 4 września 2020 roku. Miał 87 lat. Gast powoli, jak świeca, której płomieniowi coraz bardziej braknie powietrza. Świat akwareli już nigdy nie będzie taki sam. To niepowetowana strata. Dla Gdyni, Trójmiasta, Polski, Europy. Dla świata – nie bójmy się tego powiedzieć.



Zbigniew Szczępanek

Kocho 2003
Z. Szczępanek

W numerze prezentujemy prace Zbigniewa Szczepanka



gazeta literacka

Migotania

www.migotania.pl



ISSN 2083-2494

numer 4 (69) 2020

Redakcja:

Redaktor naczelny: **Zbigniew Joachimiak**

Dział PR: **Adam Buszek**

Dział tekstów, redakcja i korekta:

Agata Fołtyń

Dział fotografii: **Sybilka Storie**

Redaktorzy: **Maria Jentys-Borelowska (Warszawa),**

Zbigniew Kresowaty (Łądek Zdrój)

Roman Warszawski (Gdynia),

Stale współpracują:

Anna Frajlich (Nowy Jork),

Grzegorz Musiał (Bydgoszcz),

Leszek Szaruga (Warszawa),

Olga Śmiechowicz (Łódź),

Marek Wawrzekiewicz (Warszawa),

Krzysztof Śmiechowicz (Łódź),

Aleksandra Naróg,

Urszula M. Benka,

Leszek Żuliński (Warszawa)

Andrzej Wołosewicz

Redakcja niekoniecznie podziela poglądy autorów.

Opracowanie graficzne:

Baltox Jolanta Rakowska

Wydawca: Fundacja Światło Literatury

Adres redakcji: Fundacja Światło Literatury,

ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk

tel. 601-840-302

joa@migotania.pl

Fundacja

ŚwiatłoLiteratury

Migotania.

Redakcja uprzedza, iż nie odsyła tekstów nie zamówionych. Staramy się odpowiadać na propozycje tekstowe, ale nie zawsze możemy to zagwarantować. W korespondencji z Redakcją prosimy używać przede wszystkim adresów e-mailowych.

W sprawie zamieszczania reklam prosimy o kontakt mailowy na adres:

joa@migotania.pl



WOJEWÓDZTWA
POMORSKIE

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego.

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW
MINISTRA KULTURY
I DZIEDZICTWA NARODOWEGO

Zasady współpracy z autorami

w Gazecie Literackiej "Migotania":

- Przekazując materiały do redakcji Pisma:
- autor wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w internecie.
- autor oświadcza, że teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich.
- autor udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych (nazwisko, imię a w notkach biograficznych rok i miejsce urodzenia).
- autor ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów.
- autor zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

WSZYSTKICH CZYTELNIKÓW, Autorów oraz Przyjaciół „Migotań” zapraszamy do wsparcia finansowego naszej Gazety

Tylko dzięki Waszej pomocy będziemy w stanie przetrwać na trudnym rynku oraz drukować Wasze teksty.

Dziękujemy za pomoc! Redakcja

Papierową mutację pisma Migotania można otrzymać bezpośrednio od redakcji. Wystarczy złożyć zamówienie i opłatę za przesyłkę 25 zł za 1 numer. Możliwa jest przesyłka za zaliczeniem pocztowym.

Jak zamawiać kwartalnik? Proste:

1. Zadzwoń pod numer 782-022-502 i złóż zamówienie
2. Wyślij zamówienie mailem do: joa@migotania.pl
3. Ewentualnie pocztą:
Fundacja Światło Literatury, ul. St. Dubois 59, 80-419 Gdańsk
4. W tytule przelewu podać:
"Na przesyłkę Migotań. Zamawiane numery i za jaki okres.

Zamawiane numery otrzymasz po wpłaceniu odpowiedniej kwoty za przestanie na konto: Bank Millennium 74116022020000000170195866



WYPRASOWANIE (33)

Na mapie kulturowej wojny Polska stała się „bardzo znaczącym miejscem”. Tako rzecze Bronisław Wildstein w puencie swego wypracowania zatytułowanego Polska na mapie kulturowej wojny wydrukowanego – być może na zasadzie „humor z zeszytów szkolnych” – przez tygodnik „Sieci” (nr 46/2020). Nie jest Bronisław Wildstein w swych rozpoznaniach osamotniony – w ogóle namnożyło się ostatnio mnóstwo zabawnych tekstów, w których dwa jedynie kraje europejskie skłonne są dostrzegać zagrożenia, jakże dla istnienia narodów i ich tożsamości stanowi działalność „urzędników unijnych” z pewnością finansowanych z mętnych źródeł, których symbolem stał się straszny pan George Soros, finansista, co to wpadł na pomysł, by wspierać lewackie szwadrony cywilizacji śmierci. To trzęsienie się nad losem polskiej czy węgierskiej tożsamości samo w sobie jest dość śmieszne – jakże bowiem słaba i niepewna siebie musi być tożsamość tych ludzi, co to w byle czym widzą dla niej zagrożenie. Lecz to ich problem.

Gorzej, że to ludzie na ogół niedouczeni. Gorzej zaś dlatego, że mają jako publicyści i ideolodzy wpływ na kształtowanie postaw ludzi jeszcze mniej orientujących się w realiach świata. Takich ludzi nie tylko można przekonać o tym, że ziemia jest płaska a szczepionki szkodliwe, lecz także, iż Polska i Węgry mają podobne doświadczenia historyczne. Otóż nie mają – poza może wspólnym bohaterem, generałem Bemem, który zresztą ochoczo wyzybył się chrześcijańskiej tożsamości, poturczył i zyskowny biznes w Imperium Osmańskim poprowadził. Batamuci zatem Wildstein swych czytelników, gdy pisze: „Nie tylko narody nasze na długie lata traściły swoje państwa, ale stawały na skraju utraty swojej tożsamości. Ponad 100 lat pod rozbiarami, Polakom podzielonym między różne, kulturowo odmienne kraje, zaglądało w oczy widmo narodowego unicestwienia. Podobne były dzieje Węgrów”. Cóż, trudno dociec, jakie widmo dyktowało Bronisławowi Wildsteinowi te farmazony, prawda jednak jest taka, że podzielona Polska w swych zrywach nieustannie ponosiła klęski, podczas gdy Węgry doprowadziły do powstania cesarsko-królewskiego imperium, w którym Królestwo Węgier odgrywało znamienitą rolę, zaś Wiedeń w niczym nie ograniczał jego dążeń do madziaryzacji słowiańskich poddanych czy to w Słowenii, czy w Słowacji. To z XIX wieku pochodzi do dziś żywy mił Wielkich Węgier – nakazujący nacjonalistom w Budapeszcie nazywać Górnymi Węgrami Słowację, a i swego czasu upominać się o ziemię Ukrainy Zakarpackiej. I to z obawy przed przegrany w I wojnie światowej Węgrami upominającymi się o utracone obszary nie przypadkiem zawiazano w międzywojniu Małą Ententę, której uczestnicy – Czechosłowacja, Rumunia i Jugosławia – tworzyły sojusz w obronie przed zakusami Budapesztu. Ot i całe podobieństwo dziejów Polaków i Węgrów. I może warto przypomnieć, że nie bez celu pan Orban w pierwszym bodaj akcie prawnym po objęciu panowania nadał obywatelstwo wszystkim Węgom żyjącym w państwach ościennych. Po co zatem Wildstein te bzdury wypisuje? Ano po to, by uzasadnić sojusz panów Kaczyńskiego i Orbana

w walce z prześladowającymi ich „urzędnikami unijnymi”, którzy czepiają się takich w istocie nieistotnych spraw jak brak praworządności w Polsce i na Węgrzech. Proste?

W zasadzie już te dywagacje powinny zwałniać z lektury pozostałych fragmentów paplaniny kawalera Orderu Orła Białego, która to paplanina zapewne zwałłaby z nóg damę tego odznaczenia, jaką jest profesor Barbara Skarga, której zresztą, gdyby dziś żyła, zapewne nie dopuszczono by do kapiuły, w której piastowała przed laty funkcję jej kanclerza. Czasy się jednak zmieniają i oto niemłody już ich reprezentant pisze: „Dziś zatriumfowała ideologia emancypacji, a jej rzecznicy stanowią establishment państw zachodnich. W sposób oczywisty przyjmują oni, że ich pozycja im się ze wszech miar należy, gdyż stanowią merytokrację, czyli władzę zasług”. To, że Zachód jest zgnity i należy się go strzec, wiadomo z wynurzeń bonzów czasów komunistycznych i tu Bronisław Wildstein, podobnie jak inni rzekomi „konserwatyści” nic nowego do powiedzenia nie ma. Że atoli merytokracja to „władza zasług” stanowi ważne novum – dotychczas bowiem miała to być władza osób wykształconych i kompetentnych. Tyle, że takim ludziom ani komuniści, ani Bronisław Wildstein praw do sprawowania władzy nie są skłonni przyznawać: jako żywo przypomina się errata jednej z wydanych w latach 70. książek, gdzie w rubryce „jest” stało „socjaliści”, zaś w rubryce „winno być” – „specjaliści”.

Ale, oczywiście, specjalistów to raczej słuchać nie należy. Dlaczego? Bo oto co czynią oni z prawem: „Dawniej prawo pozostawiało sporą przestrzeń swobody, która regulowana była przez dużo bardziej elastyczne systemy, jak moralność, etyka czy obyczaj. Dziś porządki te wypierane są przez przepisy, które usiłują precyzyjnie reglamentować wszystko. Naturalnie celu tego osiągnąć nie są w stanie, a więc mnożone są bez końca, niszcząc prawo i pozbawiając nas wolności”. Wykoncyrował to sobie Bronisław Wildstein z istic przewrotnym poczuciem humoru. Bo oto przerobił formułkę pewnego prezesa partii powiadającą, że władzę w Polsce obezwładnia „imposybilizm prawny” (czyli prawne ograniczenia, przepisy uniemożliwiające podjęcie jakichś działań) w postulat rozregulowania systemu prawnego tak, by powiększać „przestrzeń swobody”. To, że owa swoboda w istocie oznaczać ma samowolę ignorującą obowiązujące prawa i procedury zdaje się być tu bez znaczenia, a ma ją legitymizować fakt sprawowania władzy. Inaczej: władza bez samowoli – ba: bez dowolności zmiany prawa nawet przez siebie stanowionego, gdy staje się niefunkcjonalne z punktu widzenia nowych zachcianek – władzą rzeczywistą być nie może. Jeszcze inaczej; prawo nie może ograniczać władzy, a najlepiej jest wtedy, gdy jej podlega. I wtedy dopiero można mówić o praworządności, czego oczywiście ogłupiały i zgnity Zachód nie jest w stanie pojąć, bo obca mu jest idea konserwatywnej rewolucji, której załączki zdarzyły się co prawda w Niemczech po roku 1918, lecz po roku 1945 zostały, nie bez udziału zwłascza Amerykanów mających hopla

na punkcie trójpodziału władz, zduszone

No i wreszcie, by jeszcze jednej krotoczwili się oddać, jeden cytat: „Francuzowi, Anglikowi czy Niemcowi,

choćby nie wiem jak wyemancypowanemu, nie przyjdzie do głowy, że jego naród i kultura mogą nie istnieć. My wiemy, że jesteśmy śmiertelni, a naszą kulturę można unicestwić. Przepuszczalnie to powoduje naszą głęboką rezerwę wobec kulturalnych eksperymentów, którymi bezkrytycznie zabawia się Zachód”. Można oczywiście tych obcokrajowców uważać za głupców, lecz nie sądzę, by nie zdawali sobie sprawy ze swojej śmiertelności i nie wiedzieli, że wszystko przemija. Zapewne: taki Owidiusz byłby głęboko zdziwiony, gdyby się dowiedział, że składa wiersze w „martwym języku”, ale termin „metamorfozy” był mu zapewne nieobcy. Jednak dziś społeczeństwa zmieniające prawo tak, by eliminowało złe obyczaje (jako to bicie dzieci czy uznawanie kobiet, jak chciał tego papież Grzegorz Wielki za „umysły słabe i nierozsądne”, o czym pisał w swych Moraliami) i twórczo rozwijające idee Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela (włącznie z likwidacją kary śmierci w większości krajów cywilizowanych), a wreszcie poszerzające obszary wrażliwości etycznej poza gatunek homo sapiens (historycznie może i na neandertalczyka z którymśmy wszak skoligaceni) są społecznościami, które dość głęboko przekształciły swe struktury i sposoby pojmowania świata nawet od tak nieodległej epoki, jaką jest pierwsza połowa XIX stulecia, w której zakorzeniony jest dominujący dziś w Polsce nurt konserwatyizmu. Polski nie było i Polski nie będzie – takie spojrzenie z kosmicznej może perspektywy jest jednak realistyczne. Za sprawą Rewolucji Francuskiej i przekłętą Oświecenia złe obecnego w obszarach środkowoeuropejskich – przemienił się w poddanych w obywateli. I dość dramatycznie wygląda próba – w której zdaje się Bronisław Wildstein, być może nie do końca tego świadom, uczestniczy – zapędzenia nas w przestrzeń „starych, dobrych czasów”, która nie wie-dzieć czemu ma się stać gwarantem narodowej tożsamości Polaków.

A na koniec mała refleksja: większość argumentacji w obronie tej tożsamości kręci się w rejonach moczopłciowych. To nawet zabawne. Straszak Polaków w elaboracie „Przerzut choroby” ulubionego autor Paweł Lisicki („Do Rzeczy” nr 46/2020) pohukuje: „Nic dziwnego, że po tylu latach od odzyskania niepodległości jad marksizmu-lesbianizmu przeniknął do Polski. Ideologia ta ma tu swoje ekspozytory medialne i uniwersyteckie”. No! Apokalipsa się szykuje... Z dzióbek sobie panowie Lisicki i Wildstein piją. Na zdrowie!





Migotania, jeszcze więcej *** Migotania, jeszcze więcej, *** Migotania, jeszcze więcej ***

Zbigniew Wilczyński

(1954–2008)

KRUCHY WYJĄTEK

(1). Skrajem lasu, brzegiem jeziora, na granicy lodu skuwającego wodę, spacerowało dwoje bardzo młodych ludzi; on – choć wysoki, silnie zbudowany i z spięcym się zarostem – dopiero niedawno skończył szesnaście lat, ona – też wysoka i o niemal kobiecych kształtach – jeszcze nie miała trzynastu. Przed nimi biegł duży czarny kundel z zawadiacko zakręconym ogonem i namiętnie obsikiwał wszystko, nad czym mógł zadrzeć tylną łapę. Z głębi rzadkiego lasu przyglądał im się mężczyzna mniej więcej trzydziestoletni, ciemnowłosa, szczupły i raczej niskiego wzrostu.

W minionym tygodniu zima zaczęła puszcząć, choć jeszcze wahała się, jeszcze nie bardzo chciała ustąpić miejsca wiosnie.

Młodzi przysli tu na krótki intymny spacer, jak ostatnio każdej niedzieli, zamiast iść do kościoła na mszę.

Mężczyzna chciał sprawdzić, czy już naprawdę budzi się wiosna.

Pies przybiegł za młodymi. Przez cały tydzień był grzeczny i posłuszny, ale w niedzielę, w porze mszy, żadna siła nie mogła zatrzymać go w domu; ten spacer nad jeziorem należał do największych przyjemności psiego życia.

(2). Mężczyzna nazywał się Marian Kielak, był lekarzem, neurochirurgiem. Niewielu ludzi osiąga mistrzostwo w swoim fachu, a wśród tych, którym się to zdarza, większość musi przez wiele lat rozwijać umiejętności ciężką i uporczywą pracą. Wszak ćwiczenie czyni mistrza, prawda? Są jednak tacy, którym Bóg dał talent pozwalający osiągnąć mistrzostwo w tempie niemal błyskawicznym i przy minimalnym nakładzie sił. Kielak należał do nich. Już teraz, w trzydziстым drugim roku życia, przeprowadzał operacje na otwartych mózgach z finezją i precyzją godną artysty. I właśnie fama artysty, a także młody wiek, trochę psuły mu szyki. Każdy zawód ma swoje stawy i autorytety, im starsze i obdarzone większą ilością tytułów, tym bardziej cenione. Ponieważ ludzie ci dochodzili do swej pozycji z trudem i mozolem, nie zamierzają jej tracić na rzecz kogoś tak młodego i błyskotliwego, kogoś, kim zawsze chcieli być, a nigdy nie byli. Nie znoszą konkurencji. Utrącają ją, jeśli tylko mogą i jak tylko mogą. I dlatego Marian Kielak pracował w nawet dość dużym szpitalu, a jednak prowincjonalnym. Drogę do ważnych klinik, tych rządowych i nomenklaturowych, wciąż jeszcze miał zamkniętą. Trochę się tym przejmował, choć nie aż tak, by okazując frustrację dawać swym przeciwnikom satysfakcję. Czuł, a nawet więcej – miał pewność, że jego czas nadejdzie, i to już niedługo. Żeby rozładować złość, przychodził właśnie tu, nad jezioro, choć nigdy nie zbliżał się do brzegu, zawsze spacerował po lesie. To tutaj, po odzyskaniu spokoju, często powtarzał sobie, że gdy nadejdzie jego czas, nie będzie to czas rewanżów.

Ostatnie dni, w porównaniu do dni wcześniejszych, podczas których panowały kilkunastostopniowe mrozy, wydawały się niemal upalne, więc Kielak nie

czuł zimna, gdy zamarł w bezruchu pod jednym z drzew, by z ukrycia obserwować spacerującą skrawkiem plaży parę. A poza tym obserwowanie młodych sprawiło mu wyraźną przyjemność. Uśmiechał się, gdy widział zdarzające się między nimi przypadkowe – choć bardzo częste – intymne i czułe gesty. Jeszcze dokładnie pamiętał czasy, gdy sam, spacerując z dziewczyną z dala od wścibskich oczu, nie mógł podobnych gestów powstrzymać.

Brat dziewczynę i chłopaka za parę młodocianych naręczonych, zazdrośnie kryjących się ze swą miłością przed resztą świata.

Tymczasem chłopak nazywał się Seweryn Cygulski, a dziewczyna, Inessa Cygulska, była jego siostrą. Intymne gesty między nimi rzeczywiście miały swe źródło w miłości, i to w takiej, z którą naprawdę musieli się kryć.

A pies, który – wybiegając na zamarniętą taflę to znów zagłębiając się w las – prowadził ich wzdłuż brzegu jeziora, wabił się Docent. I to właśnie pod psem Docentem w pewnej chwili załamał się nadwątłony kilkunastodniowy odwilż lód.

Z początku nie wyglądało to zbyt groźnie, ot, coś trzaśło i psu zapadły się tylne łapy, a na jasnym lodzie rozlała się mała ciemna kałuża. Gdy zwierzę szarpnęło się w przód, znów coś trzaśło i tylne łapy zapadły się głębiej, po brzuch. Pies zaskomlał i szarpnął się ponownie. Tym razem lód załamał się bezgłośnie, za to na dużo większej przestrzeni; ciemna spieniona fala rozeszła się po tafli szeroko, niosąc na swym garbatym grzbiecie miniaturowe odłamki kry. Pies, młóćąc zajadłe łapami, zniknął pod wodą cały, włącznie z czubkiem desperacko zadarżonego nosa, po najdalszy koniuszek wciąż zawadiacko zakręconego ogona.

Na brzegu Inessa Cygulska krzyknęła przenikliwie i szybko ruszyła w stronę psa. Seweryn był jeszcze szybszy: zdołał zatrzymać ją, gdy wbiegała na lód.

Stojący pod drzewem Marian Kielak mocno zacisnął schowane w kieszeniach płaszcza dłonie i westchnął z cicha.

Tymczasem Docent wytypnął na powierzchnię. Człowiek na jego miejscu wciąż by się szarpał, młócił wodę ramionami, rzucał to w tę to w tamtą stronę. On nie. Z uszami stulonymi i ciasno przyklejonymi do czaszki, z nosem wytkniętym ponad drobne fale, od razu ruszył do najbliższego brzegu. Tym brzegiem był lód. Docent zarzucił na jego krawędź przednie łapy i mocnym wyrzutem tylnych wydzwignął ciało z wody. Gdy brzuch psa, ciężki przemoczoną sierścią, opadł na lód, ten załamał się z cichym trzaskiem i pies znów aż po grzbień zapadł się w ciemne fale. Wzepiony pazurami w brzeg lodu, zdołał utrzymać nad powierzchnią łeb. Nie ważne, czy to instynkt podpowiadał mu jak walczyć o życie, czy też rozum, ale pies zmienił taktykę: natychmiast zaprzestął silnych lecz nieskutecznych rzutów ciałem, a zaczął pełznąć. Udało mu się w ten sposób wydostać z wody niemal całe ciało, gdy jednak wsparł

o lód tylną łapę, ten znów się pod nim załamał.

W tym czasie Inessa szarpała się z bratem, pokrzykiwała, że trzeba tam biec, że trzeba pomóc, a brat trzymał ją mocno w ramionach i uspokajał rzucającymi półgłosem słowami. Dziewczyna pokrzykiwała coraz ciszej i szarpała się coraz słabiej, więc Seweryn rozluźnił swój uścisk. I on, i ona, twarzami zwrócenymi w stronę jeziora, ani przez chwilę nie spuszczała oczu z Docenta. Inessa wykorzystwała moment, gdy pod psem po raz kolejny załamał się lód. Seweryn akurat uniósł jedną dłoń, by pogłaskać siostrę po włosach, a drugą spróbował odwrócić ją ku sobie, by nie musiała oglądać wciąż przegrywanej walki psa. Wtedy dziewczyna jednym szarpnięciem uwolniła się z delikatnego już uścisku brata i wbiegła na lód.

– Inessa! – wrzasnął chłopak.

Stojący pod drzewem Marian Kielak ponownie mocno zacisnął dłonie. I wstrzymał oddech. „Jezu! Co tę idiotkę tam pcha!” – pomyślał mimowolnie, bo świadoma i pełna ocena wydarzeń miała przyjść później. Znacznie później.

Gładka tafla załamała się pod dziewczyną dwa kroki od psa. Duża dziura w lodzie, w której falowała ciemna i robiąca wrażenie brudnej woda, upstrzona płatami piany i miniaturowymi kawałkami kry, natychmiast powiększyła się wielokrotnie. Jezioro nie było szerokie, lecz długie, kiskowate w kształcie. Z jednej strony kieszki zasilało go kilka małych strumyków, z drugiej wypływała sporych rozmiarów rzeczka, i z tego powodu właśnie cały akwen przecinało kilka mniejszych prądów łączących się w jeden główny przy ujściu do rzeczki. Prądy te, w raczej płytkim i płaskim dnie, wyżłobiły rowy szerokie i głębokie na kilka, a nawet kilkanaście metrów.

Dziewczyna i pies wpadli do jednego z tych rowów.

Temperatura powietrza tego dnia osiągnęła dwanaście stopni Celsjusza. Plus, oczywiście. Temperatura wody pod lodem zawsze była taka sama: cztery stopnie. Również plus. Jak pies poradził sobie z różnicą temperatur, z nagłym chłodem, który zaatakował całe ciało, nie wiadomo. Inesę ten chłód przeniknął aż do kości i sparaliżował na kilka sekund. Niezdolna do wykonania żadnego ruchu poszła jak kamień na dno. Tam było jeszcze zimniej, tam, w strefie przydennej, gdy temperatura atmosfery spadła poniżej zera, tworzył się lód. Tam też był prąd, który chwycił dziewczynę w swoje objęcia, obrócił w pionie o dziewięćdziesiąt stopni i zaczął nieść w stronę ujścia do rzeczki, pod skuwającą powierzchnię gładką nienaruszoną taflę. Jednak niewielka waga drobnych kości, wyporność tkanki tłuszczowej, a także powietrza zatrzymanego w płucach i ubraniu sprawiła, że zaczął też nieść dziewczynę w górę.

Gdy Inessa została wypchnięta na powierzchnię, gdy ciepłe powietrze niemal parzącym okładem objęło jej twarz, zdołała przełamać paraliż mięśni i rozpoczęła walkę o życie.

Desperacką. Paniczną. I chaotyczną.

Obaj mężczyźni na lodzie – ten w lesie i ten na brzegu – zachowali się w tym czasie niemal identycznie. Najpierw postąpili w stronę dziewczyny kilka szybkich, coraz szybszych kroków. Potem stanęli nagle i rozejrzeli się wkoło, myszując poszukiwawczo wzrokiem to tu, to tam, choć żaden z nich nie wiedział, czego szuka.

Inessa zaczęła wierzcąc nogami i młócić ramionami wodę wzburzając ją do tego stopnia, że wysokie na kilkanaście centymetrów fale załaty jej twarz, wdarły się do ust, do tchawicy i do płuc. Wodą nie można oddychać, więc zaczęła się dusić, a ból, który eksplodował w klatce piersiowej, znów sparałizował mięśnie. Po raz drugi osunęła się w stronę dna.

Pies Docent zeszliwnął się z bezpiecznej krawędzi lodu i ostro przebiegając łapami we wzburzonej wodzie ruszył w kierunku dziewczyny.

Na brzegu Seweryn Cygulski ocknął się z odrętwienia. I wszedł na lód.

W głębi lasu Marian Kielak też zaczął iść. "Nie!" – pomyślał patrząc na chłopa. „Tylko nie w ten sposób! Nie!”

Dziewczyna wypłynęła na powierzchnię młóćąc wodę tak wściekle, że wystraszyła psa; Docent bez wahania zawrócił ku bezpiecznej krawędzi.

Obszar kruszonego lodu pod naporem sfalowanej i spienionej wody powiększał się szybko. A Seweryn Cygulski – przecinając gładką i jeszcze całą tafelę – zmierzał ku niemu sztywnym lunatycznym krokiem.

Marian Kielak stanął. „Nie tak, idioty!” – myślał. „Potóż się! Potóż się na lodzie! Czotgaj się po nim! Nie tak!”

Tafelę najcieńszą i najstabszą była tam, gdzie podmywał ją prąd, więc Sewerynowi udało się dotrzeć stosunkowo blisko siostry, zanim lód rozstąpił mu się pod stopami. W lodowatej wodzie chłopak ocknął się z lunatycznego transu i na nagłe zagrożenie zareagował walką, równie chaotyczną i paniczną jak siostra. Dlaczego z trójga walczących o życie potrafiło robić to w skupieniu i w miarę skutecznie jedynie zwierzę? No cóż, zdarzało się wielokrotnie, że w chwilach ekstremalnych i ostatecznych sprawny umysł ludzki stawał się balastem, obciążeniem przynoszącym śmierć.

Marian Kielak wciąż jeszcze powtarzał „Nie tak, idioty! Nie tak!”, ale już nie tkwił w miejscu, już powoli zbliżał się do skraju lasu, do brzegu jeziora. Widział psa wczepionego pazurami w krawędź lodu, widział głowę dziewczyny podskakującą na ciemnych wzburzonych falach, to znikającą w nich, to znów się pokazującą, widział chłopaka miotającego się wściekle, z rozmachem, z energią, która zdawała się być niepożyta.

Widział. I wiedział, że na ratunek jest jeszcze czas. Tak! I szansa. Tak! By przynajmniej jedno z nich wyciągnąć na brzeg.

Zatrzymał się, gdy wszedł na lód. „Nie tak!” – powtórzył. A jak? Spojrzał po sobie, choć nie musiał, bo dokładnie wiedział, w co jest ubrany, znał również cenę każdej części swej garderoby. Miał się czotgać po tym brudnym i mokrym lodzie w swoim nowym i cholernie drogim płaszczu?

Zawrócił, zdjął płaszcz i po chwilowym wahaniu rzucił go na piasek. Znów

spojrzał po sobie i gniewnie potrząsnął głową. Garnitur też był nowy i też cholernie drogi, ale przecież nie mógł zebrać się do gaci!

Wrócił na lód. I ponownie ocenił sytuację. W ciągu tych kilkunastu sekund, podczas których on rozstawał się z płaszczem, tam, w wodzie, trochę się zmieniło. Pies wciąż był wczepiony w krawędź, chłopak wciąż jeszcze się miotał, choć już jakby słabiej, z mniejszą energią, ale dziewczyna... A raczej jej głowa jeszcze niedawno temu podskakująca na falach... Coś tam na falach podskakiwało, ale nie była to głowa dziewczyny. Na pewno nie.

Gdy tak patrzył, gdy próbował znaleźć głowę dziewczyny, w końcu ją dostrzegł. Przez chwilę tylko, na samym skraju rozlewiska, gdy spychana prądem zniknęła pod lodową krawędzią. Kielak po zdjęciu płaszcza wyraźnie poczuł, że powietrze wcale nie jest tak ciepłe, jak mu się wydawało, ale dopiero teraz przeniknął go prawdziwy chłód. Jednocześnie dziwnie słodki ciężar wlatł mu się w mięśnie i obezwładnił go. Ruszyć się? Wykonać choćby jeden krok? To nie takie proste ruszyć się, gdy na twoich oczach los ze swej oferty wycofał połowę możliwości, a także w dobitny sposób uświadomił ci, jak małą masz szansę, by drugą połowę zrealizować, a jak wielką – by samemu stać się ofiarą.

Wokół nie było żywego ducha, niko-go, kto mógłby przyjść z pomocą. Lód był bardzo cienki i kruchy, temperatura wody na pewno nie przekraczała czterech stopni, a on, Kielak, pływał raczej słabo, no i nie należał do zahartowanych w lodowatych kąpielach siłaczy.

Ratować... Ratować? Ale jak? I kogo?

Czy mógł kogoś uratować? Mógł. Siebie. W zwyczajny i prosty sposób, nie narażając życia w desperackiej i z góry skazanej na niepowodzenie akcji.

Zawrócił. Gdy podnosił płaszcz, znów spojrzął na rozlewisko. Chłopak wciąż jeszcze walczył, wciąż utrzymywał się na powierzchni, ale ruchy miał już niemrawe i jakby niedokończone. Zresztą dostał się chyba w objęcia tego samego prądu co dziewczyna, bo wyraźnie znośił go w stronę miejsca, w którym ona zniknęła pod lodem.

Już z głębi lasu Kielak obejrzał się po raz ostatni. Rozlewisko było puste, ciche i spokojne. Na jego brzegu, wczepiony pazurami w kruchą krawędź, tkwił pies.

(3). Gdy jakąś godzinę później pierwszy tej niedzieli spacerowicz pojawił się nad jeziorem, także pies Docent zdążył już odpaść od krawędzi lodu i zniknąć pod wodą. Oczywiście ludzie zauważyli dziwne rozlewisko pośrodku gładkiej tafli, ale tak naprawdę zainteresowali się nim dopiero na pół godziny przed zapadnięciem zmroku, gdy jeden ze spacerujących znalazł leżące na brzegu części dziewczęcej garderoby, czapeczkę i rękawiczki. Rzeczy wyglądały na świeżo porzucone lub zgubione, były niemal nowe i czyste, a wewnątrz jednej rękawiczki można jeszcze było wyczuć ciepłotę ludzkiej dłoni. W tym czasie Mateusz Cygulski już szukał swoich dzieci. Przy całej prostocie umysłu był człowiekiem niezwykle pedantycznym, wręcz drobiazgowym; on i jego rodzina żyli według ścisłych reguł, które sam ustalał, dla których wzory czerpał z nielicznych lektur, z własnego

życia i z nauk Kościoła. Dokładnie wiedział, ile czasu potrzeba na wykonanie każdej czynności i dlatego, gdy Inessa i Seweryn nie pojawili się w domu pół godziny po niedzielnej mszy, wprawił się w stan gorączkowej furii, wrzucił byle co na grzbiet i pognał w miasto, by naprawić ten niedopuszczalny błąd, sprowadzić dzieci do domu i tu je przykładnie ukarać. To on rozpoznał czapeczkę i rękawiczki jako rzeczy należące do córki. Wtedy ktoś wskazał popękana tafelę lodu na jeziorze i szerokie rozlewisko wśród tych pęknięć. Cygulski przez dłuższy czas spoglądał to na rękawiczki i czapeczkę, to na rozlewisko, nim wreszcie zrozumiał, co to może oznaczać. Zrozumienie – a właściwie podejrzenie – straszne w swej wymowie, nie obudziło rozpaczy ani nie złagodziło gorączkowej furii, przeciwnie, wzmocniło ją: Mateusz ruszył na lód, by czym prędzej dopaść dzieci, by je ukarać, by...

Ludzie zdotali go powstrzymać, choć parł przed siebie jak szarżujący byk. Zawiadomili policję, policja sprowadziła straż pożarną. W tym czasie zmrok zdążył już zapaść. Brak sprzętu oświetleniowego uniemożliwił należyte przeszukanie okolicy, a brak wszelkiego innego sprzętu – penetrację jeziora. Zwłoki Seweryna znaleziono około południa następnego dnia, a zwłoki Inessy – kilka godzin później. Oczywiście psa Docenta nikt nie szukał.

Jednak z resztek śladów, których nie zdotali zdeptać natrętni gapię, kilku bardziej dociekliwych policjantów zdotało odgadnąć prawdopodobny przebieg wydarzeń.

– Najpierw zaczął tonąć pies – powiedział w telewizyjnym rzecznik miejscowej policji. – Dziewczynka ruszyła mu na ratunek i też wpadła do wody. Wtedy na ratunek ruszył jej brat. W ten sposób utonęli oboje. No i pies także.

Co prawda jeden z policjantów podejrzewał, że w dramacie uczestniczył jeszcze ktoś czwarty, ale rzecznik policji nie wspominał o tym, ponieważ dwa znalezione ślady, które wzbudziły podejrzenia policjanta, można było zinterpretować również w inny sposób.

(4). Sławomir Tarczyński, czterdziestoletni inżynier zatrudniony w spółce budowlanej, był prawdziwie potężnym mężczyzną, mierzył niemal dwa metry wzrostu, a bary miał tak szerokie, że z trudem mieścił się w drzwiach. Ponieważ nad jeziorem znalazł się jako jeden z pierwszych, gdy niezdeptane ślady były niezwykle czytelne, w przeciwieństwie do policji nie miał żadnych wątpliwości, że w tragedii uczestniczył jeszcze ktoś.

– Gdybym ja tu był...! – westchnął i mimo woli, a jednocześnie z jakąś satysfakcją, popatrzył na swe bicepsy. – Lubię tu spacerować, jak wielu, ale nie w niedzielę w południe. W niedzielę w południe zawsze jestem w kościele. Inni też. Wtedy jest tu po prostu pusto. Te dzieciaki wybrały dobry czas na spacer, ale całkiem niedobry na ratowanie psa, na wchodzenie na ten kruchy lód. Nikt im nie pomógł. Gdybym ja tu był...

(5). Klara Skoneczna miała trzynastcie lat, chodziła z Inessą do tej samej klasy i była jej koleżanką. Jedyń. W ogóle, nie tylko w klasie.

– Jak mi się rozmawiało z Inessą? – powtórzyła pytanie i wzruszyła ramionami. – Dobrze. Chociaż... – zawałała się. – Inessa mało mówiła. Była... noo... →

– Skryta?
– Tak! Skryta! Mało mówiła w ogóle, a o sobie prawie nic.
– To dlaczego twierdzisz, że dobrze ci się z nią rozmawiało?
– Noo... – Dziewczynka zawahała się, a potem uśmiechnęła niepewnie. – Bo przeważnie mówiłam ja. O sobie. A ona słuchała. Inni nie chcieli.
– Jak się uczyła? Jak się zachowywała?

Klara znów się zawahała, tym razem wybierając, na które pytanie odpowiedzieć najpierw.

– Dobrze – rzuciła w końcu. – Dobrze się uczyła, jak zawsze – uściśliła. – Zachowywała się normalnie. Chociaż... chociaż ostatnio była trochę smutna

(6). Marta Labich miała pięćdziesiąt osiem lat, a na twarzy – trochę zeszpeconej grymasem gorzkiej surowości – jeszcze wyraźne ślady niedawnej urody. Posturą przypominała Stawomira Tarczyńskiego, była jego kopią w kobiecym wydaniu.

– To grzech, a Bóg rozlicza z każdego grzechu! – powiedziała. Zmarszczyła brwi, lecz nie musiała tego robić, by nadać swej twarzy potępiający wyraz. – W niedzielę w południe dzieci powinny być w kościele, na mszy, a nie na spacerze, z psem. Ich rodzice to uczciwi ludzie, szczególnie ojciec. Że on pozwolił na takie spacery...!

(7). Seweryn Cygulski? – Szczypty i niski nauczyciel fizyki, Robert Gawryszewski, musiał zadziierać głowę, żeby móc patrzeć rozmówcy w twarz. – Był raczej przeciętny, choć wyniki osiągał powyżej przeciętnej, bo był niezwykle sumienny i zawsze bardzo przykładał się do nauki.

– A ostatnio? Jego siostra ostatnio była trochę smutna.

– Sugeruje pan, że dzieci miały problemy, które pchnęły je do samobójstwa?

– Skądże! Niczego takiego nie sugeruję!

Nauczyciel zamyślił się.

– Wie pan, rzeczywiście, coś chyba było... – rzekł powoli. – Cygulski może nie tyle chodził smutny, co... Zaraz! Jakby mniej przykładał się do nauki. Bywał rozkojarzony. Tak, rozkojarzony! – powtórzył Gawryszewski i uśmiechnął się. – Pewnie miał problemy. Te typowe. Dla wieku dojrzewania.

(8). Na gładko wygolonej twarzy księdza Michała Lewandowicza malował się wyraz zatroskania. Zatroskanie brzmiało również w jego głosie, gdy odpowiadał na pytania o Inesę i Seweryna. Trudno tu zacytować jego słowa, a nawet w ogólnym zarysie zasygnalizować o czym mówił, bo mówił właściwie o niczym. Gdyby jednak odrzucić zalew nic nie znaczących słów i zostawić te kilka nabrzmiałych treści, wypowiedź księdza prawie nie różniłaby się od wypowiedzi Marty Labich, może tylko dosadnością wniosków: To, co spotkało dzieci, to kara boża. Za permanentne opuszczanie mszy.

No cóż, bóg księdza Lewandowicza – bóg judejski, chrześcijański i mużulmański, pojawiający się na arenie dziejów w tej właśnie kolejności, ale wciąż ten sam – zawsze był bogiem mściwym.

(9). Nie zrobiono sekcji zwłok, po prostu uznano, że przyczyna śmierci jest oczywista. Także dlatego, że zdecydowanym przeciwnikiem sekcji był Mateusz Cygulski, a z ambony – i nie tylko – wspierał go proboszcz Lewandowicz. Gdyby jednak zrobiono sekcję, odkryto by jeden ciekawy i dość kompromitujący fakt: Inessa była w drugim miesiącu ciąży. Ksiądz, tak namiętnie protestujący przeciw sekcji, mógłby ze spokojnym sumieniem twierdzić, że kara boska była zasłużona, a gdyby jakimś cudem dowiedział się, że ojcem dziecka był brat Inesy,

Seweryn, mógłby triumfować w pełni.

Ta pośmiertna hańba dzięki uporowi ojca wspieranego przez księdza została młodym zaoszczędzona, choć to właśnie ojciec – do spótki z księdzem zresztą – wpędził ich w hańbiącą sytuację.

Dzieci żyły we współczesnym mieście i uczęszczały do współczesnej szkoły, a przecie były izolowane od rówieśników tak dokładnie, jakby mieszały na kompletnym średniowiecznym odludziu i uczyły się ze skryptów dostarczanych przez gubernera, który zjawiał się nie częściej niż raz na miesiąc, by dostarczyć nowe skrypty i sprawdzić zasób wiedzy przyswojonej z poprzednich.

W sumie najtrudniej kontrolować dzieci w szkole, sprawdzać z kim siedzą w ławkach lub z kim spacerują na przerwach, a przecie Mateusz Cygulski umiał tego dokonać. Syna zastraszył już dawno temu, w latach przedszkolnych, córce pozwolił na trochę więcej swobody, ale w końcu i ją także ujął w żelazne karby. Był typem jakby z minionych wieków, a przecie nie tak rzadko spotykamy w dzisiejszych polskich rodzinach: prymitywny i władczy ortodoks religijny, dla którego słowo boże – przekazywane ustami kapłanów – było prawem jedynym i świętym.

Gdy synowi zaczął sypać się zarost, gdy hormony wszczęły burzę w młodym organizmie, Mateusz zastosował szczególnie ostre restrykcje za najmniejszy przejaw zainteresowania dziewczętami. Większość kompleksów i aberracji ma swoją przyczynę i często nie trzeba sięgać daleko w osobniczą przeszłość, żeby ją znaleźć. Mateusz Cygulski pamiętał, w co sam się uwikłał mając szesnaście lat. Chciał o tym zapomnieć, bo dla dorosłego człowieka, bigota o umyśle w pełni ukształtowanym, zamkniętym na argumenty i wrażliwości, było to wspomnienie bolesne, ale to właśnie syn Seweryn swoim istnieniem wciąż mu o tym przypominał, gdyż był żywym dowodem tamtej sytuacji.

Otóż w wieku szesnastu lat Mateusz przeżył – w sposób raczej przypadkowy – inicjację seksualną. Zresztą Agnieszka, dzisiejsza żona i matka jego dzieci, wtedy czternaścieletnia, też utraciła dziewictwo. Gdy pięć miesięcy później okazało się, że dziewczyna jest w ciąży, zrobił się szum. Aborcja ze względu na przekonania religijne rodziców Agnieszki i Mateusza nie wchodziła w grę, a poza tym było już na nią za późno. Rodzice najpierw rozmówili się między sobą, potem pogadali z dziećmi, a na końcu zabrali się za załatwianie formalności. Gdy Mateusz skończył siedemnaście lat, był już mężem i ojcem.

Nie wybierał takiej drogi życia, została mu narzucona, więc buntował się, bo mimo prymitywizmu i ciasnoty poglądów nie był ograniczony umysłowo, bardzo cenił swoją wolność i wolną wolę. Co nieco ostył w żalach dopiero wtedy, gdy na dobre zwrócił się w stronę Boga, bo fakt, że to Bóg wybierał i decydował za niego, mógł zaakceptować bez dyskusji. Co nieco ostył, tak na zewnątrz, bardziej na pokaz, bo pozostała w nim zapiekła gorycz. I twarde postanowienie, że syna uchroni przed podobnym losem. Dlatego tak zaciekłe ścigał go za każdy kontakt z dziewczętami.

Matka starała się pacyfikować buntownicze zapędy chłopca.

– Jesteś taki młody, masz jeszcze na to czas – mówiła. Gdy jednak widziała go z dziewczyną, bez skrępowań donosiła ojcu.

Ten oprócz najprzeróżniejszych represji stosował również perswazję słowną.

– To wszystko suki i dziwki! Jak one się ubierają! W jakich ubraniach chodzą do

kościół! Co mówił w kazaniu ksiądz proboszcz?

A ksiądz proboszcz Lewandowicz mówił: „Rolę »wychowawcy« – deprawatora przemija bezwstydną modą i pornograficzną reklamą. Moda bezwstydną i nierozumna, dla której nawet progi świątyni nie stanowią opamiętania. Czym obecnie różni się ubiór wielu »katoliczek« od ubioru kobiet lekkich obyczajów? Kościół nie może iść z prądem mody. Ma obowiązek jej się przeciwstawiać, tym bardziej że jest to moda wiodąca do grzechu”.

Mateusz, choć nie potrafił tego zacytować, bardzo dokładnie pamiętał podjudzającą mowę księdza.

– Już ja cię uchronię przed grzechem! Już ja cię odudzę szadzek z dziwkami!

Inessa oglądała to wszystko z bliska, więc: musiała w tym uczestniczyć. Z początku biernie, ale przecie kochała brata i było go jej żal. Spróbowała pocieszyć chłopca. Czy to hormony wzięty górę, czy skłonności, ale po pewnym czasie, mniej więcej pół roku temu, z czułości siostrzanych zrodziły się czułości seksualne.

(10). Co kierowało Sewerynem, gdy wtedy, nad jeziorem, pobiegł ratować Inesę? Czy ten zwykły ludzki odruch, który sprawia, że człowiek nawet w sytuacji beznadziejnej chce pomóc drugiemu człowiekowi? A jeśli Seweryn – w przeciwieństwie do Kielaka – nie uważał tej sytuacji za beznadziejną? To co nim kierowało? Miłość? Obawa przed potępieniem, gdyby dziewczyna zginęła, a on nawet nie próbował jej pomóc?

Co w takich wypadkach pcha ludzi do czynów desperackich? Czy tylko brak wyobraźni? Czy przeznaczenie?

(11). Seweryn musiał pobiec na pomoc siostrze, a Inessa musiała rzucić się na ratunek psu. Więcej: pies musiał wpaść do lodowatej wody i pociągnąć oboje za sobą. Bo tego właśnie dnia urywały się nici życia obojga. Oboje nie mieli już przed sobą żadnej przyszłości. Tak czy owak ich życie miało się wtedy skończyć, a los zastawił śmiertelną „psią” pułapkę przede wszystkim na Kielaka.

Są ludzie, dla których fortuna kołem się toczy i właśnie Kielak należał do nich, choć to koło nie całkiem było prawdziwe. To fakt, że już obdarowanie talentem sprawiło, że znalazł się na szczytach, ale z drugiej strony nigdy nie został zepchnięty na samo dno. Oł, przez pewien czas szczęście nie dopieszczało go tak, jak sobie tego życzył. Ale prawdziwy talent poparty rzetelną pracą musi w końcu zabłysnąć pełnym blaskiem, jeśli oczywiście w międzyczasie bezmyślne społeczeństwo nie zdepta go z kretesem. Dziesięć lat później Kielak miał osiągnąć wirtuozeryjny w swoim fachu, miał być nie tylko proszony, ale wręcz błagany o przeprowadzanie najtrudniejszych i najbardziej ryzykownych operacji.

Otwierała się przed nim tylko ta jedna droga życia, alternatywnej nie miał. Gdyby wtedy, nad jeziorem, pospieszył Inessie i Sewerynowi z pomocą, zginąłby wraz z nimi.

Nie mógł o tym wiedzieć, oczywiście, więc ten motyw zaniechania pomocy opadał. Innego jednak Kielak nie szukał. Bo motywy czynów negatywnych dorabia się na własny użytek, wskutek wyrzutów sumienia lub podobnych dolegliwości. Kielakowi wyrzuty sumienia dokuczały niezmiernie rzadko. Postąpił wtedy tak, jak uczyniłaby większość ludzi: nie narażał życia. Swojego.

K O N I E C

ZBIGNIEW WILCZYŃSKI,
ŁÓDŹ, MARZEC 2000 R.

Tadej Karabowicz

NARRACJA MITYCZNA W TWÓRCZOŚCI ARTYSTY PLASTYKA I POETY ZBIGNIEWA KRESOWATEGO

Narracja mityczna twórczości Zbigniewa Kresowatego odpowiada na typologiczne pytania o całość wizerunku twórczego artysty. Poeta przesiąknięty mitycznym obrazem człowieka renesansowego i epickiego, wyraża w niełatwych konfiguracjach artystycznych swój wewnętrzny niepokój twórczy. Zanurzając się we własne doświadczenie literackie, przekracza je i ubogaca. Buduje spójny wizerunek artysty, wydobywając unikalną materię osobowości ego jako poeta, malarz, eseista i krytyk.

Dotychczas niewielu krytyków pokusiło się o całościową charakterystykę twórczości Zbigniewa Kresowatego. Fragmentarycznie robiła to Marianna Bocian – poetka, krytyczka i eseistka, w roku 1998 w „Słowie wstępnym” do jego tomiku wierszy „Nie opóźnić spojrzenia”, a także Adrianna Nagórska, gdy charakteryzowała osobowość poety, po ukazaniu się wyżej wymienionego tomiku poetyckiego, ilustrowanego autorskimi grafikami artysty. O twórczości Zbigniewa Kresowatego pisali także poetka i krytyk literacki Bożena Budzińska, Dariusz Tomasz Lebioda i ks. Roman E. Rogowski.

Poeta i malarz Zbigniew Kresowaty (pseudonimy artystyczne: Ikona, KreZbi), w bezpośrednim odbiorze filozoficznym, a także epickim, nie należy do autorów ławnych. Zajmuje się eseistyką, uprawia krytykę artystyczną oraz literacko-artystyczną. Malarstwa uczył się od Zbigniewa Karpińskiego w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych we Wrocławiu oraz w pracowni domowej Eugeniusza Gepperta (1973–1977). Jest rysownikiem, grafikiem, malarzem ikon, ilustratorem. Od 1972 roku życiowo związany z Wrocławiem, a ostatnio z uzdrowską miejscowością w Sudetach – z Łądkiem Zdrój, gdzie posiada własną pracownię artystyczną.

Debiutował w 1981 roku w drugim obiegu. W oficjalnej prasie po raz pierwszy jego wiersze ukazały się w miesięczniku „Odra” w 1987 roku – „Na scalenie nadziei”, „Twój sen”, „Jesiennym światem”, „Krzyże”, „Na wiosnę”, „Ten stary plecień”, „Bóg”. Wydał sześć tomików wierszy, wywiadów artystyczne, posiada duże doświadczenie redaktorskie. Jest nagrodzony wieloma nagrodami literackimi oraz nagrodami za całokształt twórczości, Nagrodą „Metaforę” Klemensa Janickiego, Nagrodą T. Micińskiego, Nagrodą „Gustaw” Gustawa Herlinga Grudzińskiego, Nagrodą „Nikos” Nikosa Chadziniakou oraz „Pierścieniem tysiąclecia” przez abpa Henryka Gulbinowicza. Jest nagrodzony także Medalem św. Jerzego za Niezwykłą Działalność w Kulturze przez władarzy Łądku Zdroju. W 2019 roku został odznaczony odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej” przez ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Twórczość Zbigniewa Kresowatego wyraża się w mitycznym pojmowaniu rzeczywistości i świata. Stąd dzieło artysty przebywa w pewnym dystansie filozoficznym wobec rzeczywistości. O sztuce Zbigniewa Kresowatego można powiedzieć słowami Simonidesa z Keos, w sekwencji przytoczonej przez Plutarcha w dziele „De Gloria Atheniensium”: „Malarstwo jest milczącą poezją, a poezja – mówiącym malarstwem”. Na tym sugestywnym podglebiu, można także zacytować złotą myśl, jeszcze bardziej uniwersalną, filozofa i teologa Johanna Georga Hamanna, z dzieła „Aesthetica in Nuce” z 1762 roku, że „Poezja jest macierzystą mową rodu ludzkiego”. W odniesieniu do sztuki

Zbigniewa Kresowatego, nie tylko poezja jest jego macierzystą mową związaną, ale także jego uduchowione malarstwo, rysunek, grafika, inne małe formy artystyczne oraz performance, czy ikonopisarstwo. To co dojrzało w sercu artysty, jako dzieło indywidualne, w sposób naturalny stało się paradygmatem jego manifestu twórczego i trafiło do odbiorcy.

Sztuka Zbigniewa Kresowatego, odpowiada bowiem na niełatwe pytania o sens walki z przemijaniem czasu i bytu. Poezję, malarstwo i inne formy wypowiedzi artystycznej, które uprawia Zbigniew Kresowaty, można porównać do ołtarza pergamońskiego. Jak w ołtarzu pergamońskim, tak i w dziele artysty, jest widoczny w pewnych fragmentach wymuszony pośpiech. Jest on powodowany zamysleniem o zbyt szybko przemijającej czasie. To apelacja do Apokalipsy, gdzie porządek narracyjny bytu i wszechświata poddano srogiej wizji zagłady dziejów. Tradycja przekazu myśli apokaliptycznej i ludzkich wyobrażeń o niej, ciągle posiada ponadczasową proveniencję i wraz z pokoleniami ulega zmianie. Poeta mówi:

* * *

ten Nieznany Plac w dalekiej Hiszpanii
dał wtedy mi poczucie wieczności – łuki
jeszcze ruchome po arabach syte kafelki
w słońcu z rogami ludzkie jak na arenie
– Plac Pomiędzy aktami turystów i jeden
bez kurtyny wierszy lamentacji pośród go-
łębi
jak pamiętam wtedy cały świat łączył się
nad placem ze szczerym niebem – – – –

a ja stałem jakby na rogu ogromnego
byka miasta? – Marzyłem bezimienny
bez odwagi w ogromnym oknie dnia
o tobie Któraś urodziła się w mej głowie
czekałem cały sobą w bez czasie czas
na ciebie nieznaną daleką bezsenną
jak na fontannę ten plac dał mi wtedy
czucie wieczności – woda była zmęczo-
na
psy na fontannie pilnowały wyły do
rzeźb
KTÓRE miały utracone nosy i palce
u rąk
TY pewnie gdzieś jesteś choć nie ma
ciebie a jesteś tą przepiękną chwilą
na której wciąż daruję samotność

(WIERSZ „A JEDNAK”)

W twórczości Zbigniewa Kresowatego, filozofia budowania własnej sztuki, przekazywana jest poprzez mit archetypiczny (mit niełatwych sensów). W utworze „A jednak”, obrazy autorskie: „utracone nosy i palce u rąk”, są bliskie do mitu archetypicznego

o rozpadzie dzieła pergamońskiego i o jego mozolnej rekonstrukcji. W odbiorze rzeczywistości archetypicznej, artysta tworzy wizję ołtarza pergamońskiego i Apokalipsy. Stąd, najbliższa dziełu artystycznemu Zbigniewa Kresowatego, jest teoria mitu wyznawana przez strukturalistów. Bowiem to strukturaliści twierdzą, że mit składa się z jednostek zwanych mitologemami. (częstkami: my-theme).

Mitologemy rozumiane przez artystę, nie są przypisane do jednej kategorii jego działań twórczych, lecz mogą być realizowane w różnych konfiguracjach. Znaczenie mitu u artysty, zależy od tego, jakie relacje zachodzą między jego światem wewnętrznym i otaczającą go rzeczywistością.

W twórczości Zbigniewa Kresowatego, mitologemy łączą się nie tylko diachronicznie, poprzez powiązania fabularne, ale także synchronicznie, poprzez powiązania logiczne. Pomiędzy oddalonymi od siebie jednostkami struktury narracyjnej, następuje ich spójność synchroniczna. Odzwierciedlają one uniwersalność myślenia alogicznego artysty i przybliżają nas do jego twórczości. Poeta nazywa je w wierszu stanem nie senniści, bądź homeostazą:

* * *

tego wciąż nie pojmuję ale wiem Panie
o tym ŻE
jestem wystawiony proszący cię o trochę
stanu błogości
daj wytrzymać temu bezdźwięcznemu
dźwiękowi pędzącemu
za żaluzjami jak kilogram rozrzuconych
gwoździ i klekot
pędzącego osobowego lub jak KTO woli
towarowego pociągu
co kilka minut pojękuje balkon lany z że-
łaza wczesny gomółka
weź i oddal mój dom albo to okno co
nocnego rytuału anarchii
i wysławiania się stojących wciąż hulaj-
gębów głośnych plujów
i taniego bełkotu gniewdzącego się pod
progiem jak nieustający
wiatr Ulico szeroka 25 aż po skwer za
rogiem gdzie rzeźnia chrapie
Kidy uciszysz mi świat pytam Panie wio-
sny okno otwieram krzyż
choć jęczy lotnisko pobliskie ptakami
czasem zapadają się w
spokoju żelazne ich skrzydła czasem znów
kołują nad pobliskim
drzewem północy wyglądam i zbyt dużo
tytoniu spala się w słuchu
ucha popielniczki i znów rzą ogry kiepują
się kopytem do ranka zaniki
populacji idą spać w hotelach bezdomnych
rozrzucając kawałki szkieł
A w dali pojękują kotki i bełciarze torturują
ławki na skwerze z As

Wiem na pewno tak chadzają duchy na katharsis zawodzą psimi w pysk gdy w krzakach parzą się deptacze szczerząc ze szczęścia (?) jak nowo narodzone dzieci słońca (...)

(WIERSZ: „NIE SENNOŚĆ, CZY HOMEOSTAZA?”)

Konfigurację nie senności, czy homeostazy, artysta wyjaśnia: „Czasami bywa tak, że musimy się obnażyć, żeby nas lepiej poznano... zobaczono. Dotknięto – oczami i zmysłem, który będzie tym samym odkryty(?). Na pewno nie jestem żadnym ekshibicjonistą ani narcyzem – zapewniam Was i Ciebie i Ciebie też! – Ale skoro rozbieram się przed Tobą czytelniku moich wierszy a tym samym odbiorcą moich obrazów, stajesz i Ty jednocześnie przed lustrem swoim – i oto stajesz przed przypadkiem tworzenia. Zobacz przez chwilę, jak Bóg stwarza człowieka i stawia za nim rzeczy, które do niego przynależą – trzeba je tylko odpowiednio poukładać. To jest moim zadaniem”.

Homeostaza dla Zbigniewa Kresowatego to stan niespokojnego serca, szerzej to ołtarz pergamoński. W aspekcie ontologicznym homeostaza dla twórcy nie musi oznaczać równowagi wszechświata. Natomiast w swojej twórczości autor dąży do równowagi, co nie jest łatwe. Słowo „homeostaza”, wywodzi się z języka greckiego, od wyrazów *homois*, czyli równy, oraz *stasis*, które oznacza trwałość. A jednak dla artysty jest ono ciągle pojęciem wymiernym.

W pojęciu homeostazy, Zbigniew Kresowaty upatruje synonim o znaczeniu szerszym – „nie senność”. To konstrukcja duszy poetyckiej, przypominająca schemat filozoficzny, na podstawie którego, nie powinno się patrzeć beczynnie na rzeczywistość. Należy przeciwstawiać się rzeczywistości, zmieniać ją, formować jak marmur (apelacja do Michała Anioła), bądź jak glinę (apelacja do ceramiki Pablo Picasso). Ontologia tego przeciwstawienia, to podstawowe zadanie artysty, starającego się zmieniać strukturę świata. A więc, zajmować się problematyką związaną z pojęciami bytu, istoty i przyczynowości istnienia. Jest to zadanie niełatwe, bowiem artysta jest częścią magmy rzeczywistości. Widzimy to w sposób dobitny, w osobnym utworze, poświęconym homeostazie:

(w niskim locie)
a później wiadomość
czasem gorsza jak wojna

jaskółka uwolniona
z żdźbłem tytanu w oczach
z żdźbłem błota w dziobie
niesie wiadomość na
sвій dom

czasem spada
w serce łąki
ziemi – czarna
jak sztylet z rękojeścią
mocną bo z niej zaraz
weźmie się krzyk

A później jest deszcz i
biel uskrzydłona i NIE
ma jaskółki żeby była
jest gniazdo u sufitu
szczębiot żółtodziobów

(WIERSZ: „NAJPIERW JEST JASKÓŁKA”)

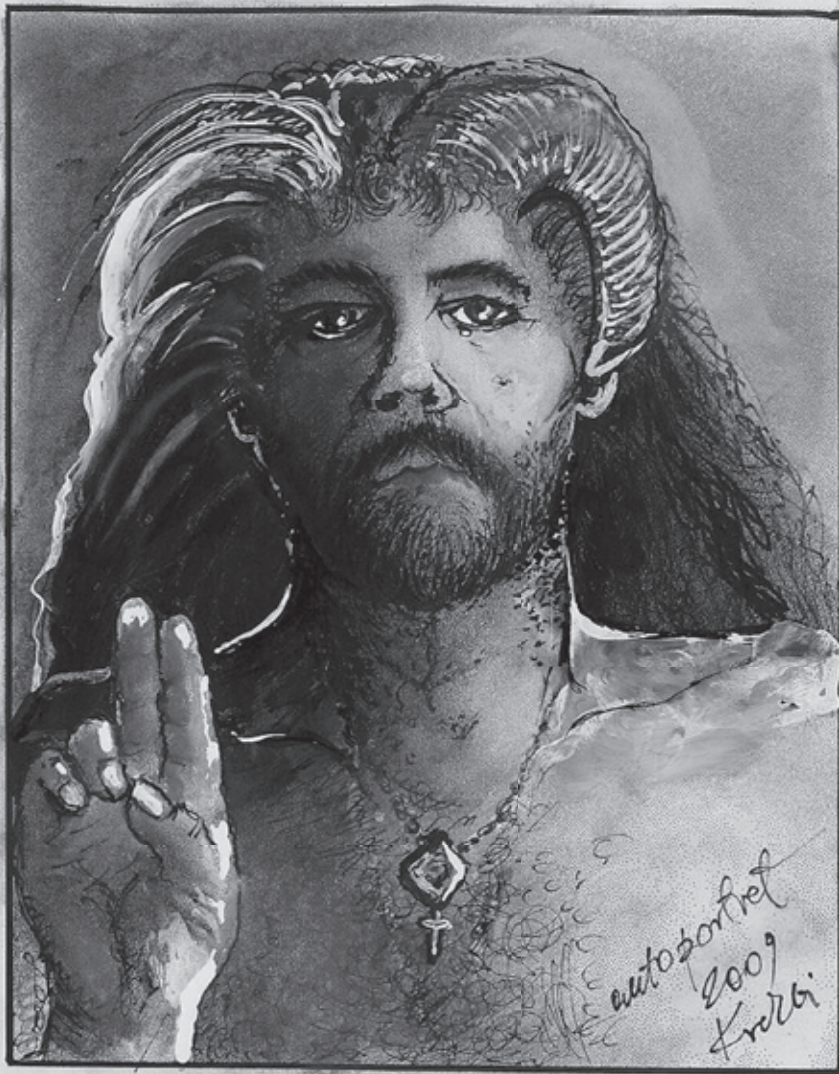
Nagi szczębiot „jaskółczych żółtodziobów”, unoszący się dramatycznie nad homeostazą, przypomina o apokalipsie ludzkiego istnienia, poddawanego przemijaniu. Poeta mówi, że ruiny ołtarza pergamońskiego i Apokalipsa, to wizje cywilizacyjne i sakralne związane z dyskursem ponadczasowym. W konsekwencji prowadzą one do anastasis (Zmartwychwstania).

A jednak nad dyskursem ponadczasowym istnieje także grzech pierworodny. W pojęciu Zbigniewa Kresowatego, za teologią chrześcijańską, oznacza on przekroczenie przez Adama i Ewę wyraźnie narysowanej, przez Stwórcę linii. Ta linia, to świadome

przekroczenie zakazu, pod wpływem pokusy. To także złamanie pieczęci w świątyni, bez wyraźnego przyzwolenia (sięgnięcie przez Ewę po jabłko w Raju). W sztuce artysty, złamanie pieczęci, staje się wyrazem określenia dobra i zła, sacrum i profanum. Lecz owoc zakazany, to także symbol natchnienia i inspiracji. Zbigniew Kresowaty mówi, że biblijny grzech pierworodny pod drzewem dobrego i złego, ciągle stanowi o naszym człowieczeństwie – poprzez sztukę. Dążący do grzechu, ciągle wyrwamy się z jego objęć, ku doskonałości. Artysta wyraża tę myśl w utworze diachronicznym, →



Dom Piłata- wyk. Z .Kresowaty



Zbigniew Ikona Kresowaty. Autoportret. 2009

zawierającym następstwo procesów lub zjawisk w czasie:

* * *

byli i wciąż pokutują
pochyleni nad ziemią z
okiem trzecim albo jednym
jak cyklopy z wystającymi ponad
głowami w wykopaliskach grobach
jak niewierni Tomasz apostołowie
prawdy i prapoczątku od stołu
wysłani jak mrówki przez Boga
aby zbawiać świat posłani jak ongiś
głosić nowiny świadkowie naoczni

wciąż krwawia
jakby na wysypiskach Oni
już wiedzą skąd jesteś kim byłeś
badają czubek igły i ucho pustyni
przez które powinno przejść ziarno
piasku i nie piasku ale i wielbłąd
dotykają wiercą dziury w dziurach
dna czaszki robią krzyżyk i szukają
gwoźdźcia czwartego słonecznej dłoni
stygmatu na cyrklowych nóżkach
po uszy w jamach zakopani po wieki
w krótkich spodenkach w kratkę
jakby mieli przełknąć kosmologię
i zrozumieć mowę kamienia i nóż
jakby chcieli odgadnąć kształt obły
miscozki znalezionej przypadkiem
i kolor najważniejszy wydobyć

męcząc kont prosty i ostrzy
żeby oznaczyć szlaki znakami
wszelkie cuda świata o Nich
wiedzą że nie ustaną nie a zбочą
na chwilę otworzyć drzwi lasu
że obok w rytmie disco błysku
TAM współczesny polaryzuje
obraz głodny twórczych
myśli i win

(WIERSZ: „BADACZE”)

Jako poeta i artysta, autor wiersza „Badacze”, zawsze pozostawał wierny sobie. Mówił w sztuce językiem indywidualnym, afirmując prywatność oraz własne ideały. Przeżycia i przemyślenia poddawał artystycznej próbie zmiany. Nie układał się z innymi poetami literacko, ani artystycznie, był i jest samotnikiem. Poeta posiada dar przewidywania i przepowiedni, narracji i patosu. Jego sztuka pozostająca w określonym momencie czasowym niezależna od innych, wychodziła poza ustalone ramy krytyki literackiej i artystycznej. W komunikacji twórczej Zbigniew Kresowaty pozostawał i pozostaje wierny kategoriom rzeczywistości onirycznej. To ważny wyznacznik portretu artysty, który zmagają się z nietatwą w jego życiu rzeczywistością.

Tym niemniej chcę po tylu latach naszej przyjaźni ze Zbigniewem Ikoną Kresowatym powiedzieć słowami jego wiersza „Poeta Kawafis mówi”, o niezależnej i ciągle czynnej twórczości, która wyłamuje się spod pióra

krytyki swoją oryginalnością i świeżością:

Przychodzę z tamtych widm
tutaj stanąć chcę jeszcze raz
chcę się łudzić jak w miłości
chcę się pieścić z widmami

A skoro tylu patrzy jest tłum
Ktoś wielki zagląda w ciemność
niech stanę i ja gotów na własne JA
zanim podniesie się słońce i będzie
koniec świtu a może to koniec świata?
bo jakaś ogromna pieśń się niesie
jakby o mężobójcach argejskich
podstęp?

Królu Pryjanie wracam i wiem
że nic już nie ofiaruję ci jedynie słowo
przy sercu mi zostało jedynie widmo
w nim rzeczy tych co odpłynęły w mroki
za nas za sen w ciepłych niszach
jeszcze syk po wodzie się niesie
białych węży – ich łabędzie szyje
opływają wiecznie piękność Heleny?
I zaraz pojawia się w tle daleko Troja?

Pobita płynie po piasku jak poezja
zza czaszek rycerzy dobija się szczebiot
szepc zdyszany słyszę i umysł nieznanym
dźwięk poraniony zanim dorodna
wypuszczona strzała z łuku Parysa
trafia jedynie pięć Achillesa?
- coś tu nie tak jak szepcesz
do ogromnego ucha pamięci
Hektorze - niewidomy most woła
dalej wspomnę tylko Aleksandrię
bo nadchodzą wieści o starym życiu
- dryfujemy i nic się nie dzieje

(WIERSZ „POETA KAWAFIS MÓWI”)

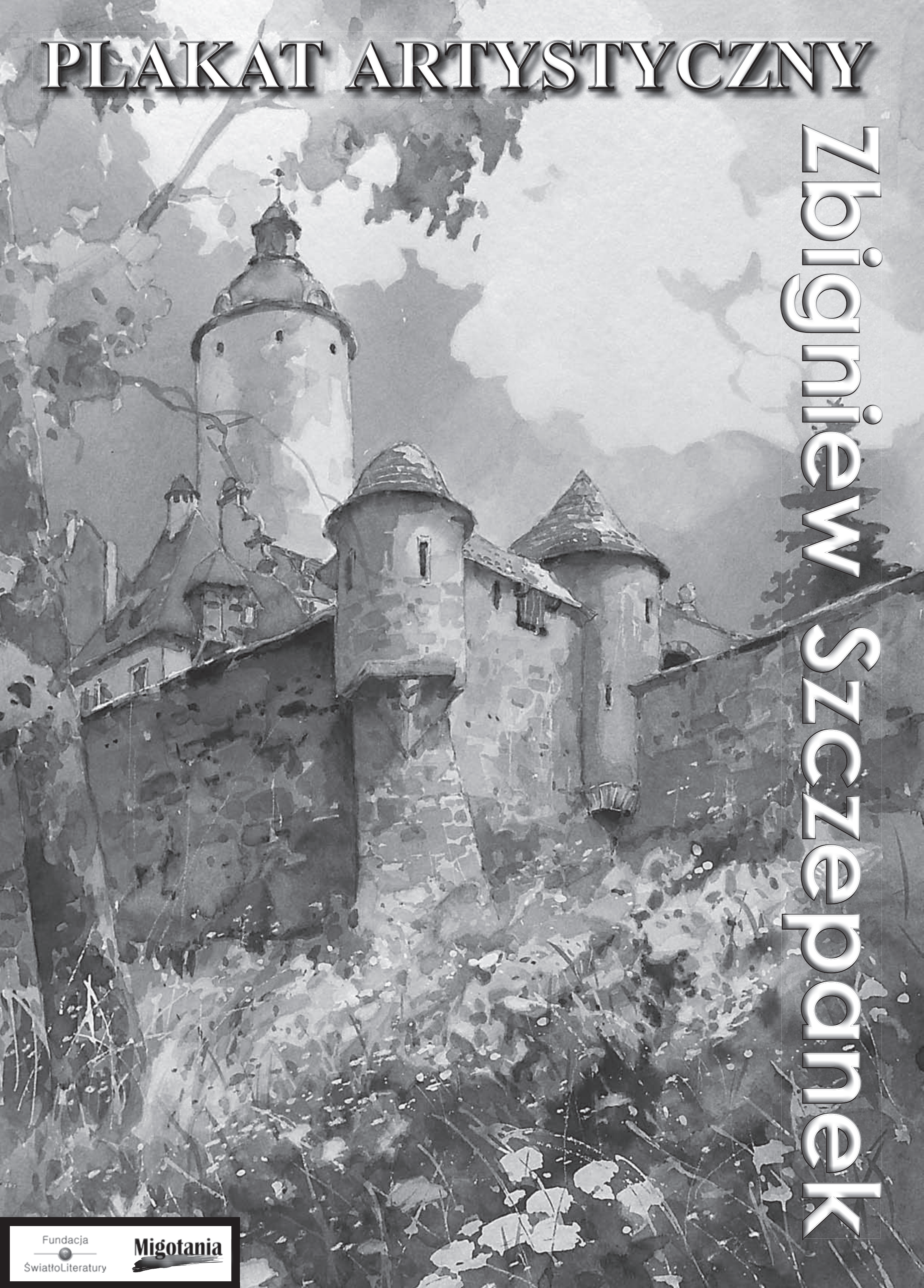
Pisarze.pl 21 lipca 2020, Nr 15/20 (460)



Koronawirus - wyk Zbyszek Kresowaty

PLAKAT ARTYSTYCZNY

Zbiorniew Szczepanek



To tylko słowa, zawsze sobie z nimi dobrze radziłeś. Nie mówisz już o odchodzeniu, po prostu odchodzisz jak wszyscy przed tobą:
G. ze ściśniętym gardłem, R. ze ściśniętym sercem, M. ze ściśniętą dłonią.
Wydaje nam się, że doświadczamy gruntu pod stopami, że odróżniamy

drogę do domu. Czym jest dom, kiedy nie udaje się wrócić?
Zbiorem liczebników porządkowych? Guzikami znoszonej marynarki?
Może okupem za spokój sumienia? Nie odpowiesz, chociaż wszystkie odpowiedzi nosisz w sobie.

Nie chcesz niczego wiedzieć,
słowa chronicznie zakażają,
ukrywasz się w obcych kulturach.

Nietutejsi mówią ciałem, świszczą i szeleszczą.
Nierozumienie układa się w przenośny przekaz,
w głoski ssane w przemilczeniu,
w połowie połknięte, napoczęte i wyplute,
rozdzielone, niepewne niczym pastylka na serce
albo przeciwko niemu,
jakby ratunek, a może posłowie.

W półotwarciu ust zaczynasz rozumieć,
że nie można ocalić się w żadnym języku –

Sztywność alfabetu uniemożliwia czytanie.
Od pewnego czasu trudno dostrzec znaki diakrytyczne,
wyrazy potrzebują protezowania, a głoski nagłośnienia,

próbuję rozpoznać zwyrodnione litery, suchość pisma
przekłada się jednak na suchość w gardle.

Prawda ma wymiary dzienne i nocne. Od strony
wody nic się nie zmienia, nawet po zanurzeniu
w chrzcielnicy; toczy się jarmark, wystawia się stragany,
środowisko nie zmienia koloru ani odczynu.

Odczynianie odbywa się po zmroku,
w głębokim marzeniu sennym,
kiedy łatwiej zobaczyć człowieka w człowieku.

Od strony wody wszystko rdzewieje

W płytkich zatokach szukaliśmy głębokich
doznań, złapani przez przyływ,
uwierzyliśmy wodzie.

Ale woda przybierała kolor rdzy – najpierw byliśmy
przy sobie, potem między sobą.

Dzieliły nas sine topielice, niewyłowione
bursztynowce, rozmoczone mapy podróże.

W rozlewiskach toczyło się uzdatnianie,
dotykanie chropowatych wraków –
niektórzy wierzyli, że to próba wypłynięcia.

29.08.2020